

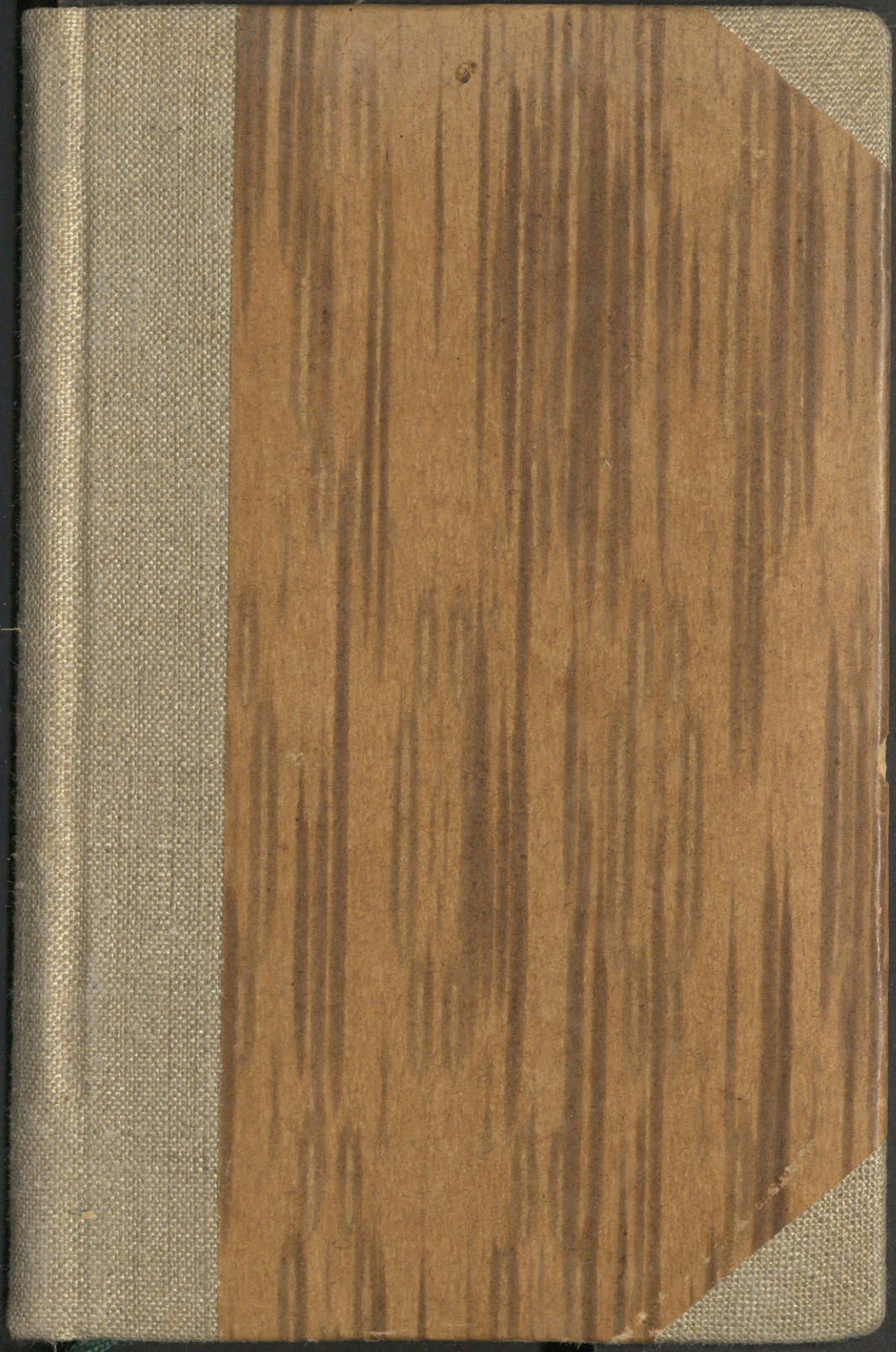


Grey Scale #13



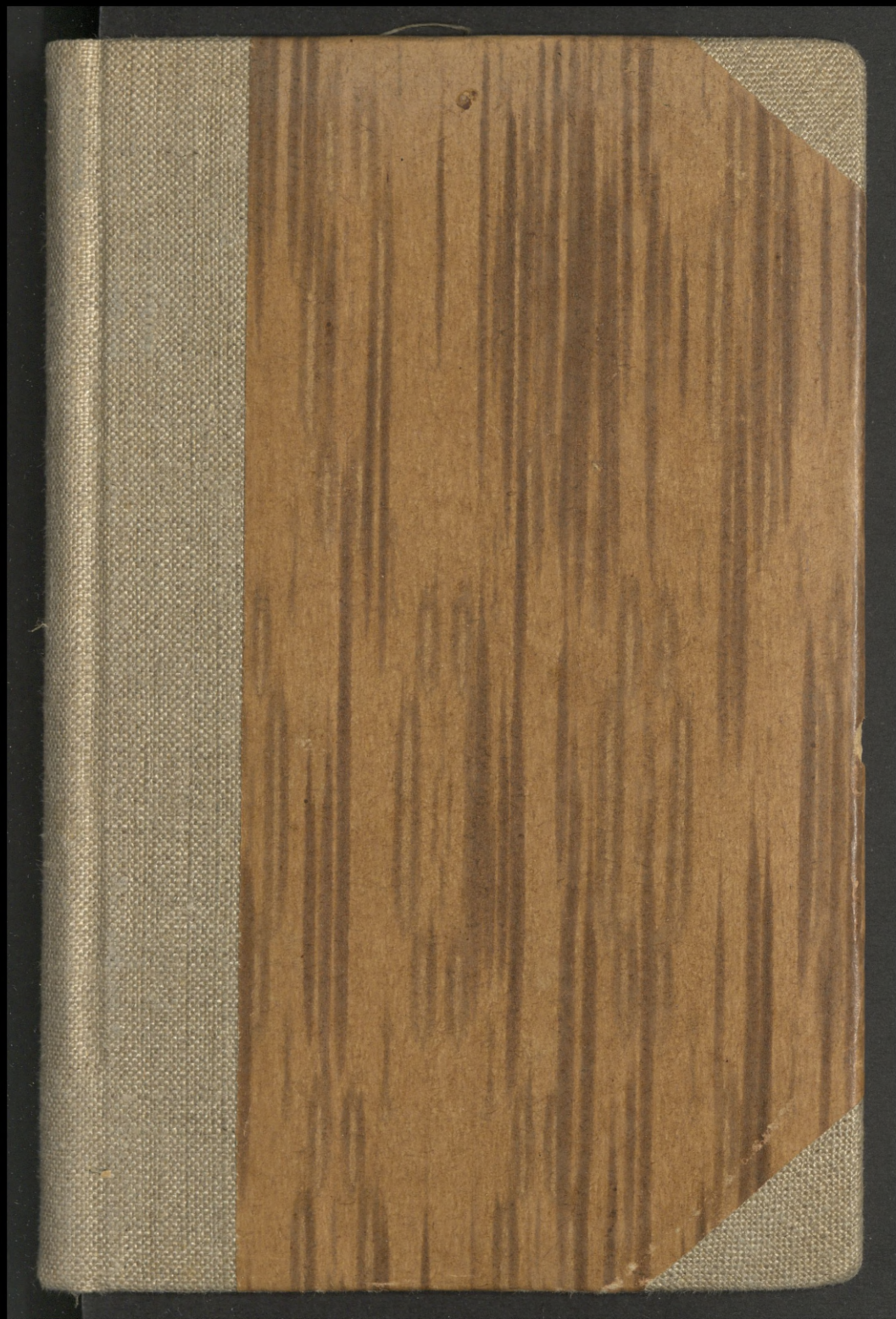
DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

DANES-PICTA.COM



K

L-302

J-80

ALEXANDER JEŁOWICKI.

c 27

MOJE



WSPOMNIENIA.

WYDANIE DRUGIE.

Gabruński

POZNAŃ.

NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1877.

50

ALEXANDER LEONOWSKI

POKRYWA



10021/1

Czcionkami N. Kamińskiego i Spółki w Poznaniu.

KSIĘGA PIERWSZA.



Życie domowe — Pierwsza młodość.

Handwritten blue ink scribble or signature.

ROZDZIAŁ I.

PIERWSZY LAT DZIESIĄTEK.

Wiosna mojego życia już za mną; przedemną droga tułactwa; a zamiast przenikać co tam na końcu tej drogi los mi zgotował, wolę po za siebie potoczyć wzrokiem, i na westchnieniach jak na skrzydłach pobujać po tym rajy życia, w którym się rodzi i rozkwita cudowną barwą i wonią pierwsze uczucie, w którym troska jest tylko przelotną chmurką, a szczęście zda się być stałą pogodą.

Urodziłem się dnia 18. Grudnia 1804. r. we wsi Hubniku nad Bohem, w powiecie Hajsyńskim, w dawnym województwie Braclawskim, na pograniczu Podola i Ukrainy. Rodzice moi byli majątni i poważani. Dostatek, który mię od urodzenia otaczał, wdzięki wsi naszój, czułość i przywiązanie rodziców, towarzystwo nieodstępne dwóch braci, Edwarda i Eustachego, z którymi dzieliłem wszelkie uciechy, to wszystko składało się obficie i bezprzestannie na szczęście dziecinnego wieku mojego. Ale czemuż jest szczęście dziecinne? Snem miłym, czuciem niezupełnem. Szczęśliwe dziecię jest w pewnym stanie upojenia; nie wie kiedy się jego szczęście zaczęło, nie myśli żeby się kiedy skończyć mogło. Czucie dziecięcia nie wystarcza na ocenienie roskoszy tego upojenia, jak zmysły jego nie wystarczają na objęcie otaczających przedmiotów. Wzrastając, dziecię pogardza szczęściem dziecinnego wieku, radeby się

wymknąć ze swego ogródka na pole, na świat cały; dopiero gdy drzwi do tego ogródka zamknięte na zawsze, oczami pamięci zagląda do niego przez szpary zapomnienia, i zazdrości tego szczęścia, któremu się dopiero co z całej siły wydzierał — a jakby za karę, tyle tylko ze szczęścia swego pamięta, jak gdyby je prześnił.

I ja też pamiętam tylko kilka silniejszych wrażeń wieku dziecięcego, co mi już tylko szmerem o dległym, dźwiękiem, którego ucho nie odgadnie, pięknnością, której oko nie dogoni. Pamiętam, że będąc dzieckiem było mi bardzo dobrze; nie pamiętam żeby mię w pierwszych latach co kiedy zabolało, nie pamiętam dziecięcego płaczu: pamiętam że zawsze u nas było pięknie, huczno, wesoło, dużo gości, owoców, kwiatów, koni, psów, strzelania, zabawek; nie pamiętam żeby kiedy było nudno, pusto w naszym domu; nie pamiętam nawet żeby mi kiedy było zimno, chociaż często lataliśmy po śniegu w trzewikach, i nie raz próbując czy szron mocny wpadło się w śnieg po uszy; pamiętam, że z rycerską postawą prawiliśmy wiersz Krasickiego, *Święta miłości kochanej Ojczyzny!* a później nieco jak się zobaczyło Moskala, to zęby same zgrzytnęły, kułak się sam ścisnął.

Pierwsze lata moje przebrzmiały roskoszną pieśnią, której już pamięć dokładnie schwycić nie może; w tej niepamięci utonęły nawet pierwsze pieśszoty matki! Najdawniejszą rzeczą, którą z dzieciństwa zapamiętam, była to uczta wielka u mojej babki; a z tej uczty pamiętam tylko jasność wielką, szum i hałas huczny, i to, że nasza matka była tam ubrana w axamitną, amarantową suknię z ogonem, na którym siadaliśmy, a matka bawiła się z nami, ciągnąc nas po posadzce jak po lodzie: musiałem mieć wtedy lat ze dwa.

Ojciec wychowywał nas po staropolsku. Od dzieciństwa hartował na zimno i gorąco; zimą i latem lataliśmy po podwórzu bez czapek, bez chustek na szyi, w trzewikach — uczyliśmy się strzelać z krucicy, z wiatrówki, a potem ze strzelby, biliśmy się w palcaty,

jeździliśmy konno, a owe harce odbywaliśmy codziennie po śniadaniu i po obiedzie w obec zgromadzonych gości, i jak najuroczyściej.

Przyprowadzano dwa kucyki kasztanowate, z których jeden był mój, drugi mego brata Edwarda. Sądano nas na te kucyki oklep, dano cugle w ręce, pozamykano bramy od dziedzińca, żeby kuce do stajni nie uciekały, i dopiero pouczano nas, i dopiero w koło dziedzińca jeden za drugim uwijaliśmy, a charty wybrykując i płatając się pomiędzy konie, im ochoty a nam strachu dodawały. Więc ja groziłem wrzeszcząc że spadnę, a ojciec odpowiadał — „trzymaj się malcze za grzywę.“ — Wypociwszy się z godzinę, więcej od strachu jak od zmęczenia, zsiadłem z wielką radością, albowiem w dzieciństwie byłem wielki tchórz do konia. Nie raz, przychodzi siadać na kuce, kuce dawno przed gankiem, goście dawno na ganku; wołają po wszystkich pokojach, po całym ogrodzie, Olesiu, Olesiu! aż po długiem szukaniu wyciągają Olesia z agrestu, prowadzą jak zbiega; Oleś płacze ze wstydu i ze strachu, zaręcza że spadnie; nic nie pomaga, wysmieją go, wyłają, i dalej na kuca. Aż wkrótce mój kuc zdycha. Donoszą mi ostróżnie o tem nieszczęściu, i za to że kuc zdechł dostałem w podarunku nożyk. Cieszę się nożykiem, ale więcej jeszcze cieszę się tem że kucyk zdechł, i myślę sobie, aha! już nie będę jeździł. Nie długo używałem tej podwójnej uciechy. Probuję otworzyć nożyk, nie mogę, więc zębami — otwieram — nożyk wymyka się i łapie mnie za wargę — więc naturalnie z płaczem wielkim latam w strachu wielkim, dopóki mię z tego nożyka nie wypuszczono; ile razy zdarzyło mi się widzieć Flet czarnoksieżki Mozarta, zawsze Papageno z ustami zamkniętymi na kłódkę, przypominał mi mój nożyk — odebrano nożyk, a co gorsza powiedziano mi nazajutrz, że przyprowadzili nowego kucyka srokatego, że ten nowy kucyk będzie Edwarda, a Edwarda kucyk będzie mój. Było tedy znowu dwa kucyki, mój leniwy, Edwarda bardzo żwawy, a że był bardzo mały, więc każdemu słusznemu

jeźdźcowi wymykał się, tak że mało kto mógł na nim dosiedzieć. Bałem go się okrutnie. Pewnego razu ojciec powiada — „dziś będziesz jeździć na srokatym“ — oczewiście podług starego zwyczaju zmykam do ogrodu, przypadam po krzakach jak zając; ale wytropili, wyciągają, prowadzą; idę jak na ścięcie; daremnie obiecują cukierków i krucicę, daremnie rozpowiadają mi coś o Alexandrze Wielkim i o Bucefale; ja odpowiadam, że ja nie wielki ale mały — „to też i Bucefał mały, siadaj malcze.“ Sadzają, wydieram się, posadzili; slizko mi jak by kto kuca namydlił; ja chcę stępa, koń w kłus, a potem w czwał leci za drugim kucem w koło dziedzińca; dziwię się że nie spadam, nie rozumiem że nie spadam, zaczynam się bać że nie spadam; więc myślę sobie: spadnę przed gankiem, to rozczulę papę, i już nie będę więcej jeździł; krzyczę padam! padam! i spadłem — kuc pobiegł — leżę — podnoszą mię; patrzę, aż mnie nic nie boli i cały jestem. Ojciec mówi — „widzisz żeś nie szklanny“ — przyprowadzają kuca drugi raz — „Siadaj malcze“ — musiałem — znowu jadę, i myślę sobie, kiedy to nie boli spadać, to jeszcze raz spadnę — spadam znowu przed gankiem. Nic nie pomaga, sadzają raz trzeci — widzę że źle, jak zacznę się trzymać a uganiać w koło dziedzińca, jak się rozzuchwałę na koniu, tak odtąd nigdy już nie spadłem; odtąd jeździłem śmiało, potem wyszedłem na tęgiego jeźdźca, a tego dnia dostałem mnóstwo cukierków, krucicę i nowy łuk.

Odtąd już raz tylko koń mi napędził strachu, ale jakiego strachu! Już wyjeżdżałem był i za bramę i za wieś. Otóż raz mój ojciec wyjeżdżał konno, oglądać stado pasące się na obszernym rozłogu nad Bohem; ja z papą pojedę, ja pojedę z papą; zacząłem się napierać — „zlecisz, daleko na ciebie“ — nic nie pomagało, napieram się znowu — „no pojedziesz ale się dobrze trzymaj“ — dopóki przez wieś szło doskonale, męczę kuca — „nie męcz go bo się rozbryka“ — nic nie pomaga, męczę; aż przybliżamy się do stada; konie stadne zaczynają w około nas hulać; ach! jak zacznie

mój kuc brykać! stado rozbiegło się, kuc za końmi jak zacznie latać po całym rozłogu; a tu z jednej strony rzeka ze skalistym wysokim brzegiem, z drugiej strony las; już widzę że mnie zabije albo utopi; oto krzyczałem! a kuc coraz mocniej sadzi, i pędzi po nad samą rzekę; spójrzę na dół, a tam woda po skałach kipi; spójrzę na prawo czy na lewo, a tu góry i lasy uciekają, a kuc pędzi; ręce mi omdlały, puściłem cugle, cugle spłynęły po karku; kuc jeszcze bardziej pędzi, a takiego pędu już nigdy w życiu nie czułem, ani na najlepszych biegunach ani na żelaznej drodze; pęd zamknął mi piersi, strach oczy przewrócił, wszystko mi się widzi do góry nogami, nakoniec nic nie widzę a tylko słyszę głos mego ojca — „trzymaj się za grzywę!” — gdzie tu się trzymać — rozkrzyżowałem ręce, zacząłem mówić *Zdrowaś Marya*, i już już miałem omdleć zupełnie, kiedy nasz poczciwy rządcza Krasicki kuca schwycił i zatrzymał. Dopieroż ja z konia na ziemię i w nogi. Złapali mię łatwiej jak kuca; ojciec dodał odwagi mówiąc, że się tego trzymał, i że kiedy teraz nie spadłem, to już nigdy nie spadnę; nauczył że kiedy koń ponosi, trzeba mu trzeźłą pysk piłować i zwracać na jedną stronę; ośmielony siadam na kuca, zaczynam mu pysk piłować, kuc widzi że nie żarty, więc stępą aż do domu zawiózł. Miałemże co rozpowiadać i mamie i braciom i gościom.

Do strzelania, biegania, grania w piłkę, byłem zuch wielki; a że przytem wszystkiem byłem bardzo powolny, lubiłem towarzystwo starszych i książki, nazywano mnie filozofem; ale filozof lubił czasem psie figle. Eustachy mój brat młodszy bał się gdzie ciemno, a ja gasiłem świece i straszyłem go wilkami; raz zakradłszy się do sypialnego pokoju mego ojca dorwałem się strzelby nabitęj, zsypuję proch z panewki, i z panem Eustachym nuż kłapać; aż tu jak huknie strzelba, jak mnie trąci — strach dopomógł, wywracam się, walę Eustachego — wpadają wszyscy; my leżymy, kotara pali się, a ja krzyczę że strzelba sama wystrzeliła i nas zabiła — nuż nas trzeźwić, nuż kotarę gasić — wszystko

szczęśliwie się ukończyło, nas wskrzeszono, kotarę zgąszono, różgą niedostałem.

Wkrótce potem gdy się wybierano na wielkie janie polowanie, zająłem na stole w pierwszym pokoju parę kordelasów, więc chap za kordelasy i na dziedziniec do braci strzelających z łuku; dobywam kordelasów, probuję, ostre aż strach; a że zawsze było między nami współubieganie się, kto lepiej strzela, kto dalej rzuci kamyczkiem, i nie raz ztąd dostało się oknom, kto nową sztukę albo lepszego figla wymyśli; więc ja mówię do braci, kto głębiej a od razu kordelas w ziemię wbije? wyzwanie moje utrzymało się jednomyślnie; ten dobrze, ten jeszcze lepiej — ten dobrze, ten jeszcze lepiej; aż nakoniec jak dobędę wszystkich sił moich, jak podniosę kordelas oburącz, jak palnę się w nogę wyżej palców; przybiłem się do ziemi tak, że ani rusz; bólu nie pamiętam, ale ze strachu skamieniałem, stoję jak posąg; bracia w płacz, krzyczą: mamó, Oleś zabił się! — Co też tam było płaczu! a co się krwi mojej wylało, toby mi wystarczyło na kilka bitew z Moskalami — obwinęli nogę, zgoiła się, ale znak dziecięcej mądrości pozostał na zawsze.

Tyle było główniejszych przypadków i niebezpieczeństw w dzieciństwie mojem.

Kto mię uczył czytać i pisać, kto paplać po francuzku, nie pamiętam. Pierwszy nauczyciel którego pamiętam, był zacny ksiądz Skiba bazylian, człowiek poważny i miły; bardzo się z nami obchodził słodko; uczył nas bardzo dobrze; nauka religii nie ostatnie też miała miejsce.

Nigdy tego nie zapomnę, że pierwsze łzy rozrzewnienia wzbudziła we mnie męka Chrystusowa. Ksiądz Skiba nam ją opowiadał, z nim rozpamiętywaliśmy zawsze ten święty przedmiot w ciągu wielkiego tygodnia, i zawsze płakałem jak bóbr. Szczęśliwy kto pierwszą łzę swoją zaofiaruje Panu Bogu, łaska Boska wspierać go będzie, i byle tylko potem nie pogardził tą łaską, szczęśliwy będzie na całe życie i na wieki. O! gdyby to można zachować na zawsze dziecięnną czułość i cnotę.

Ksiądz Skiba wyuczył nas służyć do mszy; ofiara mszy świętej, wzbudza tajemnicze poszanowanie i w tych nawet co jej dobrze nie rozumieją: pierwszy raz służąc do mszy, byłem mocno wzruszony, uczestnictwo do tej świętej ofiary, przejmowało mię niepojętem uczuciem które mię nad dziecko wynosiło; była to jedna ze stanowczych chwil w życiu mojem.

Po mszy Józef Borzęcki mieszkający wówczas w domu moich rodziców, dał mi w nagrodę bardzo piękne i doskonałe jabłko, a tak pamiętam urodę i smak tego jabłka, jakbym jadł je w tej chwili. Ten pan Józef Borzęcki był wujem młodych Lipkowskich, sąsiadów, rowienników, później towarzyszy szkolnych i przyjaciół naszych; poważny już wiekiem, był siły i czerstwości niesłychanej, miły w towarzystwie, doskonały myśliwy, wesół zawsze i krotofilny, uprzyjemniał nam bardzo rozmaitemi figlami wiek dzieciństwa naszego, a później młodości naszej. — On nas sadzał na konie, on sam nabijał krucice, on nas uczył skakać i biegać, on nas na rękę często wszystkich trzech przynosił śpiących od znużenia długą przechadzką po górach i skałach, on mi otworzył nożyk który mi usta przytknął, on mi wyjął kindżał którym się do ziemi przybiłem; czemuż, zawdzięczając mu tej przychylności, niedostało mi się odbić moskiewskich grotów co ugodziły w pierś jego, gdy we dwadzieścia lat później obok mnie zginął śmiercią bohatera, i tym przykładem zapieczętował nauki, które nam od dzieciństwa dawał życiem pocziwem a Bogu i ludziom miłem.

Do lat dziesięciu życie mi upływało w dziecinnych rokoszach; zdawało się że nie go nie zachmurzy a nawet nie zmieni, że zawsze będę z rodzicami, z braćmi i małą siostrzyczką, że zawsze pracą moją będzie nietrudna nauka, a powołaniem wesola zabawa i figle niewinne. Aż raptem zrobiło się pusto w domu, tęskno na sercu; przyszedł płacz zasmucenia i podobno już aż

do grobu nawiedzać będzie. Ojca w domu nie było, matka wyjeżdżała gdzieś na długo — Odprowadziliśmy matkę do przewozu, przewieźliśmy się z nią na drugą stronę Bohu; czas był wietrzny i ponury, coś straszego działo mi się na sercu — matka długo płakała, długo nas żegnała, odjechawszy cokolwiek, zawróciła się, znowu nas całowała i gorzkimi łzami paliła nam lica; a jak powiedziała — „nie prędko ja was zobaczę“ — zemdląca. Myśmy płakali niezmiernie, jeden wołał: zostań mamę z nami, drugi: weź nas z sobą!

Wróciliśmy we łzach do pustego domu, zrobiło się nam smutno, straszno. Ojciec był wtedy w urzędowaniu, jeździł często do Kamieńca, mało kiedy w domu przebywał, a także był smutny i polował więcej jak zawsze. Raz w zimie pojechał na wilki z chartami; długośmy się go doczekać nie mogli, nakoniec późno wieczorem, usłyszeliśmy głos jego przed gankiem; głosił jak zawsze zawołał na ludzi; głos ten przeniknął mnie przeczuciem nieszczęścia, wybiegli ludzie i wnieśli mego ojca mocno potłuczonego; myśmy się bardzo potrwożyli; niebezpieczeństwa nie było, jednakże ojciec mój cierpiał mocno i długo. Nieszczęście to dodawało nam smutku; w smutku przeżyliśmy rok cały oglądając się jeden na drugiego, jak gdybyśmy szukali gdzie się nam szczęście podziało.

Nadchodził nowy przedział mojego życia; miano nas odwieźć do szkół. Gotowano się na tę wyprawę niezwykłym sposobem; zaczęto nam przysposabiać nową pościel, nową bieliznę, nowych sukni mnóstwo; bawiło to nas trochę, ale co nas uszczęśliwiło zupełnie, to powrót matki. Co było serdecznej radości, rokosznych płasów, szczebiotliwej rozmowy, a wszyscy razem, tego opisać niepodobna; z siostrzyczką która też z matką, wróciła, bawiliśmy się jak ze śliczną laleczką, przypatrując się jój jak obrazkowi jakiemu. Tego szczęścia było tylko parę miesięcy; bo kiedy już wszystko było gotowe, kiedy ksiądz Skiba wyuczył nas doskonale, kiedy odbyliśmy przed gośćmi próbę popisów, ojciec i

ksiądz Skiba odwieźli nas do szkół do Winnicy. Miałem wtedy rok jedenasty. Zapewne że wyjeżdżając z domu, żegnając się z matką płakało się, ale nie bardzo, bo nam obiecali że będziemy często jeździć do domu, że do nas będą często przyjeżdżać, bośmy się dobrze uczyli, bo nadewszystko byliśmy ciekawi, jak też to tam w szkołach.



ROZDZIAŁ II.

SZKOŁY W WINNICY.

Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych gdzie była taka jak my dziatwa, wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomniało się o szkołach. Zbliżamy się do miasta; widzimy ogromny gmach jakiś; myślimy sobie, musi tam być wiele dzieci, oto będziemy się bawić; pytamy:

— „Papo, a wstąpimy tu?“

— „Wstąpimy.“

— „A dużo tam chłopców?“

— „Dużo.“

— „A jak się ten pan nazywa co tam mieszka?“

— „Gimnazyum.“

Otóż masz — pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na pośępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, łzy się pokręciły; żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczyma: źle, ale cóż robić? wjeżdżamy do miasta, paskudne — prowadzą nas nazajutrz do szkół — szkoły brudne, po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

W tém dzwonią; z milion chłopaków wylatuje z klasy i nuż w perewerty; wesoło krzyczą, i nam poweselało, radzibyśmy się wyrwać do malców i pokazać

im co to i my figłów umiemy, ale nie można, więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

— „Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół?”
a nauczyciel łaciny i greczyzny Jagiełło, nieproszony odpowiada:

„Jak odbędziecie popisy.“

— „Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.“

— „Da się to widzieć.“

Przyszło do popisów: straszniejsze były w domu, myślimy sobie; ksiądz Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się — popisaliśmy się doskonale; Edwarda i mnie przyjęto do trzeciej klasy, Eustachego do drugiej.

Było to w sobotę: w poniedziałek już mieliśmy się wprowadzić na mieszkanie właśnie do pana Jagiełły; niedzielę mieliśmy jeszcze do pohulania.

W niedzielę rano, ojciec mówi:

— „No chłopcy, poubierać mi się dziś czysto, pójdziecie ze mną do Szczeniowskiego na obiad: a tam po obiedzie grzecznie się bawić.“

— „A są tam dzieci?”

— „Jest dziewczynka ładna i grzeczna.“

Poubieraliśmy się ślicznie, ojciec każdemu poprawił czuprynę aż świeczki w oczach stanęły; ruszamy z tęgą postawą już po odbytych popisach. Przychodzimy: w pierwszym pokoju powitał nas poważny a bardzo wesoły starzec; był to Szczeniowski, wówczas dozorca gimnazjum Winnickiego, dawniej prezes jakichś sądów, jeszcze dawniej poseł na kilka sejmów i na sejm czteroletni. Z każdego sejmu dla braci szlachty mnóstwo łask królewskich ponawoził, dla siebie żadnej nie przyjął; poobwieszał szlachtę orderami, obsypał tytułami, obdarował starostwami, a sam dla ojczyzny wszystko poświęcał, lecz od niej niczego nie żądał, a sam błyszczał tylko cnotą i zasługą, nie mówiąc nigdy ni o jednej, ni o drugiej. To też doczekał wesołej starości, co się nie smuci żadnem nieszczęściem, bo ufa w Opatrzność Boską i spokojnie czeka Jéj sądu.

— „Przedstawiam ci moich chłopaków.“

— „Żwawe chłopcy; a to wnuczęta moje.“

I zaczął wywodzić po mistrzowsku długi rodowód, którego nie pamiętam wcale, choć go bardzo często potem powtarzał; a kończąc ten wywód znowu nazwał nas wnukami.

— „Kiedy my wnuki, to pan dziadunio.“

— „Mądre chłopcy, żwawe chłopcy.“

Odtąd tedy jużesmy nowego dziadunia, dziaduniem zawsze nazywali. Wprowadził nas do bawialnego pokoju, wskazał na żonę — „Oto wasza baba“ — wskazał na nas — „oto twoje wnuki“ — więc po kolei cmok babunię w rękę. Aż tu z drugiego pokoju wybiega dziewczynka aniołeczek; stanęła, popatrzała i schowała się: znowu stanęła we drzwiach, i już się nachyliła do pierwszego poskoku; biała sukienka kołysała się z lekka, na prawej nóżce stoi, lewą jeszcze dotyka ziemi jak gdyby tylko na to żeby jój nie zgubiła, rączki na pół podniesione jak gdyby do latania zrywać się miała, włoski jasnozłote jeszcze nie spoczęły w pędzie którym goniły za łabędzią szyjką, a błękitne duże oczki mówiły: mamო zawołaj mnie. Matka dała znak, a dziewczynka błysnęła przez pokój i tuż przy matce stanęła, patrząc to na nią, to na ojca, to na nas. Ojciec skończywszy opowiadać coś zabawnego, mówi — „Xawerko, przedstawiam ci twoich siostrzeńców“. — Ciocia wyciągnęła nam rączkę, my powiadamy że mamy taką siostrzyczkę i całujemy ją w buzię; powiedzieli nam że to nie siostrzyczka ale ciocia, a dziadunio wypalił nam naukę bardzo wesołą o uszanowaniu jakie się należy starszym, niewiastom i ciociom. Bawiliśmy się z ciocią grzecznie, cały dzień aż do wieczora. Wieczorem kazali nam tańczyć; umiałem tańczyć doskonale, bośmy mieli tanecmistrza w domu przez cały rok; ciocia choć malutka jeszcze, ślicznie tańcowała; byliśmy z siebie wzajem radzi radością dziecinną, odtąd szukaliśmy się zawsze do tańca, a ja dziadunia aż w rękę pocałowałem gdy mi powiedział, że będziem do niego przychodzić co niedziela, jeśli się będziem dobrze uczyć. Ta obietnica nie mało mi pomogła do dobrej nauki.

Nazajutrz oddano nas już do szkół — stanęliśmy

u pana Jagiełły. Zamoźniejsi rodzice oddawali swoje dzieci do nauczycieli gimnazyum, mniej zamożni do nauczycieli klas niższych, a najmniej zamożni mieszcili je jak mogli po domach mieszczan, w częściach miasta, z których jedna nazywała się przedmieściem Jezui-ckiem, druga przedmieściem Dominikańskim, podług tego do jakiego probostwa dawniej należała.

Gimnazyum i szkoły były umieszczone w dawnych gmachach pojezuickich, nauczyciele mieszkali bardzo wygodnie w dawnym ogromnym klasztorze, a konie ich stały w spustoszonej ogromnym kościele. Było kilka wielkich dziedzińców dla zabawy uczniów; na jednym z tych dziedzińców stały osobno dwa gmachy, z których w pierwszym mieściły się klasy niższe, w drugim klasy gimnazyalne. Klasa trzecia, do której byłem przyjęty, należała już do klas wyższych.

Klasy wyższe miały innych nauczycieli, niższe innych. Klasy wyższe wynosiły się nad niższe, ztąd w lecie rodziły się niesnaski, a w zimie toczyła się wojna na śnieżki, zwykle między pierwszą a drugim dzwonieniem, to jest, między pierwszą a drugą po obiedzie. Z jednej i drugiej strony, zbierają się niesforne gromady, sposobią zasób wojenny, to jest stopy śnieżek. Niecierpliwsi wybiegają naprzód, i z niecierpliwymi drugiej strony, staczają bój pojedynczy; stopniami zapala się bitwa powszechna, najzażartsza. Słabsi celniejszym strzelcom podają śnieżki: krzyk, hałas niesłychany. Chmury śnieżek krzyżują się straszliwym pędem, śniegowe bomby warczą i pękają na mężnych piersiach, ten je odbija teką, co mu puklerzem, ten nieustraszony chwytą bombę w powietrzu i zdwojonym pędem zwraca, temu wrzeszczącemu malcowi śnieżka gębę zamknęła, oczy zabryzgała, idzie malec do klasy jak do szpitala; tam znowu wdarła się w zanadrze rozchłystanemu bimbasowi i oziębła dalszą ochotę do wojny. Wrzawa, zamieszanie, walka się wzmacnia, wściekłości przyrasta; już nie ma śnieżek, to śnieg garsciami rzucając strony zbliżają się; już, już przy sobie, już, już rozdzierać się mają; w tem dzwonią raz drugi

i w mgnieniu oka, bój ustał, wojska walczące zniknęły, już w ławkach; już wchodzi nauczyciel, już przemienęła zawziętość i strach wojny, a panuje bez zawziętości strach nauki.

Naprzód czytają spis uczniów, żeby wiedzieć, kogo nie ma; nieraz uczeń odezwał się za nieobecnego współucznia, i uszło, nigdy nie wydano tego oszukania: czasem sam nauczyciel spostrzegł oszukanie, powtórzył raz drugi i trzeci podejrzone nazwisko, kazał wyjść na środek, nie ma; dziatwa w śmiech, a ten co się za drugiego odzywał nie znalazł się nigdy.

Po odczytaniu spisu, następowało słuchanie nauki; dopiero nowe sztuki zaczynały się, w niższych klasach podpowiadanie, w wyższych czytanie z książki lub z zeszytu, tak żeby nauczyciel nie spostrzegł; różnie się udawało, a byli tacy co źle się uczyli, a doskonale popisywali się czytając aż z trzeciej ławki. Jednakże uczniowie zawsze wiedzieli, kto osieł a kto najlepiej się uczy, tak jak żołnierze wiedzą najlepiej, kto tchórz a kto najmężniejszy; więc pomimo tych figlów, na które nauczyciele częstokroć przez szpary patrzali, było współubieganie się, i uczniowie uczyli się dobrze. Kiedy przyszło na ochotnika wypalić jakie wiersze lub nowe zadanie powtórzyć przy tablicy, to połowa klasy zrywała się, wrzeszcząc — „ja panie, ja panie!“ — a prawą rękę jeden nad drugiego wynosząc, malce przebierali palcami dopóki nauczyciel nie wybrał. Wybrany wypiszczął odę lub bajkę, wyrysował na tablicy kwadratowe koło, lub okrągły trójkąt, wyrachował że dwa a dwa cztery, i wracał na miejsce z radością pewnie serdeczniejszą od téj, jakiej dozna później wśród najlepszego powodzenia, bo niewinne serce jego nie zna ni dumy, ni zazdrości.

W klasach niższych bywało po stu-kilkudziesięciu uczniów, w wyższych coraz mniej. We wszystkich klasach aż do piątej, byli uczniowie wybierani z najpilniejszych, do wysłuchania każdy kilku uczniów i naznaczenia w spisie, kto umiał, a kto nieumiał. Urzędy te były bardzo zaszczytne, ubiegano się o nie. Był jeszcze w pierwszych czterech klasach, urząd przestrzegaczy oby-

czajów — wzbraniali oni swawoli, strzegli porządku w szkole, i donosili przełożonym o przekroczeniach uczniów. Urząd ten był w nienawiści u wszystkich, nazywano przestrzegacza podłym, pogardzano nim i nikt nie chciał podejmować się tego urzędu, bo za nim szły zawsze potężne guzy. Powinien być dozór w szkole, ale nie należy go powierzać równym, bo ztąd pierwszy początek zepsucia; z jednej strony rodzi się nienawiść, z drugiej zemsta, z obydwóch stron fałszywość i chytryść.

W ogólności ze szkół Winnickich wychodzili uczniowie dobrze usposobieni, i odznaczali się później w uniwersytetach. Nauka uczniów zależała od nauczycieli; jak tylko nauczyciel był zdatny a nie żminda, surowy a przystępny, to go uczniowie lubili, i chętniej uczyli się jego przedmiotu. Uczono się dobrze matematyki, bo pan Miładowski, w klasie bardzo srogi, za klasą, z uczniami grał w piłkę, wymyślał im rozmaite rozrywki, a w niedzielę podczas mszy grywał z nimi na chórze. Uczono się bardzo dobrze dziejów i prawa, bo pan Uldyński poważny w szkole, dzieciom w zabawach przewodził, po wieczorynkach z nimi tańcował, kazał odmawiać zadania swojemi słowami, nie miewał przestrzegaczy. Zabrano nam kochanego Uldyńskiego do Krzemieńca, przysłano na jego miejsce basalyka, a uczniowie nie umieli ani dziejów ani prawa, a zaczęli się lepiej przykładać do literatury polskiej, kiedy do jój wykładania przybył nowy nauczyciel Styczyński.

Inni nauczyciele klas wyższych byli nie najgorsi, ale nauczyciele języków byli to zawsze jacyś dziwacy, zamiast szacunku wzbudzający śmieszność; a uczniowie najmniejszą śmieszność dostrzegą, najmniejszą wadę albo zły postępek nauczyciela odkryją, rozgłoszą, i już po nim. To też języków mało co się uczono, a po moskiewsku wcale nic. Co do moskiewskiego języka, tośmy się go nie uczyli z nienawiści ku Moskwie; był zwyczaj chodzić na ten język z klas wyższych do najniższej, a nauczycielowi ostro się stawić i figle płatać; i jakoś to wszystko uchodziło.

Do rzędu najśmieszniejszych istot na świecie na-

leżał nauczyciel nauki obyczajów, w pierwszej i drugiej klasie.

Dzwonią do szkoły, wytacza się w czerwonej szubie; rój malców na około niego uwija krzycząc, pali się, pali się! Jedni papierki albo ogony do szuby, przypinają, drudzy obrywają te papierki niby z przychylności, a tak że aż się szuba zatacza; i tak go przez cały dziedziniec prowadzą; wchodzi do klasy, po łupinkach od orzechów i co krok tysiąc nowych figlów napotyka; zawsze pół godziny stracił na łajanie i karanie uczniów a zawsze bez skutku, bo uczniowie wiedzieli, że pan nauczyciel nauki obyczajów lubił kubany, że ludziom swoim jeść nie dawał, że kiedy mu chłopiec, którego mu ktoś darował, raz był uciekł, to złapawszy go a chcąc naznaczyć, kazał cyrulikowi żydowi aby mu spuścił włosy bardzo krótko i niby przez nieostrożność ucho uciął i t. p. I takiego to pana nauczyciela cierpiano, bo miał tylko parę lat do pozyskania wysłużonego chleba.

Przełożony gimnazyum Zajączkowski, był człowiek bardzo zacny, z uczniami obchodził się jak surowy ojciec, ale jak ojciec.

Duszą gimnazyum Winnickiego był jego zwierzchnik ksiądz kanonik Maciejowski, pijar, mąż wielce uczony, okazały postawą, szanowny pobożnością i wiekiem. On wlewał duchem swoim gorliwość w nauczycieli, pilność w uczniów, on oświecał ich sumienie i był stróżem ich duszy, on nauczał religii w klasach i w kościele, on zaprowadził zbawienny zwyczaj zaczynania pierwszej nauki od modlitwy, i kończenia ostatniej w dniu każdym modlitwą; on nakazał i pilnował aby uczniowie spowiadali się co trzy miesiące, a sam przygotowywał ich do spowiedzi wielkonocnej przez bardzo przykładowe rozpamiętywania duchowe. Gorliwy kapłan, wymowny i serdeczny nauczyciel, poważny dobrym przykładem zwierzchnik, odpowiadał on zupełnie powołaniu swojemu. Nieszczęsny kto był głuchy na głos takiego mistrza, nie będzie mógł powiedzieć w dzień sądu: nie miałem ktoby mię nauczał.

Taki był ówczesny obraz nauczycieli i uczniów składających gimnazyum winnickie.

Nasz nauczyciel Jagiełło był człowiek nie bardzo zabawny, ale poważny, słodki i pilny w nauczaniu; wiele umiał, wiele z nami pracował, pilnował nas dobrze; przy takim dozorze w domu, przy współubieganiu się w szkole, a nadewszystko przy pamięci na ową obietnicę dziadunia, uczyłem się nie źle, mianowicie miałem zdatność do nauk ścisłych.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, a z niemi popisy i porachunek szkolnych postępów: popisy przeszły jako tako; ale ten porachunek.....

Zbierają się uczniowie do największej izby; nie ma ławek, a tylko stół wielki i krzesła dla nauczycieli. Uczniowie w oczekiwaniu jak na wyrok śmierci, cicho stoją, na klasy jak na hufce podzieleni. Otwierają podwoje: wspaniałym pochodem wchodzi zwierzchnik z dozorcą gimnazyalnym, za nimi nauczyciele w litój odzieży; zasiadają w milczeniu. Zwierzchnik stosowną przemową zagaja posiedzenie; jeden z nauczycieli zaczyna czytać imiona uczniów do pochwały z każdej klasy osobno, zaczynając od pierwszej. Uczniowie chwaleni szykowali się na środku, zwierzchnik przemawiał do nich w sposób pochlebny i zachęcający, a malce z rozpromienionemi twarzyczkami wracali do swoich. Wywołują następnie do nagany. Najstarsi wiekiem najczęściej na nią zasługiwali; ciągną się jak woły, stają rzędem, a wysłuchawszy cierpkie napomnienie, nie jeden rozplakawszy się wracał łyzy gorzkie ocierać postanowieniem poprawy. — Aż tu do nagany z obyczajów 2giej klasy wołają, Eustachy Jełowicki: krew zakłapała we mnie jak gdyby mię kto ukropem sparzył; zacząjony patrzę co to z tego będzie: pan Eustachy wychodzi czupurnie, potrójnym ukłonem wita nauczycieli i współuczniów, występuje dalej jak na środek, znowu się kłania, dopóki mu zwierzchnik nie przerwał:

— „A czego się tak kłaniasz?”

— „Bo jestem obyczajny.“

„A ty malcze jeszcze krnąbrny, patrzcie go! takiego ojca syn, a czyż ty nie boisz się zakrwawić jego serca?“

W tem Eustachy połą od mundurka potrząsa, dając znak współswawolnikom, jak to on tęgo słucha nagany.

— „A co tam robisz?“

— „Chustki szukam“ — i parsknął od śmiechu. Eustachy był bardzo sprytny, uczył się dobrze, lecz temu dziwakowi nauczycielowi najwięcej płatał figlów, i za to ganili. Zwierzchnik czuł że Eustachy nie wart był nagany, więc skończył przestrogę łagodnie, mówiąc — „idź, zakryj swój wstyd, a popraw się.“ — Eustachy znowu się w koło obkłonił i wróciwszy, bundiucznie stanął na czele malców; a malce potem gądali, oto tęgi!

Przyszła kolęj na klasę trzecią — zadrzałem — chęć pochwały a bardziej obawa nagany objęły mię takim strachem, jak gdyby mię kto nad przepaścią trzymał i co chwila miał puścić. Pochwały nie spodziewałem się wcale, bo sumienie własne, ten najsurowszy sędzia, policzył i postawił mi przed oczy wszystkie nieumiane zadania, niedopełnione ćwiczenia. Schowałem się za wszystkich uczniów, radbym się był pod ziemię schował: aż tu wywołują mię do pochwały — uszom moim nie wierzę; wołają raz drugi, wysuwam się nieśmiało, a zwierzchnik chwali jeszcze i za to żem skromny. Tak to trudno rozpoznać uczucie człowieka. Pochwała miała wielki wpływ na mnie, przekonałem się że nie święci garnki lepia i podwoilem pilność moję.

Przybywszy do Winnicy z dobrimi zasadami pobożności, rozwijałem ją pod sterem zacnego przewodnika naszego. Nauki religii słuchałem zawsze z upragnieniem, a jak ksiądz Maciejowski nauczał nas o szczególniejszej opiece Najświętszej Panny nad dźiatwą i młodziezą, nad całym narodem polskim który Ją sobie obrał za Królowę, wstąpiło we mnie tak silne ufanie w Jęj łaskę, że do Nięj uciekałem się w każdym utrapieniu, do Nięj ze wszelką prośbą, z każdym

ślubem dziecinnym a potem i młodzieńczym, Jój ofiarowałem wszelką zasługę moję, i zawsze było mi czysto w myśli, wesoło na sercu; Ona mię uchowała od wielkiego upadku, dając mi ową ciotcę moję za prawdziwego anioła stróża. Przywiązywałem się coraz mocniej do milutkiej, słiczniutkiej ciotci, a ciągała myśl o niej odwracała mię potężnie od wielu rzeczy których bym się wstydził przed nią. Tak to dobroć Boska używa tysięcznych sposobów do utwierdzania w dobrem, młodzież chwiejącą się od wiatru zepsucia. A w szkołach jest wiele zepsucia, a przełożeni w ogólności nie dosyć strzegą od niego; nie wiedzą że trudniej jest ustrzedz od złego jak nauczyć dobrego, zapominają że w publicznem wychowaniu, na główném baczeniu ukształcenie duszy mieć trzeba, bo trudniej na świecie o cnotę jak o naukę, a cnota potrzebniejsza.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, a z niemi parę tygodni wolnych od nauki. Rodzice jedni poprzyjeżdżali, drudzy poprzysyłali po dzieci; i w mgnieniu oka jakby wymiotti, nie ma nikogo. W murach pusto, a my na darmo wyglądamy przez okna, czy nie przyjedzie kto po nas? Trudno było osłodzić tęsknotę za domem. Rodzice nasi mało kiedy brali nas do siebie na święta, chcieli żebyśmy się i podczas świąt uczyli; chcieli dobrze ale źle czynili, bo w czasie świąt nie uczą się uczniowie, nie uczą nauczyciele, a nam i rodzicom naszym nie było pociechy. Ojcowie i matki! nacieszajcie się dziećmi dopóki dzieci, bo jak podrosną a burza ojczyzny porwie i rozniesie je po świecie, to już nie zbierzecie ich nigdy w około siebie, a tylko zostanie żal żeście sami nie używali i dzieciom skąpili szczęścia dopóki było. Ojcowie i matki! zgromadzajcie około siebie dziatwę waszą póki czas, bo wy im najlepszym nauczycielem, najlepszym wzorem.

Zawitała wiosna, a z nią nowe roskosze uczniom; ustała wojna na śnieżki, a zaczynała się wojna w piłki; ustały ślizgawki, a zaczynały się dalekie przechadzki i gry rozliczne. Pierwszego i ostatniego Maja była

całodzienna majowa pohulanka. Wszyscy uczniowie ze wszystkimi nauczycielami, z muzyką i z jakimiś zawsze chorągiewkami na czele, wyruszali z murów przez miasto do lasu, porządnym pochodem. Kto mógł jechał po przedzie na koniu, i to już było najwyższe szczęście, bo mu się zdawało że on dowodzi tym hufcem, że wszyscy tylko na niego patrzą; więc malec głową a koń ogonem kręcą na wszystkie strony, i oba z siebie radzi. Pod koniec szkół myśmy mieli doskonałe konie, jeździliśmy dobrze, to też malcy zazdrościli nam, nazywając paniczami, marszałkowiczami, bo wyraz *arystokrata* nie był znany w szkołach. Pomimo te wymówki uczniowie nas lubili, bośmy zawsze mieli czem się z nimi dzielić, to rodzynkami, to cukierkami; a mianowicie bywaliśmy bogaci na majówkę.

Przyszedłszy na obraną jaką płaszczyznę pod lasem, nasze półki stawały i cały dzień hulaly. Z za lasu myślałbyś że wojna; rzenie koni, huk wystrzałów, wrzawa zamieszania, okrzyki zwycięzców, jęki zwyciężonych, bo nie raz aż krew się leje. Zaglądasz z lasu: jedni gonią, drudzy uciekają; tu piłki jak kule armatnie warczą w powietrzu i po ziemi skaczą, tu balony jak bomby poważnie wznoszą się w górę; jeden bohater porywa kulę i ciska nią jak gdyby z harmaty, drugi odbija bombę kulakiem, nie jeden zwali się na ziemię, nie jeden w rów wleci; tu niby ludzie opadną olbrzyma, olbrzym miota nimi jak niedźwiedz psiakami, dziatwa powraca do boju i dopóty się naraża na nowe guzy, dopóki olbrzyma nie uszamocze; kilku skoczy mu na łeb, kilku do nóg się uczepi, wali się olbrzym, malce jak gruszki odlecają od niego, wnet jak mrówki obsiadają i męczą go dopóki nie krzyknie, daruj: ale zwyciężony woli cierpieć jak poddać się, leży spokojnie jak gdyby zabity; malce się zagawronią, on strzepnie niemi, malce odlecają i albo nowy bój rozpoczyna się, albo zaszczytny pokój następuje. Tam jedni ciskają strzałami, drudzy dzidami, ci się na gołe łby tłuką. Wojna powszechna — zabrzmiała trąba pokoju — bój ustaje — zniknęli nieprzyjaciele — szykują się wszyscy do jednych sze-

regów; każdy urwał sobie liściastych gałęzi, a choć nie laurowe ani oliwne, niesie je przed sobą na znak zwycięstwa i pokoju. Muzyka gra, ogromne gałęzie suną, a słońce zachodzące igra z drżącym ich liściem. Słuchając i patrząc z daleka myślałbyś, że to bożki leśne wyszły poigrać po chłodzie wieczornym, a stęskniony las bieży za nimi; ale jak muzyka ucichnie a malce różnym głosem zawrzeszczą, poznasz dopiero że to uczniowie wracają z pohulanki. Wchodzą do miasta. Ustają wrzaski, szyki się równają, hardość rycerska krasuje czoła malców, iskrzy w ich oczach, spojrzawszy na nich mimowolnie wykrzykniesz, to dzieci rycerzy, to polskie dzieci! Z rozwiniętymi chorągiewkami, z konnicą na przedzie, przy odgłosie zwyciężkiej pieśni, oddział przesunawszy się przez miasto, zawija na dziedziniec Szczeniowskiego. Poważny starzec błogosławi wra-stającemu pokoleniu, malce w okrzykach radości porywają go na ręce, bo go wszyscy kochają jak dziadunia, wszyscy wiedzą o jego zasługach i cnotach: a ja szalejąc na koniu, cieszę się kiedy ciocia przełęk-niona o mnie, krzyknęła, smucę się kiedy nie dla mnie jednego jęć oczy, kiedy mi choć na chwilę wy-darła czarowne spojrzenie swoje.

W lecie, w klasie czwartéj bywało miernictwo. Raniutko uczniowie zbierali się, każdy prawie miał tyczkę stosownie do możności swojej; majątniejsi mieli tyczki okute jak spisy, z chorągiewkami biało-czerwo-nemi; jakem potem w powstaniu zobaczył kozaków pieszych Steckiego, to mi się przypomniały owe czasy. Ze spisami oblatywaliśmy okoliczne wioski, a jak którą wymierzaliśmy, to nam się zdawało żeśmy ją zdobyli.

Bywały też i szkolne kłopoty, a to kiedy nazaczyli trudne jakie zadanie, lub kiedy kazali wiersze pisać, a tu ani rusz do wierszy; ale i na to był sposób — było z nami dwóch wierszopisów, Kowalski i Malino-wski, więc ci dwaj pisali wiersze i za siebie i za półkopy współuczniów, mianowicie Kowalski, później znakomity tłumacz Moliera; my mu za to podpowiada-liśmy w każdej złej przygodzie, bo nigdy się nie uczył,

a tylko wiersze pisał. Raz szewc żyd zrobił mu złe bóty, on szewca wytłukł prawidłami, szewc poszedł na skargę do przełożonego, ten kazał żyda zagodzić, żyd wziął pół rubla, a Kowalski napisał o tem poemat bardzo zabawny w dwunastu pieśniach. Pisywał on często paszkwile na nauczycieli i piosneczki narodowe, ale się to nigdy nie wydało, i nie pamiętam żeby kiedy był w biedzie za to.

Oprócz przechadzek, jazdy konnej, gry w piłkę i t. p. mieliśmy jeszcze inne zabawy. Były to tak zwane wieczorynki, gdzie grano i tańczowano; takie wieczorynki bywały u niektórych nauczycieli i po szkołach panien. Bywały też zabawy w okolicy, na które nas ze szkół wożono jako istoty do tańcowania, a nam się zdawało że te zabawy dla nas. Bywaliśmy też starsi będąc i na zapustach, zdawało się nam żeśmy tam pierwszymi osobami, a tam nikt na nas nie zważał. Bywało się także i na widowiskach, kiedy jakie koczujące poczciwe grono aktorów polskich, wyгнаło ze stajni żydowskiej krowy i kozy, a zaczęło tam śpiewać jak te same kozy, a nam się zdawało że to nic piękniejszego. Rozplakaliśmy się na każdy czuły ustęp, a uczuciem naszym wyprzedzaliśmy daleko i aktorów i pisarza samego. Nie masz droższego skarbu w wieku ludzkim jak czucie młodzieńcze, ono pochłania wszystkie wrażenia, a jakich wrażeń nachwyta młodzieniec, taki się z niego rozwinię człowiek.

Zbiegowiskiem zabaw w Winnicy był dom Szczeniowski, duszą zabaw całego miasta, Szczeniowski. Nie było prawie tygodnia żeby u niego nie tańczowano, a kilka razy na rok bywały tam sute uczyty, a to wszystko dla Xawerci, żeby Xawercię zabawić, żeby Xawerkę pokazać. Ale też było kogo bawić, było kogo pokazać. Xawerka rozwijała się w krasę i wdzięki, jak iskra rozwija się w płomień, jak jutrenka rozwija się w krasę poranku. Jakem patrzył na nią to mi w oczach piękniała; wpatrywałem się w nią jak w księżyc, jak w tęczę, jak w piękny wodospad, jak w niebo — bo jak podniosła duże niebie-

skie oczy, to mi się zdawało że widzę dwa nieba, źrenice tych oczów były jak dwa słońca; u niej jagody jak krew z mlekiem; świeża jak róża, skromna jak fijałek, zgrabna jak sarneczka, lotna jak ptaszek, wdziękiem i kibicią, dowcipem i nauką wycignęła wszystkie rówiennice swoje. Szczęśliwa matka co ma skarb taki; szczęśliwy i ja bo mogłem ją nazwać moją, moją ciocią, bo mogłem z tą ciocią bawić się, tańcować, swawolić, bo myślałem że zawsze tak będzie!

Dom Szцениowskiego nie tylko dla tego był miły i pełny, że w nim zaczynała panować królowa oczów i serc ludzkich, że w nim można było napatrzeć się piękności, nasłuchać dowcipu; ale też dla tego, że w nim mieszkała staropolska uprzejmość zaprawiona wesołością gospodarza, którego myśl nie lubiąca spoczynku, tworzyła coraz nowe wybryki, to w słowie, to w czynie. Nie było dnia żeby stary Szцениowski nie spletał figla głośnego po całej Winnicy, a jednak nie było przykładowi żeby mu się który nie udał; to przez listy udane pokłócił polaka lekarza z niemcem pigułkarzem aż do pojedynku, a potem ich sprowadzał na zgodę uroczystą; to zmyślił jakąś wiadomość która wstrzęsła całe mury pojezuickie; to znowu godził baby plotkarki, co bały się zgody jak wściekły pies wody, to urzędników moskiewskich rozmaitemi sposobami mitrężył; to żenił, to rozwodził, a każda psota rozwiązywała się szczęśliwie i wesoło. O figlach Szцениowskiego można by tak ciekawą księgę napisać, jak o dowcipnych łgarstwach Radziwiłła. Do tych figłów służba jego była tak wprawna, że spójrzał, a już wiedziała co robić. Pewnego razu wszystkie dzienniki pisały wiele o trzęsieniach ziemi bardzo strasznych; gwiazdźdźarze Winnicy spodziewali się tego trzęsienia i u siebie, oczekując go ze smutkiem i trwogą. Szцениowski chcąc pocieszyć strapionych, zaprasza panów nauczycieli na obiad. Nakryto stół w najodleglejszej komnacie. Przy obiedzie rozmowa o nowych klęskach trzęsienia, ztąd nowe trwogi; Szцениowski dowodzi, że tu nie będzie trzęsienia, nauczyciele utrzymują że musi być, bo Winnica

leży na kierunku trzęsienia ziemi a jeszcze do tego nad rzeką. Aż tu daje się słyszeć huk podziemny — strach — huk ustał, ochłonęli ze strachu — huk powraca coraz silniej; stół się zatrzęsł, szklanki zadzwoniły, szyby zabrzęczały, i z największym łoskotem dom zadrżał, jakby się zapadał; nauczyciele w nogi, Szczeniowski za nimi, pędzi ich przez wszystkie komnaty; wyrwują się jeden przed drugim, wywracają się po schodach, wypadają aż na dziedziniec; a jeszcze bryzgi z dachu goniają za nimi, i jeszcze ostatnia stara beczka napelniona gruzem i czerepami huczy po dachu, wlatuje pomiędzy nauczycieli, pęka z łoskotem i donosi im, że to takie bomby udały trzęsienie ziemi.

Najważniejszą chwilą w roku szkolnym, było zbliżanie się popisów rocznych, bo tuż za nimi odpoczynek. Już się Winnica zaludnia, już się przyodziewa uroczystością, już nauki ustały, już zamknięte szkoły; ale wielka izba otwarta przez trzy dni ciągiem. Przez dwa pierwsze dni, klasy zbierają się w ściśnięte gromady, odbywają popisy zawsze pomyślnie; co godzina zmieniają się i ciągną jedne za drugimi, jak półki na polu marsowem. Trzeciego dnia z rana, popisy bawiące z fizyki i chemii ze stosownymi doświadczeniami. Po południu popisy sztuk pięknych; izba ustrojona w arcydzieła szkolnych rysunków, między którymi iskrzył się czerwono i zielono odmalowany przez samego nauczyciela obraz carski. W mgnieniu oka napelnia się izba licznymi gośćmi ciekawymi szkolnej muzyki i szkolnych tańców. Naprzód muzyka którą dowodził nauczyciel matematyki, więc choć grał fałszywie, takty równo mierzył. Po muzyce, jak mistrz obrzędów występował brzuchaty a lekki i skoczny jak piłka, dawny tancerz króla Stanisława, a wówczas nauczyciel tańców, pan Kure; wykwintnym krokiem wprowadzał na środek izby strojne pary najlepszych tanecznic. Panna Xawera tylko co odegrała Polskiego na klawicymbale, jeszcze trwają oklaski, a ona już stoi do tańca. — W tańcu nabywała nowego wdzięku i życia; nie można się było napatrzeć jęj lo-

tnym nóżkom, któremi zdawała się ziemi nie tykać, nie można było nachwytać się tych przemijających kształtów, któremi po przed oczy wszystkich przemikała jak płomyk, jak dym wonnego kadzidła, jak drżący listek, jak migające światełko, jak senne zjawisko. Wszyscy zachwyceni, a ja dumny, bo myślałem sobie — dla tego tak pięknie tańczy, bo ze mną.

Po tańcach dziennych, zwykle następowały wieczorne; Szczeniowski jako dozorca gimnazjum nie tracił żadnej sposobności aby liczną młodzież ucieszyć, licznie zgromadzonych obywateli uczcić; a jakże po polsku uczcić inaczej, jak biesiadą. Więc po wszystkich popisach następowała suta uczta.

Po uczcie jeszcze się nikt nie wyspał a już dzwonią na mszę. Msza śpiewana, w czasie mszy piękne kazanie księdza Maciejowskiego, po mszy *Te Deum*, na podziękowanie Panu Bogu za koniec roku. Z kościoła uczniowie sznurem wiją się do wielkiej izby na wielki obrzęd. Na początku mowa i na końcu mowa; do chwalonych mowa, do kończących szkoły, przy oddawaniu świadectw, także mowa ojcowska a czuła, aż się rozplacają: poczciwy mowca i poczciwi słuchacze. Potem rozdają uczniom roczne świadectwa wymawiając głośno, czy przechodzą do klasy następującej, czy zostają w tej samej klasie. Malce co postąpili skaczą jak kozy, ci co nie postąpili beczą jak kozy. Na tem się kończy rok szkolny, od tego zaczyna się odpoczynek po szkolnych mozolach.

Taki jest owocny obraz szkół Winnickich postawionych na znamienitej stopie przez Czackiego, utrzymujących się w dobrym duchu, tak jak wszystkie owocne szkoły polskie, przez skuteczne trudy księcia Czartoryskiego co był wtedy opiekunem oświaty krajowej, i sam też nasze gimnazjum nawiedził. Była to wtedy wielka uroczystość w Winnicy, i nadzwyczajne popisy w każdej klasie z osobna; a że to było w początkach roku szkolnego, więc cały ten ciężar spadł na uczniów drugoletnich; ja taki ciężar dźwigałem w piątej klasie, bo choć miałem przejść do szóstej i na-

wet byłem chwalony będąc rok pierwszy, jednak nauczyciele namówili mego ojca aby mnie zostawił w tej samej klasie, dla tego że byłem za młody; żałuję że mój ojciec posłuchał téj rady, i ten rok za zupełnie stracony uważam, a zatem nikomu tego nie życzę.

Po końcu roku szkolnego, jeździliśmy do domu, mając zawsze z sobą do przypominania nam trochę tego cośmy się nauczyli, jednego z uczniów klasy szóstej, z których mniej zamożni a nie mający sami rodziców, radzi byli przehulać parę miesięcy w domu, gdzie dostatek przysparzał wesołości i zabaw. Czas wypoczynku przemigał na skrzydłach rodzicielskiej pieczyoty, i znowu z płaczem wyjeżdżaliśmy z domu, tem się pocieszając, że za rok wrócimy.

Takim torem przebyliśmy lat cztery bez żadnej odmiany. W czwartym roku naszego pobytu w Winnicy, rozdzieliliśmy się z bratem Edwardem, którego mój ojciec odwiózł na nauki wojskowe do Wiednia. Smutne było rozłączenie się nasze. Zostałem w Winnicy z Eustachym, który mi był nieodstępnym towarzyszem aż do końca nauk moich w szkołach i w uniwersytetach. Przebywszy z nim ostatni rok piąty w Winnicy, ukończyłem tam szkoły z wielką pochwałą i z wielką radością. Dziadunio wpisując mię do złotych księgi i wręczając świadectwo, błogosławił, życząc abym był dobrym obywatelem i zdał się na usługi ojczyzny.

Zdawało mi się tedy, że ja jestem już całą gębą obywatel, że już skończyły się nauki, a zaczną się, jeżdżenia sześćć koźmi koczem, strzelania bez końca, panowanie we własnym domu na osobnych wsiach, i tysiã podobnych marzeń zastosowanych do wieku i położenia mego. — Odjeżdżałem więc ze szkół z pewnym rodzajem dumy, a z niecierpliwą ciekawościã co dalej będzie. Ale jak przy pożegnaniu ciocia ściskając mi rękę powiedziała — „to już nie wrócisz do nas“ — jak mi stanęły przed oczy niewinne z nią igraszki, ten uśmiech z jakim przyjmowała matulskie ofiary moje, to nasze wzajemne a serdeczne jak

brata do siostry przywiązanie; łąza zakrećła się w oku, i smutniej mi było wyjeżdżać ze szkół jak do szkół przyjeżdżać. — Do szkół nie wrócę ale do cioci sto razy powrócę — ucałowałem serdecznie przynajsiodszą rączkę — ojciec i brat czekali już w koczku — siadłem i pojechałem.



ROZDZIAŁ III.

ROK W DOMU.

Pierwsze chwile po powrocie ze szkół zbiegły tak szybko jak to zwykle w domu, ale jakim spostrzegł że jeszcze wszystko po dawnemu, a nie zaczyna się ta swoboda i wolność, o której sobie wyjeżdżając ze szkół marzyłem, zaczęło mi być w domu za ciasno, a nudno za cicią: posławszy do niej nie jedną myśl tęskną, nie jedno słodkie westchnienie, sam za niemi pośpieszyć chciałem.

— „Niech ojciec pozwoli mi pojechać do Winnicy.“

— „Po co?“

— „Zawiozę cioci kawonów i brzoskwiń.“

— „Można przez kozaka posłać. — Siadaj, weź pióro i papieru na list.“

I zaczął mi w głos powiadać list do Szczeniowskiego posyłając mu różne owoce, a nigdzie nie było tak dobrych jak u nas. W liście było pełno dowcipu, ale gdzie mi tam do śmiechu. Przypisałem się do dziadunia, ucałowałem listownie rączki cioci, i na tem się skończyła wyprawa nad którą przemyślałem był kilka bezsennych nocy. I nie mogło być inaczej, bo z moim ojcem nie wolno było rozprawiać, co raz powiedział tego nie cofnął; kochał nas bardzo, ale trzymał nas krótko, po staropolsku.

Scisnęło mi się serce, wybiegłem z listem, skończyłem do ogrodu, płakałem gorzko; łzy mieszały się

z wieczorną rosą, westchnienia roztrącały się o nieczułe skały przedrzeźniające złośliwym rozgłosem żalowi ludzkiemu. Usiadłem na kamieniu nad porohami Bohu; Boh mruczał ponuro, wiatr jęczał po skałach, wierzba nademną płakała, puszczyk zapuhuczał, czerwone chmury czerniały powoli, a z nimi czerniały myśli moje, i tak jak chmury gonily za sobą, walczyły z sobą, pożerały się wzajemnie, rozradzały się w kształty coraz potworniejsze; a jak stanęły posepnym a przeciagłym szeregiem, zatrwożyło się serce moje, zwątpiłem o szczęściu na ziemi. Co będzie ze mną i ze mnie, nic nie wiedziałem — uczułem że woli jeszcze nie mam, i to uczucie pętało każdy zamiar, myśl każdą. Dumalem długo w noc; nic nie wydumalem; wróciłem prosto do łózka, a to co we śnie widziałem, zdawało mi się pewniejsze, jak to o czem marzyłem na jawie.

Nadeszła późna jesień, zaczynały się polowania. U mego ojca było bardzo wielkie myśliwstwo, były też wielkie polowania. Zbliżało się pierwsze dla mnie polowanie na wilki, a że miałem czas nasłuchać się o różnych myśliwskich przygodach mianowicie z wilkami, więc byłem bardzo ciekawy tego polowania, a zabić starego wilka było to dla mnie jednym z marzeń owego czasu. — Pobereźnicy przychodzili codzień z doniesieniem wiele gdzie jakiego zwierzka. W wielkiej brzezynie było gniazdo wilków, pilnowano je jak oka w głowie, nikomu do brzeziny wjechać nie było wolno, chyba nieboszczykowi wołowi albo koniowi, któremi karmiono te wilki żeby szkody nie robiły, żeby prędko rosły i żeby nie spieszyły się na wędrowną.

Na dzień oznaczony zjechało się mnóstwo gości; już się zaczęło polowanie z chartami na małego zwierzka, to jest na zające i lisy. W domu huczno, gwarno; hulają, grają w karty, przechwalają swoje strzelby, swoje psy, swoje strzelanie; pełno młodych szalawików i starych wyjadaczów, ścierają się jedni z drugimi, śmieją się wszyscy, radzi wszyscy i ja.

Stary Ginowski, sławny myśliwy na całą okolicę;

zarządzał wielkiem polowaniem; codzień gdy zmierzchało jeździł wabić wilki żeby wiedzieć gdzie ich legowisko, jak je obrzucić sieciami, co wcale nie łatwo po czarnej stopie. Jeździłem z nim zawsze, bo ciekawy byłem jak to wilki wyją. Przez parę dni nie odzywały się wcale; trzeciego wieczora wjechaliśmy w inną stronę lasu, a jak pan Sędzia miarkował że wilki już sobie oczy przecierają i zabierają się do wstawania i do umywania się, kazał strzelcowi zawabić. Strzelec podszedł trochę w stronę gdzie się wilków spodziewał i zawabił przeciągiem wyciem; odpoczął, zawabił raz drugi; za trzecim razem jak się odezwą wilki o paręset kroków za nami, jak zawyją chórem, jak się wycie rozlegnie po lesie, zdawało się że całym lasem zatrzęsło, a konie tak szarpnęły wózkami, że mi aż zęby zadzwoniły. Sędzia rozpromieniał z radości, u mnie serce waliło jak młotem, strzelec wskoczył na bryczkę i słowa nie mówiąc jechaliśmy jak najciszej; wilki szukając wędrowca przeskoczyły drogę za nami, a Sędzia szepnął — „pohulajcie przed śmiercią.“

Dopieroż radość jakeśmy wrócili do domu.

Wchodzi Sędzia.

— „A co?“

— „Są.“

— „Wiele?“

— „Osiem.“

Niech żyje Sędzia, wszyscy krzyknęli, podskoczyli z radości, zatarli ręce, mróz niecierpliwego oczekiwania przebiegł po skórze, każdy opatrywał broń jak gdyby ją pierwszy raz oglądał: wydano rozkazy.

Nazajutrz rano czas był spokojny, nie zimny, z lekka mglisty, wyborny do obrzucania wilków, bo liść pod nogami nie chrupocze. Piętnaście wozów z sieciami pod las podjechało, przy nich stanęło trzystu parobków ze spisami albo z pałkami, żaden słowa nie szepnął. Sędzia objeżdżał na koniu, a za nim stawały sieci. W pół godziny Sędzia objechał knieję w koluteńko, i w koluteńko knieja zamknięta, kulec z kulcem. Za sieciami od pola, o dwadzieścia kroków od sieci,

a o pięćdziesiąt jeden od drugiego, stoją parobcy, i mają rozkaz odpędzać wilki od sieci, żeby wszystkie od strzelby wyginęły; gdyby się który wilk uparł do sieci, to go złapać i związać mają. Wszystko gotowe.

Po suten śniadaniu, zajeżdżają koczki, koczyki, wózki, wózeczeki, bryczki, bryczeczki; wybierają się myśliwi, ten torbę wiesza, ten strzelbę nabija, ten czapki szuka, ten jeszcze szklanicę wyciska jak cytrynę, a wszyscy się śpieszą, a każdy się późni; nieład jak w powstaniu, ochota jak w powstaniu. Mój ojciec nie czekając siadł na wózek z panem Sędzią i ze mną, i ruszył naprzód — goście widzą że nie żarty, dalej za nami. — Powóz tuż za powozem jak na żelaznej drodze, mknie przez wieś, przejrzał się w stawie, i dalej sunie, aż w lesie wszystkie potonęły. Przed knieją stoją dojeżdżacze na koniach, trzymając pomiędzy sobą, jak w garści dwadzieścia sfór gończych; gończe rwą się, skaczą, tarzają się z niecierpliwości, czasem zaskomli który, ale żaden nie szczeknie. Wsiadamy, idziem cichutko — wchodzimy w knieję. Rozdzieliliśmy się na dwie części; jedną stroną pan Sędzia, drugą mój ojciec strzelców rozstawia; ja poszedłem za moim ojcem, który mi dwururkę moję z bagnetem opatrzył, nabił, i mnie nie daleko siebie postawił, a odchodząc powtórzył — „ogładajże się żebyś nie prześlepił, uważaj żebyś do psa nie strzelił, nie spiesz się żebyś nie chybił, bo mnie i sobie wstydu narobisz.“

Stoję; wszystko spokojnie; a taka cichość, że slychać konanie zwiędłego liścia. W tem Sędzia na dzieńdobry śpiącym wilkom strzelił z moździerza; zatrzęsły się drzewa i ciągle już drżały, opowiadając jedno drugiemu co odtąd słyszało. Parobcy odkrzyknęli moździerzowi przeciągłym krzykiem który dał znać wilkom że są w oblężeniu. Orły wzleciały nad las i patrzą kto ich spokojność zamięszał; kruki kraczą wilkom na złą wróżbę; ślepe sowy tłuką się po gałęziach; lis pędzi do nory; zając przypada do nóg strzelcowi, jak gdyby chciał mówić, nie strzelaj do mnie — i znowu cicho; aż tu na raz jak psy zagrają, jak zaczną ujadać —

najcudowniejsze brzmienie drży lasem, wre powietrzem zaweseliło serca; nie można się polowania nasłuchać; ucho wyteżone, wzrok ciska się na wszystkie strony, serce niecierpliwe boju. Każdy strzał roztrąca się o wszystkie drzewa i sam donosi czy zabił, za każdym strzałem psy mocniej ujadają, za każdym strzałem nowa zazdrość w myśliwcach, dopóki jój nie załagodzi z ust do ust lecące, *pilnuj!* Cały ten hałas zmieszany zbliża się ku mnie; w około mnie latają i psy i lotki, a czasem zatętni coś w gęstwinie jak gdyby koń ciężki, i mignie ogromnym zwierzem. W oczekiwaniu i niepewności serce mi się tłucze, a sam nie wiem czego chcę; wolałbym żeby wilk wyszedł na mnie, ale się boję, boję się chybić, bo drzę cały, aż się kolana uginają podemną. W tem nagle, psy zaskowytały, kilka strzałów na raz palnęło, i ogromnym pędem leci zjawiana stara wilczyca, wypada na halawę i z otwartą paszczą zwraca się ku mnie; przypuszczam ją jak najbliżej, palę z jednej rurki na sztych, wilczyca w bok; jak palnę z drugiej pod łopatkę, wilczyca w perewerty, wije się śmiertelnym tańcem, i jak gdyby sama dobić się chciała, skoczyła w górę i tak silnie na bok padła, że aż jęknęła, nogi wyciągnęła, ogonem się nakryła, język przygryzła; przybiegłem z bagnetem, zastałem nieżywą, pastwić się nie chciałem. Dopieroż zazdrość i wstyd dla starych myśliwych co pochybiali, radość i chluba dla mnie. Chcieli mię *ufarbować* na cześć pierwszego wilka, nie dałem się. I pan Sędzia się puszzył, bo jak osiem wilków wyliczył, tak osiem na szubienicy wisało.

Spolowawszy wszystkie knieje w przyległych wsiach, pojechaliśmy z kolei do innych majątków mego ojca w powiecie Bałckim leżących, których głównem miejscem jest wieś, Trzy-dęby nazwana, od sławnych, niegdys przy sobie stojących, starych trzech dębów, które w tamtem położeniu były prawdziwą osobliwością. I tu były bardzo piękne a wcale inne polowania stepowe; ale już mnie one nie bardzo zajmowały, bo tu przybył nowy kłopot serca mego.

Najbliższém sąsiedztwem Trzech-dębów była wieś Kurzące Łozy, zamieszкана przez państwa Szolajskich, ludzi bardzo majątnych; ale największém ich bogactwem były trzy córki, jak trzy rusalki: piękne, wesole, dowcipne. Dwie starsze tylko co zamężne, najmłodsza Eufrozyna, już na wydaniu, celowała wdziękiem i łagodnością; a miała wzrok tak ponętny a skromny, że jak spojrziała, to chciało się ukłęknać przed nią, jak przed świętością jaką; bo i cóż świętszego na ziemi, jak dziewica serca spokojnego, myśli przeczystej. Taką była kochana Fruzia; kochana, bo ją wszyscy kochali: i rodzice, i domownicy, i dziatki wiejskie, i sąsiedzi, i znajomi, i kto tylko o niej zasłyszał; czemuż nie miałem jój pokochać, ja com na nią patrzył, ja co byłem w tym wieku, w którym się kocha wszystko, i wszystkich; w którym zdaje się, że aby co się stało, dosyć jest zamysleć sobie, jak przy kabale; w wieku, w którym się nie zna ani zrad ludzkich, ani złości losu. Więc serce moje przylgnęło do Fruzi, jak twarz przylega do ręki, która ją pieści; umknie się ta ręka, i zimno przebiegnie po twarzy, umknie się obraz uroczej dziewicy i zimno przebieży po sercu.

Po całodziennych polowaniach prawie każdego wieczora przyjeżdżaliśmy z naszymi gośćmi do Kurzących Łóz; tam oprócz córek gospodarstwa było zawsze kilka innych panienek. Każdy wieczór schodził wesoło na grach i tańcach; mnie było doskonale, lubiły mnie wszystkie panny, a Fruzia najwięcej, najczęściej ze mną tańczyła, i zdawało mi się, że się mnie najmiliej uśmiecha. Wróciwszy do domu, rozmyślałem nad każdym jój spojrzaniem, nad każdym słówkiem, nad każdym niewinnem jój umileniem się; rozmyślałem nad tem, co mam jój jutro powiedzieć, a zawsze co innego powiedziałem; i tak dzień za dniem ubiegał. Nie raz biedząc się z myślami zapłakałem, a sam nie wiedziałem czego, jak dziewica w marzeniu. Może dla tego, że jak patrzyłem na Fruzię, to mi Xawerka stawała na myśli, a jak myślałem o Fruzi, to mi Xawerka stawała przed oczyma. Nakoniec przyszło do głębokiego

namysłu. Myślę sobie, która piękniejsza, i wymyśleć nie mogę; która lepsza, i wymyśleć nie mogę; która mnie lepiej kocha, i wymyśleć nie mogę. Więc biorę się na inny sposób: myślę sobie, obiedwie równie śliczne, równie dobre, równie mnie kochają, bo jakże mogą nie kochać, kiedy moja dusza je kocha. Czasem przewinęło mi się po myśli: podobno Fruzia bogatsza, ale co mi tam bogactwo; podobno Fruzia starsza — i cóż że starsza, ale młoda i śliczna, i pewnie zawsze taka sama będzie, bo anioły nie odmieniają się; ależ i Xawercia aniołek — a jeszcze aniołek, co mi zawsze lata przed oczyma, spoczywa na sercu. Patrząc na Fruzię, myślę zawsze o Xawerci — gdybym patrzył na Xawercię, możebym myślał o Fruzi — a za każdą z nich oddałbym życie; a o tem uczuciu mojem, którego sam nazwać nie umiałem, żadna z nich nie wiedziała, ni wtedy, ni potem.

Zbliżał się czas kontraktów kijowskich. Wróciliśmy do Hubnika, ztamtańd wyruszyliśmy do Kijowa; tam pomagałem trochę mojemu ojcu, liczyłem i widziałem mnóstwo pieniędzy, któremi jeden nasz pokój był zawalony. Kontrakty tak przeszumiały mi w uszach, tak przemignęły po przed oczy, że mało co z nich pamiętałem. Wróciliśmy do domu.

Z okien domu naszego było widać pół mili Bohu wijącego się po bogatych w kwiaty i bydło rozłogach; po Bohu tu i owdzie posadzone ostrowy, pięknie zarosłe rozmaitem drzewem, bogaciły rzekę cudnym widokiem, a służyły za schronienie młynom, rybakom i rakom. Na prawo, jak rzucić okiem, tak się sunęła piękna i spokojna rzeka w wysokich brzegach, jak gdyby ją Bóg do żeglugi stworzył; jój powierzchnia powleczone błękitem nieba, jój dno w dzień wysłane promieniami słońca albo miękkimi chmurami, w nocy wysłane brylantami, kiedy niebo wesołe, albo też kirem kiedy niebo smutne. Rzuć okiem na lewo, aż tu rzeka napotkawszy piękne ostrowy, pieści się z niemi, obej-

muje je licznymi ramionami, a one przegładają się rokosznie w jej łonie, i rokosznymi gałązkami drażnią się z niestałą wodą, co muśnie tylko po listku i za drugim goni. Ale po tych rokoszach będą ciężkie chwile; za ostrowami niezliczony nieprzyjaciel; tysiączne skały przerzuciły się przez drogę rzeki, i niby jej mówią: nie pójdziesz dalej; rzeka zatrzymuje się nieco, zbiera swe siły, zawrzała gniewem, jak gdyby odpowiadała tym skałom: albo was wywrócę, albo się przez was przebiję; i ciska się na nie ze wściekłością; skały ją odparły; rzeka zapieniła się w złości: drugie jej uderzenie było tak silne, że woda naprzód postana rozprysnęła się na krople, na mgłę, a ubarwiwszy się w tęczę, stała się wieńcem zwyciężki rzeki co w téjże chwili przeskoczywszy zaporę, dumnie się na nią ogląda; ale nim odetchnie, stukrotna czeka ją walka; wszędzie zwycięża, a szumny hałas roznosi to jej zwycięstwo po okolicznych górach i lasach. Taki jest Boh w Hubniku. Zima zazdrośna zamroziła jego piękności, schowała je pod lód. O, jakże wyglądamy, żeby upokorzona zima uciekła, a Boh żeby skruszył kajdany, które przez całą zimę dźwigał hardo, bo ciągle odgrażał się, pomrukując na porohach.

Wczesna wiosna zaweseliła prześliczną wieś naszą. Wiatr ciągnął od morza ciepłym tchem swoim ogrzewał powietrze, słońce wybrylantowane podnosiło się coraz wyżej na ciemno-błękitnym niebie, śnieg przed słońcem uciekając albo się krył pod ziemię, albo przemieniwszy się w wodę, żeby go nie poznano, zmykał do rzek i stawów, tym groble, a tamtym zrywać lody i mosty; już tylko gdzie niegdzie po łąkach i wzgórzach bieli się szmatami, a przy nim łąki zieleńsze, a przy łąkach śnieg bielszy. Jeszcze najupartszy i najśmielszy śnieg w lesie nietknięty, bo on się tam wiatru nie boi, on się tam najdłużej ze słońcem pasuje, a już Bohowi tyle sił przyrosło, że lód podniósł i sam z pod lodu wystąpił, jak gdyby chciał przypomnieć: tu jestem. Na porohach szumi straszniej a straszniej, wspina się coraz wyżej — już równo z brzegami, lód trzyma go

a trzyma, Boh się z nim mocuje, lód się zarysował, pęka, a gromkim hukiem doniosłszy, że skonał, rozpada się w sto części, kra cofa się leniwo, piętrzy się groźnie, i groźnie stanęła; a Boh zapieniony złością rzuca nią o porohy, rozbija na miazgę i przez trzy dni niesie ją na grzbiecie swoim, na znak zwycięstwa na ofiarę Czarnemu morzu; a wzniósłszy swą dumę, rozszerzył panowanie swoje od góry do góry, powiedział: to wszystko moje, i co napotka, zabiera i pędzi przed sobą. Tam zabrał most cały i niesie, tu porwał młyn cały i niesie, tam rozgruchotał lodem ludzkie schronienie i pastwi się nad jego szczątkami, tu rwie drzewa z rodzinnego lasu i precz wygania, tam jedném liźnięciem maże kilka lat pracy i trudów człowieka, tam porywa chatę ze starą matką i drobną dziatwą; nie słycać ich jęku, tylko widać, jak wyciągnąwszy ręce, modlą się do Boga i ludzi; Bóg ich do brzegu przybije i ludzie poratują, jeśli Bóg pozwoli. Rybacy, panowie Bohu, biegną na ratunek lotnemi czółnami, a wydarłszy Bohowi niewinne ofiary, spieszą wydzierać mu wszystko, co on ludziom zabrał.

Tak to Boh hula dni kilka, a nahulawszy się do woli, użyźniwszy łąki, a ludziom za szkodę płacąc rybami, które tu i owdzie po dołach zostawia, wraca do koryta, jak żołnierz do domu.

I znowu płynie tak strojnie, jak przed tém, i znowu jego ostrowy rozkwitły różnobarwnym kwiatem, zaludniły się rozliczną ptaszyną, co cały dzień świegoce, a wieczorem słucha słodkiego śpiewu słowika. I któż go nie słucha? Słucha go wszelkie stworzenie, słucha go wszelki człowiek, szczęśliwy i tęskny; młody marzy przy nim o przyszłym, stary o przeszłym szczęściu, a oba wzdychają; ten do tego, co będzie, ten za tém, co było. Sam Boh go słucha, bo mruczenie swoje stroi do śpiewu słowika, bo śpiew jego porywa na swoje wody i krętą drogą roznosi po całej krainie swojej.

Tak to śpiewają słowiki w Hubniku, i nigdzie tak nie śpiewają. O, kiedyż ja was usłyszę, lube ptaszki moje, i czy zaśpiewacie kiedy tak wdzięcznie wspomnieniom, jakeście śpiewały marzeniom moim?

Słuchając tych lubych słowików, oddychając młodziuchną, wonną wiosną, upajającą wdziękiem swoim wszystko, co żyje, i ja też upajałem zmysły moje i duszę moją. Zbiegałem często nad rzekę tarzać się po kwiatach i w kwiaty ubierać rozwijającą się wiosnę moją; poglądałem często po Bohu, patrząc, czy mi nie niesie czego od mojej ciotki, a jak która kropla wody trącąc się o skałę rozprysnęła w tęczę, pomyślałem sobie, musiała to ciotka swoim wzrokiem tak ją ubarwić. O rzeko moja, czemuż ty nie płyniesz do Winnicy, ale z Winnicy, nosiłabyś codziennie do ciotki westchnienia moje, łzy moje, a od ciotki nie mi nie przynosisz.

Boh szumi wspaniale, księżyc ozłaca jego srebrne wody, żaby skrzekoczą wesoło, zdaleka koń zarzy, pies zaszczeka; po drugiej stronie rzeki, pomiędzy skalistemi górami, ogień pastuszków wzbija prosto do góry dym biały, jak słup marmurowy, czasem głos ich piszczałki przekradnie się do ucha; na górze chatka pustelnicza, czasem odgłos dzwonu z pobliskiej wioski zadrży w spokojnym powietrzu. Rosa jak manna niebieska, nakarmiła już wszystkie łąki i pola, i drzewa i kwiaty, ogień już zagasł, pastuszkowie odeszli, żaby i psy zasnęły; tylko Boh panuje nad ciszą i szumi wspaniale, tylko księżyc panuje na niebie i kąpie się we wszystkich wodach ziemi i do wszystkich serc stęsknionych zagląda, i tylko ja jeden z założonemi rękoma siedzę naprzeciw skały, na której wyrylem dawniej imię ciotki, a obok niej ryjąc teraz imię Fruzi, dawne odnowiłem; wpatruję się w te imiona a blask księżycy tyle życia nalał do nieżywej skały, że postacie moich aniołów, stanęły przed oczyma méj duszy. W takim zachwycie nie jedna mknęła mi godzina, w takim zachwycie mignęła nie jedna myśl piękna, ale nieskuteczna.

Jednego podobnego wieczora błogo mi na duszy, weselęj na sercu, rokoszniej w myśli, bo wymyśliłem rzecz bardzo mądrą; oto zbliżał się w Winnicy czas popisów, a że ja uczyłem Eustachego, czegom się sam uczył, więc myślę sobie: powiem ojcu, że pojedziemy do Winnicy na popisy, że Eustachy je odbędzie, dostanie świadectwo, i nie będzie potrzebował jeździć do żadnych szkół; myśl doskonała, bo myślę sobie, już tego kozak nie zrobi; klasnąłem w dłonie, podskoczyłem z radości, uściskałem kochaną skałę i w około niej wywijam rokoszne płasy. W tém przybiega kozak i mówi:

— „Pan prosi.“

Przychodzę: „Co ojciec każe?“

— „Jutro rano pojedziesz do Odessy.“

— „A po co?“

— „Zobaczysz miasto, zabawisz się, a przy tém przedasz mi zboże i weinę, co tam jest, bo mi coś panowie kupcy nie dopisują.“

Otóż masz, jak bańka mydlana o mur, tak wszystkie moje zamiary i uciechy rozbiły się o jedno słowo rozkazujące najlepszego ojca. Gdybym się był mu wyspowiadał z moich uczuć i myśli, zapewneby mnie pocieszył dobrą nadzieją, albo nauczył dobrą radą; wybierałem się do ojca z taką spowiedzią, ale sam nie wiedziałem, co tu powiedzieć, nie wiedziałem, jak wytłumaczyć tęsknotę za cicią, a myślałem sobie: on powie, że jestem dziecko i koniec; więc i tą razą nic mówić nie śmiałem. Pojechałem do Odessy, sprawiłem się doskonale, zboże i weinę sprzedałem jak najlepiej, w morzu się nakapałem, śpiewów włoskich nasłuchałem się i do domu przywoziłem mnóstwo pieniędzy, pomarańcz i różnych gościńców dla ojca, za jego pieniądze.

Sąsiedzi winszują memu ojcu, że już się doczekał pociechy i pomocy, mój ojciec uśmiecha się tylko. Sąsiedzi wychwalają coraz głośniejsze wdzięki panny Xawery, jak była tu królową zabaw, tam duszą całego towarzystwa; jak zadziwiwała pięknnością, ujmowała słodyczą, jaśniała skromnością; jeden drugiemu w opo-

wiadaniu potakuje i pomaga; a we mnie serce to rośnie z radości, że taka ciocia, to pęka z zazdrości, że inni ją widzą, a ja nie. A więc ośmieliwszy się, powiedziałem:

— „Ojcie, czy pojedziemy kiedy do Winnicy?“

— „Może wstąpimy, jadąc do Krakowa.“

— „A po co do Krakowa?“

— „Do akademii.“

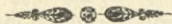
Na te słowa aż mi się słabo zrobiło; pomyślałem sobie: Skończyłem szkoły, byłem w Kijowie na kontraktach, sam do Odessy jeździłem, starego wilka zabiłem, i mam jeszcze się uczyć? O, ja nieszczęśliwy! Goście mądrzy mówią:

— „I po cóż pan marszałek tak chce ich męczyć naukami, czyż to im nie zostawisz majątku? co im po nauce!“ Mój ojciec uśmiechnął się i powiedział:

— „Mospanie, człowiek wtedy bogaty, kiedy ma skarb w głowie, bo tego ani mu wróg nie wydrze, ani ogień nie spali, ani woda nie zabierze.“

Tak mówiąc, przekonał gości i mnie; trzeba było pożegnać się z domem i jego roskoszami, z miłymi zabawami, z miłszemi jeszcze zamiarami. Pojechaliśmy pożegnać matkę na długo, długośmy płakali, matka pobłogosławiła. Wróciwszy do domu poszedłem jeszcze zapłakać do mojej skały. Nazajutrz wyjechaliśmy do Krakowa, a na domiar nieszczęścia nie wstąpiliśmy do Winnicy!

Tak przeminął rok najczystszych marzeń moich, najweselszych nadziei.



ROZDZIAŁ IV.

AKADEMIA W KRAKOWIE.

Co też to za miasto, ten Kraków! Jak się wspomni o nim, to serce rośnie miłością i wzdyka się żalem; jak się spojrzy na niego, to oko i łzę znajdzie i dumą zabłyśczy. Tyle w nim pamiątek wielkości i sławy narodowej, tyle znaków klęsk i poniżenia, że mury Krakowa żywcem pokazują koleje, przez jakie naród nasz przechodził i wszystkie razem wieki jego stawiają przed oczy.

Ojciec tak nam zachwalał Kraków, a więc zbliżaliśmy się do niego z uczuciem dzieciennego przywiązania do tych resztek świetności Polski, z uczuciem czci religijnej dla tej świątynicy, co mieści w sobie tyle pamiątek, co tylu królów polskich była kolebką, a teraz jest grobem, co usposobiła tylu mężów sławnych w boju i w radzie, mężów, co zajaśniali na świecie i ramieniem i głową, i szablą i piórem. Jechaliśmy teraz niejako odziedziczać naukę po tych sławnych ludziach, bośmy jechali do tej sławnej szkoły, w której się oni wyuczyli na pociechę wspólnej matki naszej; może też odziedziczymy broń po nich, walcząc po tych samych polach, na których oni tyle krwi swojej wyleli, tyle kości posieli. Tak to wyścigaliśmy czas myślą; a radzi wyścignąć dzielącą nas przestrzeń od Krakowa, jak błyskawicą przecinaliśmy ją na wszystkie strony młodem a chciwem okiem.

Aż tu nagle powóz skręcił, góra się umknęła, i ukazał się nam w rokosznej dolinie czarowny Kraków. Czterdzieści wieź strzeliło do góry, pokazując ludziom, gdzie szczęście, 'gdzie opieka dla nieszczęśliwych; pomiędzy wieże w około świątyń Pańskich skupiło się starożytne miasto, a nad tém miastem czuwa odwieczny Wawel, z którego niegdyś oko Zygmunta pozierało z ojcowską dumą na szczęście Polski, a teraz tylko kiedy niekiedy dzwon Zygmunta, jak gdyby grobowe westchnienie wielkich królów téj ziemi, zajęczy nad jój niedolą.

Z daleka patrząc na Zamek, znać już, że pomarli panowie jego, a nie dzierżą go ich potomki. Smutne miasto i Zamek smutny, pusty Zamek i miasto puste. Zamek stoi otworem, strzegą go tylko pokruszone baszty; i miasto téż stanęło otworem; rozpadły się jego mury, bramy już mu nie potrzebne, i tylko po ich zwaliskach wiatr wyje, jak gdyby chciał straszyc świętokradzkie ręce, co się bezbożnie targnęły na cudze pamiątki. Wesole przedmieścia rozrzuciły się w około miasta, jak gdyby nie traciły nadziei wesela, a Wisła macierzyńskim uściśnieniem łagodzi ciężki smutek zbolaléj stolicy, a szemrząc jój ciągle przecucie szczęścia i chwaly, mignie obrazem przyszłości i tęską żalostí na chwilę ukoi. Ze trzech stron trzy mogiły ogromnym trójkątem, jak gdyby okiem Opatrzności, patrzą na Kraków; dwie mogiły stanęły po jednéj stronie Wisły, trzecia po drugiéj, jak gdyby mówiły: *i tu i tam Polska*; a jedna mogiła naucza, jak Polskę rozszerzać, druga jak Polskę wskrzeszać, trzecia jak Polskę kochać. Zachodzące słońce, oglądając się na południe, na śnieżystych Karpatach napisało promieniami swemi: *tu granica Polski*; a oglądając się na północ i wschód żegnając, po rozlegléj jak cała Polska równinie, ścieląc swe promienie od morza do morza, ozłociło całą Polskę na przypomnienie, a może i na przepowiednię jój złotych wieków.

Zajście słońca odebrało nam ten cudny widok; wjechaliśmy do Krakowa razem z ciemną nocą; darmo

wyglądaliśmy, czy nie zajrzemy gdzie orła polskiego: widać tylko ciemne mury, jakby stojące cienie poważnych gmachów; na rynku Sukiennice wydają się nam, jakby ogromna góra jaka, a wieża Panny Maryi, co puściła swą głowę w obłoki, jakby olbrzym, dźwigający sklepienie nieba.

Nazajutrz radziłyśmy biegać po całym Krakowie i po za Kraków, ale tylko myślą lataliśmy z wieży na wieżę, z mogiły na mogiłę, bo deszcz padał; a choć się wypogodziło, to ojciec zostawił w domu, kazał się do popisów gotować, mówiąc, że będziemy mieli czas napatrzeć się na Kraków.

Wkrótce już miały się rozpocząć nauki akademickie; ojciec zaprowadził mnie do Gertlera, zwierzchnika akademii. Gertler przyjął nas grzecznie, mówiąc memu ojcu, że zna od dawna jego nazwisko; a jak przeczytał moje świadectwo z gimnazjum winnickiego, powinszował i dał zaraz rozkaz wpisania mnie na listę uczniów akademii, dodając, iż złożyłem na jego ręce świadectwo *plus quam maturitatis*. To znaczyło, że uczyłem się więcej, jak jest w przepisach, aby być przyjętym na ucznia; ale ja sobie wytłumaczyłem to wcale inaczej, a bezpieczny, że już popisów nie będzie, wyszedłszy od pana Gertlera, dopieroż się przechwalać i wymawiać ojcu, że niewiedzieć po co przywiózł mnie do akademii, kiedy sam zwierzchnik napisał *plus quam maturitatis*. Ojciec odpowiedział mi: „Jak zobaczysz, że więcej umiesz od nauczycieli, to będziesz ich uczył, oni ci podziękują, a jak ich wyuczysz, to wrócisz do domu.“

Za kilka dni ojciec oddał nas w opiekę Sołtykowiczowi, a sam do Wiednia pojechał, zkąd zabrawszy Edwarda i wracając do domu, wstąpił do nas na parę tygodni. Przez ten czas Edward rozpowiadał nam o Wiedniu i o tém, czego się tam uczył; a my jemu o Krakowie i o tém, czego się tu uczymy; on nam rozpowiadał, jak Niemców kieroszował na cześć Sobieskiego, a ja mu rozpowiadałem, jak starego wilka zabiłem; ja mu w nagrodę jego waleczności przeka-

załem moje dwururkę z bagnetem, a on w nagrodę mego rycerskiego czynu zostawił mi swoją wiatrówkę w lasce, za pomocą której przez szybę rozbił w oknie od schodów strącałem z gzymsów przeciwległej kamienicy, pod nogi albo na głowę przechodniom wróble i wrony; kto dostał w łeb wróblem albo wroną, ogląda się na wszystkie strony, a ja już przy stoliku poważnie siedzę z książką albo z piórem w rękę.

Ciężki był smutek przy rozstaniu się na czas nie wiedzieć jak długi z ojcem i bratem, ciężka była i myśl, że do cici tak daleko, że ani oko nie dojrzy, ani ucho nie dosłysz — może westchnienie doleci — aleby jeszcze mi było ciężej na sercu, gdyby mnie nie zajmowała praca naukowa, nie rozrywała nowość przedmiotów, i bogata rozmaitość drogich sercu polskiemu pamiątek, gdyby nadewszystko nie osładzała tój tęsknoty ojcowska czułość i opieka, przyjacielska popułałość, kształcąca rozum i serce obcowanie, naszego mistrza Sołtykowicza.

Sołtykowicz na ów czas lat sześćdziesiąt liczący, był pełen powagi i wdzięku pięknej starości; kochany i szanowany przez cały Kraków, był wyrocznią w tém wszystkiem, co powiedział; mianowicie powaga jego była wielka na zgromadzeniach uczonych w murach uniwersytetu Jagiellońskiego, którego był naprzód uczniem, a mając lat dwadzieścia był już w nim nauczycielem, i nauczał te kilka pokoleń Polski, którym los powierzył odkupienie win przodków naszych przez krew i męczeństwo. — Doktor wszystkich wydziałów akademickich, pisarz wyborny, mowca najlepszy, Sołtykowicz ukończywszy zawód nauczycielski z chwałą, nie przestawał oddawać się pracom dziejopisarским i literackim. Czekają go później obowiązki posła na sejm rzeczypospolitej Krakowskięj, które sprawował z taką prawością, z takim dla rzeczypospolitej pożytkiem, że miasto udarowało go pierścieniem, który mu z pismem dziękczynienia złożyło przez celniejszych obywateli swoich. Sołtykowicz polityczne swe prace zakończył

wraz z życiem na urządzie senatora Rzeczypospolitej Krakowskiej.

Kiedy za czasów księstwa Warszawskiego panujący wówczas na tronie polskim król saski, odwiedził Kraków, akademia przyjmując go uroczystie, Sołtykowicza obrała mowcą swoim. Sołtykowicz miał rzecz do króla o stanie akademii krakowskiej, skreślił jej dzieje, przypomniał przywileje, wskazał jej obecne niepowodzenie i potrzeby, a to w sposób tak zajmujący, że dostojne zgromadzenie blisko dwugodzinnej mowy słuchało z największą uwagą i rozczuleniem. Król przyrzekł uroczystie opiekę szczególniejszą akademii krakowskiej, obiecał pójść za światłą i gorliwą radą Sołtykowicza. Czas niepozwoił królowi wykonać obietnicy, a Sołtykowicz uzupełnił swoją pracę, tworząc dzieło: *O stanie Akademii Krakowskiej*, pełne szacownych poszukiwań i zamożne w bogactwa ojczystego języka. Dzieło to jest jednym z najpiękniejszych pomników literatury i dziejów polskich.

Sołtykowicz napisał jeszcze ważne dzieło: *O przyczynach nędzy i upadku naszych włościan i o środkach im zaradzenia*; później inne: *O wpływie umiejętności i nauk na towarzystwo ludzkie*; dzieło to pełne ścisłości myśli, głębokich pojęć, trafnych spostrzeżeń, jest bardzo zajmującą filozofią rozumu ludzkiego. Nadto pisał wiele rzeczy wiązaną i niewiązaną mową, ale za życia nie wydał. Przy nas czytywał rozmaite rozprawy na posiedzeniach Towarzystwa Naukowego. Gdy miał co czytać, wybierano wtedy największą izbę, a ta zaraz napełniała się pilnym słuchaczem; gdy zaczynał czytać nastawało w zgromadzeniu ciekawe milczenie; już miał głos cichy, ale tak wyraźny, że we wszystkich uszach tak się odbijał, jakby cały i nierozdzielny do każdego ucha doleciał; a dźwięk tego głosu tak śpiewny, że prosto leciał do serca, a wyraz każdy tak jasny, że prosto leciał do rozumu.

Taki był nasz mistrz w Krakowie, a jeśli teraz nie znać po mnie, że miałem zawsze dobrą naukę i dobry przykład, to moja tylko w tém winna.

Nie zapomnę nigdy miłych i nauczających przechadzek, w których miódopłynny Sołtykowiec po murach i okolicach Krakowa uczył nas dziejów Polski; a szczęsne i nieszczęsne wspomnienia zaprawiał nauką tak prostą i jasną, ożywiał obrazem tak szczerym, że słuchając go, zdawało nam się, żeśmy współcześni wszystkich przodków naszych, i że będąc na ich miejscu, nie popadliśmy w ich błędy; a jak przyszło samemu do roboty, znowuśmy po staremu błędzili. Taka to ślepotą rozumu ludzkiego.

Mieszkaliśmy na rynku, w domu narożnym, przy ulicy św. Jana. Spojrzawszy z okien na prawo, widać było okazałą świątynię Panny Maryi; wyniosłe jęj wieże zdają się błogosławić miastu, modlić się za miasto, czuć nad miastem. Kraków w dawnych wiekach często gorzał, a kościół Panny Maryi chociaż jeszcze w początkach XIII. wieku przez biskupa Iwona Odrowąża założony, nietknięty od ognia pozostał. — W XV. wieku znalazł się jakiś poczciwy człowiek, co do kościoła tego przywiązał dochód na utrzymanie po wieczne czasy stróża, któryby mieszkając na wieży a dzień i noc czuwając, ostrzegał miasto o wszczętym pożarze. Mówią, że ta sama rodzina stróżów od praojców do prawnuków do dziś dnia, na znak, że nie śpi, wybija godziny i otrąbia je na cztery wiatry, a gdy się ogień pokaże, bije w dzwon trwogi, woła straszną trąbą i czerwoną chorągwią wskazuje, gdzie ogień.

W kościele Panny Maryi co Niedziela słuchaliśmy mszy, kazania i wspaniałych dud; oglądaliśmy liczne pomniki przodków naszych, a zawsze znajdowaliśmy nową piękność sztuki, nowy skarb pamiątek narodowych. Niedaleko kościoła Panny Maryi stoi dotąd starożytna kamienica Wierzyńska.

Na lewój stronie rynku odosobniona wieża miejska pyszni się starożytnym orłem polskim. Kiedy Austriacy zajęwszy pierwszy raz Kraków, zrywali zewsząd orły nasze, nie mogli znaleźć nikogo z mieszkańców, coby się poważyl

targnąć na orła powiewającego na wieży miejskiej, więc się do niego Niemiec wydrapał; orzeł machnął ogonem, Niemiec spadł i już nie wstał, a orzeł polski jak stał tak stoi. Ta wieża i tém jeszcze jest sławna, że gdy po jój ukończeniu pokazało się, że jest za niska, budowniczy Krakowiak, którego nazwisko dotąd na rynku wspominają, podniósł całą wieżę z dzwonami i podmurował jój nowe dolne piętro, stóp ze trzydzieści wysokie; działo się to za czasów Jana III.

Co dzień idąc do akademii, przebiegałem przez sławne Sukiennice, co swoim ogromem przypominają, czém był Kraków za czasów Kazimierza Wielkiego, a swojemi pustkami pokazują, czém Kraków dzisiaj. Smutny to gmach teraz; ale może jeszcze składy jego będą za ciasne na pomieszczenie bogactw miasta, a dwiесто-łokciowa przestrzeń jego, za mała na pomieszczenie lubyh gości, jeśli kiedy obywatele Krakowa tak jak 1809 r., zwycięskie wojsko polskie świetną ucztą czcić będą.

Akademia krakowska nosi na sobie urok przeszłej chwały; najdawniejsza w Polsce, ona jój dała tylu mędrców, tylu bohaterów; urok ten sprawia, że chociaż zniknęły dawne jój przywileje i bogactwa, chociaż obdarły ją cudze rządy i uciemiężyły rozliczne prześladowania, w dzisiejszém ubóstwie i niewoli swojej szkoła ta utrzymuje się przy życiu pamięcią przeszłej chwały, i tem, co jój pozostało w puściznie z dawnych zakładów. W ostatnich czasach akademie warszawska i wileńska zaczęły były wyścigać swą starą matkę, ale niestety, zamknęła je mściwa ręka carska, i dziś akademie krakowska stała się jedyném widzialném, urzędowém w Polsce schronieniem języka i dziejów narodowych.

Akademia krakowska założona przez Kazimierza Wielkiego na Kazimierzu, przeniesiona przez Władysława Jagiełłę na ulicę Św. Anny, dotąd posiada też same gmachy, zajmujące prawie całą jedną stronę téj ulicy. W tych gmachach mieszczą się zakłady naukowe,

księgozbiór i wszystkie wydziały, oprócz wydziału prawa, będącego od dawnych czasów na ulicy Grodzkiej, naprzeciw kościoła św. Piotra. Pomiedzy wspólnymi izbami gmachów akademickich najdawniejszą jest Jagiellońska, świeżo odnowiona i ozdobiona pięknymi kilkunastu obrazami na murze, malowanymi przez Stachowicza, a wyobrażającymi świetne chwile akademii krakowskiej; ta izba przeznaczona jest na posiedzenia akademickie i Towarzystwa Naukowego. Najobszerniejsza zaś izba jest w gmachu przeciwległym kościołowi św. Anny i służy do popisów uczniów, do nadzwyczajnych posiedzeń naukowych i do obrad sejmu rzeczypospolitej Krakowskiej.

Większa część gmachów znacznie później po założeniu akademii przybyła; jako to *Bursy*, których teraz jest tylko dwie, a było kiedyś w Krakowie dzie więć. Najważniejszą z nich i dziś istniejącą pod nazwiskiem Jeruzalem, założył i obdarzył Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski. Wielu biskupów krakowskich było dobroczyńcami uczącej się młodzi i dotąd są ślady ich przychylności dla nauk, hojności i żamności.

Akademia krakowska przez swoje przywileje miała swoje udzielność i niepospolitą powagę w narodzie, któremu przychodziła często w pomoc radą i wsparciem. Królowie chcąc uczcić jęj dostojność, nadawali jęj nowe przywileje za każdą doznaną od nięj posługą i udarowywali ją darem najzacniejszym, ofiarując jęj berła swoje; tym sposobem akademia krakowska posiada trzy berła, nie pomnę w tęj chwili jakich królów. Berła te w czasie uroczystości noszone bywają przed orszakiem akademickim, a uczniowie w czasie doktoryzowania się wykonywają przysięgę na dwóch berłach w krzyż trzymany. Byli warci takiego dostojenstwa akademicy krakowscy, co swoją naukę i swoje mienie zwykle dobru powszechnemu poświęcali. Ich staraniem powstał piękny księgozbiór krakowski, bogaty w wiele rękopismów i dawnych ksiąg i aż do rozbioru kraju wzbogacany przez nauczycieli, liczy blisko 50,000

ksiąg, między którymi około 3000 rękopismów. Na dowód jak się nie należy zrażać pozornym brakiem zasobów w znacznych przedsięwzięciach, przytoczę, że gmach księgozbioru założony został około 1500 roku, przez jednego z akademików, Obiedzińskiego, który dał na ten cel, złotych sześćdziesiąt, i nie czekając co dalej będzie, zaczął budowę gmachu, a wkrótce gmach ten składką innych nauczycieli, dźwignął się i stanął.

Równie dziełem hojności akademików a świadectwem ich smaku, jest kościół akademicki Św. Anny. Kościół ten o dwóch wieżach i pięknej kopule, bogaty w piękne marmury krajowe i piękne malowania, jest jedną z celniejszych ozdób stolicy. Nie pamiętam nigdzie kościoła tak uweselającego w modlitwie; modląc się w tym kościele, zdaje się że Pan Bóg pewnie wysłucha; cały kościół pełny ozdobnych bogactw, napelniony jest szczególniejszą jasnością rozweselającą stroskaną duszę, oświecającą zwątpiałe sumienie. Jest tam wspaniąta kaplica św. Jana Kantego, nauczyciela Akademii Krakowskiej, zmarłego przy końcu XV. wieku. Na wspaniąnym ołtarzu téj kaplicy, cztery marmurowe osoby w togach akademickich dźwigają trumnę marmurową, w której jest ciało Świętego: cztery jednostajne, kilkanaście łokci wysokie, w ślimak utoczone marmurowe białe słupy, strzegą świętego grobu. Naprzeciw téj pięknej kaplicy jest pomnik Kopernikowi, jako uczniowi Akademii Krakowskiej, wystawiony przy mnie, w 1823 roku, kosztem księdza kanonika Sierakowskiego. W kościele tym widać mnóstwo nagrobków akademików: a teraz jeszcze, kiedy już nie wolno składać umarłych po grobach kościelnych, nauczyciele Akademii Krakowskiej zachowali swój dawny przywilej i zwyczaj, i ciała ich w grobach kościoła Św. Anny dotąd z wielkim obrzędem składają.

Zakłady akademickie, chociaż nie bardzo bogate, są jednak dostateczne do nauki i dosyć porządne. Gwiazdarnia w pięknym ogrodzie akademickim stojąca, służyła niegdyś Janowi Śniadeckiemu.

Nauczyciele za moich czasów, byli to ludzie poczciwi i dosyć zdadni, ale bardzo sławnych uczonych pomiędzy nimi nie było; to też nauki szły dosyć porządnie, ale bystrego polotu nie miały. Musiało to być lepiej za czasów Zygmuntofskich, kiedy trzech opiekunów niedźwiedziów nie podłuchiwało nauczycieli i uczniów. Ale cóż robić, trzeba się było uczyć jak można, a i tak było dosyć do uczenia się, i nie długo mi było potrzeba, abym pomiarkował, że ja co myślałem i mówiłem że wszystko umiem, nic nie umiem, i że bardzo jest trudno umieć wiele i umieć dobrze. — Z razu uprzedzony o sobie chciałem w jednym roku tyle słuchać przedmiotów ile było w dniu godzin, ale Jegomość, bo tak chciał Sołtykowiez żeby go nazywać, Jegomość nie pozwolił.

Jegomość trzymał swych uczniów bardzo łagodnie, ale niezmiernie krótko. Nigdzie samym wychodzić nie pozwalał, a kiedy kto szedł do Akademii, to nie sam, ale ze sługą Piotrem, który też nim godzina wybiła, już stał u drzwi, i nie pozwalając rozprawiać bardzo ze współuczniami, nazad pędził do domu. Nudziło to mię z początku, ale nie było na to sposobu, bo to był zwyczaj dawny, a nawet się z tego nie śmiano, bo znano Sołtykowieza; rozповідаłem Jegomości jak to ja będąc jeszcze w szkołach w Winnicy, hulalem konno po mieście i po sąsiedztwie, jak to ja jeździłem sam do Odessy, jak starego wilka zabiłem, ale nic nie pomagało, więc trzeba było oswoić się z panem Piotrem jak z cieniem swoim; aż nakoniec w kilka miesięcy spokojnością moją tyle zaufania wzbudziłem w Jegomości, że pan Piotr zniknął, a ja tak już mało na niego uważałem i tak się wprawiłem do pilności, że się nawet nie spostrzegł kiedy ta łaska nastąpiła. Mogę to sobie przyznać, że byłem dość pilnym uczniem, a to i z przekonania, i dla tego że współuczniowie moi przesładowali mię owem świadectwem *plus quam maturitatis*, a ja czułem że oni więcej odemnie umieją; więc brałem się na pazury, a jak przyszło do pisania rozprawek filozoficznych na ochotnika, to mało kto po-

łowę ich napisał, a ja żadnej prawie nie opuściłem; a czasem tak mi się udawały, że nauczyciel odczytywał je w szkole, a współuczniowie szeptali między sobą: musi mu Sołtykowicz pisać; to podejrzenie bardzo mi pochlebiało i coraz więcej pisałem; a jak i co, to już teraz ani pamiętam, ale musiały tam być wielkie głupstwa, kiedy i później daleko, nie mało ich napisać zdarzyło się.

Pomiędzy ówczesnymi nauczycielami był przedziwny Józef Markowski; liczył już lat blisko 80. Wysłany przez Akademię Krakowską do Paryża dla udoskonalenia się w chemii, a zaskoczony przez rewolucyą, został tam doktorem sztuki lekarskiej, wykładał rozliczne nauki, był potem lekarzem przybocznym cesarzowej Józefiny, wszedł w zachowanie w całym Paryżu, miał mnóstwo pieniędzy, ocierał się o wszystkie wielkie osoby owego czasu, był świadkiem najważniejszych we Francyi wypadków, i tam pozostał aż do powrotu Burbonów: potem Akademia Krakowska napała się żeby wrócił, i kazała mu uczyć chemii i mineralogii. Nic zabawniejszego jak sposób w jaki wykładał swoją naukę, bo to co mówił, w jednymże czasie i rysował i ruchem ciała oddawał; a każdą naukę zaprawiał zastosowaniem mianowicie lekarskiem, przytaczając cudowne swoje leczenia w Paryżu, i rozweselał opowiadaniem rozmaitych wypadków, zawsze stosując do przedmiotu, i zawsze zaczynając od słów — jakem był lekarzem cesarzowej Józefiny. — Gdy mowa o truciznie, to opowiadał jak tam ludzi którzy się otruli wyratował; gdy mowa o działaczach jakich chemicznych, to zaraz opowiadał jak w rewolucyi więźniom ułatwiał stosunki sztucznemi atramentami, które wówczas były wielką ciekawością, jak straż usypiał, więźniów uprowadzał, jak prawdę wybadywał i t. p. a każde opowiadanie jego było tak pocziwe i zajmujące, że zawsze najwięcej miał uczniów; a lubił ich wszystkich, leczył darmo, i oni też go lubili i szanowali bardzo. Znowu ucząc naprzykład jak robić wodę salcerską, opowiadał, jak tam wyleczył nią doskonale znacznego jakiegoś suchotnika lub sucho-

tnicę; a gdy mówił o świetle, to zaraz opowiadał, jak promieniami słońca leczył najupartsze bole w kościach; a gdy mówił o wodzie, to zaraz opowiadał, jak tam jakiegoś marszałka lub księżnę, wyleczył zimną wodą od zgnilój gorączki; a jak przyszło o ciepłe, to zaraz mówił jak to tam trefnisie paryscy, albo uczniowie, co to tylko nocują w domu, a cały dzień w szkole albo na gawronieniu się, to mówi — „wstaje rano, brrru zimno — trzęsie się francuz — więc ręce zaciera — a ma piecyk blaszany — więc włoży w ten piecyk arkusz papieru — zapali go — zaraz mu ciepło w całym pokoju; nim się papier spali, panicz ubrał się i wyleciał na miasto, już nie powraca aż na noc; wtedy pół arkusza papieru spali, i ciepło mu się rozebrać“ — Żałuję, że nie zapytał, gdzie to w Paryżu skład takich piecyków, bo teraz bardzoby się przydały. Markowski mieszkał w Paryżu za gorących czasów, to mógł się ogrzać arkuszem papieru; ale ten sposób ogrzewania musiał tak zaginać, jak klucz od hieroglifów, bo teraz w Paryżu nie ma innego sposobu na zimno, jak palić drzewem, i to dużo palić.

Pocziwy Markowski bardzo mię lubił, a na znak łaski, na popisach zadawał mi najtrudniejsze pytania. Raz mię bardzo rozczulił; kiedy bowiem po kilkunastu dniach choroby wchodziłem na naukę, szanowny starzec przerwał ją i wyszedł naprzeciw, aby mnie uściskać i zdrowia powinszować.

W Krakowie słuchałem wiele nauk, ale najkorzystniejszą było obcowanie z Sołtykowiczem, który nie opuścił żadnej zręczności, aby nas czego nauczyć, aby nam co pokazać. Jak tylko był czas wolny, oprowadzał nas po mieście, zapuszczał się z nami po za mury jego; tym sposobem poznaliśmy doskonale miły a serdeczny Kraków i wesołe jego okolice.

Trzeciego dnia Świąt Wielkonocnych szliśmy na Rękawkę, to jest na obchód który się w ten dzień corocznie odbywa przy mogile Krakusa, któremu rycer-

skie dłonie usypały tę pamiątkę. W małej kaplicy odprawia się nabożeństwo, a lud tłumnie zebrany z całego Krakowa i okolic, święci pamięć bohatera.

Jak oko spójrzy na niwy rozległe, na miasto okazałe, jak łąką zajdzie nad mogiłą Wandy, tak mimowolnie potem, na mogile Kościuszki szuka wypoczynku a myśl tam szuka nadziei. Błogosławiona niech będzie pamięć tego, kto podał pierwszą myśl tak wspaniałego i wymownego pomnika. Ach! jak widok jego napełnia serce pociechą, jak krzepi zwątląłą nadzieję, jak utrzymuje zachwiane męztwo; jest on niby wcielony duch Kościuszki, co czuwa nad Polską, a przypomnieniem wszystkich cnót bohatera, uczy dziatwę Polską. O! jakąż nie zadrżał radością, kiedy natchnął ostatnią wojnę narodową, i patrzył na zwycięstwa spis i kos polskich; o jakimże jękiem zajęczał na nowy a tak niepodobny upadek Ojczyzny! Na każde wspomnienie o mogile Kościuszki, mimowolne westchnienie wrywa mi się z piersi a myśl ku niej ulata, obejmuje ją, z niej obejmuje to wszystko co patrzy na tę mogiłę i na co ona patrzy: ten Kraków starożytny, te Tatry wspaniałe, tę Wisłę wesołą, tę Polskę kochaną, śliczną, bogatą, a nie-szczęśliwą. Kocham tę mogiłę jeszcze i dla tego, zem i ja do niej garść ziemi przysypałam. Ojciec jak nas przywiózł do Krakowa, poszedł z nami na górę Bronisławy, wywiózł taczkę ziemi; zostawił dosyć pieniędzy na składkę za siebie i za nas, a nam powiedział: „sypcie tę mogiłę, bo i to nauka.“

Kraków słynął pobożnością i królów i mieszkańców. Świadkiem tej pobożności jest szczególna poczciwość, spokojność umysłu, ufność w Bogu, a ztąd pochodząca pracowitość, szczerota i wesołość ludu krakowskiego; świadkiem tej pobożności są liczne ozdobne i dobrze uposażone kościoły i klasztory, tak w całym Krakowskim, jak szczególnie w samym Krakowie, który w czasach swojego kwitnienia miał przeszło siedmdziesiąt kościołów. Z upadkiem Krakowa wiele też

Świątyń Pańskich upadło, a ci co Polskę rozebrali, i kościoły krakowskie powoli rozbierać zaczęli. Nie wdzięczni Austriacy, pastwili się nad wszystkimi pamiątkami narodowymi w téj stolicy, z której król i wojsko polskie, wyszli byli ich stolicę od wiecznego upadku ochronić. Za moich czasów Kraków nie liczył już więcej jak czterdzieści kościołów. Zawsze jednak troskliwość o wspaniałe nabożeństwo, jest bardzo przykładna w Krakowie. Nigdzie nie widziałem tak uroczystych jak tam obchodów Bożego Ciała.

Dzwon Zygmunatów woła na obie strony Wisły, i z obu stron Wisły lud okoliczny spieszy na Wawel oddawać cześć Ciału Bożemu. Z kaplicy zamkowej z uroczystą powagą idzie obchód na rynek Krakowski. Wszystkimi ulicami zbiega się lud pobożny powiększać orszak świąteczny. Muzyka wojskowa i całe wojsko otwiera ten obchód; za wojskiem długi szereg zakonników, dalej dziewice w bieli, niosą i otaczają obraz Najświętszej Panny, Królowej Polskiej; w koło obrazu powiewają liczne chorągwie połyskujące białym orłem, pogonia i herbem stolicy: cechy miejskie starożytnym porządkiem niosąc przed sobą swe znaki, idą po bokach Świętego Ciała, z którym biskup otoczony wszelką okazałością duchowną, zwolna postępuje, a za nim w największym zebraniu ducha, mnogie tysiące ludu w świątecznych strojach; a wszyscy z głową odkrytą, z kornem czołem, z modlitwą w sercu, z pieniem na ustach. Cały ten tłum uroczysty posuwa się zwolna i płynie spokojnie, bo jego myśl w niebie, płynie, jak gdyby płynął do nieba. A jak wracając na Zamek, biskup na wsze strony Polski błogosławi Ciałem Bożem z góry Wawelu, lud co całą górę objął swem mnóstwem, w głębokim uciszeniu pada na kolana — i jednym ogromnem westchnieniem zajęczy powietrze, a w tem westchnieniu jest i dzięka i prośba ludu co się zdał na wolę Ojca swego, a prosi za matką swoją i za bracią swoją.

Z wielkiem także nabożeństwem obchodzą groby Pana Jezusa w kościołach krakowskich, i nigdzie tak

strojne nie są; gdzie niegdzie bywają w podziemnych kościołach, a wszędzie w osobnych kaplicach. W dniu męki i śmierci Pańskiej, w Paryżu bawią się najhuczniejszą, przez trzy dni trwającą przejażdżką; w Krakowie przez trzy dni lud krakowski odbywa pobożną pielgrzymkę po wszystkich kościołach. Na wstępie do każdego kościoła, składa ofiarę dla ubogich, bo sam ubogi; składa jałmużnę, bo sam po jałmużnę przychodzi, a pomodliwszy się w każdym, za swoją rodzinę, za swój kraj, oglądając pomniki zgasłej chwały narodowej, jeszcze gorętszem westchnieniem łączy swą duszę z Twórcą swoim. I my też obchodząc groby, oglądaliśmy kościoły Każdy z tych kościołów słynie albo okazałością, albo pobożnością zakonników, albo znakomitą wypadkiem w dziejach naszych, albo dawnością samą.

W pielgrzymce po grobach Pańskich nikt nie omija skromnego kościoła Ś. Wojciecha, stojącego na rynku. Kościółek ten miany jest za najdawniejszy w Krakowie. Na miejscu gdzie stoi, Ś. Wojciech biskup Pragski, nauczał lud Polski wkrótce po zaprowadzeniu do nas wiary Chrystusa; było to przy końcu X wieku; a kościółek ten zaraz potem wystawiony został na cześć Ś. Męczennika. Przy tym kościółku stoi główny odwach, gdzie naprzód zawieszano zwycięskie orły polskie, ile razy wydzieraliśmy Kraków najezdnikom naszym. Niedaleko tego kościoła, ku środkowi rynku, na okazałym tronie, królowie nasi po koronacyi z niewymownym blaskiem okazywali się rycerskiemu ludowi swojemu, odbierali przysięgę ludu i znakomitszych miast swoich, odbierali hołdy książąt, przyjmowali poselstwa przyjaznych mocarstw.

Od kościółka Ś. Wojciecha, szło się zwykle do Franciszkanów; złożone tam zwłoki Ś. Salomei królowy polskiej zwiększają jeszcze uszanowanie z jakim się wchodzi do téj świątyni, w której piękne malowidła i rzeźby, wielkie kaplice i krużganki napełnione starożytnymi pomnikami. Ukląkłem tam przy grobie Pańskim; cichość zupełna wyteżyła zmysły moje, nastroiła duszę, aż tu przez kraty chóru przebił się dźwięk

arfy Dawidowej, a za nim płynął śpiew jakby anielski, a w tym śpiewie było tyle świętości, i tak się bałem żeby go nie spłoszyć ziemskim spójrzeniem, że oczów podnieść nie śmiałem.

Piękny i wspaniały jest kościół Ś. Piotra i Pawła. Przed kościołem posągi Apostołów, stráže kościoła. W kościele zadziwia śmiała kopuła, uderza kształt zupełnie różny od innych kościołów krakowskich, które są wszystkie prawie gotyckie, zajmują piękne malowania; ale najrzewniejszym uczuciem napęlnia widok skromnego grobowca księdza Piotra Skargi. Jest tam jeszcze ta sama kazalnica z której ten nasz apostoł nauczał słowa Bożego. I kazalnica spruchnieje i kościół ten w proch się obróci, ale ta groźba co się stała słowem prorockiem, ta groźba, którą Skarga upominał wielce ku zepsuciu chylących się panów i szlachtę polską, ta serdeczna prośba jego aby się obaczyli a złego poprzestali, będą brzmieć wiecznie w tęsknej pamięci, w zbolałem sercu polskiem.

Chodziliśmy czasem do XX. Dominikanów na kazania sławnego z enót i wymowy księdza Leszczyńskiego. W kościele tym piękna kaplica Ś. Jacka; ciało tego Ś. Polaka, złożone jest w trumnie marmurowej na wspaniałym ołtarzu; życie tego świętego jest wyobrażone w pięknej rzeźbie drewnianej, zdobiącej chór przed wielkim ołtarzem. Do tej kaplicy wyniesionej o jedno piętro, prowadzą wspaniale schody marmurowe, a całe jój wnętrze widać z kościoła. Z jakim to rozrzewnieniem, z jaką prośbą w oku i w duszy, musiał patrzeć w tę kaplicę lud krakowski i polskie rycerstwo, kiedy Jan III. na kolanach przed Panem, w którego rękę wszelkie zwycięstwo i wielkość wszelka, przyjmował błogosławieństwo kapłanów Jego, gdy się wyprawiał pod Wiedeń na Turka, co był zagroził całemu Chrześcijaństwu. Wiedzieli przodkowie nasi, że kto się szczerze pomodli Panu Bogu, a prosi Go nie dla dumy własnej, ale dla chwały Jego, temu Bóg da zwycięstwo. Jan III. musiał się dobrze modlić, bo bił dobrze, i nim Wiedeńczyk ochłonął ze strachu Turka, a Turek nim

x - J. Polone w jorane 18 lipca 1850 r.

się obejrzał w popłochu swoim, Jan III. rozgromiwszy jednych, uwolniwszy drugich, już Sławkowską bramą wjeżdżał do stolicy składać u stóp ołtarza zwyciężkie łupy.

W tymże kościele pomiędzy wielu innemi, jest obok wielkiego ołtarza drewniany nagrobek Leszka Czarnego, a w środku chóru leżą w marmurowej trumnie zwłoki Iwona Odrowąża, biskupa, założyciela tego kościoła i wielu innych.

Bardzo byłem ciekawy zobaczyć kościół zwany Skałką; a że Sołtykowicz zawsze wybierał nam porę najświetniejszą do poznawania pamiątek Krakowa i jego okolic, więc do Skałki poszliśmy dopiero w święto Stanisława Szczepanowskiego, kiedy był wielki odpust. Idąc do zamku, zdaleka ujrzeliśmy Skałkę stojącą na skalistém wzgórzu, nad samym brzegiem Wisły, a znacznie odosobnioną od mieszkań ludzkich. Samo już położenie téj świątyni nastraja myśl wyobraźnią silniejszą, a na widok ludu zmierzającego ze wszech stron, jak do źródła zbawienia, ludu spieszącego do cudownego miejsca po łaski nieprzebrane, i myśmy przysparzali kroku, bo serce spieszy zawsze do wspólnej modlitwy, a wszelki cud łączy je do siebie. Z uszanowaniem i uwielbieniem wpatrywałem się w ślady krwi św. męczennika, oglądałem rękę jego złożoną w skarbcu kościelnym, i gorąco pomodliłem się do św. patrona Polski za siebie i za wszystkich. Pełno pobożnego ludu, jedni się cisną do pełnego kościoła uczcić świętą krew, drudzy cisną się w około sadzawki, ażeby przemyć oczy świętą wodą, do której wrzucone było półciwiertowe ciało biskupa, zamordowanego bezbożną ręką. Cztery kamienne orły strzegą téj sadzawki, jak gdyby pomniki tych orłów, które niegdyś zniosły do kupy ciało święte, aby się zrosło.

Skałka i Zamek krakowski, jak gdyby oko w oko, patrzą na siebie. Widok Skałki był dla królów polskich niby ustawicznym rozgłosem głosu upominają-

cego; Polska kwitnęła dopóki królowie polscy na Skałkę patrzali; Polska istniała dopóki królowie polscy przygotowywali się do koronacyi uroczystą spowiedzią na Skałce, dopóki dniem przed koronacją, w uroczystym pochodzie odwiedzali Skałkę i dla uproszenia błogosławieństwa Boskiego, ukłękali z pokorą na stopniach znieważonych morderczą ręką królewską, a uświęconych krwią męczennika. Ostatni król polski nie modlił się na Skałce, to téż był ostatni; nie koronował się w Krakowie, to téż nie w Krakowie, ani na polskiej ziemi kości jego; nie przemieszkiwał nigdy w Zamku krakowskim, to téż Zamek opustoszał, i tak jak cała świetność Polski zbiegła do serc polskich, jak do twierdzy niezdobytéj, tak świetność siedliska królów polskich zbiegła do góry Wawelu. Dziś cała Polska bez życia, i zamku królewskiego tylko szkielet pozostał; ale jak dusza Polski wstąpi nazad do ciała swego, to i ty, Zamku, porośniesz dawną wspaniałością, zajaśniejesz nowemi zdobyczami, odbierzesz nowe hołdy, i całej Polsce powiewać będziesz chorągwią zwycięstwa i wolności, a krzyże twojej świątyni, na całą Polskę rzucą blask nieprzeżyty miłości i pokoju.

Ileż to razy przechadzając się po pustkach Zamku, tak sobie dumalem; a jak zmęczyłem się smutnym obrazem jego, obiegałem go w koło, szukając pocieszających wspomnień; ale jaskinia smocza zaniedbana — baszty kruszyć się zaczynają, mury się porysowały — a wewnątrz Zamku marmury i rzeźby, malowidła i złoto i wszystkie ozdoby, których niewdzięczny Niemiec obedrzeć nie mógł — porąbał, pokruszył, wapnem zarzucił; a jakby gmachowi temu, któremu wszystko ukradł, i światła zazdrościł; jak gdyby taką niegdyś świetnością jaśniejące komnaty do ciemnicy chciał zamknąć, zamurował wspaniałe okna, i tyle z nich tylko zostawił, ile potrzeba niedoperzowi, aby co wieczór wyleciał z Zamku, i w koło niego brudnym skrzydłem wypisał straszliwe słowo: *pustka*...

Rząd rzeczypospolitéj Krakowskiej w jednéj części Zamku pomieścił ubogich; kiedy nie może inaczej, to

i to myśl szczęśliwa, żeby to, co było królów polskich, oddać ubogim polskim, którzy z przybytku królów wznosząc modły do przybytku Pańskiego, może dla Polski nowych królów wymodlą.

Wychodząc z Zamku taka tęsknota uciska serce, że choćbyś nie chciał, musisz wejść do kościoła; tam dopiero głębokiem westchnieniem ulżysz sobie smutku, gorącą modlitwą kupisz pociechę, a potoczywszy wzrokiem po murach świątyni zamkowej, odzyskasz dumę narodową, jeśliś ją na chwilę utracił. Tu do stop ołtarza schroniły się orły polskie. Tu pomniki bohaterów naszych, jakby ogromne ich cienie zalegają ziemię własną, i tak się cisną do niej, jak gdyby się bały, żeby im i tego ostatka nie wydarto. Tu spoczywają ciała królów polskich, a przy nich korony i berła, i miecze, któremi byli usłużni fałszywym przyjaciołom, groźni nieprzyjaciołom, a bronili Kościoła Bożego; to téż kościół stał się ich schronieniem i obrońcą. Tu w skarbcu kościelnym skryły się ostatnie szczątki rozgrabionych bogactw korony polskiej: tu spoczęło niepoliczone mnóstwo mężów zasłużonych krajowi i Kościołowi; tu zwłoki ostatnich bohaterów naszych przyszły na wieczną gościnę do zwłok królewskich, jak gdyby na nieomylną przepowiednię, że ten zakróluje nad Polską, kto ją wywalczy. Tu zwłoki świętego opiekuna Polski, niesione przez czterech aniołów w srebrném schowaniu, spoczęły na środku kościoła, jak gdyby na błogosławieństwo całej świątyni, całemu miastu, całemu krajowi.

Tyle razy byłem w kaplicy zamkowej, a nigdy nie mogłem dosyć nasycić oczów moich, napoić duszy mojej; czy dumném okiem obejmę cały tłum pamiaątek, czy rzewném okiem przebiegam pojedyncze kaplice i pomniki, zawsze ogarniała mnie tęskność taka, jak gdybym przychodził do grobu rodziny mojej. A jakem zstępował do grobów królewskich, tak mi się serce ścisnęło, jak gdybym sam ich był grzebał. Obejrzałem naprzód grób nowy, w którym spoczywają Jan III., Poniatowski i Kościuszko; grób ten z łatwo-

ścią otwierają i jest porządny. Ale dawne groby tak są źle urządzone i tak źle utrzymane, że trzeba je parę dni pierwej otworzyć, nim do nich dla złego powietrza wejść można. Trumny i trumienki nieporządnie poukładane, niektóre z nich łatwo otwierają się. Z religijném uczuciem dotykałem ostatków wielkich królów polskich; niektórych ciała mało co uszkodzone, a war-kocze kobiet tak są lśniące i całe, jak gdyby osób żyjących. Choć łatwo było, nie śmiałem wynieść z grobów królewskich ani kawałka ich ostatków i ich szat, bo to za świętokradztwo uważałem; wyniosłem tylko życzenie, aby w lepszym zachowaniu były groby królów*), a smutek, że nie znalazłem w tych grobach spodziewanej wspaniałości, pocieszyłem nieco, idąc pomodlić się do kaplicy Zygmunatów, której pokrycie złociste tak błyszczy, jak błyszczała ich korona, której wewnętrzne bogactwa i ozdoby są świadectwem ich bogactw, hojności i smaku.

Żeby opisać wszystko, co widziałem na Zamku i w Krakowie, i w okolicach jego, trzeba by spisać ogromną księgę, i jeszcze by nie było wszystko, a dokładniej by być nie mogło, bo już piętnaście lat mija, jak na to patrzałem; to co dusza widziała, wraża się w nią coraz głębiej, ale to co oczy widziały, zaciera się powoli.

Na zakończenie wspomnień moich o kaplicy zamkowej, dodam to jeszcze, co Sołtykowicz powtarzał nam, ile razy wydarzyło się przechodzić koło pomnika Władysława Łokietka. Kiedy Karol Gustaw w czasie napadu na Polskę opanował Kraków (1655 r.), roz-tasował się w Zamku, jak gdyby w swoim, i zwiedzał kaplicę z zuchwalstwem szczęśliwego najeźdźcy, bo nawet wchodząc do świątyni, nie raczył się Bogu po-

*) Życzenie to dzisiaj jest spełnione, za co szlachetnym stróżom i opiekunom tych drogich pamiątek serdeczna wdzięczność się należy. Wszystkie groby starannie urządzone zwiedzać można, a w osobnej przy nich kaplicy odprawiają się za dusze zmarłych nabożeństwa.

kłonić. Sławny nasz ksiądz Szymon Starowolski wskazując dumnemu Szwedowi pomnik Władysława Łokietka, powiedział: „Ten król po trzykroć z państwa wygnany, trzy razy na tron powrócił.“ A Karól zawołał: „Ale wasz Jan Kazimierz raz wygnany, już nigdy nie wróci.“ „Któż wie!“ wyrzekł uroczyście sędziwy starzec, „Bóg jest wszechmocny, a los niestały!“ Na te słowa Gustaw zdjął czapkę i pokorniejszy wyniósł się z kaplicy, a wkrótce i z Polski.

Po niejakiem czasie naszego pobytu w Krakowie Sołtykowicz zaprowadził nas do biskupa Woronicza; godny to był następca tyłu wielkich biskupów, książąt siewierskich. Świątobliwy kapłan, wymowny kaznodzieja, wyborny pisarz, a przy tém wszystkiém wspomóżciel i mistrz młodzieży polskiej, bo sam Polak doskonały. Przyjął nas bardzo uprzejmie, zapraszał do siebie, sam oprowadzał po pięknym gmachu biskupim, któremu wiele przydał narodowej wartości, odnawiając główne komnaty i ozdabiając ich ściany piękném malowidłem celniejszych wypadków z dziejów Polski. Widzieliśmy tam także złocistą kolasę, używaną przez dawnych biskupów do wjazdów okazałych; ale nie były to już czasy żadnych okazałości polskich, i biskup krakowski, już ani książę, ani pan milionowych dochodów, nie okazałością, ale tylko samemi cnotami mógł błyszczeć. Stokroć to trwalszy blask od złota, bo go nie wydrze ludzka przemoc.

Woronicza mówiącego pierwszy raz słyszałem na ślubie Ludwika Sobańskiego z panną Różą Łubieńską, osobą zacną i cnotliwą. Ślub odbywał się bardzo wspólnie w kościele Panny Maryi, a że pan młody był bardzo bogaty i szumiął po Krakowie, a pannę młodą znał każdy i bogaty i ubogi, więc pełny był kościół słuchaczy. „Żona dobra,“ powiedział Woronicz, „jest to skarb, jest to zadatek szczęścia niebieskiego; komu go Pan Bóg daje, tego śnać pokochał, i ten albo już się zasłużył Bogu, albo wielki do wypłacenia przysługami dług zaciąga.“

Ludwik Sobański był to najbliższy nas sąsiad, codzień prawie do Hubnika przyjeżdżał, a zatém zjawienie się jego było dla nas przykutych do książki wielką rozrywką. On gotując się do ślubu polskim obyczajem, miał do przejeżdżania powozy i cugi, więc nas obwoził po okolicach Krakowa; a że miał zawsze upodobania wojskowe, więc jeździł zawsze z bronią, z której my strzelaliśmy: i on lubił strzelać, ale oka zamrużyć nie umiał; więc albo musiał sobie drugie oko zawiązywać, albo czapką zasuwac, albo ręką przytrzymywać, ale ciekawe oko wyrzało zawsze nim strzelił, i nie zdarzyło mu się nigdy trafić z krucicy o dziesięć kroków we drzwi, ani téż ze strzelby co kiedykolwiek zabić, a myśliwstwo wielkie trzymał i polowania bardzo lubił. Lubił wiele mówić i miał co powiedzieć, ale jękał się tak nieznośnie, że czasem na jednej zglosce, jak na sęku przez parę minut się zaciął i w około stołu tańcował na jednej nodze, nim ten sęk przełamał. Był bardzo żywy i popędliwy, ale to jękanie się nauczyło go trochę cierpliwości; był biegły we wszelkiej nauce wojskowej, chciał być żołnierzem, ale mu owo jękanie się stało na zawadzie. Był człowiekiem światłym i czytany, a kochał ojczyznę zapamiętał: znajomym kazał rąbać hołoble i wszelką uprząż moskiewską; nikomu w jego dworze nie było wolno mówić inaczej, jak po polsku; był to człowiek powszechnie lubiony, wesół, gościnnie, jedném słowem tęgi. To téż za swoją tęgość wycierpiał się cztery lata jako więzień stanu w roku 1826. Odzyskał wolność, ale stracił zdrowie: po wybuchnieniu powstania w Warszawie, wywieziony na Sybir na rok cały, do reszty podupał na siłach, i wróciwszy do domu, wkrótce żyć przestał. Był to świadek naszej młodości, towarzysz naszych zabaw, dobry sąsiad, zasłużony Polak — i nasz przyjaciel; dla tego we wspomnieniach moich, myśl i pióro za nim wybiegły.

Zwiedzając po kolei drogie wspomnieniami, powabne pięknosciami okolice Krakowa, czekaliśmy sposobności korzystnego obejrzenia tyle sławionej Wieliczki. Ujrzelśmy ją nakoniec w całej świetności, w dzień, kiedy ją odwiedzał przyszły a nieprawy jej pan, następca tronu austriackiego. Przynam się, że widokiem Wieliczki zachwycony nie byłem, bo młoda myśl moja wyobrażała w niej sobie ściany i sklepienia brylantowej jasności, odbijające sto razy wpuszczone między nie światło; jezioro tam znajdujące się wyobrażałem sobie, że ożywia nieporównanym wdziękiem tę podziemną krainę; tymczasem znalazłem ściany ciemne, ulice i pieczary ciemne, a rześiste światło, pochłonięte niejako tą wieczną ciemnością, nie zaweseliło jej bynajmniej. Piękniej się wydaje w nocy ulica najędzniejszego miasteczka, jak cała ta najświetniejsza kopalnia na świecie; a owo sławne jezioro ani je widać, tak ciemno wszędzie; sztuczne ognie spalone nad tém jeziorem, pokazały je dopiero, pokazały ogromną pieczarę, nie powabną, ale straszną, zadziwiającą, ale nie zachwycającą. Idąc do jeziora doleciał nas dźwięk muzyki, ale to nie była muzyka tych pieczar; weszliśmy do izby wysłanej tarcicami, urządzonęj do tańca: Niemki i Niemcy poprzebierani po krakowsku, swoją niezgrabnością zdawali się przedrzeźniać wesoly i zwinny taniec krakowski; ale przynajmniej tym strojem Niemcy przypomnieli sobie, że to sól krakowska, że jedzą chleb polski.

Największe wrażenie czyni tam kaplica z pięknymi posągami i ze wszelkim sprzętem w soli wykuta, lecz nie dla tego czyni wrażenie, że z soli, ale dla tego, że to ołtarz czci Boskiej i prośby ludzkiej, na którym poczciwy rzemieślnik składa dzięki za dar pracy, a prosi o bezpieczeństwo i zachowanie wśród tęg strasznej i nieludzkiej krainy.

W Wielicze wszystko jest osobliwością, ale nic wdziękiem, i najpowabniejsza chwila pobytu w niej jest wtedy, kiedy się z niej wychodzi, bo wtedy człowiek uczuje, że najpiękniejszą świata ozdobą jest światło

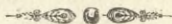
dzienne, najrzeźwiejszym trunkiem życia świeże powietrze. Często przychodziła mi ochota raz jeszcze spojrzeć z wieży Panny Maryi na Kraków i na żyźne niwy, z Bielana na Tyniec i na Karpaty, z zamku Ojcowa spuszczać się okiem w przepaście i piąć się po skałach; ale mi nigdy nie przyszła ochota, jak wiadro do studni spuszczać się drugi raz w kopalnie Wieliczki, wlać bez potrzeby o tysiąc stóp pod ziemię, i przez sześćdziesiąt dwie mile tłuc się po ciemnej otchłani, w którejby i myszy błdziły, w której żadne stworzenie żyć nie chce.

Na odpoczynek po szkolnych pracach jeździliśmy na wieś do Charzewic, majątności Soltykowicza w okolicach Wiślicy, sławnej statutem Kazimierza Wielkiego. Wiślica leży nad Nidą; z jednej strony ciągną się piękne lesiste wzgórza, z których wzrok przerzucając się na drugą stronę rzeki, widzi miasto kiedyś obronne, widzi wsie niepolicone, rozrzucone po żyźnej równinie, co zda się ciągnąć bez końca. Piękny to widok, ale jak piękny być musiał, kiedy nad temi równinami panował Król Chłopków, a jego panowanie znać było w szczęściu, swobodach i obfitości ludu polskiego.

Po odpoczynku wracaliśmy znowu do Krakowa i do nauki, przy której też bywały i rozrywki każdej porze roku właściwe. Zimą bywało się na widowiskach dość nędznych, ale swoich; bywało się trochę i na świecie, gdzie też tańce bywały, i wesołe a kraśne Krakowianki wabiły oko, ale serca nie zwabiły, bo rozdwojone serce było het daleko — a oczy szukały tylko, czy nie ma której podobnej do Xawerci, albo do Fruzi.

Tak nam uleciało w Krakowie blisko półtrzecia roku. Już myślałem sobie, jeszcze rok tylko, i wrócę do domu na Winnicę. Dumanie o domu i o Winnicy napępniało na przemiany myśl moją, przybierając ją w tak strojną barwę, że mi się nieraz oczy zaiskrzyły na widok przyszłego szczęścia. W tém wielki książe

Konstanty tak zaczął dokuczać memu ojcu, żeby nas odebrał z Krakowa, że pomimo długiego uporu musiał nakoniec posłać po nas. Miły nam był ten posłaniec, bo to był brat nasz, ale nie miło było wyjeżdżać z Krakowa nie do domu, ale do Warszawy, dla kończenia nauk w tamtejszym uniwersytecie. Smutno było rozstawać się z Krakowem, gdzie nam było tak dobrze, smutno było rozstawać się z szanownym Jegomością, co nam ojca zastępował, z kochaną Jejmością, co nas pielęgnowała tak prawie jak matka. W ciągu dwóch lat, zdarzyło się, że Jegomość połajał albo czego niepozwoił, ale przy rozłączeniu się i jemu i nam, tylko to co dobre stanęło przed oczy i zapłakaliśmy wszyscy; a poważny starzec błogosławił nas, jak dzieci swoje.



ROZDZIAŁ V.

UNIwersytet w WARSZAWIE.

W drodze do Warszawy opowiadaliśmy bratu naszemu o sobie; on nam opowiadał o rodzinie, o domu, o sąsiadach. Na noclegu mówiąc z kolei o tém, co zaszło w okolicy naszej, z zimną krwią powiada, że Fruzia poszła za Tyszkiewicza — a we mnie krew aż zakipiała — ochłonąłem po chwili, bom sobie pomyślał: już teraz nie zakłopotze mnie wybór pomiędzy dwoma aniołami, bo mi już tylko jeden pozostał — westchnęła dusza moja, jak gdybym zawołał: o ciociu kochana! i z ogromném biciem serca, a głosem stłumionym pytam:

— „A ciocia?“

— „Poszła za Chodkiewicza.“

Na te słowa krew mi zastygła — serce bić przestało — w oczach ściemniało — odetchnąć nie mogłem. Edward mnie trąca i pyta, co mi jest? — ocknąłem się, powiedziałem spokojnie, że spać chcę; rzuciłem się na posłanie — noc przepłakałem. Borukałem się z myślami, jak z niedźwiedziami — aż, dzięki Bogu! przemogła myśl dobra. *Tak Pan Bóg chciał!* powiedziałem sobie, a myśl i serce stokroć powtórzyły te święte słowa, i odtąd ani mnie zazdrość paliła, anim winował bądź kogo. Zgasł ogień w mém sercu, a tylko jak czyste złoto, została w niém dla obudwu aniołów moich, przyjaźń spokojna i wieczna. Pomodliłem się szczerze, i szczerze o błogosławieństwo Boskie dla nich

prosiłem; drżałem o ich szczęście więcj, jak o moje własne; a kiedy kochana ciocia moja, która mi się stała najwierniejszym przyjacielem, najserdeczniejszą siostrą, kiedy w kilkanaście lat potem owdowiała, serce moje tak to uczuło, jak gdyby na mnie samego spadło wdowieństwo.

Tak to w jednej godzinie osierociąło dwa razy serce moje! Zniknęły lube marzenia, a pamięć ich jak cień zazdrośny, pozostała na zawsze na straży serca mego, i jak się kto doń zbliżał, pytała: kto idzie? Nikt hasła nie znał, nikt nie wszedł — i same tylko wspomnienia przemieszkiwały w sercu mojem.

W Warszawie miałem już zupełną wolę, nikt mię nie strzegł, pokusy świata rojem uwijały się koło mnie; ale pamięć na Najświętszą Pannę i aniołów, których mi dała, niewidomą ręką odtrącała te pokusy. Były to lata najniebezpieczniejsze dla mnie, a nie było komu mnie napominać; lecz że ja miałem kogo napominać, i bratu memu młodszemu, który pod braterskiem zwierzchnictwem mojem zostawał, winienem był dobry przykład, więc i to było mi pomocą do opierania się złemu. Nie ufając, abym w dobrém wytrwał przez długo, zaznaczałem sobie czas krótki, a gdy ten dochodził, już dzięki Bogu byłem silniejszy do naznaczenia dłuższego.

Wszystko, na co człowiek patrzy, i czego doświadcza, jeśli się nad tém zastanowić zechce, jest dla niego nauką albo napomnieniem. Bóg nim zesła karę, zsyła napomnienia i w naszych i w obcych nieszcześciach, zsyła je w myślach dobrych, w snach nawet. Wiem, że się nie godzi w sny wierzyć, i wiara i rozum temu się przeciwi, ale nie wierząc w sny, można przecież z nich korzystać, obracając je ku poprawie swojej, tak jak chcemy, aby dziecko i z bajek owoc nauki zrywało. Otóż, pomiędzy nieprzeliczonemi snami, miałem kilka takich, które całe życie pamiętać będę. Właśnie około tych czasów śniło mi się, że Pan Bóg woła mnie na sąd ostateczny — zadrżałem — Pan Bóg woła — ja w strachu niewymownym; i w płaczu, najgorętszą mo-

dlitwą proszę, żebym mógł żyć jeszcze choćby odrobine, żebym miał czas poprawić się — Pan Bóg woła, a ja się modłę — przebudziłem się we łzach, pot zimny mnie oblał, strach mnie samego zatrzęsł mną; padłem na kolana, i już téj nocy zasnąć nie mogłem, a rozpamiętywałem grzechy moje, jak gdyby w dzień sądny. Inną razą, później daleko, śni mi się, że wieczorem siedzę przy oknie i dumam; ciemno w pokoju, i noc już ciemna; w tém z za okna jaskrawy blask rzucił mi się w oczy; zrywam się, spoglądam w okno, wzdłuż całego nieba widzę ogniste wyrazy i czytam: *Mane, thekel, fares*; wołam osoby obecne, prowadzę do okna, patrzcie — jeden mówi, że widzi drogę mleczną, drugi że widzi chmurkę; poglądam znów w okno i znowu czytam wyraźnie: *Mane, thekel, fares*. Zmęczony tém widzeniem, przebudzam się, przecieram oczy, i nie wiem jeszcze, czy to był sen, czy prawda; otwieram okno, patrzę i widzę, jak niebo spokojne i czyste, błyszczy i migocze gwiazdami na chwałę Temu, co je tak strojnie przyodział. O gdyby to sumienie moje mogło być tak spokojne i czyste! o gdyby tak się ustroiło dobrymi uczynkami, jak niebo gwiazdami! Tak pomyślałem westchnąwszy, a sumienie odpowiedziało: Jak zechcesz, tak będzie! Obadwa te sny, chociaż były daleko od siebie, przypadły w czasach, kiedy potrzebowałem napomnienia bardziej, jak zwykle.

Między Warszawą a Krakowem taka różnica, jak między stolicą żyjącą a stolicą umarłą. Tam wspomnienia tylko, jak gdyby upiory zaludniają opustoszałe mury, tu ruch i życie dzisiejsze, obecne; tam gmachy upadają, a tu się podnoszą; tam miasto zdaje się co chwila ścieśniać, jak kwiat więdnący, tu się rozszerza, jak kwiat kwitnący; tam skromność, ubóstwo, modlitwa, tu przepych, bogactwo, duma; ale tam swoboda, i wolno westchnąć za dawną chwałą i szczęściem, bo tam panują cienie dobrych Królów, tu nie wolno ani

mówić ani myśleć o tém co było, nie wolno nic chcieć, niczego się domyślać, bo tu panuje potwór gorszy od smoka Wawelu, potwór co potrzebuje dla napoju krwi polskiej, dla uśmiechu męki polskiej, potwór, co jedném parsknięciem zabijał sto ludzi, jedném machnięciem łapy wbijał człowieka pod ziemię na cały wiek więzienia i męki; potwór, co jedném wejrzeniem rzucał strach na tysiąc uczniów, na dziesięć tysięcy wojska, na sto tysięcy mieszkańców: kto mu się nie pokłoni, zamknięty; kto mu się sprzeciwi, wygnany; więc wszyscy mu się kłaniają, żeby nie drażnić złości jego; nikt mu się nie sprzeciwia, a wszyscy przemyślają nad tém, jakby mu spalić wnętrzności.

Taki był ówczesny stan Warszawy; niewolnictwo jawne, a zmowy tajemne i w wojsku i w szkołach, i pod czamarą i pod habitem: duszno było w Warszawie, jak przed wielką burzą; każdy się jój spodziewał, a nikt nie wiedział, zkąd przyjdzie; a tymczasem wszystko strojnie, świetnie i huczno, jak gdyby w dniu wesela i szczęścia. W Krakowie ulice puste, jak w czasie morowej zarazy, a jak powóz zaturkocze, to wszyscy idą do okien zobaczyć to cudo; w Warszawie nieustanny turkot powozów i bębnow, pełno ludzi po ulicach, po ogrodach, po przedmieściach; niby wesoło, a strach; każdy się ogląda, czy kto nie podsłuchuje, czy kto nie łapie za kołnierz. A jak zawsze i wszędzie, tak i tu najmniej strachu między uczniami, najwięcej pomiędzy nimi ochoczego gwaru. W Krakowie wszyscy prawie znają się, jakby jedna rodzina; w Warszawie towarzystwo już bardziej podzielone: są grona, gdzie noga moskiewska nigdy nie powstała; są inne, gdzie muszą ich przyjmować, choć po trochę; są grona bogaczów, szlachty, kupców, wojskowych, cudzoziemców, mieszczan; a Moskale nigdzie dobrze widziani, chyba u moskiewskich duchów, Moskale wszędzie do towarzystwa polskiego wpraszają się uważając je sobie za cześć najwyższą, a nie mogąc się wprosić, trzymają się w osobnym gronie, gdzie jak do rynsztoków, wszystko to ścieka, co brudne.

I uniwersytet téż inny, jak w Krakowie: tam nauczyciela i ucznia po tém tylko poznać, że ten siedzi na krześle, a ci w ławkach; w Warszawie co to wszystko naciągane na kopyto wojskowe, nauczyciel i uczniowie w mundurach, a przy drzwiach draby. Wielki książe, co prawie nie miał nosa, a wszędzie go wścibiał, mięszał się i do uniwersytetu, łapał uczniów, pakował do kozy, groził im okrutnie; a uczniowie zawsze hardo stawali i drabom swoim i tym nauczycielom, których nie lubili, i nie przestawali chodzić po mieście po obywatelsku. Pośrednikiem między okrucieństwem a swawolą był niewychwalony zwierzchnik uniwersytetu, ksiądz Szwejkowski; on czuwaniem swoim uprzedzał wszelkie grożące niebezpieczeństwo uczniom i samemu uniwersytetowi; on jedném słowem przyprowadzał do posłuszeństwa zbuntowaną młodzież, bo każde jego słowo oddychało miłością ojcowską, bo w każdym słowie przebijała się ostrzegająca trwoga o istnienie uniwersytetu, co tyle obiecywał Ojczyźnie, co już się był wzmógł do niepospolitej świetności. W owéj epoce (1824—1825) uniwersytet warszawski miał przeszło 1200 uczniów, miał liczny księgozbiór, bogate zakłady, obszerne gmachy i wielu dobrych nauczycieli. Wykład literatury polskiej był najświetniejszy, a było do niego dwóch nauczycieli: szumny Osiński i serdeczny Brodziński; pierwszy był dobitnym wyrazem zapleśniałej starzyzny, drugi wyobrazicielem wzrastającego postępu. Brodziński dopiero nabywał sławy, cichy, spokojny, czuły, żołnierz i poeta; Osiński zarozumiały, nadęty, dowcipniś i wierszopis, a tak roztrąbił swoją sławę przesadném czytaniem na tępa, że pierwszy raz przychodziło się na jego wykład, jak do wyroczeni, jak na posłuchanie do mocarza wszystkich rozumów. Na wykład Brodzińskiego szło się, jak do poufatego przyjaciela, a wychodziło się zawsze z sercem rozczuloném i ze łzą w oku. Wychodząc pierwszy raz z wykładu Osińskiego, wspomniałem sobie na sławne *parturient montes, nascitur ridiculus mus*. Pomimo to wykład Osińskiego był uprzywilejowańszy, przychodzili nań

panicze i kobiety wielkiego świata; pan Osiński spieszy tam z jakiegoś obiadu, gdzie bawił ostrym dowcipem, wpada do domu, porywa co mu się nawinie ze starych szpargałów i parę książek na zapas; leci, już jest, już się wysapał i wśród oklasków poważnie zasiada: dopiero patrzy, co tam za papier złapał; jeśli trafił szczęśliwie na dalszy ciąg przeszłego wykładu, to zaczynał od słów: *w dalszym ciągu* i t. d., jeśli co innego porwał, cedzi przez zęby, że dla odmiany przedmiotu będziemy dzisiaj rozbierać co następuje: i dopiero czyta, bo nigdy nie mówił; czyta gładkim i posuwistym językiem, a głosem donośnym i miłym; szumu wiele, ale rzeczy mało; a jak wpadnie na wiersze, to te, które chce pochwalić, czyta wspaniale, które chce zganić, czyta ślamazarnie, i wady wiersza naciska głosem złośliwym. Nowością wtedy był Mickiewicz, co utworami swojemi jak racą wymknął się z pomiędzy tłumu do góry, i sygnął niegasnącemi gwiazdami: jedni ten dziw pojęli, drudzy nie jeszcze, ale wszyscy patrzają na niego. Zazdrośny Osiński spotkawszy się kiedyś z *Dziadami* Mickiewicza, przeczytał:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.

Co to będzie, co to będzie?

A nieczytając dalej, rzucił książkę dogadując:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,

Głupio było, głupio będzie!

Taki był dowcip Osińskiego.

W Warszawie bawiłem się daleko więcej, jak w Krakowie, miałem pięknego konia, na którym codziennie prawie oblatywałem wesołe okolice Warszawy, wyjeżdżałem na świetne przejażdżki, albo też widzieć obrotu wojska polskiego.

Co też to za śliczne było to wojsko polskie! Człowiek w człowieka, koń w konia, a wszystko lekkie i zwinne, dziarskie i wesołe. Na każdym przeglądzie wojska polskie występowały z moskiewskimi: ten sam wódz, ten sam przepych, a jeszcze więcej wyszukania

w wyborczych pułkach moskiewskich, ale coś szlachetnego nie tylko w pojedynczym żołnierzu, ale w całym hurcie wojska, dawało wojsku polskiemu wyższość niepospolitą; i chociaż stał czasem pułk małych strzelców obok ogromnych drągalów moskiewskich, było czuć jednak, że mali pobiliby. Wziąwszy osobno żołnierza albo oficera polskiego, i porównawszy z żołnierzem i oficerem moskiewskim, to choć ci już trochę wyzgrabnieli w Warszawie, była jednak ogromna różnica; u Polaka swobodna ruchawość, u Moskala wymuszona zgrabność; u Polaka postawa gęsta, chód zwycięzki, a Moskal chodzi zwyczajnie jak nie po swoim gruncie, jak gość, któremu nie radzi, i ogląda się rychło go za drzwi wyproszą. W wojsku moskiewskiem byli też i Polacy, bo jak kto z Litwy albo z Ukrainy przyjechał zaciągnąć się do wojska polskiego, a przedstawiając się wielkiemu księciu, nie podobał mu się z wejrzenia, tak książę po-ylał go do wojska moskiewskiego; Polak w moskiewskim mundurze tracił zucho- watość, bo wstyd niezasłużony oblekał twarz jego ponurym smutkiem.

Lubiłem też jeździć do obozu pod Powązkami, gdzie miałem wielu znajomych; pod ich namiotami używając żołnierskiej gościnności, przysłuchiwałem się muzyce wojennej i obczowemu gwarowi. Z powrotem do Warszawy obiegając wały miasta, przypominałem sobie dawne bitwy na tych polach, i pomyślałem sobie, może też kiedy jeszcze tak będzie, jak bywało. Na smętarz powązkowski wstąpiłem nieraz, bo tam zwłoki wielu z ostatnich bohaterów Polski, co przy obronie miasta polegli: pomiędzy rozmaitemi nagrobkami naj- lepiej mi się podobał napis pełny wiary i nadziei: *tandem felix*.

Jednym z najprzyjemniejszych miejsc około War- szawy są Łazienki; jechało się do nich albo przez szpaler belwederski, albo koło Wiejskiej kawy. Ile razy spojrziałem na pomnik Jana III. stojący na moście naprzeciw Łazienek, zawsze mi się przypominał napis

przyklepiony do pomnika nazajutrz po wystawieniu jego przez Stanisława Augusta:

Sto tysięcy kosztuje, jabym dwakroćłożył,
Żeby August skamieniał, a Jan Trzeci ożył.

Nigdzie nie widziałem tyle pięknych kobiet, ile w Warszawie; prawie wszystkie piękne, hoże; czy brzydkie pochowały się, czy ich nie było, nie wiem. W Warszawie tańców bez liku; tańczą w zamkach, w ogrodach, w mieście, za miastem, w lecie i w zimie. W lecie rozłazą się na wszystkie strony; pełny ogród Saski, pełny ogród Krasińskich, pełno ludzi po szpalerach, i po okolicach, a to wszystko w dzień Zielonych Świątek zbija się w jeden hurt, i sunie na Bielany. W południe ze wszystkich ulic, powozami, konno i pieszo ściągają się ku staremu miastu. Od Zamku już łańcuch nieprzerwany ciągnie się przez Zdroje, Fawory, po nad Wisłę, aż do Bielan. Wszyscy w najpiękniejszych powozach, na najpiękniejszych koniach, w najpiękniejszych, jakie mają strojach; wesołość i ochota zabawy grają na wszystkich twarzach; odkryte powozy chwala się pięknnością pań swoich, a zręczny jeździec przegląda szybko ponętne niewiasty, chciałby na każdą dłużej popatrzeć, ale każdemu pilno znaleźć swoją, a jak znajdzie, jedzie przy niej, jak pies na uwięzi; chciałby, żeby ją wszyscy widzieli, ona żeby na nikogo nie spojrzała, a on żeby się z tego panoszył, że na usługach u tak pięknej pani. Ja byłem panem, a pani nie miałem; na bystrym koniu uganiałem na wsze strony, a powstrzymawszy konia, albo patrzałem w lewo, na łańcuch powozów i ludzi, co się wyciągał od Warszawy aż do Bielan, albo spjrzałem na prawo, jak nurty wspaniałej Wisły wyścigają się goniąc za tratwą, albo za statkiem pełnym strojnego ludu, co chyzem wiosłem pędzi do Bielan. Mały kościółek na górze zarosłej wesołym lasem, co się położył wzdłuż brzegów Wisły, i kilka domków, oto początek Bielan, a koniec ich w lesie, tam gdzie się kończą gromady bawiącego się ludu. W kościele nabożeństwo, przy kościele mały

smętarz, przy drzwiach smętarza przedają obrazki i różańce; dalej nieco już zastawione stoły, a na nich rzeźwiące napoje; dalej rozmaite gry, dalej tańce; spłoszone ptaki uciekły, a po lesie brzmi wszędzie wesołość ochoczego ludu; już noc zapadła, a światełka, niby gwiazdy leśne, przyświecają zabawom i tańcom.

Zbliżał się dawno oczekiwany sejm 1825 roku. Posłowie zaczęli się zjeżdżać, ruch stolicy coraz się wzmagał. Byłem bardzo ciekawy sejmu, a zamiast sejmu widziałem tylko nadętą wesołość i przepych, bo od czasu śmiałego postawienia się Niemojowskich, sejm się odbywał przy drzwiach zamkniętych; tylko pierwsze i ostatnie posiedzenie sejmowe odbywało się przy drzwiach otwartych: ale nikomu nie było wolno wejść bez munduru przynajmniej obywatelskiego, a wielki książę przed zaczęciem posiedzenia przeglądał zgromadzenie, i kto mu się nie podobał, tego za drzwi furował. Byłem na zamknięciu sejmu, bo na otwarcie jeszcze mój mundur nie był gotowy. Już wszyscy senatorowie i posłowie byli na miejscach, już i wielki książę jako deputowany z Pragi zasiadł na miejscu swoim, a mileczenie strachu usiadło na wszystkich ustach; otwały się boczne podwoje, szambelanowie i adjutanci ustawili się przy stopniach tronu, a car moskiewski niby król polski — co mi tam za król w jeneralskim mundurze bez berła i korony! — stanął przy tronie, jak gdyby obawiał się go zasiąść, i donośnym głosem odczytał po francuzku mowę dość cierpką, z której już zniknęły wszelkie dawniejsze przywołania się do narodu polskiego, a przebijają tylko groźba, że car moskiewski może zgnieść Królestwo Polskie. Na mowę królewską odpowiedział pokornie prezes senatu, Zamoyski. Nie tak to bywało za czasów Jana Zamoyskiego.

Przy zamknięciu sejmu dzień po dniu były uczyły bardzo świetne, to u namiestnika, to u pre-

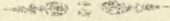
zesa senatu, to u dostojnych urzędników, to w miejskim gmachu.

Wszędzie car przymilał się do kobiet, wielki ksiązę dziwaczył, a młodzież ochocza nie zważając ani na jednego ani na drugiego, każdy w skocznym tańcu bujał ze słiczną tancerką. Na uczcie miejskiej widziałem po raz pierwszy obrazy żyjące, które w jednej z izb pobocznych w koło były ustawione. Tegoż wieczora całe miasto było oświecone, ale to tak oświecone, że w każdym oknie każdego domu musiało być przynajmniej dwie świece łojowe; niechajżeby ich nie było, gospodarz miałby się z pyszna. Ztąd się pokazuje, że nie ma nic jaśniejszego, jak wymuszony zapal.

Sejm się skończył na podaniu prośby do króla, król skończył na rozdaniu dostojenstw, gwiazd, krzyżów i pieniędzy polubieńcom swoim; a ja skończywszy rok szkolny, dumnie jak nowi pułkownicy do pułków swoich, jak car do stolicy swojej, jechałem ze stopniem magistra do domu. Wdzięczność ucznia przemogła nad niecierpliwością powrotu do domu — wstąpiłem do Krakowa, pochwalić się magistrowskim stopniem i ucałować ręce zacnego Sołtykowieza, co ciąglemi a nauczającemi listami nie przestawał czuć nademną, dopóki mu dni starczyło.

Eustachy jeszcze nie był skończył nauk w uniwersytecie, więc odwozłem go znowu do Warszawy; a że mi ojciec wracać nie kazał, więc i sam w Warszawie zostałem, a nie mając co robić, zacząłem chodzić do wydziału skarbowego, bo tak sobie na ów czas młodzież upodobała. Aż w zimie przychodzi wiadomość o śmierci Aleksandra. W Warszawie Konstanty spędzał wszystkich do przysięgi Mikołajowi, ale z moskiewszczyzny przebijały się wieści o szemraniu z powodu wstąpienia Mikołaja na tron, bo wielu tam chciało, aby porządkiem starszeństwa, pominięto zrzeczenia się

tronu, panował Konstanty. Przebąkiwano nawet o zaburzeniu w Petersburgu; inni mówili, że nastąpi przyłączenie ziem zabranych do Królestwa Polskiego, a wszyscy spodziewali się wielkich odmian. Ja nie mając w Warszawie żadnych obowiązków, a sądząc, że na wszelki wypadek lepiej, aby każdy był na swoim miejscu, kupiłem kocz, włożyłem go na sanie, i w końcu grudnia pocztą do domu ruszyłem z tą myślą, że co będzie to będzie, ja na tym zyskam, bo wstąpię do ciotki.



ROZDZIAŁ VI.

POWRÓT DO DOMU.

Za moim powrotem do domu, nadeszły wypadki, ale wcale inne od tych, jakich się spodziewano. Bunt moskiewskie poskromiono w Petersburgu i w Wasylkowie, a ich naczelnicy poszli na szubienicę umrzeć męczeńską śmiercią, na okupienie przyszłej wolności ludów słowiańskich. Mikołaj wstąpił na tron po stopniach krwią polanych, i nie pośliznął się; a jęk powszechny powiedział: Będzie to car nad carami — potwór nad potworami! Badania moskiewskich więźniów wydały związek polski. Zaczęto więzić w Warszawie, a za dni kilka kibitki już się uwijały po Wołyniu, Podolu i Ukrainie, a rozgłos ich dzwinków zasmucił całą Ukrainę bardziej, jak rozgłos grobowego dzwonu; bo dzwon grobowy ogłasza, że człowiek stanął przed sądem Boga sprawiedliwego i miłosiernego, a dzwonek kibitki donosi, że człowieka cnotliwego porwano przed sąd mściwego cara, co jak szatan cnoty nienawidzi: dzwon pogrzebny donosi koniec biedzie ludzkiej na tym świecie, a dzwonek kibitki donosi o początku męki ludzkiej, którą car bawi się z szatańską przebiegłością i złością.

Porwano Moszyńskiego Piotra, Sobańskiego Ludwika, Iwaszkiewicza Anzelma, Karwickiego, Czarkowskich, Ciszewskiego Feliksa, Grodeckiego, Marcina Tarnowskiego, Mikołaja Worcella, Tyszkowskiego, Ciechońskiego Jakuba, Jana Poniatowskiego, Chodkiewicza

Aleksandra, Pułaskiego Kazimierza i innych. Czarna żaloba zasepiła na długo całą krainę; męczennicy nasi cierpieli, ale nikt przez nich nie cierpiał, to też imiona ich poszły w cześć i poszanowanie.

Przy każdej biedzie ludzkiej i śmiech znaleźć się musi. Kiedy tak porywano wszędzie i każdy prawie mógł się porwania spodziewać, Proskura stary ubolewając nad dolą współobywateli, nigdy się jój dla siebie nie spodziewał. Śpi w najlepsze, śni mu się, że więźniowie wracający wstąpili do niego; rad miłym gościom, budzi się wesoło, a nad nim moskiewskie draby; nim przetaił oczy, już na kibitce; nie dali mu się ani z żoną wyplakać, ani się pomodlić, taszczą do Petersburga, zamykają w ziemi, jak stare wino; po dwóch miesiącach strachu ogromnego przyprowadzają przed sąd wojenny; sędziowie przypatrują mu się, spojrzeli po sobie, powiedzieli — zdaje się, że nie ten; sprawdzają, nie ten — i słowa nie zapytawszy, ani też przeprosiwszy, kazali wypuścić. Poczciwy starzec rozchorował się z radości i tylko co nie umarł.

Przestali porywać, uspokoiło się na Ukrainie, bo każdy się spodziewał, że nic się nie pokaże, i że lada dzień wrócą mu przyjaciele i sąsiedzi. Tą nadzieją każdy się krzepiąc, wrócił spokojnie do swoich zatrudnień i ze swobodną myślą używał uciech wiejskiego życia.

I ja też zacząłem roskoszować życiem swobodnym i wiejskim; odwiedzałem miejsca dawnych dumań moich; na szybkich rumakach przelatywałem łąki i pola, góry i lasy. Kto nie latał na koniach ukraińskich po ukraińskich polach, ten nie zna wielkiej rokoszy. Rozdęta pierś pełna wonnego powietrza, a jeszcze łakoma, chciałaby cały wiatr połknąć; rozigranemu jeźdźcowi skaczą góry i lasy, a jak się wymknie na pola, pszenica jak panu wszechwładnemu swym kłosem sypie złoto i pokłony, biała hreczka oddaje mu całą miodową woń swoją, skoszone siano swoje ostatnie technienie; ani zwierz ani ptak żaden nie śmie z nim pójść na wyścigi, wszystko umyka mu z drogi: ogień konia

przebiega po żyłach jeźdźca, ogień jeźdźca dodaje koniowi pędu i siły, i koń prędkiej leci, jak gdyby sam leciał, i leci coraz prędkiej — koń i jeździec stali się jedno, jeździec koniowi głową, koń jeźdźcowi nogami; gdzie jeździec zamysli, tam koń leci a leci, gdzie pochyli się jeździec, tam i koń jego jak błyskawica zarysuje w powietrzu; jak myśl jeźdźca tak jego rumak wywija, a gdy się myśl zatrzyma, to i koń staje jak wryły — i znowu za myślą jak piorun wylata, i leci, dopóki mu pan każe, albo dopóki z ostatnim skokiem nie wyda ostatniego tchnienia; ale pan takiego bieguna strzeże, jak nóg swoich. Na takich to biegunach młodzież ukraińska odbywa pohlanki, za którymi tęskni, jak dziewczyna za tańcem.

Zjedzie się młodzież do Hubnika, jeszcze czas polowania nie przyszedł, dzień długi, a młodzi nie lubią pokoju, więc z pokoju do stajni; tam wyprowadzają konie jedne po drugich, a gdy się oczy nacieszą wysnuką ich szyją, suchemi nogami, ognistą chrapą i groźnym okiem, młodzież zazdrości im swobodnych wybryków i skoków; krzyknemy: Siodłać konie! — i w mgnieniu oka dziesięć, piętnaście koni przed gankiem. Ten wskoczył jednym susem i już na koniu, ten opatrzył uźdę, przymierzył strzemiona i siada rozważnie, temu się koń wymknął, ten się wydrapał z koniem na kamienne schody, tamten już za bramą sady przez ogromne dęby, nakoniec wszyscy w szeregu jadą przez wieś, tak spokojnie jak mogą; a skoro się wymkną za wrota, jak gdyby kto niemi strzelił, lecą — rozprysnęli się po łące, i każdy na swoim rumaku zawija osobny taniec, a wszyscy razem; wymijają się, krzyżują się, ścigają się; jedni lecą na drugich z ogromnym pędem, i kiedy pobocznym widzom aż duch się w piersiach zaparł z obawy, że się rozbiją jedni o drugich i ludzie i konie, oni w pędzie tuż przy sobie osadzili konie, aż się w ziemię wkopały, zwrócili je w miejscu, i każdy mknął w swoją stronę; ten temu zerwał czapkę w pędzie, wymija go, czapkę rzuca, a sam ułyka, ten co temu goniąc, zwiesił się na koniu, i już zdjął czapkę;

ei z kopijami pędzą ku sobie, jak na ostre; tamci w młynka końmi zawodzą i tną się pretami, niby w szable; inni w czwale konia z krócie palą do czapek. Rozochoceni jeźdźce i konie, jeźdźce się śmieją, konie już spienione, a jeszcze głośnym parsaniem wyzywają się wzajemnie; aż jednym pędem wszyscy na spoczynek wylatują na górę; tam już zgoda między końmi i między jeźdźcami, koń stoi spokojnie, boby w przepaść skoczył, a jeździec pasie oko cudnym widokiem Hubnika.

Pomiędzy dwiema górami położyła się obszerna płaszczyna, z jednej strony zamknięta lasem, z drugiej przecięta Bohem; przez tę płaszczynę trzy bujne strumienie pędzą z lasów, zatrzymany strumień rozlewa się w staw, a hojnym darem okupiwszy się ludziom, pędzi do Bohu. Na tej płaszczynie po nad brzegi rzeki, stawów i strumieni, osiadły rzędem białe chaty, każda ogrodem przypiera do wody, przy każdej obszerna stodoła i wysokie stogi. Pod koniec wsi od strony lasu wysoka ze skał piętrzy się mogiła, gotowa podstawa na kościół Boży; koło mogiły ku wsi, ogromna stodoła i toki pańskie, a na nich jak miasto sterty ustawione w ulice, a choć sterty gęste a tok szeroki, nie stało miejsca, i jeszcze liczniejsze sterty wybiegły za wieś na górę, a kto spojrzy, czyta na nich — tu głodu nie będzie — i tak było we wszystkich wsiach mojego ojca. Na drugiej górze dwór biały panuje nad wsią i nad całą okolicą, ogrody jego stoczyły się z góry aż do Bohu i popłynęły z wodą i z nią razem wymknęły się oczom patrzących, gubiąc się pomiędzy skałami, co szybko skręciły Bohem na lewo. Na prawo za Bohem, Batów, a koło niego wały obozów polskich; na lewo za patrzącymi, *Semy mohyły*; siedem mogił rzędem położyło się na wysokości grzędzie, pod niemi w zgodzie spoczywają Polacy i Kozacy — dosyć im było niezgody za życia. — Jeźdźcy gorzkim wspomnieniem tak się zasepili, że aż ich konie głowy zwiesiły; spojrzeli po sobie, westchnęli nad dolą braci co się wadzili z sobą, dopóki ich nie pogodziła wspólna,

niewola. Dowcipny żarcik rozpędzi smutek, natchnie nadzieją, i znowu wszyscy weseli, spuszcza ją się powoli ku wsi, bawiąc się jęj czarującym widokiem; już wyjechali na drogę bujnie wysadzoną rozlicznem drzewem; poleciał kozak naprzód, zamknąć wrota, a dziarska młodzież jeden za drugim wskoczyła do wsi, jak ich przodkowie wskakiwali na wały, jak i oni kiedyś może, na harmaty moskiewskie wskakiwać będą.

Po takiej pohulance wesłe śniadanie, i myśl ludzka weseli się dzień cały. Ochozca młodzież albo kulami z króćcie wróble strzela, albo tnie się w pałasze, albo po skałach się drapie, albo skacze do wody; wieczorem gawędka przeciąga się w noc późną, a do dnia już jeden drugiego budzi, jeden drugiego uprzedza dowcipną a niewinną psotą: i tak lecą dzień za dniem, bez troski i kłopotu. Bo jakaż troska lub kłopot ukraińskiemu dziedzicowi — on pan samowładny na wsiach swoich, a w rządach nad państwem swoim, dogadza jak chce sercu swojemu; on jak król dobry, chwile swoje coraz nowemi dobrodziejstwami; albo jak zły Car coraz nowem okrucieństwem, liczyć może; on gdy chce, wszyscy go kochają; gdy chce, wszyscy się go boją; on niczego nie potrzebuje, bo wszystko mieć może, i dobrą żonę, i dobre dzieci, i dobrych przyjaciół, i dobre sługi, i wszelki dostatek, i dobrych sąsiadów, byle sam był dobry. A taka tam pełność życia, że kto jęj zakosztował niezepstem sercem, temu wieś rajem, a kto ją utraci, ten tęskni za nią, jak ptak za powietrzem, jak ryba za wodą.

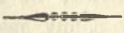
Chwile mojego pobytu na wsi, były mi wdziękiem i roskoszą, dzieliłem je między rodzeństwo, krewnych i przyjaciół co byli dokoła Hubnika. Na rozstawionych biegunach, jak na skrzydłach przelatywałem ogromne przestrzenie; dopiero na rozkazach ojca, za chwilę już u nóg matki, bawię się z małą siostrzyczką, albo cieszę się dorastającą siostrą, co już zajaśniała wdziękami na całą okolicę, jak róża jaśnieje nad trawnikiem, i nad kwiatami co z niego wybiegły.

Gdzie piękna i bogata panna na wydaniu, tam dom wesoly; jednego tylko wybiorą, a wielu w zalotach, bo nikt nie wie o nieszczęściu swojém, a choć się już go domyśla, jeszcze przyjeżdża, albo że nieszczęściu nie wierzy, albo że chce je zagłuszyć huczną zabawą, zaślepić widokiem niewdzięcznej piękności. I w domu mojej matki częste zabawy i tańce, tłumne przejażdżki do sadów i do pasiek, tłumne odwiedziny sąsiadów: zabawa z zabawy wyradza się, jak później smutek ze smutku; dopóki więc kolej zabaw niewinnych, hulajmy wesolo.

Do Hubnika często zbiegała się młodzież; przebaknął który, że gdzieś tam o kilka mil miały się zjechać panny, wnet krzykną wszyscy: jedźmy! a tu czasem taka bezdróż, że ani kołami ani saniami; a konno? dobrze, konno! I zaraz wychodzą wierzchowce rozstawić się na dwóch albo trzech miejscach, a tymczasem wybieramy się w drogę; tłumoczek za siodło, dwururka przez plecy, i pędem lecimy; w pędzie polujemy na zwierza lub ptaka, co się nam nawinie; w pędzie zbryzgani wlatujemy na dziedziniec, jakby najezdnicy jacy, a po chwili już każdy w trzewikach i z niczego huczna zabawa, bo hoże panny i dziarska młodzież. Po tańcach panny jeszcze półśpiące marzą o swoich i nie swoich tanecznikach, a ci wietrznicy po ostatnim poskoku ostatniego mazura wskoczyli na konie, i jak przyjechali, tak odjechali niespodzianie. Powstawały panienki, stroją się, nie wiedząc, że już nie ma do kogo. Nie jedna może już nigdy nie zobaczy tanecznika swego, choć długo a może i zawsze będzie przed jej myślą, a jak zamrzą oczy, przed jej oczyma. Może ten wietrznik słówkiem żywém, choć go nie wziął z serca, trafił do serca, zakłócił spokojność, losu pozabawił. O biedna dziewczyna! A ty, wietrzniku, co dla swawolnej próżności niewinnemu aniołowi zmaciłeś cały zdrój życia — tyś zbrodniarz!

Może nie jedna taka zbrodnia ciąży i na mnie, bo i ja byłem próżny, a próżności szły w pomoc i majątek i młodość; miałem próżność podobania się wszystkim

kobietom, choć mi żadna nie była ani na myśli, ani na sercu, a choć miałem sumienie żadnej nie uwodzić, nie raz jednak półśłówko wywołało dziewiczy rumieniec, a ja ten rumieniec cheiwie połknąłem oczami, nie pomnąc, że cudza spokojność to trucizna. Gdzie tylko piękna panna, wszędzie probowałem, czy się nie zakocham — niegodziwa to próba! Nie zwiódłem ja żadnej dziewczycy, bom żadnej nie powiedział, że ją kocham, bo żadna nie zakrólowała w mém sercu: i choć żadna nie mi wymówić nie może, jednak sumienie moje nie raz mnie oskarża, i nie raz już prosiłem, aby tym wszystkim istotom, które ja choć cokolwiek zasnuć, Bóg zapłacił z tego szczęścia, jakie mi na ziemi przeczynał; nie raz prosiłem Boga, aby mi tak przebaczył cudze niepokoje, jak ja przebaczyłem tym, co mnie kiedykolwiek, czy to na długo, czy na krótko pokój odjęły.



ROZDZIAŁ VII.

PODRÓŻ NA KAUKAZ.

Zbliżało się lato. Mój ojciec co nie miał nigdy zwyczaju mówić pierwój jak robić, a u którego wszystko zawsze i do wszystkiego było gotowe, wychodzi na ganek:

— „Héj! koniuszego — Mospanie, jutro jadę na Kaukaz, kocz sześciu końmi, bryczka kuchenna czterema końmi, srebra na 12 osób — czterech luźnych kozaków, i cztery siodła.“ Koniuszy odpowiedział — „Słucham Panie“ — odwrócił się, skoczył do stajni, do wozowni, do masztarni, do kuźni. Kuchmistrz posłał kuchtów do szafarza, i jeszcze przed wieczorem konie pokute, powóz zatoczony na dziedziniec, bryczka przed kuchnią upakowana.

Z Charpaczki od mego stryja, gdzie były miłe panienki, pędzę na koniu żeby się nie spóźnić na obiad, a kazałem był powiedzieć żem do pasieki pojechał; z góry o ćwierć mili, widzę powóz na dziedzińcu; myślę sobie: goście, a kiedy goście to radość; ruszam na przełaj, przesuwam rowy i krzaki, i płoty i wrota; na dziedziniec wjeżdżam stępą, bom poznał że to nasz kocz. Przy obiedzie pytam:

— „A gdzie ojciec pojedzie?“

— „Na Kaukaz — a który z was chce jechać?“

— „Edward był z ojcem przeszłego roku, to ja pojadę.“

„Idźże się wybrać, a każ nabrać prochu i śrótu, bo tam nie dostanie, a jest co strzelać.“

— „O wiem że jest co strzelać, Edward mi nagadał, co to on tam pozabijał orłów, bażantów, kuropatw, sarn; ale zasiadać po całych nocach tak jak on, na to żeby jednego dzika zabić, niepodejmuję się.“

— „No idź, wybieraj się, nagadasz się w drodze.“

Wyszedłem; ja też także miałem komu rozkazywać; wszystko się sposobi, a jak się zmierzchno już mój koń ulubiony, na którego nikomu nie było wolno sięść, idzie wesoło; wskoczyłem — koń rzucił się naprzód — a ja go jeszcze cuglami trzepnąłem po szyi — przyłożyłem się do niego — domyślał się, jak się kopnie, w ćwierć godziny przeskoczył milę ukraińską. Przebawiłem u matki noc całą, pożegnałem ją smutnie, bo to podróż na kilka miesięcy; nadedniem nie zwalnając koniowi, całym pędem przybiegłem do domu; ja wyspię się w drodze, a koń odpocznie na trawie, gdzie będzie hulał dopóki nie wróce.

Za parę dni wyjechaliśmy na step jak na morze; ani tam gór ani lasów, ani widać ludzkiego mieszkania, ani się spotkać z głosem ludzkim, ani z rozgłosem nawet. W południe skwaro, a cisza śmierci; ptastwo pochowało się w trawę, zwierzęta po norach i burzaczach, po nad ziemią ruch w powietrzu jak gdyby wrzało, niebo poszarzało od pary, duszno jak gdyby powietrze uciekło. Para powietrzna zbiera się w chmurki białe, przezroczyste, ledwo okiem dojrzane; chmurki te poigrają trochę i spadną w rzeźwiących kroplach; niebo pociągnie się błękitem; zemdlące kwiaty stepu ożyją; słońce jaśniej zaświeci; orzeł leci do słońca osuszyć swe skrzydła; zajęc wybiega na drogę strzepnąć się; drop strażnik stepu, powstawszy przechadza się poważnie; rozliczne muszki brzęczą w powietrzu; skowronek kończy wieczorem pieśń rano zaczęta. Kocz już spuszczone, konie raźniej biegną, a dwa psy legawe po dwóch stronach drogi strychują, i nie wolno im stanąć chyba do pardwy, albo do stada kuropatw. Tak polując rano i wieczór, a w dzień chowając się przed upałem

jak można, przejechaliśmy wzdłuż Posiedlenia, Ekaterynosławskie i Chersońskie stepy, spotykając co dzień jedną albo dwie wioski, a co parę dni jakieś miasteczko.

Przy każdej wiosce porządne toki i stajnie, i liczne stada; w każdej wiosce kiryńnicy albo ułani uczą się obrotów, to konno to pieszo; w każdej wsi porządne zabudowanie oficera, a nędza po chłopach. Zajezdnych domów nie ma tam nigdzie prawie, więc się zajeżdża do chłopca, a zastaje się same baby i dzieci.

— „A czy wam tu dobrze?”

— „Ot widzi pan jak dobrze — stare baby i bieda w domu; parobcy albo na obrotach albo młóćą kapitanowi, kobiety poszły siano gromadzić, a w domu nie ma kto, i nie ma z czego obiadu zgotować; a jeszcze teraz na przednowku tak ciężko.”

— „A wszak macie toki gromadzkie.”

— „A kiedy z nich nie nie dają tylko groch zgniły, i to na odrodek; a jak człowiek rozchoruje się z biedy i z pracy, a jak wezmą do bolnicy, to mało kto z niej do domu wróci; trzymają i głodem morzą, póki nie umrze.

— „A na cóż trzymają?”

— „Na to, żeby długo rachował się za słabego, i żeby starszyna miała co kraść; czasem już kilka miesięcy jak człowiek umarł, a jego liczą zawsze za chorego, aż do końca roku, a czasem i dłużej; a jak ma przyjechać jaki generał, to tego dnia dają dobrze jeść, dają kosztować wino i wachać cytrynę. Generał pyta się — a macie wygodę? a tu za generałem stoi lekarz, to trzeba powiedzieć — mamy — a miał ty cytrynę? — miał — Oj! panie, większa nam bieda jak chudobie u dobrego gospodarza.

— „A pociężście uciekali z Ukrainy od pańów polskich?”

— „Jest tu wielu takich co ztamtąd od państwa pociękali; oni pociękali bo im burłacy i czumacy nagadali, że tu plastrami miód po stepie wala się, ale

nas, to przygnali tu ze skarbowych dóbr aż z za Moskwy, i takich tu więcej.“

— „To uciekajcie kiedy wam tak źle.“

— „Gdzież panie uciekać, tam dalej takie stepy że nie ma ludzi, a jak złapią, to biją do śmierci.“

W innej wsi zajechaliśmy na popas do pułkownika; tam zupełnie inny obraz; służba, obfitość wszelka, porządek; pokazywał nam stada, stajnie, poprowadził nas na wojskowe obroty; wszystko porządnie na oko, tylko moskiewskim obyczajem brak koni; gospodarstwo także porządne, i to niby skarbowe. Na rządców tak tu, jak i w całej Małorosyi, i na całych stepach, starają się mieć Polaków, których uważają za biegleszych w gospodarstwie od swoich, i za ludzi sumiennych.

— „A cóż panie Pułkowniku, a będą się bić wasi ułani jak przyjdzie do wojny?“

— „Nie wiem, ale muszą się bić; postawim za nimi harmaty, i muszą się bić. Daj Boże zdrowie nieboszczykowi Arakezejewowi, on to dał taką radę Najjaśniejszemu: o gdyby on pożył, to nie tylko byłoby tyle jazdy ile stepu w Rosyi, ale byłoby tyle piechoty posiadleńców, ile drzew w lasach moskiewskich, a Rosya byłaby straszna całemu światu, i powoli powoli, po całym świecie byłoby nasze posiadlenie. Sława Mikołajowi Pawłowiczowi!“ — i tu pokłonił się.

— „Ale tu jednak ludzie wam nie radzi.“

— „To by było.“

— „A jak na to by było znajdzie się taki pastuch jak Pugaczew?“

— „To go otrujemy.“

Takiem posiadleniem zajechaliśmy prawie aż do morza Azowskiego i do Taganrogu. Nigdzie niewidziałem piękniejszej arnauty, jak w Taganrogu, a rodzi się taka na Chersońskich stepach. Widziałem tam także jęczmień zwany orkisz, którego ziarno jest trzy a czasem cztery razy większe od jęczmienia zwyczajnego; nigdzie też lepszych pomarańcz nie jadłem, i mnóstwo nakupiliśmy ich na drogę. Taganrog wslawił się w ostatnich czasach śmiercią Aleksandra. Taganrog go żałował, bo Car i jego

świta wzbogacili trochę miasto. Aleksander przyrzekał miastu podnieść jego kupiectwo, ale to musiałoby się tylko na obietnicy skończyć, bo żeby podnieść Taganrog, trzebaby powstrzymać wzrost Odessy, co jest niepodobna dla samego położenia miejsca: przytem przystań Taganrogu jest tak mialka, że powózki aby się mogły dostać do łodzi, muszą brnąć blisko ćwierć mili w morze; dopiero za pomocą łodzi towary dostają się z okrętów albo na okręta kupieckie, które ledwie o pół mili do brzegów zbliżyć się mogą. Okręta zaś wojenne muszą stać tak daleko, że ledwo je zajrzeć można. Przejeżdżaliśmy przez Taganrog w kilka miesięcy po śmierci Aleksandra, więc kazano nam patrzeć, jak na osobliwość jaką, na mary jego będące w cerkwi, i opowiadano nam jako rzecz bardzo ważną, szczegóły pogrzebu; a z tego opowiadania taką treść wyciągnąłem, że jak Polacy swoich królów nawet po śmierci kochają, tak Moskale swoich carów nawet po śmierci boją się.

Z Taganrogu jadąc trochę po nad morze Azowskie, przypatrywaliśmy się niezmiernie obfitemu rybołówstwu nad tem morzem; włoki niesłychanej długości zarzucają tak daleko na morze, że na największy dzień, tylko dwa razy zarzucić mogą; włoki takie ciągną wielkimi łodziami, a gdy już końce dojdą do brzegu, zaprzęgają czasem po dziesięć par wołów do każdego końca i ciągną w step; zaraz przy brzegu hakami wielkimi wrzucają ryby do wozów, zaraz je płatają, solą, suszą, a czumaki po całej Moskwie rozwożą; gdy się połów uda, to czasem po sto wozów ryb od razu wyciągną. Ze wszystkich ryb tam poławianych, najlepszy jest jesiotr, a z jesiotra świeżego najlepszy rosół, dobra też i pieczeń, o czem lubownikom ryb donosi się. Tam także widziałem rozmaite ptaki morskie, które każdemu połowowi ryb towarzyszą w niezmiernem mnóstwie, i owe ogromne baby czyli pelikany, co czasem i do nas zlatują. Ztamtąd zaraz wjechaliśmy na Don, to jest do krainy Dońskich kozaków.

Aż serce się kraje spojrzawszy na te żyzne stepy ożywione wspaniałą a spławną rzeką, na te stepy po których bujają niepolicone stada i trzody, na te stepy na których mieszka lud gościnny, wdrożony do boju, dawny sprzymierzeniec Polski, któremu i dziś jeszcze wiele polskich imion przewodzi. Wejdiesz do domu kozaczego, znajdziesz polską gościnność i szczerotę a więcej jeszcze prostoty; powiada ci kozak — czem bogat tem rad — i wszystko co ma zastawia na stole; wszystko co ma pokazuje, chwali się bronią, chwali się zdobyczami, chwali się końmi, i chętnie daruje co ci się podoba. Dawne polskie szable cenią nad wszelką broń; sami nie kują broni, a każdy ma przynajmniej podwójne uzbrojenie, a wszystko zdobyte; nie masz ani jednego, coby nie miał srebrnych i złotych sprzętów, i licznych a dziwnych samą różnorodnością ozdób, choć ich połowę oddał cerkwi na chwałę Bożą. To też nigdzie cerkwie nie są tak bogate jak na Donie, bogate w drogie rzeczy, a czasem i w arcydzieła sztuki, a wszystko zdobyte, bo na Donie nauki i sztuki są w największem dzieciństwie. W Nowym Czerkasku, dzisiejszej stolicy Donu, oglądałem gimnazyum, pierwszą szkołę na całym Donie, a bardzo nędzną. Chociaż cała ta kraina hołduje Moskwie i to w sposób bardzo uciążliwy, jednak nie przestała mieć w pewnym względzie bytu udzielnego w tem, że sama się rządzi. Pomimo tój korzyści, której nie posiadają inne ludy poddane Moskwie, Dońscy Kozacy nie przestają wzdychać do zupełnej udzielnosci, a to tem bardziej, im bardziej carowie moskiewscy ograniczają ich swobody. Lud kozacki ma tę wyższość nad wszystkiemi słowiańskimi, że u niego nieznanne poddaństwo.

Na stepach aż do Donu ciągle mogiły, tak że jedna drugą widzi; na wielu z pomiędzy tych mogił znajdują się wkopane niezmiernie starożytne, granitowe, czerwone bałwany, najczęściej po dwa, wyobrażające mężczyznę i kobietę, rzeźby podobnej do egipskiej, ale jeszcze niezgrabniejsze; czy to nagrobki, czy jakie bożyszcza da-

wne, nigdzieśmy się tego dopytać nie mogli. Otóż, w co się obracają pomniki ludzkie, jeszcze ich czas nie zagryzł, a już je niepamięć zniszczyła.

Od Donu aż do Kaukazu ciągnie się łańcuch mogił bez bałwanów, a tylko na każdej z nich od strony Kaukazu, stoi kozak na straży, jak żuraw. Od Donu aż do Kaukazu rozrzucone tu i owdzie osady różnych kozaków; naprzód tych, co walczyli z Pugaczewem. Dalej po nad Kubaniem Czarnomorców, dawnych Zaporozców polskich, gwałtem przesiedlonych przez Katarzynę z nad Dniepru na półwysep Taman; ci kozacy zachowali jeszcze strój polski, noszą się w kontuszach i żupanach, podgalają głowy i wąsy jak nasi ojcowie; oni stanowią wyborną jazdę w moskiewskim wojsku na Kaukazie.

Wzdłuż posterunków kaukazkich, są osady kozaków tak zwanych *linijnych*; ci kozacy mają dzielne konie, i także są bitni; przejęli od Czerkiesów strój, osiedlanie, broń i sposób wojowania; co do stroju tem się tylko różnią od Czerkiesów, że noszą bóty.

Po stepach oddzielających Dońską ziemię od Czerkiesów, snują się koczujące hordy Tatarów i Kałmuków. Kałmucy nie odstąpili wcale pierwotnych obyczajów swoich, i dotąd nie mają wozów; ciągną razem z całym dobytkiem i z całą rodziną swoją; ni orząc, ni siejąc, żyją jak wróble, włóczą się po stepach, a z nimi włóczą się konie, owce, wielbłądy i bieda; a brudne to wszystko, bo chyba je deszcz umywa i pierze.

Po trzech tygodniach koczującej podróży, która pomimo żeśmy ją sobie uprzyjemniali jak mogli, była bardzo nudna, ujrzeliśmy z daleka góry Kaukazu, do których po morzu stepu spieszyliśmy jak żeglarz do lądu.

Łańcuch gór kaukazkich z daleka pokazał się nam jak siny obłok; nazajutrz ciężkie powietrze spuściło nań nieprzebitą zasłonę; trzeciego dnia ze wschodem słońca, ujrzeliśmy jasnę białość, pocieniowany kształtami gór, wał śniegu; ciemny błękit niebios odbijał wybornie te niepoliczone kształty, i wszystkie nam na oko położył;

na niektórych wierzchołkach śnieg zeszlony dziwnie miotał promieniami słońca. Daleko przed siebie, jak gdyby na straż swoją, góry kaukazkie rzuciły na step kilkoro dzieci swoich, gór młodych, niepobielonych jeszcze szronem starości, a już okazałych wyniosłością, strojnych wszystkimi wdziękami młodości; jeszcze oko ludzkie nie może rozeznąć strasznej piękności ogromnego gór łańcucha, a już te młode góry zwabiły je wdziękiem i bogactwem swoim. Pomiedzy tą przednią strażą gór kaukazkich, najwyżej strzeliły *Maszuta* i *Besztau*; pierwsza znaczy w języku Czerkiesów mogiłę, i ma kształt mogiły, druga znaczy pięć gór, i ma też pięć wyraźnych wierzchołków. Te dwie góry gotują w łonie swoim źródła ludzkiego zdrowia; pomiedzy temi górami jako u progu dobroczyńców swoich, ludzie też liczniej osiedli. Tam jest kres podróży długięj i nudnej, a ma być początek zdrowia dla słabych, zabawy dla zdrowych, wypoczynku dla wszystkich. Dwa dni patrzyliśmy na te zbawienne znaki, a dopiero trzeciego dnia późno, dojechaliśmy do głównego miejsca wód kaukazkich, pod górą *Maszuta*.

Nazajutrz obleciałem dość porządnie zabudowane miasteczko w kilku prostych ulicach; Czerkiesi snuli się konno, przeszloroczni znajomi mego ojca, biorąc mnie za mego brata, jedni drugim pokazywali mówiąc *dzygit*, co znaczy rycerz, a dla tego tak go nazwali, że on ich zadziwiał swoim sposobem strzelania i robienia bronią. A każdy Czerkies mówił — kup konia — i wiele ich przyprowadzali na sprzedaż. Zaraz kupiłem sobie klacz kasztanowatą, prześliczną, za 40 *rubli papierowych*; pytam się dla czego tak tanio sprzedaje kiedy młoda, piękna, i zdrowa?; dla tego że nie daje się siadać; istotnie kąsała, rzucała się na ludzi, ale że była takiego składu jak nam Rzewuski Wacław zawsze na wzór rysował, kupiłem i w téjże chwili wskoczywszy na nią, wybiegłem z Czerkiesem na wierzchołek *Maszuty*, gdzie dobrym koniem za godzinę dostać się można.

Niebo tam ciemnobłękitne, a czyste jak spojrzanie dziewczycy; ostatnie chmurki, które się były zaspaly na

lonie gór już się przebudziły, ale tak im tam dobrze, że nim wzlecają ku słońcu w obłoki, wilają się po górze, roztaczają się po niej rokosznie, muskają jęj kwiaty i jęj zieloność; wzbijają się nieco i znów do góry wracają, znowu ją obejmują jakby na ostatnie pożegnanie przed śmiercią, bo słońce ostrym promieniem zacina leniwe chmury; toczą się po górze, już do jęj wierzchołka tylko ostatnim przyczepione rąbkim; już się ostatni raz chmurka zachwiała — przypadła jeszcze — jeszcze raz musnęła po szczycie góry, i oderwała się od niej na zawsze; poleciała rozplynać się w ciemnym błękicie, i gdzieś tam daleko spadnie we łzach, płacząc za rokoszną górą, co ją wypieściła. Ogniste słońce roztopiło chmury i samo jedno buja po niebie, nocą stęsknione oko karmi cudnym widokiem, wszystko mu pokazuje, ale na siebie patrzeć niepozwała. O nędzny człowieku! ty nie możesz znieść spojrzenia słońca, a myślisz żeś Boga przejrzał na wylot; za słaby twój rozum abyś zgadł co słońce, a ty myślisz żeś odgadł Stwórcę słońce niepoliczonych: za słabe twe oczy aby spoczęły na słońcu, a tyś tak zuchwały, że ziemskim wzrokiem twoim, patrzyłbyś w samego Boga.

Co to za ogromny świat, i piękny i rozmaity, co to za rozliczność tych światów, co to za niezmierna potęga Stwórcy tych wszystkich światów, kiedy człowiek co się ma za władzę ziemi, ani wzrokiem obejrzeć, ani myślą objąć niepodola tego ogromu, tęg cudowniejszję może jeszcze, rozliczności wszech rzeczy. Kto jeszcze pomimo klęsk i nieszczęść nie uznał Boga sędzię, kto pomimo szczęścia i dóbr nie uznał Boga ojca, kogo widok gwiazdolitęgo nieba nie przejął trwogą albo miłością Stwórcy, niech wniędzie na górę Besztaw. Stojąc na jęj ostrym szczycie, jak gdyby w powietrzu zawieszony, spojrz na dół na tyle rozpadlin i przepaści strasznych, na tyle spiętrzonych gór, po których jak po stopniach na ten szczyt się wdrapał, i zda mu się, że nad ten szczyt nie ma nic wyższego, na ziemi; spojrz do góry, a zda mu się że niebo jeszcze wyżej od niego uciekło; spojrz na około siebie, a strach

przestrzeni tak mu oczy zaćmi, że długo upłynie nim przejrzy. Na prawo jedno morze, na lewo drugie; na północ potoczyło się morze stepów migające różną barwą jak bałwanami; na południe strumienie i rzeki niedościgłym biegiem wijąc się po rokosznych dolinach, tu i owdzie splątały się w jezioro jak w węzeł, i znowu z niego wybiegają; nad każdą rzekę zbiegły się lasy i góry, i przyglądają się wdziękom wody i swojej urodzie. Im dalej, tem wyższe góry, tak cudnie ustawione, że jedna drugiej nie zasłania, jedna drugiej dodaje wdzięku; ale jak gwiazd na niebie nie policzysz, choć wszystkie jasne, tak i gór nie policzysz, choć zda się że wszystkie widzisz; a wszystkie piękne: ta piękna lasem, ta skałami, tamta przepaściami, tamta że łagodnie, ta że raptem wstaje, ta zielonością, ta wspinalszą nad wszystko siwizną. Łańcuch gór śnieżnych zamyka widok śmiejący się i zielony, wygląda jak mleczna droga na niebie, zda się być kością pacierzową olbrzyma Ziemi, a z tą kością zda się być wszystko związane, i góry i płaszczyzny. Cały widok zgodny, a niepojęty jak dźwięk wiatru, jak łoskot fali, jak strzał piorunu, jak przezroczyść dnia, jak wszystko co nie jest ani wymysłem ani sztuką ludzką, ale dziełem Boskiem, grą świata, co na słowo — stań się — stał się pięknym, bogatym, rokosznym, strasznym, niepojętym.

Wspomnisz sobie na ludzi; spójrzysz z tej góry na ich mieszkania, a ich wsie wyglądają jak mrowiska, a nawet ich ruchu nie dojrzysz. Do koła wzrokiem oblatujesz, bo radbyś widzieć do koła, cały okrąg, wszystkie przepaście, obadwa morza razem. Patrzysz i dumasz, i dumasz i patrzysz; i nim ci przyjdzie na myśl, że tu już Azja, wykrzykniesz mimowolnie — tu raj być musiał. I nie zejdziesz z góry, aż ci obłoki zasną cudny widok, któremu granice jeno w oku ludzkim; powrócisz nieraz na tę górę i zawsze zejdziesz z niej upokorzony, poprawiony, zadumany o sobie i o Stwórcy swoim, i będzie ci tęskno za tą górą, jak za świątynią w której ci było błogo na duszy, jak za świadkiem twych

dobrych myśli i uczuć szlachetnych, jak za tronem z któregoś zakrólował wzrokiem od morza do morza, od szczytu gór aż na kraj stepów.

Mój ojciec zaczął brać kąpiele, a ja wybiegałem, to na prawo, to na lewo, oglądać stada czerkieskie i wybierać z nich dla siebie co najlepszego. Wszędzie Czerkiesi byli mi radzi, jeździłem do nich zbrojno, zawsze z przewodnikiem co był moim tłumaczem; wszędzie przyjmowano mnie jako przyjaciela, *kunaka*; wszędzie dowodziłem im, że Czerkiesi i Polacy zawsze byli z sobą w zgodzie, i zawsze bili Moskalów.

Gdyśmy zajechali do *Aulu* jakiego, to jest do wsi, zaraz mieszkańce zbiegają się w około nas, zaraz opatrują broń, i swoją się chwalą. Między ich *szaszkami*, wiele mi się zdarzyło widzieć *Augustówek* uciętych od rękojeści do miary do której przywykli; jak się dostały pomiędzy nich te szable? nie wiedzą; pytaliśmy się czy dobre, mówili że kość krają, to znaczy że można ściąć łeb, a nawet tułub przeciąć; a jak powiedzą o swojej szabli że żelazo kraje, to znaczy, że można przeciąć od razu i rusznicę i człowieka; właśnie w czasie naszej bytności na Kaukazie, przywieziono z jakiejś utarczki rusznicę odciętą z moskiewską ręką.

Czerkiesi zaraz pokazują jak używają swój broni i pytają jak my jej używamy; musiałem więc wszędzie, popisywać się przed Czerkiesami z jazdy konnej, z robienia bronią i ze strzelania; szczególniej podobały się im dwururki bez skałek, i strzelanie w lot kulami; jeden drugiemu zrywał czapkę, ciskał do góry, dając znak żebym ją przestrzelił; temi igraszkami rozweselali się bardzo. Tumańłem ich jak mogłem, to rozmaitem skakaniem na konia i z konia, to wywijaniem szabłą młynków, żeby się im aż w oczach ćmiło, a jak chwalili mówiąc *dzygit*, to ja mówiłem, że ja najgorszy ze wszystkich Polaków i rębacz, i strzelec, i jeździec, więc jeszcze bardziej dziwowali się, a ja im powtarzałem o odwiecznem pobratymstwie Polaków z Czerkiesami, i to im jeszcze kładąc na dowód, że mają nasze

pałasze, i strój do naszego zbliżony. Prawilem im o tej rzeczy różne dziwne powiastki. Czerkiesi słuchają i potakują, a z tą przyjaźń najdoskonalsza, gościnność najwspanialsza.

Każdy do siebie zapraszał, najstarszy *Mirza* albo *Bimirza*, albo jaki książę, miał przed wszystkimi pierwszeństwo; zapraszając na noc, zawsze mówił, że każe dla mnie zarznąć barana, co miało znaczyć, że przyjmie suto. Zarzynali barana, przyspasabiali wieczerzę, a my tymczasem na konie i do stada.

Wyjechaliśmy na górę, z daleka w dolinie bieleje coś jakby jezioro, a to stado; bo tam najwięcej koni siwych i białych, a w jednym stadzie zbiorowem, bywa ich po dwa tysiące i więcej. Czerkiesi najbardziej cenią konie siwe, a jak się urodzi źrebię srokate, to je zarzynają i jedzą, mówiąc, że gdyby z tego miał być koń dobry, toby go Pan Bóg nie łątał. Zbrojni Czerkiesi, bo oni zawsze zbrojni, strzegą stada, a gości częstują *kumyssem* — jest to rodzaj kwasu z kobyłego mleka, napój biały, dość przyjemny, a u nich zwyczajny. — Przejeżdżając się pomiędzy stadem, wybierałem klacze które mi się najpiękniejsze wydały, ze źrebiętami inną maści jak ich matki. Skoro którą pokażę, zaraz dwóch Czerkiesów wygania ją ze stada na stronę ze szczególną złością: wybierając po różnych stadach kupiłem kilkadziesiąt najpiękniejszych klaczy, które potem rozrodziły się u nas w osobne stado czerkieskich koni.

Od stada wracaliśmy późno: już ksiądz muzułmański, z *minaretu* uplecionego z chrustu, zawołał do modlitwy, już ze wszystkich stron *aulu*, Czerkiesi zaprosiwszy nas z sobą, ściągają się do *meczetu* wyglądającego naksztalt chłopskiej stodoły, gdzie podług swego zwyczaju odmruźli i odleżeli modlitwy. Wyszedszy z meczetu wprowadzili nas do gościnnego okrągłego domku, podobnego do chlewka, a także uplecionego z chrustu i nakrytego słomą. Już była zastawiona wieczerza na stole obszernym, ale niższym od zwyczajnego krzesła; na stole kilka mis dużych i pełnych, kilka-

naście misek i łyżek drewnianych; starszyzna czerkieska usiadła z nami za stołem, myśmy usiedli na ziemi, a oni stojąc na nogach, zemknęli się tylko we troje, jak na zawiasach; inaczej nie siadają, a to dla tego, aby jak najprędzej schwycić się mogli. W jednej misie była baranina poszarpana w różne szmaty, w drugiej ryż z tłustością baranią, doskonały, a nazywa się *pilaf*, w trzeciej jajecznicza z miodem, a w czwartej kwaśne mleko z jakimiś łązankami, zatarte czosnkiem; było coś także nakształt chleba jęczmiennego, za napój *kumys* albo woda, i koniec. Czerkiesi bardzo mało jedzą, i mówią, że nietrzeba wiele jeść żeby mieć siłę, to też każdy chudy i lekki jak chart, wcięty jak osa, pleczysty jak niedźwiedź, piersisty jak orzeł; u każdego żywość w ruchu, w spojrzeniu, oko pełne, rysy twarzy rzadkiej kształtności, strój swobodny, kibić wysmukła, gibka, zręczniejsza jak u tancerza, a przytem wszystkim jakaś powaga na twarzy, czyni Czerkiesia wyobrażeniem zupełnem i doskonałem rycerza wolności.

Przepędziłem pomiędzy Czerkiesami dni kilka z przyjemnością, a mojemu u nich pobytowi, dodawał wdzięku szacunek, który miałem dla tego rycerskiego narodu; tęgi to naród. Poznałem ich zwyczaje, tyle ile można było, widząc ich i wypytujac się o wszystko; chciałem widzieć ich żony, powiedzieli że nie można: a córki, powiedzieli że je zobaczę jak przyjdzie *Bajram*, święto obchodzone rycerskimi igrzyskami i tańcem.

Obyczajem muzułmańskim, wolno im mieć tyle żon ile się podoba; ale nie mają więcej jak po kilka, bo muszą je kupować; na żony kupują córki swoich przyjaciół; cena zależy od urodzenia panny, i od znaczenia kupującego; i tak np. Mirza musi dać za żonę 500 baranów, Bimirza 200 koni albo i więcej; ztąd powiadają: kto z nas ma córki ten bogaty, a kto synów ten ubogi, bo im jeszcze musi żony kupować.

Nadeszło też i święto *Bajramu*, na które pojechaliśmy z wód gorących do najbliższego *Aulu*. Pode wsią zebrali się liczni Czerkiesi; jedni uganiiali na koniach do mety, drudzy strzelali do celu, i pieszo i z konia:

z konia w największym pędzie trafiali z króciocy do czapki rzuconej na ziemię, albo ze strzelby do deszczułki mniejszej jak ćwiartka papieru, a przytwierdzonej do tyczki na kilkanaście łokci wysokości; ten ostatni sposób strzelania jest najtrudniejszy, i do niego przywiązane są największe nagrody; czasem cały dzień strzelają i nikt nie trafi. W roku przeszłym mój brat Edward wygrał tę nagrodę; było to kilkanaście sztuk złotych i srebrnej monety w worku skórzanym. Najpiękniejsza dziewczina Czerkieska oddawała nagrodę; wziął worek, a pieniądze zostawił temu co pierwszy po nim trafi. Czerkiesi dziwili się zarazem i zręczności i wspaniałomyślności polskiej. Ja chciałem zaprobować tego samego szczęścia, ale żem jechał z paniami, więc zwyczajnie jak z kobietami wybierania się było bez końca; przyjechaliśmy za późno — deszczułka była już przestrzelona.

Po igrzyskach następowały tańce; muzyka nędzna, na dwóch dudach grano tańce i pieśni, których ani śpiewu ani nawet taktu ułoić nie mogłem. Dziewice czerkieskie strojne bogato, wystąpiły na stołeczkach cztery do sześciu cali wysokich, na które wstępują ile razy wychodzą z domu, i aż w domu je zrzucają; stołeczki te są nasadzane srebrem, złotem, kamieniami, podług możności każdego; otóż, dziewice wysmukłe, na tych stołeczkach występują do tańca, i z nieporównaną zręcznością wykonywają taniec najtrudniejszy, jaki kiedykolwiek widziałem. Są u nich tańce popisowe, gdzie tańczą we dwie, albo pojedynczo; są tańce zbiorowe, gdzie i mężczyźni tańczą, w sposób podobny do ober-tasa ukraińskiego, ale mniej żwawy.

Strój Czerkiesek jest okazały; mają dłuższą suknię z jedwabiu, krótszą z lamy srebrnej lub złotej, pas lity, głowę obwiniętą w szal bogaty, z pod szalu spływają długie kosy, do szalu przytwierdzona zasłona cienka, w pół przezroczysta, rękawy długie, suknia fałdzista, ale w piersiach tak obciśnięta, że trudno pojąć jak w takiej sukni oddychać można. Pytałem Czerkiesów czy wszystkie mają podobny kształt ciała; odpowiedzieli, że wszystkie dziewice, że to jest u nich pięknoscia, że

w dziesięciu albo dwunastu latach, piersi dziewcząt obszywają w skórę, którą dopiero mąż jęj przecina. Czerkieski mają oko czarne, spojrzenie głębokie, posępne, rysy twarzy pociągłe, pleć bladą, piękne są, ale Czerkiesi piękniejsi.

Czerkiesi w święto Bajramu występują w świątecznych strojach; żupan jedwabny albo z lamy srebrnej lub złotej, po wierzchu rodzaj kontusza, ale bez wyłotów, najczęściej granatowy, czasem pąsowy, obszywany taśmą srebrnozłotą, spięty na haftki, a rękawy dłuższe na ćwierć łokcia od ręki; na piersiach ładunki srebrne lub złote, wyrabiane sztuczną robotą, zawieszane na łańcuszkach, chowają się do pól w kieszonki z tasem; szyja goła, broda krótko i ostro ścięta; na ogolonęj głowie albo mała czapeczka taśmami wyszyta, albo większa z baranem lub inném futrem w okolo, mogącém się zwiesić na oczy; taka czapka służy mu za helm spuszczaany; gdy baran srebrnej białości albo kruczej czarności spłynie w jedwabnych pierścieniach na oczy, a burka najeżona włosem wysoko, natenczas nikt Czerkiesa nie pozna. U wążkiego paska, wybijanego guzikami srebrnymi, wisi *kindżał*, krzesiwo i kilka narzędzi do opatrywania broni; *szaszka* bogato oprawna, przewieszona na jedwabnym sznurze przez prawe ramię na lewy bok, ostrzem do góry, żeby się ostrze nie tępiło, i żeby jednym zamachem i szablę dobyć i ciąć można było; na lewo zawieszzone krucice, wetknięte z tyłu za pas; czasem zamiast strzelby łuk na plecach; strzelbę wieszają przez plecy w bardzo wygodnych pochwach z burki robionych, tak że strzelba nigdy nie zamoknie, w pędzie nie tłucze o plecy, a wkłada się i wyjmuje bardzo łatwo; na szyi na jedwabnym sznurku zawieszony rodzaj kaptura, zwany *baszłyk*, który w czasie sloty nakładają na czapkę, a deszcz spływa po nim na lśknącą burkę, a po śliskiej burce na ziemię; obuwie mają bardzo obciśnięte, raczej nogi bardzo kształtne; po wierzchu szkarpetek safianowych, noszą trzewiki safianowe bez osobnych podeszew; obuwie to byłoby niewygodne do chodzenia po bruku.

ale po komnatach wysłanych kobiercami, albo po stepach wysłanych miękkim kwiatem, bardzo wygodne; zresztą Czerkies chodzić nie lubi, i prawie na krok z domu nie ruszy inaczej, jak konno.

Czerkiesi tak uzbrojeni, a konie ich tak osiodłane, że nie ani dzwoni, ani brzęczy, i jadącego jeźdźca nie słycać: bo też sposób ich wojowania na tém polega, aby napaść, zabić, zabrać i uciec, nie narobiwszy hałasu. Często dwóch, trzech, wpada na cały pułk, czyto jazdy, czyto piechoty, zsadzą z koni dowódców i w nogi; jeśli ich nie zabiją puściwszy za nimi pięćset kul, to już i nie złapią: utonął Czerkies w bujnych burzanach, i kiedy za nim gonia, on goni za goniącymi i kogo może urywa z oddziału. Kiedy pewnego razu dwóch Czerkiesów tak dokuczyło jakiemuś oddziałowi wojska moskiewskiego, Moskale wiedząc, że ich otoczyli, zapalili step w około; step się pali, Czerkiesi leżą pod mokremi burkami, konie ich na długich powodach umykają się ogniowi; Moskale postawszy na czatach, a nie widząc już nikogo, spokojni wracają, a dwaj Czerkiesi rąbią ich z tyłu; pięćdziesiąt koni pogoniło za Czerkiesami; który najbliżej temu się Czerkies zatrzymał, chlustnął *szaszka* pomiędzy oczy, i dalej skoczył: pogoń trwała aż do Kubania; nad rzeką Czerkiesi zatrzymali się, strzelili parę razy do Moskalów, z urwiska skały skoczyli końmi, w szparkich nurtach zatnęli na chwilę, i już z drugiego brzegu poświstem kul swoich odpowiadają na tchórzliwe pogroźki Moskalów, co nad rzeką stanęli, jak gdyby zakłęci.

Ciąg nieprzerwany podobnych czynów, stanowi u nich wojnę z Moskalami. Zateśkni się Czerkiesowi w domu, albo zasłyszeli o pięknej trzodzie, lub pięknym stadzie moskiewskim, zaprasza kilku sąsiadów, jedzie z nimi na wojnę, i albo życie utraci, albo ze zdobyczą wróci. Jest część Czerkiesów uśmierzonych; ci mieszkają w krajach zajętych przez Moskali; ale znoszą się z Czerkiesami niepodległymi i razem z nimi odbywają wyprawy, a po wyprawie spokojnie do domów wracają.

Jednego z takich Czerkiesów dośledzono, stawiono przed generałami moskiewskimi, a nim ci pospiali dokończyć swą moskiewską groźbę, on skoczył im w oczy, błysnął *kindżalem*, i w mgnieniu oka dwóch generałów potoczyło mu się pod nogi.

Powróciwszy z moich przejażdżek, zastałem już u wód pełno ludzi; co też to za zbieranina! Ormianie suną w długich sarafanach; Pers wspaniałe przechadza się poważnie; u popa w jednej ręce laga, a drugą wystawił czy kto nie pocałuje; mnóstwo różnych morderców kręci się po ulicach; u tego szykowna kibić, to pewnie z gwardyi zasłany na Kaukaz za karę; ten wygląda jak małpa, i taki chudy, i taki szpetny, tylko niezgrabniejszy, to pewnie piechur, co po trzydziestu latach służby, dosłużył się dożywotniego kalectwa; dalej toczy się zapasiona Moskiewka, co przyjechała próbować czy nie schudnie; tu znowu ktoś kuleje; ztamtąd kogoś niosą; tu przemknął kształtny powóz, a za nim polotne zasłony moskiewskich i petersburskich piękności, co przyjechały umilać czas leków starym rodzicom: po ulicach stoją namioty, przy namiocie koń, a w namiocie Czerkies sprzedaje burki, nahajki, czapki, siodła, noże, *kindżały*, czerkieskie stroje z wielbłądziego sukna, albo perskie tkaniny z mieniącego się jedwabiu.

Na górze zakoczowali Kałmucy; dla nich osobne źródło, osobna wanna, osobny świat; nie schodzą na dół do mieszkań ludzkich, bo wszystko mają z sobą; Kałmuk na koniu siedzi i konia je. Szpetneż to i obrzydliwe postacie; twarz barwy miedzianej, szeroka, spłaszczona, czoło niskie, oczki wąskie, jak gdyby je kto tylko osoką otworzył; cały dzień albo pluszczą się w wannie, ile się ich zmieści, i ztamtąd wyglądają, jak żaby, albo też siedzą na słońcu i nie nie robią, albo oprawiają konia zabitego, kraja go w łazanki i dziś wieszają na słońcu, żeby zjeść jutro, albo w tłustości końskiej skwarzają końską chudość, albo w pęcherzu

końskim kwaszą, końskie mleko. Obok Kałmuków, jakby paszcza góry, jaskinia co poszła w przepaść; rzucić w nią kamień, kamień się tłucze po bokach, już go nie słyhać, a jeszcze dna nie doleciał, jeszcze po załomach budzi nietoperze, które jak wodotrysk, jedno po drugich ciskają się z téj przepaści w górę, a zajrzawszy słońce, jakby nieżywe nazad wpadają w otchłań.

U wód kaukazkich z rana śliczna pogoda; dziewczęta pobliskich siedzib, a mianowicie z osad angielskich, przynoszą przesliczne warzywa, kwiaty i najprzedniejsze owoce; Czerkiesi uwijają się na koniach wołając: *kupuj*; starych i słabych niosą do cudownych kąpieli; młode niewiasty wychodzą na pierwsze piętro góry, ozłocić spojrzenie promieniami słońca, napoić westchnienie rokoszną wonią, rozegrać duszę i serce cudnym a niestałym widokiem; a ja na koniu uganiam po górze, spojrzę raz na góry, dwa razy na dziewczęta; one skiną na mnie białemi chustkami, ja myślę, że to anioły wołają białem skrzydłem, koń mój jeszcze pędzi, a ja już przy nich.

W dzień skwaro, każdy się schował przed słońcem, chmury uciekły, i wiatr co je gonił sam uciekł, a może zmęczony się zasnął; jeleni się chłodzi u źródła, koń się w trawę schował, ptaki ziewają pod zieloną zasłoną, człowiek zamknął się przed słońcem; w domach ciemno, jak w nocy, wszędzie ciszej jak w nocy, a to południe.

Pewnego wieczora próbując sławnego konia czerkieskiego, którego chciałem kupić dla mego ojca, wjechałem na wierzch góry, a pod tą górą źródło, z którego piją siarczaną wodę. Góra od strony źródła ścięta prawie prostopadle, zarosła drobnym krzakiem; z téj góry patrząc jak w przepaść, zajrzałem już mnóstwo ludzi u źródła. Muzyka pułkowa gra jak umie, słabi przechadzają się jak mogą, a moskiewskie panie strojne jak pawie, jak pawie wdziękami, tak one pyszną się naprzód stopniem, potem bogactwem, a na końcu urodą: wszystkie mnie znały, bo byłem jeden

tylko, i młody, i Polak. Spojrzały ku mnie, a widząc mnie nad urwiskiem zadrżały i zamachały wachlarzami swemi, jak gdyby chciały mnie zdmuchnąć z tej góry: zaśmiałem się, skłoniłem się pięknie, a odkrywszy ścieżkę, którą nie wiem czy woda wylizala, czy kozy wydeptały, puściłem nią mego konia; koń idzie śmiało, przysiada, sunie się, jak gdyby na saniach, a drobne kamyczki potoczyły się rozpędzać ludzi. Muzyka grać przestała, starzy posiadali ze strachu, młodzi podbiegli pod górę, jakby na ratunek, kobiety modliły się, a wszyscy patrzą jak na opętańca. I mnie strach przejął. Spojrzę, na prawo i na lewo same przepaście, a konia nie ma gdzie wstrzymać, nie ma gdzie zawrócić; kilka razy przesuważąc się koło krzaku, chciałem skoczyć z konia, chwycić się gałęzi, ale mnie wstyd patrzących; miłość własna, jak to często bywa, pokonała strach, rozum konia poprawił głupstwo moje i oba szczęśliwie zsuwaliśmy się; kiedy już byłem prawie u dołu, zająłem ścieżkę na lewo, targnąłem konia, machnąłem nabajką, koń skoczył, i z pomiędzy krzaków jak z procy wyleciał, i dalej między góry pogonił jak szalony; znowu obiegłem ową straszną górę, i jakby posąg stanąłem na jej wierzchołku. Muzyka gra, a ja myślę sobie: to na cześć moje; gwar ludzki czasem mnie doleciał, a ja myślę sobie: to o mnie gadają. Taka to była głupia choć niewinna próżność moja.

Służąc wiernie próżności mojej, starałem się podobać wszystkim Moskiewkom; jednym grałem na klawicymbale, drugim czytałem wiersze francuzkie, tych rysowałem wizerunki, z temi tańczyłem, z innymi na koniach hulałem, a wszystkim prawilem koszałki opalki: wszystkie też mnie lubiły, piękne i brzydkie, młode i stare, od każdej miałem upominek osobny, a wszystkie razem pas dla mnie uplotły; a jednak żadnej z nich, nawet przy pożegnaniu, w rękę nie pocałowałem, bo Moskiewka gdy się ją w rękę, ona w twarz całuje. Była między temi paniami bardzo światła i miła generałowa Kajsarowa, żona tego szlachetnego człowieka, który w czasie powstania 1831 r.

podpisał warunki poddania się Zamościa, a gdy car tych warunków dotrzymać nie chciał, on zażądał uwolnienia od służby, a tym sposobem umowę poddania się utrzymał, i kilkaset młodzieży podolskiej, współpoważników moich, od prześladowania i męczarni zachował.

Po kilku tygodniach pojechaliśmy z wód gorących do wód kwaśnych, sześć mil ztamtąd; a nim wszystkie panie tam przyciągnęły, ja do nich na rozstawionych koniach latałem jak opętany, jednego dnia tam i nazad, bez potrzeby i bez celu. Nakoniec wszyscy się zbiegli do wód kwaśnych; tu już się przyjeżdża na wzmocnienie po kąpielach siarczanych, a więc już wielu zdrowszych, już weselsze twarze, i miejsce też weselsze. Nie ma tu gór wyniosłych, ale są wysłane ślicznym kwiatem i co dni kilka, jakby zmieniały kobierzec, zmieniają barwę swych kwiatów; dziś ta góra czerwieni się kwiatami, za parę dni przybiera barwę niebieską, potem mieni się w żółtą, to znowu jakby tęcza, opasuje się różnobarwną wstęgą. Tu powietrze tak lekkie i wonne, że się go nachwytać nie można; rano i wieczór spadająca rosa, jak gdyby manna niebieska, ożywia trawę i ludzi; to też nigdzie tak zdrowo ludziom, nigdzie tak bujna trawa, tak rokoszne łąki, tak strojne góry, tak pełne kwiaty, tak wyborne dzikie owoce, jak u wód kwaśnych. Tu i południe miłe, bo jak rosa co wieczór, tak około południa co dzień deszczyk orzeźwia powietrze; a choćby deszczu nie było, to człowiek znajdzie chłód i przy bujnym strumieniu, i w półciemnych jaskiniach, i pod cieniem drzew pięknych, i nakoniec u cudownego źródła wody kwaśnej, co tak wre gazem, że aż odbryzgi rozrzuca w okolo, co rokosznym smakiem swoim wabi spragnione usta, a taka lekka, że można ją pić bez miary, a taka dobra, że ktokolwiek w jakiejkolwiek porze około niej przechodzi, zawsze się jęj napije; doskonała z winem, wyborna z cukrem albo z sokiem owocowym.

a sama najlepsza; cudowna woda — Czerkiesi mówią, że jak Bóg tworząc świat zmęczył się, to się téj wody napił. I między Czerkiesami są poeci. Poznałem z nich jednego, co uzdy i nahajki przedawał, a jak kupca nie było, to po arabsku wiersze pisał, i mówił, że bardzo piękne, a w tém podobny do europejskich poetów. Pokazywał mi ogromny poemat, w którym opisał całe dzieje Czerkiesów od stworzenia świata; muszą być bardzo dokładne te dzieje, bo mi znowu pokazywał rodowód swój napisany na papierze wązkim a długim, jak sto łokci wstążki; cały ten papier zapisany nazwiskami, na czele nazwisko Adama, a na końcu nazwisko tego Czerkiesia, a nazywał się Czyhir-Much.

Źródło wody kwaśnej jest na kilka łokci długie i szerokie, bardzo głębokie, a tak obfite, że woda bieży zeń ciągle do kilku ogromnych wanien, a oprócz tego tyle jéj odchodzi osobném korytem, że na niém można by młyn postawić. Wanny są tak duże, jak pokój, bo w małej niktby nie usiedział; wskoczywszy do wielkiej wanny, lata się po niéj mimowolnie, bo zewsząd zimno wypędza, wszędzie zimno goni, a gaz szczypie, jak gdyby kto w mrowisku utonął; więc człowiek w dziwnych płasach, a tu mu jeszcze na głowę leją deszcz z téj wody, dopieroż zęby dzwonią, jak dzwony w cerkwi na Wielkanoc; po dwóch minutach człowiek zadyszany wymyka się z kąpieli, drży jak listek, podzwania jeszcze zębami przez parę minut, a za chwilę cały płonie gorącym, i radby drugi raz wskoczyć w wodę, ale nie wolno: gorąco to prędko przemija, a potem cały dzień tak zdrowo i rzeźwo, że się chce latać, i zajrzawszy sępa, co tam zawsze krąży, zbiera ochota sięść na niego.

Nie mogąc latać na sępie, lata się na koniu, nie mogąc bujać w powietrzu, buja się w tańcu; urok taneczniczy porywa zmysły, szal tańca oszołomi na chwilę, a jak tanecznicza odskoczy, taniec skona, znowu tęskno, jak przed tém, a może i tęskniéj. Nie warto tańczyć, tak jak pić nie warto: a jednak jak pijak za szklanką, tak młodzież tęskni za tańcem.

Pod koniec wód dano świetną ucztę składkową; było to wtedy właśnie, kiedy Mikołaj pomordowawszy bohaterów moskiewskich, jakby po nagrodę, jechał po carską koronę do Moskwy, a Jermołów podejrzany o należenie do spisku, wpadł w niełaskę, stracił dowództwo na Kaukazie i został powołany do Petersburga. Przy sutęj wieczerzy wniesiono zdrowie Mikołaja i wszyscy milezeli; wrzesiono zdrowie Jermołowa, a wszyscy odpowiedzieli okrzykiem radości i zemsty, a byli na tój uczcie i jenerałowie, i senatorowie i przyboczni carscy. Zdawało się przeto, że nie długo Mikołaj carować będzie; aż oto już trzynaście lat, jak w ojcowskiej łapie dzierży knut wszechwładny.

Pojechałem raz na wielki jarmark stepowy.

Przy lichój mieścinnie, daleko w step, rozrzuciły się namioty, w namiotach błyszczące a liehe towary, pomiędzy namiotami snują się Ormianie, Cygani z końmi, niedźwiedziami, a lud upstrzony w różnobarwne odzienia, gawroni się; za namiotami dalej w stepie, ogromne stosy ogromnych kawonów astrachańskich i krymskich, jeszcze dalej tabuny koni czarnomorskich w zagrodach, jeszcze dalej tabuny koni kałmuckich, oganiając się od bąków, machają głowami i ogonami, a jeszcze dalej wielbłądy obległy w około i pilnują, żeby jarmark nie uciekł. Cygani uwijają się na pijanych szkapach; myślisz, że to szatan nie koń, tak cygan sili się, żeby go wstrzymać, a czasem niby dosiedzieć nie może i pada; kupże tego konia i siądź na niego jutro, kiedy się wytrzeźwi, to będziesz na nim siedział, jak na posagu, ani ruszysz z miejsca.

Chcesz koni do lekkiego uprzęgu, kupuj czarnomorskie; chcesz konia do chartów, kup ze cztery kałmuckie, to jeden ci się uda, a trzy podpali się i zdechnie. W całym tabunie jedna cena, wybierzesz którego, już arkan na szyi, koń w step umyka, Kałmuk za nim, obwinął arkan koło nogi, ściąga go powoli, nakoniec dusi i wali na ziemię; jeden Kałmuk

porywa konia za uszy i kręci je w leszczotach, drugi w mgnieniu oka, osiodłał, okiełzał i siada na niego; jak już siadł dobrze, puszczają go; koń nie wie, co się z nim dzieje — wstanie — tórknie raz, drugi — strzepnie się, i kiedy rozmyśla, jakby tu wyrwać się z pod jeźdźca, jeździec spina go ostrém strzemieniem, a dwóch Kałmuków z tyłu okładają nahajami; bryknie, wierzgnie, a nahaje jak grad lecą; nie ma innej rady, jak zmykać, więc goni w step, Kałmuki za nim, a on zmyka — póki równo biegnie, nie ma nahajów, ale jak tylko chce skręcić, albo się zatrzymać, albo jeźdźca zrzucić, znowu nahaje; jak jeźdźca nie słucha, nahaje, i w pół godziny takiej łagodnej nauki, Kałmuk wywija koniem, jak chce, wraca stępą, i to ma już być koń ujeżdżony; siądźże jutro na niego, a będziesz rad.

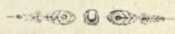
Wracając z jarmarku, spotkałem tabun dzikich koni; popielate z czarną przęgą, z czarną grzywą i czarnym ogonem, małe, ale tak lotne, że ich żadnym koniem nie dogoni. U jednego pułkownika kozackiego widziałem dzikiego źrebca, co był złapany małym łoszątkiem, niezmiernie był trudny do ogłaskania i jeszcze nie ujeżdżony.

Wracając z jarmarku, jużem się do gór zbliżał. Po wielkim upale, chmury z gór powstały, wiatr gnał je w stepy; Czerkies, co był ze mną, kazał czémprędź zjechać z drogi na wzgórek; tylko cośmy się nań wdrapać pospieli, sto piorunów rozdarło chmury, woda polala się strugami, w mgnieniu oka step wodą zapłynął, i stał się jak morze. Chmury spuszczały się coraz niżej, jak gdyby ziemię połknąć chciały, zrobiło się ciemno, jak w nocy, — pioruny strzelają, grzmot trzaska, jakby się niebo pękało, — błyskawice migają, jak gdyby już ostatnie światło dogorywało — straszna ciemność, ale straszniej widzieć, co się w niej dzieje: konie drżą ze strachu, ludzie osłupieli, pobledli, usta na w pół otwarte a milczą; kamienie z gór toczyły się z łoskotem, jak gdyby już góry zapadać się miały. Woda szumi a szumi, wiatr wyje a wyje. Tak musiał się potop zaczynać. Tak trwało godzinę. Wy-

łała się chmura, i w mgnieniu oka wody ze stepu uciekły, czyste niebo, zielone góry i pola, jakby się wszystko umyło: jasne i ciepłe słońce promieniami swemi osuszyło i rozświeciło świat cały, a wdzięczna ziemia rozwinęła przed słońcem całą swą krasę, posłała mu całą wonność swoją.

Niecierpliwie oczekiwany i wdzięcznie witany wróciłem do rokosznego pobytu wód kwaśnych. Tam zdało się, że na niczém nie zbywa. Kraj rokosznie piękny, konie jak ptaki, polowania obfite w sarny i bażanty, owoce wyborne, cudne kwiaty, cudniejsze jeszcze dziewice, i wszyscy mi radzi; a jednak tęsknota jakaś obwijała mnie zawsze, jakby mgłą jaką, która mi zasłaniała to szczęście, co mnie otaczało. Kiedy noc uciszała dzienną wrzawę, kiedy starzy i słabi już drzemią i śni im się, że młodzi i zdrowi; kiedy oficerowi moskiewskiemu śni się, że nowy krzyż dostał, a popowi, że go car w łapę całuje; kiedy młodzi hulają jeszcze, jak gdyby nigdy postarzeć się nie mieli, ja wybiegałem na górę tęsknić. Tęskniłem, bo to nie moja kraina; tęskniłem, bo w tój krainie bieli się twierdza, którą wzniesli żołnierze polscy, zagnani tam w 1812 r. jako niewolnicy, a pod tą twierdzą biela się ich kości . . . tęskniłem, bo w całej Polsce wielki jubileusz, cała Polska modli się do Boga za grzechy i za ojczyznę, a ja od pięciu miesięcy nie słuchałem nawet mszy świętój. To tóż szczęśliwą mi była chwila wyjazdu, a jeszcze szczęśliwszą chwila powrotu do domu.

27. VII. 97



ROZDZIAŁ VIII.

JUBILEUSZ W GRANOWIE.

Wróciwszy do domu, zastałem jeszcze obchód jubileuszu w Granowie. Była to sąsiedzka plebania nasza, a plebanem w owym czasie był ksiądz kanonik Jan Markiewicz. Mąż w saméj sile rozumu i wieku, postawa jego poważna i ujmująca, obejście się szczerem i proste, ze wszystkiemi równo poufałe; dla wszystkich wylany i sercem, i głową, i wszelką pomocą; zawsze ubogi, bo swemi dochodami uczył dziatwę, wychowywał sieroty, wspierał chore i wdowy; a taką miał spokojność duszy, że gdzie zawitał, wszędzie niósł z sobą pokój i wesele, wszędzie go czczono jak ojca, witano jak brata, bo wszystkim był ojcem i bratem. Poznałem tego zacnego pasterza u mojej matki, i zaraz polubiłszy się wzajemnie; on był moim spowiednikiem, stróżem méj duszy, więc z tém większą skwapliwością pospieszyłem na jubileusz do Granowa.

Obchód jubileuszowy zawierał się w pięciu dniach ciągłego nabożeństwa i nauki; a dla dogodzenia pobożnym, Markiewicz dwa takie obchody jeden po drugim naznaczył; kto na pierwszy przyjechał, został i na drugi; tak przykładne nabożeństwo, tak budujące nauki, tak pocieszające słowo Boskie, kiedy je noszą usta wy-

brane, kiedy je przyjmują skruszone serca. Wymową Markiewicza była prawda i miłość. On nie straszyl Bogiem, ale do Boga przynęcał, a jak nauczył wiary, nadziei i miłości, to bojaźń Boska sama się znalazła, bo chrześcijańska bojaźń Boska pochodzi z miłości Boskiej i jest miłością. Obchód jubileuszu w Granowie uczynił na mnie serdeczne wrażenie i na długi czas otarł rdzę zepsucia i zaniedbania z uczuć religijnych, co wykołysały całą młodość moje. Jakiż bo to widok rzewny i nadziemski, kiedy lud napelni cały kościół, i cały kościół oblegnie, kiedy pochyli korne czoło i słucha głosu kapłana wołającego do Boga, kiedy leje łzy pokuty i żalu, i jednym głosem wzniesie pieśń Bogu na chwałę, sobie na zbawienie. Zdaje się, że w tej uroczystej chwili wspólnego natchnienia niebo się otwiera i anioł pociechy i zgody zstąpił pomiędzy lud Boży, bo nieprzyjaciele podali sobie ręce, a wszyscy darowali sobie wzajemne urazy i winy, bo wszyscy pokochali Boga i w Bogu każdy pokochał wszystkich. O gdyby to zawsze trwać mogło, byłby raj na ziemi! Po skończonym jubileuszu jakaś spokojność i radość objęła wszystkich obecnych, każdy zaweselił się anielską wesołością, bo u każdego czyste sumienie, w każdym zamieszkał Chrystus, a Chrystus dopóty w nas gości, póki sami chcemy.

Wspomnę tu o innej wielkiej uroczystości w Granowie. Ksiądz Markiewicz doniósł księciu Czartoryskiemu, że potrzeba nowego kościoła; pobożny dziedzic Granowa ucieszył się, że może nową Bogu zanieść ofiarę, wnet rozkazał budować świątynię Pańską, a szanibelana Jaroszyńskiego uprosił, aby go zastąpił przy obrzędzie położenia kamienia węgielnego. Pan szanibelan zaszczytnie spełnił, co mu książę przyporuczyć raczył; przywdziawszy świąteczny kontusz i żupan, zjechał z licznym dworem, suto częstował obywatelstwo, co tłumnie się zgromadziło na wielki odpust. Zbiegowisko wrzało przez parę dni świętobliwą

wesołością, bo ma być obrzęd wesoly; dawno niewidziani przyjaciele spotykali się radośnie u wrót kościoła albo przy gościnnych stołach; serdeczność, szczerota i swoboda na wszystkich twarzach, bo tu pobożność we wszystkich sercach.

Przez dwa dni lud poczciwy oblega stary kościółek, modli się z wiarą i z wiarą bierze odpusty; trzeciego dnia ze wszelką okazałością kościelną, uroczystym pochodem ciągnie na wzgórze, gdzie miał stanąć nowy kościół. Biją w dzwony, chorągwie powiewają poważnie, lud płynie spokojnie; kapłan otoczony sąsiedniem duchowieństwem, postępuje powoli z Ciałem Bożem, pod litą oponą, dźwiganą przez najpoważniejszą starszyznę: wstąpił na wzgórze, zaczął pieśń cześci, a lud ją porwał na swoje głosy i wzniosł pod obłoki, a rozbijanie się dzwonów wtórzy tój pieśni; lud przykleka, chorągwie pokłon oddają — kapłan błogosławi Ciałem Bożem. Wszystko ucichło, a ksiądz Markiewicz tak mówił:

„Kto Bogu stawi dom na ziemi, ten sobie dom w niebie buduje, a na ziemi jeszcze Bóg błogosławi mu w rodzie i na pokoleniu jego. Starzy ojcowie nasi byli skorsi od nas w chwale Bożej, w pożytku ludzkim, to też Bóg dawał im sławę i potęgę, i błogosławił ich ziemicy, dopóki oni z żywą wiarą i nadzieją, a z gorącą miłością błogosławili święte Imię Jego, dopóki z synowskiem posłuszeństwem strzegli prawa Jego. A gdy się zaprzali Imienia Pańskiego, zapominając swojej wiary i swoich obyczajów, Pan długo przebaczał, długo napominał, nakoniec pokarał ich srodze a sprawiedliwie, i to karanie zostawił na synach, dopóki się nie obaczą, a nie powrócą na drogę zbawienia. Ale my wolim drogę świata, bo to, co świat ma, widzimy, a to, co Bóg zgotował wiernym swoim, tego nie widzimy, ani też słyszymy obietnic Jego. Nie widzimy i nie słyszymy, przebóg! bośmy oslepli na duszy, ogłuchli na sercu; bośmy uciekli od światła wiary, a otoczyli się ciemnością bydląt, co tylko o ciele swoim mają staranie.

Troja alic. chwata...

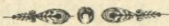
„Dawniej, ojcowie nasi pierwiej myśleli o duszy, jak o ciebie; pierwiej stawiali Bogu świątynie, aniżeli sobie zamki i grody; pierwiej zakładali schronienia dla nędzy bliźniego, aniżeli wymyślne gmachy dla zbytków własnych. — Dawniej, często obok wspaniałego kościoła stał skromny dworek dziedzica, i tak przystoi; dziś obok wykwintnych zamków pruchnieją i chwieją się od wiatru nędzne kościółki. — Dawniej, bogactwa skupiały się na ołtarzach Pańskich, skąd szły nie raz na usługę ojczyzny; dziś pleśnieją w skrzyniach skąpców bardziej, jakby we wnętrzościach ziemi, albo je wiatr rozpusty roznosi, rozmiata, i nie ma po nich śladu, jeno w pustkach marnotrawcy, jeno w upadku i nędzy dziedzictwa jego. Przy dawniejszej rządności, szczodroblowości i hojności ojców naszych były dobre czasy; a dziś i marnotrawnik i sknera wołają: „Złe czasy!“ — Zaprawdę, złe czasy, bo ociężała nad nami karząca ręka za winy ojców, za naszą oziębłość w służbie Bożej, za naszą nieczułość na nędzę ludzką. Nam trzeba odpłacić za winy ojców, a my jeszcze swoje dorzucamy do ciężaru klęski narodowej, co naszym niedbalstwem spadnie na syny nasze.

„O niebaczni! pod bokiem walących się świątyń Pańskich, jakby na urągowisko rozszerzacie swe gmachy, bo w nich za ciasno dla dumy waszjej, nie ma się gdzie rozeprzeć. Pod okiem nędzy bliźniego, jakby na urągowisko, rozwijacie wasz zbytek. Chcecie, aby Bóg wejrzał na was okiem miłosierdzia, a niechże kto do was po ofiarę zawoła, niech o wsparcie prosi, odwracacie zimne oblicze wasze; a sami przed sobą tłumacząc się z niemilości waszjej, powiadacie, że to co macie mało jest, bo drudzy mają więcej. — Ja wam powiadam, że wiele macie, skoro są tacy, co od was mniej mają. Dziś powiadasz, że to, co masz, ledwo ci wystarcza na życie, bo ledwo masz dwudziestu ludzi i sto koni na twoich usługach; a jak ci Bóg odbierze twe mienie, jak z możnego pana przejdiesz na ubożego sługę — a gdzież tego częstsze jak u nas przykłady — wtenczas wykrzykniesz: O! gdyby mi choć

setna odrobina dawnego mienia, miałbym się jeszcze czém dzielić z uboższym bratem! Nie czekaj więc, aż ci Bóg odejmie twe dobro, a sam nieś je Bogu na ofiarę, bliźniemu na wsparcie.

„Widzimy co dzień, jak ten strwoił majątek na grach i rozpuście; tamtemu wszystko odjęła chciwość, co godzi na cudze; ten z gromnych bogactw już ostatkiem goni, a jeszcze się pienia; tamtego nierząd i zbytek wyгнаł z własnego domu, i syny jego po świecie rozpędził, a nie widzimy nigdy, aniśmy téż kiedybądź zasłyszeli, aby kto stawiać kościoły, albo domy dla starców, chorych lub sierot, popadł w ubóstwo i nędzę; bo Bóg błogosławi tym, którzy mu służą, a karmią i odziewają Go w ubogich Jego; bo wszelkie rachuby ludzkie prędzej później zawodzą, a łaska Boska trwa wiecznie. Starajmyż się o tę łaskę dla siebie i dla następców naszych, idąc śladem czcigodnego księcia Adama Czartoryskiego, w którego starożytnym a świetnym domu, razem ze krwią wielkich królów naszych przechowały się ich wielkie cnoty, w którego starożytnym domu zamożne skarby, zamknięte zbyt kom i marnotrawstwu, zawsze otwarte były ubóstwu, nauce, a nadewszystko chwale Bożej.

„Przy dzisiejszej uroczystości cieszymy się cnotami naszego ksiączęcia; dziękujmy Bogu, że pośród nas postawił taki wzór cnót chrześciańskich i obywatelskich dla naszej nauki i dla pociechy kraju naszego. Prośmy Boga, aby nam pozwolił szczęśliwie dokończyć kościół, któremu dziś kładziemy węgielny kamień; a dla zasłużenia na miłosierdzie Boskie, uświęcajmy się cnotami Chrystusowemi, ażeby czyste a ogniem miłości i wiary gorejące serca nasze stały się kościołem Stwórcy wszech rzeczy i Zbawiciela naszego. Amen.“



ROZDZIAŁ IX.

ŚLUB SIOSTRY.

Z jubileuszu hurmem całe sąsiedztwo zjechało się do Hruški, jakby na pielgrzymkę, dla uczczenia pobożnej i świątobliwej siostry mego ojca, co wśród ogromnych bogactw pędziła życie pustelnicze. U niej w domu zawsze pełno gości, często i huczna zabawa; mąż jój, sędziwy starzec, pociesza się jak może w tém nieszczęściu, że nie ma komu zostawić swych bogactw, a ona trawi dni i noce na modlitwie dla przebłagania Boga za syna, co był jedyną jój pociechą, co zaświecił wielkimi nadziejami, kochał matkę nadewszystko, a zakrwawił jój serce na wieki, odbierając sobie życie w jój własnym domu. Poczciwa kobieta, z natury żywa i popędliwa, z losu pani ogromnych włości, przez cnotę chrześcijańską stała się wzorem cierpliwości i pokory, martwiła ciało odmawiając sobie wszelkich wygod, a krzepiła duszę ciągłą jałmużną i modlitwą. Stajnia pełna okazałych cugów, wozownia pełna złocistych powozów, stoły gościnne uginają się pod srebrem, komnaty bawialne przeglądały bogactwa swoje we wspaniałych zwierciadłach, jaśniały rześnistém światłem; a ona chodziła zawsze piechotą; zawsze albo modli się w kaplicy, albo w ubogim pokoju swoim, przyjmując odwiedziny liczego rodzeństwa i częstych gości.

Po kilku dniach hucznego pobytu w Hruście, jadąc do Hubnika w liczнім towarzystwie młodzieży, spotykamy w lesie powóz; podług zwyczaju kazałem jechać powoli, żeby widzieć, czy nie kto znajomy. Patrzę, aż to moja Fruzia! Pięć lat jój nie widziałem! Jakaż śliczna! Dwa aniołeczki, niby jój stróże, wyglądają z kolasy. „Stój! Stój!“ — I ona mnie poznała, i powitała ślicznym rumieńcem, pokazała mi dzieci swoje, a jak się dowiedziała, że jedziemy z jubileuszu, oczy jój zaświeciły podwójną radością, bo ona była tak nabożna jak śliczna, a była śliczna, jak anioł. Droga zła a daleka, wieczór się zbliżał; widzenie się nasze mignęło jak spadająca gwiazda, a zostawiło w mém sercu radość spokojną i wesołą, bom spotkał przyjaciela, bom się dowiedział, że go zobaczę w Kijowie na kontraktach, a kontrakty już nie daleko.

Już mrozy ścinają, już niebo szarzeje, już nieznośną grudę zasypuje miękki puch, a na odpoczynek podróżnym ściele się droga. Wszędzie białe, śnieg błyszczy brylantem, cisza w powietrzu, sanki mkną po śniegu, a lekko, a cicho, jakby się bały zbudzić uspienie świata. Wrzawa uciekła za ludźmi do domów, skupiła się przy ogniskach domowych, a czasem tylko wybiegnie z ludźmi do lasu, parę godzin zapoluje po lesie, i znowu do ognia ucieka; czasem się wykradnie na sanki i pędzi z ludźmi do sąsiedniego domu, i wszystkie domy kolejno obiega, po wszystkich lasach kolejno popłoszy, i znowu do ognia.

Na wsi ukraińskiej i zima wesoła, a cóż dopiero jak przyjdą święta, a potém kontrakty. Nigdzie święta nie są tak huczne i gromadne, jak u nas, bo nigdzie nie dochowały się tak czysto staropolskie zwyczaje. Na święta u nas zjeżdżają się w każdej okolicy do domów najpoważniejszych; ta cześć obchodzi kolejną, i naprzód wiedzą, gdzie zbiegowisko. Tam już wszystko gotowe na przyjęcie bliższych i dalszych sąsiadów; pokoje gościnne ogrzane, dworki wiejskie wyporządkowane, jest gdzie przyjąć i stu ludzi, jest czém karmić i trzysta koni. Ile razy palną z bicia, tylu gości zajęchało.

Stoły wysłane sianem, przykryte obrusem, jak śniegiem. Na stole w ogromnych srebrnych misach polewka migdałowa, na srebrnych podstawach ogromne szczupaki wysadzone przezroczystymi przysmakami, jakby drogiemi kamieniami, tam łańcuchy z makiem, tam kutia, dalej wykwiłtne łakocie i różne owoce, na środku złocisty-kosz z cukrami, na koszu spoczął lejący aniołek i trzyma opłatki. Tak zastawiony stół na wilię czeka na gości; goście czekają na gospodarza, gospodarz czeka na pierwszą gwiazdę; kuchmistrz wysłał co chwila kucyka gwiazdziarza, żeby wyglądał gwiazdy, a sam pilnuje, żeby się krążki dobrze urumieniły, żeby się karp dobrze wysadził, żeby się nic nie przypaliło, nic nie zakrzepło. Wpada kucyk i krzyczy, że gwiazdę wynalazł. W mgnieniu oka sto świec, jak sto gwiazd, oświeciło stoły, gospodarz prowadzi najstarszą niewiastę, za tą poważną parą wsunęły się liczne pary i stół opasały; aniołek oddaje opłatki, a gospodarz dzieli się chlebem Bożym z rodziną i z gośćmi, zapraszając ich do siebie znowu na rok przyszyły.

Nazajutrz po trzech mszach suto śniadanie, i już cały dzień huczno i wesoło; brzmi muzyka, a jak się wieczór zbliża, dziewczęta przez okna szukają gwiazdy, która pierwsza znajdzie, w pierwszej parze wywinie mazura i sama sobie tanecznika wybierze. Kilka dni świąt schodzi na hulaniu.

Ochocze grono radzi, gdzie tu na nowy rok pojechać, a po nowym roku gdzie na Trzech Króli, a po Trzech Królach już bez pytania i rady na 10 stycznia wszyscy u mojej matki z powinszowaniem imienin, które przypadają dwónastego, bo cóżby to były za imieniny, coby trzy dni nie trwały; dwónastego po wieczery i po tańcach kobiety zabierają się do spoczynku, a mężczyźni do podróży.

Pełny dziedziniec sani, konie parskaają, woźnice zagrzewają ręce, tłukąc je po ramionach, służba się zwija, częstuje wóźniców, panom szuby podają; zapalone kagańce rubinowym ogniem płoną, rozświeciły szeroką lunę i zaróżowały śnieg spadający szerokimi

płatami. Ściele się droga, dobre będą kontrakty. — „Zajeżdżaj!” — dzwonki zadzwoniły, śnieg zachrupotał, kozacy z kagańcami wylecieli za bramę, sanie pomknęły jedne za drugimi, — a za nimi powlokły się długie cienie. W głębokiej budzie, w niedźwiedzich szubach, z wilczurą w nogach, śpi się doskonale na skórzanych poduszkach aż do białego dnia; dopiero popas. Rejwach w karczmie, żyd dostał w kark parę razy od kucharza, kozak za pejsy parę razy targnął i w mig wszystko jest, czego potrzeba. Po popasie jedzie się dniem, a że liczne grono, więc wesoło; z sani na sanie przeskakują, strzelają, bawią się, panowie sami powożą; z góry sanie poszły w zatokę, wywróciły się; dopiero śmiech! Ten już otrzepuje się ze śniegu, tamten jeszcze w kozłach, podnieśli sanie i dalej ruszają, gwarząc, strzelając i wywracając się aż do noclegu. Coraz więcej sani spływa z różnych dróg na wielki szlak; zbliżając się do karczmi, nuż wyprzedzać się; kto pierwszy zajedzie, zdobywa karczmę dla swojego grona; pełna karczma, drzwi zatarasowane, nie puszczamy nikogo; a tam krzyczą: „Otwieraj, żydzie, bo karczmę zapalę!” Żyd w strachu, a my się śmiejemy.

Ognie płoną na kominach i w kuchni, przysmażają bigosy i zrazy, zgrzeją piwo ze śmietaną, zgotują kaszę obwarzaną i wnet obiad wyborny. Szlachta jedna gra w karty, druga strzelby myje, a wszyscy gawędzą i śmieją się aż do późnej nocy. Przededniem już wszyscy powstawali, już po herbacie, już wszyscy upakowani, i dalej w drogę. Im bliżej Kijowa, tym więcej sani; od Biało-Cerkwi już szlak zawalony saniami, a z ostatniego noclegu od Wasylkowa, to już sanie za saniami, a czasem we dwa rzędy jadą, przeganiają się, bo droga szeroka, a tak ujeżdżona, że szkli się, jak lód.

O trzy mile od Kijowa widać już wieżę Zofijskiej Ławry, co najwyższej stojąc i sama najwyższa, dumnie podnosi złotą głowę swoją; dalej jakby z pod ziemi wyrastają różne kopuły i wieżyczki, a wszystkie błyszczą potrójnym złocistym krzyżem. Przed rogatką strażnik

zatrzymał sanie z beczkami i krzyczy: „Wódka!“ a to ruble, aż oskoma Moskałom, co tam stoją.

Kijów rozparł się szeroko, a góry podzieliły go na trzy części. Bolesław ciął w złotą bramę starego Kijowa, i choć już nie ma téj złotój bramy, ale jest jeszcze mur z jój zwalisk, i każdy Polak, co pierwszy raz wjeżdża do Kijowa, myśli o téj bramie i nim wjedzie do miasta, wstępuje do niój, choć nie po drodze. Na Peczerskiém, Zofijski monaster, strzegą go pieczary pełne świętych i twierdza; na Peczerskiém także, gmachy rządowe, a na Padole kontrakty. Tam cały ruch, tam ogrzane domy czekają na gości, tam Izba kontraktowa, zabawy, muzyka, piękne wystawy zbytkowych towarów, tam najwięcej smażonych owoców w słojach, a pieniędzy w beczkach. Sanki lekkie pędzą we wszystkich kierunkach, a tak się zręcznie wywijają, jak karty w ręku kuglarza; zwoszyczycy krzyczą, piszczą, rysaki kłusują, a skakuny wykrczone jak tancerki, chłodząc się kłębami śniegu sadzą w czwał; i tak cały dzień, i tak przez dni dziesięć.

Tyle ludzi w Kijowie; a jak kto nowy przyjedzie, w téjże chwili wszyscy wiedzą, i wiedzą, gdzie zajechał, bo każdy skoro przyjechał, wchodzi do Izby kontraktowój, a tam wsze wieści spływają wszystkimi ulicami i wszystkimi ulicami wypływają ztamtąd na cały Kijów, a z Kijowa wszystkimi szlakami na całą Ukrainę. Wprawny szlachcic kontraktowy rozumie tę izbę, jak Francuz giełdę; wejdzie raz pierwszy, a po liczbie, po gwarze, po twarzach, pozna zaraz czy dobre kontrakty, to jest czy dużo pieniędzy, czy drogie dobra, czy jest kupiec na zboże i wódkę; a jak się raz taki szlachcic przejdzie po izbie, to już może całe kontrakty siedzieć u siebie, bo wie, co ma robić przez całe kontrakty, bo wie, że go znajdą, skoro się dowiedzą, że ma pieniądze. Jeździłem do izby kontraktowój, choć nie miałem tam nic do roboty; bo się w niój spotyka i towarzyszków szkolnych i znajomych ze wszelkich

stron Polski, bo tam młodzież cała. Gdzie młodzież, tam ruch i życie, tam się usłyszcy i dowcipny żarcik z Mikołaja i słówko nadziei połączce ucho; tam się dowiedzieć, gdzie jaka zabawa, gdzie będą świetne zapusty, gdzie panny piękne; a więc ruszam do izby kontraktowej. Zwoszczyk zajeżdża przed izbę aż zaburczy, wyskakuje się, jak kto umie, wbiega się, albo wyłazi się na schody; z obszernego ganku, sto głosów woła sani swoich, a zwoszczycy tak uważni i wprawni, że kiedy zaledwie głos jego pana doleci, on już zajeżdża; po obszernym rynku dzielne konie sankami krzyżują, i nim do izby wejdiesz, patrzysz na uganiające sanki jak na zręcznych harcowników. Obrócisz się ku izbie, a z izby jak z ula wychodzi szmer głuchy; snuje się szlachta; wejdiesz do izby, gwar, krzyk, wołanie, tłum ludzi, a ten tłum ciągle się odmienia i tak cały dzień, i tak dni dziesięć. Po słupach izby poprzyklejane nazwiska wsi do przedania, albo do puszczenia w dzierżawę; po za słupami w około izby kramy z rozmaitemi towarami. W końcu izby drzwi do izb sądowych. U tych drzwi wieczorem o zapaleniu świec staje woźny i wykrzykuje, kto komu w dzisiejszym dniu pomimo wyroku nie zapłacił; więc szlachta skupia się i słucha, naprzód dla tego, że ciekawa, potem dla tego, że *cudza bieda ludziom śmiech*, a nakoniec, żeby wiedziała, komu nie pożyczać pieniędzy; a woźny matacz, jak mu dłużnik nie da, to po trzykroć wykrzykuje jego nazwisko tak donośnym głosem, jak poczajowskie dudy, a jak mu się opłaci, to raz tylko wymówi, i tak urzędowym głosem zahuczy, że nikt nie zrozumie.

Cały dzień lata się za kontraktowemi robotami i po odwiedzinach, wieczorem idzie się albo na muzykę, albo na widowisko polskie, co tam z Berdyczowa przyjeżdża, albo też na tańce. W tym roku tańczowano i u Fruzi; tańcowałem z nią, jak kiedyś, a pięć lat czasu zniknęło z pamięci.

W tym roku jak i zawsze najświetniejsze granie Lipińskiego, bo on mistrz wielki, a do tego Polak.

ulubieniec Polaków. Skoro Lipiński nie przyjedzie kiedy na kontrakty, i nie zagra co polskiego z polską duszą i sercem, to zdaje się, że czegoś bardzo ważnego brakowało. Nie jeden szlachcic pierwój jak o cenę dóbr i zboża, pyta czy jest Lipiński; skoro jest, wszyscy go rwą do siebie, ten na obiad, ten na wieczór; wszyscy go otaczają tą czcią, jaka się należy ludziom niepospolitym, a do tego swoim. W tym roku Lipiński był u nas na obiedzie, bo nas z nim zapoznał, jego i nasz przyjaciel Antoni Nowotny, a to za to, żeśmy obiecali nie bardzo go już wywracać jadąc z Kijowa. Pan Antoni był człowiek pełen nauki i znawca sztuk pięknych, aleśmy go kochali więcej jak za to, za poczciwe jego serce i za przywiązanie ku naszej rodzinie.

Ostatnich dni kontraktów zwiedziliśmy przedniejsze cerkwie. Wiele jest w nich bogactw i dawnego smaku, każda prawie cerkiew ma swego świętego; ale wszystkie bogactwa, i wszyscy święci zbiegli się do Zofijskiego monasteru. Tam cerkiew strojna zewnątrz dziewięciu złocistemi kopułami, wewnątrz wygląda jakby jeden klejnot; wszystko od srebra, złota i drogich kamieni, a palące się ognie migocą w nich różnobarwném a błyszczącym światłem; wonność kadzidła zaprawiła powietrze, cichość dodała powagi temu miejscu, tak że wchodząc, zazdrości się, że to nie kościół. Obejrzawszy cerkiew, weszliśmy na wieżę; powietrze było czyste, dzień jasny; oko spojrzawszy ku dołowi, widzi obszar wielkiego miasta, co błyszczy wszędzie kopułami i potrójnemi krzyżami; widzi Dniepr ogromny, co się tuli do miasta, bo mu zimno, co spokojny, bo on śpi teraz; widzi przestrzeń niezmierną a białą, i tylko z jednej strony pocieniowały ją góry, z drugiej gdzieś niedziele poczerniły sosnowe lasy. Cudny to ma być widok w lecie, bo też cudne położenie Kijowa, alem go w lecie nie widział.

Żeszędłszy z wieży, poszliśmy do sławnych pieczar. Już popi czekali nas z zapalonymi świecami, wzięliśmy

każdy świecę do ręki; szliśmy długo pod ziemią; ciekawość i mimowolne poszanowanie dla miejsca, któremu tyle milionów ludzi cześć świętą oddaje, zamknęły usta największych niedowiarków; milczenie ma zawsze w sobie coś tajemniczego, bo w milczeniu zawsze człowiek rachuje się sam z sobą. W tym uroczystym milczeniu weszliśmy do pieczar; przy wejściu popi, co nas przyprowadzili, zostali; a czerncy, co się modlą w pieczarach, strażnicy pieczar, słudzy świętych, co tam mieszkają, wskazywali nam drogę podziemną; skorośmy weszli w ziemię, drogi podziemne strzeliły wazkami ramionami na wsze strony, z każdego ramienia nowe drogi rozchodzą się, krzyżują się, w nowe ramiona rozdzielają się, i tak się wiją pod miastem, a nieskończonym biegiem przechodzą na drugą stronę Dniepru. Pieczary te ogrzane miłem ciepłm ziemi, pełne są czystego powietrza, a światło, które sam niesiesz, rozświeca ciemność i pokazuje ci błyszczące ołtarze, bogate zasłony, otwarte srebrzyste trumny, a w nich ciała świętych owinięte w jedwabne, lite szaty; tu przez okienko widzisz świętego klęczącego, dalej spotykasz ich razem po dwóch, po trzech; dalej siedmiu braci śpiących, co wystawili cerkiew Zofijską, przyszli tu, gdzie ich widzisz, pokładli się i zasnęli na wieki snem błogosławionych; dalej spotykasz św. Jana, co stał kiedyś, a z czasem wchodzi w ziemię, a gdy się cały zagrzebie, to się świat ma skończyć; dziś już się wkopał do piersi. Chodzi się po tych pieczarach przez parę godzin, i tylko małą ich częstkę obejrzy się, a co krok nowy święty, a nieomal przy każdym jakieś świętości do nabycia; przy tym obrazki, przy tej krzyżyki, przy tamtej pierścienie. Są, którzy mówią, że urywali tym świętym słomiane palce, ja tego nie widziałem; ale wkrótce po mnie zwiedzała te pieczary ze swymi przyjaciółmi pewna moskiewska pani, a zwiedzając śmiała się z prostoty tych, co wierzą w świętych; w ciągu tej lekkomyślniej wesołości zbliżyła się do świętej Barbary, na której palcach zawsze pełno pierścieni dla wiernych; płaci za pierścieni i chce go

zdjąć sama, jak inni czynili; bierze za jeden pierścień, pierścień nie daje się, próbuje drugiego, i drugi zejść nie chce, porywa za trzeci, i trzeci się opiera, ręka jej zakłękła, strach ją objął, przelękła się własnego życia i została pokutnicą.

Kijów pod dzisiejszym moskiewskim rządem zubożał znacznie; urzędnicy moskiewscy wyssali bogactwa dawnych mieszczan, których dotąd uroczystym strojem był strój polski; ale cerkwie kijowskie świadczą o dawniej zamożności tego miasta, i każą domyślać się, jaki to był Kijów, kiedy był stolicą, kiedy go zdobył Bolesław Śmiały; a spojrzawszy na kraśne Kijowianki, to i nie dziw, że Bolesław tu zagościł, że wojsko polskie tu zniewieściło.

Po dziesięciu dniach pobytu w Kijowie, pokończywszy roboty, jak kto mógł, ten kupiwszy parę wiosek, ten przedawszy zboże, co się ma urodzić, ten oplakawszy czyjeś straty dla tego, że sam na nich utracił, ten ograwszy się jak włoskie skrzypce, tamten zakochawszy się jak kot, a każdy nakupiwszy smażenin i kawioru, herbaty i cukru, śledziów i minogów, nowych książek polskich i nowy Kalendarz Berdyczowski, wraca do domu rad, że cały się wyrwał ztamtąd, gdzie wojenny gubernator i twierdza. Zmyka się do domu, kiedy sanna ginie, a kiedy trwa sanna, to się jeździ rzeziennym dyszlem, tu polując, tam tańcząc, wszędzie hulając.

Tylko co się wytehnęło w domu, tylko co się obleciało sąsiedztwo jednokonnemi saneczkami, co jak cień czwają za koniem, a już czas myśleć o ostatnich. Jedni ruszają do Winnicy, drudzy aż do Krzemieńca, a każdy pędzi w nowe sobie strony, po nowe piękności. W każdym większym miasteczku zapusty, ale i na wsi zapusty i te najmiłsze, bo wszędzie dobrze, a w domu najlepiej.

My tego roku nie szukaliśmy zapustu, bo mieliśmy je u naszej matki. Siostra nasza już dochodziła lat osmnastu, a ojciec nie chciał, żeby pierwej szła za

maż, więc zbliżał się czas szczęścia dla niej i dla Piotra Sobańskiego, co przez nią wybrany, czekał już dwa lata, bo z moim ojcem trudna była sprawa, co raz postanowił, tego nie zmienił. Zbliżał się tedy czas, w którym moja siostra po raz ostatni powtórzyć miała swoje przyrzeczenie; a choć jój narzeczony był bardzo zacny człowiek i bardzośmy go lubili, jednakże nam szło o szczęście siostry a nie o to, żeby za męża poszła, probowaliśmy jój przywiązania na wszystkie sposoby. Tośmy zmyślali, że ojciec powiedział, że jak będzie miała lat ośmnaście, to pozwoli jój pójść za kogo zechce, aby nie za Piotra; tośmy udawali, że już panu Piotrowi znudziła się taka przewłoka i już nie wróci. Horcia w płacz, w młodości, myśmy ją pocieszali mówiąc, że młoda, łatwo męża znajdzie; stręczyliśmy jój młodych, ładnych i bogatych; nie nie pomagalo. Woleliśmy ją męczyć tym sposobem, aniżeli żeby lekkomyślnie wybór uczynić miała; bo co za mąż, to nie do tańca; nie na chwilę, ale na całe życie; i to na życie i młode i stare, w szczęściu i w nieszczęściu. Ale moja siostra była stała w przywiązaniu swoim, warta była tak dobrego męża, jak Piotr Sobański. Pan Piotr przyjechał na dni kilka przed dniem urodzin mojej siostry; jeszcze raz oświadczył się ojcu i matce; w dzień urodzin były zaręczyny, a za parę miesięcy miało być wesele.

Dopieroż pół kopy szwaczek zasiadło do krosien, dopieroż za wyprawą posyłaj na wszystkie strony: i do Odessy, i do Brodów, i do Warszawy. Moją matkę odprowadziłem do Krzemieńca, tam spotkaliśmy Eustachego, który wracał z Warszawy z magistrowskim stopniem, z rozrosłemi barkami, jak gdyby Herkules jaki; wracał do domu z twarzą rozradowaną, dźwigać na tych barkach ciężar miłego próżnowania i swobodnego wiejskiego życia. Nażartowawszy się z nim, ale ostrożnie, bo jak ścisnął za rękę, to krew z palców tryskała, wstąpiwszy po rozkazy do cici, ruszyłem spiesznie do Warszawy; tam w mgnieniu oka nakupiwszy co potrzeba: i brylantów, i cukierków,

i jedwabiów, i złota, i różnych czupiradek, sprawiwszy sobie kocz i klawicymbał, sam się ustroiwszy jak należy i wykłóciwszy się z wielkim księciem na Saskim dziedzińcu za to, że mu się zdało, iż niedość wcześniej zdjąłem przed nim czapkę; drapnąłem ku domowi, żeby i na czas stanąć i u ciotki kilka dni zabawić. Tęskno nam było; jój tęskno, bo mąż więziony w Petersburgu, mnie tęskno, bo i ona tam się wybiera, nie wiedzieć na jak długo, dzielić niewolę z mężem, ale się radował jój cnotą, pieściłem jój synka, zostawiłem tysiąc błogosławieństw, połowę cukierków i dalej w drogę.

Przyjeżdżam do domu; wybiegają wszyscy naprzeciwko mnie i naprzeciwko sprawunków; chciałem wszystko porządnie pokazać i oddać, ale gdzie tam; zrabowali mój kocz w mgnieniu oka, porozrywali tłumoki, poodbijali walizy, aby przedźić; porozrzucali sprawunki po wszystkich pokojach, a wszyscy razem gadają; to chwala, to gania, to jedna drugą stroi w kwiaty, w zasłony, i w co kto złapie; aż ze wszech stron wołają: nie ma czasu, nie ma czasu, i jakoś wszystko do porządku przyszło. A było już tylko trzy dni do ślubu.

Na dziedzińcu kończą na łeb na szyję chwilowy gmach na ucztę i tańce; w mgnieniu oka wyrosły w koło niego i drzewa i kwiaty; drzewa i kwiaty wcisnęły się do obszernej izby, skromne drzewa po kątach stanęły, a ciekawe kwiaty pną się po słupach, wdrapały się na gzymy, niektóre wieńcem splotły się, jak gdyby tańczyć chciały, inne spoczawszy na zwierciadłach, dziwiają się swój krasie, inne wlażyły na sufit, poczepiały się po oknach i świecznikach. Już szkli się posadzka, już wszystko gotowe.

Pojazdy i cugi pana młodego spoczywają dzień cały, a nadedniem, żeby nikt nie widział, woźnice ujeżdżają konie i uczą je, jakimi płasami w dzień ślubu zatańczyć mają. Muzyka mego wuja ciągnie, jakby oddział wojska, za nią wozy z przyborem muzycznym jak z bronią, ze strojną barwą, jakby ze zbrojami, idąc przez wieś brzmi

polskiego, stanąwszy na dziedzińcu zwinęła się w kłębek, a z tego kłębka wywinęły się śpiewne dźwięki, świeże i czyste, jak panna młoda; zgodne jak dobre małżeństwo.

Goście zjeżdżają się tłumnie; u wrót wsi stoją kozacy na koniach i rozprawdzają gości po dworach. Już wszystkie dworki zajęte; w każdym stroją się panie i panny, każdy dworek wnet ustrojony w kobierce i zwierciadła, w adamaszkową kotarę i w srebrną gotowalnię; w mgnieniu oka każdy dworek zmienił się w świątynię dumania i wdzięków, a nad każdym, gdzie są goście, powiewa chorągiew. Gościnne konie spoczywają, a dworskie powozy gości rozwożą i zwożą; młodzież niecierpliwa a grzeczna odwiedza i konno i pieszo i powozami; ruch na wsi, jak gdyby w mieście w czasie ostatków.

We dworze cicho. Ksiądz Markiewicz słucha państwa młodych spowiedzi, uczy ich powinności małżonków i rodziców. Panna młoda płacze, pada do nóg matce, dziękuje jej za to, że ją wypielegnowała — płacze; przeprasza matkę za wszystkie jej kłopoty i trudy, za wszystkie uchybienia swoje i jeszcze więcej płacze; matka i córka płaczą, a jak ksiądz Markiewicz powiedział: „Opuścisz dom matki i ojca, a pójdziesz za mężem twoim,“ i matka i córka zachodzą się od płaczu. Matka tuli swe dziecię, pan młody i bracia patrząc na to, milczą i płaczą, a kapłan świątobliwy słowami religii zabrania zbytniej czułości. Tak było dniem przed ślubem. Nikt panny młodej nie widział dnia tego; przeplakała i przemodliła noc całą, a nazajutrz uklękła do ślubu z suchem okiem, bo już łez nie było.

W dzień ślubu pojazdy pana młodego wjechały z hałasem na dziedziniec, pan młody wyskoczył z pierwszego powozu; woźnice czwaniąc się końmi jak dziećmi swemi, objeżdżają w koło; dyszlowe tylko ciągną, licowe idą w samych poskokach, naręczny forytarski podniósł łabędzią szyję, jak gdyby czuł że najpiękniejszy, wszystkie parskają na szczęście dla państwa

młodych; a młodzież chwali dzielne konie i cieszy się jak swemi.

Okolo południa wszyscy zgromadzili się w bawialnej komnacie. Matka zajęła pierwsze miejsce; pannę młodą prowadziło dwóch braci, pana młodego dwie panny. Weszli, padli do nóg matce, matka błogosławiła; łza spokojna spłynęła po licach. Oderwaliśmy naszą siostrę od nóg matki i przy odgłosie trąb i kotków poprowadziliśmy ją do ołtarza. Po ślubie od ołtarza odprowadzali moją siostrę stryj i wuj, oba żonaci, a jej męża dwie panie zamężne.

Dopieroż zaczęły się zabawy i wrzawa; mężatki ciągną moją siostrę do siebie, a ona do panien ucieka; młodzież droczy się z panem młodym, odgania go od siebie, aż wkupił się do nas obietnicą stuletniego wina na cukrową wieczerzę.

Izba jadalna przystroiła się w herby państwa młodych, cukry błyszczały ich imionami; państwo młodzi zasiedli pierwsze miejsca; po dwóch godzinach obiadu zaprawionego muzyką i wesołością, po hucznych zdrowiach i państwa młodych i ich rodziców, i kobiet, i różnych obecnych ze starszyny, przyszło na koniec *kochajmy się* i przecież wstali od stołu. Po obiedzie spotykam kuchmistrza stojącego przy drzwiach, z chlubą go pytam:

— A pieczeń łosia?

— Była, panie; jakem wchodził, wtedy dano łosia, odpowiedział głosem uroczystym.

Rozśmiałem się, a nie było z czego, bo w każdym stanie próżność, bo każdemu prawie zdaje się, że wszyscy na niego patrzą. Nazajutrz pan kuchmistrz przyszedł do państwa młodych z winną polewką po dukaty.

Moja siostra, co wczoraj błyszczała tylko urodą, dziś wystąpiła w perłach i brylantach; co wczoraj miała włosy w kwiatach, dziś je pod czepek schowała; co wczoraj była w powiewnej bieli, dziś uwinęła się w szal ogromny, bo taki zwyczaj; co wczoraj ją prowadzili do ślubu, ona dziś odprowadzała od ślubu

męża ochmistrzyni swojej, bo już ona pani, a choć najmłodsza między nami, już niby najstarsza; bo ten ślub dziwy wyrabia, lotne panienci przerabia w poważne panie, a stare panny w młode mężatki.

Po trzech dniach wesela i tańców goście zaczęli się rozjeżdżać, i rozjeżdżali się cały tydzień; potem nuż objeżdżać sąsiedztwo, hulać po sąsiedztwie; na koniec odprowadziliśmy naszą siostrę do jej nowego domu. A matka, co niewymowną boleścią rozłączała się z córką, radaby jednak, żeby dzieci odpłaciły się jej wnukami, i nas jak najprędzej pożeńićby chciała.

ROZDZIAŁ X.

SZARAŃCZA I POLOWANIA.

W 1827 r. było u nas wielkie zjawisko, dla obcych wielka ciekawość, dla miejscowych okrutna plaga — szarańcza. Już lat kilkadziesiąt jak jój nie było, aż raptem napędził ją do nas wiatr z głębi Azji; przyszła do nas przez Odesę, splądrowała kraj wzdłuż i poprzek: siadła na las, to las obłamała, liście mu objadła; padła na zboże albo na step, i poleżała dzień jeden, to ani znaku gdzie była trawka jaka, gdzie było zdźbło jakie, i tylko ziemia czerniała jak gdyby spalona. Szarańczy niczem odstraszyć nie było można, ani strzelaniem, ani tratowaniem: gdy się podniosła, gorsza od gradu i piorunów, wlokła się po nad ziemią, jak chmura ciężarna gradem i piorunami — chmura ta rozwijała się jakby w kłęby dymu, i znowu spadała; przed nią i trzody rycząc rozbiegały się, i wilk ze stepu umykał, i ptaki rozlatywały się, i zając pierzchał, a leciała prosto na wsie, na miasta, na morze, na ogień; zapędzi ją wiatr na morze, to się wytopi, zapędzi na lądy, to wszystko niszczy. Szarańcza siada warstwą na pół łokcia grubą, a leci ławą na pół ćwierci mili szeroką a na pół mili długą, wiatr ją pędzi, a ona lotem swoim wiatr pędzi: a gdzie naleci tam noc; jak leci, to słyhać milionowy szelest skrzydeł, jak legnie, słyhać milionowe chrupotanie, a tak jój zasmakował chleb ukraiński, że u nas zakopała się na zimę. Dopieroż rada w radę, jak ją

wygubić; najlepszym sposobem pokazało się, żeby na wiosnę w miejsca gdzie się szarańcza zakopała i z nasion jój wydobywa się gąsienica, pędzić świnie. Z całych powiatów na te miejsca spędzano świnie, wyznaczano obywateli do naglądania, aby ta posługa krajowa odbywała się porządnie, a myśmy ich nazywali Jenerałami świń, o co się wcale nie gniewali. Jednakże wszystkiej szarańczy nie można było wygubić, została i na rok przyszły, i dopiero część jój wiatr wytopił w morzu, resztę tęga zima wymroziła.

Kto nie widział szarańczy w 1827 r. to w 1828 musiał jechać aż ku Odessie, ale za to jak dojechał do Odessy, widział dwie osobliwości, podobne choć różne: szarańczę i Cara, co się był wybrał na wojnę Turecką, a przekonawszy się, że tam strzelają i zabijają, wolał wrócić do żony, którą był w Odessie zostawił, a z którą miał odbywać wjazd zwycięzki do Stambułu, ale się nie udało.

W tym roku byłem w Odessie. Widziałem jak wiatr pędzi szarańczę na morze; szarańcza szamoce się z wiatrem ale go nie pokona, leci na morze, jak chmura, długo ją widać, coraz mniejsza, nakoniec rozplynie się w morzu, morze wyrzuci ją na brzeg, słońce wysuszy, wiatr rozwieje, i nie ma szarańczy.

Jak do Kijowa na kontrakty, tak chętnie jedzie się w lecie do Odessy na morskie kąpiele, na spiewy włoskie, a co najważniejsza, na targi zbożowe. Pięćdziesiąt lat temu, tam gdzie Odessa, było kilka chat rybackich, dziś miasto rozległe, okazałe, przystań pełna okrętów, okolice pełne pięknych futorów strojnych piękniemi domami, po ulicach miasta ciągle się snują wozy z pszenicą i innym zbożem, ciągle turkoczą drażki kupców; targi pełne ryb wybornych, owoców doskonałych, kramy pełne towarów zagranicznych, domy i ulice pełne ludzi zagranicznych, bo to wolne kupieckie miasto, co na stepach wygląda jak wyspa, na której spoczęły rozbitki wszystkich narodów. To też Odessa nie ma żadnego piętna narodowego, i chyba wtedy mieć je będzie, jak wróca polskie czasy. W tej na-

dziei my uważamy Odesę za nasze miasto, i mieszkańcy cudzoziemcy za nasze je uważają. Odessa powstała na naszej ziemi, z naszej pszenicy, z naszych pastwisk; z Odessy też wzajemnie powstało wszelkie bogactwo nasze.

Jadąc przez stepy oddzielające Odesę od Ukrainy, ciągle spotykasz wałki czumaków, idące z pszenicą i innym zbożem naszym do Odessy, albo idące do nas po pszenicę i wódkę, albo wracające z suszoną rybą, z krymską solą, z winem lub innymi płodami. Dojeżdżając do Odessy, już wałka trzyma się wałki, i takim łańcuchem ciągnie aż na Peresyp, po którym dawniej hulaly bałwany morskie, a dziś stoją ogromne domy i stanowią przedmieście Odessy. O cztery mile sinieje morze, a bieleją domy co się rozrzuciły po równinie wyniesionej nad morze, a maszty wyglądają jak gdyby las, na którym wczoraj była szarańcza.

W Odessie ulice proste i szerokie, domy obszerne, wygodne i kształtne; co dom to i parę składów dwupiętrowych: ten co miasto zakładał, stepu nie żałował, więc i dziedzińce wielkie, i rynki ogromne, tak że Odessa wygląda niby zbiór zamków; a rozparła się szeroko, jak gdyby bała się, żeby nie zniknęła między morzem a stepem.

Na lato zjeżdża się do Odessy wiele rodzin polskich; ojciec sprzedaje pszenicę, matka kupuje stroje, dzieci uczą się śpiewać po włosku, a wszyscy kąpią się w morzu; słaby żeby był zdrowy, zdrowy żeby nie był słaby, chudy żeby utył, tłusty żeby zchudł. I my też raniutko jeździliśmy do kąpieli, w dzień zamykaliśmy się przed kurzawą i słońcem, na obiad jedliśmy doskonałe kambuły i byczki morskie, a kawony, pomarańcze i winograd, przez cały dzień służą za napój zwyczajny: po obiedzie jeździliśmy do ogrodu na sławne lody, dziesięć razy lepsze jak w Paryżu; wieczorem idzie się albo na *operę* włoską, albo na przechadzkę z kobietami, albo na jakie zbiegowisko polskie.

Najprzyjemniejsza kąpiel na świecie, jest kąpiel morska, ale tam gdzie nie ma przybywania i ubywania morza. Kąpiąc się, gdy morze spokojne, widać dno

jak gdyby wody nie było; dno piaszczyste, białe, równe, miękkie jak aksamit, a po niem to cień ryby przepłynie, to cień ptaka przeleci, to cienie chmur czołgają się powoli, to cień twój własny ruch twój małpuje; a ci-chość zupełna, a woda spokojna jak zwierciadło.

Przed wschodem słońca, powoli — powoli, morze czerwieniąc się, zapłonie całe jak wstydliva dziewczica, a z łona jego pierwsze promienie słońca ognistym słupem trysnęły do góry, drugie złotym warkoczem rozsypały się po całym morzu, a morze z radości zadrżało, i całe drży złotą łuską swoją, dopóki słońce nie wywinie się z objęcia jego. Jasne i czyste słońce, z błękitu nieba patrzy na błękit morza; przygląda się jego i swoim wdziękom, patrzy na morze jak gdyby dziękowało za roskoszną kąpiel; a morzu żal za słońcem, podnosi się ku niemu, dopóki się nie uszamocze, i w ciągłym jęczeniu i wzdychaniu wygląda powrotu słońca — i tak co dzień. Niechże się kiedy słońce nie pokaże, natenczas morze piętrzy się w straszliwe bałwany, wyje okropnie, pędzi do lądu jak gdyby go pochłonać miało, roztrąca się o skały, jakby z rozpaczycy chciało się zabić, albo uciec het, ze swego łóżyska; a ci co w kąpieli, igrają z bałwanami, bo nie myślą o tem, że w tejże chwili, może rozbija się okręt jaki, a na tym okręcie są ludzie.

Przepędziwszy kilka tygodni w Odessie, a potem nakupiwszy sprawunków, bo bez tego szlachcic polski miasta nie porzuci, wraca się do domu, bo zbliża się czas polowania.

Wracając z Odessy strzelamy ogromne kulony i wrony morskie nad Limanem, a po stepach orły, i co się nawinie. Zajeżdżamy do Trzech Dębów i tam kilkanaście dni polujemy po naszych stepach, na kuropatwy, kaczki, pardwy, dropie i jarzabki przelotne; do przepiórek szkoda prochu, a bekasów tam nie ma. Najzabawniejsze polowanie na dropie; i głównie wyjeżdża się na nie, a inne ptastwo, którego jest mnóstwo, strzela się z łaski, jak się nadarzy. Kilkanaście jest sposobów

polowania na dropie, a każdy na tem zależy, aby się dobrze podkraść, bo to ptak ostrożny; najczęściej używaliśmy sposobu, który mój brat Edward, podług nauki wojskowej wymyślił: ale do tego trzeba wielu strzelców, tak jak to u nas bywało. Skoro zoczymy dropie, co pod jesień kupią się w ogromne stada, objeżdżamy je w około; od strony, ku której one ciągną, jeden po drugim o półtora kroków, jadąc rzucamy się z bryczki albo w burzan, albo pod miedzę, albo za kopiec siana, i leżymy nie ruszając się; jeden zostaje na bryczce i wielkim pędem od strony przeciwniej jedzie wprost na dropie; jak dropie dosiedzą, to i on strzela, jak niedosiedzą, to zrywają się i lecą ławą, prawie zawsze na strzelców; jak zaczynają wymijać, strzelec zrywa się i strzela w dropia jak w kapuzę, tym sposobem czasem kilka dropi ginie od razu: czasem i na jednego dropia tak zasiadamy, czasem też na stado pardew, bo to także ostrożna zwierzyna, a dobra. Jak dużo gości, to cały dzień tak jeździmy po stepach, chłodząc się najślawniejszymi u nas kawonami, i wstępując to do owczarni, to do trzód, to do stada, to do młynów na Bohu, to do pasiek, to na basztan po świeże kawony, to do sadów, to do kosarzów, to do żeńców, to nakoniec do téj albo do owéj wsi naszéj. Tak polując, mój ojciec gospodarzył, goście unosili się nad pięknoscią sławnego bydła jego, a on im figle płatał. Nie spodzianie wjeżdżają do lasku okopanego, a tu pięćdziesiąt buhajów pędzi za bryczką, a spojrzenie ich dzikie, a rogi ogromne: gość nieświadomy ogląda się, radby zmykać, a tu bryczka staje, buhaje lecą wprost na bryczkę; jak który poliże gościa, albo jak go rogiem zatechta, gościowi mróz przechodzi po za skórą, zimny pot występuje, włos się jeży aż czapka ucieka, a mój ojciec najspokojniej pokazując mu to tego, to tego, trzyma za rękę i niby się nie domyśla przestachu; a to buhaje przybiegły po chleb, i napierając się chleba, tak przymilają się ludziom.

W polowaniu na ptaki przedewszystkiem mają pierwszeństwo orły i jastrzębie, bo te łapią kuropatwy,

a tamte zające; więc jak się zjrzy orła, to zjeżdża się go i zabija. Raz patrzymy na step, a tam coś nakształt koni przechadza się; zbliżamy się, a to orły takie ogromne, dalejże do nich; zerwały się z daleka ale zaczynają krażyć, poznajemy że to sępy, a nie mieliśmy lotek; jeden najciekawszy nalatuje nad wózek, a tylko jedna strzelba była nabita zajęczym śrótem, dają mnie tę strzelbę, jak wytnę z jednej i z drugiej rurki, trzask, trzask po piórach, zachwiał się sęp, i bokiem, bokiem, poleciał na wskos ku ziemi, usiadł, ale aż się zatoczył; my z wózka i za nim, a on już tylko na piechotę zmyka; dobiegliśmy, przytrzymaliśmy kolbami, zwiążaliśmy dziób i łapy, spętaliśmy mu skrzydła; oglądamy gdzie postrzelony, patrzymy aż i łeb i piersi zakrwawione, ale śrót odbił się od kości, lecz jedno ziarnko naruszyło trochę ostatnią lotkę prawego skrzydła, i sęp dla tego lecieć nie mógł; wsadziliśmy na bryczkę, jedzie sęp na polowanie i dziwuje się. Ten sęp wkrótce wyleczył się, ułaskawił się tak, że jadł z ręki i przychodził do pokoju, a był tak piękny i ogromny, jak nigdy nie widziałem ani żywego, ani wypchanego. Sęp ten bawił w naszym domu blisko roku; wyjechaliśmy gdzieś na długo, nie odmienili mu pętów, pęta dawne przerwały się, i sęp poleciał; długo jeszcze po swój obiad na mur przylatywał, ale nie dał się złapać; a jak dowiedział się, żeśmy przyjechali, już więcej nie wrócił; bardzośmy go żalowali, bo był dobry sęp, i był ozdobą naszego dziedzińca.

W późnej jesieni zaczyna się uroczyste polowanie na wilki. Kozacy latają z uwiadomieniem, gdzie kiedy polowanie; zapraszające listy przychodzą jeden po drugim, ale pierwszeństwo przed innymi ma pan starosta Czezel; choć to daleko od nas do Samczyk, bo jest mil ze trzydzieści, jednak, że starosta dawny przyjaciel mego ojca, jeździliśmy do niego na polowanie prawie co rok. Daj Boże po wiek takiego gospodarza jak Czezel, taki dostatek jak u niego, tyle wilków i lisów, tak hojne przyjęcie, tak porządne i wesołe polowanie,

które wygląda jak turnieje i zapusty, i jarmark i kontrakty. Tam wsie sprzedają, tam małżeństwa układają, tam różne szachry na konie, na bronie, tam popis zręczności jeźdźców i strzelców, tam popis na wdzięki i dowcip ślicznych Podolanek i Wołynianek.

Już się zjechało sto, dwieście osób, a wszystkim wygodnie. Z rana gospodarz objeżdża gości, rozwożąc im dzieńdobry, i przeprasząc, że dziś polowania nie będzie, bo wilki nie odezwały się. Więc cały dzień przechodzi na niewieścich zabawach. Zamek piękny w pysznym ogrodzie, to jest gdzie pohulać przez cały dzień, jest gdzie wyhasać się noc całą. Nazajutrz polowanie. Starosta pojechał do kniei, co tuż za ogrodem; a wszyscy czekają na powrót starosty. Kobiety w rannem ubraniu w oknach i na krużganku; młodzież w myśliwskich strojach, jedna przymila się do kobiet jak może, a każdy polowanie swoje zamysła na szczęście téj, którą sobie upodobał; druga czwani się bronią i swój strój wychwala, inna harejuje na koniach po obszernym dziedzińcu i wyzywa się z sobą na swoje zręczność, na lotność i zwinność swych koni. Myśmy wystąpili na to polowanie w czerkieskich strojach, a na czerkieskich koniach czerkieskie rzędy, a czerkieskie konie, koń przez konia przesadzi, a jak błyskawica po ciemnej chmurze, tak koń czerkieski leci gzygzakiem gdzie nim myśl jeźdźca powinie. Na dziedzińcu zamiany na broń, na konie, niesłychany hałas. Starosta wjeżdża — i cicho — bo on zawsze uprzejmy i miły, a w dzień polowania srogi, a nikt nie chce mu czoła zamarszczyć. Starosta poważnym ukłonem powitał młodzież, szczerą prostotą pozdrowił rówieowników swoich, a przed paniami zdjął czapkę, zajaśniał rumianem licem, błysnął srebrnym włosom, i słodkim słówkiem zapytał, czy panie chcą nam polowanie umilić obecnością swoją? Zajeżdża piętnaście cugów, za nimi dwadzieścia koczów, koczyków, kozacy trzymają ze czterdzieści wierzchowców, wszystko to czeka aż państwo zjedzą śniadanie. Starosta dał znak, zajeżdżają; kobiety szezebiocąc siadają, starosta podając im rękę mówi, że w kniei szezebiotać

nie wolno, a one się śmieją: powozy jedne za drugimi wyruszyły z dziedzińca, starosta i jego przyjaciel podkomorzy Kamiński, wyprzedzili je na koniach. Zbliżając się do lasu, taka cichość, jakby jechali po śniegu, jakby się wszyscy pospali; czasem tylko jeździec zatętni, a wilkom śni się, że to im koń jaki idzie na wieczerzę: poczekajcie no, a zobaczycie, co wam starosta na obiad zgotował.

Na najlepszem stanowisku panie zajęły kobierce i krzesła. Podkomorzy rozstawił strzelców, obiegił knieje, nakazał baczność i wraca do starosty, który go przy paniach czeka cierpliwie, bo mu wesoło. Starosta odezwał się dyszkantem, i wszyscy poznali trąbkę jego, a głos jój jak śpiew dziewicy przez uszy wniknął do serca, aż serce zadrżało i chce się wyrwać tam, z kąd głos wdzięczny przez powietrze płynie, i szumi rozgłosem po lesie, brzęczy i rozbija się po jarach.

Psy wpadły na gniazdo wilków i nagle poczęły ujadać, wrą jak w kotle — wilki całym gniazdem uderzyły na sieci, odpędzone latają pomiędzy strzelców, a tu nie wolno strzelić póki nie wypalą z moździerza, a moździerz czeka póki wilki nie przeciągną po przed panie nasze. Moździerz wypalił — wilki rozpierchnęły się po kniei — dopieroż *paf, paf, na cu cu, na cu cu,* — chybiłeś bratku! Huk strzałów, wrzawa dojeżdźczaków, odgłos harapów, granie psów, wre w powietrzu cudownem brzmieniem polowania; krew myśliwca prędej krąży, serce mocniej bije, oko lepij widzi, ucho czujniejsze jak zawsze. Strzelono sto razy, już nie ma wilków; jeszcze tu i owdzie psy pogonią, poznają, że to tropy nieboszczyków, i utną; jeszcze ujadają za lisem, pogonią zającą na oko, nakoniec wszystko ucichło. Strzelcy schodzą się chwalić zdobyczą swoją; dopieroż śmiechy z tych co pochybiali, co przesłępili, z tych komu strzelba nie wypaliła; a nie się nie ukryje na polowaniu, bo każdy ma dwóch zazdrośnych sąsiadów. Ściągają zwierzynę; sześć wilków, cztery lisy — starosta krzyknął — „a gdzie reszta, było jedenaście, żaden nie wyszedł, zakładaj psy” —

w tem mój ojciec nadchodzi, i mówi — „są wszystkie, oto mój jeden, a resztę moi chłopcy postrzelali.“ — Ja zabiłem dwa. Rad starosta, myśliwi zazdroszczą, kobiety chwalą, a jak kto oglądał nasze wilki chcąc niby poznać i dowodzić że postrzelił, mówiliśmy mu — ten sam do któregoś chybił.

Po polowaniu strzelamy jeden drugiemu w lot do czapek i rękawiczek, żeby psy zwabić; dojeżdżacze grają pojezdnego w dobrane trąbki, a my ze śmiechem i hałasem wracamy do Sameczyk. Od wrót wszyscy rozjechali się po dworkach, a za godzinę już postrojeni, już w zamku, zasiedli bogate stoły, i jedzą obiad wspaniały.

Po obiedzie znowu się goście rozprysnęli, a za godzinę już strojni do tańca, napełnili okrągłą izbę. Młodzież czeka żeby się Polskie prędko skończyły, bo chce wywijać Mazura; a tu pan starosta i pani starościna tańczą po kolei ze starszyzną. Nigdzie Polski nie jest tak piękny jak w Polsce, bo nigdzie niema tak wspaniałych kobiet, tak poważnych starców, tak pięknych dziewczic, tak dziarskiej młodzi: to też nigdzie się na Polskim nie znają, a czyż może być co piękniejszego, jak zbiór cudnych żyjących obrazów, co przesuwają się uroczym łańcuchem, wiją się w wieńce piękniejsze od wszystkich kwiatów razem, i rozwijają się we wstęgę powabniejszą oku jak tęcza; a cały ten widok uroczy, obwija się wdziękiem poważnej i słodkiej muzyki, jak kwiat obwija się wonią, słońce promieniami. Daj Boże doczekać zacnemu staroście, abym ja u niego widział w Polskim moję matkę i siostry.

Takie to polowanie powraca co rok około 20 Września, a trwa dni dziesięć. Ktoby chciał mieć chińskie wyobrażenie tego polowania, jadąc szlakiem wielkim z Dubna do Starego Konstantynowa, niech wstąpi do pięknej wsi Kołki, podkomorzego Kamińskiego; tam we dworze będzie gościnnie przyjęty, tak jak ja kiedyś, zobaczy pięknego karego stępaka co podkomorzy ma odemnie, i malowidło wyobrażające polowanie w Sameczykach. Jest to obraz w swoim rodzaju jedyny, robiony na urząd; tam wszystko nie tak jakby malarz rozumiał, ale jak

podkomorzy chciał, a chciał: żeby był las i żeby było wszystko widać co jest w lesie, i wszystkie wilki, i wszystkie psy, i wszystkich strzelców, i wszystkie sieci, i starostę strzelającego do wilka, i podkomorzego jednego na koniu, drugiego takiego samego wlokącego wilka zabitego, i mego ojca, i rozmaite przygody myśliwskie, i nakoniec grono pięknych Polek: więc choć w Chinach nie był, wymyślił chiński sposób, poustawiał wszystko w piętra, i tak jak chciał, wszystko widać, i wszystko poznasz jak ci podkomorzy rozpowie; i powiesz, że wszystko nie tylko bardzo podobne i piękne, ale jeszcze doskonalsze jak żywe; bo czyżbyś chciał zmartwić Polaka w kontuszu? Poczciwy podkomorzy całą zimę poluje, a całe lato patrzy z rozczuleniem na ten obraz, gdzie widzi swoich przyjaciół i polowanie; chciałby jeszcze żeby z tego obrazu było słycać strzelanie, i trąbkę, i psy gończe; ale sztuka nie wystarczała uczuciu. Tak to często bywa, a podobno i zawsze.

Z polowania od Czczela wracaliśmy śpiesznie do siebie, aby wypolować swoje i okoliczne knieje; bo goście sproszeni, a czas blizki. Tak polujemy całą jesień po kniejach z gończemi albo na obławę, po rudach z gończemi na lisy, po polach z chartami na wilki i na lisy, i na zające ale tylko po czarnej stopie, bo po śniegu nie sztuka. Mieliliśmy najwyborniejsze charty do wszystkiego.

W polowaniu nie masz piękniejszego obrazu, jak szczucie starego wilka. Jak lisa z tyłu, tak wilka szczuje się w oczy, kiedy się wymyka z kniei lub z burzanów. Jak wilk tęgi a charty nie zuchy, to udają że wilka dopędzić nie mogą; a gdy śmialemi poszczujesz, mały chart skubnie i odskoczy, wielki porwie za szarawary, sunie się za wilkiem, nadbieży drugi i trzeci, i wilka osadzą; wilk odcina się jak może, czasem skaleczy charta, chart zaskomli i w nogi, a czasem chart zepnie się z wilkiem i wilka powali: najtęższy chart rzuca się wilkowi na kark, chwyta za ucho; dwa albo trzy tęgie wilczarze osadzą tak wilka, że wilk ani ruszy; dopiero kto najbliżej, albo spisa wilka kole, albo trzon-

kiem od harapa grzotnąwszy w nos zabija, albo pali mu w łeb z króci, albo wiąże go smyczą, jak barana. Związane wilka zamyka się do owczarni, żeby wachał to co lubi, a nazajutrz dawszy mu skobel w zęby, szczuje się go młodemi chartami. Najczęściej wilk ucieknie, kiedy za wiele chartów, bo jeden drugiemu przeszkadza.

Raz szczuliśmy starego wilka kiedy było wiele gości; każdy chciał ze swojemi chartami popisać się, wszyscy spuszczały ze smyczy; charty otoczyły wilka, wilk z niemi w perewerty; co przytrzymają wilka, ani przystąpić do niego, ani strzelić, bo na około charty, a wilk odciawszy się na prawo i na lewo, wrywa się i już pod lasem, już tylko ma rów przesadzić i byłby przepadł; miałem tęgiego konia, zabiegam od rowu, charty wilka znowu przytrzymują, zeskakuję i puszczam konia, a wilk wrywa się i obces na mnie; umknąłem lewą nogę, wilk przemyka, a ja *kindżałem* dźgnąłem go pod łopatkę, i wilk powalił mi się pod nogi; inaczéj byłby wilk uciekł, choć pomiędzy hurtem były tęgie charty.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na wilki, a to uganiając je końmi; to się udaje na stepach, a najlepiej w zimie po miękkim śniegu. Wołochy najwięcéj tak polują, a jeden z naszych Wołochów, jednéj zimy czternaście wilków zabił tym sposobem. Zoczywszy wilka pędzi się za nim, ale nie bardzo, wilk topi się w śniegu więc mu ciężko, a za nim goni się tak aby nie spoczywał, i aby go z oczów nie stracić; jak wilk zaczyna się oglądać, to koniem napiera się na niego; jak wilk zaczyna śnieg chwytać, to już źle z nim; wtedy napiera się go coraz bardziéj; wilk przysiada, nakoniec zmożony kładnie się, i nie ma już siły ukąsić; wtedy mordujesz go, jak on ci owce mordował. I po czarnej stopie można tak wilka ugonić, ale trzeba znać przechody wilcze i wiedzieć którédy będzie biegł; rozstawiwszy się na kilku koniach, podaje się go jeden drugiemu i goni się go nagle, to czasem na końcu pogoni, wilk w biegu skostnieje i pada nieżywy. Najprzyjemniéj jest wilka pierwszym pędem degonić, i albo go arka-

nem złapać, jak robią Kałmucy, albo w pędzie zabić z króciicy, jak mi się raz wydarzyło, ale trzeba mieć konia po temu, a taki koń jeden na tysiącu.

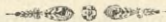
W ciągu polowań naszych co dzień z rana, albo tropią wilki, albo je wypatrują, albo do lasu naganiają, i podług tego polowanie. Pewnego razu dano znać, że trzy wilki zaległo w burzanie, a była ziemia mroźna i tylko gdzieś śnieg przypruszył; na takie pole charty pazury zrywają, a mój koń ani kuty, bo to czerkies; nie było co robić, jedziem z chartami. Rozciągnęliśmy się ławą na ćwierć mili, najlepsze konie na skrzydłach; ja na prawem, a wilki ruszyły z lewego skrzydła; dwa wykradło się gdzieś burzanami, a jeden wysforował się daleko na goły step, co zwolna podnosił się, jak gdyby na to, żeby było dobrze widać co się na nim dzieje. Wypuszczam mego bieguna, a był to biegun nad biegunami; wymijam jeźdźców jednego po drugim, wymijam charty, doganiam wilka co był w całej sile swojej, wilk wpada na sugłuwek — ja za nim — coraz bliżej — równam się z wilkiem — nachyłam się ku niemu, i strzelam — wilk się wywrócił — ja z konia — wilk w nogi — ja na konia, a drugiej króciicy nie miałem; wilk *farbuje* po śniegu, stratowałem go koniem raz i drugi, aż mój brat dobiegł i swoim strzałem powalił go na ziemię. Było to arcydzieło myśliwskie.

Do polowania miałem wielkie szczęście, mianowicie na wilki; zabijałem po dwa wilki jednego po drugim, jakby dwa bekasy, a raz na jednym stanowisku w pół godziny zabiłem pięć wilków, a wszystkich było sześć, a strzelców było ze trzydziestu. Jednak sam polować nigdy nie lubilem; polowanie uważałem za stratę czasu, polowałem tylko albo z moim ojcem, albo żeby gości zabawić, albo kiedy kto dla nas dał polowanie. Wolałem hulać na koniu jak mi się podoba, aniżeli jak się podoba wilkowi albo zającowi; wolałem bawić się z kobietami miłą gawędką, aniżeli słuchać jak psy gonia, jak wilki wyją, albo jak wiatr świszczę; wolałem biegać po kwiecistej łące, aniżeli brnąć po błocie za bekasami. Ale mój ojciec nazwałby mnie niewieściu-

chem, gdybym się z tem wygadał, a mówił że polowanie usposabia do wojny; więc trzeba było polować, i polowało się nie źle.

Tak nam czas przelatywał, huczno, wesoło, ale kiedy nie kiedy, wstrzymał się pęd jego na tę myśl, co dalej będzie? Ojciec zapytywał nas często, co z sobą myślimy robić? — Edward był już marszałkiem, Eustachy wybrał się z Leonem Lipkowskim na wędrowkę po cudzych krajach, a ja odpowiedziałem memu ojcu rozprawą o przeznaczeniu Polaka; koniec był ten, że trzeba być gotowym na wszystko co Pan Bóg zesze, a czekać. Ojciec słuchał z uwagą, powiedział — „tak i ja przeczekałem wiek cały“ westchnął — „czekać nie sztuka, ale robić sztuka“ — i znowu westchnął; długośmy rozmawiali o tem co było, i próbowaliśmy zgadywać to co będzie; a Edward skończył, mówiąc wesoło — jakoś to będzie.

27. VII. 98



ROZDZIAŁ XI.

NIEZWYKŁE POSTACIE.

Nim to, co przyjść miało, przyszło, nawinęło mi się niemałe zatrudnienie. Mój ojciec od lat dziesięciu chorował przez zimę; napróżno co lato jeździł do wód różnych i do zagranicznych lekarzów, słabość wracała zawsze; w téj ostateczności zamierzył leczyć się podług Le Roy, którego sława z lekarstwem i z książkami przysłała do nas przez Odesę. Wszyscy prosili mego ojca, żeby się sam nie leczył, i ja prosiłem, powtarzając za wszystkimi, że owe ogólne lekarstwo to niedorzeczy. Mój ojciec odpowiadał, że kiedy mu dotąd nie nie pomogło, to mu już wolno wszystkiego próbować; w dzień sam czytał książkę, a przy świecach ja mu ją czytałem. Kiedy ustęp jaki trafił memu ojcu do przekonania, mówiłem, że nie znam całości, że wnioski prawdziwe z mylnój zasady są mylne, że lekarstwo nie może być ogólne. Ojciec mówił: To przeczytajże całą książkę! A ja odpowiadałem: Dziękuję. Aż pewnego wieczora mówi mi: Przetłumacz no ten dwudziesty rozdział dla Nelickiego, co ma przyjechać na święta. Patrzą, a ten dwudziesty rozdział to czwarta część książki, a do świąt niedaleko, a robota nudna; ale cóż robić, ojciec prosi, trzeba tłu-

maczyć: i wziętem się do roboty z tą myślą, że się przypodobam ojcu i przystuję się przyjacielowi jego, staremu a dzielnemu niegdyś porucznikowi kawaleryi narodowej, co jeszcze jak lew wyglądał, choć miał lat ośmdziesiąt; tylko mu noga nie służy, bo parę kul moskiewskich ugrzęzło mu w nodze, choć ta, co trafiła w czoło, odbiła się. Wziętem się do roboty i nocami, kiedy goście pozasypiali, ja ślęczałem nad książką; robota już gotowa, a porucznika nie ma; zasłał, nie przyjechał, aż na wiosnę. Tymczasem mój ojciec leczył się i wyleczył się, co mnie tak zachęciło, żem całą książkę przeczytał, przetłumaczył i do druku podał, i żem się wziął sam do leczenia naszych ludzi. Odtąd i aż do końca mego pobytu w domu, stałem się eskulapem. Leczyłem i w podróży i w domu; co dzień dwa razy bywałem w domu chorych, do którego przyjmowałem kto się nawinał, a słabych ze wsi naszych nim zaczęli z ochoty przychodzić, siłą zwożono. Nie pamiętam, żeby to lekarstwo któremu słabemu zaszkodziło, a owszem, często najcudowniej i bardzo prędko na najdziwniejsze i najprzeciwiejsze sobie choroby pomagało. Sława mojego leczenia rozeszła się szeroko; z dalekich stron przyjeżdżano do mnie albo po zdrowie, albo za zdrowie dziękować.

Przyjeżdża Nelicki, a już się o tém wszystkiém nasłuchał, a książka była już wydrukowana; a ciekawy, a niecierpliwy. Prosi, żebym mu dał książkę.

— „A rozpowie pan porucznik sprawkę pod Złotopolem?“

— „Rozpowiem, tylko dawaj prędko.“

— „Pokażę, ale nie dam, proszę rozpowiadać.“

— „Ot ze starym jak z dzieckiem droczy się, a to przekora! Ta jużście to słyszeli.“

— „Słyszeliśmy, ale dawno; a ot oni Lipkowsy nie słyszeli, ani pan Modzelewski, nowy nasz sąsiad, ani Dembowski, a to nasi przyjaciele; a umyślnie tu przyjechali, żeby poznać porucznika.“

— „Wolałbym bić na nowo, jak stare rzeczy gadać.“

Ale powoli krew zawrzała w starcu, jakby w młodzińcu, oczy mu się zaiskrzyły; on mówił, a myśmy słuchali.

Bo to szelma zawsze szelmą, a moskalowi hycłowi nigdy nie wierzyć. Staliśmy w Złotopolu — a był już pokój z Moskwą, a szelma Katarzyna zaczęła *gwarantować* — żeby ją dyabli *gwarantowali!* A o milę od Złotopola stał pułk piechoty moskiewskiej z jenerałem, a w tym pułku byli Polacy; oni do nas uciekali, a my ich do *komendy* odsyłali. Jenerał przysyła, żeby mu wydać zbiegów. Nasz porucznik tchórz, w strachu, chce oddawać, a ja mówię do niego: „Nie oddawaj!” a do Moskala: „Powiedz swemu jenerałowi, że to zbiegi, co służą moskalom, ale nie ci, co do nas wracają!” Aż nazajutrz zajeżdżają do kramów sanie sześciami końmi; wysiada jenerał i dwóch przybocznych. Jenerał przysyła po porucznika. Porucznik wpada do mnie:

— „A, panie chorąży, widzisz, coś narobił! Oddać mu tych gałganów i niech nam da spokój.”

— „I czegoż boisz się? nie idź, niech szelma tu przyjdzie, kiedy potrzebuje.”

Ale porucznik idzie ze strachu, ja widzę, że kiep, i że robi jakieś głupstwo, mówię mu:

— „Poczekaj, ja z tobą pójdę.”

Pałasz do boku, króćce za pas, idziemy. Przychodzimy, a jenerał rozparł się w szubie i nie wstaje, oficerowie i deńszczyki za nim stoją.

— „Kak ty śmieł przydzierzał moich ludzi, ja ciebia nauczu!”

Mój porucznik języka w gębie zapomniał — bąka ni w pięć ni w dziewięć.

— „Panie jenerale, ja bo nic nie wiedziałem.”

Tak ja porucznika jak chwyć za rękę, aż mu łusnęło w kościach.

— „Kiedys nie wiedział, to téż i nie gadaj.” A do jenerała: „Ty, kiedys ty tu do nas w goście przyjechał, to ty nikogo tu uczyć nie będziesz!”

— „Smatry sabaka, ja tiebia nauczu — ja tiebia wielu zwiazat i do gosudaryni adaszlu!“

— „Ty mnie zwiążesz? A szelmo, huncwocie, złodzieju!“ — jak hopnę w mordę — jucha się polala, Moskal pod stół, aż go wodą oblewali, przyboczni sza, cicho, wyniesli na sanie i wywieźli do dyabła.

Dopieroż rejwach w mieście! Żydzi w płacz: A win nam miasto spali! Aj gwult! — Cicho, szelmy, bo ja tu was sam każę podpalić! Sza, cicho. Porucznik mój dostał febry ze strachu i położył się w łóżko.

Aż nazajutrz przyjeżdża major do porucznika, żądając, żeby mnie do jenerała odesłał. Ja mówię majorowi:

— „Kiedy twój jenerał chce ze mną się rozprawić, jak przystoi na żołnierza, niech tu przyjedzie; jam go nie zaczepiał!“

Major powiada, że jenerał rozchorował się, musiał się przeziębnić, bo twarz mu obrzmiała, a wścieka się ze złości, i że tu jutro przysze po mnie cały batalion.

— „Ja się batalionu nie boję, ale wy nas nie zaczepiajcie, kiedy ma być pokój!“

Major pojechał; kazałem się ludziom dobrze wyspać, broń opatrzeć, ponabijać; trzymam ich w ciepłej izbie przy rogatkach i uczę, jak bić mają.

Mróz trzaskający. Koło dziesiątej rano idzie batalion moskiewski; patrzę, łamie się w długich płaszczach po śniegu, a śnieg w kolano; mówię do swoich:

— „Wiara pobijemy, tylko nie spieszyć się.“

— „Pobijemy, panie chorąży!“

Dałem im po szklance wódki, kazałem czekać, a sam wychodzę. Batalion idzie; jak był o sto kroków, krzyknąłem: „Wiara do broni!“ i wyspało się dwunastu, jak lodu.

Batalion idzie; jak był o pięćdziesiąt kroków, ja krzyczę: Stój, bo każę strzelać! Batalion stanął. Major występuje i krzyczy: Poddaj się! — A ja krzyczę: Paszli won! Ja was nie zaczepiam! Major podchodzi, strzela do mnie, chybia. — Jak wytnę do niego — na ziemię! Podbiega drugi oficer, strzela i chybia — jak

wytnę z drugiej króciicy — i ten na ziemię. Dopiero krzyknąłem: Cel! pal! Sześciu moich palnęło, a pięciu Moskalów nosem zaryło. Batalion przemarznięty, strzela gdzieś tam po wróblach, a tu drugich sześciu moich jak palnie — zważyło się czterech Moskali; a co który Moskal wystrzelił, to i nie nabił więcej, bo mu palce zakłękły, a moi szybko nabijają a palą, nabijają a palą. Nareszcie jak krzyknę do swoich: A dopókiż te szelmy będą tu stać? — za mną wiara!

Sześciu zostawiłem w odwodzie, a z sześcioma naprzód, i na sztychy — eh! jak drapną! Pędziłem pół mili, zakłóiliśmy ze czterdziestu, Moskale rzucają strzelby, żeby lżej zmykać, a który Moskal padnie, to leży jak nie żywy. Tak gnałem aż do granicy, na granicy, krzyknąłem na swoich: stój! — Jednego oficera moskiewskiego puściłem, i kazałem powiedzieć generałowi, że ja na cudzy grunt nie lazę jak Moskal. Dopieroż zbierać niewolników, a było ich 120, a broni zebrałem na pół batalionu.

Mój porucznik myślał, że mnie za tę sprawkę każą rozstrzelać. No, a tymczasem jemu odebrali dowództwo, a mnie rzeczpospolita przysłała stopień, konia z rzędem i 2000 złotych na umundurowanie; a wszystkim towarzyszom po sto złotych i uszlachcenie, gdyby który nie był szlachcic; ale tylko jeden był mieszczanin, a reszta szlachta. Bo to w kawaleryi narodowej sama szlachta była, a jak się wcisnął jaki nieszlachcic, a poznali, to zaraz wykurzyli.

— „A to źle było, panie poruczniku!“

— „Pewnie, że źle; od *konstytucyi* miało już być inaczej, ale cóż, kiedy te szelmy zaprzędali Polskę. Ta jeszcze żeby był król przystąpił do *konfederacyi barskiej*, to choć był kiep, Polskaby była; bo tu Moskale w wojnie z Turkiem, a Katarzyna dała tajemne rozkazy, żeby jak król przystąpi do *konfederacyi barskiej*, żeby na łeb na szyję wojsko moskiewskie z Polski zmykało. Król jechał już na Pragę przystąpić do *konfederacyi*, ale na moście baby, kochanki jego, zastąpiły mu drogę, pokłękaly przed nim, z płaczem prosząc,

żeby ich nie rzucił, i król gałgan rozplakał się i wrócił się — żeby go był *palarusz* naruszył! — żeby go były jasne pioruny strzaskały!! Ta to tych hyclów Moskałów tak było łatwo pobić! Ale cóż, kiedy zgody nie było między szlachtą, a panowie zdradzili, a król gałgan i tchórz! Zabili matkę ojczyznę!“ i rozplakał się starzec!

— „Wy młodzi, to jeszcze doczekacie się wojny. Bijcie Moskałów i Niemców, a nie wiercie tym szel-mom — słuchać ducha i bić!“

I tu dopiero rozповідаł tysiączne przygody swoje w wojnach z Niemcami i Moskałami, a myśmy słuchali uważnie i chciwie, bo miła sława swoja, bośmy prze-czuwali, że kiedyś bić się będziemy.

Nad wieczorem zajeżdża kilka powozów. Patrzymy, wchodzi kilku pułkowników i kilku oficerów gwardyj-skich; myślimy sobie: szkoda, żeście niewiedzieli o czém tu mówiono, bylibyście nas wyminęli.

Przyjechali z uszanowaniem, a stali po naszych i po sąsiednich wsiach. Gwardya wracając z wojny tureckiej, zazimowała u nas, żeby się połatać i wypaść naszym chlebem, żeby się carowi i stolicy tak pięknie pokazać, jak z niej wyszła, żeby stolica myślała, że wojna to zabawka. Koni co wyzdychało, car dokupił za nasze pieniądze; żołnierzy co ich podusiła dżuma i cholera, albo porznął *kindżał* turecki, o tych się nikt nie upomni, bo nikt nie wie zkąd oni, a w takich samych mundurach już drudzy. Oficerowie tylko gniewają się na cara za to, że ich posłał tak daleko i tam, gdzie tak niewygodnie, i za to, że ich w czasie wojny od-jechał, i za to, że wielu z nich na cholere wymarło; gniewają się, a nawet odgrają się. Myślimy sobie: uduszą Mikołajka, będzie bunt, jak tylko wrócą do Petersburga. Cieszymy się duchem wolności pięknej młodzieży moskiewskiej, ona kwiat narodu, w jęj ręku los carów, los milionów ludzi. Już nasi naradzają się między sobą, już się pobratali z wielu gwardyakami;

aż tu Mikołaj pierwszego dnia Wielkiénocy, tak strzelił do wszystkich pułków stopniami i krzyżami, że całą wolność wystrzelał, zostało same nikezemne służalstwo i uniżone poddaństwo. Ci sami gwardyacy, co zdawało się, że zjedliby Mikołaja w Wielką sobotę, w dzień Wielkanocny wysławiali jego ojcowską opiekę, hojność i wspaniałość, i obsypywali go błogosławieństwami, tak że aż uszy bolały słuchać. Długoż wy jeszcze będziecie jak to bydło, co tam idzie, gdzie gonia, co mileczy patrząc na rzeź swoich braci, co skoro mu jeść dadzą, zapomina o batogach?

Na wiosnę wielki przegląd pod Tulczynem. — Wszystkie gwardye zebrane do obozu, lsknią się pozłotą, nadstawiają się piórami i kitami, i niby straszne, ale czy kulami, czy bez kul strzelają, to prawie jedno, tak dobrze strzelają. Car przyjechał na trzy dni, stanął w obozie, bo car się przeglądu nie boi. Szamotał pułkami na wszystkie strony, wygrał bitwę, i pojechał do Warszawy na koronację. A gwardya odpoczywa, jak po wojnie, dostała mnóstwo krzyżów, jak po wojnie; kto dosiedział na koniu, dostał krzyż, kto zleciał z konia za cara i za ojczyznę, dostał krzyż; wszyscy radzi z krzyżów, radzi, że car pojechał, bo się wyśpią, a spać lubią.

Poszła sobie gwardya do Petersburga, a z Petersburga przybywali nam powoli mili goście. Z więźniów stanu wrócili w nasze strony: Tarnowski, Ludwik Sobkański, Karwicki, Czarkowscy i Ciszewski Felix, który chcąc się w więzieniu głodem zamorzyć, przez dni dwadzieścia nie jadł i nie pił. Z ogromnego mężczyzny wrócił jak szczepa, wynędzniony, wyblady jak upior, ale zawsze ten sam uśmiech, ta sama spokojność u niego na twarzy. Zjeżdżano się z daleka, aby oglądać kochanych więźniów, a choć wielu z ich towarzyszków nie prędko wróci, wielu nigdy nie wróci, jednak wesele i radość ożywiały całą okolicę, i w tym roku zjazd w Humanu na świętego Piotra i Pawła był bardzo świetny.

Humań, niewielkie miasto, w tój porze co rok napelnia się mnogą ludnością. Przez tydzień brzmi muzyką, turkocze pojazdami, weseli się tańcem, zabawia się narodowém widowiskiem, bo szlachta polska zjechała się z rodzinami swemi na odwiedziny do Zofijówki. Nie ma piękniejszego ogrodu na świecie, jak Zofijówka na święty Piotr; nigdzie nie zebrano razem tyle cudów i sztuki, nigdzie tak donośny wodotrysk, tak szumny wodospad, tak przezroczysta woda, tak bogate ozdoby, tak rozmaite widoki, a nadewszystko nigdzie takich kwiatów, bo kwiatem Zofijówki w tój porze są dziewice polskie, co się rozsiały po całym ogrodzie; nie policzysz ich nigdy, bo na każdej wzrok twój tak długo spoczywa, że liczby zapomnisz; wszystkie podobne, bo każda piękna, wszystkie różne, bo każda inna; a tak trudno rozpoznać, która najpiękniejsza, jak pomiędzy spadającym śniegiem, który najbielszy, jak pomiędzy drżącym liściem, który najzieleńszy, jak pomiędzy śpiewem skowronków, który najmiłszy.

Moja matka zaczęła była na zdrowiu zapadać; idąc za radą lekarzów, wyjeżdżała za granicę do wód, a moję siostrę młodszą zostawiała pod opieką panien Wizytek w Romanowie, gdzie przełożoną była panna Chołoniewska, osoba wielkiej nauki, pięknego wychowania i świątobliwej pobożności. Odwoziłem moję siostrę do Romanowa.

W Romanowie zastałem wojnę mniszek z senatorem. Senator Iliński, sławny dziwak, co te zakonnice z Wilna sprowadził na miejsce Jezuitów, chciał je koniecznie u siebie zatrzymać; ale wspaniały klasztor na błocie zbudowany był tak wilgotny, że zakonnice i dzieci drżały ciąglą febrą, a sufity zapadały się. Iliński temu nie wierzył, bo u niego było sucho, a zakonnice chciały się przenieść do Kamieńca, gdzie gubernator Grocholski, szwagier panny Chołoniewskiej, założył im klasztor. Mojem przybyciem nawinałem im się na rękę. Iliński swoją powagą bardzo je ciemieżył; gubernatorowa Gro-

cholska, co tam wówczas była, silnie popierała sprawę Wizytek; na jój rozkaz polecałem do gubernatora wołyńskiego do Żytomierza, sprowadziłem zjazd urzędników. Zjazd ten osądził, że wilgoć jest wilgotna, zakonnice wygrały, wyjechały do Kamieńca, a Iliński aż się rozchorował i z rozpaczą wyjechał do Jezuitów do Tarnopola, a ztamtąd do Rzymu.

Był to człowiek osobliwy. W młodości towarzysz i ulubieniec cara Pawła, on pierwszy doniósł mu o śmierci Katarzyny, której Paweł nienawdził. Paweł z radości otworzył mu wszystkie skarby swoje i powiedział:

— „Bierz, co chcesz, ile chcesz, gdzie chcesz!“

Szlachetny Iliński odpowiedział:

— „Nie chcę twoich skarbów, ale proszę cię za braćmi moimi, których matka twoja tak długo dręczyła.“

I Paweł uwolnił wtedy Kościuszkę, Niemcewicza, Mostowskiego i czterdzieści tysięcy innych Polaków, trzymanyh na Sybirze i po różnych więzieniach. Iliński był pierwszym powiernikiem Pawła, on to wyjednał przywrócenie *Statutu litewskiego* w Ziemiach zabranych; on tak już był Pawła nakierował, że Paweł chciał powrócić byt całej Polsce, i byłby to uczynił, gdyby bojarowie moskiewscy nie byli go zadusili. Po śmierci Pawła Iliński z ogromnemi bogactwami i ze wszystkimi krzyżami moskiewskimi osiadł na Polesiu, i chciał na bagnach założyć sobie stolicę, tak jak Piotr Wielki założył Petersburg, a nazwał ją skromnie: Romanów (*Roma nova*). Zakreślił na miasto obwód szeroki, porysował ulice i rynki; w parę lat wyrosły z bagien ogromne gmachy, i zamek, i kościół, i szkoły, i rękodzielnie rozmaite; złoto i marmury świeciły po ścianach zamku, Jezuitci osiedli w klasztorze, dziatwa brała w skórę na ławkach szkolnych, śpiewano włoską *operę*, rzemieślnicy pracowali po rozmaitych rękodzielniach. Wszystko było na podobieństwo królewskiej wystawy. Iliński siadywał na wyniesieniu jak na tronie, u stołu dawano mu osobne potrawy, przy pojazdach

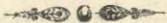
biegli szybkobiegacze, na kołdrach i na chałatach gwiazdy, a wszędzie herby. Ale to wszystko nie długo trwało, Aleksander wypędził Jezuitów z całego państwa, a Iliński tyle tylko dokazał, że u niego dosiedzieli do wiosny; z Jezuitami upadły szkoły, Włochom na bagnach żaby głos odebrały i znowu skrzeczą, jak pierwój, mury wilgotne zaczęły się walić, rękodzielnie poupadały, zamek opustoszał, bo szlachta wydziwiał pańskich znosić nie chciała, dochody szczupłały przez nierząd, i pan *senator imperyi*, jak się sam mianować raczył, kiedy chciał się komu tego postawić, pan *senator imperyi* zamiast stolicy w państwie swoim, doczekał się zwalisk własnej roboty, i teraz od nich ucieka, jak od upiora.

Jak Ilińskiemu, co miał petersburskie gwiazdy, nie udało się zmałpować Petersburga na błotach romanowskich, tak i Rzewuskiemu, co miał arabskie konie, nie udało się założyć Arabii na sawrańskich piaskach i stepach. Ognistój wyobraźni Wacław nosił złotą brodę, car ostrzydz kazał; nosił czerwony szarafan, a ten podarł się; zniknął strój, a zostały tylko obyczaje arabskie. Jak do nas do Trzech Dębów zajechał na polowanie, to rozbijał namiot na dziedzińcu i tam koczował. Przyjaciel naszego ojca i nasz, a przy tém lubiący sposobie młodzież polską do konia i do broni, żeby z nią kiedyś biedz na obronę ojczyzny, uczył nas po wschodniemu obchodzić się z koniem, ciskać *dzirytem* i wywijać *spisą*, a dla przypominania sobie chwil po rycersku przepędzonych w Arabii, lubił pokazywać jak się Arabowie modlą; do swoich koni, choć się w Sawranii porodziły, gadał po arabsku; u siebie częstował potrawami arabskimi, których nie można było wziąć w usta; to też nikt u niego nie zagościł, ale gdzie był gościem, to wszędzie mu radzi, bo czy to nucił posępną dumę, czy słodką mową bajał o arabskich *oazach* i rokoszach piaszczystej pustyni, czy też czytał jaki ułamek z podróży swojej, czy też rozprawiał

o koniach albo o dziejach świata; zawsze miło go było słuchać, bo w mowie jego pełno było wdzięku, w opowiadaniu pełno życia, co silnie w nim wrzało i rade było choć w słowach parować. Coś tajemniczego osiadło na jego duszy, zasepiło twarz jego, ale temu oriovi coś obarczyło skrzydła i nie wywinął nigdy orlego lotu. Rzewuski na to, czém był, był albo za mały, albo za wielki, bo wszystko u niego było nieporządnie i w gospodarstwie i w domu. Nie mógł się złota dogospodarować, myślał, że go się dokopie; szukał skarbu, o którym mu baba powiedziała, marzył o skarbie w murach zamku w Podhorcach, i już zabierał się burzyć te mury. W komnatach jego pełno bogatych sprzętów i broni kosztownej, pełno osobliwości ze wszystkich części świata, a nie było gdzie spocząć wygodnie. Zdaje się, że nie było rzeczy, którejby Rzewuski nie umiał, bo to i wojownik, i mąż stanu, i dziejopis, i wieszcz, i muzyk, i malarz. Tworzył opery, malował bitwy, pisał poemata; wiele rzeczy ciekawych po nim zostało, ale tak jak i on gdzieś zaginęło. Szkoda, bo były między innymi poezye, pisane wierszem nierymowym, pełne wschodniego ognia i pięknej polszczyzny. Lubilem czytać te jego poezye, a on lubił je słuchać z zamrużonemi oczyma, żeby większą siłą skupić na zmysł słuchu i silniejszym czuciem rozpoznawać dźwięki wyrazów i moc języka. Rośli mu się rozmaite wielkie myśli, a żadnej nie wykonał, i zamiast stać się wielkim człowiekiem, ginąc z pośrodką nas zostawił żal po sobie i po tém, że tyle zdolności zmarniało i z nim zaprzepadło. Rzewuski poszedł ochoczo walczyć za ojczyznę; ze wszystkiém, co miał, rzucił się do powstania i walczył; ale jak w początkach nie umiał stanąć na czele, tak później nie miał czasu na wierzch wypłynąć.

Najlepiej się udało panowanie Marchockiego w Mińkowcach pod Kamieńcem, bo państwo to kwitnęło i przeszło z ojca na syna, bo Marchocki aż do śmierci

urzędownie liczył lata panowania swego, aż do śmierci trzymał pisarza, co chodził za panem i zapisywał każde słowo pańskie; aż do śmierci obchodził uroczyscie święta Cerery i Bachusa; miał bielutką a długą brodę, jak święty Onufry, nosił kapelusz ogromny, lagę złocistą, rasę aksamitną; a tak strojny, wyglądał, jak najwspanialszy metropolita, i jenerałom moskiewskim pozwał się w rękę całować. Marchocki aż do śmierci wojował z gubernatorami, kłócił się z carami, pieniał się ze wszystkimi, żył z bracią szlachtą, a na wyborach miewał do niej mowy pełne polskiego zapachu i polskich uczuć. Szlachta słucha chciwie dzielnego mówcę, co budzi w niej staropolskie cnoty; powstaje w zgromadzeniu szmer potakiwania, odgrążanie się, ledwo że nie bunt: urzędnicy moskiewscy dowiedziawszy się, że Marchocki już prawi, lecą radzi, że będą mieli za co obedrzeć możnego pana; odbierają mowę, czytają, a tam same pochwały dla cara i dla nich, psów jego.



ROZDZIAŁ XII.

KAMIENIEC.

Wybory obywatelskie po terazniejszych guberniach, a dawnych województwach naszych, są jeszcze ostatnim zabytkiem wolności polskiej; carowie i tę wolność ograniczają co chwila; naznaczyli naprzód, że trzeba mieć siedem dymów w poddaństwie, żeby głosować, rozkazali potem, żeby nikt ani głosował na wyborach, ani mógł być wybrany urzędnikiem obywatelskim, kto niema stopnia albo na moskiewskim urzędzie, albo w wojsku moskiewskim. Lada dzień carowie zakażą wyborów, bo nie znają miary w uciskaniu wszystkiego co polskie; ale i dzisiejsze wybory, zaledwo są słabym cieniem dawnych sejmików polskich, do których tyle jeszcze tylko zachowały podobieństwa, ile w szlachcie polskiej żyje starodawnych obyczajów, ile cnót pozostało. Konały cnoty polskie a z niemi Polska konała, i nie odżyje, aż w nas odżyją te cnoty; ale, powiedzmy sobie prawdę, my skrętniej przechowujem wady polskie; i te wady odbijają dobitnie w domowém życiu naszym; odbijają dobitniej jeszcze w każdej obywatelskiej sprawie, a więc i na wyborach.

Dawniej, starano się o urzędy obywatelskie więcej

przez miłość dobra rzeczypospolitój, aniżeli przez miłość próżności; dziś częstokroć szlachcie jedzie na wybory, albo żeby utrzymać swoich sędziów, bo ma spraw wiele, albo żeby uchwycić urząd dla dogodzenia próżności swojej lub żony swojej: żeby mu na listach pisano *Jaśnie Wielmożny*, żeby sadzano żonę jego na pierwszém miejscu; a niestety czasem i na to, żeby na urzędzie przypodobać się moskiewskiemu rządowi, i za ucisk obywateli kupić sobie u cara klucz szambelański, lub inne podłe świecidło. Szlachta czuje, że to źle bardzo, a nie poprawia się; przyganiają to jedni drugim, wyszydają te wady ostro a sprawiedliwie, i w mowach potocznych i na licznych zgromadzeniach, i na wyborach, a sami nie poprawiają się.

Pewnego razu jakiś nowy podpanek jedzie na wybory po urząd pani marszałkowej dla żony swojej, a był cymbał wielki. Zajeżdża wcześniej do Kamieńca, z liczną dwornią i z dobrym kucharzem; jeszcze się wybory nie zaczęły, a u niego stoły uginają się codziennie pod srebrem pełnem smacznych potraw, pod szkłem pełnem dobrego wina. Szlachta zajada, zapija i sejmikuje u stołu, krzyczą: „Zapraszamy godnego gospodarza na marszałka, zapraszamy! Niech żyje nasz przyszły marszałek! Niech żyje!“ I tak przez dni piętnaście; szlachta pije i wykrzykuje, gospodarz kłania się i dziękuje współobywatelom za cześć, jaką mu wyrządzają, jedząc, pijąc i krzycząc, niech żyje marszałek! Gospodarz już pchnął kozaka do żony, aby na dzień wyborów zjechała do Kamieńca, tak jak przystoi na *Jaśnie Wielmożną*; już sprasza gości na ucztę tańczącą, którą ma wyprawić na podziękowanie za urząd marszałka. Pani przyrządza stroje, ładuje bryki; już w drodze, już ciągnie sześciami końmi pod górę Kamieniecką; a jój wyobraźnia bawi się roskosznym widokiem jasności wielmożnej; a w téj chwili, w kościele z którego na ten czas wyniesiono Ciało Boże, i w którym odbywają się wybory, hałas i krzyk wielki, „Prosimy na marszałka, prosimy! Obieramy jednomyślnie, niegłosujemy! Dla sławy naszego powiatu nie głosujemy!“ Tak suto zapraszany obywatel, kłania się a kłania; aż

jeden odzywa się: „Dla sławy pana marszałka głosujmy, niech się przekona, że u nas co w ustach to i w sercu — głosujmy!“ Mniemany marszałek sam prosi o głosowanie, szlachta opiera się niby, ale musi głosować; głosują — wysypują gałki: wszystkie czarne! Śmiech drwienia przeszedł po całym zgromadzeniu, wypadł na ulicę, gonił za zmykającym aż do domu i w koło niego osiadł na zawsze.

Ale nie wszyscy tacy; jest wielu gorliwych urzędników, którzy majątki i spokojność poświęcają posługom obywatelskim, a tém samém dla dobra kraju; jest wielu zacnych obywateli, co choć nie na urzędzie, służą współobywatelom za pośredników, za sędziów, i cały wiek swój spędzają na niesieniu pomocy i datkiem, i radą; to téż przez cały wiek używają wziętości u ludzi, pokoju u siebie. Jest jeszcze pomiędzy nami zabytek cnoty polskiej, i abyśmy tylko chcieli, rozkrzewi się po całej Polsce: a wtedy znowu Polska stanie się przedmurzem Europy, a Kamieniec Polski przedmurzem.

Ślicznie leży Kamieniec, zbudowany pomiędzy górami na wyniosłej skale, co się otoczyła głębokim rozdołem, opasała się bystrym Smotryczem i wygląda, jak wyspa, do której tylko po powietrzu zapłynąć można. Skala ta nad swój poziom wyniosła swe brzegi i stała się murem nieprzebytym, twierdzą bezpieczną dla tych, co schroniwszy się do niej, zbudowali w niej miasto, które tylko wierzchołkami swych domów i wieżycami swojemi za skałę wyziera. Po rozdole opasującym Kamieniec i po za rozdół, ku górom, wybiegły wesołe przedmieścia, zieleniejące ogrodami, bielejące schludnemi domkami; po górach rozrzuciły się przylaski i pociągnęły ku wielkim lasom, a góry co się oderwały od Karpatów, potoczyły się rozlicznemi pagórkami aż do gór Miodoborskich. Wewnątrz skały miasto porządnie zbudowane na czarnej ziemi, którą ręka Stwórcy nasypała do téj skały, jakby na znak, że tam ludzie zamieszkać mają.

Nad miastem panują wieże, a nad wieżami złoty posąg Boga Rodzicy, co stanął na tureckiej dżamii i na tureckim półksiężycu, jakby na znak Turkom, że Polska nie lęka się ich siły, że wiara ich pod nogami naszej wiary.

Od kiedy ludzie zamieszkali podolskie płaszczyny i wzgórze, musiało też być zamieszkane i to miejsce, na którym dziś Kamieniec, bo kraj w około miły i wdzięczny, ziemia urodzajna, a w powietrzu wiele woni i ciepła, a miejsce bezpieczne. Od niepamiętnych czasów było to miejsce schronieniem i obroną od napadu hord rozlicznych, co się błąkały po stepach zadniestrowych. W dawnych wiekach było tu miasto zwane *Petrydawa*, co znaczy Kamionka; zniszczyli je Połowcy i książęta Czerniechowscy, a kiedy już i ślad jego prawie zaginał, jeden z Koryatowiczów, książąt litewskich, odebrawszy Tatarom ziemię podolską, w r. 1331 odbudował to miasto, które wkrótce stało się jedną z najważniejszych, a nigdy niezdobytą warownią polską.

Turcy, Tatarzy, Wołochy i Kozacy oblegali Kamieniec wielokrotnie, ale napróżno. W roku 1621 sułtan Osman na czele wojska przyszedł pod Kamieniec, objechał go na wszystkie strony, popatrzał i spytał:

— „Kto tak obwarował to miasto?”

— „Bóg!” odpowiedzieli pokornie przyboczni sułtana.

— „Niechże je Bóg dobywa!” i ruszył z wojskiem pod Paniowce, a wkrótce i tę warownię Bogu zostawiwszy, poszedł z kąd przyszedł.

W roku 1633 Kozacy i Tatarzy wielką siłą oblegli Kamieniec; hetman Koniecpolski miasto obronił, oblegających potężnie zgromił i odpędził. W 1656 roku 120,000 Kozaków oblegało Kamieniec równie bezskutecznie. W roku 1672 Kamieniec dostał się w ręce Turków, choć go nie zdobyli. Oblegał go naówczas wielki wezyr z ogromnym wojskiem. Dowódzca Kamieńca czy to, że ufał w moc twierdzy, czy to, że obyczajem polskim był w waśni z Janem Sobieskim, nie przyjął jego załogi; po niejakiem czasie prochnia

twierdzy, zapalona przez nieostrożność, wyleciała w powietrze; nie było czém strzelać, nie było dość siły, aby wyjść na Turka, i pan generał ziem podolskich musiał rokować. Tym sposobem straciliśmy twierdzę niezdobytą a bardzo ważną, twierdzę, z której panowanie rozlega się daleko. Na znak ważności takiego nabytku, Mahomet IV odprawując wjazd uroczysty do Kamieńca, wjechał na koniu do kościoła katedralnego, tak jak Mahomet II po zdobyciu Konstantynopola, wjechał był do kościoła św. Zofii. Kamieniec zostawał w ręku Turków aż do zgody Karłowickiej, zawartej w r. 1699; przy tej zgodzie Turcy oddali nam Kamieniec i poprzysięgli przyjaźń, dopóki słońca i księżycy. Odtąd aż do rozbioru kraju, Kamieniec znacznie się podnosił, przybywało mu kościołów, mieszkańców i bogactw, i zawsze był uważany za twierdzę niezdobytą. Moskale zdobyli go złotem i nauczyli nas, że tam tylko bezpieczne i kraj i twierdze, gdzie cnota niezdobytą. Rycerzem, co zaprzedał Kamieniec, był pan Złotnicki.

Trudno pojąć, dla czego carowie moskiewscy, co wszędzie po Polsce pobudowali warownie, co całą Polskę twierdzami radziły ugnieść, zdusić i zamknąć, dla czego zaniedbali Kamieniec. Wysoka i długa grobla murywana, jakby wyspę z wyspą, łączy jeszcze Kamieniec z zamkiem, co dawniej bronił przyległe góry, i w którym za polskich czasów osadzano więźniów, skazanych na całe życie. Mury miasta poszły już w gruzy, a jednak Kamieniec wygląda jak twierdza, i w każdej przygodzie bardzo łatwo na twierdzę da się zamienić; bo gdyby murem opasany jest skałą, co w gruzy nie pójdzie; a tak opasany, że oprócz trzech wjazdów, z których jeden tylko za pomocą wysokiego podmurowania nieco wygodniejszy, jest zewsząd tak nieprzystępny, że i koza nie ma którądy wydrapać się.

Kamieniec od dawnych czasów zamieszkały był przez Polaków, Rusinów i Ormianów, którzy z Armenii, ojczyzny swojej, rozwłóczyli się kupczyć po świecie.

Ormianie osiedli dość licznie w Kamieńcu, we Lwowie i po innych miastach; zasługiwali się nieraz nowęj ojczyźnie swojęj, a za to otrzymywali szlachectwo i rozmaite przywileje na wolność kupczenia po miastach i na rządenie się swoim obyczajem. Przywileje te były potwierdzone prawie przez każdego króla, a mianowicie w 1443 roku przez Władysława Warneńczyka, roku 1496 przez Jana Alberta, roku 1502 przez Aleksandra, roku 1507 przez Zygmunta I, a później przez Zygmunta II, Henryka Walezjusza i Stefana Batorego. Jan Kazimierz w 1650 r. rozszerzył te przywileje za męztwo i wierność Ormianów w czasie najścia Tatarów i Kozaków pod Chmielnickim.

W Kamieńcu za dawnych czasów — około 1450 r. i później — Polacy na czele swego urzędu mieli *prokonsula*, Rusini zaś swoich, a Ormianie swoich, wójta i ławników. Wójtowie byli mianowani przez króla; Kazimierz Jagiellończyk pozwolił Rusinom wybierać sobie wójta i wyjął ich z pod władzy wojewodów, kasztelanów i starostów. Oprócz tego był starosta czuwający nad porządkiem i mający sądy nad szlachtą w sprawach uczynkowych.

Jak się tam tyle rządów między sobą godziło, nie wiem; musiało to tam być tak, jak pod koniec w całej Polsce, kiedy ledwie nie każde miasto rządziło się inaczej, ledwie nie każdy chciał się rządzić po swojemu i rwał porządek, dopóki nie zapanowały nad nami nieład, bezrząd, duma, chciwość, a w końcu, jakby na pokaranie za to wszystko, obca przemoc. Jeżeli wina upadku Polski cięży bardzo na szlachcie, cięży téż nie mało, a podobno i więcej na królach naszych, co nie umieli wziąć w ryzę swawolnej szlachty, co zamiast rządenia w całej Polsce jedném prawem, jedną żelazną wolą; dla pochlebiania tym lub owym stronnictwom, jednym częściom Polski nadając przywileje, drugie uciskając, jedne ośmielili do swawoli, drugie pobudzili do buntu. Przez bunty odpadła Kozaczyzna, przez swawolę, którą królowie wypieścili, wezbrała duma

szlachty i wywróciła karność wszelką, wywróciła ojczyznę.

Że już dawno Polska chyliła się ku upadkowi, i że ten upadek sama zgotowała, mamy na to liczne dowody nawet w papierach kamienieckich. Papiery te uwożone przez Turków, były na okrętach, kiedy mnóstwem pieniędzy własnych wykupił je od zaprzepaści Szumlański, biskup kamieniecki. Papiery te są bardzo ważnym zabytkiem dla szlachty ziem ruskich, bo tam ich rodowody, tam prawa ich własności, tam ich dzieje prawie od założenia Kamieńca.

Do tego zbioru przybył później własną ręką podpisany okólnik Stanisława Leszczyńskiego, z dnia 6 lipca 1706 roku. W tym okólniku król zawiadamia o oswoobodzeniu ojczyzny, wyrzuca szlachcie domowe zamieszki, naznacza sejmiki w Kamieńcu na dzień 27 lipca 1706 roku i kończy życzeniem, *aby na tym sejmie województwo podolskie uspioną ledwie nie letargiem cnotę staropolską wzbudziwszy, na obronę wolności głowę niosącym asystować chciało*. Drugi, także bardzo nauczający okólnik jest Piotra I, podpisany własną jego ręką, w Żółkwi, 1707 roku, w styczniu. Tam car moskiewski ogłasza, że w pomoc rzeczypospolitej przeciwko Szwedowi daje wojsko swoje i krew swoją. „*Oświadczam się przed Bogiem i przed światem, że czynię to ze szczerą przyjaźnią i nie żądam od stanów rzeczypospolitej, jeno utrzymania onych w dawnym stanie przy prawach i wolności zwykłych, osobliwie przy wolnej elekcji*.” — Car wszem władny, co swoich senatorów własną ręką grzmocił, co dla następców swoich zakładał państwo, mające swoją dziczyną pochłaniać wszystko, co je otacza, swoim ogromem zatrzwożyć świat cały; car, co za prawidło następcom swoim zostawił okrucieństwo, a knut za berło; car taki idzie sam bić się za wyuzdaną wolność i za wolny wybór króla! Jakaż to wstydząca nauka, a nie korzystali z niej ojcowie nasi! Jakiż to szatański podstęp! — a niedostrzegły go oczy zamroczone szalem swawoli i zbytku!

Kamieniec był miastem bardzo ważnem dla rzeczypospolitej, a obywatele Kamieńca odznaczali się mężstwem i wytrwałością, w licznych oblężeniach i bojach; to téż królowie zaszczycaли go swą łaską, a Zygmunt Trzeci rozszerzając jego przywileje, porównał go ze Lwowem i dał mu przywilęj może najużyteczniejszy ze wszystkich, zakazując żydom osiadać lub zamieszkać bądź w mieście bądź na przedmieściach; podróżującym żydom nie wolno było dłużej bawić w Kamieńcu jak trzy dni, a to pod karą utraty majątku. Przywilęj ten dowodzi, że już dawno spostrzeżono, że Kazimierz Wielki zaszczipając w Polsce żydostwo, wielką zaszczipił plagę. Michał Korybut Wiśniowiecki, za nowe dowody mężstwa i wierności przywilęj Zygmunta III Kamieńcowi potwierdził w 1670 r. Po odzyskaniu Kamieńca od Turków August II znowu wszystkie dawne ustawy i przywileje temu miastu przyznał, bramy jego powierzył straży władz miejskich, a nadto zaprowadził tam Towarzystwo strzelców, czyli *kurkowe*, jak to już było w Krakowie, we Lwowie i w Poznaniu, i z temiż samemi przywilejami, a z tym dodatkiem, że król kurkowy miał prawo sprowadzić sobie sto beczek wina węgierskiego bez opłacania cła.

Towarzystwo strzelców nazywało się *kurkowe* od tego, że przy corocznej uroczystości strzelcy strzelali do koguta, to jest kura, kurka drewnianego, zwykle o dwieście kroków kulą ze strzelby. Strzelanie to trwało z wielką uroczystością czasem tydzień cały; od celnych strzałów kurek rozlatuje się w drzazgi, a kto ostatnią drzazgę kulą roztrzaska, o tym się mówi, że zbił kurka i ten z wielkim hałasem okrzyczany *królem kurkowym*, przywdziewa znaki swojego dostojenstwa. Król ten otoczony niepoślednią czcią i poważaniem przez cały rok, przewodniczy Towarzystwu kurkowemu; a pierwszego dnia panowania swego na czele Towarzystwa obchodzi miasto z wielką uroczystością, a okrzyki wesołości, suta uczta i zabawy przeciągają się długo w noc.

Za panowania Augusta II żydzi zaczęli się wkradać do Kamieńca, ale w 1750 roku na mocy wyroku urzędowego, wygnani zostali w przeciągu 24 godzin, ich szkołę zburzono, a domy ich poszły na własność miasta. Zdaje się, że dopiero po rozbiorze kraju, żydom pozwolono osiadać w Kamieńcu, tak jak od tego czasu wszystko to pozwalają co albo niepotrzebne, albo szkodliwe.

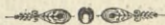
Stanisław August pierwszy pozwolił urzędowi miejskiemu w Kamieńcu używać szabel, a tym sposobem mieszczanów kamienieckich porównał z mieszczanami stolic i najgłówniejszych miast Polski; po miastach bowiem drugiego rządu, urzędnicy miejscy nie mieli prawa noszenia szabel, a na znak dostojęństwa swego nosili tylko laski.

W Kamieńcu było niegdyś piętnaście czy ośnaście kościołów, z których dziś pozostało tylko sześć czy siedm; reszta spustoszała i znikła, najwięcej za czasów Turków, którzy piękniejsze tylko kościoły zachowali, przerobiwszy je na meczety. Tym sposobem ocalała katedra, przy której Turcy wymurowali wysoką, na podstawie kwadratowej okrągłą wieżę, z której krużganku widać cały Kamieniec i okolice jego aż do Chocimia; na wierzchu téj wieży pozostał jeszcze pozłacany księżyc turecki, a na nim stanął piękny posąg Najświętszej Panny, o którym wspomniałem. Katedra kamieniecka jest gotycka; po wyjściu Turków odnowił ją biskup Dembowski, a niedawno ktoś kazał pobielić ją wewnątrz i myśli, że to pięknie. W Kamieńcu była téż za polskich czasów katedra unicka, bardzo wspaśniała, ale od czasu, jak niecna Katarzyna zniszczyła prawie zupełnie Unię na Rusi, popi wprowadzili się do téj katedry, która teraz służy Moskalom za cerkiew, tak jak dawniej służyła wielkiemu wezyrowi za meczet. W Bogu nadzieja, że wypędzi z niej popów, jak wygnał muftych. Piękny téż jest kościół pojezuicki, co teraz jest szkolnym kościołem; ten także zapamiętał czasy

tureckie, i zapewne jeszcze się doczeka i polskich czasów.

Klasztor i kościół panien Dominikanek w Kamieńcu, tém jest zajmujący, że był założony przez pannę Elżbietę Ciepłowską, która po nawróceniu się na wiarę katolicką, została Dominikanką. Kościoły i klasztory Dominikanów i Bernardynów, odbudowane zostały po wyjściu Turków, głównie staraniem i kosztem Michała Potockiego, starosty Trębowelskiego. Po wyjściu Turków, zaraz Trynitarze do Kamieńca wprowadzeni zostali, dla wykupowania Polaków z niewoli tureckiej: święty to cel i godny sług Bożych. Wiadomo, że zakon Trynitarzów w tym celu ustanowiony został; wymownym jego obrazem w Kamieńcu jest piękny posąg na kościele Trynitarzy, wyobrażający anioła unoszącego dwóch niewolników.

Każdy zakon katolicki miał w początkach swoich cele święte i użyteczne; wiele z nich i dotąd dochowało téj cechy, innym wydarto sposób służenia rzeczy powszechnéj, a bezbożni krzyczą: mnichy próżniaki! Idźno, ty niby pracowniku, i popracuj z tymi niby-próżniakami, a przekonasz się, żeś ty dziś próżniak. Idź za jednymi zakonnikami rozsiewać światło, kształcić młodzież; za drugimi żyć w modlitwie i ubóstwie, a jeszcze wspierać ubogich; za tymi pielęgnować sieroty i chorych; za tamtymi jeszcze ginąć śmiercią męczenników; za wszystkimi rozkrzewiać wiarę, w zwątpiałe serca wlewać nadzieję, dźwigać upadającą cnotę, czuwać dzień i noc nad trzodą Pańską, i dzień i noc, w złą i dobrą porę, być gotowym na jój usługę; idź za zakonnikami przechadzać się pomiędzy zapowietrzonych i razem z nimi do grobu się zabierać; idź za zakonnikami na pole bitwy, ginąć za ojczyznę, a wtedy uderzysz się w piersi i wyznasz, żeś był oszczerca.



ROZDZIAŁ XIII.

BERDYCZÓW.

Byłem téż i w Berdyczowie, bo jakżeż nie widzieć tego miasta, co jak Kijów w czasie kontraktów, tak w czasie czterech jarmarków swoich, jest zbiegowiskiem ukraińskiej, podolskiej i wołyńskiej szlachty; tego miasta, co leży w środku ziem ruskich i całą Ruś jakby serce ożywia. Jak tylko jaka ważniejsza kupiecka a pilna robota, tak do Berdyczowa; jak tylko jaki ważniejszy sprawunek, czy gospodarski, czy domowy, do Berdyczowa; jak tylko potrzeba nowożeńcowi koni i powozu, pannie młodej wyprawy, pijakowi wina, kosterze gry, jakiemu młokosowi bójki z Moskalami, tak do Berdyczowa. Jedzie kto z Ukrainy w dalszą nieco podróż — a którądy, bracie? na Berdyczów. Między młodzieżą, nie ma pół godziny rozmowy, żeby Berdyczów, niby Paryż jaki, na plac nie wyjechał. Berdyczów każdemu wygodny, każdemu po drodze, stąd przysłowie: *Pisuj do mnie na Berdyczów.*

I po co to miéscisko usiadło tam na tych błotach, gdzie i miejsce nieobronne, i powietrze niezdrowe, i wody dobrej do picia nie ma, nikt tego nie wie, a każdy rad, że przynajmniej tam siedzi. Dla czego miéscisko to takie niechłujne? Bo to stolica polskich żydów, co jak żaby skrzeczą i mnożą się nieustannie w swém błocie.

Z Żytomierza do Berdyczowa mil ukraińskich cztery. Jedzie się pocztowym traktem. Pod samym Berdyczowem wieś Hryszkowce, mieszkanie Radziwiłłów, dziedziów Berdyczowa. Między tą wsią a Berdyczowem rzadka dębina, czysta dąbrowa, bo ją wiatr zamiata, ciągnie się na prawo aż ku rzeczce błotnistej Hnyłopiat, nad którą leży jeszcze błotnistszy Berdyczów. Po tej dębinie wieczorem przechadza się cały Berdyczów; zdaje ci się, że to mnóstwo żydów i żydówek *more-morejne*, poumywane, bo to szabas, postrojone, bo wielkie państwo żydowskie idące pieszo kaczkowatym krokiem, albo kiwające się na leniwych koniach, jakby w bożnicy, jakby prosiło Pana Boga, żeby dosiedzieć na koniu; zdaje ci się, że to mnóstwo izraelskiego wybranego ludu, pomiędzy którym widzisz mnóstwo innych mieszkańców Berdyczowa, jako to Szwajcarów, Francuzów, Niemców, Kacapów i Kacapice; zdaje ci się, że to wszystko, dowiedziawszy się, że jedziesz z Żytomierza, wyszło na twoje spotkanie; a to nie prawda: wszystko to ciągnie spokojnie i cicho do ogrodu hryszkowieckiego, w którym wolno im z daleka wachać owoce i kwiaty. Chłopi tylko, szczątka kozaczego rodu, co pierwszy osiadł i zaludnił Berdyczów, nie mając wstępu do ogrodu, mogą tylko przez częstokół do niego zaglądać, ale za to mają przywilej przechadzać się po dębinie, w której za Augusta II, poprzednik ich kozak Paley, pułkownik owruckiego pułku, stłukł szlachtę, prowadząc Dorosenkę na atamaństwo.

Za dębiną obszerne błonia, po których w jesieni i na wiosnę strzelają bekasy, a w lecie wypasają konie w czasie jarmarków. Za błoniami, dom na domie, leży Berdyczów. Nad miastem i nad okolicą, panują wieże karmelitańskiego wspaniałego kościoła, co dotąd otoczony wysokim murem, stanowił niby twierdzę, która w dawnych czasach wytrzymała wiele oblężeń i szturmów, odepchnęła wiele najazdów, chroniła wielu rycerzów polskich. W murach tego kościoła i w samym kościele dotąd jeszcze sterczy wiele kul działowych, świadków krwawych bojów, z których najpamiętniejszy jest bój

z Turkami, jeszcze za czasów Jana Alberta; kiedy Turcy osmieleni zdradą hospodara wołoskiego w czasie przechodu Polaków przez Bukowinę, pustoszyli całą Ukrainę.

Szczątki ludu ukraińskiego zamknęły się w murach twierdzy berdyczowskiej, której załogą dowodził Tyszkiewicz, może dziedzic Berdyczowa, bo Berdyczów był dawniej dziedzictwem Tyszkiewiczów. Turcy oblegli miasto, a gdy go dobyć nie mogli, odwrócili koryto Hnyłopiata, żeby obleżonych pozbawiając wody, przymusić do poddania się. Obleżeni cierpieli już głód i pragnienie, i już na łaskę zwycięzcy zdawać się mieli; wtedy mnich Karmelita, z obrazem Matki Najświętszej z dawna cudownym, staje przed radą starszyny, gromi ją za słabość duszy, ognistą mową zapala wszystkich do męstwa, z cudownym obrazem w ręku występuje na wały, i Turków rozgania. Podanie niesie, że w czasie tego boju, strzały tureckie mocą cudownego obrazu, wracały i Turków zabijały; podług drugich, obraz ten w czasie boju tak zajaśniał, że niewierni od téj jasności poślepli; rozbiegali się na wszystkie strony, a sami nie wiedząc gdzie lecą, wpadali w ręce ludu ukraińskiego, który mszcząc się krzywd swoich, wymordował ich do szczeru. Cały obóz niewiernych stał się łupem zwycięzcy, i nie mało przyczynił się do wzbogacenia miasta i świątyni co je broniła. Odtąd sława cudowności obrazu Matki Najświętszej, rozeszła się na całą Polskę; odtąd lud ciągle przepływał po przed stopy jego, składać ofiary za doznane łaski; klasztor się ubogacał, kościół się upiękniał a miasto powiększało się.

Dziś kościół zachowuje się w dobrym stanie; gotyckiej budowy, obszerny i podwójny, górny i dolny. Dolny kościół okazały, ma kilkanaście bogatych ołtarzów; górny jeszcze okazalszy, oprócz wielu ołtarzów co go zdobią, ma piękne malowidła wyobrażające zwycięstwa Polaków i Kozaków nad Turkami i Moskalami: ma piękne dudy, a nadewszystko bardzo bogaty ołtarz wielki, w którym jest cudowny obraz. Wieść niesie, że *Wota* zawieszono na tym obrazie i około niego, w perłach, drogich kamieniach i złocie, warte są około 2

miliony złp. Klejnoty te w 1825 r. skradzione zostały; złodziejowi świętokradztwo ciążyło bardzo na sumieniu, skarb odniósł, rozgrzeszenie otrzymał, a księża dochowali tajemnicy spowiedzi. Oprócz bogactw obrazu, klasztor berdyczowski posiada obfity skarbiec pełny bogatych strojów kościelnych. W czasie tylko wielkich odpustów odsłaniają ten obraz ze święteczną okazałością; a wtedy oblicze Najświętszej Panny, tak błysnie na cały kościół promieniami jasności swojej, że mimowolnie korzą się czoła, uginają się kolana, i nie jeden niedowiarek, w takiej uroczej chwili, tam się nawrócił.

Nie jednego też nawrócili pobożni i wymowni a liczni i przykładni księża Karmelici. Odpusty berdyczowskie tak są sławne jak częstochowskie i poczajowskie. Spowiednicy tam roztropni a surowi. Na kim wielki grzech ciąży, albo kto czuje w sobie wielką skruchę, idzie spowiadać się pod łaskę; to jest przed spowiednikiem, który ma łaskę ogromną, kościołowi berdyczowskiemu przez Rzym nadaną; pokutnik nim po spowiedzi rozgrzeszenie otrzyma, uklęka przed spowiednikiem, na znak pokory nachyla się ku ziemi, a spowiednik dotyka go łagą; czasem trafi się spowiednik co grzmotnie łaską jak się należy, raz i drugi; był tam ksiądz Józef, co nieraz i fuknął na grzesznika, a jednak przed nim zawsze nacisk, zawsze skrucha i prawdziwa pokuta, bo był to kapłan wybrany.

Księża Karmelici berdyczowscy są ludzie uczynni i pełni chrześcijańskiej miłości dla bliźnich; wspierają ubogich i dają przytułek chorym. Ktoż ze szlachty ukraińskiej, nie ma wdzięczności Ojcom Karmelitom za sławny coroczny kalendarz berdyczowski, w którym święta choć na bibule ale czerwono drukowane; a skoro w kalendarzu pisze czerwono, nabożny szlachcic zakazuje robocizny, a sam jedzie z jejmością i z dziatwą do kościoła na mszę. Poczciwa szlachta z tego kalendarza uczy się i gwiazdziarstwa i tajemnic gospodarczych, i wie co tam stało na wyborach obywatelskich, i wie kiedy słońce, kiedy pogoda, kiedy ciepło, a kiedy ma być zimno; podług kalendarza orze i sieje, i dobrze jój się dzieje,

a przynajmniej działa za dawnych czasów. Nakoniec Ojcom Karmelitom berdyczowskim winni Polacy Ojca Marka, wstawionego w konfederacji barskiej.

Konfederaci barsecy pod wodzą Kazimierza Pułaskiego kilka miesięcy w Berdyczowie opierali się Moskalom i szczęśliwie czynili na nich wycieczki. Moskale stali obozem pod wioską Piatyhorką, a Pułaski wypadał na nich najczęściej drogą idącą z biegiem rzeki ku Skryhlówce. Co to się i tam krwi polskiej przelało! Zda się, że marnie, ale nie marnie, bo dopóki krew polska płynie za Polskę, dopóty znać, że Polska żyje.

Wjeżdżasz do miasta zajęty narodowemi wspomnieniami, a tu cię z marzeń twoich budzi wrzask żydów, co szarpną twój powóz, twoich ludzi, twoje konie, ciągnąc ten do siebie, ten do siebie, a wrzeszcząc; i to jest sposób zapraszania do zajezdnych domów, z których każdy jest zwyczajną żydowską karczmą polską, czasem trochę porządniejszą. Tylkocóż wszedł do gospody, musisz drzwi zamykać przed *faktorami* i kupecykami; zamknąłeś drzwi, oni w okna lażą, zamknąłeś okna, oni przez szyby pokazują swoje noże, brzytwy, grzebienie, ołówki; krzyczą, hałasują; jak co u którego kupisz, drudzy go biją za to, i tak przed każdym domostwem. Skoro drzwi otworzysz, wpada kupa żydów *faktorów* i naprzykrzają się, a nastawiają się, żeby uderzyć, a żeby potem za to zapłacić. Wyjdiesz na ulicę, to ta chałastra w około ciebie uwija się, jak komary, i nie ma innego sposobu odegnać się od niej, jak wziąć *faktora*; *faktor* jest to niby karta bezpieczeństwa po brudnych ulicach berdyczowskich; on rozpedza motłoch, a na barki swoje zbiera wszystkie kuksy zazdrośnych towarzyszków; on długim a obdartym sarafanem zamiata przed tobą ulicę. Idziesz gdzie chcesz, *faktor* wszystko pokaże, przeprowadzi bezpiecznie przez ulice pełne kramów żydowskich i wrzasku; a z każdego kramu, jak z klatki, żydowica z głową oprawną w złoto i perły, piszcząc przeraźliwie, wychyla się jeszcze po twoje srebro; a w oczach każdego żydziaka taka chci-

wość i przebiegłe szachrajstwo, że trudno ci pogodzić litość dla tego rodu z pogardą; szczęściem, że go nie obchodzi uczucie twoje.

Kto chce obywatelić żydów, zapraszam go do Berdyczowa, a jak mu się tu uda, to mu powinszuję. Kto zgadnie, czy żydzi są za Moskalami, czy za Polakami, to będzie mądry. Mnie się zdaje, że są za sobą, to jest za tym, kto silniejszy, albo kto im lepiej zapłaci. Jak Mikołaj zaczął brać w rekruty żydów w Berdyczowie, w tej stolicy żydowskiej, gdzie najbogatsi żydzi, najwięcej *bankierów* i przemycarzów żydowskich; gdzie jest rząd żydowski, trzymający na nieszczęście w garści swój cały przemysł ziem naszych, rząd mający szpiegów i *faktorów* przy rządzie moskiewskim, rząd mający swoje stosunki zagraniczne, swój skarb, swoje dzienniki, swoich gońców, swoją pocztę latającą co dzień czterokonną budą do drugiego państwa żydowskiego, do Brodów, po towary zakazane; w tym sławnym Berdyczowie, w tej polskiej Jerozolimie, był sądny dzień. W dziesięciu berdyczowskich bożnicach modlono się, żeby Mikołaja dyabli wzięli. Jak przyszło do powstania, żydzi berdyczowscy radziły, żeby Polacy byli zemścili się za nich na Mikołaju, ale jak wiadomo, sami nie powstawali, i nie wiem, czy kiedy będzie z nich ta pociecha. W czasie powstania nabite działa na rynku berdyczowskim spokojnie dostały; a po powstaniu, kiedy już były nie nabite, waleczni żydzi ukradli dwa działa, i przepadło; mówią, że to z miłości ku Polsce; a ja domyślam się, że działa były miedziane, i że za pomocą żydków już z tych dział musiał powstać jakiś kociół gorzelniany, który kiedyś może dostarczy wojsku polskiemu wódki — za pieniądze. Taka to przebiegła serdeczność żydów dla Polski.

Nie cały jednak Berdyczow zaplugawiony żydostwem; jest od Machnówki porządniejsza część miasta, gdzie jest kilka pięknych kamienic, w których sklepy winne i piękne kramy z towarami; ale na nieszczęście wszystkie te bogactwa są własnością cudzoziemców ssących polskie kieszenie. Bo gdzieżby tam szlachcie

polski kupezył, kiedy do kupiectwa nie potrzeba przesądów, a u nas ich pełno, kiedy do kupiectwa trzeba obrotności i pracy, a my choć sprytni, ale leniwi. Poprawim się, jak wrócim z tułactwa, gdzie nie ma poczciwego chłopka, coby na nas zapracował, ani hajduków do czuwania nad zachceniami naszymi; gdzie się codziennie przekonywamy, że nauka i praca są nieocenioną wartością, że człowiek bez jednej albo drugiej jest mogolem indyjskim, trutniem ukraińskim.

A u nas jak to bywało? Chłop rolę uprawił, zasiał, zebrał, ziarno zawiózł na targ, albo na wódkę przepędził, bydło wyhodował i gdzie trzeba zapędził, wszystko na rozkaz pana; pan sprzedał, naładował trzosi, jeden jedzie za granicę wytrząsać z niego złoto, jakby to był piasek; drugiemu dosyć do Berdyczowa zajechać, za jedną część trzosu kupi wina, albo przepije, drugą przegra, za trzecią nakupi strojów dla żony, różnych cacek niepotrzebnych i zegar grający, bo sam grać nie umie. a jak się zgra, na tym zegarze odegrywa się — ot i po trzosie; trzeci człowiek porządny, gospodarny i takich nie mało, ten i chłopą zapomoże i radby całe gospodarstwo podnieść; wie, że są na świecie *machiny*, czuje ich dobrodziejstwo, ma gdzie i ma za co postawić; więc sprowadza *mechanika*, ile możliwości cudzoziemca, co i nie wiele umie i z chłopem się nie rozmówi, a zwykle okpiwacz; stawi a stawi, buduje a buduje, pan czeka a czeka, płaci Niemcowi a płaci, Niemiec rokoszuje w pańskim domu, nakoniec stanęło czupiradło; jeśli to młockarnia to pewno nie młóci, jeśli to młyn, to pewno nie miele. Jeden z takich młynów, stoi w samym Berdyczowie, na przestrogę całej szlachcie polskiej; wspaniała, kosztował sto tysięcy, wygląda jak wieża babilońska, przy której język i mózg mechanika Niemca pomięszal się, i młyn nie meł, nie miele, i mleć nie będzie.

Prześwietna szlachto polska, racz się postarać, żeby cudzego rozumu nie potrzebować, bo już czas umorzyć to przysłowie: *Francuz wymyśli, Niemiec zrobi, a Polak głupi kupi*.

Dziwną jest rzeczą, że Berdyczów miasto tak środkowe naszych województw, tak ludne, bo ma z górą 40,000 mieszkańców, że w mieście takiem jest tylko nędzna szkółka powiatowa.

Nie zna Berdyczowa, kto go nie widział w czasie jarmarku; nie zna szlachty ukraińskiej, kto jej nie widział w Berdyczowie na Onufreja, a przynajmniej na preczyste. Sześciu szlakami ciągną do Berdyczowa tabuny i zgony, hurmy i stada; sześciu szlakami prowadzą konie powodne, zwożą powozy, sprzęty gospodarskie i wszelkie towary. — Już wszystkie stajnie Berdyczowa pełne koni, wszystkie sklepy pełne towarów, wszystkie klatki na Machnowieckiej ulicy pełne tabuńskich koni, po wszystkich błoniach pełno wszelkiego bydła, wszystkie piwnice pełne wina. Dopiero wtedy szlachta polska z dworem jak kto może licznym, w strojach jak kto może nowych a swojego wymysłu, sześciu szlakami wali do Berdyczowa, i wierzchem, i wozeczkami, brykami i kolasami, młodzi, i starzy, i panie polskie ze ślicznymi córkami. Wszystko to jedzie jarmarkować, co znaczy i kupować, i przedawać i bawić się, i hulać, i tańczyć, i żenić się, i ogrywać, i zgrać się; co się komu podoba, wszystkiego dostanie.

Owo jarmarkowanie trwa cztery tygodnie, a w mieście taki hałas, taki zgiełk, a każdy tak zajęty, tak się spieszy, jak gdyby jarmark téjże godziny się kończył. Każdego dnia od rana do południa otwarte stajnie, konie wymuskane, srogim okiem patrzą, rzucają się, jak gdyby chciały wszystko rozburzyć, bo świerzbą, baty nocne, albo pieprz gryzie, albo też i wre w koniu niecierpliwa krew polska. Od rana do południa wodzą ręczne konie po Machnowieckiej ulicy, przejeżdżają się dżusy na dżusach. Po stajniach i po ulicach targi na konie, a przy tych targach szczególne przypowieści, zachwalania, omawiania wad końskich, zakłęcia koniarskie, tak że nigdy nie zgadniesz, co prawda. Nie jeden kupił ślepego, nie jeden pijanego, nie jeden wydełego, nie jeden ukarmionego wapnem, starego za młodego, kalekę za zdrowego; a ten, co cię okpił, kpi

jeszcze, i jak mu się skarżysz, powiada ci: *Od żłobu do żłobu, kto kogo okpi, chwata! Panu Bogu!*

Jeszcze i Boga mięsza do szachrów swoich. Bo to szczególniejsza moralność na tym świecie; każdy poczciwy — tylko koniarz wymówił sobie, że będzie oszukiwał na koniach; myśliwy, że będzie polował na cudzym gruncie i cudze psy do siebie zwabiał; literat, że będzie książki pożyczał a nie oddawał; kupiec, że będzie okpiwał tylko na tym towarze, którym kupeczy; urzędnik moskiewski, że będzie kradł i obdzierał tylko po swojej części; zresztą wszyscy poczciwi, i jeszcze koniarz wykrzykuje: Czyż to się godzi psy kraść? Myśliwy trąbi: Czyż to się godzi na koniach okpiwać? i tak dalej.

Jedna tedy szlachta okpiwa i okpiwa się na koniach po stajniach i po ulicach, druga w tabunach tatarskich wybiera sobie dzikusy, na których będzie za wilkiem a może i za Moskałem uganiać; trzecia za rogatkami Białopolskiemi. Tam przeszło sto tysięcy rozmaitego bydła, zaległo obszerne blonia. Woły ukraińskie z rozłożystemi rogami, ogromne jeden w drugiego, srebrnisiwe jeden w drugiego, gdyby woda, a spaśne; jedne ciągną od wody niby rzeka, drugie w ogromny hurt skupiwszy się, stoją niby jezioro. Tysiące owiec tam beczy, tysiące wieprzów kwiczy, bydło ryczy, a wszystko wesołe przy rannym chłodzie, wybrykuje na znak szczęścia; a tysiąc hajdajów klaszcze z biczów, i po swojemu ofukuje i pilnuje bydło swoje. Tam szlachta jedna już targu dobija, druga pod szałasami już pieńdże liczy, trzecia zajada i już zapija sprawę, inna trzyma się w cenie, zmawia się i do Włodawy się wybiera; a żydzi wszędzie *fakturują*, szachrują i okpiwają.

Młodzież mizdrzy się do panienek; przez całe rano odwiedziny jedne po drugich, dziewczęta przemigają się chłopcom, jak kwiaty pędzącemu czwałem po łące, a dziewczętom stają przed oczy coraz nowi chłopcy, tak jak młoda ich wyobraźnia stawia im przed płochą myślą coraz nowe widziadła. Po obiedzie bydło i konie

wychodzą na wypas, po obiedzie już mniej robót, więcej zabawy. Jedni drugich zapraszają, obiady gromadne, sute, jak to zwyczajnie u nas na Ukrainie; wesołe, jak to zwyczajnie u szlachty polskiej, a jeszcze z kobietami.

Po obiedzie pierwsza część zabaw, konne wyścigi. Tam to dopiero powszechne wyścigi na piękność i stroje kobiet, na przepych powozów i cugów, na dzielność koni, na zręczność jeźdźców. Co żyje w Berdyczowie, wyjeżdża za Machnowieckie rogatki. Lsknią się złociste szory, ale piękniejszy połysk wymuskanego konia, co tak błyszczy wodą, jak gdyby brylant; toczy się powóz za powozem, a każdy wygląda, jakby pęk kwiatów, bo w każdym pełno pięknych kobiet, strojnych w kwiaty i w pióra, w perły i w brylanty. Chcesz wiedzieć która najpiękniejsza? Ta co najmniej strojna; bo u niej oczy brylantami, ząbki perłami, kraśne lice kwiatami.

Powozy w kilka rzędów wyciągnęły się wzdłuż drogi, a młodzież pomiędzy powozy szaleje koniem, tak jak ich myśl szaleje obrazem kochanki. Tam się natrzymasz, jak to szlachta polska harcuje; tam się przekonasz, że się nie odrodziła, i w najodleglejszych pokoleniach nie odrodzi od przodków swoich; zalotna, dzielna, żwawa, rycerska, każdy gotowy żołnierz, i niech się tylko pojawi hetman jaki na podobieństwo Czarnieckich i Pułaskich, a cała Polska zapłonie ogniem wojny, zabłyszczy tysiącem zwycięstw, zagrzmi wieczną potęgą, zakwitnie wieczną swobodą i szczęściem.

Kiedy już wszyscy na swoich miejscach, a słońce już trochę ostygło, wtedy mirzowie tatarscy ze szlachtą polską pędzą na wyścigi milę blisko, od lasu ku miastu po płaszczyźnie, co się nieco w górę dźwiga. Skoro ich spostrzegą, z razu zaszumi szmer pomiędzy patrzącymi, a potem cicho. Każdemu serce wali młotem, bo wielkie zakłady, bo każde współubieganie się wzbudza przychylną uwagę, bo wszyscyby radzi, żeby Polacy wygrali, i tak też bywa. Po całej przestrzeni rozlega się tentent ścigających się koni, co z daleka dochodzi ucha niby uderzenie pulsu, wzmaga się coraz a coraz,

jeźdźcy zbliżają się, konie wyciągnięte jak charty, już już mety dobiegają, już zdaje się, że ten wygrał, i wszyscy go chwala, przeciągłym okrzykiem; aż tu często ostatni, rozwija zapas nowój siły, wyrzuca jednego po drugim, stanął u mety; a nim najtęższy koń po nim doleciał, on się już zwrócił, i dumnie patrzy na swoje zwycięstwo.

Już się skończyły wszystkie wyścigi; we wszystkich zawsze był jeden pierwszy a jeden ostatni, tak jak na całym świecie od początku świata. Marna rzecz na pozór, ale ważna dla tych, co się ścigają, bo czy wielka czy mała wygrana, zawsze jej źródłem miłość własna, a za nic drożdże, tak miłość własna wszystko podnosi do kształtów olbrzymich.

Po wyścigach wszystko ciągnie do Berdyczowa, tak jak z niego wyciągnęło, tylko jeszcze tłumniej, jeszcze gwarniej. Temu, czyj koń zwyciężył, zdaje się dnia tego, że król, ale drudzy nie myślą o nim, bo każdy już tylko o tém myśli, która z dziewięć wyścignie inne prostotą i wdziękiem, która dzisiejszej uczy będzie królową; każdy myśli, że jego kochanka, tak jak każdy myślał, że jego koń wszystkie wyściga.

Przez cały ciąg jarmarku, uczy, widowiska, muzyki, roboty i szulerka; a pod koniec zawsze jakaś zabawna sprawka, zawsze jakieś nowiny, co żydowską pocztą lecą prędzej, jak moskiewscy gońcy, zawsze jakiś dziwoląg, co bawi szlachtę, a straszy Moskalów i żydów.

Tak szumny jarmark bywa tylko na *Onufreja*, chociaż główniejszych jarmarków w Berdyczowie jest cztery do roku, a każdy z nich trwa blisko cztery tygodnie. *Onufrejski* jarmark przypada 12 czerwca, *Preczyste* 15 sierpnia, *Kosmy i Damiana* 1 listopada, a *Pochwalne* 24 marca. Na *Onufreja* i na *Preczyste* jarmarki najliczniejsze, na *Pochwalne* jarmark głównie na ogiery, bywa ich po kilka tysięcy; na *Kosmy i Damiana* głównie na powozowe i wierzchowe. Tabuńskich koni nie masz na tych dwóch ostatnich jarmarkach, ale bydło, roboty wszelkiego rodzaju i pijatyka zawsze

bywają. Szczątki nieszczęśliwej pijatyki obywatelskiej polskiej, co tyle krzywd sprawom ojczystym zadała, szumią jeszcze po jarmarkach berdyczowskich. Nie jeden w ciągu jarmarku przepił cug śliczny; nie jeden zboże co jeszcze na pniu, tak przepędził na wino i tak się sam i swoich przyjaciół uraczył, że do domu wracał bez pieniędzy i bez wina.

Taka to szlachta jarmarkowa, podchmieliwszy sobie pierwszego dnia, nie wytrzeźwia się aż w domu, a przez cały ciąg jarmarku jest w stanie upojenia, w którym dziwy wyrabia za zdrowie żywych i umarłych. Nie wolno wykrzykiwać: Niech żyje ojczyzna! Niech żyje Kościuszko! Więc krzyczą: Zdrowie Tadeuszka! A piją, a wypiwszy, szklanki gryzą, aż się pojuszą. Myślałbyś, że jak przyjdzie do wojny, to te zuchy zębami zagryzą Moskali, jak gryzą te szklanki. Nieprawda, kostery i opijusy, jak przyjdzie do wojny, pochowają się po kątach, a cała ich dzielność na tém się kończy, że jedni ogrywając, króle karciane przezywać będą pachółkami, albo inaczej, a drudzy upiją się na cześć nowych, jak pili na cześć dawnych bohaterów, i znowu przy szklankach kochać będą ojczyznę aż do krwi. Taką szlachtę nazywaliśmy *jarmarkowiczami berdyczowskimi*. Szczęściem, że ich coraz mniej, bo rozsądek przekonywa powoli, że dzielność polska nie polega na wykrzykach i na bundiuczeniu się, ale na cichéj a synowskiéj miłości ojczyzny, co za matkę swoją w każdéj chwili z radością odda majątek i życie położy, w którój to miłości dobry Polak kocha każdego współziomka swego jak brata, czy to on szlachcic, czy chłop, czy książę.

ROZDZIAŁ XIV.

KIJÓW I KRZEMIENIEC.

Na początku 1830 roku, jak zwykle pojechaliśmy na kontrakty kijowskie. Pieniądzy było dosyć, nadzieje zysków wielkie, a cena zboża niska, bo kupcy zmówili się — szlachta piszczy — Spostrzegłszy to wszystko, mówię do Leona Lipkowskiego, kupujmy pszenicę. Skoro to słowo wpadło na Izbę kontraktową, pszenica skoczyła od sześciu do ośmiu złotych korzec; a my nakupiliśmy mnóstwo pszenicy, i daleko i blisko, i z dostawą do Odessy i bez dostawy, i za pieniądze i na wiarę. Szlachta cisnęła się do nas, dając nam pszenicę bez pieniędzy, a zawierając nam aż do przyszłych kontraktów; ale baliśmy się brać za nadto na barki nasze, a jeszcze przy pierwszej próbie; a i tak mieliśmy z kupnem naszym nie mało zatrudnienia. Wyręczyliśmy się wzajemnie, pięknie i zgodnie. Z kolei zostawiłem cały kłopot kochanemu Leonowi; a sam na sanki, i ruszyłem do Krzemieńca na zapusty.

Ruszyłem pod noc, droga była kopna, ale to nic; konie pocztowe rwą co siła, a sanki mkną w tumanie śniegu jakby w obłokach: w nocy zerwała się zamieć, wiatr silny a w oczy, ćwiczyszronem po twarzy, wpędza śnieg ostry po za kołnierz, tarasuje drogę wzdymkami, ale to nic; konie lecą a lecą, za niemi sanki tłuką się

po wybojach, zataczają się po stronach, skaczą przez wzdymki; zawierucha nasiadła noc ciemną, i ciemniej jak w nocy, ale to nic; konie znają drogę i lecą; mróz okrutny aż szuby obmarzły, aż drzewa co pilnują szlaku, tulą się do śniegu pod ciężarem śniegu; aż ochota bierze zakopać się w śniegu, bo tam ciepłej, i jak niedzwiedź zasnąć aż do wiosny, ale to nic; szuba broni od zimna, o szubę wiatr się rozbija, nogi w berlaczach tańczą pod ciężką wilczurą, palce w ogromnych rękawicach rozgrzewają się wzajemnie, młoda krew grzeje, zwoszczyk zagrzewa ręce bijąc się po ramionach, koniom gorąco, bo para z nich idzie jak z kotła, i tylko dzwonek zmarzł tęgo, bo ledwo go słyhać. Lecę po tej ciemnicy, a tej ciemnicy godzin z piętnaście, ani jej prześpać, bo niebezpiecznie na taki mróz zasnąć, ani jej przegadać, bo wiatr gada, to szumi, to wyje, a grozi śniegiem każdemu kto usta otworzy, całą zabawą myśl ścięta mrozem, zacinana szronem, przykuta do zimy, a więc nie bardzo roszkowna; całą zabawą oczy, których przymknąć nie można, bo by ci je mróz zamknął gorzej jak na kłódkę, więc oczy moje wyczerpały się w ciemnicę i widzą w niej straszdyła i widma, i gmachy nikiące, i góry co wznoszą się i zapadają, i przepaście co się otwierają i wnet zamykają, i lasy co razem biegną ku mnie i umykają; czasem jasność niby podziemna, błysnie mi z oka na tę straszną ciemność, i znowu do oka powraca, i jeszcze ciemniej, i jeszcze straszniej, ale to nic; ja znowu patrzę, i znowu oczy moje pasują się z ciemnością, a ciemność znowu zmyślając dziwne widziadła, naśmiewa się z mych oczów. Aż z nagłą, niedaleko przed nami, zaświeciło cztery ognie, niby świętojańskie robaczki, wpatruję się, a to wilcze oczy, tylko wilków niedostawało do tej strasznej nocy. Komu strach to strach, a mnie zabawka; równam się z wilkami, jak palnę z dwururki, jedno wilczyisko zaryczało i padło, drugie uciekło; blask strzału jakby pięścią uderzył nas w oczy, ale pokazał gdzie wilka szukać. Wilka darowałem zwoszczykowi, a reszta nocy weselę już zesła, na rojeniu o przygodach myśliwskich.

Druga noc, już daleko od domu, była jasna, niebo nadzwyczajnie iskrzyło się gwiazdami, co niemal że się nieprzeglądały w powierzchni śniegu zeszkłonej od mrozu; konie i sanki mkną po tej powierzchni, jak po lodzie, konie i sanki podwoiły pędu i zda się, że i noc spieszniej ubiegła. Nadedniem na wschodzie niebo zapaliło się czerwoną przesilną łuną; luna ta pociągnęła się po całym obłoku, zaróżowała całe niebo i całą ziemię najponętniejszą barwą, co po kryształkach śniegu łamała się jak po brylantach: za taką zorzę mało jednego słońca. To też trzy słońca stanęły na różowej bieli ognistemi słupami, co się wzniosły aż do pół nieba i długo świeciły, nim ze średniego słupa słońce dzienne wytoczyło się do góry, zabierając z sobą jasność pobocznych słupów. Cudne to było zjawisko, a u nas bardzo rzadkie; przypada tylko w ogromne mrozy i w cichą pogodę. Widziałem je raz tylko w mojem życiu i podjąłbym się jeszcze dwie nocy marznąć, żeby raz jeszcze je widzieć.

Przez dwie nocy uleciałem czterdzieści mil ukraińskich, i drugiego poranku, nie zwalniając pędu, jużem się spuszczał z góry Krzemienieckiej.

Ciekawy byłem bardzo zapust w Krzemieńcu, o którym mówiono zawsze z wykrzyknikami i westchnieniami, jak o miejscu rokosznych zabaw, wyborowego towarzystwa, wykwinnych obyczajów i tak zwanego wielkiego świata. Przejeżdżałem już był parę razy przez Krzemieniec; widziałem tam miasteczko żydowskie w głębokim dole pomiędzy górami, z ciasnemi i za lada deszczem błotnistemi ulicami; widziałem mnóstwo porządniejszych domów, będących własnością, to nauczycieli, to rozmaitych obywateli wołyńskich, co polubiwszy Krzemieniec, tam się pobudowali, żeby mieli gdzie zimę a czasem i lato przemieszkać; widziałem na pięknem wyniesieniu wspaniale stojący kościół pojezuicki, co wtedy był kościołem szkolnym, i klasztor obszerny, co mieścił w sobie liceum z bogatym księgo-

zbiorem i rozmaitemi zakładami naukowemi. Z góry Zamkowej, co się wyniosła wysoko nad miasto, a na swym grzbiecie dźwiga cierpliwie rozwaliny zamku, widziałem Począjów, słynący cudownym obrazem Najświętszej Panny i niezmiernemi bogactwami kościoła i klasztoru Bazylianów, którzy się nigdy nie spodziewali, aby Mikołaj wydarł im te skarby, wypędził ich, a na ich miejsce osadził mnichów *blahocestwywych*; widziałem z téj góry rozległe błonia, opasane ciemną sośniną, a strzeżone pasmem gór, co od Krzemieńca zwolna się piętrząc, poszły łańcuchem swoim uczepić się wspaniałych Karpatów.

Tam u stóp téj góry Czacki założył i uposażył sławną szkołę krzemieniecką. Czy wybrał to ustronie, aby uczniowie nie spuszczały z oka świętego miejsca i granicy Polski; czy wybrał to ustronie, aby przynęcić naukę a odstraszyć zabawę, niewiadomo; dosyć, że jak na miejscu niepokaźnym powstał Berdyczów, co skupił w sobie źródło bogactw i marnotrawstwa, tak téż na miejscu bardzo niepoczesnym powstał Krzemieniec, źródło nauki i zabawy: tak to pospolicie na tym świecie zło obok dobrego, pokusa obok enoty.

Krzemieniec powstał silną a pocziwą wolą jednego człowieka. Czacki zbierał skarby na założenie i utrzymanie po wieczne czasy znakomitój szkoły; Czacki zbierał jeden z najliczniejszych i najszacowniejszych księgozbiorów w Polsce; Czacki zebrał do Krzemieńca nauczycieli zdatnych we wszystkich naukach; usilnym staraniem księcia Adama Czartoryskiego w nieprzyjacielskim nawet rządzie wyjednał dla téj szkoły wielkie przywileje i pod ich tarczą zaszczerpił i rozkrzewił w młodzieży polskiej, ochotę do nauk. Bóg błogosławił tak czystym zamiarom, tak usilnej pracy, i tchnął w tę szkołę ducha narodowego, co cudownym sposobem krzepi się u nas każdym nieszczęściem, każdą klęską narodową i kochaną ojczyznę naszą, chociaż poćwiertowaną i ciągle nowemi męczarniami gnębioną, utrzymuje przy silnym i zdrowym życiu. Czacki za życia jeszcze doczekał owoców swéj pracy; już z pod jego

ręki młodzież światła i bystra wychodziła osiadać ziemie przodków z uczuciem synowskiego do niej przywiązania i miłości.

Krzemieńc rzucał na całą okolicę, jak gdyby promienie połyску i nauki; rodzice osiadali przy dzieciach swoich, naglądać postęp swych synów, wychowywać i ubogacać swe córki w dobrą naukę i w piękne sztuki, bo Czacki zgromadził do Krzemieńca wszystko, czego Polakom i Polkom potrzeba do ukształcenia serca i smaku; Czacki chciał, żeby Polacy i Polki pod pozorem wychowania swój dziatwy, mianowicie córek, nie wywozili za granicę pieniędzy, a w zamian za nie nie przywozili cudzoziemskich narowów. Lecz kiedy panie i panowie, co przedtém włóczyli się po za granicą, szukając zabawy, osiedli w Krzemieńcu, skrzywili nieco myśl Czackiego, bo za wiele z sobą przywieźli ochoty do zabaw. Zło bardzo się łatwo rozkrzewia, a jeszcze zło tak ponętne i na pozór niewinne, jak zabawa; a więc zabawa w Krzemieńcu zaczęła już była silny bój staczać z nauką; już młodzież za wiele myślała o zabawie, za wiele jój używała; już się przejmowała próżnością światową, i znaczna część jój wychodziła na tak zwanych *trefnisiów krzemienieckich*, a do Krzemieńca jechał już nie tylko ten, co się chciał uczyć, ale i ten co się chciał bawić. Wielu o mil kilkadziesiąt ciągnęło na zapusty do Krzemieńca; jak lud pobożny ciągnie na odpust do Poczajowa; i ja téż byłem ciekawy zobaczyć owo cudo, owe zapusty krzemienieckie.

Sąsiad mój, Gotard Sobański, już mnie był tam uprzedził i rozgospodarował się, więc nie dając mi się nawet ogrzać, jak się należy, porwał mnie natychmiast z sobą w wir wielkiego świata krzemienieckiego, w którym dziesięć dni i nocy kręciłem się. Ci, co poprzyjeżdżali na początku zapust, nie dziesięć, ale czterdzieści dni i nocy przetańcowali, prze hulali. Prawda, że towarzystwo krzemienieckie arcy-powabne, że panny przesliczne, gospodynie arcyuprzejme; tańczą tam ślicznie, jedzą doskonale, ochota prawdziwie polska; szkoda tylko, że to wszystko przypuszone cudzoziem-

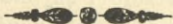
szczyzną, jakby pyłem jakim; szkoda tylko, że téj zabawy za nadto. Pan Jezus czterdzieści dni pościł i płakał za nas, a tam, jak gdyby o tém zapomniano, czterdzieści dni najhuczniejszój zabawy.

Za nadto się weselił Krzemieniec, to téż go Bóg ukarał, nasyłając nań gniew Mikołaja, co go spustoszył bardziej, jakby zbójcy, bardziej, jakby morowa zaraza. Car wymiółł z Krzemieńca wszystkie skarby jego, zniszczył szkołę, zabrał zakłady i księgi, skradł ogromne szkolne dochody; a chcąc ani śladu nie zostawić tego, co było w Krzemieńcu, kościół pojezuicki obrócił na cerkiew, i myśli, że zniszczył dzieło Czackiego. Mylisz się, złośniku! Czackiego dzieło wrosło już w serca dwóch pokoleń Polski!

Z Krzemieńca wróciwszy do domu, wziąłem się do roboty kupieckiej; naprzemian z Leonem wyprawialiśmy pszenicę i jeździliśmy do Odessy. Wozy łamały się pod pszenicą, taka ciężka; bryki łamały się pod piędzmi, tak wiele ich było! A miałem ludzi tak pewnych, że kiedy raz idąca za moim koczem bryka z piędzmi obłamała się, nie czekałem aż ją naprawią, i sam ruszyłem naprzód do domu, zostawując pieniądze o kilkanaście mil od domu na stepie, z którego ludzie, co wieźli pieniądze, mogli byli drapnąć z niemi na koniec świata. Poczciwy bo to ten lud ukraiński! Słudzy moi lubili mnie dosyć, i ja téż ich lubiłem; dwa razy zdarzyło mi się uderzyć człowieka przez niecierpliwosć i dotąd nie mogę tego sobie przebaczyć. A raz kozaka kazałem ukarać, ale tego nie żałuję, bo pan kozak ufny w łaski pańskie, targnął się był na starca w obec ludzi dworskich, więc téż w obec tych ludzi poniósł był karę.

Po kilku miesiącach zajmujących trudów, żartem, żartem, zarobiliśmy przeszło sto tysięcy złotych. Szczęśliwa ta próba zachęciła do kupiectwa całą okolicę, a sąsiad nasz i wielki przyjaciel, pan Jan Modzelewski, człowiek przezacny i z głową, który już od kilku lat

szczęśliwie kupczył z Odessą, z téj próby naszej powziął był myśl założenia domu kupieckiego polskiego w Odessie. Kilka milionów złotych miało stanowić pierwszy zakład tego domu; pieniądze te można było zgarnąć w jednej chwili, ale niewinnie stanąłem temu na przeszkodzie. Chciano bowiem, żebym przyjął na siebie zarząd tym domem. Myśl zakładu pochwalałem bardzo. Uśmiechała się temu domowi nadzieja wyrwania kupiectwa z rąk żydów i cudzoziemców i nadania nowego życia bogactwom ziemi naszej; nie dałem się jednak zachęcić tym pięknym nadziejom; gotów byłem oddać temu domowi pieniądze moje, ale osoby mojej poświęcić nie chciałem, bo w mojej głowie i sercu już dojrzewiała myśl inna.



ROZDZIAŁ XV.

PIERWSZA MYŚL KAPŁAŃSTWA.

Płynął mi rok po roku, jak Boh nasz płynie, strojnie, szumno, wesoło i szybko, jak Boh płynie na wiosnę, kiedy zapomniał o téj zimie, co przeszła, a nie myśli o téj, co przyjdzie. I po cóżbym miał się troszczyć o przyszłość, kiedy miałem spokojność i zdrowie, kiedy zmysły moje żyły pięknnością i dostatkiem wszechrzeczy, kiedy serce moje żyło miłością rodzeństwa i przyjaciół, kiedy duszę moję karmiła myśl święta, co panowała nademną słodko, rokosznie; co jak morze swe krople, tak ona pochłaniała wszystkie uciechy i radości moje, i życie moje wynosiła nad życie; co jak powietrze niewidzialna, lekka i lotna, wciskała się pomiędzy mnie, a wszystko co mnie otaczało, co mnie bawiło, co mnie smuciło, co mnie poprawiać albo psuć mogło; ona mnie obwiewała swoją wonnością i mocą, a duszy mojej była za skrzydła; porywała ją nieraz zachwytem niebieskich rokoszy, i unosiła z sobą aż do stóp tronu Pańskiego. Ta to myśl cudowna i czysta stworzyła i wypieściła we mnie zamiar wielki i święty. O gdyby człowiek nie miał zmysłów, co duszę jakby ołowiem ciągną do ziemi, jak szponami wiążą, dawnoby już ten zamiar ustalił me szczęście; ale nim się dusza

wywinie ze wszystkich mamideł i sideł, nim pokona zmysły, nim zapanuje nad człowiekiem, ubiegają dnie, miesiące, lata, czasem i śmierć zaskoczy, a wtedy biada ci nędzniku, coś się ociągał!

W całym biegu młodości mojej przemieszkiwała we mnie myśl oddania się Bogu, służenia Bogu i ludziom przez stan kapłański. Łaska Boska, co strzegła młodość moją, natchnęła mnie tą myślą, którą rozwijało coraz bardziej, i wewnętrzne a niezbadane uczucie i wspomnienie na znikomość rzeczy ludzkich, na wieczność, i cudza bezbożność, i brak dobrych kapłanów, i ucisk, jakiego religia doznaje w Polsce pod obcą przemocą, i widok szczęścia wewnętrznego, jakiego używa tu na ziemi jeszcze kapłan świątobliwy, i nakoniec ta myśl, że to podobno najpewniejsza droga służenia ojczyźnie, mianowicie w czasach utrapienia i niewoli.

Nie raz modląc się westchnąłem i zawołałem: Boże, jeśli wola Twoja, przyjm mnie za sługę Twego! Może pozwolisz mi odprowadzić do Twojej trzody choć jedną zbłąkaną owcę; może gdy ja się poświęcę służbie Twojej, Ty wejrzysz na rodzeństwo i na przyjaciół moje; może mnie użyjesz do usługi biednej ojczyźnie mojej! Boże, zabierz sobie młodość moją, niech ja do Ciebie należę!

Tę prośbę wymawiała ciągle dusza moja, te myśli ścigały mnie wszędzie i były obecne wszystkim zabawom i uciechom, wszystkim troskom moim, a jednak jak się ubrałem raz w suknię księdza Markiewicza, spojrzawszy w zwierciadło, zapłakałem. Taka to ciężka walka ze światem!

Markiewicz śmiał się i powiedział:

— „I mnie tak było markotno, jakem pierwszy raz włożył sukienkę, i moja matka zaklinała mnie, abym nie był księdzem; a dziś, widzisz, jakem szczęśliwy i moja matka szczęśliwa.“

Ksiądz Markiewicz utwierdzał mnie w zamiarach moich, przywodził mi przykład Kazimierza, Stanisława Kostki, Franciszka Salezego i wielu innych świętych,

co dla chwały Bożej rzucili większe jak moje, bogactwa i uciechy świata. Matka domyślała się chęci mojej, nie raz zapłakała. Markiewicz odwoził ją od płaczu, mówiąc święte słowa; ona mówiła, że można w każdym stanie dosługiwać się nieba dla siebie i dla drugich; a ja nie miałem innego sposobu utulenia jej, jak mówiąc, że tak będzie, jak Pan Bóg zechce, i że sam nie wiem, co uczynię. I w rzeczy samej nie wiedziałem, biedząc się z myślami mojami jak z sierotami.

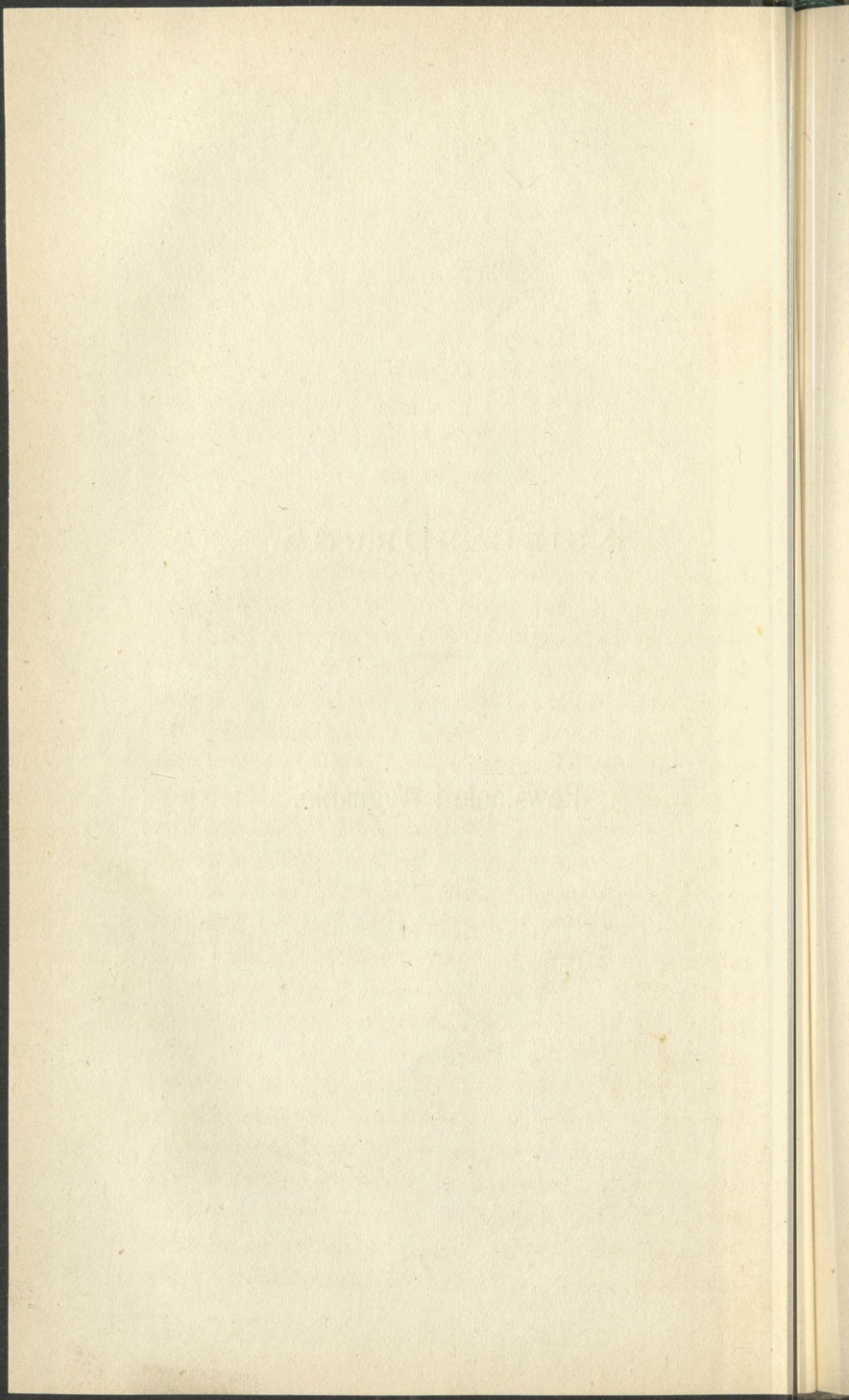
Nie raz zanęcił mnie powab małżeństwa, nie raz szukałem chciwie, czy jest w tém dla mnie wola Boża, nie raz zachciałem, żeby była; szukałem, nie jedna twarzyczka wpadła mi w oko na chwilę, nie jedno serce wydało mi się jak łza, i czyste, i czułe; ale Pan Bóg spojrzaniem żadnej dziewicy nie napisał w sercu mojem: *To twoja*. I znowu wracała myśl pierwsza; i tak walczyłem sam z sobą, dopóki i mnie i myśli moich nie porwała burza wielka; walczyłem sam z sobą, dopóki Pan Bóg nie powołał nas wszystkich do walki za ojczyznę.

KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ.

KSIEGA DRUGA.



Powstanie i Wygnanie.



ROZDZIAŁ I.

OCZEKIWANIE.

W końcu Listopada 1830 r. zjawiła się u nas cholera, a że myślano, że jest zaraźliwa, zaczęto pie miętę i ocepiac wsie gdzie się ta słabość objawiła: trwoga morowa zaszumiła w powietrzu i choć nie długo, ale był strach wielki. W Zawadówce u Leona Lipkowskiego była cholera; szanowna jego matka w strachu, i pan Leon w strachu; wujaszek ukraiński, Józef Borzęcki, już chce się wynosić ze wsi do swojej pasieki, choć pszczoły dawno śpią w stebniku i nie prędko wstaną. Przyjeżdżam do Zawadówki z puzderkiem Le Roy, leczyć na cholere; a w parę godzin pędzi goniec, i na przewozie opowiada koniuszemu o tem, co się stało w nocy 29 Listopada w Warszawie. Koniuszy zadyszany przylatuje do dworu, wywołuje swego pana: za parę minut wpada pan zaperzony: *Powstanie w Warszawie!* Na te słowa taki nas ogień przeniknął, jak gdybyśmy tam byli. Porwaliśmy się od stołu jakby na koń siadać; a jak kiedy kto matkę od lat wielu niewidzianą, niewie jakim słowem powitać, a rzuca się w jej objęcie, i płacze; tak i my zaczęliśmy się serdecznie ścisnąć; łza radości błyszczała w oku, a piersi zawrzały ogniem wojny.

Uciekł strach cholery z całej okolicy, bo na Ukrainie zapanowały radość i wesele: i kochanek nie wygląda

z takim upragnieniem dnia ślubu, z jakim wyglądałiśmy dnia wojny; czekaliśmy go co chwila, co chwila spodziewaliśmy się ujrzeć chorągiewki polskie, małośmy oczów za niemi nie wypatrzyli; i gdyby się był jeden ułan pokazał wtedy na naszej ziemi, urosłby w wojsko, jak w Tatrach mała śnieżka pchnięta wiatrem, rośnie w niszczący zasyp.

Wiadomość o powstaniu, rozprysnęła się po całej okolicy. W parę dni potem u nas w Hubniku już był zjazd liczny: w naszym domu pusto nie bywało, a mój brat. był naówczas marszałkiem naszego Hajsyńskiego powiatu; więc u nas umawiać się, było najbezpieczniej i najrzęcznie. Rada w radę, co tu robić? Jedni mówią: powstajmy zaraz, ogłośmy wolność, dajmy własność chłopom naszym; powstajmy! — Powstajmy! powtórzyła młodzież. Ale byli tam i starsi; dopieroż uwagi, że nic nie wiemy jeszcze; może już po wszystkim, i zmarnujemy siłę i zagrzejemy cały kraj w głębszą niewolę: a jeżeli powstanie utrzymuje się, toć tam przeciw musi być rząd polski, a, ten co nam każe, to uczynimy. Więc ostudzili gorące słowo *powstajmy*, i zostało zimne słowo *czekajmy*, a gotujmy się do powstania za pierwszym znakiem. Niech każdy na łeb na szyję stara się o konie i siodła, o proch, ołów, i o broń wszelką, niech ma drzewo i żelazo na spisy, niech kto może nie sprzedaje ni zboża ni wódki, niech każdy rozpuści dawnych kozaków stajennych a nowych do konia sposobi, niech każdy ma jak najwięcej pieniędzy, niech przygotuje drewniane łyżki, bo srebrne aż do ostatniej pójdą na skarb polski; niech każdy będzie z popem i z chłopem jak z bratem, z Moskałami i z rządem niby jak z przyjacielem. *Damy wolność i własność włościanom*; te słowa zamknęły pierwszą zmwę naszą.

Za pięć dni mieliśmy się zjechać w Ładyżynie u Ludwika Sobańskiego, niby na imieniny jego matki; a ja, niby za kupieckimi robotami, miałem przez ten czas zjechać jak najdalej ku Warszawie, i wrócić z tem czego się dowiem.

Ruszam kołami i saniami, łąmię się po drodze, przebijam się siłą przez każde wrota strzeżone niby od cholery, nakoniec dobrnąłem do Berdyczowa i do Żytomierza. W drodze doganiam Józefa Zapolskiego, który jechał od swoich w tym samym celu, a oba w Żytomierzu zastaliśmy Wincentego Tyszkiewicza, który chciał się dostawać do szeregów wojska polskiego. Wstrzymała go ta uwaga, że każdy obywatel jest u siebie liczbą, a tam byłby jednostką. W Żytomierzu dowiedziałem się o ustąpieniu W. Księcia z Królestwa, o dyktaturze Chłopickiego, i o różnych drobniejszych wypadkach, a spiesząc z powrotem do swoich, ledwie na czas naznaczony zdążyłem. Ludwika Sobańskiego nie zastałem, bo już go wywieziono do Permu, tak jak i wszystkich co byli więźniami stanu w 1826 r.; zastałem jednak zjazd obywateli w Ładyżynie, u jego brata Gotarda.

Opowiedziałem wszystko tak dokładnie jak tylko umiałem; słuchano mnie chciwie, bo sama rzecz była wymowna. Po mojej powieści nastąpiły wnioski i rada. Na coż wypuścili Wielkiego Księcia mając go w rękę? Co mi to za szlachetność, wypuszczać zbójcę który znów jutro na ciebie napadnie, a jeszcze pozwolić mu zabrać wszystkich ludzi i broń wszelką? ależ to szaleństwo niepojęte, chyba że w tém jest jakiś wybieg wojenny, może go odetną od granicy? No, już kiedy Chłopicki dyktatorem, to on ich tam upora. Niech żyje dyktator! będzie wojna, będzie Polska! Za parę tygodni zobaczymy chorągiewki! I każdy wrócił do siebie gotować się na wojnę, a ci co końmi a nie wołami orali i bronowali, chwalili się wykrzykując: a kto lepszy gospodarz?

Wkrótce dzienniki petersburskie, roztrąbiły pokorne poselstwo Lubeckiego do Petersburga: a nas jak gdyby kto zimną wodą oblał. Ale to być nie może, każdy zawołał, a każdy truchlał. W parę dni później, zabiegła w nasze strony odezwa Chłopickiego do Narodu Polskiego, ale że w tej odezwie było więcej pokoju jak wojny, powiedzieliśmy sobie, źle z nami! ale że

człowiek, rad nieszczęściu nie wierzy, więc i my wna-
wialiśmy w siebie, że Moskale sfalszowali tę odezwę.

Znowu się do nas zjechało, a dalszych wiadomości
jak nie ma, tak nie ma, a tylko ufność w Chłopińskiego
krzepiła nadzieje nasze. Tylko co chciałem wybrać się
aż do granicy polskiej, żeby się koniecznie dowiedzieć
co mamy robić, aż tu dzwonek i goniec od gubernatora
Grocholskiego z zaproszeniem, ażebym jak najspiesz-
niej przyjeżdżał do Kamieńca, pomagać mu w czuwaniu
nad cholera. Różni różnie tłumaczyli te urzędowe
zaprosiny; trzeba było albo zmykać do Warszawy,
albo jechać do Kamieńca; jak zemknę, to narażę na
odpowiedzialność ojca i braci, a na podejrzenie całą
okolice; a może nie ma czego zmykać, myślę sobie;
przecież z gubernatorem jest jakieś powinowactwo,
i zacny człowiek, to alby podstępnie nie używał, albo
da zemknąć z Kamieńca; więc wybrawszy się jak do War-
szawy, ruszam do Kamieńca. Czy kazano gubernatorowi
aby mnie miał pod okiem, czy chciał mnie od podej-
rzenia ochronić, czy też nie było w tem nic ważnego,
tego dotąd nie wiem; to wiem tylko, że zaraz guber-
nator zdał na mnie wydział choleryczny w Kamieńcu,
że mnie wodził z sobą po jenerałach moskiewskich, że
u niego był codziennie na obiedzie, że miał w Kamieńcu
zręczność czytania doniesień Dybicza i dzienników war-
szawskich, wypisywania z nich i przesyłania ważniejszych
ustępów w nasze okolice; nakoniec, że gdzieś zajechał
gubernatorskimi sankami, wszędzie wchodził i co
chciał czynił, a tym sposobem miałem łatwość usłużenia
nie jednemu z ziomków naszych, mianowicie w trzech
następujących zdarzeniach.

Pierwszych dni Stycznia, Heronim Chodykiewicz,
obywatel mieszkający w powiecie bałckim, we wsi
Olszance nad Bohem, został oskarżony o to, że się
gotuje do powstania. Sprawnik z horodniczym, najeżdża
go w nocy z dwudziestą żołnierzami, otacza dom,
wiąże ludzi, wpada do sypialnego pokoju. Na ten hałas

żona i matka Chodykiewicza, potrwożone od przytomności odchodzą, a on porwawszy się ze snu, chwytą za broń, strzela i zabija horodniczego; w téjże chwili wpadają żołnierze, obalają Chodykiewicza, wiążą, biją, policzkują, męczą i znieważają najokrutniej, wloką prawie nieżywego na podwórze i wywożą do Bałty. Żona z rozczochranym włosem i z krzykiem bolejącej niewiasty, pędzi za saniami, dopóki jój sił starczyło; matka jakby po stracie syna, od zmysłów odchodzi. Po odbytém śledztwie w Bałcie, Chodykiewicza okutego w kajdany prowadzą do Kamieńca na sąd wojenny, jak na ścięcie. Nim przybył, czyniliśmy wszystko, co kto mógł, aby go ratować; skoro go przywleczono, wpadłem do więzienia pocieszyć go dobrą chęcią sędziów i nauczyć, jak się ma tłumaczyć; a tak był zbiedzony, żem go pomiędzy więźniami poznał tylko po szlachetnej i spokojnej twarzy. Starania wszystkich co do téj sprawy wpływali, tak ją nakręcili, że sąd wojenny uniewinnił Chodykiewicza i skazał go tylko na kilka miesięcy pokuty w klasztorze za nieostrożność. Dziwną jest, że chociaż tam żadnej sprawy, a tém bardziej uczynkowej, bez przekupstwa wygrać nie można, sprawa Chodykiewicza nie kosztowała ani grosza. Chodykiewicz z pokuty swojej wkrótce drapnął do wojska polskiego, a Mikołaj obrażony ludzkością prezesa sądu, generała Tymana, i utratą jednej ofiary, skazał go na prostego żołnierza; lecz że ten wyrok przyszedł w kilka dni po jego śmierci, kazano go przeczytać na grobie tego cnotliwego człowieka.*)

W tymże prawie czasie, oficer moskiewski jadący na jakieś śledztwo przez Bundorówkę, wieś Aleksandra Sobańskiego, w nocy, napierając się koni, zaczął mu harmiderować pod oknem, obudził go i jeszcze dalszemi

*) Nie długo się powodziło nieszczęśliwemu Chodykiewiczowi. Po skończonej wojnie ukrywał się czas niejaki w Galicyi. Rząd austriacki dośledził go i wydał Moskalom. Mikołaj skazał go do kopalni syberyjskich na wieczne czasy. Chodykiewicz umknął raz jeszcze, ale go pojmano i zaknutowano. Wielki to męczennik ojczytstój sprawy.

pogrózkami straszyl. Sobański kazał go tylko związać i w téj skromnej postawie zachować do przybycia sprawnika; tymczasem oficerowi nic, a Sobańskiego oddano pod sąd wojenny, bo wszystkie ziemie nasze przez cały czas powstania były pod prawem wojenném. Szczęściem, że pierwsze śledztwo, które Sobańskiego jak najbardziej obwinało, można było uznać za nieważne, a to z tego powodu, że nie zasiadał w niem ani marszałek ani chorąży powiatowy; więc nakazano drugie śledztwo, a ja uprosiłem gubernatora, żeby poruczyć je memu bratu Edwardowi, który pomimo wielkiego dla siebie ztąd niebezpieczeństwa odwlokł to śledztwo aż do powstania. Inaczéj byłoby źle z Sobańskim, bo jego postępek na pozór drobny, tak rozjuszył Moskali, że w Kamieńcu nie tylko jenerałowie, ale nawet czułe ich małżonki z radością przepowiadały mu karę śmierci.

Około tegoż czasu w Kamieńcu ktoś przylepił na drzwiach kościoła kartkę zachęcającą do powstania. Nie można było żadnym sposobem dojść sprawcy, a Moskalowi, który śledztwo robił, szło o nagrodę, więc namawia jakiegoś malca, żeby oskarżył o to jednego z dawnych żołnierzy polskich, mieszkającego w Kamieńcu. Sąd wojenny skazał p. Piotrowskiego na śmierć; szło już tylko o potwierdzenie wyroku przez Dybicza. Wtedy poszedłem do więzienia, w którym byli oskarżony i oskarżyciel; jakem zaczął malcowi grozić sądem Bożym, a staremu dowodzić, że on się przyznał albo ze strachu, albo w nadziei prędkiego uwolnienia; tak stary zaparł się na nowo wszystkiego, do czego się był przyznawał, a malec całą swą skargę odwołał; ta wiadomość posłana Dybiczewi, zapewne ochroniła życie Piotrowskiemu, bo nie słyszałem, aby wyrok sądu wojennego był wykonany.

Wspomniałem tu o powyższych wydarzeniach dla tego mianowicie, że sprowadziły nadzwyczajną czujność rządu na naszą gubernią, która nie mając sposobności

powstania w roku 1812, tak dalece została posądzoną o przywiązanie do tronu moskiewskiego, że car Aleksander wydał jej był świadectwo wierności, a car Mikołaj po ostatniej wojnie tureckiej, wypłacając się za woły, wozy, suchary i wódkę, które dać sobie rozkazać raczył, potwierdził owo zaświadczenie, które się nazywa *hramota*, i przy uroczystościach urzędowych jak świętość jaka obnoszone bywało. Ta *hramota* cudownym sposobem uwolniła Podole od poniżającego podania do Mikołaja, do którego to podania wszystkie nne gubernie po wybuchnieniu powstania w Warszawie były przymuszone.

Czas szybko upływa, rządy polskie ani razu się do nas nie odzywały, a doniesienia Dybicza pisane z miejsc blizkich Warszawy przerażały nas niewymowną trwogą. Kiedy niekiedy prześliznął się przez granicę dziennik polski; i tam nie wiele było pociechy, jednakże co było lepszego wypisywałem i do swoich przesyłałem.

Pewnego razu po kilkonocnej pracy tego rodzaju, wymykam się z Kamieńca do pewnych obywateli, sławnych z gościnności i z dobrej kuchni; a był tam wówczas pewny obywatel z niedalekich okolic naszych i miał już wracać do domu. Zajechałem już pod noc, dzwonek pocztowy potrwożył ludzi; wbrew obywatelskiemu zwyczajowi nikt nie wychodzi na ganek; więc wyłażę z sani, otwieram drzwi, a tu sługa dmuchnął mi w oczy kłębamii gęstej pary, co zasyczała jak lont, myślałem, że bombę puścił, albo że mnie chcą prochem wysadzić; aż dopiero po zapachu poznałem, że to nie proch, lecz kadzidło na zabicie cholery. W obłoku wonności wchodzę do ciepłych pokojów, a gospodarze na powitanie odpowiadali uprzejmém łajaniem za dzwonek.

— „Dzwonek nie dla waszego strachu, lecz dla mojej ochrony,“ powiedziałem, „a z tym dzwonkiem dobre wieści wam przywożę.“ Chcę czytać.

— „Nie można teraz,“ szepnęli, „jak ludzie pozasypiają!“

Myślę sobie: Ostrożni.

Pozasypiali ludzie, a panowie obejrzeni wszystkie drzwi, i zasiedli do słuchania w pokoju środkowym, między próżnemi a pozamykanemi pokojami, i jeszcze oglądają sufit, podłogę, okna i mury, a powtarzają co chwila, że i mury mają uszy. Nakoniec czytam. Radują się jak najciszej, zacierają ręce z radości, bo choć przy kominie mogliby powiedzieć, że z zimna, i nie więcej. Jakem skończył, dopiero najśmielszy ze czterech słuchaczy podniósłszy głos pełen odwagi i męztwa, odezwał się do mnie w te słowa:

— „Znamy twój zapak, twoją gotowość na wszelkie usługi dla ojczyzny, twoją młodzieńczą gorliwość; przeto z zupełnym zaufaniem w twe cnoty i cnoty ojca twego i całej pocziwój krwi twojej, żądamy od ciebie dowodu tego poświęcenia się, z jakim zamysłasz służyć kochanej ojczyźnie naszój!“

Słucham, aż mi mrówki po ciele przechodzą, wyteżam myśl moją, i obiegam nią wszystko, co dla ojczyzny poświęcić można, kiedy mówca w uniesieniu kończąc swój głos, wykrzyknął:

— „A więc zaklinamy cię na imię téj wspólnej matki naszój: *spal te papiery!*!“

I serdecznym uściskiem zapieczętowałem. Od téj mowy odskoczyłem dalej, jak od owój pary, którą mnie sługa powitał. Nadaremnie mówiłem, że nie po to pisałem, aby palić, że nie po to przywiózł im te papiery, aby oni je we wsze strony rozwieźli. Nic nie pomogło, a tak rozumnie dowodzili, że rozsądek lepszy od zapalu, tak wymownie prosili, że musiałem spalić je w ich oczach, bo mnie inaczej z domu wypuścić nie chcieli. A kochali ojczyznę, i żeby ją zbawić, pewnieby poświęcili dla niej parę najtuczniejszych kapłonów, kopę najdorodniejszych szparagów i jednego ananasa. Takie to bywa czasem wykwiłtne uczucie!

Powróciwszy od tych panów do Kamieńca, zastałem wielką odmianę. Grocholskiemu odebrano urządowanie

w Kamieńcu, przeznaczając go na gubernatora do jednej z północnych gubernij. Grocholski nie przyjął nowego obowiązku, wymawiając się słabością zdrowia, a nim dawny złożył, dał mi pozwolenie wrócenia do domu. Ech! jak drapnę! anim się obejrzał.

Działo się to w pierwszej połowie marca.

Po oddaleniu Grocholskiego czujność rządu moskiewskiego coraz się wzmagala, ale nigdzie nie odkryła przygotowań do powstania. Było to właśnie wtedy, kiedy pierwsze zwycięstwa polskie zatrwożyły Moskwę, a u nas podniosły ducha nad wszelkie wyrażenie; każde zwycięstwo oblatywało całą Polskę i rosło w miarę, jak dalej leciało; a jednak od rządu narodowego do nas ani słyhu. Obywatele i niespokojni i niecierpliwi, zbierali się coraz liczniej, coraz częściej; rozważali, radzili, i w tém oplakaném zaniedbaniu nas przez władze polskie, zaczęli myśleć już o samoistném działaniu, zaczęli tworzyć władze porządkujące przyszłe powstania.

W okolicach Kamieńca utworzyła się siedmiogłowa *junta*; z innych miejsc Podola na naczelnika wzywano jednogłownie Jana Sulatyckiego. Na wniosek mego ojca, zgodzono się na to zaproszenie i na zjeździe odbytym w Hubniku około 20 marca. Znajdujący się na tym zjeździe Izydor Sobański upewniał, że Sulatycki urzędowania nie przyjmie, aleśmy nie mogli wierzyć, aby człowiek używający powszechnej wziętości, chciał deptać swój własny wieniec i postradać w jednej chwili skarb dobrej sławy, uzbieraną długą zacnością i poczciwością. Więc pomimo zaręczenia Sobańskiego, wybór Sulatyckiego utrzymał się jednomyślnie i téjże nocy wyruszyłem uwiadomić Sulatyckiego o tém, co zaszło, ofiarować mu godność najwyższą w imieniu południowych powiatów Podola, zapytać o rozkazy i ustanowić z nim łatwe i częste stosunki. W rzeczy samej Sulatycki kilka razy przed tém odmawiał przyjęcia téj godności, lecz odemnie przyjął ją z zapałem. Ta szczęśliwa zmiana

ucieszyła mnie niewymownie, bo za nią miały pójść jedność i sprężystość w rozpoczęciu powstania.

Gdy się to u nas działo, obywatele wyższego Podola zgromadzili się licznie w powiecie winnickim, we wsi Michalówce u Piotra Wyrzykowskiego. i tam, nie wiedząc o naszym zjeździe, przystąpili do wyboru naczelnika powstania na Podolu; Sulatycki był w ustach wszystkich, ale z tym dodatkiem, że tego ciężaru przyjąć nie chce. Zrażeni jego uporem, powołali na tę godność Wincentego Tyszkiewicza, który na parę tygodni pierwej będąc zaszczycony tą samą godnością w gubernii kijowskiej, przybył na zjazd do Michalówki dla porozumienia się z obywatelami Podola, a pierwsze działanie swoje rozpoczął był z pocieszającą żwawością. Tyszkiewicz długo się wzbraniał, nakoniec ustępując naleganiom, przyjął urządowanie z warunkiem odstąpienia go pierwszemu, któregooby na ten urząd w inném miejscu Podola powołano.

Dowiedziałem się o tém wszystkiém wracając z mego poselstwa. Spieszę natychmiast do Tyszkiewicza, z którym byłem zawsze w przyjaznych stosunkach. Skorom oświadczył po co przybywam, Tyszkiewicz przyrzekł mi uroczyście, że użyje swojej powagi naczelnika na to, aby nakazać posłuszeństwo Sulatyckiemu, i sam jako obywatel Podola, wykona przysięgę na posłuszeństwo nowemu naczelnikowi Podola. Oświadczenie to, godne zacności swojej, Tyszkiewicz powtórzył w obec kilku obywateli Podola, którzy tam przybyli po jego rozkazy. Tak się sprawiwszy, pospieszyłem do swoich, uwiadomić ich o podwójnym skutku mojej podróży.

W kilka dni potem, wypadła nam potrzeba zniesienia się z województwem kijowskiém; wysłany do Tyszkiewicza, zastaję tam Izydora Sobańskiego, wracającego od Sulatyckiego. Sobański zaręcza słowem swoim, że Sulatycki cofa dane mi przyrzeczenie, kładąc za powód, że ściślejsze obsadzenie szpiegami związało mu ręce, i że życzy sobie, aby stosownie do wyboru zapadłego

w Michalówce, oba województwa miały naczelnika w osobie Tyszkiewicza. Po tém doniesieniu Izydor Sobański składa Tyszkiewiczowi ognistą przysięgę posłuszeństwa i przyjmuje od niego obowiązek naczelnika powstania w powiecie olhopolskim.

Zawierzyłem prawdziwemu słowu Sobańskiego i do swoich zawiozłem wiadomość, że odtąd jednym naczelnikiem na oba województwa jest Tyszkiewicz. Wiadomość ta była przyjętą obojętnie, bo nam nie szło o osobę, ale o rzecz. Postanowiliśmy słuchać rozkazów Tyszkiewicza, każdy u siebie gotował się jak mógł do powstania, zostawując Tyszkiewiczowi cały kłopot wyznaczenia stanowczej chwili.

Ujeżdżaliśmy konie, wprawialiśmy nowych kozaków; przejeżdżał jaki Moskał, to mu się powiedziało, że to są konie na sprzedaż dla was; przyjechał kto z naszych, wyprowadzaj konie szóstkami, i tak sto koni. Konie w wybrykach połyskują szerścią, żarzą bystrém okiem, a swoją ochotą i nam dodają ochoty. Kto zobaczył nasze konie, powiedział:

— „Takich nie dam, bo nie mam, ale i na moich Moskala dogoni.“

Już najlepsze bieguny nasze wyprobowane, już każdy z nas wybrał konie pod siebie, już wszystko gotowe, tylko siadać i bić.

Przyjeżdża stary porucznik, cieszy się naszymi końmi, jak swojemi; przypomina sobie dawne czasy, dawne wojaczki, aż podryguje; a tu jeden z nas bierze go na stronę i pyta z udaną powagą:

— „Jak pan porucznik radzi, czy ja mam pójść do powstania?“

Ach jak fuknie mój porucznik!

— „Fe, wstydz się, ja stary a wyjadę z bryczki strzelać tych szelmów. Pfe, wstydz się!“

I odchodzi zapyrzony; jeszcze coś domrukuje, a my w śmiech. Zmiarkował się pan porucznik, i śmiał się także; rozweselił się i uczył, jak to być dobrym jeźdźcem, jak sobie konia wybrać, jak go dobrze zachowywać przez czas wojny, jaki to skarb dla żołnierza koń

dobry; i nuż rozpowiadać, jakie to on miewał konie, jak je wprawiał do biegu i do boju. A ja pytam żartem:

— „A nie ma tam jeszcze porucznik takiego konika podemnie?”

— „Znowu kpicie! Mam ci ja konika, co mój chłopak zające na nim obraca, i strzelać z niego można, zamłynkujesz nim na złotówce, wypuścisz i osadzisz nad piekłem; ale nie zechoesz się na niego, bo brzydki; mały, biało-brudny, krótki; już to nóżka sucha i łebek niczego; zwyczajnie jak po tureckim ogierze, a po cygańskiej kobyle, bo się urodził z bronowłoki; pastuch dostrzegł, że lotne źrebię, siadał na dwólatkę i latał do Humania za godzinę tam i nazad, a pijaniuteńki zawsze powracał. Konik go raz zrzucił i z uzdeczką wskoczył przez częstokół na oborę. Co? gdzie? wołaj pastucha! — i wziąłem konika do chartów. Kiedy chcesz, to ci go przyszlę; spróbuj, a jak ci się podoba, to dasz mi parę baranów hiszpańskich, a tobie i konikowi niech Bóg szczęści.”

I tak się stało, jak stary mówił; konika przysłał, próbuję: cudo nie konik! Posłałem barany, konika wziąłem pod siebie; i konikowi i mnie Bóg szczęścił. Konika tego nazwano w powstaniu *Ścierka*, że był niepoczestny i brudny; a ja mówiłem: „Dla tego on *Ścierka*, że wszystkie wasze konie *zacierą* swą cnotą. I *Ścierka* był ze mną w każdej bitwie; jak tylko bitwa, ja na *Ścierkę*, jak tylko po bitwie, siadam na innego, a *Ścierka* obok mnie zawsze kroczył; bo koń dobry, to najlepszy w boju towarzysz, najwierniejszy przyjaciel.

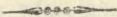
Na owych zjazdach, gdzie szło o wybór naczelnika, zaszyły też rozmaite postanowienia, tak co do przygotowań, jak i co do układu powstania. Każdy powiat miał dwóch naczelników wspólnie działających; pierwszym naczelnikiem bywał marszałek, jeśli był godnym zaufania; w razie przeciwnym powoływano na tę do-

stojność innego z obywateli znanych i powiat swój znających.

W Michałowce obrano i mnie zaocznie naczelnikiem na powiat hajsyiński, ale ta godność została wyłącznie przy moim bracie, a ja co mogłem czynilem, aby powiat nasz tego wystąpił, i szło wszystko jak z płatka, bo powiat sam tęgi. Ustanowiono też pocztę obywatelską we wszystkich kierunkach. Uchwalono tymczasowy podatek po 10 złp. z duszy, podatek ciężący na obywatelu, nie zaś na włościanach, wynoszący mniej więcej piątą część dochodu rocznego. Uchwalono razem z powstaniem ogłosić wolność włościan i nadać im tę część ziemi, którą dla siebie dotąd uprawiali. Nakazano, aby naczelnicy powiatowi złożyli w najkrótszym czasie głównemu naczelnikowi wiadomość o siłach, jakie ich powiat za pierwszym zawołaniem wystawi na naznaczony dzień i godzinę. Wkrótce zleciały się te wiadomości, obiecujące w przecięciu najmniej po 500 koni z powiatu. Wkrótce pocztami obywatelskimi latały rozkazy, doniesienia i wiadomości. Wkrótce spełniając rozkazy tych, którycheśmy sami do rozkazywania wyznaczyli, zasmakowaliśmy w tajemnej jeszcze niepodległości naszej, i drżeliśmy z niecierpliwości, aby ją prędszej ogłosić, z bojaźni, aby w długim ukryciu nie zwiędła.

Układ powstania był prosty i nieomylny. Każdy powiat miał wyrachowaną liczbę uzbrojonej konnicy, która powstanie rozpocząć miała, co wynosiło mniej więcej pięćset koni. Każdy naczelnik powiatu, w nocy przed dniem oznaczonym na ogólne i jednoczesne powstanie, miał zgromadzić siły swego powiatu najbliżej miasta powiatowego, zająć je lub zdobyć równo ze dniem, opanować składy rządowe, ustanowić rząd tymczasowy, ogłosić powstanie narodowe pod hasłem wolności i własności włościan, rozesłać rozkazy do pospolitego ruszenia i wszelkimi siłami i sposobami niszczyć nieprzyjaciela. Tym sposobem w dziesięciu dniach nie byłoby nogi moskiewskiej w naszych ziemiach, a nimby nowe siły moskiewskie nadciągnęły,

już cały kraj byłby w naszym ręku, a na ich spotkanie mogłoby już wyjść z niego najmniej dwadzieścia tysięcy jazdy i dwa razy tyle piechoty. Nic nie było na przeszkodzie do wykonania tego układu. W obudwu województwach, nie było naówczas ani czterech tysięcy wojska moskiewskiego; tak dalece, że się zdawało, że go wcale nie ma. Rot idący na pomoc Rydygierowi przeciw Dwernickiemu, był nad granicą Podola z Wołyniem; po miastach powiatowych jedyną załogą było parę set staryganów, co znaczyło dla nas parę set rusznic ze sztychami. Zdawało nam się wtedy, i dziś mnie się zdaje, że aby zwyciężyć na wieczne czasy, trzeba było tylko powstać, jakśmy to ułożyli. Każdy czuł, że chwila powstania będzie chwilą zupełnego zwycięstwa i nieprzebranej potęgi i mocy naszej. Za rozkazem powstania drżeliśmy naówczas, jak charty na smyczy, skomlać z niecierpliwości, a wytężając oczy i uszy. Ochota była, pieniądze były, siła była, broń była, męztwo było — szczęścia nie było!



ROZDZIAŁ II.

GOTOWOŚĆ DO POWSTANIA.

Tak było na Podolu od końca marca do połowy kwietnia; działo było nabite, trzeba go było tylko zapalić. Tyszkiewicz z władzą rozkazania stał jak z zapalonym lontem i czekał znaku od rządu narodowego, albo od Dwernickiego, który już od Zamościa dążył na Wołyń, a każdy myślał, że i na Podole podąży, każdy gotował się, żeby przyjąć Dwernickiego na czele rodzinnych hufców, a czyż mogliby wspaniałej powitać Podolanie Podolaka?

Kiedy ziemie ruskie były w takim wyteżeniu, głuche tylko wieści przychodziły psuć nam porządek, rozstrajając siłę. Chłopski powiedział, że nie ma dla nas ani skałki, rząd następny nic stanowczego nie obmyślił względem ziem naszych; nikt do nas nie przybywał, ani od rządu narodowego, ani od Dwernickiego; nikt też nie wracał z wysłańców naszych. To wszystko wątpliwość młodzięczy nasz zapał; zapał ten miotany to zbytnią nadzieją, to zbytnią trwogą, musiał się też kiedy niekiedy w oziębłość, kiedy niekiedy w gorączkę przerzucać.

W takim usposobieniu na granicy Wołynia i Galicyi zjawiała się — *zagadka*, to jest Chróściechowski, nie-szczęśliwy wysłaniec, do którego nie przyznaje się rząd

narodowy, który jeśli nie winien jego wysłaniu, winien że innego nie wysłał. Z Chróściechowskim było stokroć gorzej, jak bez Chróściechowskiego. Z najlepszymi zapewne chęciami, ale też z najwybitniejszą niezdolnością, wiczył na Wołyniu i w północnej części Podola, nie spełnił polecenia Dwernickiego, obywateli wołyńskich nie uwiadomił na czas o jego zbliżaniu się, a przez to wyprawie jego zadał cios nie mały; wpadłszy na Podole, Chróściechowski wydał i cofnął rozkaz powstania, a przez to w północnej części Podola zadławił powstanie.

W południowej części Podola inna okoliczność zmniejszyła siły nasze.

Na wiadomość o wejściu Dwernickiego na Wołyń, Tyszkiewicz rozesał po powiatach rozkaz ostatecznej gotowości do powstania, a w tym rozkazie namienił, że rozkaz powstania może nastąpić we 24 godzin. Około tego czasu mój brat Edward odebrał ukaz carski z surowym napomnieniem, dla czego śledztwo Aleksandra Sobańskiego dotąd nie gotowe, i z rozkazem najsurowszym, aby to śledztwo kończyć natychmiast, odkładając na bok wszelkie inne urzędowe czynności. Mój brat już sam zwlekać nie mógł, chcąc jednak, żeby śledztwo nie było spełnione aż do powstania, rozpiisał potajemnie do obywateli, aby powysyłali świadków w dalekie strony, a urzędownie nazaczył dzień śledztwa na 22 kwietnia i na ten dzień powołał też kapitana moskiewskiego, który w tém śledztwie zasiadał. Sobańskiego Aleksandra wysłał też do Bundurówki pod pozorem śledztwa, a bardziej dla tego, aby mu dał czas przygotować się do powstania, którego już co chwila spodziewaliśmy się.

20 kwietnia Aleksander Sobański już był u siebie, o milę od swego brata Izydora mieszkającego w Piątkówce. W téj właśnie chwili ów przedostatni rozkaz Tyszkiewiczza doszedł do Piątkówki. 24 kwietnia mój brat zjeżdża do Bundurówki dla prowadzenia śledztwa; Aleksander Sobański powiada mu, że jutro powstaje; prowadzi go do kuźni, a tam spisy kują, prowadzi do

stajni, a tam kozacy z bundiuczną postawą pokręcają wąsy, bawią się ze spisami, przypasowują siodła.

Widok ten podtechał w moim bracie niecierpliwą ochotę powstania, ale wzgląd na potrzebę jednoczesności w powstaniu, przemógł chęć dogodzenia sobie samemu; jał przeto tłumaczyć Sobańskiemu, że sam wyrwijąc się, może zgubić całe powstanie, że przecież mamy naczelnika, którego słuchać należy, że lada dzień nastąpi już rozkaz powstania, i zaklina go na wszystko, aby się wstrzymał. Sobański ani chce słuchać.

Mój brat bieży w sąsiedztwo do jego krewnych, sądząc że więcej na nim wpływu mieć będą; ale ci panowie nie chcą się mięszać do niczego; więc mój brat wróciwszy, jedzie w nocy z Aleksandrem Sobańskim do Izydora do Piątkówki, a u wrót już warta, a na dziedzińcu oddział chłopów uzbrojonych w spisy. Budzą Izydora; na ten hałas wpada Rzewuski z cybuchem i z *kindżalem*; wkrótce też nadszedł J. J. Mój brat ponawia uwagi swoje, przypomina Izydorowi, że przysiągł słuchać Tyszkiewicza. Izydor tłumaczył się tém, że powstaje na mocy rozkazu, w którym Tyszkiewicz zapowiada, że rozkaz powstania lada chwila nastąpić może, i na mocy umowy swojej z Tyszkiewiczem, że wejście Dwernickiego na Wolyń ma być hasłem powstania; Aleksander powiada:

— „Ja naczelnika nie uznawałem, u mnie ten naczelnik, kto pierwszy powstaje. Ja dziś powstaję.“

— „Ależ ciebie nikt nie usłucha.“

— „To mojej króciocy usłucha.“

— „Pal tym w łeb, co nie chcą powstać, ale tu wszyscy chcą powstać, a każdy ma prawo ciebie nie słuchać, a obowiązek słuchać Tyszkiewicza; jednemu, drugiemu takiemu w łeb wypalisz, a trzeci tobie w łeb palnie.“

Wtedy Izydor kładąc rękę na sercu, zawołał ze wzruszeniem:

— „Prawda, żeśmy powinni słuchać Tyszkiewicza.“

Aleksander przerywa mu:

— „Myśmy sobie pierwój dali słowo, że jak jeden powstanie, to i drugi powstanie.“

Izidor odpowiedział:

— „To téż cię nie odstąpię w żadnym razie, i jeśli koniecznie chcesz powstać, powstanę.“

Mój brat znowu im powtórzył, że sam niczego tak nie pragnie, jak żeby natychmiast powstać, i że radby był już dawno powstał, ale musi w sobie tłumić ten ogień, a czekać hasła ogólnego powstania, żeby samowolnym wyrwaniem się nie niszczyć całego układu, który zależał od jednoczesności powstania we wszystkich powiatach obu województw naszych. „A kiedy mieliście już tak niezłomne postanowienie,“ powiada im, wypadało przynajmniej o tém postanowieniu waszém uprzedzić naczelnika, a on pobudzony tą wiadomością, możeby przyspieszył i do waszych widoków zastosował czas ogólnego powstania; teraz przynajmniej tak zróbcie, jeśli możecie zacząć się z powstaniem waszém.“

Ta uwaga trafiła do przekonania Sobańskich, i na tém stanęło, że mój brat miał natychmiast uwiadomić Tyszkiewicza o zamiarze Sobańskich, a oni mieli przez trzy dni przyczajeni czekać na rozkaz Tyszkiewicza.

Mój brat téżże nocy już był w domu.

Obywatele, których u siebie zastał, potrożyli się o los powstania. Po krótkiej naradzie ja popędziłem do Tyszkiewicza.

Tyszkiewicz struchlał na wiadomość, którą mu przyniosłem. Obywatele tam będący wołali:

— „Niech ginie, kto nie słucha, my nie dla Sobańskich powstajemy!“

— „Tu nie o to idzie, aby ten lub ów ginął,“ powiedziałem, „tylko żeby sprawa nie ginęła, a czas ją ratować, kiedy Sobańscy przyrzekli trzy dni czekać na rozkaz Tyszkiewicza.“

Tyszkiewicz napisał na małej karteczce te słowa: *Zaklinam was na miłość ojczyzny, abyście nie powstawali przed naznaczoną chwilą. A czas ten właśnie dniem przed mojem przybyciem do Tyszkiewicza na-*

znaczonej był na 7 maja, bo właśnie wtedy nadeszła była wiadomość, że Chróściechowski burmistrzując po nad granicą Podola, dnia 24 kwietnia nakazał powstanie na 27 kwietnia. Właśnie téż wtedy wrócił był od Dwernickiego pierwszy wysłaniec nasz, Stefan Zapolski, przywożąc niejasny rozkaz Dwernickiego względem powstania, a co gorzej wiadomość, że Dwernicki już pewnie w Galicyi broń złożył.

Tyszkiewicz zakłopotany temi wszystkimi wypadkami, żałował zapewne, że nie uprzedził ich wczesniejszym rozkazem powstania, a pocieszał się tém, że już wydał rozkaz, o którego skuteczności wątpić nie zdawał się.

Wracając pędem do domu, aby spełnić u Sobańskich polecenie Tyszkiewicza, wszędzie rozgłaszałem jak mogłem dzień powstania, a każdy, kto usłyszał o tym dniu, odetchnął, jak gdybym mu odwalił kamień młyński, uciskający pierś jego.

W domu przeprzągłszy konie, spieszę do Piątkówki w towarzystwie J. M. L. L. i K. Z. Pamiętając na pogróżki A. Sobańskiego i obawiając się, aby nas nie zatrzymał, a tém samém od dalszego działania nie oderwał, stanęliśmy przy karczynie podewsią, a po Sobańskich posłaliśmy. Po chwili małą bryczką przybywa Izydor tylko z Ksawerym Sabbatynem. Izydor rozbraja się i do nas przychodzi. Wręczyłem mu rozkaz, a on mi odpowiedział:

— „Już za późno!“

— „Wszakże trzy dni jeszcze nie upłynęło?“

— „Nie mogliśmy dłużej czekać, przygotowania nasze były zbyt głośnie. W téj chwili Aleksander może już zabrał pocztę!“

Rażeni tém wyznaniem, przedstawujemy z największym wzruszeniem całą wielkość nieszczęścia, na które los powstania i los Polski narażają; oświadczyłem, że żadnej pomocy, żadnego współnictwa przed naznaczonym czasem od nas mieć nie będą, że sami zginą, a wszystko zgubią. Izydor Sobański z całą szlachetnością człowieka wyznającego winę swoją zawołał:

— „Jeżeli tyle złego mam sprawić, kaźcie, a w waszej obecności w łeb sobie wypalę, na to wzięłem króćcie.“

— „Już za późno,“ odpowiedziałem, „dziś radźmy, jak złe odwrócić!“

Przyrzekałem schronić ich do dnia powstania. Odpowiedział, że ludzi swoich nie opuści i na ofiarę nie poda. Szlachetna mowa Izydora rozczuliła nas wszystkich, a jeden z pomiędzy nas już chciał na stronę Sobańskiego przechodzić.

— „Nie czas do rozkwilań się,“ rzekłem, „posłannictwo nasze z całą surowością spełnić winniśmy.“

Zapytuję, jak daleko rzeczy zaszyły? Sobański powiada, że już sprawnik zjechał na śledztwo, i że samo z siebie zamknięto go.

— „Tém lepiej, kaźże mu napisać, że znalazł wszystko spokojnie, że całe doniesienie było fałszywe, i że tylko dla lepszego przekonania się o tém, co pisze, musi parę dni zatrzymać się na gruncie. Potém ludzi rozpuścić, oświadczyć im, że byli zebrani z powodu wieści o rabunkach.“

Izydor zaręczył, że wszystko uczyni, co będzie tylko można, żeby się zastosować do rozkazu Tyszkiewicza, ale nic nie przyrzeka, bo nie wie, z czém Aleksander wróci z wyprawy swojej, a w żadnym razie brata nie odstąpi.

Aleksander Sobański w niecierpliwości powstania, nie dotrzymał chwili, do której czekać obiecał; trzeciego dnia rano zerwał pocztę, jednego gońca złapał z pieniędzmi, ale drugi, co dolatywał pocztowego domu zawrócił nazad do Bałty, i rozwiózł wiadomość o powstaniu. Natychmiast Rot z Kamieńca wyruszył i pociągnął ku nam. Miasta powiatowe, te mianowicie, w których się znajdowały jakiegokolwiek zapasy rządowe, zaczęto umacniać; obywateli podejrzanych u rządu chwymano już nie tylko po domach, ale i po drogach.

Dnia 30 kwietnia ostrzeżono nas, że szwadron jazdy ma w nocy nasz dom otoczyć i nas zabrać. Wieść ta zatrwożyła powiat cały. Zbiegli się do nas obywatele

i pytali, czyby już teraz nie powstać? odpowiedzieliśmy, że dla naszego bezpieczeństwa jedności powstania nie narazimy, rozkazu nie przełaniemy. Postanowiliśmy bronić się do ostatniego, ale nie powstawać przed naznaczonym czasem. Dobyliśmy broń dotąd zakopaną, a dom nasz był w nocy schronieniem bliższych obywateli; otoczony murem, na noc był nam warownią, my jemu załoga; na dzień broń się chowała, a każdy wracał do swojej roboty.

Tak ostatnie dni i noce przed powstaniem, przelazły nam leniwo między boleśnem oczekiwaniem a niespokojną trwogą. Sobańscy myśląc, że tym sposobem poprawią błąd swój, powstawszy, nie działali wcale a czekali chwili ogólnego powstania; a tymczasem chmury, z których na powstanie pioruny uderzyć miały, zbierały się szybko, bo nikt ich nie rozpędzał. Sobańscy myśleli, że dobrze usłużą sprawie, kiedy powstaną nie czekając rozkazu; my myśleliśmy, że dobrze jej usłużymy, zachowując może za długo żelazne posłuszeństwo naczelnéj władzy; Tyszkiewicz myślał, że usłuży Ojczyźnie zwlekając rozkaz powstania; Dwernicki myślał, że najlepiej uczyni, kiedy nie da rozkazu a sam zwycięztwami swoim ogień powstania wznieci i rozszerzy. Chróściechowski dowiedziawszy się o wejściu Dwernickiego do Galicyi, myślał, że najmądrzej postąpi cofając rozkaz powstania. Wszysey ci, co prędkiej czy później powstali, co bili się jak mogli, co się rzucili w otchłań dla ratowania Ojczyzny, chcieli dobrze choć źle czynili. Każdy dziś pokutuje za błędy swoje, we wspólnem nieszczęściu pocieszając się tą myślą, że to ich nieszczęście wyjdzie na naukę późniejszych, na korzyść Ojczyzny. W pierwszych chwilach tego nieszczęścia, ciskałem ledwie nie klątwą w oczy tym, którzy zawinili w przekonaniu mojem; dziś żałuję dawnéj porywczosci mojej, a na wspólne usprawiedliwienie powtarzam chłopskie przysłowie nasze, *prybud szczęście, rozum bude.*

Dnia 2 maja, kilkunastu żandarmów schwyciło jedną czatę Sobańskich; powstańcy puścili się w pogoń, żan-

darni uciekli, a trwoga niepospolita rozbiegła się po okolicy. Sąsiad Piątkówki H. S. zemknął z całym domem do Sumówki graniczącej z powiatem hajsyńskim, i przysyła do najbliższej wsi naszego powiatu, wołając pomocy. Znajdowałem się naówczas w tej wsi, której właściciel już chciał z tego powodu rozpoczynać powstanie. Nie pozwoliłem na to, mówiąc: przed dniem naznaczonym stawać nie możemy, ale bić się możemy; jedźmy! Siedliśmy na koniu z ukrytą bronią, i pośpieszyliśmy tam, gdzieśmy się spodziewali zastać pole bitwy; przeprowiadając się przez Boh, kazaliśmy aby zerwano promy, gdy się Moskale ukażą. Przekonawszy się o istocie rzeczy, wróciliśmy szybko, aby zatrzymać szerczący się postrach.

Dnia 3 maja, było to w święta Wielkanocne, zjechali się u nas wszyscy prawie obywatele powiatu hajsyńskiego, i niektórzy z sąsiednich powiatów. Na tym zjeździe znajdowali się także, generał Kołyшко i major Orlikowski. Czuliśmy wszyscy niebezpieczeństwo powstania w obecnej chwili, aleśmy postanowili zginąć raczej, aniżeli nie spełnić rozkazu władzy swojej, aniżeli odstąpić zobowiązania się naszego, aniżeli dzielić usiłowań nadwiślańskich i litewskich braci naszych, i nieokazać, żeśmy godni lepszego losu i łaskawszych względów. Była też mowa o wojennym naczelniku powstania; niektórzy życzyli sobie Orlikowskiego; Orlikowski mówił, że każdemu tem co umie służyć będzie, a chciał żeby mój brat Edward objął dowództwo; ale te pokątne mowy na nic się nie przydały, bo stał pomiędzy nami wódz gotowy, którego nie podobna było uniknąć. Orlikowski jeszcze na kilka dni przed tym zjazdem przyjeżdżał do mego brata i mówił mu: „Ja tu jestem nieznanym, nie będą we mnie mieli ufności, ale pan marszałek niech obejmie dowództwo; uczylesię nauki wojskowej, to prędzej też od drugich nabędziesz doświadczenia i pojmiesz rady moje, a ja ofiaruję się pod dowództwem marszałka służyć Ojczyźnie czem umiem.“ Ale mój brat stale odpowiadał, że będzie służyć pod każdym z doświadczonych wojskowych, a sam

nie chciał swoim niedoświadczeniem narażać losu powstania.

Po długiej naradzie, uznaliśmy, że już pierwotny układ powstania wykonać się nie da, i że uzbrajanie się pojedynczych obywateli po domach, stało się nie podobnem. Postanowiliśmy przeto zebrać się na dwa dni przed oznaczonym czasem, żeby na przypadek napaду wspólnie się bronić, żeby ci co nie pośpieli uzbroić się, uzbrajali się pod zasłoną uzbrojonych.

Na miejsce zebrania się naznaczyliśmy wieś Krasnosiółkę nad Bohem, jako miejsce środkowe kilku powiatów; na tym bowiem zjeździe mieliśmy wysłanników kilku powiatów, którzy widząc niepodobieństwo działania w swoich powiatach, oświadczyli życzenie połączenia się z nami; nadto Krasnosiółka graniczy z powiatem Olhopolskim, z którego Sobańscy i Rzewuski, uzbrojeni od dni dziesięciu, do nas przybyć mieli. Tym sposobem, powstanie powiatu hajsyńskiego, zwane wówczas powstaniem Jełowickich, miało dnia 5 maja rozpocząć być swój, i zwinąć około siebie główne siły powstania podolsko-ukraińskiego, do którego zlało się też powstanie Sobańskich.

Po tem postanowieniu, każdy odbył jak najprzekładniejszą i najserdeczniejszą spowiedź, która ostatnią w życiu jego być mogła, każdy rzucił się w swoją stronę, aby to co uchwalono wykonać, a mnie polecono uwiadomić Tyszkiewicza o tem co zaszło; od niego już prosto do obozu pośpieszyć miałem.

Nim mi konie zaprzęgli, obleciałem wszystkie kąty domu, jak gdybym przeczuwał, że go na długo rzucam; wybiegłem na ogród, potoczyłem wzrokiem po roskosznych miejscach, w pośród których błogo schodziła młodość moja. Słońce już zachodziło, i długie a łagodne promienie swoje podało mi aż do oka, jak gdyby mię żegnać chciało. Boh ostatni raz mi zaszumił, i objął mię pieszczonym chłodem swoim, wszystkie piękności jego i brzegów jego stanęły mi w oczach, wszystkie

upłynione chwile stanęły na myśli. W około mnie wszystko powleczone barwą i ciszą wieczora, kochany słowik zaczął mi śpiewać pieśń pożegnania; potarzałem się raz ostatni po mojej łące, oparłem się o ulubioną skałę, i zamarzyłem się. Bicz klasnął, powóz zagrzmiał, moja myśl piorunem wleciała z pieszczot domowych na pole bitwy; domowi zostawiłem jeszcze jedno westchnienie i łzę jedną, a siebie całego poniosłem Ojczyźnie. Do Oczeretnej jechałem noc całą, i marzyłem noc całą. Jak po przed okiem mojem migwały wsie i lasy, góry i pola, i różne nocne maniały, tak przed okiem myśli mojej migało wszystko, co mi się kiedy wydarzyło, majaczyło to, co się wydarzyć miało. W Oczeretnej zobaczę jeszcze raz Fruzię, ona mię pobłogosławi, ale cioci już widzieć nie będę, chyba po wojnie, albo w niebie; u nóg Fruzi wezmę błogosławieństwo, u nóg cioci złożę wojenną zdobycz. Tak się ugodziłem z losem moim, i cieszyłem się jednym i drugim, jak gdyby już to oboje było nastąpiło.

Zastałem Tyszkiewicza skłopotanego rozdwojeniem w województwie kijowskim, gdzie, pomimo niezachwianej wytrwałości i natarczywej zachęty marszałka Władysława Krasickiego, wielu oświadczyło, że po białymuctwach Chróściechowskiego, po wejściu Dwernickiego do Galicyi, po zerwanéj jedności powstania, niepowstaną aż za nadejściem wojska polskiego. Wiadomość, którą mu przywiozłem i zapewnienie, że nasz powiat hajsyński tak licznie powstanie jak się do tego dawniej zobowiązał, ożywiły jego nadzieję. Miał jeszcze budzić powstanie, gdzieby mu się to udało, i miał się z nami połączyć już nie jako naczelnik, lecz jako żołnierz. Naradzaliśmy się z nim, kogoby obrać naczelnikiem wojennym; obudwu nas straszyla starość Kołyszki, a tu nie było kogo na to miejsce powołać. Tyszkiewicz napomykał, to o majorze Orlikowskim, to o półkowniku Mikuszewskim, to o moim bracie Edwardzie; ale Orlikowski nie chciał, mój brat choć

znał sztukę wojenną ale wojny nie znał, Mikuszewski wślawił się był w wojnach Napoleońskich, a teraz używając powszechnego szacunku, spokojnie przemieszkował niedaleko Daszowa. Wracając od Tyszkewicza wstąpiłem do niego, zapytując czy przyjmie dowództwo; — „przyjąłbym, odpowiedział, gdybyście mi kazali, i gdybyście w pośród was nie mieli jenerała Kolyński, pod którego rozkazami chętnie służyć będę.“ — Zaczny ten Polak, ciężko ranny pod Daszowem, a domęczony w więzieniu moskiewskim, osierocił i liczną rodzinę, i powstanie nasze.

Kiedy się już zbliżała chwila powstania, nieznanym ruch ożywił wszystkich twarze i serca, objawiał się w całej okolicy; tego ruchu nie schwyci ni pióro, ni oko, znać było że będzie powstanie! a ta myśl, że za parę dni będzie nam wolno wykrzyknąć Polskę i wolność, że już wolno nam będzie nie bezbronnym w więzieniach, ale z bronią w rękę na polu bitwy za Ojczyznę umierać, ta myśl pokonała grożące niebezpieczeństwo, i najposępniejszą przyszłość barwami tęczy oblekła. Każdy z nas wybierał się do powstania jak na długie polowanie tylko; kosztowności aniśmy z domu zabierali, aniśmy ukrywali nawet, zapasów pieniężnych na przypadek klęski nie sposobiliśmy: tak to uczucie zwycięstwa łudziło nas nadzieją prędkiego a bezpiecznego powrotu do domu.

Mój ojciec w czasie przygotowań do powstania był z nami w Hubniku; na wszystkich zjazdach wspierał nas radą, utwierdzał mężstwem; ale życzyliśmy sobie aby pozostał w domu, sądziliśmy bowiem, że podeszły wiek jego, że ofiara z majątku i wszystkich trzech synów danych Ojczyźnie, uwalnia go od trudów obozowych. Ukrywaliśmy przed nim czas naznaczony do powstania, znosząc spokojnie jego wyrzuty, dla czego tak odwlekamy. Na parę tygodni przed powstaniem, pod pozorem obszerniejszego działania, skłoniliśmy naszego ojca aby odjechał do Trzech Dębów.

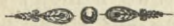
Mój brat Edward, w czasie urzędowania, takiego nabrał wpływu na urzędników moskiewskich swego powiatu, że wielu z nich do powstania wciągnął, a nawet jeden Zasadatel, na rozkaz jego, przywiózł do powstania dwie harmaty nieosadzone, ze wsi Bubnówki.

Z dnia 3 na 4 maja, cała młodzież z palestry hajsyńskiej i część urzędników, zgromadziła się pod rozkazy swojego marszałka, we wsi Hubniku. Dnia 4 maja, w mgnieniu oka stanął nasz szwadron; nad wieczorem mój brat dał rozkaz siadania na koń. Gromada z popem na czele, przyszła go żegnać. On tłumaczył chłopom powody powstania, wystawiał ich ciężką niewolę, ich prawo do wolności, ogłosił im, że od téj chwili są wolni, że ziemia którą posiadali, staje się ich własnością. — Głośny płacz włościan nie dał skończyć memu bratu, wołali — „niech nas panowie nie rzucają, my naszych panów nie damy, damy się zabić za was, zasłaniajcie się nami, zasłaniajcie się synami naszymi.“ — Mój brat odpowiedział im; że nikt nas nie będzie napadał, że to my sami z własnej ochoty idziem się bić za Polskę i za nich. Poczciwi chłopci nie dawali memu bratu siadać na koń, łzami oblewali nogi jego. Pop błogosławił hufcowi powstańców. Tłum ludu odprowadzał go daleko, płacząc i błogosławiąc. Tym sposobem, i w téjże chwili, obywatele hajsyńscy opuszczali domy swoje. Z dnia 4go na 5 maja, zgromadzili się w Krasnosiółce w 600 koni, i półtorasta piechoty; tam już zastali Sobańskich i Rzewuskiego z powstaniem olhopolskiem w 240 koni, i powstańców bałkich w 150 koni zebranych.

Dnia 5go maja, około godziny 8 z rana, powstańcy okrzyknęli generała Kołyszkę wodzem swoim. Wybór ten odbył się bez żadnych zachodów, bez żadnego pisanja. Ci którzy jedynie temu wyborowi przypisują klęski powstania, rozgłaszali że Jełowiccy obrali Kołyszkę; tymczasem wcale tak nie jest, bo dziwnym trafem, ani jeden z Jełowickich, choć ich w tem powstaniu było

sześciu, temu wyborowi obecny nie był; moi bracia znużeni całonocnym pochodem i kilkonocnym pierwej czuwaniem, spali, i nikt ich do tego wyboru nie zbudził, mego ojca jeszcze w obozie nie było, i ja też dopiero w godzinę po tym wyborze zdążyłem. Co do mnie, w ostateczności w jakiej znajdowaliśmy się, prędzej byłbym za Kołyszką jak za kim bądź z obecnych; bo nie mieliśmy nikogo na wodza, a za Kołyszką mówiła wojenna sława, przyjaźń Kościuszki, i odbywane szczęśliwe boje pod jego dowództwem, nakoniec miłość bez granic ku Ojczyźnie. Kołyszko rzucił liczną rodzinę, do której utrzymania był koniecznie potrzebny, w osmdziesiątym roku życia poświęcił się na trudy obozowe, które ponosił jak osmnastoletni młodzieniec, w obozie ostatni zasypiał, a pierwszy przebudzał się, cały czas powstania był na koniu, a na własne oczy widziałem, jak w boju, z siwą głową odkrytą, rąbał Moskalów.

Z 4 na 5 maja w nocy, wracając od Tyszkiewicza, zajechałem do matki, zastałem ją na modlitwie za dzieci; ze łzami w oczach upadłem jęj do nóg, w tajemniczój rozmowie rozmówiły się serca nasze, i smutny, z rozdartem sercem, że opuszczam matkę, ale z zapalem w duszy, że biegnę walczyć za Ojczyznę, opuściłem dom matki — może na zawsze!



ROZDZIAŁ III.

POWSTANIE.

Dnia 5 maja rano, pędząc do Krasnosiółki, postrzegłem z daleka czaty nasze. Widok pierwszej chorągiewki powstańczej polskiej, przejął mnie niepojętem wzruszeniem; jak chorągiewka z wiatrem, tak serce moje zaigrało z powiewem wojny narodowej, a ręka zadrzała do broni i sama się ścisnęła, jak gdyby chciała pokazać sobie, że silna; śpieszyłem prędkiej, aby pochwycić za spisę, za to berło polskie.

Uroczyście i serdecznie powitawszy naczelnika naszego, zdałem mu sprawę z mojej podróży, i wnet pobiegłem do obozu zobaczyć się z końmi moimi i przywdziać przybór powstańczy.

W obozie wesoła wrzawa, bo szlachta polska wyruszyła na wojnę. Jedni wypawszy się leżą pod brykami, a pod głową wór pieniędzy i torba myśliwska, drudzy witają się, dalej już się częstują, a wszędzie hałasują, wszędzie przechwalają broń swoją i konie swoje, i te cuda które z tą bronią i na tych koniach dokazywać będą. Konie rżą, rade że ich tak wiele, że przed niemi owies nasypem a pod niemi w bród siana i słomy. Tu i owdzie obozowe ogniska, gotują wspólny

obiad dawnym panom i sługom a dziś żołnierzom, a na boku w dziesięciu kuźniach, kują spisy. Taki był nasz obóz w pierwszy dzień powstania.

Generał Kołyszko mianował naczelnikiem *sztabu*, majora Orlikowskiego; powstańców podzielił natychmiast na szwadrony, podług przepisów dawniej *kawalerji* narodowej. Szwadron miał stu żołnierzy, dowódca szwadronu nosił zwanie rotmistrza, miał zaś pod swojemi rozkazami kapitana, porucznika, dwóch podporuczników, chorążego i dziesięciu podoficerów. Pierwiastkowe szwadrony nosiły imię pułków, i były pierwszemi szwadronami tych pułków, które nowemi szwadronami dopełnione być miały; był to zawiazek na spodziewane wielkie siły; urządzenie to nam pochlebiało, a Moskalów trwożyło, bo wieść rozbiegła się o licznych pułkach naszych. Takich pułków szwadronowych, w przeciągu dni czterech stanęło jedenaście. Podług zwyczaju dawniej używanego w Polsce, pułki nosiły nazwiska tych obywateli, którzy swoim nakładem potworzyli przynajmniej całe te pierwsze szwadrony. Podług tego, pierwszy pułk powstania podolsko-ukraińskiego nazywał się pułkiem imienia Jełowickich, drugi Izydora Sobańskiego, czwarty Alexandra Sobańskiego. Inne pułki oznaczone tylko były liczbą porządkową, z dodaniem nazwiska powiatu. O ile pamiętam, pierwszym takim pułkiem dowodził Edward Jełowicki, drugim Izidor Sobański, trzecim Henryk Lipkowski, dziedzic Krasnosiółki, czwartym Alexander Sobański, piątym Wacław Rzewuski, szóstym Zwizda, siódmym Pobiedziński, ósmym Teodor Korzeniowski, jedenastym Juliusz Korsak, i t. d. Jazda nasza była uzbrojona spisami, znaczna część powstańców miała nadto pałasze i i króciace. Mundurów jeszcześmy nie mieli, niektóre jednak pułki cechowały się osobnym ubiorem; i tak, nasz pułk miał jednostajne burki, pułki Sobańskich miały jednostajne szare świtki, pułk trzeci miał spodnie sukmany białe, wierzchnie czarne, pasy skórzane czarne: inne pułki nie miały jednostajnego ubrania, ale u wszystkich były jednakowe spisy, z chorągiewkami biało-

amarantowemi, i także przy czapkach *kokardy*. Oficerowie nie mieli jeszcze osobnych znaków.

Oprócz jazdy, mieliśmy około 150 piechoty, która uzbrojona najkosztowniejszą myśliwską bronią, stanowiła oddział strzelców. Nadto, wielu ochotników czekało na broń albo na siodła; koni mieliśmy zawsze pod dostatkiem. Przywieźliśmy z sobą do obozu trzy harmaty, trzy beczki prochu, kilka centnarów ołowiu, i parę tysięcy gotowych nabojów, a każdy obywatel wybrał się do powstania jak na długie polowanie, więc było czem strzelać i zabijać.

Uzbrajanie szło z wielkim pośpiechem: w ogromnych kuźniach tysiąc spis kują, cieśle osadzają nasze działa na spodach od koczów naszych, rymarze sporządzają siodła; strzelcy odlewają kule, robią naboje, powstańcy uczą się obrotów wojennych przez dzień cały. W obozie żwawo, wesoło, wszelka obfitość.

Nazajutrz po rozpoczęciu powstania, nasz ojciec przybył do obozu. Napróżno prosiliśmy go aby wrócił do domu, upewniając, że i za niego bić się będziemy; nam odpowiadał: „Wy za siebie, a ja za siebie“ — A obywatelom co nalegali na niego, aby przez wzgląd na to, że Ojczyźnie poświęca i majątek swój i wszystkich trzech synów, aby przez wzgląd na wiek swój wstrzymał się od trudów obozowych, a zachował się na inne usługi dla Ojczyzny; tak mówił: „Ojczyźnie się wszystko należy — Ojczyzna w tej chwili nie potrzebuje nic innego jak tylko krwi naszój; i dopóki ktokolwiek od tej ofiary wolny będzie, dopóty Polski nie będzie. Krzywdzicie mnie, krzywdzicie moich synów powiadając że Ojczyźnie poświęcił: oni się jój sami poświęcili, i jam też godzien za Ojczyznę umierać.“ — Ojciec nasz pozostał w obozie, a dobrą myślą i przykładem ducha dodawał.

Tegoż dnia wieczorem nastąpił wybór posłów powiatowych, których obowiązkiem było, starać się o zaboby wojenne, ustanawiać urzędników i wydawać stosowne rozporządzenia w imieniu powiatu. Posłowie ci mieli piastować najwyższą władzę miejscową; władza

wojskowa była w rękę generała Kołyszki, a w radzie wojennej posłowie zasiadali z głosem doradczym.

Każdy powiat miał mieć jednego posła i jednego zastępcę; zastępca miał głos doradczy, należał do wszystkich czynności, a na przypadek śmierci posła, wchodził na jego miejsce. Na tę dostojność powołani byli: z powiatu hajsyńskiego, Wacław i Aleksander Jełowiccy, z olhopolskiego, Izidor i Aleksander Sobańscy, z Bałckiego, Karol Potocki i Teofil Obniski. Inne powiaty nie miały posłów, bo ich siły nie były naówczas z nami połączone, a potem gwałtowność wypadków nie dała czasu do podobnych wyborów. Wybory na posłów wyżej wymienionych, odbyły się powiatami, a w powiatach szwadronami; szwadron wybierał dwunastu wyborców z pomiędzy oficerów i żołnierzy; połączeni wyborcy szwadronów jednego powiatu, obierali posłów.

Na tem się zaczęło i na tem się zakończyć miało, sejmikowanie powstańczego wojska.

Przy wojsku utworzono stosowny sztab, urządzono wydział szpiegów, służbę lekarzy, służbę żywności i skarbu, do którego obywatele zsykali w pierwszym dniu, na pierwsze wydatki, około 600,000 zł. pol. Oficerowie żołdu nie pobierali, żołnierze niemajątni mieli żołdu dziennego groszy dwadzieścia.

Najuroczystszym dniem powstania był dzień 7 maja. Szwadrony powstańców wystąpiły po raz pierwszy w całej okazałości swojej. Serce wyskoczyć chciało, patrząc na swoje hufce, co jak powstały w mgnieniu oka, tak w mgnieniu oka nabrały rycerskiej postawy. Przypomniały się dawne polskie czasy, kiedy to szlachta polska z sejmików na wojnę, a z wojny na sejmiki przechodziła jakby z jednej komnaty do drugiej, kiedy życie szlachcica polskiego było ciągłą służbą dla Ojczyzny, ciągłą wrzawą wojenną, ciągłym okrzykiem wesołości, ciągłym wybuchem ognia, pełnością życia obywatelskiego! I myśmy zakosztowali takiego życia!

Szwadrony nasze pociągnąwszy po przed generała

w ognistych płasach, uszykowały się w półkole, i z niezwykłym wzruszeniem słuchały mszy świętej odprawianej pod gołem niebem. W czasie ewangelii, ze wspólnego natchnienia każdy za broń schwyił, w czasie podniesienia zapanowała cichość świątyni, a jak tylko ksiądz pobłogosławił, szlachta polska zawrzała ogniem wojennym, jakby na pogrózkę wrogom Wiary i Ojczyzny swojej.

Pod wpływem tych wrażeń, wyręczając generała, któremu chrypka od lat kilku głośno mówić nie pozwalała, stojąc obok niego w pośród hufców naszych, przemówiłem do współ-powstańców, tłumacząc cel powstania i obowiązki powstania. Nie pamiętam żeby mi się kiedy głos tak silnie rozwinął, bom mówił o rzeczy świętej, widziałem że wszyscy słuchają, czułem że wszyscy słyszą. Skończyłem, a wszyscy z największym zapalem powtórzyli za mną: *Niech żyje Ojczyzna! niech żyje nasz naczelnik, generał Kołyszko!* Potem wszyscy ze wzniesioną prawicą do góry, powtarzali za mną rotę przysięgi, na wierność Ojczyźnie, na posłuszeństwo naczelnikowi. Tą przysięgą powstańcy zobowiązali się do poświęcenia Ojczyźnie majątku i życia, do szanowania wolności i własności wszystkich, do szanowania wszelkich wyznań religijnych, do wyrzeczenia się miłości własnej jako złego ducha. Kołyszko jako naczelnik, powtórzył za mną przysięgę, którą dla niego też ułożyłem. Znowu ksiądz pobłogosławił, znowu najżywsze a długie okrzyki zagrzmiały w powietrzu i zakończyły ten obrzęd uroczysty. Pogodne słońce jaśniało blaskiem wolności. Twarze powstańców zdawały się jeszcze jaśniejsze, jeszcze pogodniejsze od słońca. Dzielne konie dodawały zuchwalstwa groźnym jeźdźcom. Zdawało się nam, że zawojujemy świat cały; jednym słowem była to pierwsza chwila powstania!

Dzień ten pełny najżywszych wzruszeń, zakończył się następującym wypadkiem. Na kilka dni przed powstaniem wysłaliśmy byli do naszych stepowych majątności po konie, z rozkazem, aby jeden człowiek prowadził tylko parę koni, i aby do ich prowadzenia użyć

samą młodzież, mianowicie ze szlachty. Rozumie się, że ta młodzież miała być powstańcami; tak się też stało. Ojcowie téj młodzieży dowiedziawszy się o powstaniu, domyślili się losu swych synów, przybyli za nimi do obozu, a zbliżywszy się do nas, w przytomności swych synów tak mówili: „A czyż się to godziło, aby panowie nam synów wykradali? a czyż my to nie szlachta polska? czyż my nie byli warci sami synów naszych na wojnę wyprawić i im pobłogosławić? Darujcie panowie, że my ojcowie te wymówki robimy. A teraz błogosławimy naszym synom, niech się biją za Ojczyznę! Prowadźcie ich, oni was nie odstąpią.“

Stan uboższy dawał nam co chwila podobne dowody uczuć miłości Ojczyzny. Jeszcze daleko przed powstaniem, gdy oczekiwanie na rozkazy z Warszawy trzymało nas wszystkich jakby w uwięzieniu, niecierpliwa młodzież z drobnej szlachty, jak to mówią, dobiegała do nas nocami prosząc, abyśmy się przed nią nie taili z zamiarem i z chwilą powstania, bo ona już dawno gotowa, dawno czeka hasła.

Dnia 8 maja wydaliśmy odezwy do szlachty, do chłopów, i do popów. Szlachcie przypominaliśmy obowiązek święty *pospolitego ruszenia*, i wzywaliśmy ją do powstania pod utratą szlachectwa. Chłopom zaręczaliśmy wolność i własność, wzywając aby stawali z nami w obronie Polski, która im wraca swobodę, przynosi dostatek. Popów zachęcaliśmy do przychylności sprawie narodowej, przyrzekając szanować ich wiarę, zamienić ich dochody nędzne, niestałe i nikczemnie pobierane, na znaczniejsze, stałe i szlachetne; zachęcaliśmy ich nakoniec groźbą, w razie gdyby nam przeszkadzać mieli.

Odezwy te, równie jak wszystkie rozkazy powstania, nosiły podpisy generała, posłów i naczelnika sztabu; wszystkie były układane i pisane przezemnie; uroczyste przeto oświadczam, że we wszystkich odezwach było zapewnienie włościanom wolności i własności, i wyraźne oświadczenie, że się ich wolność wraz z powstaniem rozpoczyna i ma trwać wiecznie. To upewnienie było

powtarzane przy rozmaitych wydarzeniach w ciągu powstania. Osobne prawo nadające włościanom wolność i własność, napisane nie było; przez pierwszych dni kilka zajęci ciągle uzbrajaniem się, a następnie bitwami z nieprzyjacielem, nie zdążyliśmy nadać kształtu prawa myśli wielkiej, jedyniej, poruszającej całym powstaniem, wszystkimi sprawami naszymi. Nadanie wolności było u nas jaśniejsze, wyraźniejsze, głośniejsze jak wszystkie prawa, ustawy i *konstytucye* razem wzięte, bo było ogłoszone przez powstanie, bo leży w samej istocie powstania, bo bez niego nie może być powstania, bez niego Polski nie będzie. Myśmy bez pisania praw i przemądrego obrachowywania dochodów, zrzucili do skarbu powstania co kto miał, zrzekli się wszystkich przywilejów; mieliżbyśmy przy najdzikszem przywłaszczeniu obstawać? Zresztą, w naszych kuźniach kuto spisy a nie prawa, w prostocie zaś serc naszych byliśmy przekonani, że pierwszą czynnością sejmu polskiego, było napisanie prawa tyżącego się wolności i własności włościan, a obowiązującego całą Polskę; dla tego mówiąc o wolności włościan, dodawaliśmy zawsze, *tak jak to sejm polski uchwalił*; bośmy na niewidziane przysięgali na to wszystko, co tam sejm i rząd polski postanowił; tak to serdecznie wierzyliśmy w ich serdeczność i trafność.

Powiedziałem wyżej, że z powodu ostrożności rządu moskiewskiego, obudzonej przez niejednoczesność powstania, obywatele nie mogli się uzbrajać w domach swoich; dla tego pierwsze dni powstania nie były pionowem uderzeniem na nieprzyjaciela, a zmarnowane zostały na uzbrajanie się, co przez wzgląd na utratę chwil najważniejszych, więcej nam odejmowało jak dawało siły. Po trzech dniach uzbrajania się i urzędzeń, o których wspomniałem, niecierpliwość boju szemrała po całym obozie. Skoro nadbiegła jakakolwiek wiadomość o nieprzyjacielu, zaraz się znajdowali ochotnicy co go bić chcieli: mianowicie kapitan Pobiedziński, dawny oficer z czasów Napoleona, ciągle nalegał na

jenerała, aby mu pozwalał wprawiać do zwycięstwa ochotnych powstańców. W każdej radzie wojennej była prawie jednomyślność za działaniem zaczepnem. Jedni chcieli puścić się ku stepom i ku Odessie, tam wabiąc wszystkie siły, jakieby się do powstania jeszcze wyciągnąć dały; inni mając nadzieję, że Dwernicki nie złożył broni, i lada dzień z Galicyi na Kamieniec uderzy, radzili ruch w tę stronę.

Co chwila odbieraliśmy wysłanników z różnych powiatów, z oświadczeniem chęci łączenia się z nami, z prośbą o pomoc w uzbrajaniu się i o zasłonę od nieprzyjaciela dla łatwiejszego powstania. Jenerał przychylił się do tych żądań; z razu czekał na łączenie się z nami sił przyległych powiatów, następnie zaczął dążyć w tymże celu do odleglejszych powiatów, a działanie zaczepne opóźniał, kładąc za powód, że żołnierze nasi nie są jeszcze dość wyćwiczeni.

Wszystkie okoliczne siły zbiegały się beczynnje w jedno ognisko; powstanie zwijało się niby w oddział wojska wyćwiczonego, i widocznie zanosilo się na wielką wojnę. Tym sposobem powstanie straciło swoje właściwą cechę, a żywiły powstania, na żywiły wojska wyćwiczonego przemienić się nie dały. Zapału powstańców nie opanowały wcale, ani porządek, ani posłuszeństwo wojskowe, których jenerał Kołyszko przy łagodności swojej, w tak trudnem położeniu zaprowadzić nie mógł. Powstańcy w dowódcach swoich, którym jeszcze żaden znak zewnętrzny niedawał powagi, widzieli tylko swoich sąsiadów, których nie bardzo słuchać się chciało. Kołyszko mawiał, że za nieposłuszeństwo trzeba czasem rozstrzelać, ale że on nie ma już do tego serca. Pierwszy i najszkodliwszy dowód obywatelskiego nieposłuszeństwa w tem się pokazał, że gdy jenerał rozkazał, ażeby zaczynając pochód poodsyłać powozy i bryczki, i przekonywał, że wielka ich liczba w pochodzie przeszkodą, w bitwie zgubą stać się może; szlachta słuchać nie chciała, i oburzając się na to, mówiła, „jak można pozbawiać nas ostatniej własności naszej.“

Kilkodniowój nieczynności naszej, i to było powodem, żeśmy czekali na działa, z którymi pewny oddział moskiewski miał do nas przybyć i z nami się połączyć, ale nie mógł tego dokazać. Nakoniec d. 10 maja po południu, generał Kołyszko dał rozkaz do pochodu. W chwili siadania na koń, dwa szwadrony nieprzyjacielskie ukazały się na drugiej stronie Bohu. Na rzece był tylko prom jeden, brodu blisko nie było, nie było Czarnieckiego coby nas wpław przeprowadził, i straciliśmy najpiękniejszą sposobność zaprawienia żołnierza do boju łatwém zwycięstwem. Skończyło się na pojedynczém strzelaniu przez rzekę, w ciągu którego z A. P. wskoczyłem na prom; z tarcie pokładu zrobiliśmy zastłonę, a zebrawszy kilku strzelców mieliśmy płynąć do nieprzyjaciela. W tém, nad brzeg rzeki sto kroków szerokię, nadbiega pułkownik moskiewski z oficerem, i pyta ukrytych w budzie od przewozu żołnierzy swoich: „Od kudowa etyje sobaki strelajut?“ Jak gwizdniemy do nich! tyle i pytali. Zginęło jeszcze ze dwóch żołnierzy moskiewskich: myśmy żadnej nie ponieśli straty. Zaczęło się zmierzchać, a od dalszych zamiarów, wstrzymał nas rozkaz udania się za oddziałem, który już był wyruszył i pociągnął na przyległe wzgórze, na którym spokojnie noc przepędziliśmy.

Dnia 11 maja, ruszyliśmy na Ziatkowce do Granowa, dóbr księcia Czartoryskiego, sławnych dzielnymi dawniej kozakami. W dobrach tych, jest kilka tysięcy ludności bardzo przywiązanej do księcia z powodu łagodnych rządów jego, a pogłoska rozsiana pomiędzy ludem, jakoby księżę Czartoryski został królem polskim, bardzo pomyślnie na włościanach całej okolicy czyniła wrażenie. Przy tak sprzyjających okolicznościach postanowiliśmy w Granowie wywołać pospolite ruszenie chłopów. Rządca dóbr Granowskich, na nieszczęście Francuz, na kilka dni przed powstaniem, otrzymał był odemnie rozkaz, aby wszystko do powstania przygotował; obiecał wszystko. Szliśmy tedy do Granowa z pełną nadzieją olbrzymiego powodzenia.

Dnia 11 maja nocowaliśmy pod Ziatkowcami. — 12 maja zbliżając się do Granowa, spotkaliśmy szwadron braclawski, który pod dowództwem J. S. z nami się połączył; nieco dalej oddział Włodzimierza Potockiego z Daszowa, złożony ze szwadronu jazdy i 60 ludzi pieszych dobrze uzbrojonych. Tak przyrastaly nam coraz nowe siły, i zdawało się, że urosną w olbrzyma, którego żadna siła nie pokona. Połączenie każde z nowymi siłami odbywało się przy okrzykach radości. W tym dniu mianowicie była nadzwyczajna ochota w całym wojsku naszym; generał rozwijał i związał je, odbywał szwadronami bojowe obroty, chciwość boju wrzała we wszystkich i gdyby się nam dnia tego nieprzyjaciel był nawinał, bylibyśmy go zgnetli, takie mieliśmy uczucie odwagi i mocy.

Przy wejściu do każdej wsi chłopci witali nas z chlebem i z solą, popi chowali się zwykle przed nami, bo mało gdzie pan był dobrze z popem, wszędzie prawie nienawiść wzajemna rozdzielała ich zupełnie. Pan ugniatał popa na wszystkie sposoby, a pop szkodził panu przed rządem na wszystkie sposoby. Ztąd gdy przyszło do powstania, pozbawieni byliśmy wielkiej siły, owego wpływu, jaki popi mają na ludzie, co widzi w nich swoich nauczycieli i odźwiernych nieba, co ich zowie *dobrodzieju*. Gdzie pan był dobrze z popem, tam pop powstaniu błogosławił; a gdy się to nie udało, tam pop bronił pana przed rządem, czasem przysięgą nawet; tam zaś, gdzie pan popa prześladował, pop był szpiegiem, a potem jawnym oskarżycielem. Źle to było, poprawmy się; duma pańska niech z nas wyszumi raz na zawsze; bez tego nie zaszumi dawna sława Polski.

Przeszedłszy Granów, stanęliśmy obozem zaraz za miastem. Obóz nasz szeroko rozłasowany, a do tego napełniony mnóstwem powozów i wozów, nadawał naszym siłom postać zatrważającą, a tém groźniejszą, że mając już jedno działo osadzone, rano i wieczór paliliśmy z dział, a za każdym wystrzałem, rozległy okrzyk

grzmiął długo w powietrzu, i na wszystkie strony daleko leciał.

W dniu 13 maja nastąpiło połączenie sił kijowskich z naszymi. Siły kijowskie złożone naprzód z oddziału powstańców humańskich, w 60 koni, i z oddziału połączonych sił kilku powiatów kijowskich, pod wodzą Jana Zapolskiego, zebranych w 500 koni, wpłynęły w dniu tym do naszego obozu, zasilając skarb nasz 300,000 złp. Połączenie to odbyło się uroczystie. Na czele pół szwadronu, wyszedłem na spotkanie współtowarzyszów naszych: wprowadziłem ich do obozu wśród grzmotu radosnych okrzyków. Otoczyli kołem poważnego wodza naszego; przez usta moje usłyszeli odezwę jego, za głosem moim wykonali przysięgę na wierność Ojczyźnie, na posłuszeństwo wodzowi, i dopiero w posród nas, po kilku dniach trudów, bezpiecznie spoczęli. Oddawaliśmy się wspólnej radości; serca nasze karmiłyśmy wspólną nadzieją i dumą, ile razy potoczyliśmy wzrokiem po rozległym obozie naszym, po ochotnych twarzach żołnierzy naszych, po dzielnych koniach naszych.

To żeśmy już byli w Granowie zdawało się podwajać siły nasze. Drżeliśmy z niecierpliwości żeby wiedzieć, jak się też nam uda pobudzić chłopów do pospolitego ruszenia. Ale jakież było zadziwienie nasze, gdyśmy spostrzegli, że rządca Ks. Czartoryskiego, *de l'Arbre*, jak gdyby z drzewa, nieczuły na głos nie swojej Ojczyzny, nie tylko nie zrobił żadnych przygotowań do powstania, ale nawet nie chciał nam dać owsa i siana, aż po zagrożeniu mu karą śmierci, a na całe tłumaczenie się mówił: „moja Ojczyzna to żona i dzieci.“ Łatwo pojąć jakiego doznaliśmy zawodu w oczekiwaniach naszych. Zastaliśmy tu wszystko w jakimś odwręceniu z powodu szkodliwego wpływu rządcy, a to żeśmy go pod strażą trzymać, i względem jego osoby po nieprzyjacielsku postępować musieli, niepomysłne dla nas robić musiało wrażenie na tych, którzy w jego osobie przywykli byli widzieć tłumacza woli samego księcia.

Z powodu tych niespodziewanych trudności dopiero

nazajutrz po naszym przyjsciu, to jest 13 maja po południu, gromady z Granowszczyzny zebrały się ze swoimi popami w Granowie. Udałem się do nich z kilkunastu obywatelami, na czele oddziału jazdy z samych chłopów.

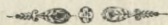
„Oto widzicie waszych synów,“ przemówiłem do gromad, „niech wam powiedzą czy z własnej woli wzięli się do broni.“ Cały oddział ochoczym okrzykiem dał świadectwo prawdzie. „Oto są ludzie, mówiłem dalej, już wolni, już i na zawsze równi dawnym panom swoim. My i wam wolność przynosim; będziecie wolni od ucisków, którycheście dotąd pod jarzmem moskiewskiem doznawać musieli, będziecie wolni od pańszczyzny, od rekruta. Ziemia, którą posiadacie będzie własnością waszą. Dzieci wasze aby się tylko uczyć chciały, będą mogły być urzędnikami i oficerami. Będziecie z nami pod jednym prawem, będziecie znowu Polakami. Ojcowie wasi powiadają wam, że dobrze im było za Polski; wam teraz będzie sto razy lepiej, panowie wasi dawno chcieli waszego szczęścia, ale car, co znaczy nie to co Bóg, ale to co czart, car tego im zrobić nie pozwalał; sami widzieliście, jak męczył i na Sybir powysyłał wielu panów, którzy chcieli waszój wolności i waszego dobra. Ale Bóg zmiłował się nad wami. Polacy wypędzili cara moskiewskiego, co się nazywał królem polskim; teraz Polacy mają swego króla; wiecie, że wasz książę jest królem polskim. (*Stawa Hospodu Bohu!*) Wiecie, że car posłał do Polski na wojnę wszystkie swoje wojska: widzieliście jak szły te wojska, ale nie będziecie widzieli jak będą powracać, bo już ich połowa zginęła, a druga połowa zginie! Bóg błogosławi temu kto ma prawdę. Bóg kazał bić się za wolność; kto się nie bije za wolność kiedy się drudzy biją, ten grzeszy, ten nigdy wolny nie będzie. Widzieliście, że nam wolno było was uciskać i robić z wami co się nam podoba; widzieliście żeśmy z pracy rąk waszych byli bogaci, i zawsze bogaci być mogli; a jednak porzuciliśmy na-

sze domy i dostatki, ażeby was wyswobodzić, ażeby wam wrócić tę wolność, którą wam Bóg dał a car odebrał. Gotowi jesteśmy, chcemy zginąć za Ojczyznę i za waszą wolność, ale sami nie podołamy was utrzymać przy wolności, którą wam dajemy. I wy musicie bić się, jeżeli chcecie być Polakami wolnymi zupełnie, jeżeli dla dzieci waszych chcecie przygotować szczęście, swobodę i dostatek. Chodźcie z nami! tak jak już oto poszli ci synowie wasi. My was poprowadzimy do zwycięstwa, i razem z wami powrócimy dziękować Bogu, że nam pozwolił wypędzić czarta.“

Na taką mowę moją, zaostrzoną obrazami ich nędzy i niewoli, chłopci płakali jak bobry, przerywali ją ciągłymi błogosławieństwami, a zakończyli przyrzekając, że poszłą do nas wszystkich synów swoich; zaręczali, że byliby ich z sobą przyprowadzili, gdyby byli wiedzieli o powstaniu.

Obecni popi słuchali ze skrucą tęj mowy, po której odczytałem odezwę do nich, o której wyżej wspomniałem; raz jeszcze powtórzyłem im to zaręczenie, że nie tylko ich religia, ale ich probostwa będą szanowane. Popi nie płakali łzami, ale kropidłami; musieli nam błogosławić.

Po takim objawieniu się uczuć ludu, które było czułym wyrazem powstania naszego, wracałem do obozu, a za mną długo jeszcze goniły błogosławiące okrzyki poczciwych chłopów. Tegoż jeszcze wieczora przybyło nam kilkunastu ochotników chłopów, i wszyscy prawie kozacy folwarczni. Nazajutrz z rana ochotnicy liczniej ściągając się zaczęli. Gdybyśmy byli dłużej w tej okolicy pozostali, albo lepiej się w niej rozgospodarowali, siły nasze wzrastałyby ciągle, a możeby i przyszło do wspólnego ruszenia, do którego nic nam nie brakowało, tylko pierwszego zwycięstwa; tego nam los pozazdrościł!



ROZDZIAŁ IV.

BITWA POD PASZOWEM.

W dniu 13 maja siły nasze były najliczniejsze; bowiem składały się z siedemnastu szwadronów jazdy i dwóch oddziałów piechoty, a wynosiły razem około 2400 żołnierzy. Jazda była na najdzielniejszych koniach, w rękę każdego jeźdźcy spisa z chorągiewką biało-amarantową, u wielu jeszcze pałasz przy boku, króćce za pasem, albo dwürurka na plecach. Piechota w połowie uzbrojona przepyszną myśliwską bronią, miała też nieco rusznic ze sztychami; reszta jój w kosy tylko była uzbrojona*). Mieliśmy nadto parę set ochotników, którzy czekali na broń albo na siodła, bo koni nie brakło. Mieliśmy już około miliona złotych w srebrze,

*) Z województwa podolskiego:

	Jazdy.	Piechoty.
Powiat hajsyński dostarczył.....	680	120
" olhopolski.....	290	30
" bałcki.....	190	40
" braclawski.....	180	—
" jampolski.....	70	—
Z województwa kijowskiego:		
Powiat lipowiecki.....	240	100
" humański.....	70	—
Kilka połączonych powiatów razem.....	400	60
Razem	2070	350

którem trzy wozy były obładowane, i już nowe ofiary w srebrze niechętnie przyjmowano. Mnóstwo rzemieślników, jako to kowalów, rymarzów i krawców z ich porządkami, mieliśmy w obozie naszym, aby na każdym stanowisku przyspasabiać rynsztunków wojennych. Kilkanaście wozów było w oddziale rzemieślniczym, kilkanaście szło pod bronią i pod wszelkim zasobem wojennym, kilkanaście też było wozów szwadronowych, kilka powozów dla rannych, a obywatelskich koczów, koczyków, bryczek, bryczeczek, wózków, wózeków bez liku; a nadto jeszcze pod żywnością jednodniową wozów kilkanaście. Z takim taborem dnia 14 maja ruszaliśmy z Granowa do Daszowa. Mieliśmy wyjść o 5 z rana, ale że ładu nie było, jak zaczęto się guzdrać, ledwo to wszystko wyruszyło około południa.

Daszów, miasteczko Włodzimierza Potockiego, wynosi z przyległościami do 10,000 mieszkańców. Od Granowa o dwie mile, już w województwie kijowskiem a na pograniczu z podolskiem, leży nad rzeką Sobem, z jednej strony przytykając do znacznych lasów, z drugiej strony mając zupełnie otwarte położenie aż w głąb województwa kijowskiego. Daszów był dla nas bardzo ważnym stanowiskiem, tak pod względem wojennym, jak pod względem dalszego wzrostu powstania. Obrawszy silne stanowisko pod Daszowem, mieliśmy tam zatrzymać się czas przydłuższy, wysyłając ztamtąd na wsze strony stosowne oddziały, ażeby niszczyć nieprzyjaciela, ułatwiać obywatelom uzbrajanie się i powstawanie, zagospodarować się ile możności w tej okolicy, rozpatrzeć się co dalej robić; nakoniec spróbować, czy się uda zapalić pospolite ruszenie w Daszowie, w dobrach, w których za dawnym przykładem ojca, a za nowym przykładem syna, młodego tych dóbr dziedzica, rządzcy i słudzy byli dobrymi Polakami, a więc spodziewaliśmy się, że tam i chłopci ochotniej porwą się do broni.

Włodzimierz Potocki udał się naprzód, żeby się przygotować na przyjęcie takiego jak my gościa; mój brat Edward pospieszył z pół szwadronem dla wy-

tknięcia dogodnego obozu; kapitan Skurat ze szwadronem Rzewuskiego poszedł do Lewuch, gdzie były wielkie stajnie księcia Czartoryskiego; tam miał zabrać kozaków i konie co zdatne, i z tém wszystkiém do Daszowa dążyć. Główne zaś wojsko, jakem to powiedział, ledwo się wyguzdrało na południe; a chociaż noc ostatnią przepędziliśmy niespokojnie, jednak za nadejściem dnia nie widząc nieprzyjaciela, i nie zgoła o nim nie wiedząc, bo wydział szpiegowski najniezręczniej był kierowany, wytłumaczyliśmy sobie, że to były jakieś fałszywe trwogi; zdawało się, żeśmy zupełnie bezpieczni i na nieszczęście nie postępowaliśmy w szyku bojowym, aleśmy się wlekli niedbale, wyciągnęci przynajmniej na milę, a szwadrony były pooddzielane jedne od drugich owém mnóstwem powozów i wozów.

Pod wsią Gródkiem, na poł drogi z Granowa do Daszowa, a na granicy województwa podolskiego z kijowskiém, spotkaliśmy dwóch wysłańców z Białocerkiewszczyzny. Zbuntowanie Białocerkiewszczyzny było jednym z głównych zamiarów naszych. Pochód z Granowa do Daszowa zbliżał nas prosto ku Białocerkwi. Wysłańcy z Białocerkiewszczyzny nadarzyli się nam bardzo na rękę. Oświadczyli, że wszystka służbowa i niesłużbowa szlachta całej Białocerkiewszczyzny gotowa do powstania, czeka rozkazu; że nie tylko wszyscy tam mają broń i konie, ale nadto, że 300 młodzieży już sobie sprawiło mundury powstańskie, kurty polskie granatowe z amarantem; że chłopci całym hurtem się ruszą; że w całej Białocerkiewszczyźnie jest tylko batalion nędznej piechoty na straży skarbu pani Branickiej, w którym jest do trzech milionów gotówki; że do zdobycia wszystkiego i zapalenia tam powstania dosyć będzie parę szwadronów, którym oni służyć będą na przewodników; że nakoniec za prawdę tego, co powiedzieli, i za najpomyślniejszy skutek wyprawy na Białocerkiew ręczą głowami, oddając nam się jako zakładnicy.

Tak dobra wiadomość pocieszyła nas niewymownie i miała mieć wpływ znakomity na nasze działanie. Jużesmy z generałem w ciągu pochodu ułożyli, że

z Daszowa nazajutrz pójdzie sześć szwadronów do Białocerkwi, a obiecując sobie szczęśliwe skutki tej wyprawy, spodziewaliśmy się odświeżyć wkrótce szczerbę Chrobrego.

Po rozmowie z wysłańcami białocerkiewskimi generał rozkazawszy, aby wojsko dążyło wprost z Gródka do Daszowa, udał się ze mną na prawo przez inne wioski dla rozpoznawania położenia z tej strony. Objechawszy je spieszenie, stanęliśmy w obozie, właśnie kiedy doń dochodziła przednia straż nasza. Generał obejrzał i pochwalił wytknięcie obozu, i już w nim ustawiał pierwsze szwadrony, kiedy o milę od obozu, przy naszej tylniej straży, zagrzmiały nieprzyjacielskie harmaty.

Generał rozkazał memu bratu z dwoma szwadronami czekać dalszych rozkazów w obozie, a ze mną pospieszył na pole bitwy.

Od tej pierwszej bitwy zależał los powstania. Kto z powstańców widział ją, nie zapomni do śmierci; a choć już ósmy rok jak przeminęła, jednakże widzę ją jak na dłoni, jak wtenczas.

Bitwa ta poczęła się między czwartą a piątą po południu. Siły nasze ogromnym smokiem przeszło milę ciągnęły się po równinie od Gródka aż za Daszów, a równina jak gdyby ją wybrała na bitwę dla jazdy. Najwaleczniejszy kapitan Pobiedziński zamykał nasz pochód i strzegł go od niespodziewanego napadu.

Oddział wracający z Lewuch pierwszy spostrzegł kilkudziesięciu ułanów moskiewskich, rozproszył ich śmiałym natarciem i w porządku wracał ku nam, prowadząc konie zabrane w Lewuchach. Pobiedziński już był o kilkaset kroków od Gródka, kiedy jazda moskiewska z tej wsi za nim pospieszać zaczęła. Czujny Pobiedziński spostrzeżąc nieprzyjaciela, posyła uwiadomić o nim generała, a chcąc krwią swoją kupić czas rozrzuconym siłom naszym do porządnego uszykowania się, rozwija swój hufiec i ogromnym pędem leci na nieprzyjaciela; w mgnieniu oka rozbija pierwszy szwa-

dron, goniąc za nim, spotyka drugi, rozbija go jeszcze łatwiej, i znowu goni; spotyka trzeci i tymże samym pędem uderza na trzeci; byłby rozbił i trzeci szwadron, byłby wszystkie siły nieprzyjaciela połamał, byłby sam jeden bohaterem najświetniejszego zwycięstwa, ale jak powiedziałem, los go nam pozazdrościł. Pobiedziński zginął, a z nim i zwycięstwo zgrzęło. Śmierć Pobiedzińskiego pozbawiła nas tarczy naszego powstania. Szwadron jego przerażony taką stratą, zaprzestał zwycięstwa; nieścigany zaczął się cofać, a nieprzyjaciel ochłonawszy z przestachu, całemi siłami wystąpił ze wsi na ową ogromną równinę, co się położyła między Gródkiem a Daszowem, co była polem nieszczęśliwój, na długo pamiętnój bitwy Daszowskiej.

Wojsko moskiewskie składało się z trzech pułków ułanów i miało cztery harmaty; dowodził niem generał Roth, Francuz, ten sam co w 1825 r. z własnej ochoty poszedł na spotkanie Murawiewa pod Wasylkowem. Uszykowawszy swe pułki posuwał się ku nam powoli, stanął nakoniec i zaczął do nas z bardzo daleka grzmieć z harmat, myśląc że powstańców rozgromi hukiem samym. Pierwszy huk harmat moskiewskich zagrał nam po sercu głosem wesela, bośmy go uważali za hasło pożądanej walki, za hasło zwycięstwa. Z takim uczuciem dwa najbliższe szwadrony nasze rzuciły się na nieprzyjaciela; twarze wybladłe jego żołnierzy, na których malowały się przerażenie i trwoga, rozwarte ich usta, wydające okrzyk przestachu, podwajały męztwo naszych; nieprzyjaciel, co widział z daleka spieszące ku niemu liczne szwadrony nasze, trwożył się coraz bardziej, z trwogi nie bronił się i nie uciekał; nasi mordowali go w miejscu, a major Orlikowski przewodził im. Harmaty moskiewskie podbiegły, szeregi moskiewskie rozstały się, ziemia zatrzęsa się od huku harmat, ale powstańcy nie zatrwożyli się. Zadrżeli tylko zdwojonem biciem serca niecierpliwego, aby zwyciężyć; jedno słowo wodza, jeden przykład żołnierza, byłby ich pchnął naprzód, zabrał harmaty, zdobył zwycięstwo. Orlikowski nie schwycił téj chwili, nie ocenił potęgi

zapału, co jak proch zamieni się w piorun, skoro go iskrą poruszysz, co jak proch upadnie w błoto, skoro go wodą obśłonisz. Wtedy właśnie generał Kołyszko pędził już na pole bitwy z dwunastu szwadronami, co lecąc szerokim półksiężycem, już już miały obwinąć i zabrać nieprzyjaciela z jego generałami i harmatami; Orlikowski spostrzegłszy to, a nie śmiejąc odważyć się z młodym żołnierzem na krok zuchwały, chciał wycofać z pod kartaczów szwadrony swoje i zachować je nie-
tknięte do ogólnego uderzenia. Myśląc, że to sprawa z wyćwiczonym żołnierzem, rozkazał odwrót; pierwszego i drugiego rozkazu nie usłuchali mężni powstańcy, stali w miejscu. Orlikowski zaczyna im myśl swoją tłumaczyć. „Prowadź nas naprzód!“ wołali. Ale znalazł się jeden, którego pamięć bogdajby zaginęła, znalazł się jeden nikczemnik, który zaczął umykać wrzeszcząc: „Zginęliśmy! Trzydzieści tysięcy Moskali, czterdzieści harmat! Zginęliśmy!“ Zabójczy popłoch zatrzęsł obydwoma szwadronami naszymi, zachwiały się, i pierzchnęły w stronę z kąd im ciągnęła pomoc tak potężna. Nieprzyjaciel nie dowierzał temu pierzchnięciu i zaczął się cofać. Kołyszko widzi to wszystko, jak na dłoni, chce uderzenie przyspieszyć, nagli ruch swych hufców, pędzi jak gdyby po pewne zwycięstwo, ale zetknięcie się uciekających z idącymi do boju, było stanowczą chwilą niespodziewanej, niepowetowanej klęski. Zmora trwogi jak powiew zaraźliwy ogarnęła, pedbiła ludzi najlepszego ducha, zdrętwiała ich męztwo, odjęła im siłę i rozum. Wszystkie szwadrony nie przez nieprzyjaciela, ale przez naszych uciekających rażone, w chwili zetknięcia się z nimi, zwracały się sposobem opętanym i w największym nieporządku ku miastu uciekały. Piętnaście szwadronów zamieniły się na jedną czarną chmurę, co się powlokła po równinie, unosząc z sobą do piekieł naszą siłę, nasze poświęcenie się, nasze nadzieje. Na wspomnienie tego obrazu dotąd drzę cały ze wściekłości i żalu. Naprózno niektórzy staramy się zatrzymać uciekających; nie jeden, co jeszcze broni nie rzucił, zwracał ją do tych, co mu przeszkadzali do

dalszej ucieczki. Szukam generała, znajduję go o dwieście kroków przed nieprzyjacielem; patrzył na niego, jak na wydartą własność swoją; kartacze obsypywały nas, starzec rwał sobie włosy, chciał się dać zabić.

— „Generale,“ zawołałem, tu trzeba ratować, a nie rozpacząć!“

Uspokoił się nieco, cofnął się i stanął przy cegielni, gdzie kazał zbierać pierzchających, chcąc natychmiast uderzyć na Moskali, którzy za uciekającymi postępować nie śmieli, a których pobić zdawało mu się tak łatwo, że wołał:

— „Oni się nas boją, a my uciekamy! Dajcie mi choć ze sto ludzi!“

Nadaremne były rozkazy generała, nadaremne usiłowania najgorliwszych obywateli; nawet u wrót miasta nie zdołaliśmy uciekających zatrzymać. Ten się tłumaczył, że nie ma broni, inny nic nie mówiąc, ani chciał słuchać.

Mój ojciec jednemu ze znajomych swoich, wracającemu bez broni, dał strzelbę, drugiemu, co stracił szablę, dał pochwę, mówiąc: „Kiedyś rzucił pałasz, zdobądź go sobie pochwą!“ Sam zaś z gołą szablą pozostał aż do śmierci, powiadając: „Dobylem raz szabli i już jój nie schowam!“

Izydor Sobański chociaż mocno słaby, siadł na koń i w tym dniu cudów waleczności dokazywał. Aleksander Sobański, Potoccy, Bierzyński, Pokrzywniccy, Dąbrowski, Borzęcki, Jełowiccy i inni co najgorliwsi obywatele widząc, że już uciekających zebrać nie podobna, że osmielony nieprzyjaciół coraz bliżej następuje i lada uderzeniem zniszczy do szczętu siły nasze, sami, w liczbie około pięćdziesięciu rzucają się na nieprzyjaciela z odwagą rozpaczy; lecą razem ale bez porządku, kto lepszego miał konia, ten prędkiej wskoczył w szeregi moskiewskie i kłut i rąbał. Tym sposobem przełamali jazdę, opanowali harmaty, wdarli się między tłum nieprzyjaciół, a śmierć i postrach w około siebie roznosząc, mordują na wszystkie strony. Bój ten żarty trwa do nocy. Moskale z razu broń rzucali, lecz

widząc, że się liczba walczących z naszej strony nie wzmaga, otaczają ich całą, dwadzieścia razy przemagającą siłą swoją; rycerze nasi nie zważając na niebezpieczeństwo, mordują a mordują, dopóki widno, i z tą samą dzielnością, z jaką złamali nieprzyjaciela, wyłamują się z pośród niego i nie ścigani do swoich wracają.

Rozpaczające męztwo pięćdziesięciu ocaliło powstanie od ostatecznej zagłady, której naówczas parę szwadronów dokonać mogło. Nieprzyjaciel przerażony tém męztwem, nie wierzył swojemu powodzeniu, klęskę naszą wziął za oszukanie, a obawiając się zasadzki, bo rozumiał, że nas jest z 15,000, rozłożył ognie obozowe pod Daszowem, a sam cofnął się o milę od pobojowiska.

W tym kilkodniowym boju w zabitych i rannych nie straciliśmy więcej jak czterdziestu. Najboleśniejszą stratę ponieśliśmy przez śmierć kapitana Pobiedzińskiego; pułkowników, Mikuszewskiego i Hnatowskiego; obywateli: Zagórskiego, Dąbrowskiego, Bierzyńskiego i Pokrzywnickiego; drugi Pokrzywnicki, jako téż Tytus i Floryan Jełowiccy ciężko ranni, dostali się w moc nieprzyjaciela. Kto tam najlepiej walczył, kto najpiękniej zginął, to może ani wiemy, jak się nazywa; tém droższa zasługa jego, tém świetniej w niebie korona jego błyszczeć będzie.

Nieprzyjaciel utracił w zabitych i rannych przeszło 300 ludzi, a chcąc tę stratę usprawiedliwić, napisał do cara, że nas 5000 na placu położył. Z naszej strony zabitych i rannych było bardzo mało, ale straciliśmy większą część piechoty, co wysunięta naprzód, mocno razila nieprzyjaciela, lecz przy rozsypce jazdy umknąć nie pospiała. Zostawiono także na polu bitwy jedno nasze działo, z którego Wojciechowski dał był kilka celnych strzałów i trzy wiwatówki powstania kijowskiego.

Tyle nieprzyjaciel wziął po nas, aleśmy więcej, bo prawie wszystko stracili. Nie było wyznaczonego miejsca

do zbierania się w czasie porażki, ani oznaczonego kierunku na wypadek cofania się, zresztą samo z siebie uciekającymi nikt nie dowodził, a strach pędził, więc do lasu! Za pierwszymi udali się wszyscy, tłocząc się przez groblę w stronę przeciwną od téj, gdzie był obóz, od téj, która nas na bezpieczne a korzystne do zebrania się miejsce wyprowadzić mogła. Kto miał nieszczęście widzieć kiedy pierzchające wojsko swoje, niech do tego, co widział, przyda nieporządek powstańców, przeszkody w cofaniu się sprawione przez mnóstwo niepoliczonych wozów, niech przyda noc ciemną, dżdżystą, i zatrważające oczekiwanie ostatnich ciosów zwyciężającego nieprzyjaciela, a wtedy dopiero pozna okropne położenie nasze po bitwie daszowskiej.

Do téj ogromnej klęski i to się przyczyniło, że oficerowie nie mieli żadnych znaków, nie wiedziano więc, kogo w czém słuhać, że byli tylko dowódcy pojedynczych szwadronów, a między nimi a jenerałem nie było stopniowych dowódców, ztąd nie mogło być ani sprężystości, ani pospiechu w działaniu. Może mnie zaślepiła uprzedzenie, ale zdaje mi się, że gdyby mój brat Edward nie był dostał rozkazu wytknięcia obozu, a znajdował się przy swoim szwadronie w chwili rozpoczęcia boju, nie byłoby téj klęski. Szwadron jego był jednym z tych dwóch, któremi Orlikowski tak nieszczęśliwie dowodził; a z tym samym szwadronem brat mój w parę dni później odniósł dwa najpiękniejsze zwycięstwa nad dwakroć liczniejszym nieprzyjacielem.

Gdybyśmy się wszyscy po bitwie daszowskiej mogli byli zaraz zebrać i policzyć, zaraz przeświadczyć się o małą znaczących stratach naszych, o tém, żeśmy sami odbiegli zwycięstwa, i o postrachu, jaki rzuciło na Moskali uderzenie naszych pięćdziesięciu; bylibyśmy pokrzepili ducha, a nazajutrz z początkiem dnia moglibyśmy powetować wczorajsze niepowodzenie, doścignąć i zniszczyć nieprzyjaciela, ale inaczej było sądzono. Za nadejściem nocy większa część naszych straciła więcej jak odwagę, straciła wszelką nadzieję, a rzucając broń

i konie, rozbiegła się po lesie, kryć się przed własną trwogą.

Około 9 godziny wieczorem wjeżdżam do Daszowa, zastaję gwar, hałas, nawoływania się wzajemne, zamieszanie, klątwy, rozpacz, deszcz i ciemno. Pytam, gdzie generał, i mnie pytają, gdzie generał, gdzie ten, gdzie ów? Żołnierze pytają o swoich dowódców, dowódcy szukają swoich żołnierzy.

Ktoś bąknął, że generał poszedł ku Lińcom, a więc tych, co się po Daszowie kręcili, wziętem za ostatki rozproszeńców, a sam poczwałowalem traktem linieckim. O dobre pół mili, niedaleko mogiły Soroki, doganiam generała idącego nie z więcéj, jak z sześćdziesięciu ludźmi; byli to ci właśnie, którzy bój ostatni zwiedli. Znalazłem między nimi ojca i braci; ścisnęliśmy się serdecznie, jak po wielkiém nieszczęściu, pytaliśmy się jeden drugiego, czy żyje, czy zdrow, czy cały, jak po wielkim ogniu. Pytam generała, czy idzie w tylnéj straży, on mi powiada, że nikogo ani z przodu, ani z tyłu nie widział; że żadnym sposobem więcéj ludzi z Daszowa wyprowadzić nie mógł, że tam został cały tabór.

— „To wróemy!“ powiadam.

— „Nie nie pomoże, już za późno, Moskale muszą już być w Daszowie.“

— „Niech mi generał da kilkunastu ludzi, ja wrócę, zobaczę, jak rzeczy się mają, i co można, przyprowadzę. Bracia, kto za mną pójdzie?“

— „A za kim to?“

— „Za mną!“ powtórzyłem i nazwałem się.

— „Wszyscy pójdziemy!“ zawołali.

Moi bracia chcieli iść ze mną, ale uprosiłem ich, aby zostali przy ojcu, mówiąc, że na stracenie i na raz jeden dosyć z nas jednego. Generał zeszedłszy z drogi, miał mnie oczekiwać, a ja wzięwszy z piętnastu ochotników, ruszyłem spiesznie na powrót. Zbliżając się do Daszowa, patrzymy, aż miasto rzesisto oświe-

eone, słuchamy, aż tu gwar coraz donośniejszy nas dolatuje. Myślę sobie: Moskale! A moi już mi mówią: „Oj, panie, Moskale!“ Każdy krzak, każde bydło, zdawało się im czatą moskiewską. Bojąc się, żeby moi towarzysze ducha nie stracili, i chcąc żeby mniej było ofiar w razie nieszczęścia, kazałem oddziałowi zatrzymać się, a sam ze Stefanem Zanem i z jednym z naszej szlachty trzydębskiej, którego imienia szkoda że nie pamiętam, bo był dzielny, udałem się ku miastu, jadąc zawsze trochę przed nimi, i z odwiedzoną dwururką, nawiedzając każdego maniaka. Tym trybem wszedłem do Daszowa. Światło widziane z daleka, były to świeczki szabasowe, jak wiadomo, rzęsiście oświecające żydowskie miasteczka w Polsce. Gwar słyszany był to przerażający hałas kilkuset mężniejszych powstańców, którzy usiłowali rozpoznać się i zgromadzić, wołając, gdzie ten, gdzie ów, gdzie generał? Moje przybycie uradowało ich niewymownie. Rozkazałem jak najspieszniej wyruszyć ku Lińcom. Ruch ten był zupełnie odwrotny od kierunku, w jakim znalazłem nasz tabor; wozy obozowe w ciasnych ulicach przecinały tu i owdzie rozsypanych powstańców, wiele się też wozów łamało, ztąd ruch ten z trudnością się wykonywał. Gdy jednak rozpoczął się jako tako, puściłem się daleko w las, przytykający do Daszowa, idąc za śladem najleśniejszym, za spisanymi rzuconymi przez unykających powstańców, co biegały po czarnej drodze, jak gdyby znaki żałoby. Tak idąc, wyszedłem na wielką haławę, gdzie znalazłem wiele naszych powozów i koni luźnych, z którymi ludzie nasi skrywszy się tu w samym początku bitwy, czekali spokojnie, aż ich kto znajdzie i zawoła; a gdy mi powiedzieli, że w tej stronie powstańców nie ma, nie jechałem już dalej, ale wyprowadziłem ich nazad przez Daszów ku Lińcom. Tym sposobem udało mi się ocalić nasz tabor, a co najważniejsza, około 500 najdzielniejszych powstańców, którzy jedynie utrzymali dalszy ciąg powstania.

Nieszczęściem generał i towarzysze jego bardzo strudzeni, nie spostrzegli nas przechodzących; ja szedłem

na końcu oddziału, zbierając do niego wszystko, co zebrać się dało, ci co szli naprzód, nie spotykając jenerała, szli coraz dalej naprzód; a ja myślałem, że jenerał już ich dawno prowadzi; i tak idąc resztę nocy, zaszliśmy aż do Liniec. Tam nadedniem spostrzegliśmy, że nie ma jenerała; pytamy — nikt go nie widział. Odpoczywamy parę godzin, jenerała i tych co z nim pozostali, jak nie ma, tak nie ma. Dopieroż kłopot bez wodza, a tu jeszcze — jak na złość! — żydzi donoszą nam, że Moskale ciągną na nas ze wszystkich stron!!

Co nas było ze starszyny, zebraliśmy się w żydowskiéj izbie, i rada w radę, co tu robić? Jeden z bohaterów wczorajszej bitwy, zrażony pierzchnięciem powstańców, radził, aby tych tylko wybrać, którzy się na wszystko z nami odważyć zechcą, i z temi przebijać się, choćby przez piekło, jak się uda, albo wprost, albo przez Galicyą, do wojska polskiego, a resztę rozpuścić do domu. Była to u nas pierwsza a bardzo niewinna wzmianka o Galicyi. Ja powiedziałem, że każdy powstaniec biorąc za broń, odważał się na wszystko, i przysięgą do tego się zobowiązał, że nie mamy prawa nikogo wyłączać od dalszych działań naszych, które jakkolwiek nieszczęśliwie zaczęte, przy mężtwie i wytrwałości wszystkich szczęśliwy obrót wziąć mogą.

— „Idźmy razem!“ krzyknęli wszyscy.

Ale dokąd i kto nas będzie prowadził, oto sęk!

Byliśmy gotowi każdego słuchać, byliśmy gotowi na wszystko. Jan Zapolski powiedział, że zna kraj dobrze, że nas będzie prowadził.

— „Prowadź!“ powiedzieliśmy, „ale jak jenerał się zjawi, wszystko wróci pod jego rozkazy.“

Zaczęliśmy od porachowania sił naszych. Ze wszystkich szwadronów, tylko nasz szwadron utrzymał się prawie w całości. Pierwszy z porządku przez cały czas powstania przodkował mężtwem i wytrwałością; złożony był bowiem z obywateli, z urzędników, ze szlachty

1 z dworskich ludzi naszych. Każdy u nas obywatel, oprócz szlachty służbowej, miewał jeszcze na swoich usługach liczną czeladź z chłopów; i tak przy dworze pokojowcy, kuchty, ogrodniczki; przy stajni kozacy stajenni, przy folwarkach folwarczni, przy lasach lasowi, zwani *pobereźnikami*. Do tych usług brano pospolicie ludzi najdoborniejszych, a synów najlepszych gospodarzy; był to więc wybór młodzieży wiejskiej. U takich dworskich był zwyczaj mówić po polsku, oznaczało to między nimi rodzaj wyższości i wykształcenia, często wyuczali się nawet pisać i czytać po polsku. Kozacy mawiali po rusku, a nabierali zupełnie osobnych obyczajów, tak we właściwej sobie rubaszności kozacko-polskiej, jak w sposobie widzenia rzeczy. Posłuszeństwo nieograniczone tym panom, którzy się z nimi łagodnie obchodzili, przywiązanie, wierność i wylanie się zupełne na korzyść panów swoich, przypominało czasy ojcowskie. Ci kozacy mówiąc do pana, pospolicie nazywali go *bat'ku*, co znaczy *ojcze*.

Wszyscy ci dworscy ludzie żyli w świecie trochę wyższym od wiejskiego ludu. Jeżdżąc ze swoimi panami, i posyłani przez nich w rozmaite strony, nabywali w pewnym rodzaju znajomości świata. Mieli też właściwe sobie rozmowy, powiastki, plotki, współubieganie się i stosunki. Panowie wynagradzali ich często uwalnianiem od pańszczyzny na całe życie, bo innej wolności rząd moskiewski dawać nie pozwalał. Ci ludzie przez przywiązanie do panów, nabywali też miłości Polski. Szanowni ci ludzie z kolei rzeczy byli powstańcami i tęgimi. Ażeby do wojny mieć ich jak najwięcej, skorośmy się powstania spodziewali, rozpuściliśmy znaczną część ludzi dworskich, a na ich miejsce przybraliśmy nowych. Te wszystkie okoliczności wpłynęły na to, że szwadron nasz i w boju najlepiej się odznaczał i tak przetrwał najboleśniejsze przesilenie w powstaniu naszym, że nazajutrz po klęsce daszowskiej tych tylko brakło mu żołnierzy, którzy polegli.

Inne szwadrony tak się rozbiegły, że z ich ułamków zebrano tylko trzy szwadrony; i tak: sześć szwadronów

powstania kijowskiego zamieniło się na jeden; dwa szwadrony Sobańskich, trzeci bałcki, czwarty bractawski także na jeden; resztki powstania hajsyńskiego także na jeden tylko szwadron starczyły. Tak więc chociaż w boju nie straciliśmy więcej jak czterdziestu z jazdy naszej, jednakże z siedmnastu szwadronów cztery tylko nam pozostało. Reszta w obłąkaniu trwogi zgubiła i nas i siebie; mało co z niej dostało się później do wojska polskiego, gdzie błąd swój krwią swoją zmyła; tysiąc powstańców Moskale wyłapali, to po lasach, to po domach, a z tymi car obszedł się po swojemu.

Tak to w dniu jednym srogiem doświadczeniem nauczyliśmy się, że z żołnierzem niewyćwiczonym nigdy nie należy cofać się; a skoro bój rozpoczęty, leć naprzód, prosto w ogień i jednym pędem, chociażby największe groziło niebezpieczeństwo, bo to jeszcze stokroć mniejsze, aniżeli ucieczka. Ucieczka nigdy nie zbawi, gubi rzecz i ludzi, a jest kłeską stokroć większą, od najniebezpieczniejszej przegranej.

ROZDZIAŁ V.

POTYCZKI POD TAWROWEM, OBODNEM I MAJDANEM.

Piętnastego maja o godzinie 8 z rana wyruszyliśmy z Liniec przeszło w pięćset koni i mało co mniej powozów i wozów. Szliśmy ku Winnicy w nadziei połączenia się z powstaniem winnickiem, o którym doszły nas były pomyślne wieści. Deszcz silny nie dawał nam isé prędko. Jenerał Kołyszko wyruszywszy równo ze dniem ze stanowiska, na którym nas oczekiwał, jeszcze przed wieczorem szczęśliwie się z nami połączył i natychmiast wróciliśmy pod jego rozkazy.

Dnia 16 maja pozbyliśmy się przecież pewnej części wozów, a stanawszy na noc w rzadkiej dębinie pod Obodnem, urządzaliśmy nowe szwadrony nasze, jakeśmy mogli.

Dnia 17 maja szliśmy do Tywrowa, gdzieśmy się mieli przeprowiać przez Boh dla łączenia się z powstaniem jampolskiem, o którym nam powiadano, że ciągnie w te strony. Przechodząc po pod Woronowieg, jenerał posłał pół szwadronu Jana Zapolskiego dla zabrania poczty w tém miasteczku. Do téj wyprawy przyłączyło się kilku obywateli, między innymi mój

ojciec i ja. Zabraliśmy pocztę i dworskie konie bez oporu; a dowiedziawszy się, że tam był naówczas zasidatela, sławny łotr, wielki prześladowca powstańców, co między innymi porwał i w więzieniu osadził Piotra Wyrzykowskiego, 70letniego starca, dziedzica Michałówki, w której się odbywały przed powstaniem zjazdy i zmowy, szukaliśmy tego zasidatela; znaleziono go schowanego w kościele pod wielkim ołtarzem: piękna mi świętość! Wyciągają; wiedział, że musi wisieć, więc ani się tłumaczył; a nazajutrz z rozkazu generała wisił już w lesie przy drodze w zasidatelskim mundurze, przy szpadzie. Mówią, że tak pozostał przez dni kilkanaście, przypominając przechodniom owo przysłowie: *Nosił wilk nosił, ponieśli i wilka.*

Zbliżając się do Tywrowa, gdyśmy już dochodzili do Michałówki, dowiedzieliśmy się, że w tej wsi są dwa szwadrony ułanów moskiewskich, a o małe pół mili z tamtąd, w Tywrowie, reszta brygady. Na tę wiadomość generał wstrzymał pochód i zebrał radę. Wszyscy byli zdania, że po tak wielkiej klęsce, jeszcze zawczasie prowadzić do boju, że trzeba nieprzyjaciela unikać; a od nieprzyjaciela przedzielał nas tylko las wązki i kawał pola. Mój brat Edward słysząc to, zawołał: „Nie unikać, ale szukać nieprzyjaciela; tym tylko sposobem podniosiem ducha i powetujem klęskę naszą!“ Oficerowie jego szwadronu, mianowicie porucznik Borzewski Adam, oświadczyli się zaraz za tym zdaniem, a gdy się jeszcze wahano, mój brat zawołał: „Nie mogłem być w boju pod Daszowem, niech mi generał tutaj pozwoli, ja z moim szwadronem sam pobiję!“ Generał zezwolił.

Mój brat niecierpliwym boju z ochoczym hucem swoim, do którego przyłączyło się kilku ochotników, wysuwając się z lasu i z góry ku wsi zstępując, spostrzegł ułanów uwijających się po wsi. Chcąc ich w nieładzie zachwycić, puszcza się kłusem; ale było za daleko, nim dobiegł, ułani stanęli w bojowym szyku

o sto kroków za wrotami wsi, od strony Tywrowa. Wtedy było do wyboru, albo ustąpić, albo uderzyć na nieprzyjaciela przez wąskie wrota. Mój brat spojrział na Moskali, machnął ręką, spojrział na swoich: „Pójdziecie za mną!” i nie czekając odpowiedzi, skoczył naprzód; a że miał konia bardzo szybkiego, wyściga swój szwadron przynajmniej o kroków pięćdziesiąt, i sam jeden rzuca się na nieprzyjaciela, i sam jeden walczy przez chwilę; w mgnieniu oka zsadził kilku ułanów, traci konia i już pieszo walczy. Wtedy szwadron jego przez wąskie wrota, jak rzeka do jeziora, wlewa się na Moskali, mięsza się z nimi, ściera się potężnie; obie strony walczą zacięcie w miejscu, a jak się cały hufiec na Moskali wylał, złamał ich. Moskale pierzchają, nasi ścigają ich aż do Tywrowa, a co w drodze nie skłuli, albo nie zabrali, to w Bohu wytopili.

Pędząc na przełaj na pole bitwy, widziałem ją, jak na dłoni; a choć widziałem, jak mój brat sam jeden tonął w moskiewskich szeregach, nie uczułem bojaźni, bo w jego postawie malowało się zwycięstwo, i jeszcze brzmiało mi w uszach ostatnie jego słowo: *Pobiję!*

Przy końcu bitwy, z Borzęckim, owym starym przyjacielem naszym, udało mi się wyścignąć nieprzyjaciela; stanęliśmy pieszo na hatce, strzelaliśmy szybko, a każdy strzał musiał być trafny. Moskale nie mieli innej drogi, i albo od nas ginać, albo w rzekę rzucać się musieli. Borzęcki nie mogąc nastarczyć strzelać, a silny nadzwyczajnie, Moskali, co w ucieczce na nas napierali, ścigał z konia i do wody wrzucał. Wkrótce też przybyło nam wielu pomocników.

Jenerał Szeremetiew postrzegłszy takie swoich zwycięstwo, wystąpił ze swojemi szwadronami na drugi brzeg Bohu w Tywrowie; ale się do nas przeprawiać nie śmiał, tém bardziej, że i nasze zapaśne szwadrony już nadciągały. Poprzestał więc tylko na strzelaniu przez rzekę, na którym nie najlepiej wyszedł. Moskale w ogólności, a tém bardziej w jeździe, bardzo źle strzelają, więc nic nam nie szkodzili; kilku zaś naszych strzelców mocno ich raziło. Udawszy się przerwanym

mostem aż na środek rzeki, strzelałem tak szybko, jak mogłem, nie do strzelców, którzy się kryli po rowach i za płotami, ale do szwadronów moskiewskich, nie dalej, jak o osmdziesiąt kroków. Nic więc dziwnego, iż widziano, że za każdym prawie strzałem ułan zapadał w szereg, a szereg się ściskał.

Gdy w ciągu tego polowania nasi ostrzegali mnie, że Moskale do mnie strzelają, i radzili, żebym się ukrył, albo odstąpił, odpowiedziałem żartobliwie:

— „Możebym uciekał, gdyby nie do mnie strzelali, bo wtedy mogliby trafić; a tak to mi tu bezpieczniej, jak wam!“

I w rzeczy samej nic mi się nie stało, a jeden z powstańców dalej jak o sto kroków za mną na boku stojący, moskiewską kulą dostał w same czoło. Już się zmierzchać zaczynało i bój się zakończył.

W tej świetnej potyczce nieprzyjacieli w zabitych i rannych utracił kilkudziesięciu ludzi, a wzięliśmy mu w niewolę kapitana i dwudziestu podoficerów i żołnierzy. My oprócz jednego zabitego mieliśmy dziesięciu rannych. Zabrzanych w niewolę podoficerów i żołnierzy staraliśmy się oświecić o naszej sprawie i o ich nędzy, a dawszy im po dukacie, puściliśmy, aby pomiędzy swoich i naszą ludzkość i cel naszego powstania roznieśli.

W nagrodę tego pięknego zwycięstwa, generał na polu bitwy mianował mego brata pułkownikiem *kawalerji narodowej*; było to pierwsze i ostatnie mianowanie na ten stopień w ciągu powstania naszego.

Po bitwie wróciliśmy na noc pod Michalówkę, a generał Szeremetiew przysłał do nas, prosząc, aby się mógł rozmówić z Aleksandrem Sobańskim, dawnym znajomym swoim. Generał Kołyszko zezwolił na to, a wysyłając z Sobańskim majora Orlikowskiego i A. P., zalecił im, aby ile możności wybadali Szeremetiewa i nakłaniali go do przejścia na naszą stronę. Szeremetiew przeprawił się do naszych wysłańców i po przy-

jacielsku zaczął radzić, abyśmy broń złożyli, przyrzekając najzupełniejsze carskie ułaskawienie. Sobański oświadczył z uśmiechem, że pierwszy raz słyży, aby zwyciężony swojemu zwycięzcy ofiarował przebaczenie. Szeremetiew mówił:

— „Wasza wygrana jest dla mnie haniebną, lecz dla was mało korzystną. Wiem, żeście przegrali walną bitwę pod Daszowem, że nie macie już więcej, jak pięć tysięcy powstańców (tego wiedział!). Wiem, że Dwernicki w Galicyi broń złożył; a ja was upewniam, że jesteście otoczeni przemagającymi siłami, które coraz zwiększać się będą. Bohaterskie męstwo na nic się wam nie przyda, a przez poddanie się uratujecie kraj od klęski, na którą go wystawiacie uporem waszym.“

Sobański odpowiedział:

— „Polacy nie na to biorą oręż, aby się poddawać. Waćpan jako człowiek światły, znasz powody naszej walki, która się z żadną przegraną nie kończy; a wywdzięczając się za dobre dla nas chęci twoje, podajemy ci sposobność zasłużenia się ludzkości i nabycia wielkiej sławy: przejdź do nas ze swoją brygadą!“

Szeremetiew zdawał się być nieco wzruszony, a gdy mu nasi wspomnieli o dwóch milionach, on się odezwał boleśnie:

— „Dla czegoż myślicie, że jestem mniej szlachetny od was? Gdybyście mi tę rękę złotem zasypali, jeszcze nie zdradzę powinności mojej!“

Na tém się skończyły układy. Obyśmy nigdy innych z nieprzyjaciołmi nie mieli!

Zdanie sprawy o rozmowie z Szeremetiewem przejęło nas szacunkiem dla tego cnotliwego męża, co chociaż był nieprzyjacielem naszym, nie był barbarzyńcą, co w ciągu naszego powstania i po powstaniu żadnym okrucieństwem nie zasłużył się carowi, nie splamił się.

Dnia 18 maja nie mogąc przejść Bohu pod Tywrowem, udaliśmy się niżej Tywrowa, ale wszędzie

znajdując przeszkody, umyśliliśmy idąc w górę, przebyć Boh w Janowie. Zwróciwszy się w tym kierunku, szliśmy noc całą. Ciągła ślota, noc ciemna. Znużeni powstańcy usypiali, konie ich także drzemały i rozchodziły się na wszystkie strony; ledwośmy mogli upilnować, aby się to wszystko jako tako kupy trzymało. A com się tej nocy nabiedził, zaganiając śpiących żołnierzy, tego nigdy nie zapomnę. Biorąc miarę z tego stanu naszego wojska, zdawałoby się, że jeden strzał, że samo ukazanie się nieprzyjaciela, rozproszy je zupełnie; ale była w nas pokrzepiona świeżem zwycięstwem siła duszy, która siłę ciała podźwiga i stwarza.

W takim stanie dochodziliśmy do wsi Obodne.

Dnia 19 maja przededniem wpadł w nasze ręce goniec moskiewski, pędzący od generała Szczuckiego z doniesieniem, że nam drogę zamknął. Tylko cośmy to wyczytali, wychodzimy z lasu, a na równinie pomiędzy wsią a lasem już stoją na przeciwko nas trzy szwadrony konnych strzelców moskiewskich, i w téjże chwili dwa ich działa do nas zagrzmiały.

Na odgłos dział nieprzyjacielskich poprzebudzały się drzemiące i pomieszane szyki nasze. Nasz szwadron nieco porządniej szedł naprzód: reszty nie było czasu zebrać i ustawić; a tylko kilkaset kroków świeżo zoranęj a od deszczu rozgrzężłéj roli oddzielało nas od nieprzyjaciela. Mój brat Edward dla uniknienia ognia działowego, pędem błyskawicy na czele swego szwadronu okrąży lewe skrzydło nieprzyjaciela, i uderza nań z największą gwałtownością. Moskale strzelają, a on w mgnieniu oka łamie ich i rozprasza. W téjże chwili pamiętając na to, że działa były postrachem powstańców, przeżegnawszy się, a Bogu duszę polecając, rzucam się wprost na harmaty, nie oglądając się, czy mam towarzyszków. Dolatuję do pierwszego działa, a Moskal zapala je. Jak krzyknę:

— „Nie strzelaj, bo zginiesz!!“

Moskal rzuca lont, a ja zdobywam nabite działa. Tuż za mną wpadli na działa: Borzęcki, Orlikowski,

Tomasz Ciechanowski, Zan, Potocki Józef i kilku innych. Gdy się to dzieje na prawém skrzydle, Jan Zapolski na czele kilkudziesięciu ochotników, równie pomyślnie rzuca się na prawe skrzydło Moskali i w puch je rozbija. Tym sposobem, zaczepieni, nie więcej jak 150 ludźmi, a prędkiej jak się to da opisać, rozpędziliśmy trzy szwadrony Moskali i zdobyliśmy z całym przyborem dwa działa, z których Moskale parę razy tylko wystrzelić pospeli. Połowa walczących z naszej strony myśląc, że na tém koniec, przy opanowanych działach pozostała, druga połowa goniąc przez milę za sześć razy liczniejszym nieprzyjacielem, wytępiła go, albo zabrała w niewolę co do jednego. Przy końcu pogoni po piętnastu Moskali rzucało broń przed jednym albo dwoma powstańcami.

Byłem także i w tój pogoni, a gdy się skończyła, zbraliśmy jeńców, ustawiliśmy ich w dwa szwadrony, kazałem trębaczom moskiewskim zabrznieć pieśń zwycięstwa; i tak uroczyście przyprowadziliśmy generałowi jeńców naszych, co na opasłych handrygach nie mogli umknąć naszym wychudzonym mierzynom.

W tój niepospolitej potyczce kilkudziesięciu nieprzyjaciół legło na placu, resztę zabraliśmy w niewolę. Między jeńcami naszymi był generał, 17 oficerów i 299 żołnierzy najdorodniejszych; z całego tego moskiewskiego wojska uciekł tylko lekarz pułkowy, albowiem jako uczony człowiek zgadł, co będzie, i pierwszy drapnął. Zdobyczą naszą były dwa działa, cała broń, wszystkie wozy wojenne, pułkowa cerkiew i lekarnia. Z naszej strony zginął od kartaczów waleczny kapitan Skurat i dwóch innych powstańców; nadto mieliśmy kilku rannych.

Mając tylu jeńców, mogliśmy w części przynajmniej pomścić się za okrucieństwa, jakimi Moskale umęczali naszych współobywateli, pastwili się nad naszymi matkami i dziećmi; ale szlachetność naszemu narodowi właściwa, a często szkodliwa, przemogła potrzebę krwawej zemsty. Z jeńcami obchodziliśmy się jak

z przyjaciółmi, jak z gośćmi, czemu sami Moskale wydziwić się nie mogli. Jenerała i oficerów zatrzymaliśmy i ci jechali sobie wygodnie w swoich powozkach; kilkunastu żołnierzy wzięliśmy do posługi dział zdobytych, a reszcie żołnierzy dawszy po półrubla, zamknęliśmy ich na pierwszym popasie do gorzelni, a samiśmy poszli dalej, polecając, aby ich wypuszczono nazajutrz, i źle się stało.

Gdyby u nas był porządek, silna wola i kula w łeb moskiewski za najmniejsze mruknięcie, moglibyśmy byli z jeńców naszych dobrych mieć żołnierzy; ale że u nas była tylko polska dobroduszość i łagodność, to się nas nawet jeńcy nie bali.

W bitwie pod Obodnem jenerał Kołyszko walczył osobiście, widziałem na własne oczy, jak Moskala z konia zszedł. Po skończonym boju Kołyszko do mego brata Edwarda, któremu mianowicie przypisywał zwycięstwo, tak przemówił:

— „Z łaski pana pułkownika mamy harmaty, a zatem mianuję pana dowódcą i tych harmat, i tych, które jeszcze Bóg nam zdobyć pozwoli!“

Prawdziwie powstańskie było to mianowanie, ale odbierało memu bratu szwadron jego, szwadronowi odbierało ulubionego dowódcę. W następnej bitwie znowu mój brat nie był przy swoim szwadronie i znowuśmy źle na tém wyszli.

Sława bitwy pod Obodnem rozeszła się szeroko; na jój odgłos zaczęli nam przybywać nowi ochotnicy i dawniejsi wracać, a jak gdyby Bóg chciał nam dać choć jeden dzień szczęśliwy, zaraz po bitwie spotkaliśmy obywatela jadącego koczem, który nam zaręczał, że Dwernicki w Kamieńcu.

Jenerał i oficerowie moskiewscy ochłonawszy z pierwszego przestachu, nie mogli zataić swego zadziwienia, że *zgraja buntowników* pobiła ze szczętem dwa razy liczniejszego starego żołnierza.

— „Dwadzieścia i sześć lat,“ mówił Szczucki, „służę carowi; byłem w wojnach francuzkich i tureckich, a nie podobnego ani widziałem, ani słyszałem.“

Kapitan dowodzący harmatami tego oddziału ciągle powtarzał:

— „Nie pojmuję, jakim sposobem to się stało, że kilku ludzi za trzecim wystrzałem działa zdobyło!”

Ale nasz Borzęcki, człowiek wesoły i dowcipny, wytłumaczył mu, że to się stało przez niezgrabność, za którą on bardzo przeprasza, bo Polacy zwykle po pierwszym wystrzale działa zabierają.

Jednakże wygrana nasza nie na wiele nam się przydała. Z papierów zabranych u generała moskiewskiego dowiedzieliśmy się o przemagających siłach, które nas otaczały. Szczucki ze swym oddziałem zamykał nas ostatecznie; tyleśmy więc tylko zyskali, żeśmy sobie drogę otworzyli. Po krótkim wypoczynku szliśmy dalej w stronę Janowa, w zamiarze przeprowadzenia się tam przez Boh i połączenia się z powstaniami jampolskiem i lityńskiem, które znajdowały się w okolicach Baru.

Bitwa daszowska tak nam pomieściła szyki, że nawet po dwóch tak świetnych potyczkach nie odzyskałiśmy pierwiastkowego ducha. Nikt się nie znalazł, coby wziął na siebie prawdziwe dzwignięcie powstania; ku temu nie mieliśmy zdatnego człowieka. Biliśmy się dobrze, ale nie zakładaliśmy sobie żadnych widoków, spuszczałiśmy się po turecku na przeznaczenie; jak błędne owce wypytywaliśmy się, gdzie drudzy, żeby jak owce do hurtu się kupić. Jedni mówili, co będzie to będzie, a w najgorszym razie przez Galicyą przejdziem do Królestwa; wszak powiadają, że Austria nam sprzyja, że Dwernickiego przepuściła z bronią do Polski, to i nas przepuści. Drudzy mówili: „Powstałiśmy, biliśmy się i bijemy, jak możemy; pokazaliśmy, żeśmy Polacy, więc jakkolwiek nam się dalej uda, *dyplomacya* za nas dokończy.“ Gromiłem jak mogłem takie mowy, do których zawsze miałem wstręt jakiś, ale żadnej dobrej rady sam dać nie umiałem; a po prostu, po bitwie pod Obodnem trzeba było rzucać się na prawo i na lewo, szukać i tłuc Moskali, coby się było niewątpliwie udało, bo oni tak się nas przelekli, że cho-

cięż byli zawsze tuż za nami, nie śmieli uderzać aż się przekonali, że my na nich uderzać nie myślim, aż się zebrali w dziesięcioro liczniej od nas. Trzeba było myśleć o powstaniu, o kraju; a my już tylko myśleliśmy o sobie, jakby to się dostać do wojska polskiego wyćwiczonego, bośmy byli, ni wojskiem, ni powstaniem. Szkoda że nie było kogo ze swoich, coby nam dał w skórę za te babskie myśli; bylibyśmy za nie od Moskali w skórę nie wzięli.

Zdobycze odniesione na nieprzyjacielu, dały powód do odmian bardzo szkodliwych w powstaniu naszym. Zaraz powiększył się nasz tabor o całą ilość zdobytych wozów; ztąd niewypowiedziane opóźnianie w pochodach mianowicie nocnych, tem bardziej, że z takim taborem zaplątaliśmy się w drogi leśne i ciasne; wozy po złych drogach łamały się, a przez to często przez noc całą nie uchodziliśmy więcej jak milę drogi. Żeśmy zaraz nie zginęli, winniśmy to jedynie dwom ostatnim zwycięstwom, które niewypowiedzianym sposobem zatrwożyły nieprzyjaciela, co krok w krok postępował za nami, a nie śmiał uderzyć, aż się zebrał w siłę dziesięćkroć licniejszą.

Gorszym skutkiem pozyskanych zdobyczy, było to, że wielu powstańców poprzemieniało swoje na pozór znużone konie, na świeżo zdobyte, piękne, okazałe, dobrze osiodłane, ale ciężkie i niezdatne do trudów, na jakie powstańcy są wystawieni. Dowodem dzielności naszych koni, była właśnie bitwa pod Obodnem, w której chociaż nadzwyczajnie wymęczone, wylapały jednak wszystkie moskiewskie konie będące w najlepszym stanie; łatwo się było domyśleć co będzie z tych koni, jak im przyjdzie popracować po powstańsku; jednakże nasi nie domyśleli się, a przytem chciało się im pięknie wyglądać. Najgorszym zaś skutkiem to było, że powstańcy zdobywszy ze trzysta strzelb, i tyleż króciec i pałaszów, uzbroili się niemi, a rzucili broń, co w ich rękę była zdobywającą; rzucili spisy, broń

najstraszniejszą w ręku powstańca, a wzięli broń palną i pałasze, których używać dobrze nie umieli, a które najlepiej użyte, żadnym sposobem spisom oprzeć się nie mogą. Powstańcom zdawało się, że kiedy spisą zdobyli broń palną, bronią palną powołują wszystkich: mylna rachuba, w brew przeciwna własnemu doświadczeniu.

Zwycięstwo pod Tywrowem więcej nas kosztowało jak zwycięstwo pod Obodnem, a pod Tywrowem nieprzyjaciel dział nie miał, palnej broni mało używał, ale miał spisy, byli to ułani; pod Obodnem nie nieprzyjacielowi nie nadały, ani działa, ani rżęsiły ręczny ogień, zwalczyliśmy go najłatwiej, zniszczyliśmy go ze szcęktem; to powinno nas być przekonać, że spisa powstańców więcej znaczy jak działa, jak wszelka broń palna i pałasze, że lepszą jest tarczą, niżli mur warowny. Jednakże powstańcy objuczyli się zdobytą bronią, a spisy rzucili. Na cały nasz oddział wynoszący około sześciuset ludzi, pozostało zaledwie sto spis, i to dla tego tylko, że broni zdobytą nie starczyło dla wszystkich. Z żalem patrzyliśmy na to, jak chorągiewki polskie znikają. Jenerał Kołyszko próbował rozkazywać, żeby powstańcy spis nie rzucali. — „Jakto!“ zawołali, „to nam nie wolno mieć broni, którąśmy sami sobie zdobyli?“ — Nie umieli sobie wystawić skutków, jakie nastąpią jeżeli nam bez spis, wypadnie walczyć przeciwko spisom; nie wiedzieli, że rzucając spisy rzucają zwycięstwo.

Dnia 21go maja z rana, odbyliśmy radę wojenną w celu zarządzenia nieporządkowi, który nas trapił coraz bardziej. Jenerał oświadczył, że porządek zależy od karności, do której utrzymania w wojsku, mianowicie niewyćwiczonem, potrzeba wielkiej surowości, że on w podeszłym już wieku, nie ma tego hartu, co częstokroć w brew uczuciu działać nakazuje — „nie mam serca“ powiedział „karać śmiercią tych, którzy za swoje poświęcenia się, warci największej wdzięczności

i nagrody.“ Rada dodała do boku generała Kołyszki, dwóch wykonywaczy rozkazów jego, Aleksandra So-bańskiego i Jana Zapolskiego, którzy zapowiadali że-lazną wolę, obiecywali porządek: mieli oni prawo używania środków, jakie sami za stosowne uznają. Ale i ci dwaj pomocnicy generała, porządku zaprowadzić albo nie umieli, albo już nie mogli. Generał zarządzał pochodem, do jego pomocników należało drogi rozpo-znawać, wojsko prowadzić, zaopatrzyć, utrzymać: tym-czasem od dnia tego, pochody były coraz nieporząd-niejsze, opieszalsze, nieszczęśliwsze. Tak to, gdzie wiele gospodyń, tam chata niezamieciona.

Tegoż dnia przybył do nas Józef Tomaszewski, wracający z poselstwa do Dwernickiego; on pierwszy opowiadał nam dokładnie szczegóły wyprawy Dwernickiego i wejście jego do Galicyi, bo dotąd o tem wszystkim bardzo niepewne mieliśmy wiadomości. Tomaszewski zaciągnął się zaraz do naszej służby, a jako dawny oficer i człowiek doświadczonej gorliwości, mianowany został podnaczelnikiem sztabu; naczelnikiem sztabu był zawsze niespracowany major Orlikowski, któ-remuśmy byli winni wszystko, cokolwiek było porząd-nego w obozie naszym.

Tegoż dnia przeszedłszy Boh w Janowie, rozłoży-liśmy się obozem zaraz za rzeką, chcąc przynajmniej jedną noc przebyć spokojnie, i bezpiecznym odpoczyn-kiem pokrzepić siły nasze. W parę godzin przyjechał do naszego obozu Wincenty Tyszkiewicz, wracający ze swój podróży do północnych powiatów Podola, odbytej w celu wskrzeszenia tam powstania, któremu Chróście-chowski zadał cios śmiertelny.

Chróściechowski wydał był rozkaz naczynający po-wstanie na dzień 27 kwietnia, ale we 24 godzin, roz-zesłał rozkaz wstrzymujący powstanie. Oba te rozkazy, tuż po sobie wyleciawszy z głowy gorączkowej, krzy-żowały się, spotykały się, a razem gasząc i zapalając, zatłumiły powstanie. Jedni obywatele za odebraniem rozkazu powstania siedli na koń, za odebraniem roz-kazu wstrzymującego powstanie, porzucili konie ale

razem i domy swoje, unikając prześladowania, które ich czekało. Inni co w skutek rozkazu powstania wystąpili już byli z oddziałami swojemi, nie widzieli sposobu spełnienia inaczéj przeciwnego rozkazu, jak z oddziałami swemi przechodząc do Galicyi. W takim rozstrojeniu i zagubie, Tyszkiewicz niczego dokazać nie mógł, i ku nam podążył, aby walczyć z nami; a dla bezpiecznéj przeprawy przez wojska moskiewskie, przebrał się za woźnicę szanownéj panny Wisłockiéj, kobiety wielkiego poświęcenia się, i z nią razem stanął w obozie naszym.

Tyszkiewicz ostrzegł nas, że Rot z całym wojskiem swoim tuż tuż za nami. Wymierzyliśmy działa nasze na most, i byliśmy gotowi bronić przeprawy. Późno wieczorem, Moskale przyszli do Janowa, i zaraz dali znać o sobie strzelając do nas przez rzekę.

Oprócz wojska Rota, który już był nad brzegiem po tamtéj stronie Bohu, były jeszcze inne siły moskiewskie na téjże stronie rzeki co i my. Kołyszko obawiał się, żeby nas w nocy nie wzięto we dwa ognie, a więc zerwawszy most, ruszyliśmy na całą noc w zamierzonym kierunku, to jest ku Barowi. Całą noc, cały dzień następny, i drugą noc całą szliśmy ciągle, ale tak powoli, z powodu owych dróg leśnych i nieszczęśliwego taboru naszego, że przez ten czas uszedłszy tylko mil sześć od Janowa, stanęliśmy na wypoczynek pod wsią Majdanem. Nieprzyjaciel zawsze był tuż za nami, tuż za nami gromadził swe siły, a myśmy o nim nic nie wiedzieli. Gdyśmy po krótkim wypoczynku wyszli w dalszą drogę, nasza straż przednia była już za wsią, wieś była zapelnioną wozami obozowemi, tylna straż do wsi dochodziła. Wieś Majdan leży w głębokim dole między lasami, a raczéj wśród lasu, przeciętego wązką i złą drogą.

W tak niebezpiecznem położeniu, nieprzyjaciel napada naszą straż tylną, która z początku dała mu silny odpór, ale przed całą jego siłą ustąpić musiała. Wiele wozów nie pospiało jeszcze wydobyć się ze wsi, a wiele ich było już w lesie za wsią; przednia straż daleko na przód wysunięta, a odcięta od reszty sił na-

szych wozami, które wążką drogę w lesie zupełnie zaważyły, nie mogła dość prędko zawrócić się i do boju pospieszyć; zaledwie był czas wydobyć z wąwozu i na stosownem miejscu postawić działa nasze. Tym sposobem bitwa pod Majdanem, rozpoczęła się dla nas najniekorzystniej. Siły nieprzyjaciela, z powodu leśnego położenia dokładnie oznaczyć niepodobna; z początku kilka jego szwadronów było w ogniu, w końcu i piechota jego działać zaczęła, a z czterech dział, które miał z sobą, dla szczupłości miejsce tylko jednego używał. Po ustąpieniu naszej tylnój straży, wieś i pozostałe w niej wozy dostały się w ręce nieprzyjaciela; na tych wozach byli też nasi ranni, z których większą część Moskale zamordowali.

W stanowczej chwili tój bitwy, z naszej strony nie było, jak stu walczących i dwa działa postawione zaraz za wsią, na małej halawce wśród lasu; z jednego działa strzelał Wojciechowski, z drugiego mój brat Edward. Orlikowski był także przy działach. Kolyszko był w boju, ale porządku nie było; z powodu ogólnego zamieszania nie stanęły do boju całe szwadrony ale tylko ochotnicy; kto chciał ten walczył, jak kto chciał tak walczył. Nieprzyjaciel szedł na nas kilku oddziałami przez wieś, i po za wieś; ile razy szwadrony jego na halawę przez nas zajętą występować zaczęły, tyle razy przyjęte zbliska celnym kartaczowym ogniem, traciły po kilkunastu ludzi, mięszały się i umykały, a nasi ochotnicy stojący nibyto na straży dział, nie czekając rozkazu, rzucali się na zmykających Moskali, mordowali ich i zapędzali się za nimi aż do środka wsi; świeże szwadrony moskiewskie, zmuszały naszych do odwrotu, i znowu postępowały ku działom naszym; lecz znowu potężnie rażone, znowu umykały, i znowu przez naszych ścigane, zasłaniały się nowemi siłami. Nasi ochotnicy walczyli z taką natarczywością, i tak uporczywie ustępowali coraz odświeżającym się siłom moskiewskim, tak się wpajali w szwadrony nieprzyjacielskie, że działa nasze długo do nieprzyjaciela

strzelać nie mogły. Bój taki już się był powtórzył kilka razy, już wieś cała trupami moskiewskimi była założona; mała płaszczyzna nasza zdawała się być twierdzą do niezdobycia, z której działa i wycieczki niszczyły nieprzyjaciela potężnie. Jużśmy rozumieli, że nasza wygrana, kiedy w czasie ostatniej wycieczki, żołnierze moskiewscy użyci przez nas do posługi dział, uciekli z jaszczykami, i tylko po kilka nabojuw przy działach pozostało. Mój brat jednym, a Wojciechowski drugim działem, sami nabijając i strzelając, utrzymywali bitwę dopóki mieli naboje. Nabojów nie stało, działa umilkły, nieprzyjaciel śmielój nacierał; już i piechota jego, z otaczającego lasu razila nas ogniem swoim. Odtąd bój rozpoczy trwał dopóty, dopóki połowa walczących rycerzy naszych nie poległa, a druga połowa nie potraciła koni i nie pokruszyła broni na karkach moskiewskich. — Odtąd bitwa ta, była już tylko walką pojedynczą rycerzy naszych. Nikt im nie przewodził, a każdy z nich walczył, jak gdyby całą bitwę przyjął na siebie.

Tu Dębczakowski, co każdą bitwę nowemi ranami zapisał na piersiach swoich, morduje nieprzyjaciela, dopóki ostatniej śmiertelnej rany nie odniósł. Tam Borzęcki, starzec olbrzymiej siły, już sześciu rozplątał — pęka mu pałasz, on jeszcze pięściami zabija — porwał dwóch ułanów, stuknął ich łbami i dwa trupy rzucił pod nogi swoje; wtedy dwie kule największych może tchórzów, godzą w pierś tego bohatera, co najchwalebniejszą śmiercią, legł na łożu, które sam sobie usłał z trupów moskiewskich. Tam w tłumie nieprzyjaciół Heronim Zaleski sam walczy; już i siebie i konia zajął; ginie w oczach generała moskiewskiego, który po skończonej bitwie, męztwo jego kładąc za wzór oficerom swoim, zwłoki jego uczcił pogrzebem wojskowym. Tam Wojciechowski sam jeden i pieszo, broni działa z którego pareset Moskali położył, sam jeden nie daje go, dopóki krew jego niepopłynęła czterdziestu ośmiu strumieniami. Tam Sawa już bez broni, wyrywa

się z pomiędzy tłumu Moskali, ścigany, na wolniejszym nieco miejscu konia osadza, zwraca, i na pierwszego ułana rzuca się z gołemi rękoma, wyrывa mu spisę, w mgnieniu oka przebija go, i leci ją poić nową krwią moskiewską. Jemiołowski, Freyberger, Rawscy, Ciechanowski i inni, jak lwy się biją, Aleksander Sobański uwija się jak szatan zniszczenia, wszędzie śmierć siejąc; w dniu tym samą spisą dziewięciu z konia zszedł. Orlikowski to szablą uderza, to silnym głosem, silniejszym jeszcze przykładem do mężstwa zapala; gdy te nadludzkie wysilenia wystarczyć nie mogą, gdy z ostatnimi bohaterami z placu ustąpić musiał, jeszcze raz za bitwę Daszowską nazwał się przyczyną klęsk wszystkich, i nie czekając odpowiedzi, z rozpaczy sam sobie życie odbiera.

Opodał od dział, na prawem skrzydle obok ojca walczył mój brat Eustachy: kilka razy odpierał z nim nieprzyjaciela, kilka razy dzielnem ramieniem ocalił mu życie; gdy tam niebezpieczeństwo ustało, a wojsko moskiewskie, miejsce dział już milczących zalewać zaczęło; ojciec nasz poruszony niebezpieczeństwem, które nam groziło, zapomina o sobie i woła — „Eustachy, ty przy mnie, a bracia tam giną!“ Ten w zapomnieniu boleści, rzuca ojca a nam spieszy na pomoc: nim zdążył, skończyła się bitwa przy działach, i już nas nie znalazł; wraca, ale niestety! i ojciec już nie żył — trzy groty moskiewskie rozdarły pierś jego: ostatnie technienie jego było dla Ojczyzny — myśl jego ostatnia była o dzieciach — a Bóg nie dał nam téj pociechy, żebyśmy ojca zasłonili piersią naszą, żebyśmy mu odpłacili życiem za życie.

Bój ustaje — Moskale otaczają pole bitwy na którym stały dwa działa nasze; jedno strzeżone ciałami poległych bohaterów, przy drugim, nad trupami stał jeszcze mój brat Edward, jakby posąg grobowca; pałasz na temblaku, króćce w ręku, a w głowie myśl jakby to jeszcze jak najwięcej Moskali zabrać z sobą na tamten świat: wtedy wracając ze wsi do dział naszych, prześliznąłem się pomiędzy Moskali, spostrze-

gam mego brata, podaję mu konia z pod Moskala, i szczęśliwie wywinęliśmy się z pośród zdziwionego nieprzyjaciela: tym sposobem ostatni z pola bitwy ustępując, zostaliśmy odcięci od reszty sił naszych.

Tak się skończyła ta krwawa bitwa. Moskale otrzymawszy pole, odebrali nam wszystkie zdobycze, a nadto zagarnęli wiele wozów naszych, i prawie wszystkie pieniądze: ale trwożliwi, jak zawsze, ścigać nie śmieli, i dozwolili siłom naszym postępować w zamierzonym kierunku. To chlubne dla zwyciężonych zwycięstwo, Moskale przypłacili stratą około czterystu ludzi: naszych bohaterów zginęło więcej jak pięćdziesięciu. Tak znaczna strata nie dała nam zwycięstwa, bo miała tylko część naszych walczyła; a to dla tego, że powstańcy uzbrojeni w broń palną, raz wystrzelivszy nie wiedzieć po jakimu, umykali ztamtąd gdzie tylko na ostre walczone, gdzie przeciwko nieprzyjacielowi mającemu spisy opierać się nie mogli. Z naszej strony ci tylko walczyli którzy mieli spisy, albo je po poległych, w czasie boju schwycić zdołali. Ani wątpię, że gdyby wszyscy powstańcy mieli byli spisy, byłibyśmy odnieśli zajzupelniejsze zwycięstwo, któreby pomyslny obrót dało powstaniu naszemu.

Przegrana pod Majdanem okazała wielki postęp naszego wojska, które się nie rozbiegło jak pod Daszowem. Powstańcy cofnęli się w jednym kierunku, i prawie wszyscy zaraz się znaleźli. Taka przegrana pod Daszowem, byłaby wielką wygraną.

Po bitwie majdańskiej, Moskale odebrali nam też 300 rekrutów swoich prowadzonych z Charkowa. Tym rekrutom zabranym przez oddział powstania kijowskiego na dwa dni przed bitwą daszowską, kazaliśmy wykonać przysięgę na wierność Polsce, powiedzieliśmy im, że się bijemy za naszą i za ich wolność, że po wojnie będą wolni, że w czasie wojny obok nas bić się będą: wypłacaliśmy im żołd jak żołnierzom naszym, chociaż jeszcześmy ich ani do boju używali, ani uzbroili nawet. Nieszczęśliwy obrót bitwy daszowskiej i wszelka niewprawa nasza, nie pozwoliły nam zamienić na żoł-

nierzy tych rekrutów, którzy się tak byli do nas przywią-
zali, a tak nienawidzili moskiewskiej służby, że po-
mimo klęski naszej, przez nas niestrzeżeni, szli cią-
gle za nami, i chociaż pieszo, chociaż częstokroć o
parę godzin przyzostawali się, zawsze za nami zdążali.



ROZDZIAŁ VI.

WEJŚCIE DO GALICJI.

Kołyшко zebrawszy powstańców, poszedł w stronę Baru, i dnia 20 maja o milę od Baru połączył się z powstaniami latyczowskim i jampolskim, których dowódczą był waleczny Nagórniczewski. Oddział Nagórniczewskiego, liczył około 300 jazdy i 100 piechoty; był bardzo dobrze uzbrojony i wyćwiczony, już bił się i zwyciężał, a jako szczęśliwy żołnierz pałał chęcią boju. Połączenie się z tym oddziałem, podniosło siłę Kołyшки do 800 ludzi, ale zgubiło oba oddziały. Oddział Kołyшки znużony dwutygodniowym pochodem bez rozsiedływania koni, zmęczony kilku krwawymi bojami, przez wygranę rozbrojony, to jest spis pozbawiony, przez ostatnią przegraną mocno upadły na duchu, potrzebował wypoczynku; a kładąc sobie za powód zgromadzanie się coraz liczniejszych sił nieprzyjacielskich, miał skłonność ku wejściu do Galicji, gdzie się spodziewał bezpiecznego wytchnienia, dobrego przyjęcia i swobodnego przejścia natychmiast do wojska polskiego.

Ta myśl zgubna wejścia do Galicji, nie wylęła się w sercu powstańców, ale przyszła nam z niepewnymi wiadomościami z Warszawy, jakoby rząd narodowy, który nie wątpił o przychylności rządu austriackiego uręczał, że na przypadek wejścia do Galicji, pozwolą

nam z bronią przejść do Królestwa. Myśl ta nikczemna, okraszona owem niby zapewnieniem rządu narodowego, zjawiała się u nas za każdym niepowodzeniem, nęcąc nas do siebie nadzieją porządniejszego waleczenia w szeregach wyćwiczzonego wojska. Myśl ta po bitwie majdańskiej opanowała oddział Kołyszki, a to tem łatwiej, że kłamano sobie wieść przyjaznego przyjęcia oddziału Dwernickiego przez władze austriackie. Do zapanowania téj myśli nie mało się przyczyniła śmierć mego ojca, który szczęśliwie wpływał na utrzymywanie u nas dobrego ducha; śmierć kilku naczelników powstania i kilkudziesięciu najwaleczniejszych powstańców; nakoniec mniemana śmierć mego brata Edwarda i moja. Mniemanie to nie było bez zasady, jedni bowiem widzieli, że mój brat wśród Moskali sam jeden pieszo przy działach pozostał; drudzy widzieli mnie niby spadającego z konia wśród najsilniejszej walki. Tak też było istotnie: w chwili gdy nieprzyjaciół ukazał się, kozak jak zawsze podaje mi do boju owego sławnego *Ścierkę*; pytam czy podpięty? — kozak bał się może podpinać pod kulami moskiewskimi, powiada, podpięty; wskakuję na konia, z początku nic, ale gdy w ciągu boju koń się zmęczył, przy silnem na mnie natarciu, przewróciło się siodło a ja zeskoczyłem; a że to było wśród boju i wśród nieprzyjaciela, patrzącym zdało się, że zginął. Tymczasem gdym z konia zeskakiwał, kartacze gruchnęły po Moskalach, a ja miałem czas zrzucić siodło i wskoczyć na konia, resztę boju prowadziłem oklep.

Oddział Nagórniczewskiego, przed połączeniem się z oddziałem Kołyszki, wiedział tylko o świetnych zwycięstwach naszych, wyobrażał więc sobie, że się połączy z powstańcami rozzuchwalonymi, niezwycięzonymi; a chciwy boju, myślał, że przy nas do boju zaprawiać się będzie. Jakież było jego zasmucenie, gdy powitał nie zwycięzców, ale zwyciężonych, gdy zamiast zuchwalstwa znalazł trwożliwość, zamiast świetnego porządku, bolesny nieład. Ta okoliczność wywarła na oddział Nagórniczewskiego wpływ najszkodliwszy; zły duch łatwiej

się udziela aniżeli dobry, zły duch oddziału Kołyszki owiał oddział Nagórniczewskiego, i podbił go pod myśl zgubną wejścia do Galicji. Nagórniczewski i jego dzielny towarzysz Aleksander Gołyński, silnie opierali się tej myśli, radzili podzielić się na drobne oddziały, a prowadząc wojnę na urwisz, powiększać je nowemi zaciągami, i znowu rozdzielać się na mniejsze, i tak następnie, dopóki cały kraj niezapali się ogniem powstania i wojny. Tylko niektórzy z naszych byli ich zdania, a gdy go utrzymać nie mogli, chcieli z Nagórniczewskim odłączyć się od oddziału Kołyszki, lecz oddział Nagórniczewskiego już osłabły na duchu, nie podał się dowódcy swemu.

Nieprzyjaciel wiedząc o połączeniu tych dwóch oddziałów, chociaż kilkakroć liczniejszy, zaczepiać ich nie śmiał; a przekonawszy się o ich postanowieniu wejścia do Galicji, postępował w ślad za nimi, nienarządzając się na bezpotrzebne straty, i ciesząc się, że dokona zwycięstwa bez niepewności i bez krwi rozlewu. Połączone oddziały Kołyszki i Nagórniczewskiego podążyły ku Galicji przez Zaińce, Szarawkę i Kuźmin, a dnia 26 maja przeszedłszy granicę w Satanowie, weszły do Galicji.

Mój brat Edward i ja, po bitwie majdańskiej, jakem to powiedział, zostaliśmy odcięci od reszty sił naszych. Zatrzymawszy się w lesie i broń opatrzywszy, nasłuchiwaliliśmy na wszystkie strony; a słysząc wszędzie nieprzyjaciela, nigdzie swoich, postanowiliśmy sami we dwóch dostać się do wojska polskiego. Przemysłiwamy nad sposobami ku temu, radzimy się wzajemnie, aż tu w około nas tentent koni; myśląc że to Moskale, jeden drugiego zapytaliśmy, co czynić mamy, i przysięgliśmy sobie zginąć jeden obok drugiego. Lecz zamiast nieprzyjaciela spostrzegliśmy kilku powstańców naszych; zbawieni jesteście, zawołali, kiedy jesteście z Panami! Pytaliśmy, czy nie ma tu więcej naszych, powiedzieli, że jeszcze kilkunastu błąka się w tej stronie, szukając kto by ich wyprowadził. Tak więc otoczyło nas 22 ludzi, między którymi był kapitan Teodor Korzeniowski,

stary pułkownik *** i kilku żołnierzy z naszego szwadronu. Wszyscy prosili, żebyśmy ich wiedli do Galicyi i przyrzekali najwierniejsze posłuszeństwo. Czuliśmy niebezpieczeństwo przebywania kilkunastu mil kraja zapelnionego wojskiem nieprzyjacielskiem, z dwudziestu ludźmi prawie nieuzbrojonymi; trzech tylko miało spisy, nadto kilku było rannych, konie u wszystkich znużone, pod moim bratem handryga moskiewska, taka, że co ubijesz to ujedziesz. Pomimo to wszystko nie godziło się opuszczać swoich; poświęciliśmy nasze osobiste bezpieczeństwo i przyjęliśmy dowództwo, a raczej służbę około tego małego oddziału.

Idziemy w bojowym porządku, jeden z nas otwierał a drugi zamykał pochód, przed nami powodyry; po drodze odmieniamy konie na lepsze, wzięliśmy wóz pod rannych, wszystko porządnie aż do wieczora. Noc widna, księżyc ślicznie świeci, rosa rzeźwi całą ziemię, i konie orzeźwiały, aż prychają; idziemy drogą w cichości, jak gdyby to cienie a nie ludzie. Wypadki dnia tego, dręczą myśl jakby ją w koło wplatały; gdzie ojciec? gdzie brat? co z Ojczyzną! W tem powodyry zwracają się pędem, Moskale! — gdzie? — tam — gdzie tam? o tu! — gdzie tu? — o tam na dole; a drugi mówi, pod górą — a co? — piechota — a wiele? — chmura aż czarno — czy idą do nas, czy od nas? — stoją panie. Na tę wiadomość jak się rozprysną nasi po polu, tylko dziesięciu tęższych zostało; na tych co uciekali krzyczeń niemożna, bo tuż Moskale, a pędzić za nimi, to będą myśleć, że trzeba uciekać. Oto kłopot! Opamiętali się przecież, postawali o parę set kroków, w około nas stoją a czernią się jak duchy nocne; aż spostrzegłszy, że my stoimy, zbliżają się powoli, i jakoś się pościągali. Dopieroż my ich łajając i za tchórzostwo, i za to, że odbiegają nas, którzyśmy dla nich naszego bezpieczeństwa odstąpili; dopieroż im dowodzić, że na wojnie i wszędzie tchórze najgorzej wychodzą, a śmiałych szczęście wspiera. Uszykowaliśmy się na nowo; szliśmy dwójkami; ja i brat mój po przedzie z odwiedzionemi kurkami u strzelb: kapitan Korzeniowski, który nas dzielnie wspierał, z po-

ważnym pułkownikiem * * * zamykali szereg, a kto z szeregu wystąpi, kulą w łeb. Tak idąc, mówimy do powodyrów: prowadźcie nas gdzie Moskale, a sami myślimy, skąd tu Moskale, i w nocy, i stoją; coś się im musiało przywidzieć. Zjeżdżamy z góry, aż powodiry mówią: ot panie pod górą — gdzie? — o tak prosto, — ale co takiego? Moskale. Patrzajcież cymbały jeden i drugi, że to cień od góry. Nasi w śmiech, a my powiadamy, może i byli Moskale, ale jak spostrzegli walecznych powodyrów naszych, tak i uciekli. Powodiry naprzód! kiedy tacy dzielni. I już nie było Moskali.

Szliśmy wielką drogą, ogłaszając się za przednią straż dwudziesto-tysięcznego oddziału Kołyżki, i wszędzie nakazując stosowną żywność. Tym sposobem bałamuciliśmy nieprzyjaciela; drobne oddziały moskiewskie unikały nas, a znaczniejsze za nami postępując, rozrywały swe siły. Gdybyśmy byli z początku podzielili się na liczne a bitne oddziały, Moskale niewiedzieliby kogo ściagać, którądy nciekać.

Dnia 25 maja nad wieczorem, przeszliśmy po pod same miasto Felsztyn, w czasie walnego jarmarku w tem mieście. Moskale byli w mieście, możebyśmy mogli byli ich wypłoszyć, a nasz oddział odżywić świeżemi kołmi, i znacznie zwiększyć nowym zaciągiem, ku czemu pora jarmarkowa bardzo stosowna; ale nie mieliśmy wówczas téj myśli; bo w naszym oddziale nie było innéj ochoty jak do Galicji. Źle i bardzo źle się stało.

Za Zbruczem już Galicja; dnia 26 maja przededniem, wyprzedziliśmy cokolwiek nasz mały oddziałek, chcąc dla wozu z rannymi bród na Zbruczu wynaleźć; już byliśmy nad rzeką, kiedy powstańcy spostrzegli ją opodal, odbiegli rannych i bez nich przeszli do Galicji. Pytaliśmy się o rannych, czekaliśmy na nich, aleśmy się nie wrócili, żeby ich znaleźć i uprowadzić. To przewinienie bardzo mi cięży na sumieniu.

Wejście do Galicyi dobiło zbrojne powstanie Podola i Ukrainy, powstanie zwyciężone nie przez nieprzyjaciela ale przez własne błędy nasze. Nie ma co obwiniać tych lub owych, wszyscy byli winni, i rząd narodowy, i wódz naczelny, i Dwernicki, i naczelnicy nasi co nie umieli korzystać ze swojej władzy, i ci co niesłuchali téj władzy, i ci mianowicie co nie powstali. Między tymi co powstali, co do końca walczyli, nie obeszło się też bez win ciężkich, a ta najcięższa, żeśmy odbiegli krainy naszej. Jednem słowem wszyscy winni; niech każdy w sumieniu swoim osądzi ile sam winien srogiéj klęski naszej, po której to tylko nam pozostało, z czego dotąd Polacy korzystać nie umieli — doświadczenie.

Klęska ta sprowadziła na naszą ziemię prześladowania, na jakie tylko dowcip drapieżnego wroga wysilić się zdołał. Zemsta jego nie oszczędzała ani płci, ani wieku. Wydzieranie majątku, więzienie, śmierć i okrutne męczarnie, gnębiły, rozdzierały każdą rodzinę, i pociągnęły się długim szeregiem w dziejach męczeństwa i mordów, które przez cały czas niewoli w Polsce trwać będą. Nie ma już co zapuszczać się w szczegóły, bo teraz o Narodzie Polskim, nie ledwie powiedziećby można: ile domów tyle więzień, ile Polaków tyle męczenników, ile dzieci tyle sierot. Wspomnę tu tylko o dwóch Polkach, które pierwsze padły ofiarą dzikości i okrucieństwa wrogów naszych. Pani Padlewska, siostra Zapolskich, wiozła do powstania piętnastoletniego, jedyne go syna; schwyтана, wtrącona do więzienia pomiędzy złoczyńców, co piątek smagana różgami, podobno w tych męczarniach życia dokonała. Pani Filanowiczowa, której synowie dzielnie się odznaczyli w powstaniu naszym, otoczona w swoim domu przez Moskali, żywcem spalona została.

Wspomnę jeszcze o Adolfe Pokrzywnickim, którego wytrwałość i męstwo, wytrzymały próbę najsilniejszego ognia. Pod Daszowem ciężko ranny, walczył, dopóki nie padł bez zmysłów; gdy przyszedł do siebie, ujrzał się w ręku Moskalów, przywiązany do wozu; pierwsze

słowo, które usłyszał było naigrzaniem się oficera moskiewskiego; Pokrzywnicki dobywszy ostatnich sił, zrywa więzy, i odłamana lusznią, pali w łeb oficerski moskiewski. Jak mu na taką mowę odpowiedzieli Moskale, łatwo domyśleć się. Otworzyły się rany na piersiach Pokrzywnickiego, znowu upadł na siłach, i ocknął się dopiero od zimna podziemnego więzienia w Tulczyń. Wkrótce stawiono go przed sądem wojennym. Oto jest wypis tego pamiętnego sądu:

Jenerał Rott. „Czy W Pan szlachcie?“

Pokrzywnicki. „Polakiem jestem.“

Jen. Rott. „To zapewne z tych Polaków, co to chcą być królami polskimi?“

Pok. „Z tych co chcą Polski.“

Jen. Rott. „Hardy jesteś. Jeżeli chcesz przebaczenia, powiedz kto cię do powstania namówił, albo przymusił?“

Pok. „Pytanie godne przedajnego służalca. Polak każdy jest powstańcem dopóki jarzma nie rzuci, a mnie nie tylko nikt do powstania nie namawiał, ale ja sam tyłu sobie towarzyszków zebrałem ile mogłem.“

Jen. Rott porywa się, i przyskakując z pięściami do Pokrzywnickiego: „Co ty mówisz łotrze!“

Pok. „Mówię co słyszysz. I ty mów co ci się podobą, ale z rękami ostrożnie, bo i ja mam ręce.“

Jen. Rott wysapawszy się:

„Jak wyście mogli powstać sami, z tak małemi siłami na tak potężnego monarchę; na czyją pomoc rachowaliście?“

Pok. „Na waszą, sądziliśmy żeście już ludzie, nie tyle się dziwię Moskałom, że jeszcze bydłęta, ale ty Francuz zaprzędany Moskałom, odstępcą czei i wiary, hańbę robisz twemu narodowi.“

Jen. Rott ze wściekłością:

„Ty łotrze, łajdaku! ja ciebie zaraz każe powiesić.“

Pok. spokojnie: „Powieś jak najprędzej, ale o pół łokcia wyżej albo niżej, od tych słabych ludzi, którzy się zapierają sami siebie.“

Nazajutrz Pokrzywnicki byłby już wisiał, ale bło-

gosiawiona ręka otworzyła mu kratę więzienia, i jeszcze bił się za Ojczyznę, i zapewne jeszcze bić się będzie.

Do nieprzeliczonych ofiar powstania naszego należy Gotard Sobański, brat Ludwika; tęgi żołnierz i niczem więcej jak żołnierzem być nie chciał, chociaż ze czterdziestu ludzi z sobą przyprowadził. Schwytany po bitwie daszowskiej, w zamian za ogromny majątek, dostał od cara pięć lat więzienia w twierdzy kazańskiej, i wieczne wygnanie na Sybir.

Chociaż powszechne, nieobrachowane klęski przywały Podole i Ukrainę, jednakże ani srogości i ucisk, ani wysilenia tej części Polski, nie odjęły jej mieszkańcom ochoty a nawet siły do nowego powstania. Jeszcze się kurzyły ofiary pierwszego powstania, kiedy wiadomość o przybyciu Chrzanowskiego pod Zamość, niosąc nadzieję nowej wyprawy na Wołyń, natchnęła nowym duchem ziemię naszą: rozpoczęto na nowo gotować się do powstań, uchwalono nowy podatek po 6 złp. z duszy, lecz znów napróżno oczekiwano pomocy; roztropność radziła czekać, ale roztropność drugiej strony nie chciała radzić aby nie czekać; a tak ciągle natężenie tych ziem, aż do końca walki nad Wisłą, żadnej siły wydać nie mogło.

Po wejściu do Galicji powstańcy zamiast spodziewanego przyjacielskiego przyjęcia, znaleźli niewolę, z której przy pomocy Galicyanów, a mianowicie zacnych Galicyanek, większa ich część umknęła i do wojska polskiego dostać się zdołała. Reszta powstańców, trzymana w coraz słuślejszem i uciążliwszem więzieniu, odprowadzona została do ziemi siedmiogrodzkiej; zkąd po skończonej wojnie, na zaręczenie ułaskawienia, pod strażą do Rosyi odprowadzona została. Zbyteczną jest może dodać, że najlaskawszy Mikołaj obietnicy nie dotrzymał, i nieszczęśliwych powstańców rozdzielił pomiędzy Sybir i Kaukaz.

Jenerał Kołyszko, Zygmunt Dobek 70 letni starzec z jednym z synów swoich, i trzech innych zacnych oby-

wateli, których nazwiska nie pomnę, byli ściśle więzieni w Czortkowie, z kąd dopiero po 6 miesiącach wypuszczeni zostali.

Powstańcy podolsko-ukraińscy, wchodząc na ziemię tak zwanego *Królestwa Kongresowego Polskiego*, niektórzy zaciągali się do pierwszych pułków które napotykali, lecz większa ich część utworzyła oddzielną *legję* konną, litewsko-ruską, z której dwa szwadrony zebrane staraniem niespracowanego majora Aleksandra Wereszczyńskiego, należały w końcu do załogi Zamościa. Trzeci szwadron walczył w korpusie generała Różyckiego, obok sławnego pułku Wołyńców, Karola Różyckiego. Jeszcze dwa szwadrony zbierał Aleksander Sobański, ale przed ukończeniem wojny nie pospiał ich w pole wyprowadzić. Dzieje tych szwadronów, chociaż nieznanne, są bardzo zajmujące. Składali je, równie jak i pułk Różyckiego, sami prawie obywatele ziem naszych; ludzie majątni, uzwyczajeni do wygod, a między nimi i wiekiem podeszli, nie wzdragali się od ścisłej służby prostych żołnierzy. Wszędzie gdzie te szwadrony znajdowały się, wzbudzały ku sobie niewymowny szacunek towarzyszków broni, i przez wzgląd na to, że były wyborem obywatelstwa, i przez wzgląd na to, że tego, najtężej się były. Co dokazywał pułk Karola Różyckiego, o tem wie każdy.

Dwa szwadrony podolskie należące do załogi Zamościa, pod dowództwem dzielnego Podolaka Wereszczyńskiego, czyniąc częste i szczęśliwe wycieczki, utrzymywały w ciągłym strachu i niepokoju oblegających Moskali. Podolacy i Ukraińcy nasi walczyli jak bohaterowie, nabrali więc wpływu niezmiernego na całą załogę. Gdy po skończonej wojnie jeszcze się Zamość nie poddał, i pod Zamościem ostatnie staczały się boje, a szło o rokowanie; wezwani do rady wojennej, nasi chcieli żeby Zamość w powietrze wysadzić, a nie poddać się. Gdy jednak zdanie to utrzymać się niemogło, nie wprzód zezwolili na rokowanie, aż się

przekonali, że nie ma już ani kęsa ziemi polskiej, gdzieby jeszcze trwał bój o Polskę. Tego sprawdzenia nie chcieli polecić komu innemu jak tylko dowódcy swemu. Moskale pokazali Wereszczyńskiemu, że Warszawa w ich ręku: przekonawszy się, że już po wojnie, waleczny dowódca wrócił zasmucić tą wieścią dzielnych towarzyszków swoich. Wtedy dopiero Zamość się poddał: załoga wyszła ze czcią wojskową. Układ poddania się zapewniał wszystkim wolność zupełną; ale po dwóch dniach mniemanej wolności, naszych biednych powstańców, wśród ciężkiego zimna, pieszo pędzono do więzień w Kamieńcu i Żytomierzu, z kąd nie prędko i nie wszyscy do domu wrócili. Układy przy poddaniu Zamościa jeszczeby mniej były dotrzymane, gdyby się przy nich nie upierał jak najmocniej szlachetny generał Kajsarow, który ze strony moskiewskiej był je podpisał. Śledztwa i sądy wycieńczyły majątki powstańców; ci którzy dla niedostatku szlachectwa dowieść nie mogli, skazani zostali na wieczne czasy na prostych żołnierzy do służby moskiewskiej. Ci co mieli najwięcej łez i złota, uzyskali błogosławioną pod rządem cara wolność azyatycką, która w każdej chwili na niewolę równie azyatycką zamienić się może.



ROZDZIAŁ VII.

POSTANIE SIĘ DO WARSZAWY.

Dnia 26 maja 1831 r. o godzinie 4 z rana, przebrnąwszy Zbrucz pod Wołoczyskami, już na stronie galicyjskiej, puściliśmy się w górę téj rzeki, myśląc, że się nam uda albo po nad granicę przemknąć się aż do Królestwa, albo też w razie pomyślnéj jakiejś wiadomości o nowych powstaniach, czy na Podolu, czy na Wołyniu, przejść granicę napowrót. Dla tego wymięliśmy Wołoczyska i pomimo wielkiego znużenia jeszcześmy parę mil uszli; nakoniec stanęliśmy w jakiejś wiosce dla odpoczynku strudzonym ludziom i koniom. Tam oddział piechoty austriackiej zatrzymał nas; musieliśmy broń złożyć, i dać się odprowadzić nazad do Wołoczysk, gdzie pilnie strzeżeni, przemyśliwaliśmy tylko nad tem, jakby tu drapnąć.

Urzędnik obwodowy nie wiedząc co z nami począć, jechał po rozkazy do Satanowa, i ja się też z nim zabrałem, dawszy mu słowo, że w drodze nie zemknę; chciałem się dowiedzieć o bracie moim Eustachym, który z pod Majdanu pociągnął był z Kołyszką, i o tem co się dzieje w głównym obozie naszym. Brat mój już

się był wymknął i udał ku Warszawie z kilku bliższymi przyjaciółmi naszymi; Kołyszko, Dobek i kilku starców byli już zabrani do Czortkowa do więzienia. Powstańców większą połowę, zające Polki galicyjskie, już były z obozu powykradały, aby ich zwrócić ojczystym szeregom: druga połowa właśnie najniezwyklejsza, najuboższa, owa nieoceniona drobna szlachta, owi doświadczeni dworscy ludzie nasi, co przetrwali tak mężnie i wiernie wszystkie koleje powstania; ta prawdziwa wiara, została była w rękę austriackim, bo czas nie wystarczył Polkom naszym aby ich wywiozły; ta wiara miała już być pędzona nazajutrz do ziemi siedmiogrodzkiej. Na ten widok serce mi się ścisnęło; a jak przyszedłem przed nasz szwadron zawsze najliczniejszy i najporządniejszy; jak mnie ten szwadron otoczył, witał rzewnie, i troskliwie wypytywał o dawnego dowódcę swego; jak potem z nadzieją i z bojaźnią pytał niepokojnie co dalej z nim będzie — łza gorzka skłębiła się w oku, i jak gdyby ciężkim kamieniem na serce upadła. Rozdałem pomiędzy wiarusów trochę pieniędzy, szepnąłem pomiędzy nich, aby każdy z kąd będzie mógł, do pierwszego obywatela umykał; i z tem ich odejść musiałem.

Urzędnik odwiózł mię nazad do Wołoczysk, oświadczył, że nazajutrz z rana przyjdzie po nas oddział huzarów, aby nas odprowadzić do Satanowa, a ztamąd popędzić razem do Ziemi Siedmiogrodzkiej. Kilku sprytniejszych z naszego oddziału, wyprawiliśmy w nocy z naszymi końmi naprzód, a stary pułkownik,*** kapitan Teodor Korzeniowski, mój brat i ja, w chwili gdy huzary zajechali już jedną bramę, wyjeżdżaliśmy drugą w kolonie dwóch wyborczych Polek, którym błogosławię nigdy nie przestaniem. One jak siostry opiekowały się całym oddziałem naszym, one nam otwały dalszą drogę służenia Ojczyźnie, bez nich możebyśmy w więzieniach austriackich zgrzytali zębami ze wściekłej niecierpliwości, kiedy się drudzy bili, a z tych więzień zapewneby nas oddano Mikołajowi na jatki. Jedną z tych Polek nie wiem gdzie, o drugiej wiem, że już w niebie; ta

przynajmniej usłyszy błogosławieństwa nasze. Nazwiska tych zacnych Polek, w pamięci mojej przywalone gruzami Ojczyzny, na wierzech wypłynąć nie mogą; ale za pierwszym choćby najpóźniejszym spotkaniem, poznałbym ich twarze, ich dusze.

Te zacne Polki oddały nas pod opiekę obywatela w pierwszej wiosce, ten odwiózł nas do drugiego, tamten do trzeciego, i takim trybem dostaliśmy się do wsi Ponikwy, niedaleko Brodów. Używając gościnności uprzejmych gospodarzy Ponikwy, mój brat zatrudniał się dzień cały uprężeniem naszych wierzchowców, a ja przekradłem się do Brodów dla kupienia koszul, sukni, a mianowicie broni, o którą jak nam powiadano, było bardzo trudno w Królestwie. Kupiwszy w Brodach jedną dwururkę i kilkanaście par króćć, co mię kosztowało ze sto czerwonych złotych, wracam nazad do Ponikwy; jeszcze nie dojechał przed ganek, aż tu wybiega ku mnie Eustachy — ja też ku niemu skoczyłem, uściskaliśmy się, jak gdyby z tamtego świata jeden do drugiego wracał, zapłakaliśmy wspólnie nad stratą ojca, i w głębokiem rozczuleniu przepędziliśmy noc całą.

Nazajutrz rano z towarzyszami Eustachego, a przyjaciółmi naszymi, puściliśmy się w dalszą drogę, czterma czterokonnemi brykami, porządnie bronią naładowanemi, bo każdy z nas z kąd mógł jęć zarwać, to zarwał. I szło nam dosyć szczęśliwie a coraz weselęj, bo na każdym noclegu i popasie, zastawaliśmy naszych współ-powstańców, którzy skoro nas spostrzegli, już nas rzucać nie chcieli; a z powiększaniem się taboru naszego, zdawała się jeszcze powiększać gościnność obywateli galicyjskich. Gdzieśmy zajechali do dworu jakiego, choć czasem nie było gospodarza, wszystko jednak było gotowe na nasze przyjęcie, jak gdyby się nas spodziewano; a wszędzie radzi jak braciom, i to braciom w nieszczęściu; wszędzie witano nas z rozczuleniem, żegnano błogosławiąc i życząc szczęśliwszego powodzenia w wojnie, którą gorzała ziemia Polska.

Dojeżdżając do granicy w kilkanaście bryczek, stanęliśmy nad samą granicą w Rzeczycy, w domu szanownego podkomorzego Romanowskiego, który dla tego, że Moskale zajmowali tu wtedy granicę, i że pierwsza jego żona była z domu Jełowicka, nas i cały nasz tabor, siłą przez trzy dni zatrzymał, przyjmując serdecznie ze staropolską wystawą i gościnnością. Rano i wieczór wyprowadzano piękne i dzielne konie jego chowu a czystej krwi polskiej. Osiemdziesięcioletni starzec już ich dosiadać nie mógł, ale na widok ich przypominały mu się dawne lata; zawsze miewał tak dzielne konie i sam był dzielny wojak za *konfederacyi* i za Kościuszki. Konie jego jak były tak i są dzielne, a on patrząc na nie, zazdrościł im wybryków i skoków, jak gdyby zapomniał, że konie coraz to nowe; a on zawsze ten sam, już był przeżył i zajeździł ze dwadzieścia końskich pokoleń. Sam nie mogąc już dosiąść konia, rozplęwał się widząc nas uwijających dziarsko na jego rumakach. „Tęgo, tęgo Mosanie Alexandrze, ale za naszych czasów lepiej bywało“ — mówił mi stary — „Wybierzcie sobie po jednym wierzchowcu a bijcie Moskali i za mnie; Bóg świadek, że już nie zdłużam.“

Po trzech dniach owęj staropolskiej hulanki, zajęchało z dziesięć bryczek. Nasze rumaki po krótkim ale potężnym wycieczku, unosiły po dziedzińcu, dzielni kozacy hamowali im swawolę, a charty podkomorzego uwijając się przy luźnych koniach, tarzając się po ziemi na dobrą wróżbę, nadawały temu obrazowi barwę polowania. Westchnęło się na wspomnienie tych gromadnych, hucznych, ukraińskich polowań naszych, ale myśl zwróciła się szybko do najuroczystszego polowania na najezdzców polskiej ziemi — starzec zapłakał, i nam łąza w oku — starzec pobłogosławił, jeszcze raz staroego węgrzyna kazał nam wypić za Ojczyznę — *Bijcie a pobijecie* — te były jego ostatnie słowa; a z takim zapalem powtórzył, *bijcie a pobijecie!* że nam się zdało, żeśmy już pobili.

Za parę godzin mieliśmy już przemknąć się przez

granicę; każdy by rad być pierwszy, więc wszyscy chcą razem jechać; jednakże czuliśmy, że nieroztropnie jest przebywać granicę w dziesięć bryczek, zwłaszcza że już i tak taborem naszym obudziliśmy drzemiącą czujność austriacką. Podzieliliśmy się na trzy oddziały, jeden za drugim miał ruszać w godzinę, nadto dla ostrożności poprzybieraliśmy nazwiska obywateli nadgranicznych Królestwa, umykających niby z domów swoich przed najazdem Kozaków. Myśmy byli w pierwszym oddziale — ruszamy dziarsko i ochoczo. Na widok słupów polskich serce silniej zastukało; wstąpić na tę ziemię obiecaną, w czasie walki narodowej, i do tej walki stanąć z silną i wprawną ręką, było cackiem myśli naszej. Drżeliśmy niepojętem uczuciem; ogień tryskał nam z oczów, oddech się w piersi tamował, a mróz ochoty po skórze przechodził. Spieszmy prędzej a prędzej; jakiś głośny turkot goni za nami; oglądamy się aż tu cały nasz tabor, pędzi niecierpliw jak szlachta polska. Ledwieśmy zdążyli wykpać ich w myśli, aż tu z za krzaków wybiega i otacza nas oddział piechoty austriackiej; bliższe nas bryczki wpadają w tę samą zasadzkę, najdalsze miały czas zwrócić się.

Słońce było już blizkie zachodu. Prowadzą nas na noc do wsi jakiejś; zajeżdżamy do dworu, tam zastaliśmy obywatela tchórza, który nie chciał nam ułatwić ucieczki. Jeden ze sług jego, przechował nam króciice, a strzelbę i część broni, której nie można było ukryć tak dobrze, Austriacy zabrali i ukradli. Całą noc nie zmrużyliśmy oka, wyparaliśmy znaki z bielizny naszej, umawialiśmy się jak się wyklamać mamy, wymyślaliśmy na tych cymbałów co niepotrzebnie za nami pospieszyli, a czuliśmy w całej goryczy mękę naszą; z żalu, z niecierpliwój złości i niemocy, łzy były nam w oczach a rozpacz w sercu, jak u dzieci, które matce wydzierają.

Nazajutrz, nie mówiąc nam dokąd, prowadzą nas do Rawy, gdzie stał dowódzca półtku. Właściciel Rawy Jabłonowski, ze śliczną żoną swoją, przyjął nas po bratersku doskonałym śniadaniem, do którego tylko nam

ochoty brakowało. Gospodarz utyskiwał nad nami; widząc troskliwą jego ciekawość, wzięliśmy go na stronę, powiedzieliśmy mu jak się rzecz ma i prosiliśmy o radę. Trudna była rada, a ta cośmy ją sobie sami dali, najlepsza.

Nowy oddział Austryaków zabiera nas ze dworu, wyprowadza na rynek, tam broń swoją nabija w oczach naszych, w których wyczytali tylko wzgardliwy pośmiej. Otaczają nas jakby zbójców jakich, a chcąc na śmierć zanudzić, wiozą nas stępą jak gdyby umarłych. Wieźli nas do wieczora i noc całą, nadedniem stanęliśmy w Żółkwi. Tam pamiątki Żółkiewskiego i Sobieskiego, a my w niewoli! Zamykają nas do jakichś pustek, rzucili nam trochę słomy i zakazali wychodzić. Około 8 z rana, mówię podoficerowi, prowadź mnie do starosty, a on przykłada mi strzelbę do piersi, odwodzi kurek grożąc, że strzeli, jak tylko się ruszę: złążam Niemca, wszyscy łajaliśmy chórem, nadbiegł oficer i skończyło się na tem, że mnie zaprowadzono do starosty. Starostą był Gadomski, Polak bardzo poczciwy, powiedziałem mu, że jesteśmy z Królestwa, że szukaliśmy w Galicyi schronienia przed Kozakami a wpadliśmy w gorsze ręce, że z nami ludźmi spokojnymi, obchodzą się jako ze zbójcami, że chcą do nas strzelać, że nas prowadzą nie wiedzieć gdzie i po co, o nic nas nie pytając, nawet o nazwiska nasze; że w tak srogięj ostateczności, wolimy aby nas odprowadzono nazad do Królestwa Polskiego. Starosta ubolewał nad nami, powiedział, że nas prowadzą do Lwowa na śledztwo, że on nasze żądanie przedstawi, że gdybyśmy się splątali w naszych zeznaniach, to nas zapędzą do siedmiogrodkięj ziemi, nakoniec, że poprosi jenerała, aby się kazał z nami lepiej obchodzić. Wyniosłem od starosty trochę nadziei, ale jęj daleko więcj nabrałem w modlitwie u stóp Ołtarza Pańskiego, otoczonego pysznemi obrazami zwycięztw Żółkiewskiego i Sobieskiego. O Boże! coś takie zwycięztwa dawał przodkom naszym, wyrwyj nas z niewoli austryackięj i na nowe zwycięztwa poprowadź nas Panie! Tak skończyłem

modlitwę i wesół do swoich wróciłem; a że u nas przysłowie, *choć bieda to hoc*, więc i nasza szlachta jeła być wesółą i żartobliwą; dziwiło to naszych oprawców, i nie mało przyczyniło się do uwolnienia naszego.

We Lwowie zamknięto nas do jakiegoś więzienia z kratami; nazajutrz zebrano zeznania nasze z każdego z osobna, a my jednego z pomiędzy siebie, który udawał naszego sługę, wysłaliśmy do miasta, niby po żywność, a to było poselstwo do *Komitetu* Polskiego we Lwowie, z prośbą o pomoc w otrzymaniu wolnego powrotu do Królestwa. Poseł nasz wyruszył z żołnierzem, i oba wrócili objuczeni winem, które nam przysłano jako jedyną pomoc i pociechę. *Dobry trunek na frasunek*, powiadają, ale to nie prawda, tém bardziej dla ludzi trzeźwych, a jeszcze w takim położeniu jak nasze. Na drugi dzień sadzają nas na wozy, i odprowadzają nazad do Żółkwi. Po dziesięciu dniach nieco łagodniejszego więzienia w Żółkwi, po kilkakrotnem spisaniu zeznań naszych, przyszedł nakoniec rozkaz ze Lwowa, aby nas odprowadzić pod strażą do najbliższego miejsca granicy Polskiej. Wysłuchaliśmy tego rozkazu z udanym smutkiem. Szlachta podochociwszy sobie porządnie, puściła się nazad przez Rawę; Jabłonowski znowu serdecznie nas przyjął, a kto tylko nas spotkał podzielał radość naszą; kilku obywateli odprowadziło nas aż do granicy Królestwa Polskiego, do którego zbliżaliśmy się z pełnem uczuciem radości, niezmięszanej już z obawą, czy nam kto nie przeszkodzi bić się jutro z Moskalami. Wjechawszy już na ziemię, na której wrzała wojna o Polskę, nie mogliśmy się umiarkować w radości naszej; całowaliśmy tę świętą ziemię, ściskaliśmy się wzajemnie, winszując sobie, że lada dzień mogliśmy znowu za Ojczyznę walczyć i ginąć.

Nie daleko granicy w Tomaszowie, zetknęliśmy się z pułkiem Wołyńców Karola Różyckiego; nagadawszy

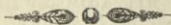
się z tymi powstańcami o wzajemnych przygodach, puściliśmy się w dalszą drogę ku Warszawie. W Józefowie, zastaliśmy już gromadzące się ze szczątków naszego powstania szwadrony *Legji* podolskiej, pod dowództwem majora Wereszczyńskiego. Pod Zawichwostem przeprawiliśmy się przez Wisłę. W Zawichwoście miały się zbierać dalsze szwadrony téj *Legji*; tam zostawiliśmy ludzi i konie, a sami pospiesziliśmy pocztą do Warszawy, dla dowiedzenia się jakie tam losy gotują się dla naszych województw.

Pierwsze wojsko polskie któreśmy spotkali, był to oddział celnych strzelców majora Stefana Dembowskiego. Tęgi to był oddział i tęgi major; pan Stefan nasz sąsiad i przyjaciel, z Krakowskiego zjechał był do nas na Ukrainę, i tam na wielkich dzierżawach rozgospodarował się; przed powstaniem wyjechał był do swojej rodziny i do dóbr swoich, zostawując na Ukrainie żonę i drobne dziatki. Powstanie zaskoczyło go w Krakowskiem, więc zaraz zabrał się do tworzenia oddziału strzelców, bo u nas wyuczył się strzelać po naszemu; z tego oddziału powstał batalion, wsławiony tak jak i dzielny dowódzca jego, we wszystkich prawie walnych bitwach, i w licznych potyczkach. Wtedy, było to około 20 czerwca, batalion ten należał do *korpusu* Chrzanowskiego, który tylko co się był naówczas z pod Zamościa, pomiędzy wojska moskiewskie, szczęśliwie i zreźnie wywinął.

Serdeczne i smutne było powitanie nasze z kochanym panem Stefanem; on się od nas dowiedział o złym końcu naszego powstania, o śmierci naszego ojca w bitwie pod Majdanem, a wiedział już o śmierci swój żony; myśmy się od niego dowiedzieli o szczegółach wielu bitew, o wypuszczeniu Rydygiera, i o wielu innych błędach.

W parę godzin nadciągnął do tego miasteczka generał Chrzanowski dawno nam znajomy, siostrzeniec żony Sołtykowicza. On pierwszy doniósł mi o śmierci kochanego nauczyciela mego, westchnąłem gorzko za duszę jego, a na pociechę pomyślałem, cnotliwy starzec umarł

szczęśliwy, bo zostawił ojczyznę wśród pięknych zwycięstw. Pytam Chrzanowskiego jak się powodzi wojna? „Ej kiepsko, odpowiedział, cała wojna, i wszystko od początku źle prowadzone; jeśli dalej tak będzie, zginie niemi niezawodnie i może za parę miesięcy zobaczymy się w Paryżu.“ Taka mowa jenerała o którego prawności i zdolnościach wojskowych miałem wysokie wyobrażenie, przeszła mi mrozem po wszystkich żyłach. Nie chcąc nikogo ani zniechęcać, ani zatrząwać, nie powiedziałem nic o tém moim towarzyszom powstańcom, ale za to sam gryzłem się i martwiłem niezmiernie, dopókiśmy nie stanęli w Warszawie. Tam na widok obronnych wałów miasta i silnych a gęstych zapór po ulicach, powiedziałem sobie, myli się Chrzanowski, bo jeśli nie zwyciężym, to nie w Paryżu, ale pod gruzami Warszawy zobaczymy się.



ROZDZIAŁ VIII.

WSTĄPIENIE DO SEJMU.

W Warszawie zastaliśmy już wielu współpowstańców, którzy wyprzedzili nas o cały czas naszego więzienia w Galicyi. Sobańskiego Aleksandra wódz naczelny mianował już był kapitanem adjutantem swoim, ozdobił krzyżem wojskowym i polecił mu zaciąg dwóch szwadronów *Legii litewsko-ruskiej*, ze szczątków naszego powstania. Sobańskiego pierwszego z powstańców naszych widzieliśmy w mundurze ułańskim; pięknie wyglądał jako żołnierz, ale straszniej jako powstaniec. Tyszkiewicz podał był zdanie sprawy do rządu narodowego o biegu naszego powstania, ale jeszcze powstańcy nasi nie weszli do sejmu, w którym już zasiedli byli posłowie wołyńscy: dnia 18 czerwca Narcyz Olizar, 24 czerwca Stanisław Worcell, 2 lipca Ksawery Godebski.

Przybywszy do Warszawy, ani ja ani bracia moi nie przedstawiliśmy się naczelnemu wodzowi, ani rządowi narodowemu, szanując ich czas poświęcony służbie krajowej, a sami dla siebie nie pragnąc niczego. Dwa główne były wówczas widoki powstańców. Pierwszy: przygotować jak najrychlejszą wyprawę do obudzenia nowych powstań w ziemiach naszych; drugi: mieć w sejmie posłów powstania, to jest ziem naszych. —

Pierwszém ochoczo i żwawo już się zajmowali Sobański i Wereszczyński, pierwsze już daleko naprzód posunął Karól Różycki, który z pułkiem Wołyńców był zawsze w boju; drugie zostawało do zrobienia. — Do téj czynności dla Podola były dwie drogi: albo żeby zasiedli w sejmie posłowie obrani w obozie pod Krasnosiółką, albo żeby wybrać pomiędzy powstańcami nowych posłów; pierwszy sposób był gotowy, ale podług niego ja jeden tylko byłbym zasiadł w sejmie, bo z posłów obranych pod Krasnosiółką ja tylko jeden byłem w Warszawie; Waclaw Jełowicki, mój ojciec, zginął pod Majdanem, Teofil Obniski, tamże mocno ranny, leczyl się w Galicyi; Izydor Sobański odcięty w téjże bitwie, długo był miany za zginionego: Karol Potocki po téjże bitwie wrócił do domu; Sobański Aleksander zajął się inną, a bardzo ważną, czynnością. Wzgląd na dobro powszechne kazał mi zataić moję godność, a przez nowe wybory dokonane w Warszawie wprowadzić tymczasem do sejmu z województw podolskiego i kijowskiego po sześciu posłów. Dla naradzania się w tym celu zbierano się kilka razy w mieszkaniu naszym, nakoniec raz liczniej zgromadzono się w gospodzie Rozengarta. Na tém ostatniém zgromadzeniu czytałem współpowstańcom krótki rys naszego powstania, przygotowany do podania sejmowi. Rys ten przyjęty i stwierdzony jednomyślném zadowoleniem, odczytałem potem w Izbach połączonych, w dzień mojego wejścia do sejmu. Na témże zgromadzeniu ułożyliśmy odezwę do rządu narodowego, prosząc, aby nam pozwolił odbyć sejmiki wyborcze w Warszawie, na mocy uchwały sejmowej, upoważniającej ziemie oderwane od Polski do obrania posłów na sejm. Rząd narodowy przychylił się natychmiast do naszego żądania i na sejmiki nasze wyznaczył nam izby miejskie. W tych przygotowawczych czynnościach towarzyszył nam gorliwą radą Henryk Nakwaski, syn wojewody, który po żonie swojej mając majątek na Podolu, chciał być obrany posłem z Podola, chociaż mieszkając zawsze w Królestwie Polskiem, do powstania naszego nie należał.

Na marszałka sejmiku podolskiego, jako nieobznajomieni z porządkiem sejmikowym, zaprosiliśmy sędziwego posła z Królestwa, Obniskiego, ojca Teofila Obniskiego, który osiadłszy na Podolu, krew swoją z nami przelewał. Ja byłem sekretarzem sejmiku. Po otwarciu sejmiku ogólnego, miano się rozdzielić na powiaty i wybierać posłów z powiatów; lecz gdy się okazało, że nie było obywateli ze wszystkich powiatów, i że tylko powiat hajsyński i jampolski miały obecnie liczbę kresek przepisanych ustawami; chociaż oba te powiaty zapraszały mnie jednomyślnie każdy na swego posła, podziękowałem za zaufanie, a oświadczyłem, że ponieważ niezwykle jest położenie nasze, możemy téż nadać wyborom naszym kształt niezwykle, i wniosłem, żeby pozostać w sejmiku ogólnym całego województwa mającego dwanaście powiatów, i wybrać ogólnem głosowaniem sześciu posłów, którym nadamy potem imiona powiatów, z których największa liczba wyborców była pomiędzy nami; a zaś wybór innych sześciu posłów żeby zostawić samym powiatom, albo nowym ich powstaniom. Tych sześciu posłów chciałem, aby byli wybrani z podwójnej listy podanych i większością wszystkich głosujących. Takie wybory dogadzały, zdaniem mojem, potrzebie wprowadzenia do sejmu większej liczby posłów, wybranych otaczały większem zaufaniem, a późniejszym usiłowaniom naszego województwa zostawiały wolne miejsce w sejmie i uczestnictwo w przestrzeganiu rzeczy krajowej. Wniosek mój przyjęto jednomyślnie i na posłów wybrano jak następuje:

Z powiatu hajsyńskiego, mnie.

Z olhopolskiego, Ksawerego Sabbatyna.

Z winnickiego, Amancyusza Żarczyńskiego.

Z jampolskiego, Aleksandra Bernatowicza.

Z kamienieckiego, Jacka Gołyńskiego.

Z bractawskiego, Henryka Nakwaskiego, wywdzięczając mu jego gorliwą pomoc w przygotowaniu i w odbyciu naszego sejmiku.

Spisałem treść tego sejmiku, która nazajutrz przez sejmik jednomyślnie przyjęta, natychmiast do zatwier-

dzenia senatowi odesłaną została. Na wzór naszego, odbył się zaraz sejmik kijowski pod łaską Wincentego Tyszkiewicza; obrani zostali:

Z powiatu skwirskiego, Wincenty Tyszkiewicz.

Z machnowieckiego, Herman Potocki.

Z humańskiego, Daniel Tchorzewski.

Z lipowieckiego, Józef Tomaszewski.

Z radomyńskiego, Jakub Malinowski.

Z taraszczańskiego, Józef Bohdan Zaleski.

Daniel Tchorzewski był sekretarzem sejmiku kijowskiego, któremu jako doradca byłem obecny; dla popiechu i zgodności, treść tego sejmiku spisana według naszej treści, razem też z naszą poszła do potwierdzenia senatu, a dla wiadomości narodu podaliśmy ją do *Dziennika Powszechnego*.

Około tego czasu wódz naczelny życzył sobie mianować oficerami dwunastu z powstańców naszych i przeznaczył dla nas dwanaście krzyżów, cztery złote a ośm srebrnych. Do stopni oficerskich przedstawiliśmy szesnastu, i wszyscy je natychmiast otrzymali. Krzyże srebrne rozdaliśmy pomiędzy powstańców, złote przez tajemne głosowanie przyznano nam trzem braciom i Józefowi Potockiemu, ale wszyscy postanowiliśmy jednomyślnie podziękować za krzyże, i napisaliśmy do naczelnego wodza, że za poświęcenie nasze nie pragniemy innej nagrody, jak zwycięstwa i bytu Polski, że dziękując naczelnemu wodzowi za to, że nasze powstanie ozdoba wojskową uczcił raczył, prosimy go, aby nasze krzyże złote zastąpił srebrnymi i pozwolił nam rozdać je pomiędzy tych walecznych powstańców, którzy jako prości żołnierze najwięcej trudów ponieśli, a najmniej zwykle odbierają zaszczytów. Naczelný wódz mile przyjął taką odezwę naszą.

Widok wojska narodowego, widok stolicy przygotowanej do najzaciętszej obrony, obudzał nasze nadzieje; ale coś było tak ciężkiego w powietrzu, coś tak zimnego w całości i sejm, i rządu, i wojska, i samój

Warszawy, że kiedy niekiedy dreszcz mimowolny, niewytłumaczony mnie przechodził; odganiałem go, jak złego ducha, a wierzyłem w sprawę narodową, jak Turek w Alkoran.

Co do sejmu, zastałem go właśnie po nieszczęśliwie skończonym sławnym sporze o zmianie rządu. Gdy po raz pierwszy przyszedł przysłuchiwać się sejmowi, zastałem rozprawy o podatku od srebra. Rozprawy te były tak drobiazgowo, jak sam przedmiot. Gorzko westchnąłem i pomyślałem sobie: Mój Boże! myśmy wszystko do powstania rzucili! matki i siostry nasze postanowiły używać łyżek drewnianych, a wszystkie srebro zrzucić do skarbu narodowego, a oni tu targują się o lichy podatek od swoich skarbów. Żle, pomyślałem sobie, nie ma tu zapалу, nie ma młodzieńczej miłości ku ojczyźnie. Tak mówili i inni powstańcy.

Przychodzę na drugie posiedzenie; zastałem sprawę jakiegoś dziennikarza, pobitego kijem przez jakiegoś oficera za szkalowanie. Myślę sobie: A co to do sejmu należy?! i wychodzę.

W tém zajeżdżają senatorskie kolasy. Piękne, spaśne i dzielne konie! Myślę sobie: O teby się zdały do harmat! Patrzą, aż na udach tych koni wielkie piętno, podobne do *N*. Myślę sobie: Co to za piętno? W tém zajeżdża druga kolasa: znowu tęgie konie, i znowu toż samo piętno. Zajeżdża trzecia, i znowu to samo; myślę sobie, że tu wszystkie konie z jednego stada. Pytam więc:

— „Czyje to piętno?“

— „A rządowe!“

— „Jako rządowe?“

— „A to *N* znaczy, że koń *niezdatny*, i że nie może być wzięty do potrzeb wojennych.“

Pomyślałem sobie: Zdatniejszy on od swego pana! A idąc ku domowi, spotkałem wiele chabet z piętmem *Z*, co miało znaczyć, że *zdatne*, a bardzo *niezdatne*.

W parę dni po naszym przybyciu do Warszawy uwięziono generała Jankowskiego, Hurtika i innych posądzonych o zdradę, albo o szpiegostwo. Uwięzienie to

w bardzo drażliwej chwili powstania, wykonywane wśród dnia i z pewnym rodzajem okazałości, a jeszcze do tego w niedzielę, dało powód do bardzo licznego zebrania się ludu. Lud ten z okrzykami groźby nowych tych więźniów odprowadził do zamku, a zatrzymawszy się tłumnie przed słupem Zygmunta, wołał: „Śmierć zdrajcom!“ Wielki tam był hałas, ale wściekłości nie było. Nadszedłem tam właśnie w tej chwili, kiedy prezes rządu, książe Czartoryski, wyjeżdżał z *pod blachy* to jest z jednego ze skrzydeł zamku, od Skrzyneckiego. Lud otoczył powóz księcia; był to kocz spuszczonej, ciągniony parą siwymi końmi. Lud wołał: „Księżę prezesie, sprawiedliwości na zdrajców!“ Niektórzy czepiali się aż na stopnie powozu, wołając toż samo; wszyscy razem krzyčeli, dowodzili, rozprawiali, jak to zawsze w podobnych razach. Stałem tuż przy powozie i byłem niemyym świadkiem tego zgiełku, bo świeżo do Warszawy przybyły, nie wiedziałem dokładnie, jak się rzeczy mają. Książe kazał powozowi zatrzymać się; ze zwykłą słodyczą nakłaniał lud do uspokojenia i rozejścia się. Nakoniec stanął w powozie i kilka razy tak donośnie jak mógł do ucziszającego się ludu zawołał:

— „Panowie, zaufajcie rządowi narodowemu, on rozpozna winy; zdrajcy ukarani będą, zaręczam wam!“ ale nie mówił, że to nastąpi we 24 godzin, jak to wielu mylnie utrzymuje.

Na te słowa księcia niektórzy krzyčeli mu: Niech żyje! Lud się uspokajał, rozstał się. Książe pojechał spiesznie do gmachu rządowego, a lud rozchodzić się zaczął.

Nie znałem jeszcze księcia, a pierwszy raz widząc go w tak uroczystém położeniu, uderzony byłem szlachetną łagodnością jego twarzy i spokojną godnością; uderzony też byłem wyrozumiałością poczciwego ludu warszawskiego i tą czcią i ufnością, jaką odpłacał dobre dla siebie chęci. Szkoda, że książe nie korzystał nigdy z tego usposobienia umysłów.

Wybory naszych sejmików były roztrząsane nie w samym senacie, lecz w Izbach połączonych, albowiem

wtedy obie Izby były w małym składzie, a w takim składzie sejm obradował w Izbach połączonych. Kilka głosów odezwało się przeciwko wyborom, zarzucając im niezupełne zachowanie przepisów, kilku też mówiło za nami. Sędziwy kasztelan Niemcewicz wspomniał, że w sejmie czteroletnim na tych samych ławach zasiadał z dziadami naszymi; powiedział, że połączenie posłów ziem zabranych z posłami Królestwa będzie wróżbą, połączenia wszystkich części Polski w jedną potężną całość, jak było przez wieki; dodał nakoniec, że myśmy krwią swoją okupili uchybienia przeciw przepisom, których położenie nasze zachować nam nie pozwoliło. Głos Niemcewicza przeważył, i wybory nasze potwierdzone zostały.

Wprowadzono nas do sejmu dnia 9 lipca; było to w sobotę, ministrowie byli obecni. Połączone Izby zebrały się licznie w bogatej izbie tronowej, strojnej w herby Korony i Litwy, lud napełniał wszystkie miejsca, a nasi powstańcy skupieni w jedno grono czekali niecierpliwie, jak też ich posłowie wystąpią.

Zasiedliśmy miejsca nasze, senatorowie w krzesłach, za nimi posłowie na ławach, marszałek i prezes senatu naprzeciw tronu; ministrowie u stóp tronu; wszystkie miejsca pełne, tylko tron próżny; i tak mi się tam zdawało, jak gdyby brakowało gospodarza w domu, i pomyślałem: Albo posadźcie kogo na tym tronie, albo go wyrzucie!

Wspaniały marszałek podniósł laskę ze srebrnym orłem, co w jego ręku wyglądała niby berło; stuknął potrzykroć, uciszono się; marszałek otworzył posiedzenie, a podniósłszy głos swój poważny a dźwięczny, powitał nas z czułością braterską wyrazami wspólnej nadziei. My też witaliśmy prześwietne Izby. Malinowski w imieniu posłów kijowskich, ja w imieniu posłów podolskich. Malinowskiemu, jako starszemu wiekiem, ustąpiłem pierwszeństwa tém chętniej, że po mojem przymówieniu się, mając czytać krótki rys powstań naszych, chciałem zostawić Izbę pod jego wrażeniem. Była to dla mnie chwila równie uroczysta, a jeszcze

okazała od téj, kiedy pierwszy, i po raz pierwszy, przemawiałem do tysiąca powstańców, otaczających mnie na dzielnych koniach, z bronią w rękę, z ogniem zwycięstwa w oczach. Tu w sejmie byłem otoczony wszechwładztwem narodu. Powiodłem okiem rozrzewnienia po tém dostojném gronie, z uczuciem dumy, że sam do niego należę. Słuchano mnie łaskawie, a huczne oklaski zgromadzenia, a nawet Izb samych, zdawały się potakiwać mowie mojej, którą zakończyłem, wzywając co najrychlejszego niesienia pomocy mieszkańcom ziem naszych, gotowym powstać za ukazaniem się wojska polskiego, gotowym powitać przyniesioną im swobodę i wolność, nieograniczonym poświęceniem majątków i życia.

Przewodniczący senatu, wojewoda Kochanowski, poruszony obrazem powstania naszego, czule mi odpowiedział w imieniu senatu, a minister Dembowski w imieniu rządu. Po skończonym posiedzeniu otoczyli mnie liczni posłowie, witając grzecznemi słowy; wielu z nich dziwiło się, że mieszkańcy tak dawno zabranych ziem, mówimy czystą polszczyzną.

Trzeba wiedzieć, że skreślając w mowie mojej rys powstań naszych, chociaż osób wcale nie wymieniałem, oskarżyłem majora Chróściechowskiego, nastanego tak nieszczęśliwie na ziemi naszej. Zaraz po posiedzeniu marszałek Ostrowski ze zwykłą słodyczą swoją, ale bardzo natarczywie, nalegał na mnie, abym dając do druku mowę moję, wymazał z niej nazwisko Chróściechowskiego, a napisał tylko: pewien wyższy oficer. Zapytałem: „Dla czego, kiedy on tyle zaszkodził powstaniom naszym?“

— „Nie można,“ odpowiedział, „bez wysłuchania obrony potępiać i gubić człowieka bardzo potrzebnego, tém więcej, że rząd użył go do tajemnych a ważnych poleceń. Przyjdź do mnie jutro, a wszystkiego się dowiesz, a teraz zaufaj mi i zrób to dla mnie.“

Ufałem marszałkowi na ślepo, a więc skłoniłem się do jego żądania.

Nazajutrz rano Malinowski, Żarczyński, ja i jeszcze któryś z naszych postów, byliśmy u marszałka. Marszałek oświadczył nam, że Chróściechowski nikomu z osób rządowych nie był znany, że na podaniu obywateli województwa podlaskiego, przystępujących do powstania, do swego podpisu dodał jakiś żwawy wykrzyknik. Otóż ten wykrzyknik był całym zaleceniem! i kiedy Chróściechowski zażądał, aby go użyto na miejsce ważne a niebezpieczne, marszałek przypominając sobie ów wykrzyknik, a nadto uderzony tajemniczością Chróściechowskiego, polecił go głównemu sztabowi do działań tajnych; i podobno główny sztab powierzył Chróściechowskiemu owo nieszczęsne poselstwo do nas, a nawet dał mu zlecenie buntowania posiadłości. Marszałek otrzymał był o naszym powstaniu zdanie sprawy, w którym Chróściechowski wychwaliwszy się należycie, a całą winę na powstańców spędzając, zapowiada jeszcze arcyważne usługi dla ojczyzny, gdzie się komu podoba. Zawierając tym obietnicom, marszałek wymógł na mnie, abym nazwisko Chróściechowskiego zataił. Dowiedziawszy się dokładnie, jak się rzecz ma, powiedziałem marszałkowi, że gdybym był wczoraj wiedział, że takie tylko są powody żądania jego, byłbym się do tego nie przychylił; zaręczaliśmy marszałkowi, że Chróściechowski poczciwy człowiek, ale źle użyty, i że najkorzystniej będzie odebrać mu natychmiast dane upoważnienie. Marszałek oddał nam owo sławne sprawozdanie Chróściechowskiego, które chowam jako świadectwo dobrych chęci i niezdolności w jednej osobie.

Skończywszy rzecz o Chróściechowskim, zapytaliśmy marszałka, jakie są jego nadzieje o dalszym powodzeniu powstania, i jakie zdanie o tém, co dotąd w niém zaszło? Odpowiedział, że rzeczy bardzo dobrze idą, że dotąd cała sprawa tak była prowadzona, że gdyby się mogła drugi raz zacząć, to po dzisiejszym nawet doświadczeniu małoby się znalazło do odmienienia. Tłumacząc to ważne zdanie, przebiegał wszystkie chwile powstania od nocy 29 listopada i niemal wszystko po-

chwalał. Zakończył, wychwalając sejm, rząd, wodza, wojsko i naród; dodając, że *interwencya*, co ma znaczyć obca pomoc, obce wdanie się w sprawę naszą, że *interwencya* uwieńczy wszystkie usiłowania. My nieświadomi rzeczy, słuchaliśmy marszałka, jak wyroczni, a on tak ciężko się mylił!

Wkrótce spostrzegliśmy, że nasze ziemie były zaniedbane, że wielu naszych powstańców nie miało przytułku i umieszczenia; że tworzenie *Legii litewsko-ruskiej* szło powoli. Dla tych powodów, na wniosek Olizara, utworzyliśmy *komitet ziem ruskich*, mający na celu wspomaganie naszych powstańców i przyspieszanie ile możności nowój wyprawy do ziem naszych. *Komitet ziem ruskich* składał się z dziewięciu członków, po trzech z każdego województwa; obecni powstańcy w Warszawie wybrali członków, przepisali ustawy, a chcąc *komitetowi* nadać więcej powagi i wpływu u rządu, zaprosili do składu jego wojewodę Michała Radziwiłła, byłego naczelnego wodza, i wojewodę Ostrowskiego, dowódcę *guardyi narodowej*. Marszałek Ostrowski licznemi zatrudnieniami wymówił się od należenia do tego *komitetu*.

Członkami jego byli, jak następuje:

Z województwa wołyńskiego:

Michał Radziwiłł,
Ksawery Godebski,
Stanisław Worcell.

Z województwa podolskiego:

Antoni Ostrowski,
Aleksander Jełowicki,
Ksawery Sabbatyn.

Z województwa kijowskiego:

Herman Potocki,
Piotr Kopczyński,
Daniel Tchorzewski.

Otrzymawszy upoważnienie od rządu narodowego, *komitet* ten rozpoczął działania swoje zwykłym spo-

sobem, to jest od pisania odezw, które zostały bez skutku, bo wkrótce już nastąpił upadek Polski; służył ile mógł powstańcom i opiekował się nimi. Jedynym zasobem *komitetu* były 20,000 złotych, ofiarowane przez Aleksandra Potockiego, dziedzica Humańszczyzny, i nieco klejnotów ofiarowanych przez księżną jenerałową Czartoryską. Po opuszczeniu Warszawy, *komitet* wyrobił u rządu narodowego pożyczkę 4,000 złotych na wsparcie powstańców nie pobierających żołdu. Niektórzy członkowie tego *komitetu* znajdując się w początkach tułactwa we Lwowie, skutecznie przyczynili się do wyprawienia wielu tułaczów polskich do Francji, czyniąc im rozmaite ułatwienia, i zasilając ich pieniędzmi zbieranemi z niemałym kłopotem.

Dzień za dniem przechodził, a wszystkie ponuro; nie rozweselało Warszawy ani nowe zwycięstwo, ani nawet żadna zagraniczna pociecha. Ułudzenia marszałka sejmu, że powstanie jak najlepiej prowadzone, szybko niknęły nam z oczów; uczuliśmy wkrótce, że rzeczy źle idą. Mnóstwo oficerów bez służby zbijało bruk warszawski, a patrząc na nich, mówiliśmy: Czemu nam ich choć z połowę nie przysłano? Wojsko ochocze, ale go nie prowadzą do boju; sprężystości rządu nie znać w niczém; sejm jest, jak gdyby nie był; rozlazłość we wszystkiém, i tylko kiedy niekiedy nowozaciężni przechodząc przez Warszawę, ożywiali ją, wyśpiewując wesoło: *Jeszcze Polska nie zginęła*, a mogli dodać: *ale już zasnęła!*

ROZDZIAŁ IX.

CZYNNOŚCI SEJMOWE.

Wszedłem do sejmu ze szczerotą powstańca, nie przywiązałem się nigdy do żadnego stronnictwa, a postępowałem zawsze podług własnego przekonania; nie znałem, a poznawszy, nie używałem owój sztuki, co to po za sejmem ujmuje stronników, oblicza głosy, przygotowuje wszystkich do łaskawego przyjęcia tego lub owego wniosku. Ja rozumiałem, że na sejm powinno się przychodzić, jak do świątyni cnoty, nie zaś jak do szkoły zręczności; rozumiałem, że członek sejmu winien narodowi swoje przekonanie, swoje natchnienie, i że powinien przedstawiać sejmowi w całej prawdzie pojęcia i zamiary swoje, bez używania ubocznych środków. Idąc za tém przekonaniem, wszystkie wnioski moje przynosiłem wprost na posiedzenie sejmu, nie obnosząc się z nimi wprzód po towarzyszach moich; we wszystkich wnioskach przystępowałem wprost do rzeczy, nie kołując pierwój po różnych namiętnościach i słabościach ludzkich. Towarzysze moi mówili mi, że postępuję niezręcznie. Nie zważałem na ich przestrogę, lecz w dalszym ciągu prac sejmowych, przekonałem się, że na sejmach tak jak i we wszelkich zgromadzeniach, potrzebna jest zręczność, którą nadaje wprawa;

że nie dość na saméj sumienności, bo ludzie nie święci!

Posłowie dawni królestwa wzdragali się przyjmować nas do swego grona w obawie, abyśmy im nie stawiali na zawadzie w rozwijaniu wolności, po naszym wejściu do sejmu mieli nas znowu za zagorzalców. Oba te przypuszczenia były niesłuszne, bo ile wiem, posłowie nasi nie potakiwali wyuzdanéj swawoli, nawet nie tworzyli osobnego grona, a wszyscy prawie, ile wiem, postępowali podług własnego sumienia i przekonania; ale działania ich nie mogły się zaraz wywinąć, bo były zrazu spętane owém synowskiém zaufaniem w nieomylnosć sejmu i rządu, zaufaniem przyniesioném z ziem naszych, które z powodu jego tyle już były ucierpiałe. Zaufanie to wkrótce rozchwiało się i znikło. Wielka to bieda, kiedy nie ma komu ufać! I nam téż nie ufali dawni posłowie; nie wiem, czyja w tém wina; przypuszczam, że nasza.

Wkrótce po wejściu naszym do sejmu, nastąpiły nowe wybory do *komisyj sejmowych*, nieco spóźnione dla tego, abyśmy *światłem naszym*, jak to grzecznie wyrażali dawni posłowie, objaśniali prace tych *komisyj*. Tymczasem jak przyszło do wyborów, ani jeden z nowych posłów do żadnej *komisji* wybranym nie został. Trzech nas tylko utrzymało się dopiero na drugich i trzecich zastępców i dopiero w Zakroczymiu, Godebski i ja, weszliśmy do składu *komisji*, gdy wielu z *komisarzy* zostało w Warszawie.

Przy zdarzonéj sposobności wymówiłem był Izbie poselskiéj owę sprzeczność wyborów z poprzedniemi oświadczeniami. Przy tych wyborach pokazała się także w całej mocy skłonność sejmu do *dypłomacyi*, bo wszyscy prawie *komisarze* bez względu na znakomite swoje zdolności prawnicze lub skarbowe, starali się usilnie, aby ich do *komisji dypłomatycznój* przeznaczono, bo mieli nadzieję dowiedzenia się tam tajemnic *dypłomatycznych*, a mało kto nie ciekawy.

Dnia 16 lipca Godebski odczytał ognistą mowę, żądając, aby minister spraw zagranicznych, ogłosił

całemu światu i wszystkim rządóm, że Litwa i Ruś na nowo połączyły się z Polską przez krew wylewaną w powstaniu; żądał także, aby sejm widząc powstania nasze, powtórzył niezłożenie oręża, dopóki Polska nie odzyska niepodległości w odwiecznych granicach swoich. Mowa Godebskiego sprawiła skutek niepospolity. Sejm uniesiony chwilowym zapałem, który się kiedy niekiedy odzywał w poczciwém sercu jego, zamienił jednomyślnie głos Godebskiego w uchwałę swoją.

Nazajutrz pełnomocnicy austriacki i pruski upomnieli się u rządu narodowego o to *niedyplomatyczne* oświadczenie się sejmu za *odwiecznymi granicami Polski* i sejm na wniosek prezydujących ścieśnił oświadczenie swoje, dodając po wyrazach: *w odwiecznych granicach*, wyrazy: *po Dniepr i Dźwinę*.

Otoż do jakiego to upokorzenia *dyplomacya* przeprowadza naród powstający, a jeszcze taki naród, jak my, co tylko bić się powinien, bo to umie, ale nie *dyplomatyżować*, bo tego nie umie, nie umiał i podobno umieć nie będzie.

Dnia 24 lipca, na wniosek Bonawentury Niemojowskiego, sejm nakazał radę wojenną, złożoną z rządu narodowego, naczelnego wodza, generałów przez rząd wybranych, tudzież z posłów, po jednym z każdego województwa. W sejmie byli w ówczas posłowie z jedynastu województw. Wybrano z nich do téj rady posłów następujących: Z ośmiu województw kongresowych: Łubiewskiego, Gustawa Małachowskiego, Świrskiego, Niemojowskiego, Chełmickiego, Zwierkowskiego i Wiśniewskiego; z województwa wołyńskiego Olizara, z podolskiego mnie, z kijowskiego Bohdana Zaleskiego. Posłowie każdego województwa wybierali do téj rady jednego z pomiędzy siebie, dla tego to do jój składu należało trzech posłów ziem naszych. Do téj rady należeli generałowie: Kazimierz Małachowski, Łubieński Tomasz, Sierawski, Chrzanowski, Prądyński, Ramorino, Franciszek Morawski (minister wojny), Węgierski (gu-

bernator Warszawy), Bontan, Kołaczkowski i pułkownik Kariot (Cariot).

Niemojowski żądając téj rady, miał na celu zmianę naczelnego wodza, nad którą od dawna pracował, i w tym celu zbierał uboczne narady posłów, na których wpływ liczył; na jedną z tych narad, zaraz po wejściu do sejmu, i ja byłem zaproszony. Ta narada odbyła się u Wincentego Niemojowskiego. Znajdował się na niej Teofil Morawski, członek rządu, i kilku posłów, których nazwiska nie przypominam sobie, bo wtedy mało kogo z nich znać mogłem; zdaje mi się, że był tam także Olizar. Było to około 12 lipca. Bonawentura Niemojowski zagałł tę naradę, wspomniął o liście Prądyńskiego do rządu narodowego, zawierającym oskarżenie działań Skrzyneckiego; mówił o opieszałości i niezdolności naczelnego wodza, o tém że potrzeba go zmienić koniecznie, utyskiwał, że rząd nie ma prawa uczynić téj zmiany, oświadczył, że potrzeba, aby sejm dopełnił jój jak najprędzej. Wincenty Niemojowski rozwijał zdanie swego brata, i wszyscy obecni zdawali się dzielić to zdanie. Ja zapytałem, kogo chcą postawić na miejscu Skrzyneckiego? Nikt nie odpowiedział; mówili ogólnie, że łatwo się znajdzie; któryś napomknął o Umińskim i tą razą skończyło się na niczém.

Czy były dalsze schadzki u Niemojowskich przed ową walną radę wojenną, nie wiem; ale o tém wątpić nie mogę, że celem wniosku Niemojowskiego była zmiana naczelnego wodza. Skutek okazał, że Niemojowski nie obrał ku temu najkrótszej drogi. Prędzejby dopiął swego, gdyby wniósł w sejmie o zmianę naczelnego wodza, albo o uchwałę, aby wódz naczelny przestał być członkiem rządu, i aby rząd narodowy miał prawo odwoływania i mianowania wodza.

Sejm nakazując radę wojenną, nie myślał o zmianie wodza; chciał on tylko rozpoznać obecny stan wojny, i zapewnić się o środkach pomyślnéj walki na przyszłość. Co do przeszłości, tę rzecz zostawił do woli pełnomocników swoich, nie nakazując, ani zakazując w téj mierze. Taki duch uchwały sejmowej o radzie

wojennój stronnikom Skrzyneckiego dał silne stanowisko.

Między uchwałą o radzie wojennój (24 lipca) a radą wojenną (27 lipca) trzy dni upłynęło. Rada odbywała się w gmachu rządowym. Członkowie rządu narodowego zasiedli za długim stołem, naczelny wódz zajął miejsce obok prezesa rządu; po prawej ręce, ku środkowi izby, zasiedli posłowie podług porządku województw; po lewej, generałowie podług starszeństwa w stopniach.

Książę Czartoryski zagaił posiedzenie mową pełną stodyczy i uczucia zgody, oświadczając nadzieję, że obecna rada zakończy wszelkie niepokoje i niesmaki, wszczepi wzajemną ufność, zatrwoży wrogów naszych jednością i zgodą, i wyda dla ojczyzny zbawienne owoce. Było to bardzo poważnie.

Skrzynecki, mąż okazałej postawy, oblicza pogodnego, jaśniejącego czystością sumienia, wyglądał jako natchniony zbawca ojczyzny; na twarzy tego bohatera dziwna walka pokory chrześcijańskiej z dumą ludzką. Zabrał głos, oświadczając z uległością a razem z powagą gotowość tłumaczenia się na zarzuty i posłuszeństwo rozkazom sejmu. Zakończył, mówiąc uroczyście, że przed sądem narodu staje z niepokalaném sumieniem, że co dotąd uczynił złego, lub zaniechał dobrego, w tém jego nieudolność a nie zła chęć jest winna, i że gdyby widział zdolniejszego od siebie, samby mu dawno oddał buławę.

Posłowie jeden po drugim z kolei czynili Skrzyneckiemu rozmaite zarzuty, z których się najserdeczniej tłumaczył. Jedni zarzucali, że powiększenie wojska idzie leniwo, drudzy że wielu zdolnych oficerów jest nieużytych, z powodu osobistój niełaski naczelnego wodza. Inni pytali, czy Warszawa jest dostatecznie opatrzona w żywność i we wszelką obronę na przypadek obłężenia i szturm?

Z naszych posłów Olizar wymawiał naczelnemu wodzowi zaniedbanie ziem naszych, a nawet obojętność i niechęć dla naszych powstańców.

Skrzynecki uczył bardzo tę wymówkę. Mówił, że nie go tak nie boli, jak to, iż dotąd skutecznej pomocy ziemiom naszym dać nie mógł, że ta część Polski ciągle zajmuje myśl jego; oświadczył się ze czcią i miłością dla powstańców i dodał: „Ja nie opuściłem żadnej zrzeczności, aby im usłużyć, aby ich przycisnąć do serca mego, a jeśli mi który swojego odmawia, nie moja w tém wina!“

Gdy przyszła na mnie kolej, zapytałem: Dla czego wódz naczelny pozwolił Paszkiewiczowi przejść Wisłę?

Skrzynecki odpowiedział, że zdaniem najbłędszych wojowników i samego Napoleona jest to, że nie podobna wzbронić przeprawy przez rzekę liczniejszemu nieprzyjacielowi.

Gdyby i tak było, jednak łatwiej bronić przeprawy, jak przeprować się; jeśli nieprzyjaciel się uprze, to za swój upór drogo zapłacić musi. Jeśliby się nie udało pobić zupełnie nieprzyjaciela w czasie przeprawy, to przynajmniej wielkie nad nim korzyści odnieśćbyśmy mogli. Tymczasem przeprawa wcale bronioną nie była, Moskale przeszli Wisłę tak spokojnie, jak gdyby u siebie. Przejście Paszkiewicza przez Wisłę przeraziło i zatrwożyło cały naród.

Skrzynecki nie tłumaczył się na te uwagi moje; może dla tego, że nie chciał rozgłaszać ulubionego układu swego, sprowadzenia Moskali pod Warszawę, i serdecznej nadziei zagrzebania ich pod murami stolicy. Nic nie odpowiedział, i wszyscy milczeli.

Po mnie nikt z posłów nie mówił. Wtedy generał Sierawski prosił prezesa o głos. Wódz naczelny powstał na czcigodnego starca, oświadczając ostro, że żaden z generałów bez jego pozwolenia mówić tu nie może, że powinni się tu zachować, jak zwykle na radzie wojennej. Niektórzy posłowie obruszyli się na wodza. Chełmiński przymówił mu najostrzej, dodając, że Skrzynecki nie jest tu wodzem, że jest teraz przed sędziami, nie zaś przed podwładnymi, że dzisiaj wszyscy tu starsi od niego. Wódz nie tracąc powagi, odpowiedział, że zdaje mu się, iż sejm nie polecił posłom, aby bunto-

wali jenerałów przeciwko niemu. Większość jenerałów obruszyła się na Chelmieckiego, mianowicie Łubieński, który z żywością oświadczył, że oni jenerałowie, w jenerale Skrzyneckim dopóty widzieć będą walecznego wodza, dopóki znaki tego stopnia ozdabiać go będą. Była to jedyna burzliwa chwila rady wojennój; za wdaniem się prezesa, rzecz się ukotysała, spokojność wróciła. Wtedy Prądzyński nieśmiało przystąpił do stołu, i zamiast czytania owego listu swego, oskarżającego działania Skrzyneckiego, składa go na stole. Niektórzy posłowie żądali odczytania tego listu, ale poseł Małachowski sprzeciwił się temu, utrzymując, że wysłańcy sejmu nie mają prawa wglądania w przeszłość, i że to nawet zamiast doprowadzenia do celu, którym jest obmyślenie środków zbawiennych na przyszłość, odprowadziłoby od niego, wywołując nowe niezgody i rozjątrzenia. Nastąpiło w tej rzeczy krótkie spieranie się, po którym bez głosowania zgodzono się na to, aby zaniechać przeszłość, objaśnić się o stanie obecnym, i naradzić się nad tem, jak działać nadal. Prądzyński słowa nie przemówiwszy, jak wyjął z kieszeni, tak też i schował swój list do kieszeni. Nie tak Skrzynecki znalazł się na radzie wojennój po bitwie Grochowskiej, kiedy niezdatniejszemu odbierał buławę. Obecna rada wojenna, jak i późniejsze wypadki, przekonaly, że Skrzynecki był i najlepszy jenerał, i najlepszy mowca. Nie jego w tem wina, żeśmy lepszego nie mieli.

W dalszym ciągu Rady wojennój, jenerałowie zdawali sprawę z obecnego stanu wojny. Minister wojny czytał rzecz o stanie wojska. Chrzanowski dawał w tej rzeczy potrzebne objaśnienia. Mielśmy wówczas pod bronią przeszło 70,000 żołnierza. Pod Warszawą było samój piechoty około 50,000. Chrzanowski zrobił uwagę, że mamy tylko 35,000 *bagnetów*, że reszta piechoty z kosami, a kładąc kosy na równi z *bagnetami*, darmobymy się łudzili. Po skończonem zdaniu sprawy, podług którego siły nasze były liczniejsze jak kiedykolwiek w ciągu tej wojny, a żołnierz wprawiony do

boju, przystąpiono do naradzania się, jak dalej prowadzić wojnę. Chrzanowski odezwał się pierwszy, a był zdania, żeby albo zaraz bić się, albo zaraz układać się; że lepiej jest układać się przed bitwą, bo układając się przy tak poważnych siłach jakie dziś mamy, możemy otrzymać korzystne warunki; że los bitwy niepewny, a po przegranej, żadnych warunków zgodnych ze sławą i z korzyścią kraju, spodziewać się nie można. Chrzanowski mówił otwarcie i śmiało, widać było, że tak mówił jak czuł. Nikt nie podzielał przekonanie Chrzanowskiego, wszyscy odrzucili jednomyślnie wszelką myśl układów, wszyscy byli zdania aby się bić; z tą różnicą, że jedni utrzymywali, że lepiej pójść natychmiast spotkać nieprzyjaciela; drudzy radzili aby na niego czekać pod Warszawą. Skrzynecki był zdania ostatnich, i zaręczał, że pod murami Warszawy zgotuje grób moskiewskiej potędze. Znaczna większość generałów, była zdania przeciwnego; Członkowie rządu i wszyscy posłowie zawołali z jednomyślnym zapałem, żeby iść zaraz na nieprzyjaciela, i tam mu wydać bitwę gdzie go się spotka. Zdanie to miało wojenną powagę w tem, że na przypadek przegranej której się nawet nie spodziewano, zostawała obrona w Warszawie; zdanie to miało też i obywatelską przewagę, bo naród i wojsko wołały bitwy, bo natchnienie powszechne wołało bitwy, bo naród przeczuwał, że nieczynność, tym lub owym sposobem zgubi nas. Skrzynecki natchniony powszechnym zapałem, zawołał — „Dopóki rzecz zależała odemnie samego wahałem się z wydaniem walnej bitwy, z szafowaniem krwi polskiej, za której każdą kroplę Bogu odpowiem; lecz kiedy sejm odpowiedzialność tę ze mną podziela, gdy wy każecie Ojcowie Narodu! powiodę wojsko do boju, i dopóty w nim nie ustane, dopóki w wojsku jeszcze jeden żołnierz, dopóki we mnie jeszcze jedna kropla krwi będzie. Ufając w Boga i w waleczne wojsko nasze, stoczę bitwę tam, gdzie spotkam nieprzyjaciela — jeżeli ją przegram, to razem z wrogami zagrzebię się w gruzach Warszawy.“ — Skończył — a urocza jasność rozświetliła twarz Skrzyneckiego. W tej chwili wszyscy byli

za nim duszą i ciałem, wszystkich świętą obietnicą porwał ku sobie.

Na tem się skończyła rada wojenna. Wypadek jój były najpomysłniejszy, gdyby Skrzynecki dotrzymał był tego, do czego się tak uroczyście i serdecznie zobowiązał.

Przed rozejściem się rady, uchwalono jednomyślnie ażeby zachować tajemnicę o wydać się mającej bitwie, która najdalej w przeciągu dni trzech nastąpić miała; uchwalono zdać sprawę sejmowi o pomysłnym stanie wojska, i napętnić go nadzieją pomysłnych a wkrótce nastąpić mających wypadków, a tym sposobem zaspokoić troskliwość powszechną, i otoczyć wodza całym zaufaniem, jakiego w dniach boju potrzebuje wódz każdy. Tak się też stało.

Sejm, wojsko, naród, wszystko to było pocieszone wypadkiem rady wojennej, i poprzestało z ufnością na zdaniu sprawy z tój Rady. Nazajutrz sejm wysłuchał uroczyście nabożeństwa za pomysłność oręża, i gdyby Skrzynecki dotrzymał był przyrzeczenia swego, byłyby zwycięzczą, a zapewne i Zbawcą Ojczyzny. Ale nieszczęście sprawiło, że do obozu nadbiegły nowe *dyplomatyczne* wiadomości. Jakie były te wiadomości, nie wiem z pewnością, ale to wiem, że Skrzynecki otrzymawszy je, ociągał się z wydaniem bitwy, że ztąd nieufność ku niemu rosła w olbrzyma, że się odezwała w sejmie odgłosem powszechnój trwogi, że ztąd wypłynęła *Deputacya* z sejmu do obozu w Bolimowie, za nią poszło nieszczęśliwe odebranie dowództwa Skrzyneckiemu, a za tem, dalsze i ostateczne klęski nasze. Nie byłem członkiem *Deputacyi* Bolimowskiej, bo na członków nie wybierały województwa, a nawet sejm nie głosował, tylko jak to często bywało, powierzył marszałkowi ich wybór; co w razach tak ważnych byćby nie powinno, bo trudno, aby jeden człowiek tak znał wszystkich posłów, żeby z nich do tój lub owój posługi trafny wybór uczynił. W *Deputacyi* Bolimowskiej z nowych posłów, jeden był tylko, Wincenty Tyszkiewicz.

Wina niedotrzymania Skrzyneckiego, nie cięży by-

najmniej na wystąpieniach sejmu do rady wojennej, jak to niektórzy mylnie utrzymują. Gdyby bowiem byli wy-paplali wszystko co na radzie wojennej słyszeli, nicby to rzeczy nie zmieniło, a wodzowi do bitwy przeszkadzaćby mogło. Gdyby nie tylko sejm cały, ale naród cały był świadkiem tego co zaszło na radzie wojennej, w obecnem położeniu innyby z niej skutek wypaść nie mógł. Nie można też porównywać postępu tej *delegacyi*, z postępkiem *delegacyi* przy *dyktaturze*, chyba w stosunku odwrotnym; *delegacya* bowiem przy *dyktaturze* zataiła postanowienie *dyktatora*, które dotrzymane, zgubiło naród; *delegacya* do rady wojennej, zachowała tajemnicę tego, co dotrzymane przez Skrzyneckiego, byłoby nas zbawiło.

Skoro na posiedzeniu sejmowem (28 lipca) skończyła się rzecz o wypadkach rady wojennej, zabrałem głos i uczyniłem wniosek odezwy do ludów. Oświadczyłem, iż za rzecz główną uważam użycie wszelkich sił narodowych do wywalczenia naszej niepodległości, starałem się przekonać, że jeżeli nam idzie o pomoc zewnątrz, zamiast szukania jej u rządów, które nam przystępu do siebie nie dają, powinniśmy raczej udać się o nią z całą otwartością i powagą narodową, do ludów; a jako środek do tego kroku, podawałem myśl odezwy od Izb naszych do Izb angielskich i francuzkich. Wniosek ten przez dni kilkanaście na Izbę przynosiłem, nie mogąc doprosić się głosu, abym go przedstawił: marszałek przedmioty nieporządkowe odkładał do soboty, a wszelki nowy wniosek miał być składany u laski; nie chciałem tego uczynić, obawiając się zwłoki, jakaby za sobą pociągnęło odesłanie mego wniosku do *komisji* sejmowych, gdzie dobrego dlań przyjęcia nie spodziewałem się. Soboty były zajęte zapytaniami *ministrów*; a ile razy pytałem marszałka przed posiedzeniem, czy mi da głos po przejściu przedmiotów porządkowych, zawsze zapytywał mnie, co będę wnosić; ja nigdy odpowiedzieć nie chciałem, a on mi głosu nie

dawał. Zresztą, niewprawa moja w sejmowaniu była powodem, że dopiero 28 lipca z moim wnioskiem w Izbie wystąpić mogłem. Korzystając z danego mi głosu w przedmiocie rady wojennej, oświadczyłem Izbie, że chcę jęj przedstawić inny a bardzo ważny przedmiot. Marszałek nie pozwalał na zabieranie głosu o nowęj rzeczy: odwołałem się do Izby, i głos otrzymałem. Izba słuchała mię z zapalem; przeciwnicy tego wniosku, widząc, że mam większość za sobą, użyli wybiegu; zamiast nastawać na mój wniosek, wystawiali owszem ważność jego, a dla tęg ważności chcieli, aby zwykłym porządkiem wniosek mój do *komisyi* został odesłany. Oświadczyłem na to, że Izba nie raz już uchwalała ważne przedmioty bez odwoływania się do zdania *komisyi*, że odesłanie do *komisyi* pociagnie tylko za sobą znaczną przewłokę, kiedy i tak aż nadto późno rzecz ta na Izbę przychodzi. Znowu Izba odzywała się za mną, znowu przeciwnicy mego wniosku, rozumie się ze stronnictwa *dypłomatycznego*, a mianowicie Gustaw Małachowski, bojąc się, żeby mój wniosek przyjęty przez Izbę, nie pomieszał szyków *dypłomatycznych*, odezwali się mówiąc: że wniosek mój jest tem ważniejszy, że obchodzi zewnętrzne stosunki naszego rządu, że go bez zastanowienia głębokiego przyjmować nie można, że *komisye* zajmą się nim natychmiast jeźli Izba rozkaże. Izba rozkazała, żeby *komisye* zawieszając inne prace swoje, niezwłocznie roztrząsnęły mój wniosek, i zdały o nim sprawę sejmowi. Ustawy nie pozwalały abym się temu sprzeciwił; a tyle widziałem w sejmie ochoty do mego wniosku, że wcale nie wątpił aby się utrzymał.

Na posiedzeniu 1go sierpnia, *komisye* miały zdać sprawę z mego wniosku. Przed otwarciem tego posiedzenia, w obrębie Izby zjawily się wieści szerzone przez znakomitych jęj członków, Małachowskiego, Krysińskiego i innych, o śmierci Mikołaja i Paszkiewicza, i o uznaniu niepodległości Polski przez rządy francuzki i angielski. Ztąd poszły uwagi o potrzebie wstrzymania się ze wszelkim nowym krokiem, aż do sprawdzenia

tych pomyślnych wiadomości; ztąd szmerem po Izbie poszły zdania, że odezwa ze strony Izb naszych do Izb francuzkich i angielskich, mogłaby obrazić rządy i odwrócić już niezawodnie nastąpić mające uznanie przez naszą niepodległość: ztąd poszło, że wielu członków Izby, opierając się na wspomnionych, jak je nazywali niezawodnych wypadkach, i powtarzając powyższe rozumowanie, najusilniej nalegało na mnie, abym nie sprzeciwiał się zdaniu *komisji*, i wniosku nie popierał, bo gdyby się utrzymał, naraziłby na szwank sprawę narodową. *Komisje* nie mogąc nic wynaleźć na zabicie mego wniosku, powiedziały tylko, że na to są rządy aby ułatwiały stosunki między narodami, że nie widzimy w dziejach przykładu podobnego rodzaju odezw, że gdyby nawet taka odezwa do ludów miejsce mieć mogła, to w dzisiejszym zbiegu okoliczności, bardzo szkodliwą by była; ztąd wniosła *komisja*, aby odroczyć rozbiór mego wniosku. To wszystko nie zachwiało bynajmniej mego przekonania o potrzebie i stosowności mego wniosku; odpowiedziałem, że jeżeli podobnych odezw nie widzimy w dziejach przykładu, to dajmy ten przykład: jednakże, wierząc temu co mi powiadali posłowie bieglejsi i doświadczeńsi odemnie, obawiając się nadto, aby mój wniosek pod wpływem tak poważnie szerzonych wiadomości nie upadł, rad nie rad, zgodziłem się na odroczenie go do czasu sprawdzenia rzeczonych wiadomości, i na to, abym głosu mego do dzienników nie podał. Pokazało się czem były powyższe wiadomości; oto po prostu wymyśłem na odwrócenie mego wniosku; czy wielu, czy jeden, i kto te fałszywe pozmyślał nie wiem — ale to wiem, że z Izby wyleciały aż na bruk warszawski, i ulicznicy warszawscy nazajutrz z rana wykrzykując po ulicach, krzyczeli — *Kuryer Warszawski, dzisiejszy, bardzo ciekawy — Mikołaj zdechł!! — trzy grosze!*

Wkrótce spostrzegłem, że zgrzeszył zbytniem zaufaniem, że się dał w pole wyprowadzić. Kilka razy upominałem się w Izbie o tę śmierć Mikołaja, o to uznanie niepodległości Polski przez rządy Francji i An-

glii, kilka razy przypominałem mój wniosek, aby go na nowo wprowadzić, lecz zawsze na próżno; a wkrótce też było i za późno, bo choćby już i była odezwa, to chyba ją gołębie od nas do ludów wyniosły.

Warszawa była już prawie w oblężeniu, wszystkie siły narodu powinny się były zbiegnąć w końcu gro-tów, a tymczasem jak zawsze, tak i teraz, po większej części wyszeptywały się w słowach. Sejmikowanie było wszędzie, tem sejmikowaniem ośmielone dziennikarstwo, posuwało wolność druku do zgubnego nadużycia, pisząc o tem wszystkim, co dla nieprzyjaciela powinno być zawsze tajemnicą; jako to o ruchach wojska naszego, o tem wiele go gdzie jest, o zasobach naszej stolicy i t. p. Pisanie takowe uważałem za jawne szpiegostwo na korzyść Moskali, chciałem je powstrzymać. Dnia 1 sierpnia wchodzę na Izbę; przed otwarciem posiedzenia Nakwaski i ktoś drugi z posłów, pytają mnie, czy będę mówić dnia tego; odpowiadam:

„Dziś może nie, ale jutro będę się domagał o prawo na nadużycia druku.“

„Zmiłuj się nie wnos tego, bo stracisz wziętość u ludu.“

„Kiedy tak mówicie, to nie jutro, ale dziś uczynię mój wniosek, na dowód, że sługą wziętości nie jestem.“

Oto jest w tym przedmiocie mowa moja: podałem ją był natychmiast do *Kuryera Polskiego*, a teraz wypisuję ją tu, na dowód że się jój nie wstydzę, chociaż wielu roztrzępańców zapewne słysząc tylko o niej, wyrzucało mi ją jako zbrodnię przeciwko ludzkości.

Głos posta hajsyińskiego, miany na posiedzeniu Izby poselskiej 1 sierpnia 1831 roku (wypisany teraz z Kuryera Polskiego wychodzącego w owym czasie w Warszawie.)

„Prześwietna Izbo poselska!“

„Kiedy wydarzone nieprzyzwoitości i krzywdy osobiste, których powodem było nadużycie druku, zajmo-

wały dni kilka waszą uwagę; kiedy tocząca się w waszem zgromadzeniu rzecz o nadużyciach druku, zdawała się wywoływać prawo do ich poskromienia; troskliwość wasza uspokojona została tem zdaniem, że źródłem nadużyć druku jest niedokładność prawa karnego co do ustępu o obelgach; że prawo zapobiegające nadużyciom druku jest bardzo trudne; że tymczasowe podobne prawo, musiałyby nosić cechę niedojrzałości; że się z niem przeto wstrzymać należy, do czasu, w którym nowe prawo karne stanowiąc będziemy. Lecz w ciągu rozbioru tak ważnego przedmiotu, ograniczaliście się tylko szczegółowym wypadkiem z nadużycia druku wynikłym, niezapuszczaliście głębiej waszj uwagi, boście może nie wystawiali sobie, aby kto wśród murów oblężonej stolicy, poważył się używać druku na szkodę Ojczyzny.“

„Szanowni panowie! Na takie nadużycia, których wam smutny przykład przedstawić muszę, zwracam uwagę waszę. (Tu nastąpiło odczytanie ustępu Nowej Polski z dnia 26 lipca.) Pisarz tego ustępu, wyraźnie usiłuje nauczyć nieprzyjaciela jak ma nas pokonać, zamknąć stolicę i wziąć ją bez wystrzału. Z tego wypływa prosty wniosek, że radby go tu widział.“

„Pojmuję bardzo i uwielbiam troskliwość tych, którzy powodowani życzeniem lepszego, korzystając z błogosławionej wolności druku, wskazują błędy wszelkiego rodzaju władz naszych: gruntowne i na znajomości rzeczy oparte podobne uwagi, naród widzi z roskoszą, a władze z wdzięcznością przyjmować powinny. Ale biada tym! którzy wolności druku, téj najdzielniejszej broni przeciwko ciemnocie i bezprawiu, przeciwko samej wolności, przeciwko naszemu szczęściu używają! Gdyby tacy wśród nas nieprzyjaciele nasi, nie daj Boże! zdołali zgubić sprawę naszą, nie na nich, ale na nas spadłaby klątwa narodu, klątwa najpóźniejszych wnuków naszych.“

„Zwracając waszę uwagę na tu przytoczony czyn, na to, że nic nam nie zaręcza, że się już podobne nie trafią, ośmielam się, szanowni panowie! przypomnieć wam, abyśmy się co prędzej zajęli obmyśleniem środ-

ków zapobiegających nadużyciom druku. Czy to stanowić będziemy jakie, chociaż tymczasowe w tym celu prawo, czy też zaprowadzać sądy przysięgłych, zawsze pamiętajmy na to, abyśmy nie podnieśli świętokradzkiej ręki na wolność druku, którą każdy, a tem bardziej prawodawca, również jak wolność osobistą szanować powinien. Podobne prawo, nikogo nie przerazi. Nasz naród aż nadto jest oświecony, ażeby sam nie umiał odróżnić wolności od swawoli, ażebyśmy zaprowadzając prawo przeciwko nadużyciom druku, posądzeni być mieli o chęć przywrócenia *cenzury*, którą każdy z nas tyle pogardza, ile obalonym rządem, co za jej pomocą naszą umysłową nawet wolność uwięzić pragnął; naród nasz zapewne jest przekonany, że jak w rządach wolności, prawa ziemskie, a nawet prawa karne, dla tego że są, bo być muszą, nikogo nie obrażają i niczyjój nie naruszając wolności służą do jej zabezpieczenia, tak też i prawo o nadużyciach druku, nie dąży do ukrócenia wolności druku, ale do jej zapewnienia, do jej zachowania na zawsze; a w teraźniejszym położeniu naszym prawo to byłoby nadto stróżem całej wolności naszej, od której i wolność druku zależy.“

Po tej mojej mowie, z piętnastu posłów prosiło o głos: z piętnastu ich po kolei, zachęcanych oklaskami zgromadzenia, powstawało na mnie, występując w obronie wolności druku, wmawiając, że się targam na nią, i tak przekręcając myśl moją, aby przeciwko niej dały się zastosować pospolite wykrzykniki za wolnością druku: piękna to była gradka dla tych co lubią zarabiać sobie na wziętość cudzym kosztem. Nie posiadałem się w niecierpliwości mojej, słysząc jak w żywe oczy potwarzają chęci moje. Marszałek nie dał mi głosu aż z kolei. Dopieroż tedy w obruszeniu się mojem na nich wszystkich, zawołałem: Panowie! wiedziałem, że wprowadzam rzecz drażliwą i łatwą do potępiania, dla tego też moją mowę napisałem, abyście jej nie przekręcili, ale widzę, że i to jeszcze za mało. I cóż wam daje prawo do wołania, że ja się targam na wolność druku? to co o niej powiedziałem, jest owszem jej

obroną lepszą od waszój, jest jój pochwałą dobitniejszą od waszój. Gdybym był nietylko przeciwko wolności druku, ale przeciwko jakiegobądź wolności, byłbym spokojnie używał dostatków w domu moim, i nie widzielibyście mnie w pośrodku was zbrzyzanego krwią moskiewską!

Te kilka słów zamknęły usta dalszym ochotnikom do mówienia przeciwko mnie. Za mną odezwał się jeden tylko Gliszczyński wojewoda, minister spraw wewnętrznych, ale go zakrzyczano. Gdy przeto nikt nie popierał wniosku mego, marszałek przyjętym zwyczajem zapytał, czy go nie cofnę? „Nie cofnę,“ odpowiedziałem, „niech go Izba odrzuci, kiedy się jój tak upodobało, ale niech on będzie świadectwem, żem ostrzegał sumiennie, i dowodem, że staram się o dobro dla ojczyzny, a nie o wziętość dla siebie!“ — Głosowano i nikt za wnioskiem oprócz mnie nie powstał; alem za to stał długo.

W tych czasach zaczęto przeczuwać, że wypadnie bić się pod Warszawą albo w Warszawie. Czekano niecierpliwie wiadomości z obozu. Każda godzina mogła nam przynieść zwycięstwo lub klęskę, każdy opatrywał wały i zapory, jakby opatrywał przed bitwą broń swoją. Ztąd większa troskliwość o obronę stolicy. Mieszkańcy Warszawy z żonami i dziećmi co dzień wychodzili z rana sypać szańce w około miasta, a wieczorem z rydlami na ramionach wracali do domów przy odgłosie muzyki, nuąc wesołe pieśni polskie, bo czas i praca poświęcone ojczyźnie zbiegały wesoło.

Pewnego poranku i sejm się wybrał do sypania szaniców. Posłowie czekali wschodu słońca przed domem miejskim. Z uczuciem dumy i nadziei wpatrywaliśmy się w naszego orła białego, co nad tym domem rozpostarł opiekuńcze skrzydła swoje, i czytaliśmy ów napis Woronicza:

Dawne wyroki Lecha niebo nam ogłasza:
Polacy, to wasz orzeł to ziemia jest wasza!

Orzeł nasz z berłem w rękę, z koroną na głowie. Kiedyż te znaki królewskie zajaśnieją na głowie i w rękę zbawcy ojczyzny, króla polskiego? Słońce pierwszym promieniem ozłociło naszego orła i wytoczyło się wspaniale nad miasto, nad Polskę, przyświecać nadziejom naszym, patrzeć na roboty nasze; patrzeć, czy Polacy cierpliwym znojem, niecierpliwym bojem zarobili już na zwycięstwo, na Polskę!

Marszałek prowadził nas na wały. Rydło na ramionach, przed nami muzyka gwardyi narodowej brzmiała wojenną pieśnią, za nami wesoło i ochoczo pędził lud warszawski, a każdemu przyrastało siły, jak gdyby już szedł do boju, a przynajmniej jak gdyby się spodziewał, że wkrótce z nami do boju pójdzie. Przed Warszawą obszerna równina, w około Warszawy wał, a za wałem daleko po równinie rzucono szańce. Jedne już z działami, drugie dopiero z ziemi się podnoszą, dzwiganie ochoczą ręką mieszkańców Warszawy, co śmieją się, rozmawiają, śpiewają i dowcipnym żartem żartują z Moskali; trzecie w milczeniu ponurém szybko się wznoszą, sypią je moskiewscy jeńcy.*) Posłowie rozdzielili się do kilku szaniców. Wszędzie nas witają

*) Liczba jeńców moskiewskich zabranych przez ciąg wojny wynosiła około 80 tysięcy. W Warszawie nie było ich więcej, jak parę tysięcy, ci przynajmniej byli użyty do sypania szaniców; reszta zastana w głąb kraju, objadała go tylko, a zbawiała żywność wojsku należną. Oficerowie moskiewscy, mianowicie wyżsi, byli trzymani zbyt wolno, i opływali kosztem rządu w wygodę, a nawet i w zbytki. Do czego te zbytki dla jeńców, co się bili przeciwko nam, chociaż my do nich krzyczeliśmy *za naszą i waszą wolność?* Czemu jeńców żołnierzy nie brano do szeregów? Byliby się lepiej bili za nas, jak przeciwko nam. Jenerał Chrzanowski doświadczył tego pod koniec wojny, szkoda że za późno. W czasie wyprawy na Gołowina zabrawszy parę tysięcy niewolników. połowę ich odesłał do Warszawy, drugą połowę niezręcznie mu było odsyłać, więc postanowił spróbować, czy będą się bili za nas. Kazał stanąć jeńcom i zapytał ich, czy chcą się bić z nami za naszą i swoją wolność? Oczywiście odpowiedzieli, że nie, bo wiedzieli, jak u nas są grzeczni i usłużni dla jeńców. Woleli więc używać bezpiecznych wygod, aniżeli narażać się na niebezpieczne niewygody. „A kiedy nie,“

radosnymi okrzykami, a w chwili wypoczynku częściej uprzejmie i wychylają gęste kielichy za ojczyznę i za zdrowie nasze. Śliczne Warszawianki i poczciwi Warszawianie nam Podolakom i Ukraińcom byli bardzo radzi, przypatrywali się nam z uczuciem braterskiej czułości, mówiąc: „Mój Boże, z tak daleka panowie do nas przyszli, choć my do was nie poszli!”

Dzień ten pamiętny rozweselił mnie tysiącem serdecznych wrażeń i podał mi myśl, aby na przypadek szturmowi Warszawy sejm walczył na czele ludu. Ta myśl poczęta w sercu, dojrzewała w głowie, z tą myślą dnia 3 sierpnia przychodzę na Izbę poselską, ale Bonawentura Niemojowski zapisawszy się pierwszy do głosu dnia tego, wniósł, aby w dzisiejszym zagrożeniu, Sejm wyznaczył dwóch członków do czuwania nad bezpieczeństwem stolicy.

Wtedy zawołałem:

— „Słuszną jest troskliwość zacnego Niemojowskiego o obronę stolicy; ale oddanie jęj pod straż dwóch członków z waszego grona, na mało się przyda. Czuwajmy wszyscy nad bezpieczeństwem stolicy! Rozdzielmy całą Warszawę pomiędzy siebie, niech każdy z nas czuwa nad częścią, którą mu los przeznaczy, niechaj w tej części pomnaża środki obrony, niech w niej lud cały uzbroi, niech go usposabia do czujności, do boju, a w czasie szturmowi niech go do boju prowadzi.

odpowiedział Chrzanowski, „to dobrze, ale nie dać im jeść cały dzień!” Nazajutrz pytają — jeszcze nie. „Widać, że nie głodni — nie dać jeść!” Nie doczekali trzeciego dnia i sami oświadczyli się, że chcą się bić. Więc dopiero dawaj im wódki, mięsa, dawaj im żołąd, jak polskiemu żołnierzowi. Poprzemieniali im u mundurów znaki moskiewskie na polskie, i porozdzielali ich pomiędzy pułki. I zaraz bili się jak lwy, a żaden nie dał się wziąć w niewolę. W sławnym piątym pułku piechoty było takich ochotników kilka set i należeli dzielnie do bitwy pod Rogoźnicą, w której dwa bataliony tego pułku wykłuło co do nogi całą brygadę moskiewską, broniącą się w obmurowanych ogrodach. Coby to było, gdyby tak postąpiono ze wszystkimi jeńcami moskiewskimi? Byłoby o 30 tysięcy więcej tegięj piechoty w wojsku polskiem, byłaby Polska!

Oto miejsce sejmu w tej uroczystej chwili! Lud warszawski widząc sejm na czele swoim, będzie się bić z nieporównanym zapalem, z ufnością, że nie na darmo naraża życie i mienie. Panowie! jest to największa posługa, jaką sejm ojczyźnie oddać może. Szczęśliwi, jeżeli tę ukochaną ojczyznę okupim śmiercią naszą!

Te moje wyrazy uczyniły niemałe wrażenie, ale marszałek oziębił je natychmiast, gdy pochwalając mój zapal, oświadczył, że obowiązkiem sejmu jest w razie niebezpieczeństwa zachować ducha i dotrwać na miejscu swoim, że lud warszawski i bez tego bić się będzie, że kto z posłów chce, może się bić jako ochotnik, ale to za ogólne postanowienie przyjętém być nie może. Trafila ta uwaga do upodobania niemarsowej większości.

Przyjęto więc wniosek Niemojowskiego daleko wygodniejszy. I chociaż sejm wybrał z grona swego do czuwania nad obroną stolicy dwóch członków bardzo gorliwych, Niemojowskiego i Chełmickiego, widzieliśmy jednak, co wyczuwali, widzieliśmy, że lud warszawski ani walczył, ani nawet był uzbrojony.

Przy wyborach na komisarzy do czuwania nad bezpieczeństwem stolicy, po dwóch obranych ja miałem najwięcej głosów; wspominam tu o tém na dowód, że posłowie nasi zaczęli wzbijać się powoli w powagę u sejmu, i możeby byli wypłynęli na wierzch, gdyby następne wypadki nie wepchnęły nas nagle w przepaść niewoli i tułactwa.

W Warszawie ani jeden dzień nie przeszedł mi pod wpływem jednostajnych wrażeń; radość i zasmucenie, trwoga i nadzieja, miały każdą prawie chwilą. Dnia 3 sierpnia po południu wychodzę z sejmu zasmucony, że sejm nie przyjął myśli mojej tak prostej a koniecznej; aż patrzę, po ulicach ruch niesłychany ożywia Warszawę, radość niewymowna jaśnieje na wszystkich twarzach, jak gdyby w dzień najpiękniejszego zwycięstwa. Tłum ludu na Pradze, cała Warszawa biegnie ku Pradze, ulice wiodące od Pragi pełne

ludu, okna wszystkich tam domów pełne ludu, wszyscy czekają na Dembińskiego, choć zdawało się, że nikt nie ogłaszał, że wracając z Litwy, dziś wejdzie do stolicy; niecierpliwi wybiegają naprzeciw niego daleko za Pragę; wszyscy za nim oczy wypatrują i ja ze wszystkimi. Nikt nie przygotował zwycięzkiego wjazdu Dembińskiemu, a znać było, że to będzie wjazd, jakby zwycięzcy, co już pobił wszystkich Moskali. Tak to pocziwy lud warszawski umie cenić pocziwe serca swoich bohaterów!

Nad samym wieczorem, okrzyk daleki zbliżał się z Dembińskim, a prowadząc go przez Pragę, przez most i przez Warszawę aż do rządowego gmachu, coraz się bardziej rozlegał i wzrastał. Dembiński jechał na koniu, okryty kurzem wojennego znoju, a w oczach ludu jaśniał bardziej, jak gdyby go płaszcz królewski stroił. Wszyscy czcili go okrzykami, jak bohatera, jak zbawcę, a witali go poufale, jak brata. Ci, co się mogli do niego docisnąć, chwyтали go za ręce i za nogi, oberwali mu szlify, guziki, i co kto mógł zachwycić na drogą pamiątkę. Szczęśliwy był, komu się udało dotknąć Dembińskiego, a przynajmniej konia jego. Wszystkie Polki mała za Dembińskim z okien nie wyskakiwały.

Tak wjechał Dembiński do Warszawy, zmęczonęj oczekiwaniem stanowczych wypadków, zatrwożonęj bliskością nieprzyjaciela, gotowęj oddać się w ręce każdego, ktoby chciał i mógł wyrwać ją z tego stanu uspienia i pobić Moskali. Dembiński niezawodnie i chciał i mógł, ale widać, że jeszcze czas na niego nie przyszedł, bo gdy stanął na szczycie, nieszczęśliwym krokiem sam swoje siłę zwichnął, wypuścił Polskę z pocziwych rąk swoich, i Polska wpadła w ręce zdrajców, a potem w ręce Moskali. Takie snąc było przeznaczenie!

Tegoż dnia był wielki wieczór u księcia Czartoryskiego dla Dembińskiego i dla powstańców litewskich, którzy na książęcę pokoje wystąpili w powstańskich strojach. A czyż może być strój więcj święteczny

w czasie wojny narodowej? U tych Litwinów wejście tegie, ale nie tak harde, jak u nas. Na tymże wieczorze poznałem się z przedniejszymi powstańcami, doniosłem im, że nasze województwa mają już posłów w sejmie, i radziłem, żeby też z pomiędzy siebie posłów wybrali; opowiedziałem im, jakim trybem odbyły się wybory nasze. Powstańcy litewscy poszli za moją radą i oni też sejmikowali w domu miejskim, i tymże samym co i my porządkiem; to jest podzielili się na województwa, głosowali całemi województwami na liczbę posłów odpowiadającą połowie powiatów swoich, drugą połowę tak jak i my zostawując późniejszym wyborom.

Przyjechawszy do Warszawy, słyszałem tylko o Towarzystwie tak zwaném *patryotyczném*, ale na nie wcale nie uczęszczałem; znajomi powiadali mi czasem, co tam za dziwy się dzieją.

Okolo 12 sierpnia mówią mi:

— „A widzisz, przestrzegaliśmy cię, abyś nie powstawał na nadużycia druku; straciłeś zupełnie wziętość, dziwy na ciebie wygadują na Towarzystwie patryotyczném już od trzech dni!“

— „A więc kiedy wygadują, pójdę posłuchać!“

Odradzają mi, bo to już wtedy były bardzo burzliwe czasy. Idę, wchodzę, i trafiłem szczęśliwie na wymówki za powstawanie na nadużycia druku. Prezydujący zaprasza mnie na miejsce dostojne; mój towarzysz mówi mi: „Nie idź!“ Ja idę, zasiadam.

Mowca pali a pali przeciwko mnie, wymachuje rękoma, jak młyn wietrzny, i z rozdziawionej gęby sypią się słowa jakieś kolące, jak skóra jeża, a jakieś skrzypiące, jak wóz tatarski, a jakieś straszne, jak upiory, a jedno do drugiego tak przystaje, jak garbaty do ściany. Pieni się mowca, oczy mu krwią zaszły, ścisną kulaki, i znowu rozwija je w długie palce i jak pajak niemi wywija i znowu je zwija. A wszystko to na mnie; nie wymawia mego nazwiska, ale rzecz była widoczna, więc całe zgromadzenie patrzy na mnie, jak na raroga.

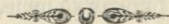
W tém drugi mówca wbiega na mównicę, przerywa mowę, którą tylko co się już tamten nie zakrzuszył, i woła:

— „Nie myślcie, panowie, aby to, co tu słyszycie, ściągać się miało do szanownego posła hajsyńskiego, który nas oto zaszczycił przyjściem swoim. On nie nastawał na wolność druku, i gdzieżby mógł nastawać człowiek, jak on, naczelnik powstania, on który wnosił na sejmie projekt odezwy do ludów, który za lud warszawski chce krew wylewać!“

Mowca poprzedni zapiera się, mówi, że nie do mnie była rzecz jego, że mnie bardzo szacuje i t. d. Krzyk, hałas: „Niech żyje poseł hajsyński!“ i posiedzenie zakończyło się szumnym okrzykiem. Wszyscy ruszyli się z miejsc swoich, a ja wymknąłem się jak mogłem najprędzej, chcąc uniknąć wszelkich stosunków z owém tak zwaném *Towarzystwem patriotyczném*.

Jeszcze tego samego wieczora śmiejąc się, mówiłem przyjaciołom moim: „A co, straciłem wziętość? Nie dbajcie o wziętość, postępujcie podług sumienia, a prędzej później sama przyjdzie, a choć nie przyjdzie, to mniejsza o to.

W tym drobnym wypadku jest wszelako dowód poczciwości ludu warszawskiego; ale rządzący nasi nie umieli tego ludu, ani szanować, ani go użyć, ani się go nie bać.



ROZDZIAŁ X.

KONIEC POWSTANIA.

W pierwszej połowie sierpnia zaszła stanowcza, a jak się to potem okazało, najnieszcześniejsza zmiana. Sejm za pośrednictwem swojej *deputacyi bolimowskiej* odebrał dowództwo Skrzyneckiemu, a oddał je Dembińskiemu. Przy tej zmianie pięknie odbijała zacność tych wodzów. Wszyscy pokładali tém większe nadzieje na tej zmianie, że przymioty Dembińskiego obiecywały działanie wojenne jędrne i szybkie, a przy tém zdolności i niezłomne mężstwo Skrzyneckiego zostały były w wojsku, bo Skrzynecki miał służyć pod rozkazami Dembińskiego. Spodziewaliśmy się co chwila stanowczego zwycięstwa nad nieprzyjacielem, aż tu domowa klęska podkopała wszystkie nadzieje nasze.

Nadeszła nieszczęsna a dotąd nie wyjaśniona noc 15 sierpnia. Mojem zdaniem wina tej nocy ciąży na wszystkich: i na wodzu, co się nie bił, i na rządzie, co nie miał dość tęgości i czujności, a rozlązłem działaniem swoim znacierpliwił stolicę; i na sejmie, bo on był najwyższą władzą, i powinien był lepiej we wszystko wglądać, lepiej wszystko prowadzić; i na tych nakoniec, ale już w sposobie haniebnym, którzy krwawy ten ruch podbudzili dla niecných widoków swoich.

Dnia 15 sierpnia wieczorem byłem na herbacie u wojewody Nakwaskiego, na ulicy Miodowej; rozprawiamy jak zawsze o sprawie narodowej, rozwijamy każdy nasze o nią myśli i nadzieje, a wszyscy tęsknimy za wiadomością z obozu. Około godziny 9 usłyszeliśmy gwar daleki, potem hałas coraz wyraźniejszy, nakoniec hębny; wszyscy myśleli, że ogień, wysłano dowiedzieć się, gdzie się pali; po chwili służący wraca zadyszany i mówi:

— „Coś, panie, tak jak *rewolucya*; pospólstwo dobija się do zamku!“

W zamku byli więźniowie stanu. Pobiegłem natychmiast ku zamkowi, dokąd ze wszystkich ulic spływał lud i gwardya narodowa. Przed zamkiem cały Zygmuntowski rynek był pełen ludu, a między nim mnóstwo owych oficerów bez służby; wśród ludu stała parę silnych oddziałów gwardyi narodowej, może dwa bataliony, albo mało co mniej. Jeden oddział stał przy zamku, drugi ku Krakowskiemu Przedmieściu. Zgiełk największy był przy bramie zamkowej, którą w tej chwili wysadzano; kiedy niekiedy strzelono, ciągly hałas i krzyk: *Wieszać zdrajców!!* Ten okrzyk kiedy niekiedy zawrzał wściekłością, i znowu przeciągał się w złowieszcze wycie, a połysk gołej broni uwijającej się po nad głowami mściwego ludu, przy ciemnej nocy i słabych światełkach dodawał okropności temu przerażającemu obrazowi.

Tuż przy tłumie, na Krakowskiem Przedmieściu, stał na koniu, otoczony oficerami swoimi, dowódzca gwardyi narodowej, wojewoda Antoni Ostrowski. Spostrzegłszy go, idę zapytać, czemu nie wstrzymuje rozlewu krwi; w tém przystąpił do niego pułkownik, albo major gwardyi narodowej z dobytą szablą, widać dowódzca stojącego tam oddziału i pyta:

— „Czy generał każe rozpędzać pospólstwo?“

Ostrowski odpowiedział, że z obywatelami trzeba się grzecznie obchodzić, że dosyć jest tylko przechadzać się pomiędzy ludem oddziałami i prosić, żeby się uspokoił i wrócił do domu.

Pytam tedy wojewody: „A cóż będzie dalej?”

— „Alboż ja wiem?” odpowiedział, „pytaj się rządu narodowego!” Zwrócił konia i poczwałował na Krakowskie Przedmieście, zapewne do rządu.

Wtedy właśnie najpotężniejsze było wieszanie. Obracam się po za siebie i widzę dwóch członków rządu narodowego, Barzykowskiego i Teofila Morawskiego, którzy, z rogu Senatorskiej ulicy popatrzywszy na to co się działo, poszli gdzieś dalej.

Idę do marszałka, nie zastaję go w domu. Idę na rząd, zastaję tylko Wincentego Niemojowskiego w jego własnym mieszkaniu, utyskującego, że nikt go nie wspiera, że nie wiedząc już co począć, mianował gubernatorem Warszawy Krukowieckiego, który przyrzekł wszystko uspokoić.

Wybiegam znowu ku zamkowi, zobaczyć, jak też to Krukowiecki wszystko uspokaja, a zasłyszawszy pomiędzy ludem odgrażanie się na Skrzyneckiego, biegnę ku jego mieszkaniu, które było w domu Tarnowskich na Krakowskim Przedmieściu, a spostrzegłszy światło u Pawła Popiela, mieszkającego tuż obok, wbiegam do niego i powiadam, com słyszał na ulicy. Skrzynecki był w obozie, ale jego rodzina była w domu. Popiel, Juliusz Stadnicki i ja spieszmy do pani Skrzyneckiej, którą raz tylko przedtém widziałem. Zastajemy same tylko kobiety przestraszone, uspokoiliśmy je, upewniając, że to być nie może, aby lud targnął się na życie Skrzyneckiego, a tém bardziej na życie jego żony i dzieci, i ofiarowaliśmy się dla ich bezpieczeństwa zostać z nimi jako załoga, i zostaliśmy tak długo, aż stanął na straży przed domem Skrzyneckiego oddział gwardyi narodowej, i aż się wszystko uspokoiło w tej stronie.

Wyszedłem znowu przejść się po ulicach Warszawy. Pospólstwo było wtedy przy rogatkach; w samej Warszawie było już spokojnie, tylko po ulicach snuli się czasem oficerowie po dwóch, po trzech, odgrażając się zuchowatym sposobem. A myśląc, że wszędzie już spokojnie, wróciłem do domu.

Nazajutrz lud znowu tu i owdzie gromadził się, a gdzie zarwał jakiego szpiega, to i powiesił. Około 9 z rana, szukałem marszałka, znalazłem go na rządzie narodowym. Książę Czartoryski wyjechał był w nocy do obozu, inni członkowie rządu i kilku posłów naradzało się w niepewności co dalej począć. — Zwołać sejm powiadam, na głos sejmu lud się uspokoi, a co dalej począć zobaczymy — ale Krukowiecki trafił lepiej do przekonania, pokazując jakiś spis podanych do szubienicy, pomiędzy którymi byli i posłowie, strasząc, że lud rozpędzi sejm, i nie radząc zbierać się sejmowi aż nazajutrz, i to pod zasłoną wojska. Tak tedy sejm bojąc się stanąć w obec swojego ludu, wystawiał stolicę na nierząd i na zaburzenie mogące coraz bardziej wzrastać. Poczciwości jedynie samego ludu należy się, że się nie rozhukał, że wywieszawszy co miał podejrzanego, sam się uspakajał.

Rząd nie rządził, bo nie mógł — Sejm nie działał bo nie śmiał. Ledwie zaczęto się zdobywać na odezwę do ludu, i to jeszcze nie wiedziano od kogo ją pisać, czy od rządu, czy od sejmu, i czy ganić ludowi postęp jego: układaliśmy tę odezwę z posłem Wołowskim, samo z siebie ganiąc, ale do jój ogłoszenia nie przyszło. Koło południa wojsko zaczęło się zbliżać do stolicy, pierwsze pułki jego weszły do niej, i porządek łatwo przywrócony został.

Nazajutrz, to jest 17go sierpnia, z rana, Dembiński, w ówczas wódz naczelny, przybywszy do Warszawy, kazał natychmiast uwięzić wszystkich podejrzanych o sprawienie nocy 15 sierpnia; Dembiński chciał wziąć najwyższą władzę, i byłby pewnie pobił Moskali; ale że on często pierwój powie jak zrobi, więc spotkawszy na rządzie posta Nakwaskiego, czy to w sposobie zwierzania się, czy też w sposobie pogróżki, powiada mu — „Co? sejm, rozpędzę go jak mi się będzie sprzeciwiał“ — Nakwaski duszą i ciałem przyjaciel sejmu i sejmownia, leci na sejm który już się zgromadzał, i posłów

o zamiarze Dembińskiego uprzedził: więc sejm w owęj chwili zniechęcił się ku Dembińskiemu. Krukowiecki zaś przed posiedzeniem sejmu, chodził pomiędzy posłami, pokazując im ów spis podanych do szubienicy, których on niby uratował od śmierci dzielnością swoją — ja tego spisu nie widziałem; Krukowiecki ujmował sobie posłów to strachem, to bundiuczeniem się, to obiecując bardzo prędko pobić Moskali, a w czasie posiedzenia, siedział ze swoim synkiem tak, żeby go wszyscy widzieli.

Posiedzenie sejmowe odbyło się w Izbach połączonych. Zaczęło się od odczytania pisma którem rząd narodowy, niestety za późno, składał władzę. Potem odczytano wniosek Olizara o nowym kształcie rządu, składać się mającego z prezesa i kilkunastu członków wybranych częścią z sejmu przez sejm, częścią z miasta Warszawy przez miasto. *Komisye* sejmowe wyszły natychmiast do przyległej Izby rozbierać ten wniosek; przez ten czas posiedzenie sejmowe było zawieszona, a Krukowiecki znowu wśród posłów i senatorów przechadzał się bundiucznie, w mundurze, przy krzyżach i z synkiem. Na to posiedzenie sejmowe, wprowadzeni byli po raz pierwszy posłowie litewscy. Wszystkich sejmujących w dniu tym było 116 — *komisye*, wróciwszy oświadczyły się przeciwko wnioskowi Olizara, a na jego miejsce przyniosły wniosek innego kształtu rządu, to jest: prezesa nieodpowiedzialnego, w radzie *ministrów* odpowiedzialnych. Sejm przyjął natychmiast ten wniosek; nie długo rozprawiał nad prawami nowęj władzy, uczynił ją najobszerniejszą, warując sobie prawo wydawania wojny, zawierania *traktatów* i umów wszelkich i zaprowadzania wszelkich zmian w tym nowym rządzie. Sejm miał tylko wybrać prezesa, mianowanie zaś wice-prezesa, bo miał być i wice-prezes, jakoteż ministrów i naczelnego wodza, było zostawione prezesowi rządu. Nadto marszałek Izby poselskiej i prezydujący w senacie, mieli prawo wchodzenia na posiedzenia rządu w celu czuwania nad nim, a w razie potrzeby zwoływania sejmu, który powierzając na nowo władzę *dykta-*

torską, nie miał już potrzeby codziennego zbierania się, i istotnie od chwili wyboru Krukowieckiego do dnia szturmu, prawie nie zbierał się. Nowy ten kształt rządu przypominał *dyktaturę*; powodzenie nasze przy takiej władzy zależało zupełnie od wyboru tego nowego *dyktatora* mającego nosić nazwanie prezesa rządu narodowego w radzie *ministrów*. Tym *dyktatorem*, a raczej królem bez berła i korony, byłby niezawodnie Ks. Czartoryski, gdyby się był znalazł jak był powinien, i po nocy 15 sierpnia, i po ustaniu władzy rządu narodowego, gdyby był wystąpił w sejmie jako prezes senatu: byłby niezawodnie Dembiński, gdyby w tej stanowczej chwili, jako wódz naczelny, przyszedł był sejmowi oświadczyć, że dla pobicia Moskali chce zupełnej władzy, gdyby był nie dał fałszywego kierunku dzielności swojej. W nieobecności tych dwóch mężów, mieli najwięcej głosów, Krukowiecki i marszałek Ostrowski. Miano więc raz drugi głosować pomiędzy nimi dwoma. Głosowano tajemnie, to jest każdy poseł i senator pisał na karteczce nazwisko tego którego obierał, i zwinąwszy tę karteczkę wrzucał ją do naczynia. W czasie takiego głosowania, członkowie Izby przechadzają się; marszałek korzystając z tej chwili, czy to przerażony wielką odpowiedzialnością, czy też ufając zdolnościom i prawości Krukowieckiego, chodził od jednego do drugiego posła, sam się wypraszając a namawiając aby głosowano na Krukowieckiego; jednym tłumaczył się niezdolnością swoją, a drugich, bo mało już było czasu, ścisnął tylko i do ucha im gadał, *kru. kru.* Więc *kru, kru,* obrany został. Jednakże marszałek pomimo wypraszania się miał głosów 30. Krukowiecki miał ich 88. Marszałek i prezydujący w senacie, ogłosili Krukowieckiego prezesem rządu. Samo z siebie wszyscy krzyknęli — Niech żyje Krukowiecki! Krukowiecki wystąpił na środek Izby, i na siwe włosy zaklął się, że do ostatniej kropli krwi za Ojczyznę wyleje. Natychmiast napisano mu mianowanie: Krukowiecki zabrał je, i wśród okrzyków sejmu, wojska i ludu, poleciał do gmachu rządu narodowego; bo wszyscy wie-

dzieli, że Krukowiecki człowiek zawzięty, a myśleli, że teraz zaveźmie się na Moskali.

Po wyborze Krukowieckiego zjawił się na Izbie Prądyński; kiedy mu znajomi posłowie wymawiali, że niechciał przyjąć dowództwa nad wojskiem, on spiesząc za wychodzącym już Krukowieckim, z twarzą jaśniejącą wielkiem szczęściem odpowiadał — „teraz możecie mnie użyć jak zechcecie, na wszystko jestem gotów“ — widać że był bardzo rad Krukowieckiemu; bo też wtedy wszyscy byli mu radzi. W czasie tego pamiętnego a nieszczęśliwego posiedzenia sejmu, przed Izbą sejmową na Zygmunto wskim rynku, stał pułk piechoty, niewiadomo czy sejm był groźny, czy zagrożony tem wojskiem. Wierzę pierwszemu przypuszczeniu, wierzę, że sejm obierając Krukowieckiego działał podług sumienia. Wówczas ani jeden głos nie podniósł się przeciwko Krukowieckiemu; aż dopiero jak on zdradził, każdy niemal udaje proroka, mówiąc — „wiedziałem że tak będzie — jak też można było powierzać Ojczyznę takiemu gałganowi“ — i rozmaite jego dawne gałganstwa opowiada. Mądry jesteś, a czemuś to nie wystąpił z temi skargami jak była pora po temu?

Po wyborze Krukowieckiego, radość niezmierna panowała w całej Warszawie. Wszystko przybrało postać wojenną, nikt o zwycięztwie nie wątpił. Krukowiecki wezwał na wice-prezesa Bonawenturę Niemojowskiego, na *ministrów* ludzi szanownych, więc to wszystko wzmagalo ufnosc powszechna ku niemu. W początkach był bardzo czynny; od rana do nocy latał po wszystkich stanowiskach wojska przy obleżonej Warszawie, po wszystkich obronnych miejscach, po całym mieście. Odwołał wodza Dembińskiego, a na miejsce jego mianował generała Małachowskiego tylko zastępcą wodza, a tym sposobem istotne dowództwo zostawił w swojej ręce; co chciał to robił, i nikt mu tego za złe niepoczytywał. Słuchano go i przez strach jego gwałtowności,

i przez obawę Moskali będących już nam na karku, a mogących być pod stopami naszymi, gdyby Krukowiecki tak dotrzymał jak obiecał.

W skutku nocy 15 sierpnia, był sąd wojenny wyznaczony przez Krukowieckiego, i rozstrzelano przed zamkiem trzech czy czterech nieboraków co wieszali, a tym co wieszać kazali, nic. Zamknięto Towarzystwo *patryotyczne*, mniejsza o to. Rozbrojono lud stolicy, to było bardzo źle i bardzo niepodobało się ludowi, który zło umie często przeczuć, a rzadko kiedy uprzedzić.

Gdy uradzono wielką wyprawę Ramoriny na prawy brzeg Wisły, nikt jeszcze nie przeczuwał nic złego; gdy *korpus* Ramoriny z Warszawy wychodził w nocy, przypomniano sobie Wawer i Dembe, i spodziewano się nazajutrz wielkiego zwycięstwa; lecz gdy to wojsko cały dzień następny przestało na Pradze, a tym sposobem samo zabijało powodzenie swoje, zacząłem wątpić o zdolności naszych dowódców. Także nie umiałem sobie wytłumaczyć, dla czego z tém wojskiem poszli, ksiązę Czartoryski, Gustaw Małachowski i kilku innych posłów a ludzi niewojennych. Zaraz w Warszawie mówiłem wielu osobom, że ksiązę bardzo to źle uczynił, że powinien był pozostać w Warszawie, i po złożeniu urzędu prezesa rządu, wrócić na miejsce prezesa senatu, i na tem miejscu strzedz Ojczyzny, nie zaś wyjeżdżać do wojska nie będąc ni żołnierzem, ni dowódcą.

Nadeszły układy z Moskalami, i wtedy jeszcze nikt złego się nie domyślał, albowiem z tych układów ogłaszano to tylko, co owszem dumę narodową wzbijać mogło. Myślano że Krukowiecki układa się żeby dać czas Ramorinie przeprowić się w górze Wisły, i na Paszkiewicza z tyłu uderzywszy, wpędzić go między dwa ognie.

Dwoma dniami przed szturmem Warszawy, Adam Rzewuski, syn kasztelana Rzewuskiego, który mawiał, że w jego żyłach krew królów polskich siedmiu nurtami płynie, ów Adam Rzewuski będący przy układa-

jących się Moskalach, powiedział posłowi Wincentemu Tyszkiewiczowi, świadkowi układów z naszej strony, a dawnemu swemu znajomemu; „pojutrze pójdziem do szturm.” Tyszkiewicz nie tail tego ostrzeżenia, jednakże bynajmniej z niego nie korzystano, czy to że już szatan zdrady wlaż był w Krukowieckiego, czy też że nie przywiązywano wiary do słów Polaka bijącego się przeciw Polakom. Było to 4 września; około tego czasu niektórzy *ministrowie* nasi, i podobno wice-prezes sam, złożyli urzędy swoje, nie oświadczyli jednak ani narodowi ani sejmowi, dla czego to uczynili; a potem w Zakroczymiu powoływali się przed sejmem na to złożenie urzędów, mówiąc, że tym krokiem ostrzegali, że rzeczy źle idą i że dalej Krukowieckiemu ufać nie można; że tak się postępuje we wszystkich rządach *konstytucyjnych*. Może krok tych panów był bardzo *konstytucyjny*, ale bardzo niedorzeczy, bo gdyby ci panowie zamiast obrotów *konstytucyjnych*, użyli byli prostej drogi, gdyby byli Krukowieckiego przed sejm zaskarżyli, podług tego jak jego postępowanie widzieli i rozumieli; możebyśmy się dzisiaj nie tułali.

Z dnia 5 na 6 września, jako *kanonier* gwardyi narodowej, byłem na służbie na wałach. W nocy już tu i owdzie wszczynaly się drobne trwogi, nadedniem zagrzniały działa. Na ten grzmot odpowiedzieliśmy okrzykiem niewymownej radości, bośmy byli przekonani że Moskale czynią ostatnie wysilenie i że w tem wysileniu potęga ich pęknie. Ogień ciągły z obu stron trwał do godziny drugiej po południu, a wszystko w jednej stronie, od Woli; gdy się nie zbliżał w tę stronę gdzie miałem służbę, siadłem na konia i pobieglem wstronę ognia. Przejeżdżając koło Gwiazdarni spostrzegłem że *inżynierowie* nasi rozpoznawają ztamtąd nieprzyjaciela; wbiegłem tam do nich, a ztamtąd jednym spojrzieniem objąłem całe pole bitwy. Pogoda była piękna, wiatr dla nas pomyślny. Nasze siły stały albo za wałami albo pomiędzy szaniami; z naszej strony ogień nie gęsty; szeregi moskiewskie zasłonięte szeregiem kilkuset dział swoich, połykując

bagnetami jak gdyby łuską, zwijają się i rozwijają jak gdyby węże. Działa moskiewskie ziewały nieprzerwanym ogniem, grzmiały ciągłym hukiem, przerzucającym się co chwila, z łoskotu w łoskot coraz straszliwszy, coraz potężniejszy. Kiedy niekiedy jaszczyk moskiewski w górę wyleciał, kiedy niekiedy działo trupem padło. Skoro piechota moskiewska wysunie się naprzód, to ją wnet rozpędzają nasze kule i granaty, i przecinają *rakiety* nasze, co jak smoki ogniste skaczą po błoni, niosąc śmierć i postrach. Po przed szeregi, jeźdźcy po dwóch, uwijając się krzyżują się w rozmaitych kierunkach, a za piechotą jazda w wielkich czarnych hufcach. Na stronie moskiewskiej palą się rozmaite budynki, a wiatr wywijając białym płomieniem i czarnym dymem, kopci i tak już czarnych Moskali. Z tej strony wałów pomiędzy szpalerami ognie obozowe płoną; nasze odwodowe harmaty czekają rozkazów, a w żołnierzu ruch niecierpliwy, widać że chce boju. Pytam oficerów, którzy tam od rana rozpoznawali ruchy nieprzyjaciela, i dowódzcom swoim o nich donosili, pytam: jak idzie bitwa: „Bardzo dobrze“ powiadają „jeszcze nas nietknięli a sami już zmienili wiele dział i wojska; najwięcej biją ku Woli; ztąd nie widać Woli, ale tam nie ma co i patrzeć; bo tam Sowiński.“ Prawdę mówili, Sowiński bronił Woli jak lew, a choć z nim garstka tylko, powalił stosy Moskali, ale na tych stosach sam poległ w tej chwili, kiedyśmy mówili o nim jak o twierdzy niezdobytą. W tej chwili Moskale wzięli Wolę. Zbiegam z wieży, i znowu pędzę na pole bitwy, tém spieszniej, że tam był mój brat Edward. Czwałuję po przed szanice nasze, do których dotaczały się coraz nowe moskiewskie kule, aż z jednego szanica woła ktoś na mnie; spoglądam, ledwom poznał, że to był mój brat, tak tam wszyscy prochem okurzeni. Tam dowiedziałem się o wzięciu Woli i przetrwałem godzinę bitwy. Nakoniec około godziny 1ej ogień ustawał; żołnierze nasi już zaczęli jeść sobie gotować, czasem jeszcze psotna kula zapruszyła im ogień, wywróciła kociołek, aż

nakoniec ku wieczorowi, Moskale zmęczeni bojem, ustali w nim zupełnie.

Myśmy w tym boju stracili kilka szafców i Wolę. Znawcy powiadają, że z naszej strony działanie było rozerwane, że służba dział źle była sprawiana, że generałowie, jeden drugiego nie wspierał, nie słuchał; a to wszystko dla tego, że Krukowiecki, który dowództwo przy sobie zostawił, rozkazów nie dawał, i gdzie był, nie wiadano. On tymczasem układał się z Moskalami, którym mogłby się bardzo łatwo nie dać, a nie posłał po Ramorinę, któryby na czas pospieszył, aby Moskalów dognieść pod Warszawą. Skutkiem tych układów nastąpiło zawieszenie broni do 1szej po południu dnia następnego trwać mające, a potrzebne Moskałom dla wypoczynku, a Krukowieckiemu do dobijania Polski.

Krukowiecki zawarłszy wieczorem zawieszenie broni, zwołał *komisyje* sejmowe, na których posiedzenie odbyte w gmachu rządowym, przysłał *ministrów*; sam przyść nie raczył. Byłem obecny temu posiedzeniu. Morawski poeta *minister* wojny, tkliwą wymową swoją zapłakawszy nad smutnem położeniem stolicy i Ojczyzny, w imieniu Krukowieckiego przedstawił potrzebę układów. Kiedy niekiedy dochodził nas jeszcze huk dział, bo jeszcze rozkaz zawieszenia broni nie był się rozszedł po całym wojsku: Chrzanowski ostrzegał, że bomby już padają przy banku, jednak *komisyje* jakkolwiek zatrwożone, znalazły się uczciwie, nie pełnęły narodu w hańbę, o układach nie stanowić nie chciały, a zwołały sejm na godzinę 11 z rana, dnia jutrzejszego. Tymczasem Krukowiecki układał się dalej z W. Ks. Michałem. Dnia 7 września z rana, widziałem generała moskiewskiego wyjeżdżającego z gmachu rządowego, miał on to niby oczy zawiązane, ale czy widział, czy nie, to tylko Krukowieckiemu wiadomo, a nie wiele trzeba było widzieć, żeby się przekonać, że w mieście nie było żadnej gotowości do obrony.

Idąc na sejm, spotkałem Wincentego Niemojowskię, a gdym ubolewał przed nim nad utratą Woli

on powiedział: — „W 1794 r. Prusacy mieli Wolą w czasie całego oblężenia, a Warszawy nie wzięli; i teraz mniejsza o tamtą Wolę, miejmy tylko tu wolę niezłomną“ i pokazał na serce „a zwyciężymy“.

Idę dalej; przed zamkiem zebrał się lud niespokojny ale milczący, bezbronny, czujący niemoc swoją, wypytujący się troskliwie wszystkich wojskowych, jakie mają nadzieje powodzenia boju, czekający niecierpliwie a z trwogą, co też sejm postanowi. Przed samym zamkiem, spotkałem generała Bema otoczonego ludem; Bem zaręczał, że skoro Moskale rozpoczną szturm, zginą; opierał tę pewność na tem, że dziś Moskale muszą wystrzelać resztę nabojów, a jutro już będą jakby bezbronni.

Posiedzenie rozpoczęło się koło południa. W senacie prezydował wojewoda Michał Radziwiłł, w Izbie poselskiej marszałek. Senatorowie i posłowie zbrali się tylko w małym składzie. Krukowiecki przyjsć nie chciał, przysłał Prądzyskiego. Prądzyski wchodzi z miną kota czyhającego na mysz, chowa pazury, układ potulny, słodziuchny, kłania się pokornie, siada nieśmiało na środku Izby — prosi o posiedzenie tajemne. Sejm na to zezwala — dają mu głos. On oczami to w niebo to w ziemię; wdycha, żałuje za ojczyznę; ale mówi, że niema ratunku. Wyobraża niesłychaną potęgę Moskalów, ich potrójnym rzędem ustawione działa i szyki gotowe do boju; naszą słabą obronę wystawia dziesięć-kroć słabszą, a po wielu wyrazach boleści, obrotną mowę swoją tem kończy, że już dochodzi pierwsza godzina, a o tej godzinie rozpocznie się szturm, a w godzinę potem, Moskale już będą tu w tej Izbie; więc radzi nie tracić czasu, i dać Krukowieckiemu prawo zawarcia układów, podług warunków ofiarowanych przez Moskali: a temi warunkami było, dodanie obwodu Białostockiego do królestwa *kongresowego*, zachowanie *konstytucyi* i ułaskawienie ogólne dla Królestwa i dla ziem wszystkich.

Co było tęższego w Sejmie, znajdowało się na tem posiedzeniu, co było tęższego z tych tęższych, oburzyło się potężnie na mowę Prądzyńskiego. Słabsi ułękli się tą mową niezmiernie, i potakiwali jój zdaniem swoim. Wojewoda Nakwaski rozplakał się nad losem Ojczyzny, i w czulej a pocziwój mowie chciał, żeby Mikołaj oddał nam całą Polskę, a w dodatku do Polski, jednego syna na króla polskiego. Żądanie to było nie do przyjęcia ani przez Sejm, ani przez Mikołaja. Worcell chciał odroczenia Sejmu, mówiąc, że w tak trudnem położeniu dla ocalenia czci narodu i Sejmu, dla ocalenia stolicy, najlepiej żeby Sejm zostawując odpowiedzialność za wszelkie układy na głowie Krukowieckiego, sam odroczył czynności swoje i wyszedł z Warszawy, a tem samem uwolnił się od konieczności niezwłocznego potwierdzenia układów, a zachował sobie prawo przeczenia tym układom, jeźliby krzywdziły dobro i cześć narodu. Ale przeciwko tój słabości, przeciwko namowom Prądzyńskiego silnie powstawali, Niemojowski, Godebski, Lelewel, Szaniecki, wielu innych i Sołtyk, który kończąc swoją rubaszną mowę, a postukując w ciągu niej pałaszem jak mu słów brakowało, dowiódł że mu serca nie brakło: bo zrywając się z krzesła zawołał: „Dopełniwszy obowiązku mego jako poseł, zostawiam cześć narodu w waszem ręku, a idę dopełniać mego obowiązku jako żołnierz, bo już słyszę działa.“ Działa już grzmiały potężnie, dzwoniły szyby w oknach, a zęby u tchórzów; ci chórem krzyczeli, jedni żeby zawiesić czynności nasze, drudzy żeby się układać; wtedy widząc wahanie się Izby, zawołałem: to co generał Prądzyński powiedział jest nieprawda. Idąc tu spotkałem generała Bema, który o zwycięztwie nie wątpi, abyśmy się tylko bili. Wojsko chce się bić, może się bić, i będzie się bić, jeźli się dowie, że niebezpieczeństwo wzmagą męztwo nasze, że my za jego piersiami bezpieczniejsi się być sądzimy, jak za najgrubszym murem. Trzeba było lud uzbroić jak to radziłem; inaczejby było gdyby Sejm cały walczył dziś na czele całego ludu, i nie słyszelibyśmy mowy o haniebnych układach; lecz kiedy w tój uroczystej

chwili na krzesłach naszych oczekujemy rozstrzygnięcia losów bitwy, niech wojsko wie przynajmniej, że dotrzymy w przysiędze naszej, że podzielimy w każdym razie los jego, i dopóki wojsko walczy, my nie ustąpim tych krzesel, chyba godniejszym od siebie. Te kilka słów uczyniły pomyślnie wrażenie. Prądyński chciał mi odpowiedzieć, prosił o głos, ale Niemojowski a za nim cała Izba sprzeciwiła się temu. Kilku mówców, mówiło jeszcze po mnie, i tym co byli utracili ducha, wróciła odwaga. Cała Izba jednomyślnie oświadczyła się przeciwko układom, a jeżeli się była zachwiała, to dla tego zapewne, że ufała zdolnościom i enocie Prądyńskiego, tak dalece, że Szaniecki, który w ciągu całego posiedzenia pokazał wiele tęgości, wystąpił nakoniec do Prądyńskiego z prośbą, mówiąc mu: „widzisz jaki jest duch Izby, i Ty zapewne takimże pałasz; na Twojej enocie i zdolności polegają nadzieje Ojczyzny, idź kochany generale! ziścić te nadzieje na polu bitwy.“ Poszedł generał, ale tylko z doniesieniem do Krukowieckiego. Izba została, poleciła Godebskiemu przygotować natychmiast odezwę do wojska, zachęcającą do mężstwa i wytrwania, a sama na wniosek marszałka, miała się zająć rozbieraniem wniosku Lelewela do uchwały nadającej żołnierzom zasłużonym, własność gruntową w dobrach narodowych. „Niech wiedzą żołnierze“ mówił marszałek: „że w chwili kiedy walczą za Ojczyznę, Ojczyzna los dla nich obmyśla.“ Bardzo to pięknie, choć bardzo późno; ale do tego nie przyszło, bo Krukowiecki przysłał natychmiast adjutanta z zapytaniem na piśmie, czy ma prawo zawarcia układów, czy nie? i z oświadczeniem, że jeżeli nie, to on w tej chwili w ręce Sejmu składa swój urząd. Otóż taka była ślepotą naszą, że jeszcze nieprzeniknęliśmy zamiarów Krukowieckiego; że zamiast odebrania mu władzy, dały się słyszeć zdania, że gdyby on złożył władzę w czasie boju, byłoby to klęską niezmierną. Skończyło się na tem, że prezydujący w Senacie i marszałek odpowiedzieli, iż prezes rządu stosownie do uchwał poprzednich w związku z uchwałą z d. 17 sierpnia 1831 r. ma prawo wejść w układy

dążące do ukończenia walki. Tym sposobem wykręciwszy się od natarczywości Krukowieckiego, marszałek odłożył posiedzenie na godzinę 7 wieczorem, oznaczając na miejsce zebrania się, gmach rządu narodowego.

Jedni posłowie pospieżyli na pole bitwy; z pomiędzy tych, Łopaciński poseł litewski, chwalebłą śmiercią siebie i sejm zaszczycił; drudzy zaczęli się gotować do drogi, na przypadek wzięcia Warszawy; inni zamknęli się w domach swoich, aby bądź co bądź, już w nich pozostać. Bój się przeciągał, wzrastał. Krukowiecki dobijał targu, zdradzał. Wyprawił w śród boju mnóstwo dział i wojska na Pragę. Wojsko myślało, że nieprzyjaciel zaszedł od Pragi; mieszkańcy Warszawy, widząc wojsko wychodzące, potrwożyli się niezmiernie, i zaczęli się wynosić na Pragę. Trwoga szerzyła się po mieście, a wtedy największa, kiedy już Moskale odstępowali od szturm, i bój ustawał. Na dziedzińcu rządowym przez cały czas boju, stał pułk piechoty, który Krukowiecki trzymał przy sobie, snąc dla obrony swojej, gdyby lud poznał się na jego zamachach, chciał go powiesić. Seweryn Pilchowski, powstaniec wołyński, tęgi oficer z pułku Różyckiego, a człowiek sprężysty, przyjechawszy do Warszawy po służbie swego pułku, rozchorował się, dopiero bitwa pod Warszawą postawiła go na nogach; przechodził koło gmachu rządowego, a spostrzegłszy tam wojsko nieczynne, zaczyna wołać głośno, „co to jest? po co to wojsko tu stoi? czemu nie idzie bić się!“ Krukowiecki zasłyszał głos niebezpieczny, kazał Pilchowskiego wiaść pod straż, i chciał go natychmiast rozstrzelać; szczęściem nawinął się marszałek i ktoś ze znajomych Pilchowskiego, i ci go uwolnili od pewnej śmierci.

Tylkokośmy się zbierać zaczęli na wieczorne posiedzenie, nie było jeszcze ani trzydziestu; Kazimierz Małachowski okryty kurzem wojennym wpada pomiędzy nas i woła, „panowie! brońcie Ojczyzny od zdrady! Krukowiecki pozabierał mi wojsko i działa, ja tylko

zastępcę wodza, a on wódz prawdziwy, on moje rozkazy niweczy. Jeszcze czas, jeszcze wały nienaruszone, zmiłujcie się ratujcie Ojczyznę!" Wtedy niezważając na to, żeśmy nie byli nawet w małym składzie, odebraliśmy natychmiast władzę Krukowieckiemu, obraliśmy wodzem poczciwego starca, prezesem rządu Bonawenturę Niemojowskiego; i to wszystko jednomyślnie i w oka mgnieniu, stojąc w około Małachowskiego; a prowadził tę rzecz, niezmordowany i nieoszacowany tego wieczora i téj nocy, marszałek Władysław Ostrowski. Małachowski poleciał natychmiast do wojska; ale ponieważ most był jeden tylko, bo drugiego, chociaż był gotowy, Krukowiecki postawić nie chciał; ponieważ ten most był zawalony mnóstwem powozów i dział; ponieważ przez cały ten dzień był największy nieład w wojsku, bo niewiedzano kogo słuchać; Małachowski stracił nadzieję wycofania wojska z Pragi, a bojąc się, aby Moskale nie weszli w nocy do Warszawy już prawie niebronionój, pokwapił się w swój obawie, i zawarł z Moskalami układ, który nam odebrał Warszawę. Czcigodny generał surowo się ukarał, przyznając się do winy w obec narodu. Małachowski w parę dni po oddaniu Warszawy, przerażony nieszczęściem błędu swego, złożył dowództwo, wołając, że go niegodzien, i żądając na siebie sądu i kary.

Stosownie do powyższego postanowienia Sejmu spisano uchwały; szło już tylko o to, żeby Krukowieckiemu wręczyć doniesienie, że mu sejm władzę odebrał: była to rzecz nie łatwa, bo Krukowiecki odgrażał się bardzo i na posłów i na marszałka: poseł Malinowski, człowiek tegi, na zaproszenie marszałka odważył się na tę posługę. Krukowiecki otoczony oficerami i mając pod ręką oddział piechoty, stał wtedy na dziedzińcu nie wiedząc o tém co zaszło, i spokojnie patrząc na górejące przedmieścia Warszawy. Malinowski idzie śmiało trzymając w jednej ręce uchwałę sejmową, a drugą oparłszy na króćcach, które miał za pasem; spostrzega Krukowieckiego, lecz żeby zwrócić uwagę wszystkich obecnych, zbliżając się, pyta głośno: „Gdzie jest je-

nerał Krukowiecki?« gdy mu go wskazano, rzekł, „jenerale, sejm ci odebrał władzę, oto rozkaz jego.“ Krukowiecki wziął rozkaz, przeczytał, skłonił się nieco, zacisnął zęby i nie odrzekł, aż gdy Malinowski odszedł, Krukowiecki w zapale gniewu zawołał do adiutanta. „Bieź do Paszkiewicza, niech bombarduje Warszawę“ a spostrzegłszy, że nikt go nie słucha i czując na jaką karę zasłużył, siadł na konia i ruszył na Pragę.

Niemojowski objął natychmiast urządowanie, mianował wice-prezesa i *Ministrów*, i wspólnie z nimi pracował w gmachu rządowym do godziny 2 w nocy. Marszałek i kilku posłów, równie długo pozostali na rządzie; wszystko się gotowało do wyjścia na Pragę. Rząd narodowy, naczelny wódz i marszałek, każdy w swojej gałęzi wydawał stosowne rozkazy. A tym czasem jenerał moskiewski jadący do Krukowieckiego po ostateczne poddanie Polski, wjechał na rząd nie wiedząc o zaszyłych zmianach; a że Krukowiecki w ciągu układania się upewniał, że ma pełnomocnictwo Sejmu, więc ów jenerał upomniął się u marszałka o spełnienie zobowiązań Krukowieckiego. Marszałek do powagi swojej dodając bohaterskie męztwo, odpowiedział mu: „Krukowiecki nie ma już żadnej władzy, a Sejmu i mnie, ani sto tysięcy grotów nie zmusi do potwierdzenia niecnych układów.“

Nazajutrz z rana posłowie mieli naradzać się na Pradze, dokąd już wszystko było podążyło. Tam też i ja pojechałem z moim bratem około godziny 2 w nocy a tak byliśmy pewni, że nazajutrz połączymy się z *korpusem* Ramoriny i odbierzemy Warszawę, że wychodząc z niej, chcieliśmy ukryć w mieszkaniu naszym połowę pieniędzy naszych, aby na przypadek gdyby jeden z nas zginął, pieniądze zostały drugiemu. Na Pradze przerażający nieład i zamieszanie. Resztę nocy przeleżeliśmy przy koniach naszych. Nazajutrz gdy nam słońce pokazało Warszawę, jak nas serce zabolalo, Bogu tylko wiadomo; nadzieja, że do niej za parę dni wrócim, łagodziła nieco obecne nieszczęście. Od samego rana

jakieś zbiegowiska oficerów, posłów, jakieś rady jenerałów, a w całym wojsku jakiś szmer niepewności; aż nakoniec około godziny 9, dano rozkaz do pochodu; pierwsze pułki konne zaczęły ciągnąć ku Siedlicom, ku *korpusowi* Ramoriny, i myśmy się puścili w tę stronę; ale po chwili zwrócono nas ku Modlinowi, z czego nikt sobie dobrze nie wróżył.

W Modlinie Małachowski złożył dowództwo. Nie-mojowski miał prawo mianowania innego wodza; radził się jenerałów, większość była za Rybińskim, i Rybiński został wodzem. Jeszcze Małachowski posłał był rozkaz Ramorinie, aby wnet łączył się z głównym wojskiem, Ramorino rozkaz odebrał, ale go nie spełnił; zaczął działać na swoją rękę, i w kilka dni już był w Galicyi broń złożył, a jeszcze spodziewano się go w Modlinie, a czekając na niego Rybiński i rząd narodowy układali się z Moskalami, czy chcąc dać czas Ramorynie aby się z nami połączył, czy w nadziei otrzymania pomyslnych warunków, nie wiem. Rybiński miał nadzieję zyskania na tej przewłoce, a jak zawsze na perehoworach i układach zyskali Moskale; bo silniej przez ten czas parli Różyckiego, bo odbiwszy swych więźniów w Częstochowie, połatali stratę 30,000 żołnierzy, poniesioną w bitwie pod Warszawą, bo nasze zasoby zmniejszały się, a wojsko nasze i klęską, i nieczynnością, upadało na duchu. W Modlinie już wielu oficerów opuszczało służbę, aż gdy się domyślono dodawać na uwolnieniach od służby, te hańbiące wyrazy; *choć* *Ojczyzna w niebezpieczeństwie*, zapobieżono dalszemu a niegodnemu opuszczaniu szeregów ojczystych. Na domiar nieszczęścia, Moskale samo z siebie warunków umowy nie dotrzymali, i naszych zasobów wojennych z Warszawy nie wypuścili. Ztąd wojsku zaczęło zbywać na odzieniu, i na obuwiu, a panowie jenerałowie, którym sprzykrzyła się niewygodna, krzyczeli: niema nabożów.

Tak przeszło pod Modlinem dni kilkanaście, w czasie których Sejm obradując w kościele Kapucynów w Za-

kroczymiu, jak mógł tak krzepił ducha wojska i swego; ale to wszystko nie wiele nadało.

Na pierwszym zaraz posiedzeniu sejmowem w Zakroczymiu, chciałem, aby Krukowiecki był ogłoszony za zdrajcę kraju, i jako taki osądzony. — Odpowiedziano, że zaocznie nie można, ale w mojem przekonaniu, był czyn przed oczami naszymi, czyn, który czy to był dziełem przedajności, czy też dziełem niecznych namiętności, stał się haniebną zgubą Ojczyzny, i dla samego przykładu zasługiwał na konieczną karę.

Chciano przynieść na Sejm umowę z Moskałami o oddanie Warszawy, jako dowód, że Moskale jój nie dotrzymali, i że dla tego nie dostaje zasobów wojennych; sprzeciwiłem się temu, nie chcąc, aby sejm miał jakąkolwiek styczność z jakimkolwiek unizającym krokiem, a zawołałem — prosimy o tę umowę na mocy której Moskale ustąpią z Warszawy. Na jednym z tych posiedzeń sejmowych, zapytałem marszałka, czemu wcześniej nie ostrzegł sejmu o niecnościach Krukowieckiego, wszak o nich mógł i powinien był wiedzieć, mając prawo przychodzenia na posiedzenia rządu i wglądania w czynności jego? Bolesnie było marszałkowi w czystości serca słuchać téj wymówki, na którą zasłużył niezręcznością swoją, kiedy dał się Krukowieckiemu w pole wyprowadzić.

Dnia 18 września, sejm ustanowił w Zakroczymiu *znak wytrwałości*, z napisem *usque ad finem*. Dajże go Boże doczekać!

Z wyjątkiem kilku, panowie generałowie psuli ducha w wojsku, chcieli oni wyzbyć się Sejmu który zaważał ich zamiarom poddania się; lecz się to im nie udało, bo Sejm jak na to, na nowo postanowił że wojska nie odstąpi. A dla zapewnienia prawnego składu sejmowego w każdej potrzebie, choćby i za granicą, na ostatniem posiedzeniu w Zakroczymiu, każdy z senatorów i posłów, musiał się oświadczyć, czy pójdzie z wojskiem, i czy w razie nieszczęśliwego końca wojny, poświęci się na tułactwo. Wielu wymówiło się, to późnym wiekiem, to słabością zdrowia, to liczną ro-

dzina, i nikt im tego za zło nie poczytał, tém bardziej że liczba tych, co przyrzekli poświęcić się na usługi Ojczyzny *usque ad finem*, o wiele przenosiła konieczny skład Sejmu, to jest 33 członków obu Izb. Tak więc Sejm pozostał przy wojsku na straży ojczyściej sprawy, a dowódcą straży sejmowej, był zasłużony i czcigodny pułkownik, Piotr Ludomir Łagowski.

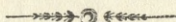
Dnia 20 września, wojsko pociągnęło do Płocka. Pod Płockiem odbyła się sławna narada wojenna, na której 30 jenerałów i pułkowników oświadczyło się za poddaniem wojska Mikołajowi, a sześciu tylko, za dalszym prowadzeniem wojny. W takim położeniu, prezes rządu nie mogąc sobie dać rady, zażądał posiedzenia sejmowego w Płocku, i w ręce Sejmu złożył władzę. Zebrany Sejm z serdeczną goryczą widział takie nieeności; w nadziei ich ukrócenia a w chęci nadania największej sprężystości naczelnéj władzy, postanowił w jedne ręce powierzyć władzę narodu i wojska; chciał mieć w jednéj osobie i prezesa rządu i wodza; bo téż w obecnej chwili cała krew narodu, całe życie narodu, zbiegły się w wojsko. Uchwała takiego rządu stanęła natychmiast; szło tylko o wybór osoby. Sejm miał na widoku trzech ludzi: Dembińskiego, Bema, Umińskiego. Dembiński poszedł był już z *korpusem* swoim ku Łowiczowi, a więc niebył naówczas w Płocku — szkoda nieodżałowana! Bem przywołany na Sejm, oświadczył, że dniem pierwéj przyjąłby dowództwo z nadzieją ucieżenia Warszawy, lecz dziś już za późno. Przywołano Umińskiego, ten nie wątpił o niczém, a więc na niego padł wybór. Sejm obradował w domu stojącym na obszernym rynku; oficerowie różnego stopnia i różnéj broni zapełniali ten rynek, a wołali nam do okien: „dajcie nam wodza, coby nas do boju prowadził!“ Po wybraniu Umińskiego, Sejm go powtórnie przywołał. Wszedł Umiński, Sejm powstał na powitanie syna Ojczyzny, co o jéj zbawieniu nie wątpił. Marszałek Ostrowski i prezydujący w senacie wojewoda Ostrowski, wkładali na niego władzę w tak czułych wyrazach, że aż się posłowie popłakali. Umiński nim przyrzekł użyć danéj sobie władzy na dobro Oj-

czynny, i poświęcić ostatnią kroplę krwi swojej na jój zbawienie, wymawiał Sejmowi, że tak późno daje mu władzę, a powierzał ją tym, którzy Ojczyznę do zguby przywiedli. Wymówka może nie w miejscu, Sejm jednak zniósł ją cierpliwie w nadziei posług, które Umiński obiecywał Ojczyźnie, i napisał w téjże chwili odezwę, polecającą wojsku nowego wodza. Umiński prezesem rządu być nie chciał, a więc tę władzę zwrócono Niemojowskiemu. Wszedł Umiński, oficerowie porwali go na ręce i podawali go sobie z uniesieniem największej radości, wołając: „niech żyje Sejm! niech żyje nasz wódz, co z nami zginie, albo zwycięży!“ Sejm zaś odroczył się do czasu nieograniczonego, za miejsce zebrania się naznaczając sobie Krakowskie, gdzie spodziewał się, iż wojsko nasze zimować będzie. Działo się to 23 września.

Posłowie, Władysław Plater i Zwierkowski, mieli w téjże chwili kazać wydrukować i rozrzucić odezwę sejmową i Umińskiego przedstawić wojsku w imieniu Sejmu; odezwę gdzieś zatracono, a Umiński spodziewając się, że wojsko przyjmie go z zapalem, sam do niego pospieszył. Jazda radośnie witała nowego wodza, ale wyżsi oficerowie piechoty, czy to rozumiejąc, że Umiński władzę sobie przywłaszcza, czy téż Umińskiego nie lubiąc, czy téż bić się nie chcąc, nie chcieli uznać go za wodza, i zagrozili mu nawet rozstrzelaniem, jeśli by nie ustąpił z przed wojska. Umiński zrażony takim przyjęciem, wnet wrócił od wojska i złożył dowództwo.

Niemojowski zostawując w rękę Rybińskiego skarb i wojsko, i zrobiwszy w imieniu Narodu nowe oświadczenie przeciwko obcej przemocy i gwałtom, puścił się ku Prusom, dokąd téż i członkowie Sejmu, jak który mógł, podążyli. Rybiński zaś, żołnierz dobry, człowiek nieskazitelny ale za słaby, nie mogąc dać sobie rady z generałami, którzy się bić nie chcieli, nie poszedł za ich niecną radą w tém, że się nie poddał carowi, ale zamiast postąpić z nimi podług praw wojennych, uległ im w tém, że już dalej wojny nie prowadził i dnia 5 października

wojsko bez bitwy weszło do Prus, tam z płaczem pokruszyło broń zawsze zwyciężką, z rozpaczą cisnęło ją pod nogi wrogów, a z męstwem odważyło się na gorsze od bojów tułactwo i na długie i ciężkie lata pokuty w więzieniach i na wygnaniu.



ROZDZIAŁ XI.

WEJŚCIE DO PRUS.

Kiedy wojsko ciągnęło składać broń w Prusach, chcąc się bezpiecznie dostać na miejsce naznaczone do zebrania się Sejmu, a obawiając się, żeby Prusacy nie wydali nas Moskalom, jako powstańców na których Mikołaj wielce się srożył; umyśliliśmy ukryć nazwiska nasze. W tym celu korzystaliśmy ze zręczności jaka się nam nawinęła; lekarz francuzki, *Brandin*, co był przyjechał do Polski na wojnę, wracał z panem *Galois* drugim lekarzem Francuzem, a mieli *passport konsula* francuzkiego z Warszawy, wzięty już po wejściu Moskali; ci panowie właśnie przywieźli nam listy od przyjaznych osób, ostrzegające nas o zemście jaką Mikołaj grozić nam raczył. Bolesnie było rozstawać się z naszymi ludźmi, z bronią i z końmi, ale cóż robić, kiedy już po wojnie. Ludzi odesłaliśmy do domu, broń i konie powierzyliśmy przyjaciołom naszym, a sami zabraliśmy się z tymi Francuzami, niby ich służący.

Byliśmy już tylko o milę od granicy; droga piaszczysta, kocz ciężki, konie wynędznione, już wieczór wszędzie, a w lesie już noc zapadła; w tem, w jednej chwili usłyszeliśmy gwizdnięcie i tentent koni, i w mgnieniu oka obskoczyli nas ci sami Czerkiesi, którzy przed

kilką dniami złapali byli Wicentego Niemojowskiego i Olizara. Słowa nie mówiąc, porwali nas, poprzykładali nam króćce do piersi, a oficer jak umiał tak pytał woźnicę, kogo wiezie?; woźnica był z ostatniej poczty, więc nic nie wiedział, nic też nie powiedział; dopiero do Francuzów: Francuz jeden ani ust otworzyć nie może tak słaby, drugi rzuca się, niecierpliwi się, krzyczy; Czerkies zamyka mu usta, bojąc się aby na ten krzyk nie nadciągnął jaki oddział polski; nakoniec sadzają nas do powozu i prowadzą do obozu moskiewskiego, co stał zaraz za Wisłą. Mój brat siadł na koźle, a ja z tyłu za koczem na łomoku, a Czerkiesi jadą na około; myślę sobie; z takimi samymi byłem kiedyś w przyjaźni, a ci teraz nam tutaj usłużą; jednak nie tracę ducha; jednemu podaję bułeczkę, drugiemu gruszkę, trzeciemu kawałek piernika; jedzą, a jak który zabełkocze po moskiewsku, to ja odpowiadam, że jestem Francuz. Jużśmy się byli naprzód ułożyli, jak mamy się tłumaczyć na przypadek złapania i spokojnie jedziemy aż do Wisły; noc ciemna i mglista, nie widać wody, słychać tylko pluskanie wioseł; przyjeżdża wielkiem czółnem kilku Moskali z kagańcami, zaświecili nam w oczy, oglądają *pasport*; *pasport* był podpisany przez *konsula* francuzkiego i *gubernatora* moskiewskiego, ale w *pasporcie* nie było służących; oficer pyta, dla czego? Francuz powiada, że we Francyi taki zwyczaj. Oficer Francuza i nas zapełdza na czółno i chce wieść do jenerała na drugą stronę; przytomny Francuz mówi mu: albo wieź nas ze słabym i z koczem, albo moich ludzi zostaw przy słabym, który umiera. Kocza nie było gdzie wiaść, więc nas zostawili pod strażą, trzymając każdego osobno, ale nie daleko, a Francuza sadzają do czółna; Francuz szepnął, żebyśmy się ratowali jak mogli, gdy po nas bez niego przyjadą. Ja zaczynam nucić, pytając Edwarda, co będzie robić gdy po nas przyjadą; on odśpiewuje, że skoczy do Wisły, Wisła szparka, płynąć łatwo, ciemno, a krzaki przy brzegu; ja odpowiadam: skoczmy razem, i spokojnie pokładszy się na piasku czekamy. Była to chwila wielkiego strachu; jednak nie wiem czemu to przypisać,

żeśmy byli bardzo spokojni; już też nie czemu innemu jak ufności w Opatrzność Boską. Aż w dobrą godzinę kaganiec błysnął na Wiśle, a promień jego aż nam pięty rozgrzał; czóno coraz bliżej, serce bije coraz gwałtowniej, krew pali mnie ogniem, a ja myślę sobie, zaraz ja tu cię ochłodzę. Po chwili zasłyszeliśmy naszego Francuza hałasującego na łodzi — Aha, to dobry znak! Brandin wyskoczył z łodzi, ciągle łając i odgrażając się, bo jenerał moskiewskiego tak zagadał, że jenerał nie tylko go puścił, ale jeszcze kazał go odprowadzić do granicy. I ci sami Czerkiesi którzy nas złapali, odprowadzili nas trochę od Wisły, a potem sami od nas uciekli. Błąkaliśmy się po lesie; nakoniec musieliśmy stanąć, i w lesie nocować. Noc przeszła spokojnie, a rano przejechaliśmy granicę pruską, skąd nas zaprowadzono na pięć dni *kwarantanny* do Szilna. Tam zastaliśmy panią Klaudynę Potocką, która już wyjeżdżała ze Szilna z takimi jak my sługami: Tyszkiewiczem, Rottermundem i Aleksandrem Potockim; jakeśmy ję rozprowadzali naszą przygodę, drżała o nas jak o dzieci swoje, bo też ona była matką wszystkim nieszczęśliwym Polakom.

W Toruniu rozdzieliliśmy się z Francuzami naszymi. Szlachetny Brandin niechciał od nas nic przyjąć, mówiąc że oddając usługę Polakom, służył sprawie polskiej, dla której życie poświęcić był gotów. Odtąd nigdzieśmy go nie spotkali, i nie mieliśmy sposobności powtórzyć mu serdeczną wdzięczność naszą. Z Torunia pobraliśmy *pasporta* jako Galicyanie, i dążyliśmy w okolice Krakowa gdzie było naznaczone miejsce zebrania się członków Sejmu, i gdzie spodziewaliśmy się dowiedzieć o naszym bracie i o przyjacielach naszych, którzy zaciągnąwszy się do *Legii* litewsko-ruskiej, walczyli w *korpusie* jenerala Różyckiego. We Wrocławiu zaskoczyła nas nowa *kwarantanna*; z tój wydo był nas szczęśliwie bawiący tam naówczas Marchwicki, który chociaż nas wcale nie znał, przez cały czas naszego pobytu we Wrocławiu był prawdziwym opiekunem

naszym, za co niech mu będą stokrotne dzięki. Z Wrocławia dostaliśmy się pod Kraków, do Zatora, gdzie był generał Różycki. Tam dowiedzieliśmy się o bracie i o przyjaciółach naszych, i natychmiast pospieszyliśmy do Batorskiej Woli, niedaleko Wieliczki, gdzie stał pułk Różyckiego i Legia litewsko-ruska. Tam zastałem szczątki tego wojska w okrutnej biedzie, a zasiliwszy je tém, co mi się udało wydobyć z pieniędzy komitetu ziem ruskich, i wzięwszy opyt o bracie naszym, spieszyliśmy do Ciechanowa, majątności Rojewskiego, który był krewnym Podhorskiego, gdzie Podhorski, Lipkowski i mój brat już od dni kilku bawili. W Sieniawie rozdzieliliśmy się z Edwardem, on spieszył przytrzymać Eustachego, żeby nam dalej nie umykał, a ja wstąpiłem do obozu Ramoriny, gdzie z piątym pułkiem ulanów był nasz brat stryjeczny Adolf.

Wjeżdżając do obozu wieczorem, trafiłem na cap-strzyk; muzyki pułkowe zabrzmiały narodową pieśnią, a wiarusy, wybór wojska, dzielną postawą poświadczali tej prawdzie, że Polska nie zginęła. Marsowe ich wejście mówiło, że wojna nie skończona, a gorzkie westchnienie powiedziało, że już są bez broni! Pożal się Boże takiego zmarnowania tyłu rycerzy polskich! Niechaj wam Bóg nie pamięta, wy, coście rozkazując im rzucić broń o ziemię, rzuciliście Polskę o ziemię! Niechaj wam Bóg przebaczy, i pozwoli wam jeszcze w nowych bojach krwią waszą odkupić śmiertelną winę! Serce ścisnęło się patrząc na dzielną młodzież, co chciała zginąć za ojczyznę, a teraz nie wie losu swojego. Chciałbym był ich wszystkich wyrwać z niewoli austryackiej, ale nie mogłem, więc zabrawszy tylko Adolfa, konie i nieodstępного wiarusa jego, wywiozłem ich szczęśliwie z obozu, udając, że to moi ludzie i konie, a miałem pasport.

W Ciechanowie, skorośmy tylko wjechali na dziedziniec, wysypała się szlachta, porwali nas między siebie, Eustachy tylko co mnie nie udusił z radości; i nim zaczęliśmy się smucić wspólną niedolą naszą, cieszyliśmy się tą wspólną pociechą, że Bóg wypro-

wadził nas szczęśliwie z tyłu niebezpiecznych przygód, i że nas znowu połączył. Gospodyni i gospodarz Ciechanowa bardzo uprzejmi, panienska w domu ładna i miła, a syn gospodarza śliczny młodzieniec, ale głuchoniemy, jak mógł, tak z nami rozmawiał o wojnie, na którą chciał iść koniecznie; a jak mu ojciec mówił, że na nieby się nie zdał, on pokazywał, że mógłby się zdać do twierdzy, i ciągle napierał się, żeby go ojciec posłał na wojnę. Od tego to godzi się przyjąć chęć za uczynek!

W Ciechanowie kilka dni zeszło szybko na polowaniu i na gawędce; każdy jak mógł żartował ze swój biedy, każdy krzepił nadzieją i siebie i drugich; ale najdziwniejszy w tém wszystkiém był Podhorski Anastazy, chłop jak dąb, wąsy jak u suma, broda jak u pasiecznika, tusza bernardyńska, na której w ciągu trzech tygodni powstania ubyło jedenaście cali w obwodzie, a tego ubytku ani znać było; twarz piękna, postawa wspaniała; daj mu pastorał w rękę, a będzie wyglądał, jak arcybiskup; daj mu buławę w rękę a będzie wyglądał, jak hetman najokazalszy. Był to nasz sąsiad, hreczkosiej, a żołnierz tylko od powstania; zaś Adolf, młodziuchny, szczuplutki, ładniutki, wąsik dopiero myślał mu zasiewać się; ale Adolf służył już w wojsku od trzech lat przed powstaniem i bił się tego; a że zwykle żołnierze dawni dawali sobie pierwszeństwo nad powstańcami, choć Adolf tego nie czynił, bo czuł, że to nie właściwie, jednak Podhorski zawsze bawiąc się z nim, jakby z lalką jaką, i wywijając nim, jakby spisą, brał na rękę i pokazując mówił: „Staryż to żołnierz, stary!“ a wszyscy się śmieli. Znowu jak wspomniął na miliony, co w domu zostawił, westchnął jakby ze środka ziemi, jakby miech kowalski, i mówił: „O *patrio, patrio!* dałażes nam, dała; ale i my ci dali!“ I prawdę mówił, bośmy ją dali w ręce nieprzyjaciółom, bośmy z jój rąk sami się wydarli!

Z Ciechanowa wysławszy na zwiady do domu, sami pojechaliśmy do podkomorzego Romanowskiego, który dowiedziawszy się o nas, przysyłał jednego

posłańca za drugim. Starzec powitał nas ze łzami: „A mówiłem bijcie, a wyście się kłócili! Mówiłem bijcie, a wyście się układali i rozprawiali! Mówiłem bijcie, a wyście broń złożyli! Wyszliście z bronią, jak żołnierze, a wracacie z kijami, jak włóczęgi — gdzież wy się teraz podziejecie, moje dzieci!“

Popłakaliśmy się jakby przed ojcem, albo przed matką. Stary nie puszczał nas od siebie; gościliśmy u niego przez miesiąc, przypominając sobie domowe życie i staropolskie zwyczaje. U niego są i konie do pohulania i knieje do polowania, i trzy herbarze na stoliku, i obfitość wszelka, i gościnność szczerą; on mawiał, że ten najgłupszy, kto listy wymyślił. „Dawniej, mospanie, jeśli szlachcic ze szlachcicem miał do roboty, to siadł na konia albo do kolasy, i przyjechał, i robota się zrobiła, i było z kim pobałakać i pohulać, a teraz, mospanie, przysyła mi kozaka z listem; ja nigdy nie odpisuję. Dawniej, mospanie, wszystko było lepiej: gdzie dwór się bielił, tam się pewnie i z komina kurzyło; a teraz na kuchni mógłby się pies wyspać! Młodzież włóczy się licho wie za czém po za granicami, szuka czego nie zgubiła, albo ciśnie się do miasta, jak żydzi, a dwory pustkami stoją. Nie wiem, jak tam u was, bo dawno nie byłem, ale co u nas to tak. Golizna w domu, a chciałyby się panoszyć; szlachcic o jednej wiosce trzyma strzelców szamerowanych z drewnianemi kordelasami, wolałyby trzymać dobrego kucharza. A każdy lichy szlachcic pnie się na *grafa* i ostatni grosz wyda na *grafostwo*, wolałyby na wino; ale to nic nie pomoże, wiem ja z herbarza, co on zacz. Do mnie Niemiec jak zajędzie, musi po polsku gadać, a nasza młodzież szwargocze po niemiecku, jak Niemcy, ale téż i po polsku mało co lepiej gada od Niemca. Żeby nie pocziwe kobiety nasze, toby powoli zaginęła mowa polska i zdawałoby się, że nie Niemiec do Polaka, ale Polak do Niemca zajechał. A jak zaczęli stroić się na wojnę, to i wojna skończyła się i nie postroili się; ochota była, i pieniądz był, ale cóż, kiedy zielono w głowie; im więcej szło o to, żeby pięknie,

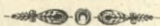
jak oto żeby dobrze bić. Sypali pieniędzmi, żeby strojnie wystąpić, i cóż ztąd? Oto i guzdrali się długo, i za te pieniądze, żeby nie zbyt kować, toby dziesięć razy tyle ludu do wojny stanęło.“

Zacny podkomorzy ofiarował nam dom swój na zamieszkanie, chciał nam oddać wieś jedną na gospodarstwo, chciał nam przed sądem zeznać darowiznę, żeby nam rząd austriacki przyznał obywatelstwo w Galicyi; ale skończyło się tylko na jego dobrej chęci i na naszej wdzięczności za jego dla nas niezasłużoną łaskawość; bo rzeczy obróciły się inaczej.

Przyszła wiadomość o ułaskawieniu; kto mógł, ten wracał. Obywatele z Podola wymykali się do Galicyi, każdy szukać swego, żeby go ściągnąć, nim czas upłynie; i za nami także wyjechał jeden z przyjaciół naszych; ten pierwszy dał nam wiadomość o domu. Matka nasza tylko co wyszła z ciężkiego więzienia, była mocno chorą; uczucie synowskie przemogło w nas wszelkie inne względy; gorzkie łzy i westchnienia, powiedziały, że po stracie ojca, matka nam ojcem i matką. Spojrzeliśmy po sobie; Eustachy domyślał się i z uczuciem wielkiej walki z sobą, powiedział:

— „Wy nie możecie wrócić, ale ja wrócę i będę służyć matce za was i za siebie!“ i już odważył się na wszystko.

Odprowadziliśmy go do granicy, która nas rozdzieliła, jakby murem chińskim. Odtąd nie wiemy, co się dzieje z bratem, ale uściśnienie jego zawsze będzie obecne naszej myśli, naszemu sercu, a łza za nim nigdy nie oschnie, i on też o nas musi pamiętać; on, co nas tak kocha, że się poświęcił za nas i dla nas, i to poświęcenie się na pierwszym wstępie opłacił długą i ciężką chorobą.



ROZDZIAŁ XII.

POBYT W GALICYI, PRZYJAZD DO PARYŻA.

Przyjechawszy do Lwowa, zastaliśmy wiadomość o zbieraniu się tułaczów polskich we Francyi. Wspólnie z Hermanem Potockim i kilku obywatelami galicyjskimi zajęliśmy się wyprawianiem Polaków do Francyi i zbieraniem na ten cel pieniędzy, co nam szło dosyć pomyślnie, dzięki szczodroblowości Galicyanów, a mianowicie Galicyanek. Ziemie ruskie zasiłały nas także.

We Lwowie przepędziliśmy całą zimę. Lwów był w tym roku bardzo świetny; liczni a majątniejsi tułacze bawili tam, póki im było wolno, i dodawali nowego życia zawsze wesołemu miastu. Zjechało się mnóstwo Polek, a w ich uprzejmém towarzystwie, nieraz się o biedzie zapomniało. Na polskiej ziemi, między swoimi, blisko domu, zdawało się nam, żeśmy z domu wyjechali na zimę do Lwowa; a jak się wspomniało na upłynione lato, to téż cieszyło się nadzieją, że na przyszłe lato przyjdzie znów do wojny.

Ta nadzieja krzepiła nas bardzo, a rozradowała nas niewymownie, kiedy generał Bem przysłał do komitetu galicyjskiego jednego z oficerów swoich, żądając składek na *legiony* polskie, mające się tworzyć we Francyi. Wiadomość ta zdała się nam tak prostą i pewną, żeśmy

się tylko dziwili, dla czego tak późno do nas przychodzi. I to nas dziwiło, że się sejm nie zbiera, że nie radzi, jakby tu wojnę ponowić, ojczyznę ratować. Pisywałem do marszałka sejmu, który już bawił w Gracu; marszałek odpisywał, że nie widzi pory ku temu, że ani mu wolno tam przybyć, gdziebyśmy się zebrać mogli, ani nam wolno tam się zebrać, gdzie on jest teraz. Więc wszedłem w radę z posłami ziem naszych, którzy się naówczas znajdowali we Lwowie, a wraz ze mną było ich sześciu: Godebski, Herman Potocki, Tomaszewski, Malinowski i Worcel. Uradziliśmy, że gdzie się sejm zgromadzi, tam sobie prezydującego obierze, a zdawało się, że teraz nie na ziemi polskiej, ale chyba we Francyi będzie to mogło nastąpić. Napisaliśmy odezwę do obywateli naszych województw, zaklinając ich, aby na duchu nie upadali, a mieli się zawsze na pogotowiu, bo dopóki Polska nie odzyska bytu w odwiecznych granicach, dopóty wojnie końca nie ma. Dla dokładniejszego wyrozumienia marszałka, wysłaliśmy do niego Januszewicza, prezesa województwa sandomirskiego. — Żarczyński, poseł winnicki, bawił w Dreźnie i służył za pośrednika między nami a członkami sejmu, którzy się licznie już zgromadziwszy w Paryżu pod przewodnictwem wojewody Ostrowskiego naradzali się często nad sposobem co najrychlejszego zgromadzenia sejmu i dalszego działania w sprawie narodowej.

Komitet narodowy polski w Paryżu wydawał do wszystkich ludów ogniste odezwy, budząc je do wolności i do sprawy polskiej; a od czasu do czasu przychodziły wiadomości, że książę Czartoryski już namówił Anglią do wojny przeciwko Moskwie, że całe Niemcy w ruchu, że cała Francya napiera się wojny. Galicya była więc w ciągłym oczekiwaniu stanowczych wypadków, a my co dzień spodziewaliśmy się powrotu do ojczyzny, a nadzieję naszą wspierało jeszcze łagodne a nawet uprzejme obchodzenie się z nami rządu austriackiego.

Wolno nam było związać się po Galicyi, jak się nam podobało, a uprzejmy i ludzki Lobkowicz, ówczasowy rządca Galicyi, przyjmował nas w domu swoim i nawet na uczty uroczyste zapraszał. Na imieniny cesarza, Lobkowicz przyjmował powinszowania obywateli galicyjskich; obok grona obywateli galicyjskich stało grono tułaczów. Obywatele galicyjscy w śmiałym podaniu swoim dziękowali cesarzowi za to, że pozwolił ich nieszczęśliwym braciom u nich zagościć, i prosili go, aby i nadal wspierał nas opieką swoją. My zaś składając powinszowanie przez usta Michała Czackiego, najbliższego znanego Lobkowiczowi, powtórzyliśmy w swoim sposobie te same uczucia. Lobkowicz osobno odpowiadał jednemu i drugiemu, zaręczając jednych i drugich o najlepszych chęciach cesarza. Wieczorem byliśmy u niego na uczcie, gdzie byli też oficerowie moskiewscy, wysłani na pądrowanie po Galicyi dla szpiegowania tułaczów, a bardziej dla namawiania ich do powrotu.

Tułacze przechadzali się po Lwowie w mundurach, a powstańcy na dzielnych koniach swoich roztrącali po ulicach austriackich piechurów; jeszcześmy mieli nasze powozy, naszych kozaków, dostatek był w kieszeni, nadzieja w sercu, a więc i wesołość, jak w obozie; nie zazналиśmy wówczas bólu tułactwa, a owszem doznawaliśmy niemałej uciechy, odbierając dowody szacunku od obcych, a tém bardziej od swoich. Rozpływały się nam serca na uśmiech, z jakim nas spotykały piękne i uprzejme Galicyanki, co uczucia polskie przechowują w sercach swoich, zwyczaj polski w uprzejmości i prostocie, a czysty język polski w pieścionej mowie swojej.

Jeszcze niejeden z tułaczów mógł się znosić i widzieć z osobami swój rodziny; a do nas zawitała kochana siostra nasza, przyniosła nam wiadomość, że zdrowie naszej matki polepsza się, i że mój brat jest przy niej. Kilka tygodni pobytu z siostrą ubiegło jak jedna chwila; chciałbym był tę chwilę w nieskończony czas przeciągnąć, a jednak sam ją ukróciłem odjeżdżając mą siostrę we Lwowie, czego dotąd odżałować nie

mogę. Dotąd nie mogę przebaczyć sobie tój dobroduszości, z jaką zawierzyłem nalegającym listom towarzyszków moich z Paryża, wzywającym do co najrychlejszego przyjazdu, bo sejm się otwiera na tym a tym dniu, a do tego dnia było już niespełna trzy tygodnie. Listy te były w dobrej wierze pisane, ja też im uwierzyłem, i na darmo wyrwałem się z objęcia siostry, może na zawsze.

W Dreźnie zastałem kilku członków sejmu i świeże wiadomości, że zebranie się sejmu na parę miesięcy odłożonem zostało. Zatrzymałem się chętnie kilka tygodni w tém miłym mieście, do którego tyle się przywiązało wspomnień i pamiątek naszych, gdzie tyle zawsze bawiących rodzin polskich, a tyle jeszcze było tułaczyw polskich, że Drezno zdawało się miastem naszym, i może więcej w niem było słyhać mowy polskiej, jak niemieckiej. Zwiedziłem okolice Drezna, oddałem pokłon pomnikowi księcia Józefa Popiatowskiego w Lipsku i ruszyłem ku Paryżowi w towarzystwie pułkownika Łagowskiego, zasłużonego starego wojaka i męczennika sprawy naszej, Mickiewicza i jego przyjaciela Domejki, powstańca litewskiego, jako też trzech posłów: Trzczińskiego, Żarczyńskiego i Narkowskiego.

Z Drezna aż do Baden-Baden jechaliśmy jednym powozem. Na każdym popasie i noclegu przyjmowały nas komiteta utworzone przez przyjaciół Polski po całych Niemczech. Z pierwszego miasta niemieckiego Polak mógł się dostać do Francji bez grosza; odsyłano go z miasta do miasta, w każdym mieście opatrzone potrzeby jego i zaśpiewano mu na drogę: *Jeszcze Polska nie zginęła.*

Już dziesięć miesięcy trwała podobna wędrówka Polaków przez Niemcy, jednakże zapał nie był ustał, i byłby trwał ciągle, gdyby go nie przygasiły te same władze, które się go naówczas może obawiały; gdyby go nie udusiła niemiecka miłość domowego spokoju.

Z trudnością przychodziło wyprosić się, żeby nam wolno było opłacać podróż naszą; kiedyśmy prosili Niemców, aby zachowali pieniądze dla potrzebniejszych ziomeków naszych, odpowiadali nam, że wystarczą dla wszystkich.

Jak kto z nas umiał, tak rozprawiał z Niemcami i Niemkami, a wielkie przywitania i pożegnania odmawiał za nas Trzciniński, który umiał najlepiej po niemiecku, miał postawę najtępszą i najwięcej zajmował Niemców i Niemki, bo kulał na nogę i miał z sobą młodego synka.

Trudno opowiedzieć, co się w naszej bryce wygadało, bo każdy prawił z inną beczką, a zawsze o powstaniu, każdemu się zdawało, że ma rozum, a Polska upadła. Pomiędzy hurtem wesołej gawędy dawały się słyszeć zajmujące opowiadania. Każdy objaśniał drugich o swojej ziemi, o tém, co widział, a szanowny pułkownik Łagowski, który nieraz nas rozczulił, i nieraz podnosił hardość naszą, raz tkliwą, drugi raz hardą wymową swoją, wszystko to, co słyszał, obiecał do pamiętników swoich zapisać; bo u niego wszystko *historyczne*, nawet służący, jego wychowanek Krzyś, który towarzyszył pułkownikowi w jego świetnej wyprawie na Puławy, stał się *Krzysiem historycznym*.

Z Baden-Baden pospieszyłem z Żarczyńskim do Paryża, myśląc że tam już zobaczymy, jak na dłoni, kiedy będzie wojna europejska i Polska.

Jadąc do Paryża, napotykalismy wiele młodzieży niemieckiej, wynoszącej się do Ameryki od prześladowań, które się rozpoczęły w ich kraju za uczucia i słowa technące wolnością. Mówiliśmy im, że źle czynią, wyludniając Niemcy z młodzieży zdolnej do broni, że słowami nikt nie zdobędzie wolności, że trzeba się bić za nią. Mądrześmy mówili, chociaż podobnie czyniliśmy jak Niemcy; oni wybierali się zbawiać Niemcy z Ameryki, a myśmy myśleli, że Polskę z Paryża zbawimy.

Paryż nie odpowiedział oczekiwaniu memu jako miasto, a tem mniej mógł mię zaspokoić w wojennych nadziejach moich. Jako miasto, chociaż zapewne jest stolicą mającą pierwszeństwo w Europie pod wielu względami, jednakże, że wszyscy pisarze, a tem bardziej nasi podróżnicy, przesadzali w opowiadaniu osobliwości paryżkich, znalazłem go daleko mniej okazałym, a za to daleko brudniejszym, jak przypuścić mogłem. Wjechawszy do Paryża, pytałem gdzie Paryż i to nie żartem. Trzeba się w Paryżu rozmieszkować, żeby go poznać, a trzeba nie być tułaczem polskim, żeby w nim zasmakować. I cóż mi po świetności i zbytkach paryżkich, po jego widowiskach i zabawach, po jego ogrodach i gmachach, po jego bogactwach i przepychu, po tem życiu miejskiem, które dzień i noc, zimą i latem, napełnia ulice błotem i krzykiem, po téj wesołości, co drży bez przerwy w powietrzu paryżkiem, a uczucie ludzkie obwija jakby mgłą jaką, przez którą trudno się przedrzeć promieniom prawdy i wiary. Ja myślę o Ojczyźnie, o domu, mnie trzeba Ojczyzny i domu. A jak z najwyższej wieży paryżkiej nie widać Polski, tak się też w Paryżu nie dowiesz, kiedy będzie Polska, choćbyś był pytał samego Lafayetta. On czuły i serdeczny, wylany dla nas, ale na pociechę naszą miał tylko nadzieję, bo już gwardyi narodowej nie miał, i sam pozostał jak chorągiew poświęcenia się i cnoty, około której kręciły się niedobitki wolności wszystkich narodów; ale nie było siły coby dźwignęła tę chorągiew. Lafayette otoczony powszechną czcią stał już nieruchomy, jakby pomnik swojej własnej sławy. Lafayette miał lat 80, umarł, a cały Paryż i my wszyscy grzebaliśmy z nim nadzieję rychłej zmiany w Europie. Po Lafayecie jak po Napoleonie, nikt nie nastąpił we Francyi.

Zaraz po naszym przybyciu do Paryża, wojewoda Ostrowski zwołał posiedzenie członków sejmu, dla wysłuchania wiadomości, jakie z kraju przynosimy, i dla porachowania wielu już nas jest, wielu niestaje do składu sejmu, i na kiedy tego składu spodziewać się można:

wtedy przekonałem się, że niewiedzieć po co tak spieszyłem. Tem bardziej żałowałem tego pospiechu, że wkrótce po moim wyjeździe ze Lwowa, przybyła tam nasza matka, w tój nadziei, że widzeniem się z nami ulży wzajemnym boleściom naszym; a żadnego z nas nie znalazła; ja jużem się był puścił do Francyi; a mój brat Edward siedział w austryackiem więzieniu w Brynie.

Po moim wyjeździe ze Lwowa zmieniły się austryackie widoki względem tułaczów polskich: kogo car naparkł się bardzo, to go i wydano; taki los spotkał Hieronima Chodykiewicza; kogo car zaskarżył, tego więziono, i taki los spotkał między innymi, mego brata, Hermana i Józefa Potockich i Pawła Lewickiego; dwóch pierwszych jako członków *komitetu* we Lwowie, ostatniego jako sekretarza tego *komitetu*; więzienie ich było bardzo ostre, pociągnęło się pięć miesięcy; ale że nic nie znaleźli ani w ich papierach, ani w ich zeznaniach, coby ich potępić mogło w oczach rządu austryackiego, wypuszczono ich z więzienia i wygnano do Francyi.

W tułactwie zastaliśmy ruch wielki, ale że był różnorodny, nie się z niego nie wyrodziło dobrego; że był różnostronny, zamiast skupienia nastąpiło rozerwanie. Byliśmy jakby po wielkiem rozbiciu wyrzuceni na obce brzegi; zamiast powiedzieć sobie, budujmy okręt i płynmy do domu, zaczęliśmy się sprzeczać o to, kto winien, że okręt się rozbił. Kto wie, może nikt nie winien tylko burza, może wszyscy winni i to najpewniej. Tułactwo było na ówczas silne liczbą i skupione tylko w kilku zakładach; w jednym zakładzie liczba do tysiąca wynosiła. Przez czas niejaki spodziewano się *legionów*, to też przez czas niejaki po zakładach zachował się porządek wojskowy; ale w Paryżu, gdzie był zbiór samych wodzów, generałów, członków rządu, członków sejmu, ministrów i dziennikarzy polskich, porządek wojskowy ani na chwilę zaistnieć nie mógł.

Tu najpierw zabrano się do obradowania, ztąd słabość do obradowania rozeszła się po zakładach.

W Paryżu, w samych początkach tułactwa, skoro zebrało się 20 Polaków, którzy pierwsi przybiegli do Francyi, zaraz zdeptali władze narodowe; bo choć był między nimi prezes rządu narodowego, sam jednak prezes uprawnił ten czyn szkodliwy, należąc do *komitetu* narodowego, utworzonego przez tych dwudziestu. Nieco później generałowie chcąc się zawiązać w radę, probowali swęj władzy i poznali, że już jęj nie mają. Zebrało się Polaków 80 w Paryżu, a zaraz obalił się pierwszy *komitet*, a stanął drugi. Kiedym przyjechał do Paryża było tam Polaków około trzystu, a we Francyi przeszło 4,000. *Komitet* utworzony przez 80ciu ostać się nie mógł; sam nawet ustępował z miejsca, wzywał do nowych wyborów. Kto chciał rozsyłał po zakładach swoich wysłanników; zakłady przysyłały też swoich na zwiady do Paryża. Zakłady porozumiewały się u siebie i przyszło u nich do wyboru nowego *komitetu*; u wojskowych wojskowy miał pierwszeństwo. Dzielny generał Dwernicki został prezesem; członkami tego *komitetu* byli: generałowie, Umiński i Sierawski; posłowie Morawski, Ledochowski, Wołowski Franciszek, Zwierkowski, Lelewel, Worcell i ja; radzca stanu Plichta i referendarz Hube. Lelewel urzędowania nie przyjął, obstając przy dawnym *komitecie*, który jednak mocą wypadków rozejść się musiał. Stanął tedy nowy *komitet* narodowy tułactwa polskiego; skromniejsze to nazwanie przyjął na mój wniosek, a na znak, że sobie nad narodem władzy nie przywłaszcza i że za władzę narodu polskiego uznaje sejm. Prawdę mówiąc, *komitet* ten i w tułactwie tyle tylko mógł mieć władzy, ile komu słuhać go podobało się. Czuł to *komitet*, i nie rozkazywał, a ograniczał się na radach i ostrzeżeniach, i stał bardziej na straży jak na czele tułactwa.

Jedną z użytecznych czynności tego *komitetu*, była uchwała o sądach przysięgłych dla tułaczów, ułożona przez Franciszka Wołowskiego, jednego z najznakomitszych prawników. Uchwała ta, jak wiele dobrych rzeczy, skutku nie wzięła, jest jednak piękną pamiątką i będzie mogła posłużyć za wzór w późniejszych cza-

sach. Jedną z niestosownych i szkodliwych czynności naszego *komitetu*, była następująca: Kiedy generał Chrzanowski przybywszy dzielić losy tułactwa miał być przyjęty do służby belgijskiej, *komitet* porwany zbytnią gorliwością, choć to do niego wcale nie należało, napisał do ministra wojny w Belgii list, w którym wypisawszy skargi swoje na generała Chrzanowskiego, z powodu czynności jego na urzędzie gubernatora Warszawy w ostatnich czasach powstania, dodał niesłusznie, że generał Chrzanowski nie jest tułaczem polskim, i skończył ostrzegając, aby rząd belgijski nie przyjmował generała Chrzanowskiego do służby swojej. Skutkiem tego listu to było, że Chrzanowski nie dostał spodziewanego miejsca i żeśmy dali gorszący przykład szarpania sławy ziomków nawet przed obcymi; a więc krzywda człowieka i ciężkie zgorzsenie cięży na sumieniu *komitetu* i na mojem; bo i ja porwany natarczywością, tych co ów list napisali, podpisałem go. Na okupienie tej winy wyznaję ją otwarcie i szczerze. Nie będę z tego powodu stawał w obronie generała Chrzanowskiego, bo nie znam wszystkich czynności jego; ale słuszność nakazuje mi powiedzieć tu uroczyście, że Chrzanowski przybywszy do Francji w r. 1832, obrzucany ciężkimi zarzutami, chciał się z nich zaraz tłumaczyć przed sądem tułactwa; z tem oświadczeniem udał się osobiście do generała Dwernickiego, prezesa *komitetu*, żądając jego w tem pośrednictwa; generał Dwernicki wręcz odmówił, mówię to z pewnością, bo dowiedziałem się później o tem od samego generała Dwernickiego.

Komitet równie jak i większość tułaczów, życzył sobie zebrania się sejmu, w tym celu odzywał się do jego członków. Tułacze czuli, że potrzebują jakiegoś spojenia, któreby powiązało rozerwanie i zniweczyło niezgodę i także o sejm wołali; a w polskiej gotowości poświęcenia wszystkiego na to co dobrem powszechnem być rozumieli, chociaż ubodzy, ofiarowali opłacić podróż tych członków sejmu, którzyby dla niedostatku do Paryża przybyć nie mogli.

W końcu 1832 roku, zebrał się w Paryżu prawny skład sejmu i na posiedzeniach przygotowawczych, pod przewodnictwem wojewody Ostrowskiego, naradzał się, czy ma rozpocząć dalsze działanie w sprawie narodowej. Starsi wojewodowie Czartoryski i Pac, nie chcieli wojewodzie Ostrowskiemu odbierać przewodnictwa, snać nie chcieli tym posiedzeniom nadawać mocy urzędowej. Po trzech dniach rozprawiania o tem, czy sejm ma teraz działać, czy nie, po dokładnem obejrzeniu ze wszech stron téj rzeczy, przystąpiono do głosowania: 24 członków było za niezwłocznem otwarciem obrad sejmowych, 11 było przeciwnego zdania. Ci 24 gruntując się na owym wypadku głosowania, ogłosili sejm za otwarty. Jedenastu zaś zanieśli sprzeciwienie się temu ogłoszeniu. Ta niejedność pochodziła ztąd, że jedni tłumacząc uchwałę sejmową, oznaczającą skład sejmu liczbą 33 członków izb połączonych, na przypadek opuszczenia stolicy; mówili, że ta uchwała jest rozkazującą, drudzy, że jest tylko pozwalającą; że przeto obrady sejmowe nie inaczej rozpoczęte być mogą, jak kiedy 33 zgodzi się na to, aby rozpoczęte były: tamci zaś utrzymywali, że kiedy w liczbie 33 większość okaże się za rozpoczęciem sejmu, sejm obradować musi. Było to więc obłudne koło, z którego bez dobrej wiary wyjść niepodobna, bo i w pierwszym i w drugim razie, istnienie sejmu zależećby mogło od widzimi się trzydziestego trzeciego członka.

Ja byłem za otwarciem sejmu i wiem doskonale, że ci co sprzeciwiali się temu, byłiby za jego otwarciem, gdyby pewni byli większości w sejmie, a przynajmniej gdyby ufali temu, że między członkami chcącymi sejmu, była dobra wiara i niepodległość. Tego zaufania najniesłuszniej zabrakło tym panom, i otwarcie sejmu do skutku nie przyszło. Złój chęci nie przyznaję ja przeciwnikom moim, ale sądzę, że się omylili w rachubie swojej. Czyby działanie sejmu uczyniło co dobrego, zgadnąć trudno, bo jak sądzić o rzeczy, która nie była; ale przynajmniej zdaje się być niewątpliwą, że sejm nic złego uczynićby nie mógł, a mógłby

niedopuszczyć wiele złego. Jednocześnie tułactwo zachowałoby je od domowych a tak bolesnych i srogich zakłóceń; utrzymując je w nierozzerwanej całości, byłby może co skuteczniejszego obmyślił, jak cząstkowe a nieszczęśliwe wyprawy do Polski i do Szwajcaryi, jak niepotrzebne wyprawy do Algieru i do Hiszpanii. Sejm nie działając w tułactwie zostawił je samopas; gdyby zaś tułactwo sejmu słuchać nie chciało, o czem wątpię, jużby to winą sejmu nie było i przed narodem miałby tłumaczenie, mówiąc, robiłem co mogłem; a tak powiedzą mu, nie nie robiłeś. Chyba że coś wielkiego zrobi jeszcze: czego się nie spodziewam, ale daj Boże!

W ciągu tych rozpraw, przeciwnicy obrad sejmowych, między innymi trudnościami kładli i to, że może nas rząd rozpedzić; Lelewel odpowiadając na tę trudność, mówił: „jak nas tu rozpedzą to pójdziemy gdzie indziej, a jak nas z Europy wygonią, to na okrecie będziem *protestować*,“ a księżę Czartoryski jakby nie dowierzając swemu słuchowi, pyta: „gdzie, gdzie, na okrecie?“ „tak jest, na okrecie“ z przyciskiem powtórzył Lelewel. Słyszając to ucieszyłem się bardzo, bo myślałem, że Lelewel ma już *flotę* i *admirala*.

Od czasu, jak sejm ogłosił czynem, że w sprawie ojczyściej działać teraz nie będzie, zaczęły się w tułactwie rozprawy o ważności sejmu. Tułactwo zaczęło samo myśleć o sposobach zapalenia wojny o Polskę, a różniąc się w wyobrażeniach o tych sposobach, coraz bardziej rozpadać się zaczęło. Jedni chcieli zapalić powstanie w Niemczech, a dalej we Włoszech; stąd wyprawy do Szwajcaryi a później do Sabaudyi, które się na niczem skończyć musiały. Drudzy chcieli zapalić wojnę na ziemi polskiej, pobudzając do niej lud cały; stąd wyprawa nieszczęśliwa do Polski, która się skończyła męczeństwem bohaterów tej wyprawy i nowe przesładowania i klęski na Polskę ściągnęła. Inaczej stać się nie mogło, bo ruch był zbyt słaby, a tułactwo wtedy dopiero się o nim dowiedziało, kiedy już skonał. Inni chcieli wojnę zapalić szkiełkiem *dyplomatycznym*, wysłuchując ją nowemi ofiarami Polaków dla Francyi;

z tąd wyprawy do Algieru, do Portugalii, do Hiszpanii, w których wyginęło wielu wiarusów naszych, bez korzyści dla sprawy narodowej. Inni nakoniec puścili się drogą zawichrzeń, i nuż burzyć; zamęcili wodę, ale ryb nie nałapali, bo ryb nie było. Z tąd podział dziecinny na *arystokrację* i *demokrację*, podział do tego stopnia nie polski, że w polskim języku nie ma nań wyrazów. *Arystokrata* był każdy, kto uważając działania tak nazwanęj *demokracji* za szkodliwe, do nich należeć nie chciał; *demokraci* zaś dzielili się i skupiali i znowu się rozdzielali, przywiązując do swoich marnych sporów wagę niesłychaną. Ci ostatni najwięcej wicherzyli i dali powód do wielu krwawych wypadków, i do niepoliczonych śmieszności, które może kiedyś, jak czasy się poprawią, z wielkim śmiechem przypominać sobie będziemy; ale teraz mówić o nich nie będę, bo we wspólnym ucisku i biedzie, nie godzi się, abyśmy się jedni z drugich naśmiewali; tem bardziej, że już dziś w tułactwie przygasły nienawiści, i dzięki Bogu wiele złego ustało.

Tułactwo polskie, które przy wszystkich swoich zбочeniach i błędach, nie mało zasłużyło się Polsce samem istnieniem swoim, i jeszcze wiele zasłużyć się może i zapewne zasłuży, w swoim czasie znajdzie sprawiedliwych dziejopisów; ja zaś tyle tylko o niem mówić będę, ile mnie się to dotyczy, bo o tem tylko, w istniejącym jeszcze odmgęcie, dokładnie wiedzieć mogę.

Przybywając do Paryża, nikogo z towarzyszków tułactwa bliżej nie znałem, a w czystości uczucia mego dla Ojczyzny, rozumiałem, że wszyscy lepsi odemnie; z tąd szanowałem wszystkie ich roboty wprzód nim je poznałem, z tąd należałem do wszystkich prawie robót w Paryżu, dzielając je dopóty, pókim nie poznał, że są nicpotem; a w tem, tak jak i w całym życiu mojem, nie powodowały mną żadne względy osobiste, a tem mniej osobiste widoki moje, ale własne przekonanie,

które chociaż mogło być mylne, było zawsze szczere. Za zmianą mego przekonania o osobach, samo z siebie zmieniały się moje z nimi stosunki, ustawało albo rozdziło się moje z nimi współnictwo w działaniu; a to co pochodziło u mnie z serdecznej prawości, i było właśnie cechą niepodległości, niektórzy przeciwnie sobie tłumacząc, dopuścili się względem mnie niesprawiedliwości nieraz bardzo dziwacznych, które mnie częścięj rozsmieszały, ale też czasem i ubodły. Na niesprawiedliwości odpowiedziałem nie raz goryczą i gniewem, nie raz napisało się z tego powodu niepotrzebne a jątrzące, albo obraźliwe rzeczy. Teraz w uspokojeniu mojem żałuję, żem tak czynił, i wszystkich braci moich których dotknąłem, przepraszam wszystkich, którzy mi byli niesprawiedliwymi, z serca przebaczam.

Nie raz zdradzony w zaufaniu mojem, albo omylony w wyobrażeniach jakie przywiązywałem do ludzi, których wielbiłem i szanowałem na niewidziane, bo o wszystkich myślałem, że są bohaterowie, a serca czystego jak bursztyn; nie raz wpadałem ztąd w niecierpliwość, w rozpacz o sprawie naszej; z cichego przechodziłem na gwałtownego, z łagodnego na ostrego, niejednemu na nieznośnego; bo zapomniałem, że ludzie to nie święci, i że sam pobjaźnienia potrzebowałem. Ale podobno każdy przez tę gorączkę przejść musi, nim pozna świat i ludzi.

Przybywszy do Paryża zastałem obrady ogólne odbywające się na ulicy *Taranne* Nr. 12, a ztąd *Taranem* zwane; chodziłem tedy na ten *taran*, podzielałem obrady *tarzańskie*, ale że mi się nie zdały, porzuciłem je wkrótce. Zastałem w Paryżu towarzystwo literackie polskie pod przewodnictwem księcia Czartoryskiego. Towarzystwo to wspierane powagą dostojnego prezesa i gorliwą czynnością wice-prezesa kasztelana Ludwika Platera, wzrasta coraz bardziej i w liczbę członków i w liczbę prac swoich. Zastałem też towarzystwo litewskie i ziem ruskich, któremu przewodniczył Cezary Plater, a które utworzyło się głównie dla zebrania

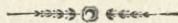
dziejów o powstaniach Litwy i ziem Ruskich. Zostałem członkiem obu tych towarzystw. Wkrótce zniósłszy się z Cezarem Platerem, który czas i pracę swoją na usługi tułactwa gorliwie poświęca, wpadliśmy na myśl założenia towarzystwa naukowej pomocy, dla wspierania młodzieży naszej w jej pracach naukowych, dla przygotowania dla kraju ludzi zdolnych we wszystkich ile możności gałęziach służby krajowej, dla opiekowania się ile możności wychowaniem dzieci polskich na tułactwie. Porozumieliśmy się w tym względzie z kilkunastu innymi ziomkami, i ułożyliśmy podanie do ks. Czartoryskiego, Niemojowskiego, Dwernickiego, Paca, Kniaziewicza i Ludwika Platera, wykazując im powyższe potrzeby, i wzywając aby swoją pracą i wpływem starali się je zaspokoić. Dwernicki wymówił się innemi zatrudnieniami od przyjęcia naszego wezwania; inni odpowiedzieli mu chętnie i gorliwie; zawiązali radę towarzystwa naukowej pomocy, do której pierwotnego składu zawezwali też Marcinkowskiego, Mickiewicza, Cezarego Platera i mnie. Działo się to pod koniec grudnia 1832 roku. Towarzystwo naukowej pomocy rozwinęło wkrótce pomyślnie swoje działanie i trwa dotąd; usposobiło wiele młodzieży, w Nancy i w Orleanie, ustanowiło szkółki polskie dla dzieci, a nadto założyło księgozbiór polski w Paryżu. *)

Chcąc służyć literaturze krajowej, zaraz po przybyciu do Paryża, zająłem się wydawaniem dzieł polskich; pierwszemi dziełami przemnie wydanemi były: 4ty tom Mickiewicza i owe księgi Pielgrzymstwa polskiego, co się rozleciały po całej Polsce roznosić miłość braterską, i żywić wiarę i nadzieję w sprawę na-

*) W ciągu istnienia towarzystwa naukowej pomocy, członkami rady byli: Książę Adam Czartoryski, *prezes*. Bonawentura Niemojowski, b. pr. rz. nar. ł. Jenerałowie: Kniaziewicz, Pac ł, Dembiński. Kasztelanowie: J. U. Niemcewicz, Ludwik Plater. Posłowie: Cezary Plater, Malinowski, Jełowicki. Doktor Marcinkowski. Ignacy Domejko, Adam Mickiewicz, Feliks Wrotnowski, książę Janusz Czetwertyński ł.

rodową. Za temi poszły inne dzieła, a nakoniec po dwóch latach takiej roboty, połączywszy się z Eustachym Januskiewiczem pracującym w tymże zawodzie, w 1835 r. założyliśmy drukarnię i księgarnię polską, daj Boże na chwałę Twoję i na pożytek Ojczyzny naszej.

W końcu stycznia 1832 r. dowiedziałem się o uwolnieniu mego brata, i pospieszyłem na jego spotkanie do Genewy.



ROZDZIAŁ XIII.

PODRÓŻ PO SZWAJCARYI.

Jadę trzy dni i trzy noce, a Szwajcaryi jak nie widać, tak nie widać. Czwartego dnia, niebo było pogodne i czyste, słońce nad zachodem łagodnie patrzyło w tę samą co i ja stronę, sanki wywijając się z ostatniego zakrętu drogi, wśliznęły się na wyniosłość gór *Jura*, a widok wspaniały niespodzianie zachwycił wszystkie zmysły moje; siłę wszystkich zmysłów skupiłem w oczy i całym sobą patrzyłem. Góry całej Szwajcaryi stanęły potrójnym rzędem, spinając się jedne nad drugie, jak gdyby wszystkie chciały oglądać zachodzące słońce i zachwycić jego ostatnich promieni; a wszystkie w jasnej a miękkiej bieli świeżego śniegu; im słońce niżżej spada, tem one wyżej się wznoszą, jak gdyby za niem goniły; słońce spójrzało na nie raz ostatni i uciekło, a jego promienie ugrzęzły na górach i długo jeszcze świeciły osieroconej od słońca krainie; nakoniec słońce zbiera i te ostatnie promienie, bo ze wszystkiemi musi iść na służbę drugiej połowie świata; góry pasowały się ze słońcem, słońce się im wydarto, a one poczerwieniały od złości i różnym ogniem płoną, i tak najpiękniejsze. Między mną a górami, położyła się zielona dolina; na tej dolinie jak na dłoni widać wsie

i miasta; na prawo największe miasto, to Genewa; przy niej jezioro czyste jak niebo, spokojne jak niebo, a wszystko co to jezioro otacza, pokochało się w niem, i pod wodami jego pozawieszało obrazy swoje. Spuszczałem się coraz niżej, a góry podnosiły się coraz wyżej, blade, światu na dobranoc poświęciły jeszcze trochę białością swoją, potem obwinęły się szarym płaszczem, i poszły zasnąć w miękkich obłokach; a ja do Genewy jechałem jeszcze ze dwie godziny.

Uściskałem mego brata; nędza więzienia co mu świeciła jeszcze i z oczów i przez łokcie, rozczulała mnie jak brata, a to że się już wyrwał temu nieszczęściu i biedzie, cieszyło mnie jak brata; to podwójne uczucie długo miotało sercem mojem, bo długo jeszcze wypytywałem się go o szczegóły tego co wycierpiał, długo rozmawialiśmy o nieocenionej matce naszej, co jakby nasz Anioł stróż, w każdej ciężkiej próbie staje nam ku ratunkowi. Teraz dopiero zaczęliśmy czuć całą srogość rozłączenia się naszego, całą samotność naszą. O! jak nam drogie były wspomnienia każdej matczynej pieśczoży, jak drogą pamięć matczynego błogosławieństwa! Nasza matka była między nami, czuliśmy ją w każdej chwili, zdawało się, że liczymy dnie i godziny, co nam z nią przemigają jak błyskawice, a jak ła oschnie a matki nie widać, ła powraca i matka powraca.

Zwiedziliśmy Szwajcaryą wzdłuż i w szerz. Płynąc z Lucerny widzieliśmy to uświęcone miejsce, z którego Wilhelm Tell strzelił do swego ciemżczy i to miejsce, gdzie Wilkenryd piersiami swojemi sto grotów pochłonał, a śmiercią swoją zwyciężył nieprzyjaciół ojczyzny i dał życie wolności ziemi swojej. To też tym bohaterom, pomnikiem cała Szwajcaryą.

Z Lucerny chcąc dostać się do południowej Szwajcaryi, musieliśmy się przeprowiać przez górę św. Gotarda, a było to w takiej porze, kiedy ta góra cała zasypana ogromnym śniegiem; wtedy tylko dwa razy

na tydzień poczta listowa jednokonnemi saneczkami przemyka. Ale my do śniegu przyzwyczajeni, obwinawszy się w nasze szuby ruszamy. Każdemu z nas dają jednokonne saneczki bez dyszla, przyczipione tylko do konia postronkami, któremi koń ciągnie; chcą nas przywiązywać do sani, a my pytamy, czy to my tłomoki, czy wiązki siana, czy co takiego? Szwajcarowie śmieją się, pobrali rydle, jak gdyby nas gdzie zakopać chcieli. Siadamy na owe ich saneczki jak na konie, a trzymamy się za sznur jak za grzywę, i dalej w drogę.

Pod górą św. Gotarda, Szwajcary pokazują nam most dyabli (*Pont du Diable*), patrzymy, nie ma nic dyabelskiego, ruszamy dalej. Tylko cośmy wjechali trochę na górę, jak się zerwie zawieja, jak zacznie nam sypać śniegiem w oczy, jak zacznie nas szczypać mrozem po twarzy, jak zacznie miotać sankami naszemi, jak zaczną sanki wierzgać, nie raz wiatr zdmuchnie je na przepaść i tylko wiszą na koniu, który wtedy stanie jak wryty, Szwajcary wywindują sanki i dalej ruszają; trzymamy się za sznur z całej siły; domyśleliśmy się wtedy, dla czego to chciano nas przywiązywać, dla czego to wożąc tamtędy tehórzów, powijają ich w piernaty; spozieramy jeden na drugiego, pytając, czy śpi. Po trzech godzinach takiej tarapaty, dodrapaliśmy się na wierzchołek góry, stanęliśmy, konie sapały, a my oglądaliśmy się na wszystkie strony. Straszny widok, wszędzie albo śnieg bieleje, albo przepaść czernieje, albo góra straszydło, której i śnieg uczepić się nie chce, suchą skałą, jakby trupa kością sterczy nad śniegiem. Zmykajmy ztąd, bo tu siedlisko śmierci, tu grób ziemi. Sanki powinęły się ku dołowi, konie szły różnie, pogoda jaśniała, śnieg chrupie, sanki zataczają się to na prawo, to na lewo, i przypominała się domowa sanna. Od strony południowej mróz mniejszy, a od dołu wionął czasem wiatr ciepły; nakoniec majowa zieloność doliny chwyciła nas za oczy, a wiosna ożeniona z zimą, wyglądała jak rumiany młodzieniec, któremu siwizna przez pomyłkę głowę ubieliwszy, na

przeprosiny wdzięczy się do niego, i od jego oczów sama młodnieje. Na górze nawet wilki wyć nie chcą, a na dole już śpiewa skowronek; na górze szumi wiatr i śniegiem pomiata, na dole szumią bujne wodospady, a odbryzgiem wód swoich karmią kwiaty co ją otoczyły: góra zazdrośna wdzięków doliny, z piorunowym trzaskiem ciska w nią olbrzymie bryły śniegu i zabija niemi igrające kozy, zawala domy swobodnych pasterzy. Wolę dolinę, a górę dla tego tylko lubię, że z niej i przy niej piękniejsza dolina. A zresztą nie ma co i wymyślać, bo wszystko piękne co Bóg stworzył, i to tak piękne, że nie piękniejszego myśl ludzka wyobrazić sobie nie może, choć czasem w opętaniu swoim myśli, że świat byłby piękniejszy i lepszy, gdyby Stwórca był się jój radził. Spuszczamy się coraz niżej, szczyty gór chowają się po za nas, jakby się wstydzily złości swojej, a przed nami roztwiera się widok obszerny i daleki i oko po dolinie aż do Włoch się potoczyło.

Przebiegliśmy piękną Belinconę a zatrzymaliśmy się czas niejaki w Lugano, gdzieśmy się zaprzyjaźnili ze znakomitym obywatelem tego miasta, a dawnym tułaczem włoskim *Ciani*, który spótczuciem swoim dla nas, bardzo nas sobie zobowiązał.

Z Lugano pojechaliśmy popływać po rokosznem jeziorze *Lago Maggiore*. Zagościliśmy dni kilka na cudnych wyspach Boromeusza; przyroda i sztuka, ustroiły je na wyścigi, a w tem cudowném ustroniu osiadły na zawsze słowiki i wiosna: wyspy te, kochanki jeziora, woda ogrzewa je w zimie tchem swoim, a w lecie ochładza rosą i świeżym powiewem swoim. Ale nic mnie tak nie zachwycało nad brzegami tego jeziora, jak posąg świętego Karola Boromeusza, niegdyś pana tych wysp i tego jeziora i rozległej krainy; pana, który stawiał najwspanialsze świątynie, zakładał i uposażał największe domy dla chorych i ubogich, a sam sobie nakazał największe ubóstwo. Potomność odplaciła dobrodziejstwa pomnikiem, a chcąc nim doścignąć miary dobrodziejstw, na pierwszym wyniesieniu jednej z gór otaczających jezioro, wystawiła posąg olbrzymi. Kiedym

pierwszy raz spójrzał z jeziora na tego olbrzyma, nie było góry ni przed nim, ni za nim, widziałem go całego na obłoku i byłem zachwycony. Olbrzym ten wyobraża świętego biskupa błogosławiącego lud; spokojność i świętość w całej postawie, a słońce otoczyło w téj chwili głowę jego promieniami swemi. Wysiedliśmy na ląd, aby się przypatrzeć temu cudowi sztuki. Posąg ten jest tak kształtny, że i z bliska widziany nie nie traci ze swego wdzięku. Stoi na podstawie granitowej, kilkanaście łokci wysokości, a sam ma wysokości stóp 72. Głowa i ręce wylane, reszta wykuta z miedzi; po drabinie, którą przystawiają dla śmiałych podróżnych, wleźliśmy po pod fałdy sukni aż do głowy: w księdze, którą ten posąg trzyma pod lewą ręką, czterech ludzi się zmieści, a w nosie jego wygodnie usiąść można. Posąg ten kosztował trzy miliony złotych. Posąg ten tak mnie zachwycił, jak najświetniejszy obraz Rafaela, wyobrażający Najświętszą Pannę, a znajdujący się w Dreźnie.

Wracaliśmy przez górę świętego Bernarda, tam mieliśmy przeprawę krótszą i łatwiejszą jak przez górę świętego Gotarda: przejechaliliśmy potem *la via mala*, po bardzo dobrej drodze; a wszędzie góry, przepaście, na górach jeziora, na dole jeziora albo huczące strumienie, po bokach wodospady; w tem wszystkim i podobieństwo i różnaitość; a mówiąc po prostu, góry taj góry, i zaśpiewaliśmy sobie sławną piosenczkę: *kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu, kamień na kamieniu*. Otóż to Szwajcarya; a jak chwalono jaki wodospad, to mój brat mówił, że nie osobliwego, bo zawsze idzie z góry na dół, a nigdy z dołu na górę; tym sposobem droczył się ze Szwajcarami. Przyprawdza nas Szwajcar w Szafuzie do sławnego spadku Renu, i patrzy, a mój brat mówi mu, prowadźże mię już do twego sławnego *Reinfal*. Zapewne, że wspaniały jest ten spad Renu, ale tyle o nim nagadano, żeśmy go sobie wyobrazili byli przynajmniej trzy razy wspaniałej; nasze Dnieprowe porohy piękniejsze i wspanialsze od niego, jednak nie żałuję, że go wi-

dział, choć potem musiałem zająć piechotą z Szafuzy do Zurich w dziewięciu godzinach bez spoczynania.

Odwiedziwszy miejsce mieszkania i śmierci Kościuszki w Solurze, zajechaliśmy na wypoczynek do Bernu, gdzieśmy mieli znajomego a przyjacielskiego generała Różyckiego.

Z Bernu jużemy mieli spieszyć do Francyi, bojąc się, żeby tułactwo bez nas nie wyruszyło do Polski; bo to jak człowiek długo nie był na jakim ważnem stanowisku, to już sobie wyobraża, że tam już nie wiedzieć co nowego stało się. Ale generał Różycki mówi nam:

— „Nie spieszcie się, nie ma po co, a choćby i było, to my bliżej Polski; to my stąd na przetaj naszych dogonim; a szkoda żebyście odjechali ze Szwajcaryi nie widząc *Oberlandu* berneńskiego.“

— „A długo to tam trzeba po tym *Oberlandzie* chodzić?“

— „Za trzy dni wrócicie.“

Więc wybraliśmy się na trzy dni, to jest poszliśmy nic z sobą nie biorąc, a przyodziawszy się w najgorsze suknie, bo mieliśmy się tam drapać po skałach.

Już i Bern ślicznie leży na wyniesieniu, otoczony zewsząd doliną; a ta dolina ściśnięta górami, pobiegła na prawo aż do jeziora Tun. Wyszliśmy z Bernu środkiem téj doliny zieleniącej rokosznym majem. Cała ta dolina, trzy mile długa, niby jeden ogród; po całej dolinie rozpierzchnięte domki chędogie a wesole; poprzecinały ją drogi i rzeki, ozdobiły kwitnące drzewa owocowe, ubogaciło prześliczne bydło, zaludnił piękny i strojny mieszkaniec. Dolina ta, wijąc się, ścięła się pokornie po pod stopy gór strasznych, jak gdyby się prosiła, żeby jój nie zasypały, a wije się z takim pędem, że przeskoczyła jedno jezioro i drugie, i dalej pędzi.

W mieście Tunie, u brzegu jeziora, gotowe już łódki czekają podróżnych, jak gdyby u Styksu, ale zamiast Charona piękne Szwajcarki. Do łódki wskoczysz wesoło i ochoczo; bo śliczne brzegi w wodach

jeziora dwoją wdzięki swoje; widzisz pod wodą i kwitnące drzewa, i życie ludzkie, i góry olbrzymie, i całe obłoki, i dziwisz się, jak się to wszystko umieściło w jednym jeziorze, a czyż nie większy to dziw, iż to się umieściło w oku twojem, jak gdyby na ciągłą przestrogę o wielkości świata i Stwórcy jego, a o twojej małości. Westchniesz i zamyślisz się. Szybka łódka mknie dalej a dalej; już na środku jeziora; małe przedmioty znikły ci z oczu, góry zewsząd zaskoczyły ogromem swoim, ścisnęły jezioro, zda się, że już cię na zawsze od świata odcięły; a same piętrzą się wyżej a wyżej, i już ci śniegiem pogroziły. Westchniesz do Stwórcy jeszcze serdeczniej, myśl twoja pnie się ku niemu po niepoliczonych szczytach gór i na nich ukłeka, wtedy dopiero strach cię odejdzie; góry rozsuwają się powoli, łódka do brzegu się zbliża, i znowu widzisz czarujące brzegi, a przed okiem twojem, pomiędzy dwoma jeziorami, rozwija się jeszcze cudniejsza dolina.

Piękniejszój doliny nigdy ani widziałem, ani wymyślałem. Dwa jeziora po dwóch brzegach; po dwóch bokach dwa gór łańcuchy; jeden prosto w górę wyrasta z doliny i zamyka ją szczelnie; drugi łańcuch jeszcze wynioślejszy, jeszcze zda się potężniejszy, ale dolina odepchnęła go nieco dalej, pokruszyła go tu i owdzie, i różnemi wyłomami patrzy daleko między góry, widzi szczyt góry *Jungfrau*, a dalej widzieć, ani chce, ani może. Dwie bujne rzeki, jak dwie srebrne wstęgi przepasują całą dolinę; a do tych rzek, niby błyszczące nitki, zbiegają się z wielkim pędem, z gór zmykające strumyki w szumnych wodospadach. A cała ta dolina jest niby jednym najpiękniejszym ogrodem: miasteczko *Interlaken* i kilka wiosek rozrzuciły po całej dolinie najpiękniejsze szwajcarskie domy, zamieszkałe przez najpiękniejsze i najpiękniej strojne Szwajcarki.

Wysiadłszy z łodzi, tym cudnym a tak pełnym obrazem, nie mogłem napaść oczów moich, nasycić duszy mojej; wbiegałem z jednego urwiska na drugie, żeby oczami do pamięci mojej nachwytać jak najwięcej tych czarujących widoków. Było to z rana; słońce

najmilsze rozweselało całą okolicę, a takie tam powie-
trze, że jak niem napełnisz pierś całą, to ci go żal od-
dawać, radbyś je połknąć, bo myślisz, żeś zachwycił
najwonnejszą, najrzeźwiejszą cząstkę jego; a jak wspo-
mnisz, że to błogosławiona kraina wolności, to ci oko
zapłynie łzą rozczulenia, i za swoim krajem zapłaczesz
jak dziecko.

Na wypoczynek wchodzimy do jednej gospody; pu-
sto, ludzie byli na robocie, bo choć w Szwajcaryi
pięknie, swobodnie, ale trzeba bardzo pracować; ale
że pięknie i swobodnie, to też nie żal popracować.
W trzecim czy w czwartym pokoju znajdujemy śliczną
dziewicę, uczącą czytać małe dzieciętki; przyjęła nas
uprzejmie, a nim przygotowała śniadanie, siadam do
klawicymbału, i pełny wrażeń dnia tego, dźwiękami
pieśni narodowych wtórowałem myśli mojej. Dziewczyna
poznała, żeśmy Polacy, śpiewała nam pieśni nasze; za
śniadanie zapłaty przyjąć nie chciała, mówiąc: „pano-
wie jutro tędy wracać będą, to razem zapłacą.“

Poszliśmy w dalszą drogę, zapuściliśmy się na górę
Jungfrau, tak daleko, jak można było w tej zawcze-
snej porze. Zaszliśmy w takie miejsca, gdzie już ob-
umarła ziemia sterczy nagiemi skałami, albo już za-
grzebana wiecznym śniegiem; tam napatrzyliśmy się
odwiecznych lodozwałów, tam napatrzyliśmy się stra-
sznych śniegospadów, co w owej porze najobfitsze.
Zmykając z tej nieludzkiej krainy, zziębli i przemoczeni,
zagrzaaliśmy się i osuszyliśmy się przy niespodziewanym
a nieszczęśliwym ogniu. W pewnej wiosce gorzał dom
ubogich; pomagaliśmy gasić go jakieśmy mogli i nie
odeszliśmy wprzód aż ogień ugaszono. Przysmaliwszy
i obszarpawszy podróżne suknie nasze, wracaliśmy do
Interlakenu, mówiąc, pięknie się pokazemy tej ślicznej
Szwajcarce, co wystrojona jak lalka.

Przyszedłszy do Interlakenu późno wieczorem, za-
staliśmy ze stu Szwajcarów co już od kilku godzin na
nas czekali; jeszcze tam nie widziano tułaczów Pola-
ków; dopieroż nas witać i oglądać; dopieroż z nami
rozmowa o powstaniu, o nadziejach wolności europej-

skiej, o naszym wojsku, o naszej broni, dopieroż zaczęli znosić broń swoją, pokazywać kosy osadzone jak dla kosynierów, pytając czy dobrze. Prosimy o skromny posiłek, a nam zastawiono wspaniałą wieczerzę. Myślimy sobie, o! to nas zedra. Po wieczerzy chcemy już spać a jutro wracać do Bernu, ale Szwajcarowie powiadają, że trzeba jeszcze koniecznie zobaczyć wodospady Gisbach i Aar, popłynąć do Meiringenu, tam przypatrzeć się najpiękniejszym Szwajcarkom, wrócić napowrót i z nimi zabawić przez całą uroczystość strzelniczą całego kantonu, która się tam rozpocząć miała. Wymawiamy się tem, że nie mamy z sobą ani bielizny, ani sukien; nic nie pomaga, kilku Szwajcarów ciągnie nas, każdy do swego powozu, żeby nas zawieźć na noc nad drugie jezioro *Briens*, żeby przed wschodem słońca być już na jeziorze. Trudno się było oprzeć. Wyjeżdżając, pytamy cośmy winni, powiadają, nic; prosimy, żeby nam pozwolili zapłacić, nic nie pomaga.

Przy wielkiej radości Szwajcarów, a przewyciężając ile możności wstyd nasz, zwiedziliśmy cały *Oberland*, nic nie płacąc, wszędzie znajdując powozy, łodzie, przewodników, obiady i wieczerze wyśmienite; przy każdej osobliszszej piękności miejsca, Szwajcarki jak gdyby rusałki, wyjdą z lasu, przy szumie wodospadu zaśpiwają zgodnym głosem szwajcarskie pieśni i znowu znikną. Zdawało mi się, że zajechał do jakiejś zaczarowanej krainy; co spotkam kobietę, młoda, ładna, strojna jakby w największe święto; co zajdźmiem do jakiego gospodarza, uprzejmy jak gdyby sługa mojego domu; jak gdyby sąsiad polski; a to wszystko w najpiękniejszej krainie, której rozlicznych wdzięków oko nałapać, myśl nachwytać nie mogła.

Jeszcze zwracają się oczy za tą lub ową górą albo doliną, a tu druga zastępuje jej drogę, a tak się mili i wdzięczy, że trzeba powiedzieć, piękniejsza. Jeszcze jeden wodospad dalekim rozgłosem szumi i lekką pianą srebrzy się z daleka, a tu kilka innych rozrywa wzrok twój i każdy ciągnie ku sobie, a każdy inny: ten skacze ze skały na skałę, pieniać się ze złości, że żadnej nie

wyrwie; tamten z płaskiego urwiska szerokim płatem zapada w przepaść i zwierciadłem błyszczy; inny znowu z wierzchołka wyniosłej góry, wytryska daleko w dolinę rozplata się niby warkocz, a na dolinę już deszczem spada, a od skwaru słońca zasłania się tęczą; ten z szumem i łoskotem prosto wpada w jezioro, po którym płyniesz, a gdy się zbliżysz, on igra z łodzią twoją, a góry skacząc śmieją się ze strachu twego. Lubujesz się wdziękami każdego wodospadu, dopóki wszystkich tych wdzięków razem nie ujrzysz w jednym wodospadzie Gisbachu, który nim z wierzchołka wyniosłej góry spadnie do jeziora, po dziesięciu stopniach skacze olbrzymim skokiem, a zawsze w nowym kształcie i z nowym wdziękiem; tam spada prostopadle i zwija się w wir straszny, i z tego wiru rozwija się w kilka ramion; znowu zbiera wszystkie ramiona i ciska się potężną rzeką wysoko jak z wieży, a z takim pędem, że się aż w łuk wygnie, a pomiędzy tym łukiem a skałą, z której spada, możesz przejść suchą nogą, ochłodzić się po trudach przechadzki i przez tę rzekę jak przez szkło patrzeć na piękną okolicę zasłoniętą tym wodospadem, jak na piękną dziewicę osłoniętą przezroczyście, lecz zazdrosną zasłoną; dalej ta rzeka skacząc po skałach, roztrąca się w rosę, co jak błyszcząca para buja w powietrzu barwami tęczy; nakoniec kipi spienionymi wałami, co białe jak śnieg, przezroczyście jak woda, toczą się jedne przez drugie, jedne przez drugie skaczą w jezioro, jak gdyby wiedziały, że tam odpoczną; a patrząc na nie, to aż ćmi się w oczach i zda się, że oczy przewracają się z niemi, że z niemi spadają. Odwrócisz oczy od tego wodospadu, i żal ci za nim, a patrzysz na wodospad, to żal ci za cudną okolicą, w której ten wodospad jest tylko małą odrobiną. I nie wiesz, czy puścić wzrok na dwa niebieskie jeziora, co tak ożywiają te góry, jak piękne niebieskie oczy ożywiają twarz piękną; czy toczyć nim po różnokształtnych górach, u spodu strojnych białokwitnącem drzewem, u góry białobłyszczącym śniegiem; czy skakać nim po ludzkich mieszkaniach, co tak się poczepiały po górach,

jak muchy po ścianach, jak gwiazdy po niebiosach. Radbym się był urodził w tem cudnem miejscu, gdybym się nie był urodził nad brzegami Bohu.

Zabawiwszy przy Gisbachu tak długo jakeśmy mogli, wróciliśmy do Interlakenu, gdzieśmy już zastali Szwajcarów licznie zgromadzonych na uroczyste strzelanie, które cały tydzień trwać miało. W miejscu ku temu najstósowniejszem, dziesięć tarcz stanęło, do każdej tarczy zapisało się kilkadziesiąt strzelców; poczyniono z największą dokładnością wszystkie potrzebne przygotowania; nazajutrz ma się rozpocząć strzelanie. W najbliższych gospodach gromadnie zebrani, bawią się weseli Szwajcarowie, wszyscy równi, wszyscy sobie bracia, i bogaty i ubogi, i urzędnik i kupiec; wszyscy poufale a grzecznie, nie wrzaskliwie a wesoło. Nas postawiono w najlepszej gospodzie, a gospodynie, trzy piękne Szwajcarki, opiekowały się nami jakby wybranymi swymi. Zniesiono nam mnóstwo sukien i bielizny na wybór, i przecież porządnie wystąpiliśmy w tem licznem zgromadzeniu.

Równy ze dniem zagruchotały bębny; oddział gwardyi narodowej szedł naprzód, a za nim strzelcy, przymusiwszy nas abyśmy szli na ich czele; pociągnęli na miejsce strzelania; tam rozdzielili się pomiędzy budki odpowiadające tarczom, a tak jak i tarcze, postrojone w chorągwie narodowe. Za danym znakiem palnęły strzały ze wszystkich budek i grzmiały aż do wieczora, a za każdym strzałem, wybiegał stróż tarczy w czerwonym ubraniu, z czarną buławą w ręku, ukazywał i znaczył strzały, a kto w sam środek tarczy ugodził, temu stróż padał plackiem na ziemię, niby zabity; choć strzelają tam o trzysta kroków, mało który strzał chybi do kręgu mającego pół łokcia średnicy. Tak strzela każdy Szwajcar a jeszcze się wprawia: każdy Szwajcar ma broń, każdy strzelec gotowy, każdy po skałach drapie się jak sarna, każdy lotny jak chart, każdy kocha Szwajcaryą jak ojczyznę, a wolność więcej jak życie. To też Szwajcarowie mają ojczyznę i wolność i dopóty je mieć będą, póki je tak kochać będą. Nad

wieczorem wielki powszechny obiad. Chcąc uczcić Polskę, posadzono nas na pierwszym miejscu, i pierwsze kielichy wzniesiono z największym zapalem za pomyślność Polski. „Tój Polski,“ mówił mówca, „która pierściami swemi zasłoniła, swoim upadkiem uratowała wolność w Europie, i raz jeszcze wstrzymała wylew barbarzyńców na Europę.“

Drugi mówca powiedział, że skoro wolność europejska umocni się, pójdzie odplacić się i Polskę podźwignie. Inny utyskiwał, że Szwajcaryja tak daleko od Polski, bo byłaby jej posiała połowę strzelców swoich. Myszmy odpowiedzieli, że Polska w upadku swoim położyła się między Moskwą a Europą; że Moskwa nie odważy się nigdy, aby ją przestąpić; że za Polską jak za murem bezpiecznie mogą dojrzewać owoce wolności europejskiej; że w przychylności powszechnej ludów dla sprawy polskiej jest przepowiednia jej przyszłego bytu, na który to byt będziemy pracować, nie oglądając się na obcą pomoc, tak jak oni, Szwajcarowie, sami też wypracowali wolność swoją, i w tém całym świecie za przykład służyć mogą. „Niech żyje wolność i zgoda pomiędzy Szwajcarami! Niech żyje pamięć Tellów i Winkelrydów!“

Szwajcarowie krzyczą: Niech żyje Polska! i w tych hucznych okrzykach przebrzmiał cały wieczór, a pół nocy zeszło na tańcach ze Szwajcarkami, świeżemi jak powietrze w górach, pięknemi jak kwiaty w dolinach.

Nazajutrz i dni następnych jeszcze większa serdeczność Szwajcarów; pytają tylko o Polskę, rozmawiają tylko o Polsce, śpiewają tylko pieśni polskie. Chcieli też widzieć, jak Polak konia dosiada; przyprowadzili najdzielniejszego, jakiego mieli, i ten był na moje usługi, i musiałem na tym koniu harcować, zataczać nim, jak w boju, używać pałasza i spisy jak w boju, strzelać w pędzie jak w boju. Szwajcarowie i Szwajcarki dziwowali się temu, bo u nich między górami mało używają konnej jazdy, mało też dobrych jeźdźców.

Tak przehulawszy dni kilka, upomnieliśmy się o suknie nasze, oddano je nam odnowione, jak można

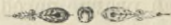
najlepiej; ledwośmy uprosili, żeby od nas odebrano te, które nam pożyczono; musieliśmy na pamiątkę zachować sobie po chustce jedwabnej, aniśmy się mogli doprosić, żeby od nas przyjęto zapłatę. Zajechał powóz, Szwajcarowie żegnali nas słowami nadziei, a Szwajcarki płaczem. Jużeśmy odjechali, aż tu na przełaj pędzi Szwajcar z garścią pieniędzy od pewnej Szwajcarki; natarczywie nalega, żebyśmy nie odmawiali tego skromnego jój daru, którego sama ofiarować nie śmiała, przeprasza, że tak mało przysłała, ale tém się tłumaczy, że wielu Polaków przyszło do Szwajcaryi, i zapewne tędy przechodzić będą. Mówiliśmy, że nie potrzebujemy wsparcia, że mamy tyle, że i drugim kiedy niekiedy udzielać się możemy, że niech to schowają dla biedniejszych od nas, o których nie trudno. Szwajcar, który nam podawał pieniądze, nalegał coraz natarczywiej; Szwajcar, który powoził, nie chciał dalej jechać; Szwajcarka, która nam przysyłała te pieniądze, była najmilsza, a więc musieliśmy wziąć po sztuce srebra, mówiąc, że zachowamy je na pamiątkę współczucia Szwajcarów dla Polski. I chowam dotąd ten pieniądz z krzyżem, tę świętą jałmużnę, na pamiątkę nieszczęśliwych czasów naszych.

Wróciwszy do Bernu, napisaliśmy do naszych Szwajcarów, dziękując im za gościnność, i zapraszając ich do domów naszych, a do Szwajcerek napisaliśmy, że Polki w czasie powstania na ofiarę ojczyźnie dały pierścienie swoje, a z tych pierścieni wybito dukaty polskie, że my wiedząc, iż Szwajcarki tak kochają ojczyznę swoją, jak Polki swoją, spodziewamy się, że mile przyjmą pamiątkę uczucia Polek, i posłaliśmy im po dukacie polskim. Myśleliśmy, że tym sposobem odpłaciliśmy się za dary, ale gdzie tam! Szwajcarki czule przyjąwszy nasz upominek, w zamian za dukaty z pierścieni, ofiarowały nam pierścienie swoje.

Takie to dla nas współczucie zaraz po wojnie polskiej było u wszystkich prawie narodów; takie braterskie przyjęcie było wówczas wszędzie, gdzieśmy pierwszy raz zawitali. Czas wszystko ostudza i to współczucie ostygło;

nasze przydługie nieszczęście ciąży już na sumieniu ludów, już je unudza, jakby unudzało nakoniec przypominanie ciągle dobrodziejstwa człowiekowi, który za to dobrodziejstwo odplacić albo nie chce, albo nie może. Jednakże nie odpychajmy sami tego współczucia, a starajmy się zachować je, nie pragnąc z niego żadnej osobistej dla siebie korzyści; a przy pierwszej wojnie, przy pierwszym powstaniu, współczucie to zamiast szarpi dla naszych rannych, dostarczy nam może broni, a może i licznych ochotników do szeregów naszych.

W Bernie dopiero dowiedzieliśmy się dokładnie o wyprawie Polaków z Bezansonu do Szwajcaryi. Szli oni wspierać ruch w Niemczech, rozpoczęty we Frankfurcie i zaraz stłumiony. Szwajcarowie dali im gościnność i wyznaczili mały zasiłek, rząd szwajcarski wchodził w układy z rządem francuzkim, aby ten Polaków przyjął napowrót. Pojechałem zaraz do Porentrui, gdzie nasi stali naówczas; tam od naczelników tego ruchu, pułkowników Oborskiego i Paszkowicza, kapitanów Gordaszewskiego, Stolcmana, Nowosielskiego i innych, dowiedziałem się o tém wszystkiém, co zaszło. Widziałem smutek mych ziomeków, że się tak zawiedli na Niemcach, widziałem ich spokojność na niedostatek, który im zagrażał, ich gotowość na wszelkie poświęcenie się, w którymby błyszczała chociaż odległa korzyść ojczyzny; zaręczałem ich, że tułacze pozostali we Francyi ostatkiem z nimi dzielić się będą, o czém téż nie wątpili. Właśnie téż w tym czasie zawsze gorliwy o dobro ziomeków generał Dwernicki wysłał już był za składkami do Anglii, i wkrótce potem Anastazy Dunin, użyty do téj posługi, pospieszył do Szwajcaryi zasilić ziomeków uzbieranym plonem.



ROZDZIAŁ XIV.

PIERWSZE LATA WYGNANIA.

Wróciwszy do Paryża, zastałem wiadomość o nie-szczęśliwej wyprawie Zaliwskiego do Polski. Pomodli-liśmy się za nowych męczenników naszych, a myśleliśmy o wspieraniu tych, którym wsparcie nasze przydatném być mogło. Komitet tułactwa i inni Polacy zbierali składki, wzywali o składki dla braci naszych w Szwaj-caryi. Każdy czém miał dzielił się z biedniejszym od siebie, nie zważając na różność mniemań; i nieczyje usta nie wyrzekły nigdy: „Sami winni swój biedzie!“ Była bieda: dość na tém Polakowi, aby z niej dźwigał Polaka. Tułactwo nawet w chwilach najzapaleńszego rozdrażnienia godziło się z sobą zawsze, kiedy szło o podanie ręki biedniejszemu, i zawsze jednomyślnie wdowim groszem stawało ku ratunkowi współbraci. W tém uczuciu wspólném jest wielka pociecha i na-dzieja, jest zaród prawdziwej miłości braterskiej, która gdy się rozwinie, a ogniem swym zapali wszystkie serca polskie, to i Polska będzie.

Wkrótce przybyli z Prus żołnierze nasi wiezieni na trzech zbutwiałych okrętach do Ameryki. Jedni z nich stanęli przed Hawrem, drudzy przed Portsmutem, trzeci przed Harwiechem. A wnet jak kto mógł ratował tych

żołnierzy od wywiezienia ich do Ameryki, dokąd udając się bez znajomości języka i rzemiosł, mogli byli poginać albo z głodu, albo w wojnach amerykańskich z Indyanami.

Komitet nasz zachęcał żołnierzy, aby nie dali odbijać od brzegów, a staraliśmy się, żeby ich rząd francuzki przyjął do Francyi. Nim rząd odpowiedział, Polacy sami wylądowali, jedni w Hawrze, drudzy w Portsmucie. Rząd francuzki przyjął i wsparł pierwszych, angielski drugich; ci zaś żołnierze, co byli w Harwichu, nie wiedząc ani o jednych, ani o drugich, skłonili się do służby w Algierze. Książę Czartoryski, który wyjednał u rządu francuzkiego przyjęcie ich do téj służby, wspierał téż i tych, co téj służby nie przyjęli; bo on pospieszał zawsze z pomocą wszystkim Polakom, bez względu na to, czy się nakłaniali do jego widoków; nie odmawiał nawet pomocy tym, którzy nie umiając ocenić cnót jego, byli nieprzyjaciółmi jego i za takich się ogłaszali. Oddaję mu tę sprawiedliwość, chociaż w owym czasie, a często i potem, byłem innego co on zdania. Książę chciał gdziekolwiek i jakkolwiek tułactwo zamienić w wojsko czyjekolwiek, aby tylko powiewała chorągiew polska, aby był zawiązek siły zbrojnej polskiej, aby tułactwo nie trawiło się nieczynnością i niezgodą, aby krwią swoją w walce ze strony wolności, dosługiwało się dla Polski pomocy u obcych rządów. Ztąd wspierał, a może i utworzył, wyprawę do Portugalii, do Algieru i do Hiszpanii.

Znaczna większość tułactwa, a z nią komitet, a z komitetem i ja, byliśmy przeciwnego zdania. Żądaliśmy także nadewszystko widzieć tułactwo uzbrojone, widzieć je wojskiem, ale wojskiem polskiem, bijącym się w walce o wolność, z którą, albo za którąby szła wojna o Polskę; wojskiem służącym nawet tym narodom, które nam dały gościnność, ale w wojnie obronnej nie zaś napastliwej; nie chcieliśmy, żeby najdzielniejsi żołnierze polscy mieszcali się do wojen domowych, albo ginęli dla cudzych zaborów, nie mających żadnej styczności ze sprawą Polską. Mniej lękaliśmy się sporów

tułactwa, które prędzej później ucihnąć i na zgodę zamienić się miały, aniżeli losu niegodziwych wojen, które bezkorzystnie tułaczów wyniszczyłyby mogły.

Byliśmy więc przeciwni wszelkim wyprawom, bo żadna nie obiecywała korzyści dla sprawy polskiej. Utwór legii portugalskiej spelzł na niczém. Batalion Polaków w legii algierskiej znacznie przerzadział w bitwach przeciwko Arabom, którzy jak i my biją się o kraj swój; niedobitki tego batalionu i nowe zaciągi utworzyły później legię hiszpańską; z téj jedna część wyginęła w domowej wojnie hiszpańskiej, druga dotąd walczy, a mała cząstka wróciła do Francji, okryta nędzą i ranami. Taka to była mylna rachuba; bo nie tylko że nasi nie podźwignęli swoją śmiercią sprawy polskiej, ale nawet nad ich zwłokami nie powiewała chorągiew polska.

Kończył się rok istnienia komitetu, którego skład przez coraz nowe odstępowanie członków już się był zmniejszył do czterech członków, to jest generałów Dwernickiego i Sierawskiego, posłów Jana Ledóchowskiego i mnie. Nowe wybory ciągnęły się długo, bo po wyprawie szwajcarskiej rozproszono Polaków po całej Francji, bojąc się zapewne, ażeby skupieni, jak byli przedtém, nie wystąpili z nowém jakimś usiłowaniem do zapalenia wojny w Europie. Jednakże pomimo tę trudność, pomimo rozróżnienia zdań o potrzebie komitetu większość tułactwa przysłała swoje głosy; żeby komitet był prawny, trzeba było, aby większość głosowała; żeby zostać członkiem komitetu, trzeba było mieć większość głosujących za sobą; żeby komitet nowy zaistniał, potrzeba było przynajmniej pięciu członków, obranych tym sposobem. Większość głosowała, ale pierwszy wybór wydał tylko czterech członków, generałów Dwernickiego i Sierawskiego, wojewodę Ostrowskiego i mnie. Komitet przeto nowy zawiązać się nie mógł, dawny wezwał o wybory dopełniające, te nie przychodziły do skutku; a dawny komitet przez wystąpienie generała

Sierawskiego do trzech członków zmniejszony, po dwudziesto-miesięcznym urzędowaniu rozwiązał się w dniu 15 maja 1834 roku.

Wtenczas, kiedy Polacy w Szwajcaryi byli pozbawieni zasiłków, a ci, co w Anglii wylądowali, byli w wielkiej nędzy; kiedy coraz nowo przybywający Polacy już to z Niemiec, już z Ameryki, potrzebowali wsparcia; kiedy popadli w nędzę Polacy, którzy we Francyi żołąd utracili, albo przez rząd francuzki do opuszczenia Francyi byli przymuszeni; obce składki nie wystarczały na opędzenie tak licznego niedostatku, a zasiłki z kraju albo nie wcale, albo w bardzo drobnej części przychodziły. Trzeba było obmyśleć stały zasiłek; trzeba go było szukać w pośród siebie. W tym celu komitet na mój wniosek uchwalił podatek braterski *) i ustanowił komisję do pobierania go i do szafowania tym podatkiem**). Tułacze mieli wtedy żołąd zmniejszony prawie do połowy, jednak uchwałę podatku

*) Podatek braterski miesięcznie opłacać się mający przez tułaczów polskich, a ustanowiony 25 marca 1834 r. był oznaczony podług żołądu przez nich pobieranego jak następuje: Pobierający żołądu miesięcznego

franków 45	miał	płacić	franków	1½
„ 60	„	„	„	2
„ 100	„	„	„	4
„ 150	„	„	„	10
„ 200	„	„	„	15
„ 250	„	„	„	20

**) Do téj komisji komitet w dniu 25 marca 1834 mianował trzech członków: generała Sznajdęgo i posłów Tomaszewskiego i Bohdana Zaleskiego, nadając im prawo przybierania w razie potrzeby nowych członków. Komisya ta rozpoczęła swoje czynności 1 kwietnia 1834, zawezwawszy do swego składu księcia Janusza Czetwertyńskiego. Odtąd członkowie téj komisji zmieniali się przez przybieranie nowych, a ustępowanie dawnych. W rozmaitych czasach, prócz wyżej wspomnianych, zasiadali w téj komisji: poseł Biernacki, podpułkownik Broniewski, Gawroński, major Józef Zaleski, Ordęga, Karski (Duński), Bratkowski, Michałowski, Klott, Klukowski, Szotarski, Dobrowolski, ksiądz Korycki. Do dzisiejszego składu téj komisji należą: poseł Olyrch Szaniecki, Konstanty Parczewski, Napoleon Orda i ksiądz Romuald Giedrojc.

braterskiego przyjęli z ochotą, poddali się tej uchwale i dotąd na ręce komisji składają grosz wdowi. W przeciągu lat czterech składki te wyniosły przeszło 60,000 franków, nie licząc w to składek nadzwyczajnych w nadzwyczajnych potrzebach tułactwa. Pomimo to, w każdym chociaż najmniej licznym zakładzie, każdy Polak przechodzący, a prawdziwie potrzebny, znachodzi wsparcie, a przynajmniej chwilowy przytułek i posilenie. Dodać i to należy, że ten podatek braterski najchętniej bywa opłacany przez najuboższą część tułaczów. Co za przykład dla majątniejszych, za upomnienie dla tych bogaczów naszych w kraju, którzy zanurzywszy się w zbytkach, nie czują nędzy żołnierza polskiego!

Dnia 12 marca 1834 księżna Czartoryska zawiązała Towarzystwo sióstr polskich. Towarzystwo to zbiera składki głównie po za obrębem tułactwa, a przychodzi w pomoc mianowicie chorym, wdowom i dzieciom. Księżna Czartoryska jest prezesową, a przy niespracowanej usilności swojej utrzymuje to Towarzystwo w stanie pomyślnym, i co rok obmyśla wciąż nowe, a dla siebie zawsze nad wszelkie wyrażenie kłopotliwe sposoby powiększania zasiłków tego Towarzystwa. Nie ma dnia w roku, ani w dniu godziny, żeby księżna Czartoryska tą pracą zajęta nie była; to z igłą w ręku siedzi w noc późną nad robotami, których co rok mnóstwo się wyprzeda; to z piórem w ręku, rozpisuje listy zapraszające na wyprzedaż robót i sprzętów, które bądź sama w ciągu roku usposobiła, bądź wyprosiła u drugich; to nakoniec sama trzodzi się po całym Paryżu, starając się o to, żeby się dobrze udały, czy to muzyka, czy inne jakie zgromadzenie na korzyść Polaków. Wszystkie siostry wspierają księżnę w jej pracach. Tułacze, wybrani do posług tego Towarzystwa, służą mu jak kto może i umie; prawem ich jest radzić, powinnością słuchać, a głównym obowiązkiem wynajdywać i przedstawiać ze wszelką sumiennością i dokładnością tych, którzy wsparcia potrzebują. W ciągu lat czterech

towarzystwo to zebrało i rozdało około 100,000 franków.

Nie wszystkie siostry towarzystwa wymienić mi wolno, niech więc te, o których zamilczę znajdą podwójną nagrodę w tem świętem uczuciu, które je pobudza do niesienia pomocy cierpiącym braciom. Oprócz stałej prezesowój, księżny Anny Czartoryskiej, rozmaite urzędy sprawowały w tem towarzystwie: jenerałowa Kazimierzowa Małachowska, kasztelanowa Maryanna Platerowa, księżna Kunegunda Ogińska, posłowa Teofila Łuszczewska i Henrykowa Nakwaska; Adamowa Mickiewiczowa, Aleksandra Foszetowa; stałą sekretarką tego towarzystwa, jest znakomity nasz pisarz, Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Nie policzyłem między te zacne siostry księżny Maryanny Wirtembergskiej, starszój siostry księcia Adama Czartoryskiego; bo ta zacna Polka, jak wszędzie tak i między temi siostrami, wygląda jak matka, a do tego nazwania pomiędzy wszystkimi Polakami nadają jej prawo, i poważny wiek jej, i poważniejsze jeszcze jej cnoty. Gdziekolwiek ta czcigodna Polka pojawi się w gronie naszym, wszędzie otacza ją cześć i przywiązanie. Księżna Wirtembergska gości pomiędzy nami swoją osobą, swojemi cnotami, ale wybiegła już z pośród nas i wiekiem, i zasługami i nieszczęściami; dla tego wolno nam już o niej mówić, z pewnością, że ani by ją obraziły przygany, ani też zepsują pochwały, które nam są potrzebne na świadectwo, że jej macierzyńskiemu dla nas sercu, odpowiadamy synowskiem uczuciem. W nieszczęściach i cnotach księżny Maryanny, wiele się mieści dla nas nauki żyjącej, nauki doświadczenia, nauki przykładu.

Nic dziwnego, że jeden z książąt panujących cudzoziemskich, chciał się połączyć z domem książąt Czartoryskich, mogącym lada chwila panować nad Polską: ale to dziwna i nieszczęśliwa, że my Polacy nie opieramy się dosyć związkom z cudzoziemcami,

które nie zapewniają nigdy, ani stałego domowego szczęścia, ani pożytków dla kraju. Mniej jest niebezpieczeństwa, kiedy Polak żeni się z cudzoziemką, chociaż i tego ile możności unikać należy, ale Polka wychodząca za cudzoziemca, jeżeli opuszcza Polskę, wraca już do niej chyba w nieszczęściu, a dzieci jej pójdą za ojcem, i nigdy Polakami nie będą, chyba ojców za młodu straciły. Nowy i głośny dowód téj prawdy, mamy w nieszczęściach księżnej Wirtemberskiej. Powabne wdzięki, umysł bystry, serce proste, że już nie wspomnę o podrzędnych względach urodzenia i majątku, wszystko to zdawało się ją do szczęścia przeznaczać, a jednak nie zaznała szczęścia domowego, a do późnej starości ciąży jej to na sercu, że sama syna wychować nie mogła. Syn jej pobratany związkami krwi z rodziną panującą na Moskwie, wychowany nie w polskich uczuciach, nie dziw, że nie jest Polakiem; ale co to za boleść dla matki, która jest Polką, i jaką Polką! Nie mam zamiaru zmniejszać czemkolwiek téj winy, że księżę Adam Wirtemberski, jest nieprzyjacielem ojczyzny swój matki, a do tego sługą nie swego cara; sumienie jednak, każe mi obok tych ciężkich zaskarżeń, dodać com słyszał z ust nieszczęśliwej matki jego: że mylnie rozgłoszono o jej synie, iż w Puławach strzelał do zamku, w którym się znajdowała, i że był przy rabunku zamku lewartowskiego: zresztą, z uczuciem nieokreślonego żalu mówiąc o synie, te były jej słowa: „jako Polka nie wiele o nim dobrego powiedzieć mogę; jako matka nic złego powiedzieć nie chcę.“ W tych słowach głębokich myślą, a tkliwych czułością widzimy serce matki i Polki, rozdarte boleścią nieporównaną, którą tylko uczucie religii ukoić może.

Księżna Wirtemberska długi czas przed powstaniem mieszkała w Puławach przy swój szanownej matce, której, przez długi czas, aż do jej śmierci, nigdy nie odstępowała, a pocieszała jej starość ciągłym staraniem, budującą czcią i uległością, czujnością uprzedzającą skinienia matki, przenikającą jej myśli i jej zachcenia. O téj niewychwalonej cnotcie miłości ku matce, mawiał

mi często zacny książdz Markiewicz. Przy tem ciąglem staraniu około matki tak w wieku podeszłej, nie wiem jak księżnie Wirtemberskiej starczyło na tyle dobrodziejstw, które hojną ręką sypała w około; na tyle pracy, ile jęj było potrzeba do wzorowego urzędzenia Pilicy, jednę z włości swoich leżącęj nad ujściem Pilicy do Wisły. Wieś ta miała być próbą, jak można najstósownięj do obecnego położenia, uszczęśliwić włościąn polskich: w tęg wsi były już schludne i wygodne domki, a przy każdym domku obfity ogród, a w środku wsi piękny kościół, a przy kościele obszerna szkółka a wszystko tam objawiało swobodę i dostatek zaszczerpiony opatrzną ręką dziedziczki, która równie przykładem, jak i szacownemi pismami swemi starała się wszczepiać w szlachtę polską uczucie miłości bliźniego. Któż z wdzięcznością nie wspomni sobie na owe jęj pełne prostoty, wdzięku i nauki, księgi wychodzące niegdys pod skromnem nazwaniem *Pielgrzym z Dobromila*. *Malwina*, powieść księżnęj Wirtemberskiej, jak wiadomo, stała się początkiem i wzorem nowego rodzaju pisania, a tyle miała gruntownych zalet, że zasłużyła na uczony i obszerny rozbiór Jana Śniadeckiego, umieszczony w pismach jęgo. Główną i nieocenioną zaletą pism księżnęj Wirtemberskiej, jest obok łatwości i zwinności, zygmunowska czystość języka polskiego; ten język jest jakoby dziedzictwem domu Czartoryskich, w domu tym wszyscy mówią i piszą bardzo dobrą polszczyzną. Serce się rozplywa słuchając, jak przy narodowych obchodach i uroczystościach, książę Adam Czartoryski, starą, jasną, jędrną i słodką polszczyzną, wywołuje wspomnienia polskie i rozbudza w sercach słuchaczów starą Polskę. Wiele pism niewydanych księżnęj Wirtemberskiej zostało w Pilicy, te z żalem za zginione dla literatury naszęg uważać należy.

W czasie wojny narodowej księżna Wirtemberska bawiła jak zawsze w Puławach przy matce. Kiedy Moskale w początkach wojny zajmowali Puławy, generał Delinghausen przyszedłszy na pokoje księżny Czartory-

skiej, w ciągu rozmowy rzecze do księżny Wirtemberskiej:

— „Księżna jesteś smutna, zapewne nie bardzo nam rada; my wiemy, że wy nas nie lubicie.“

— „Owszem, bardzo was lubimy, ale z daleka; życzymy wam jak najlepiej, niech i wam i nam będzie dobrze, ale osobno; sobie u siebie, a wam u was życzymy szczęścia i *konstytucji*.“

— „A nam co po *konstytucji*; mamy dobrego cara, a jak się car nasz zbiesi, to mamy stryczek na niego: to nasza *konstytucya*.“

Taki to jest obyczaj moskiewski; takie męztwo księżny Wirtemberskiej, która wolała śmiałą mową narażać się dzikiemu wrogowi, który ją miał w rękę, aniżeli udanemi słowy zyskiwać łagodność jego. Kiedy Polacy pod wodzą walecznego pułkownika Piotra Ludomira Łagowskiego, zdobywali Puław, Delinghauzen haniebnie zmykając z wojskiem swoim, a przypisując księżnie Wirtemberskiej naprowadzenie Polaków, odgrażał się, że kiedy powróci do Puław, to wszystko zrabuje, zburzy i nie zostawi kamienia na kamieniu. Nasze zacne Polki nie zatrwożyły się tą groźbą, i pomimo ciągłej i nalegającej prośby księcia Czartoryskiego, księżna matka jego nie chciała opuszczać Puław, jak gdyby chcąc zostać na straży tyłu drogich pamiątek narodowych, co uświęciły to miejsce. Dopiero w kilka miesięcy potem, księżna matka dała się nakłonić do wyjazdu; korzystano z pierwszej chwili jej przyzwolenia i mały powóz, który był gotowy do przejażdżki, stał się jedynym podróżnym powozem księżny, która dla spokojności swych dzieci zgodziwszy się na opuszczenie Puław, wyjechała z nich jakby na przejażdżkę, w tej pewności, że wkrótce do nich wróci po szczęśliwej wojnie; a tak się wybrawszy, ledwo miała o czem do Galicyi dojechać. Po wojnie, Moskale weszli do Puław i dotrzymali słowa; rozgrabili te wszystkie bogactwa, te wszystkie skarby narodowych pamiątek, zbierane przez dom Czartoryskich z taką hojnością, z takim synowskiem dla Ojczyzny uczuciem. Poszły w proch te

wszystkie skarby, bogaty księgozbiór z tyłu innemi w Polsce car zabrał, ale pamięć Puław zostanie na zawsze.

Car zagrabił ogromne dobra księżnej Wirtemberskiej leżące na Podolu i w Królestwie, a tylko został jej Wysock, szczupły mająteczek w Galicyi, który potem sprzedała za 20,000 złp. dożywotniej rocznej wypłaty. Po skończonej wojnie, księżna Wirtemberska mieszkała w Galicyi, równie jak przedtem poświęcając się staraniom około swój matki. Bóg wynagrodził te starania przedłużając wiek jej matki do lat 91 i pozwalając, aby ostatnie chwile życia przepędziła w jej domu. Księżna jenerałowa Czartoryska umarła w Wysocku, dnia 17 czerwca 1835 roku.

Po tak bolesnej stracie, księżna Wirtemberska przyszła w pośród nas szukać pociechy, i znajduje ją w poświęceniu się swojemu na tułactwo; w przywiązaniu do stojącego brata swego, przy którym mieszka, w tej czci, jaką wszyscy ją otaczamy, w tej pomocy, jaką ze szczupłych dochodów swoich hojnie udziela biedniejszym ziomkom. Ale to wszystko nie wystarczałoby na osłodzenie nieszczęść, na które całe jej życie było wydane, gdyby przedewszystkiem i po wszystkiem, nie łagodziło tych cierpień, głębokie uczucie religii, uczucie miłości Boskiej, co w duszy jej zapanowało nad wszystkimi nieszczęściami, i dało jej spokój, i wszystkie jej smutki zaprawiło anielską łagodnością, anielskim korzeniem się przed Bożą wolą. Na twarzy jej są ślady doznanych nieszczęść, ale dziwna słodycz umiliła twarz jej wyrazem cierpliwości zwyciężającej cierpienie, w oczach jej błyszczą żywy umysł, a mowa jej okraszana prawdziwym dowcipem, bogata w naukę, zasilana wielką znajomością świata i ludzi, a mianowicie rzeczy ojczystrych, błyszczą szczerozłotą polszczyzną, oddycha pełną miłością Boga, miłością Ojczyzny i miłością bliźniego. Oby Bóg jak najdłużej zachował w pośród nas tę żyjącą naukę cnoty! Nikt z ludzi myśli i czucia, nie zbliży się do księżnej Wirtemberskiej, żeby wprzód nie zebrał swojego ducha; nikt do niej nie przemówi,

żeby się wprzód nie porachował z myślą swoją; nikt od niej nie odejdzie bez nauki i bez pociechy. I cóż dziwnego, że my ją czcimy jak matkę, Kochamy jak matkę.

Ojczyzna nas przytuli, zapomnim krzywd, biedy,
Zapomnim wszystko, cośmy cierpieli gdzie kiedy,
Lecz Ciebie wdzięcznem pieniem będziemy zawsze sławić,
Ty raczyłaś nas uczyć i nam błogostawić.

W 1834 roku, wyszło w Paryżu i wielkiego hałasu po całej Europie narobiło dzieło księdza Lamenego, *Les paroles d'un Croyant*, napisane na wzór „Książ Narodu i Pielgrzymstwa polskiego“ Mickiewicza, wówczas już przełożonych na wszystkie języki europejskie, a na francuzki przez Montalamberta. Sądziłem, że przez to zrobię wielką przysługę narodowi i z pomocą Maurycego Mochnackiego przetłumaczyłem książkę Lamenego na polski język i nazwałem ją: *Słowa Wieszce*. Tłumaczyłem je nie w tej myśli, żeby lud polski pobudzać przeciwko szlachcie, bo też lud nasz czytać nie umie; lecz w tej myśli, żeby szlachtę polską skłonić ku ludowi, żeby szlachta polska umiłowała go jak brata, i tak z nim postąpiła jak z bratem. Musiała być w innym duchu pisana ta książka, kiedy ją Kościół potępił; o czem ja teraz dowiedziawszy się, moje tłumaczenie wnet zniszczyć kazałem, bo Kościoła słuchać należy.

Musiało być w tej książce jakieś ukryte lichu. Cóżkolwiek bądź, chociaż o tem lichu nie wiedziałem, tłumacząc tę książkę, zgrzeszyłem jednak przeciwko Polsce tem, żem tłumaczył; bo po co nam Polakom szukać społecznego kształcenia się u cudzoziemców. Przypatrzwszy się nieco bliżej ludziom i rzeczom cudzoziemskim, zastanowiwszy się nieco dojrzalej nad swojemi, przekonałem się serdecznie, że rozum cudzoziemski pod żadnym względem nie przystaje do polskiego, a owszem krzywi go i odbiera mu jego własną moc i prostotę. Polska tem upadła, że się zdudzo-

ziemszczyła, a nie czem innym, bo tem samem nadwzięła wiarę przodków, tę najsilniejszą potęgę narcowości swojej. Polska nie powstanie inaczej, jak od cudzoziemszczając się, to jest wracając do wiary i do cnót swoich, do swojej narodowości. Kto chce Polski, niech precz wygania cudzoziemszczyznę z mózgów i z sere Polaków. Wielu wprowadza cudzoziemszczyznę pod zasłoną polskiej barwy, polskiego stroju, polskiego zacięcia. Biada takim szalbierzom! Precz nawet z doskonałościami cudzoziemskimi! Ale gdzież to takie doskonałości, takie rozумы, któreby warto naśladować, którychby warto sobie życzyć? gdzie naród szczęśliwy, gdzie towarzystwo tak bogobojne, serdeczne, jak-była stara Polska, kiedy na jój tronie zasiadali swoi królowie z prawdziwą wiarą i cnotą polską? Jabym *prawdziwych* wad polskich nie dał za cnoty cudzoziemskie; tak mało jest wad polskich, na tak mało przydadzą się Polsce obce cnoty. Chcemy li poprawy sere naszych, szukajmy jój w sercach naszych ze światłem słowa Bożego; chcemy li poprawy społecznej, słuchajmy Skargę, a on nam mistrzem po wieczne czasy, bo nauczał słowem Bożem, słuchajmy Skargę i jemu podobnych; chcemyli wiedzieć, jak zbawić Ojczyznę, patrzmy, czemeśmy ją zgubili, i to precz wygońmy; chcemy li wiedzieć, jak wywalczyć Ojczyznę, to naśladowmy tych przodków naszych, co ją wydobyli z obcej przemocy. Myślmy jak Skarga, działajmy jak Czarniecki, a będzie Polska. Myślmy w Bogu po polsku nad Polską, mówmy po polsku o Polsce i o polskich rzeczach, piszmy tak kogo Bóg do tego powołał, a takie tylko słowa zamienią się w czyny potrzebne i skuteczne do zbawienia i nas i Polski.

W tymże roku zapoznałem się bliżej z Maurycem Mochnackim, którego krótkie lecz bujne dla sprawy i dla literatury ojczystej życie, już dogorywało. Zbliżyłem się do niego w jego ciężkiej chorobie w Paryżu, z której gdy się cokolwiek podźwignął, idąc za radą lekarzy wywiezłem go na świeże powietrze do miasta

Auxerre, w Burgundyi: tam powierzyłem go staraniom mego przyjaciela Dembowskiego, który tam przebywa. Nic nie nadały, ani jego nad nim opieka, ani starania wszystkich Polaków tamtejszego zakładu, ani nieodstępna pilność jego najbliższego przyjaciela Antoniego Walewskiego; dusza ognista rychło przetrawiła ciało, i w ciągu tegoż roku, wyrwała się z niego wśród łez Polaków, którzy od dni kilku otaczali łożę jego z gasnącą nadzieją, a ze wzrastającą trwogą. Zwłoki Mochackiego pochowane są w Auxerre; wdzięczność i uwielbienie ziomeków naznaczyły je pięknym pomnikiem, a żal powszechny zatłumił wszystkie niesprawiedliwości które go za życia ścięły.

Czas upływał, nadzieje prędkiego ratunku sprawy naszej gasły powoli, a chęć bezsilna służenia Ojczyźnie, tęsknota za krajem coraz się wzmagaly. W tułactwie następowało uspokojenie, ustawały pojedynki, a zdarzały się liczne samobójstwa i śmierci. Dwie głównie słabości zabierały nam ludzi gorętszego uczucia, obłąkanie i suchoty. Ofiarą pierwszej, w 1835 roku padł, Bonawentura Niemojowski, prezes rządu narodowego; obłąkanie jego nosiło cechę tej zaciętej miłości Ojczyzny, która cechowała obudwu braci Niemojowskich; niszcząca gorączka przyszła obłąkaniu w pomoc, i Niemojowski zniknął z pomiędzy nas. W tymże roku, straciliśmy znakomitych zdolności i wielkich nadziei człowieka stanu, Gustawa Małachowskiego, który zgasł nam w samej sile wieku. Był to prawdziwy i szczerzy *arystokrata*, i z tem się bynajmniej nie tał, mówiąc, że sam wyraz *arystokracja*, który znaczy, panowanie najlepszych, tłumaczy, dla czego on chce *arystokracji*; miał on dowcip niepospolity, a obejście się, uprzejmość i gościnność dawnych panów polskich.

Z pomiędzy członków sejmu, oprócz Gustawa Małachowskiego, straciliśmy Zienkowicza i Zambrzyckiego posłów, i wojewodę generała Ludwika Paca, ostatniego potomka po mieczu tej świetnej rodziny.

Pac szukając w podróżach osłody cierpień tułactwa, śmierć znalazł. Nie przestając na hojności dla sprawy ojczystej za życia, jeszcze po śmierci zostawił dla niej znakomite ofiary, tem droższe, że je uczynił z resztek majątku swego, które, że się znajdowały za granicą, Mikołaj zagrabieć ich nie mógł. Jenerał Pac zostawił po sobie jedyną córkę Ludwikę, i chociaż rozumiał, że jedynym jej majątkiem to będzie, co po nim odziedziczy w tułactwie, oświadczył bowiem w testamencie życzenie, aby córka do czasu pełnoletności swojej mieszkała we Francyi, chociaż kochał córkę jak ojciec czuły kocha jedyne dziecię swoje, a jeszcze dziecię co jest ostatnim szczepem gasnącej rodziny; jednakże zostawił jej tylko $\frac{3}{5}$ majątku, a $\frac{2}{5}$ przeznaczył na wsparcie tułactwa i na popieranie sprawy polskiej; przy tem nie zapomniał ani o dawnych sługach swoich, ani o biedakach, którzy mu w kraju jeszcze szczupły grosz swój pod opiekę oddali. Ofiara jenerała Paca tem jest chlubniejsza, że pośmiertna, bo tem samem nosi na sobie cechę téj skromności, która go w ciągu wszystkich usług krajowych za życia odznaczała. Pamiętam, że kiedy sejm usiłował zebrać się w początkach tułactwa, a dały się słyszeć głosy, co sejm pocznie nie mając nawet za co pisarza utrzymać, jenerał Pac ofiarował do rozporządzenia sejmu, z pieniędzy, które posiadał w Galicyi u rodziców swój żony, 50,000 złp. a ofiarę tę czynił z taką nieśmiałością, jak gdyby się wstydział, że mała. Święty to wstyd taki. Gdyby wszyscy bogacze nasi mieli uczucia czeigodnego jenerała Paca, dawnoby już Polska była, a młodź polska nie gniałaby po więzieniach, nie marniałaby w tułactwie.

Do najboleśniejzych strat narodowych w ciągu tułactwa naszego, należy też śmierć Klaudyny z Działyńskich Potockiej, która urodzona w 1802 roku w Księztwie Poznańskiem we wsi Konarzewie, skończyła życie w Genewie 8 czerwca 1836 roku. Niepodobna opisać boleści, jaką to nieszczęście uderzyło całe tułactwo

polskie, nie podobna opisać głębokiego żalu i tój czci nieokreślonej, która za Klaudyną Potocką pogoniła aż do grobu: Wygnańcy wszystkich narodów i wszyscy mieszkańcy miasta stanowili pogrzebny jój orszak: smutek pociągnął się po wszystkich twarzach, żałoba osiadła na wszystkich sercach. Oto jest kilka słów, któremi w owym czasie starałem się wyrazić boleśń naszą, i skreślić obraz tój zacnej, cnotliwej, serdecznej Polki:

Klaudyna Potocka umarła. Wiadomość ta przeleci rozgłosem pogrobowym całe tułactwo, od niego odbije się do Polski jękiem żalu serdecznego, jękiem braci za siostrą, sierot za opiekunką, strapionych za aniołem pocieszycielem, który już ich opuścił.

Śmierć Klaudyny Potockiej jest stratą narodową, nie-nagrodzoną, nieodżałowaną. Niemasz Polaka, któremuby ta strata łąz niewycisnęła. bo niemasz Polaka, coby nie doznał wpływu tego ducha opiekuńczego, który się pomiędzy nami pod postacią Klaudyny przesunął. Już to ona opatrzyła rannych, pielęgnowała chorych; iluz to ratowała od niewoli, od ucisku, od niedostatku; iluz to pocieszała w smutkach; iluz to swoją wytrwałością i męztwem, dodawała odwagi w nieszczęściu; dla iluz nakoniec była nauką i wzorem? Zasłyszala o powstaniu i zaraz rzuciła spokojność domową, poniosła swe skarby Ojczyźnie, sama zagrzebała się w szpitalach wojskowych, a tak nie mową, ale uczynkiem, wskazała jakie są obowiązki Polek w wojnie narodowej. Po upadku sprawy naszej nie wraca do dostatków i spokoju, ale dzieli pielgrzymkę, nie jako towarzyszka, lecz jako opiekunka tułactwa. Jój majątek stał się majątkiem tułactwa. Jój wpływy, starania i trudy, stały się własnością tułactwa, cudownym sposobem mnożyły się i rozlewały się na całe pielgrzymstwo. Znajdując się w Dreznie, ułatwiała najskuteczniej przejście tułaczów przez Niemcy. Po ich przejściu, kiedy kilkuset Polaków w nadziei powstania w Niemczech opuściwszy Francją, zostało w Szwajcaryi, Klaudyna spieszy do

Szwajcaryi i tam braci naszych wspiera niewidzialną ręką. Przebiega potem część Francyi, zwiedza zakłady Polaków roznosząc wszędzie pomoc i pociechę. Znowu do Szwajcaryi wróciła. Nie mając innéj myśli jak o Ojczyźnie; nieszukając innéj dla siebie osłody, jak sładzić nieszczęście drugich; nie przerywając ciągłych trudów swoich, ani wypoczynkiem, ani lepszą wygodą w życiu, ani nawet większą starannością o zdrowie swoje, trudy te dopiero świątobliwą śmiercią zakończyła. Otoczona miłością narodu polskiego, otoczona nieprzeliczonemi zasługami, dusza jéj czysta i szlachetna, uniosła się ku Stwórcy swemu, a nam zostawiła pamięć cnót swoich, wzór najlepszej Polki, i tę nadzieję, że znajdują się Polki co dorównają temu wzorowi.


Miłość Boga, miłość Ojczyzny i miłość bliźniego stanowiły duszę Klaudyny. Te cnoty zlały się w jéj życie wzniosłe i bujne, i uczyniły ją kobietą nadzwyczajną, istotą wyższą. Była ona siostrą wszystkich Polaków, a tych najwięcej zdawała się miłować, którzy byli najniešťczęśliwsi, którzy jéj opieki najwięcej potrzebowali. Klaudyna nosiła na twarzy swojej wyraz niepojęty dla tych, co jéj nie widzieli: w téj twarzy malowała się dusza wzniosła a prosta, cierpiąca a mężna; na widok téj twarzy człowiek stawał się lepszym, a jéj wejrzenie surowe a razem pełne sładocy, przejmowało czcią i uszanowaniem. Usta jéj ani sądu o drugich, ani słów próżnych nigdy nie wyrzekły. Rozpamiętywając życie Klaudyny Potockiej, mimowolnie ta myśl przychodzi, że jeżeli Pan Bóg zsyła na ziemię aniołów w ludzkiej postaci, Klaudyna była Aniołem...

W przeciągu kilku lat tułactwa naszego, śmierć więcej już jak dziesięć z nas wybrała; a wybiera młódź najognistszą, najpełniejszą nadziei i zdolności. Samych Belwederczyków jużesmy dwóch stracili, Świętosławskiego i Trzaskowskiego; mówiąc o wielkich stratach, wspomnę też z rozrzewnieniem szkolnego towarzysza i przyjaciela, o księciu Januszu Czetwertyń-

skim, mężu wielkich zasług, zdolności i nadziei, zmarłym w Tarbach (Tarbes), w dniu siódmej rocznicy powstania narodowego. I nie czemu innemu, jak silnemu uczuciu, palącemu żalowi za krajem, te klęski przypisać należy.

Nie jeden też z nieszczęśliwej, najlepszego prowadzenia młodzieży naszej, obłąkany rozpaczą odebrał sobie życie, zostawując kilka słów tkliwego pożegnania współtułaczom, kilka słów rozpaczającej tęsknoty za Ojczyzną, rozpaczającego bólu nad jej niedolą.

Kto nie zaznał tułactwa po klęsce Ojczyzny, ten nie pojmie jego boleści. Ach! co to za boleść, patrzeć na szczęście obcych krajów, a mieć na ciągłej myśli ostatnią niedolę swojego; co to za boleść patrzeć na wolność obcych ludów, a czuć niewolę swojego; co to za boleść być tak rozrzuconym po całym świecie jako my dzisiaj, że niejednemu schodzą długie miesiące i lata, na samotności trawiącej życie gorzej jak głód i pragnienie. A w tej samotności częstokroć nie ma do kogo zagadać po polsku, nie pocieszy ani obyczaj polski, ani mowa polska, bo często tułacz sam jeden w cudzoziemskim mieście, rozkazem rządu i biedą przykuty: w tej samotności nie pocieszają stosunki z krajowcami, bo oni już znudzeni długim nieszczęściem naszym, bo oni na jedyną pociechę naszą, mają tylko słowa oburzającej litości; bo oni nas nie rozumieją, tak jak nie rozumie położenia sieroty, kto ma ojca i matkę; jak nie rozumie nędzy, kto ciągle opływa w dostatek; jak nie rozumie co to jest ogłuchnąć i oslepnąć, ten co widzi i słuszy. Tę samotność nie zawsze i praca rozzerwać przyjdzie, bo czasem i o pracę trudno: a cóż dopiero osłodzi tęsknotę za rodziną, za krajem? W takim życiu nie trudno o rozpacz, skoro od niej nie broni, silna i niezachwiana wiara w życie przyszłe, silne i niezachwiane ufanie w miłosierdzie Boga. O Jezu! przy-
móż nam wiary!



ROZDZIAŁ XV.

PODRÓŻ DO ANGLII.

W utęsknieniu za krajem, w niecierpliwości walczenia za ojczyznę, każdy połysk nadziei zdawał się nam niezawodnym światłem zbawienia; zawiedzie jedna nadzieja, my się drugiej chwytamy, gdy się ta urwie, chwytamy trzeciej, i tak następnie, aby nie utonąć w zwątpieniu w sprawę naszą, od którego uchowaj nas Boże!

W 1835 r., wkrótce po owym poczwórnym przymerzu między Anglią, Francją, Hiszpanią i Portugalią, taka była nadzieja, że się już wkrótce zapali wojna w Europie, i że lada dzień uchwycimy za oręż do walki za ojczyznę; tak byłem pewny prędkiego powrotu do kraju, że chcąc korzystać z obecnego sąsiedztwa, pospieszyłem zwiedzić Anglią, tę ziemię wzorową wolności i oświaty, rolnictwa i przemysłu, kupiectwa i bogactw. Puściłem się w tę podróż w miesiącu czerwcu, a byłem z niej rad nad spodziewanie.

Morze było spokojne. Przez ciałinę zajrzałem już białe brzegi Anglii, od których kraję tę starożytni Albionem nazwali. Nim siadłem na parowy okręt angielski, poszedłem wykąpać się w morzu. Właśnie wtedy morze ubywało; szedłem tedy po dnie morskiem,

jak niegdys żydzi przez Czerwone morze; równo, piasczysto, a co najdziwniejsza sucho, choć dopiero morze tam było. Idę ciekawie po dnie morskiem przynajmniej przez ćwierć godziny, rozmyślając nad tym cudem, że morze ścisłej jak żołnierz, dokładniej jak zegar, jak wszystko co człowiek wymyślił, odbywa służbę swoją, którą mu Bóg nakazał. Rozmyślam nad tém, kiedy to Pan Bóg da nam Mojżesza, co tak szczęśliwie jak tamten przez morza, tak ten przez lądy doprowadzi nas do ziemi obiecanej.

Tak dumając, idę sobie tuż za morzem; w tém morze jakoś inaczej zagrało i zaszumiło bałwanami, poszło w dziwny taniec; i co łagodnie usuwało się odemnie, spina się ku mnie, i wał za wałem pędzi za mną, a huczy!! Bijże się tu z nié! Nie ma co robić, więc w nogi! Pędzę, jak mogę; jakem trochę uciekł od strachu, oglądam się dopiero, czym uciekł od morza; patrzę, aż morze daleko. Stoję, nie prędko przychodzi, więc się oswoiłem z nié, jak ptaki ze straszylem; zostawiłem suknie z daleka, a sam w morze, i z morzem do nich przyplynałem i znowu je dalej odniosłem; i znowu siadałem na morze, jak ptak na powietrze, i mówiłem mu: Nieś mnie! I niosło dopóki mnie się podobało; i nie życzę sobie, żeby tego podobania się kolój na morze kiedy przyjść miała.

Nad zachodem słońca siadłem na okręt angielski parowy, śliczny jak pieścidełko, zgrabny jak zabaweczka, szczelny jak orzech, lekki jak koncha, szybki jak ryba. Odbiliśmy od brzegu. Okręt w cwał zbierał kołami, mknął po morzu, jak mój koń po stepie. Francya od nas ucieka, Anglia do nas biegnie. Słońce ogromne tonęło daleko w wodach i swoją krasą okrasilo całe morze. Księżyc omdlały, wymokły, powoli z morza wyziera, a jak się słońce schowało, jemu dopiero życia przybyło; po drobniuchnych zmarszczkach morza puścił swe promienia i te zmarszczki przemienił w srebrną łuskę; wytoczył się wspaniale na ciemnobłękitne niebo wyszyte gwiazdami; gwiazdy migają jak mogą, na znak że żywe, a księżyc nie gasi ich zupełnie, bo przy nich

piękniejszy. Powiew morski ogarnął nas wędnym chłodem, rzeźwi nas, aż zęby dzwonią; kto chce zmyka z pokładu, a ja przez całą noc patrzałem, to w wysokość nieba, to w głębokość morza, zamknięty między morzem i niebem, jakby w kuli jakiej, ogromnej jak cała przestrzeń, cudownej jak dzieło Boskia. Nie mogłem rozeznaczyć, gdzie niebo spoiło się z morzem, bo niebo i morze pociągnęły się jedną barwą, bo wypukłość nieba i wklęsłość morza zasiane gwiazdami, tylko te, co w morzu, drżą jak gdyby pomarzęły. Kiedy niekiedy mignął światełkiem podróżny okręt; kiedy niekiedy plusnął rokosznie jakiś mieszkaniec morski, ciekawy zajrzeć, kto mu tam po suficie jeździ.

O wschodzie słońca byliśmy przy ujściu Tamizy; a do Londynu jeszcze trzy godziny płynąć mamy, ale te trzy godziny zbiegły, jak trzy minuty, bo rozmaite obrazy rozerwały czas pomiędzy siebie. Roskoszne brzegi Tamizy, okryte łąkami cudnej zieloności, jakiej nie widać na stałym lądzie, a na łąkach różnego kształtu ludzkie mieszkania, a wszystkie skrzętne a czyste, jakby się codzień kąpały; dalej domy te zaczęły się gromadzić i pociągnęły się nieprzerwanym łańcuchem przynajmniej mil parę aż do Londynu; na pobliskich wzgórzach ogrody i zamki, dalej zbrojownia morska Wulicz, w której 25 tysięcy dział okrętowych leży na zapas, a jeszcze nowe świdrują: dalej Grynicz, mieszkanie wysłużonych żołnierzy, sławne wspaniałością budowy; o milę patrzy na Londyn i nie boi się żadnego gmachu jego. Tamiza zwęża się coraz, ale jeszcze szeroka, a już wygląda niby ulica dla okrętów; parowe statki mijają się już tak gęsto, jak powozy w wielkiem mieście; a każdy statek strojny, pełen strojnego ludu, na każdym brzmi muzyka, każdy z nich zwozi ludzi i towary ze wszystkich stron świata, albo towary i ludzi na cały świat wywozi. Jeszcze do miasta daleko, a już na Tamizie wrzawa jak na ulicy, już niepolicone okręty stojące wzdłuż brzegów pociągnęły się w miasto podwójnym i potrójnym rzędem, a miasta nie widać.

Aż nagle skręca się Tamiza i otwiera się widok dziwnie wspaniały.

Miasto straszne nieprzejrzanym ogromem położyło się po obu stronach Tamizy. Na prawo kościół świętego Pawła, największy na świecie po kościele świętego Piotra w Rzymie, usiadł na wierzchu miasta wspaniałą kopułą; dwie wieże gotyckie świątyni westminsterskiej panują po lewej stronie. Tamiza niby główna i najludniejsza ulica Londynu, przecina miasto; kilka mostów strasznych wysokością swoją, przerzuciło się przez Tamizę. Z daleka widać sterczące nad brzegami niby obeliski, niby pomniki, a to wyższe od wszystkich pomników i obelisków kominy rozlicznych rękodzielni. Ciekawe oko zapuściło się w głąb miasta, ale je wnet na prawo odrywa widok najcudowniejszej przystani; w ogromnych sadzawkach, niby jeziorach, zdziałanych ręką ludzką, a niby w skale wykutych, niepolicone mnóstwo okrętów wszelkiego rodzaju; różne ich barwy różne na nich powiewają chorągwie, a ludzie po tych znakach, jak po piśmie poznają, co który przywiózł, co ma wieźć, gdzie i kiedy płynie; a taki ruch wszędzie, tak przedmioty migają, że ani ich okiem nałapać, ani myślać objąć. Okręt nasz płynie, jakby szedł stępą, tak mu ciasno; nakoniec staje. Kilkanaście łódek otacza go, przewoźnicy zdobywają okręt i rozrywają nas pomiędzy siebie, krzycząc: Sześć pensów, sześć pensów!

Wylądowałem.

W mieście ruch niesłychany, powozy i omnibusy w szybkim pędzie migają tylko; i piesi też spieszą, bo każdemu pilno, każdemu daleko; tu nikt nie wyszedł na przechadzkę, ale za zyskiem; chęć zysku wypędziła go z domu, popędzi nim w około świata, i wróci go do domu spokojnym, jak gdyby wczoraj dopiero z niego wyjechał. Każdy Anglik szuka zysku, szuka wygody; cała też Anglia znalazła wygodę, pokój i wojna podane tam zysku rachubom, służą zyskowi.

Jeżeli nadzieja zysku popechnie do wojny, Anglia będzie prowadzić wojnę z tą samą zimną krwią, z jaką dziś używa pokoju. Tam, czy wojują, czy pracują, czy

się uczą, czy kupczą, wszystko to czynią dla wygody, jak dawniej dla dumy narodowej. Wątpię, żeby jeszcze kiedy Anglicy poświęcili co dla dumy narodowej, bo tak ją już wypaśli, że im się zdaje, że nic nad Anglią. I prawda. Bo czy spojrzeć po miastach angielskich, wszystkie ludne, czyste, oświecone gazem aż po za przedmieścia, a pełne ogromnych rękodzielni; czy spojrzeć po wsi angielskiej, wszystko uprawne, a tak ślicznie zabudowane, tak ozdobione ochędostwem i prostotą, że cała Anglia zda się być jednym ogrodem; a ten ogród poprzecinany kanałami i drogami, po których nieustannie z nieporównaną szybkością ludzie przejeżdżają się; ani znać, że to podróźni, takie śliczne powozy, takie śliczne konie, a łomoków nie widać, a wszyscy siedzą na wierzchu, żeby patrzeć na ten ogród, co im przemiga rozlicznemi obrazami. Po księgarniach angielskich przepych i mnogość książek; po rękodzielniach dokładność i ogrom. A jaka w Anglii wolność, a przy téj wolności jakie bezpieczeństwo! Obfitość i ruch pieniędzy niesłychany, a najwięcej złota. Nie znać wcale, że w tym kraju tyle ubogich, bo każdy zaopatrzony jako tako z dochodów narodowych; nie znać tam nędzy, chyba na Polakach.

Nigdzie tak źle nie jest nieszczęśliwym braciom naszym tułaczom, jak w Anglii, bo tam zasiłek rządu bardzo szczupły, a ci co później tam przybyli i tego nie pobierają. Mało który z naszych umiał po angielsku, a choć się i poduczył tego języka, trudno w Anglii o umieszczenie się, tyle tam rąk do pracy, tylu sposobnych ludzi do wszystkiego, a drożyna niesłychana, bo tam pieniądz tani. Łatwoby Londynowi utrzymać tych biednych Polaków, albo dać im zarobić; ale w Londynie, jak i podobno na całym świecie, każdy myśli o sobie, a choć w Anglii lubią Polaków, jednak nie ma tam jeszcze dla sprawy polskiej wielkiego zapału, ani dla Polaków ogólnej serdeczności. Są ludzie w Anglii, co pokochali Polaków, jak braci, a Polskę, jak ojczyznę swych braci; ludzie ci starają się uczucie to wszczepić w całą Anglię; daj Boże, żeby się to

udało! Ludzie ci zajęli się losem Polaków, jak swoim własnym, cały swój czas poświęcając tej krwawej robotcie, i nie zrażają się, choć im się co nie uda. Na czele tych zacnych ludzi stoi lord Dudlej Stuart, którego poświęcenie się dla Polaków wyższe jest nad wszystkie pochwały, nad wszelką wdzięczność. Lord Dudlej Stuart i jego małżonka, synowica Napoleona, są duszą wszystkich zgromadzeń na korzyść Polaków; serdecznie ich przyjmują u siebie, serdecznie, pracowicie i cierpliwie obudzają na korzyść Polaków współczucie między zimnymi Anglikami. Jeżeli się zdobędą, na jaką uroczystość na korzyść Polaków, a do tej uroczystości wymyślą co osobliwego, to mieszkańcy Londynu ruszą się i biedakom naszym przez parę miesięcy znośniejsza bieda. Jeżeli na obchodzie jakim O'Connel gromkim głosem przemówi za Polską, znaję Mikołaja, to całe zgromadzenie zachmurzywszy się na cara, zagrzmie mu wspólném przeklęctwem; a potem cicho, jakby nie było Polski. Może też te małe chmurki zgromadzą się kiedyś i wydadzą burzę, a ta burza zniszczy potęgę moskiewską, a po tej burzy nastąpi pogoda dla Polski. Bo tu u Anglików nie ma próżnych słów, a jak co zaczną, to i skończą. Daj Boże, aby prędko zaczęli, bo już dawno czas.

Ale nie wyobrażajmy sobie, żeby Anglia, albo którybądź naród, zaczął wojnę z Moskwą dla tego, że Mikołaj pastwi się tak okrutnie nad Polską, co mu stanęła na zawadzie do europejskich podbojów. Anglia zacznie wojnę, jak wyrachuje i przekona się, że tyle a tyle na nią zarobi. Bo na nieszczęście silniejsza chęć zysku na świecie od wszelkich innych względów. Większą przysługę czyni sprawie polskiej, kto przez nią do ducha zysków, niżeli ten, kto nią do czułości przemawia. Wielu z naszych braci pomyślnie oświeca naród angielski o pożytkach dla Anglii z istnienia Polski; będąc w Anglii, znalazłem już wielu tym sposobem pozyskanych przyjaciół; a najwięcej ich przysposobiły: usilność, wpływ i bardzo poważane tam imię

księcia Czartoryskiego, jako téż i siostrzeńca jego, dzielnego Władysława Zamoyskiego.

Nie tak nie jedna przyjaciół sprawie polskiej, czy to w Anglii, czy w jakim bądź innym kraju, jak dobre prowadzenie się Polaków. Nowy tego dowód widziałem w Portsmucie. Są tam żołnierze nasi, którzy płynąc z więzień pruskich do Ameryki, tam wylądowali; z nimi téż przybył porucznik Józef Taszycki, i osiadł w tém mieście; a chociaż młody i nikt go nie polecał przychylności Anglików, tyle jednak zjednał ich sobie swoją przyzwoitością i szlachetnością, że admirałowie i jenerałowie angielscy bywają u niego, u siebie bardzo mu radzi, i na jego wstawienie się co który może czyni dla żołnierzy polskich.

Taszycki tak już obuczył Angielki ze zwyczajami polskimi, a zaś Anglików ze sprawą Polski, że mówią o nich, jak o rzeczach własnych, czują je, jakby w Polsce byli, a Polaków, których im Taszycki przyprowadzi, przyjmują z polską gościnnością, jak gdyby najlepszych przyjaciół swoich; i mnie téż tak przyjmowali. Tam tylko słyszałem, jak wojskowi odgrażali się na Mikołaja. Kiedym ich tém drażnił, że oni spią, a Mikołaj zabierze Turcyą i zajdzie do Indyj, oni mówili:

— „A widział pan naszą zbrojownią Grynicz, nasze wojenne okręty, których mamy pięćset, nasze zakłady tu w Portsmucie, nasze bogactwo w całej Anglii? Jak zechcemy, to Moskwę rozsadzimy na tyle części, z wielu się składa, ale jeszcze nie przyszedł czas.“

Ja im radziłem, żeby pilnowali tego czasu, bo jak nie dopilnują, to przyjdzie powiedzieć ze wstydem: Już minął czas!

Przejechałem różne miasta angielskie; wszystkie ludne, we wszystkich kupiecki i przemysłowy ruch wielki, wszystkie wygodne, czyste, pięknie oświecone; z każdego miasta rozchodzą się owe piękne powozy na wszystkie strony; w każdym mieście wygodne gospody i wszędzie cena jednostajna; ale wszystkie prawie miasta mają

wejrzenie smutne; nie widać w nich zabaw, bo Anglik tylko o wygodzie myśli i cieszy się życiem domowem; jemu dobrze, ale cudzoziemcom i podróżnym smutno. Nadto wszystkie miasta posępne, bo zamiast wież i pomników sterczą ogromne kominy licznych rękodzielni i rozściełają po ulicach dym, zamiast rosy; ztąd miasta ciemne i okopcone.

Ale za miastem wieś prześliczna, zieloność nieporównana. Taką wsią przy chłodzie wieczornym pędząc roskosznie, wpadam do Celtenhamu, pomiędzy prześliczne domy, ustawione w szerokie ulice. Każdy dom innym kształtem, a jasny jakby z kości słoniowej; każdy dom obwinięty ogrodem, jak gdyby wieńcem. Wieczór zapadł, tysiące ogniów oświeciło to miasto, ten ogród, i zda się, że jeszcze piękniej, jak w dzień. Po ulicach cicho uwijają się cudne powozy, po każdym ogródku przechadzają się Angielki piękne jak lilie, po mieście ruch najwykwintniejszej zabawy, a wszystko skromnie i cicho, bez gwaru ulicznego. Chodzę po ulicach, jak po ogrodzie, i nachodzić się nie mogę. Zaszedłem do jakiegoś ogrodu, kazali mi zapłacić szylinga, alem za to widział ogród ubrany w ogień, jak gdyby w kwiaty; Angielki w bieli przesuwają się, jak gdyby duchy; z daleka zabrzmiała muzyka, błysnął sztuczny ogień i zagasł; nikt do mnie nie przemówił, ja do nikogo. Idąc z ogrodu, długo się snułem po ulicach, aż mnie dźwięk harfy przywabił przed okno; widziałem rzesisto oświecone, bogato ubrane komnaty, młode kobiety przemykają się po kwiecistych kobiercach, jak ruszki po miękkiej trawie, a poważna niewiasta siedząc przy stoliku, wodziła oczy za niemi. Patrzałem na to grono rodzinne, na szczęście domowe, i zdało mi się, że i ja do téj rodziny należę; zdawało mi się, że mi Bóg pokazał matkę i siostry moje. Wejść do tego domu, choć cudzém szczęściem duszę napoić. Ale tam się śmieją, a jam zapłakał... Nie wejść.

Przechodząc się wzdłuż przystani w Liwerpolu, przypatrywałem się, jak jedne okręty przychodzą, drugie

odchodzą: jak jedne ładują, drugie wyładowują. Okręty idące do Ameryki, wewnątrz kosztownie i wygodnie ubrane, opatrzone we wszystko, co podróż długą i nudną uprzyjemnić może. Niektóre mają też piękne klawicymbały wprawione w ścianę okrętu, jak gdyby z niej wyrosły. Jeden z podobnych okrętów, parowy, wybierał się w drogę. Ruch wielki na okręcie i w okręcie; u brzegu mnóstwo ludzi tak jak ja patrzących, podróżni wchodzą na okręt, a z nimi i ci, co ich żegnać przyszli. I ja też wszedłem na pokład, z pokładu wzięła mnie ciekawość popatrzeć, jak też tam w izbach. Tymczasem na okręcie zadzwoniono, chcę wybiegnąć na pokład, ale nimem się z tłumu wydobył, koła zaczęły buchać po wodzie i pchnęły okręt na morze; wybiegam na pokład, już brzeg daleko; na brzeg nie wyskoczę, okręt się nie zawróci, więc rad nie rad jadę za morza — może do Ameryki! Pytam Anglików, gdzie mnie pan Neptun prowadzi? Anglicy śmieli się i było nam wesoło. Płynęliśmy do Dublina. Chwała Bogu, że nie daleko.

Morze stało spokojnie, jakby je lód spętał, a różnobarwne smugi po morzu zapowiadały, że się rozkołysze. Nad wieczorem majtkowie mówią:

— „Idzie burza!”

— „A z kąd?”

— „Z Dublina!”

To się tu zaraz spotkamy; a bardzo byłem ciekawy burzy na morzu. Patrząc w stronę Dublina, a tam morze poczerniało, po morzu ciągnie się jakaś niby kurzawa, za tą kurzawą dźwiga się morze i niesie ku nam swe wały. Wokoło nas morze się zaruszało, okręt się zakolysał, zachwiał, morze zarysowało się, rozpadło w głębokie wały, miota temi wałami, wały okrętem miotają, okręt nami miota. Nakoniec morze zawył straszliwie; okręt zaskrzypiał, rozhojdał się, jak szalony, pędzi po wałach jak szalony, koła okrętu już tylko kiedy niekiedy o wodę uderzą, jakby tylko chciały nam donieść o sobie, że zdrowe. Czasem okręt tak przez wał przesadzi, iż zdaje się, że go nie dotknął, a potem

wpada między dwa wały jak w przepaść jaką, już się głową zanurzył, ale się pchnął ogonem, i znowu na wierzch wypłynął; i tak się ciągle szamocze z wałami; wały się pienią od złości, że go nie wywrócą, skaczą na okręt jeden za drugim, okręt wymyka się każdemu, ale burza się wzmaga, wycie morskie wzrasta, a noc przyniosła strach większy. Niebo czarnymi chmurami zsunęło się na morze, jak gdyby zadusić je chciało; gęste błyskawice przecinają niebo i morze ognistym węzłem, i co chwila pokazują gniewliwe niebo i straszne morze. Od błyskawic ęmi się w oczach, od tańca burzy w głowie się kręci, choć się trzymał za sznury nie mogłem już ustać na pokładzie, i przeziębły, przemokły, stoczyłem się na dół do izby. Patrzę, a tam wszyscy leżą już w swych łóżkach jeden nad drugim, bo trudno się na nogach utrzymać: więc i ja chowam się w łóżko jak w trumnę. Okręt skrzypi, bałwany tłuką się, burza hałasuje, czerwone światło oświeca izbę ponuro; nikt nie spi, a wszyscy leżą cicho jak gdyby pomarli. I ja leżę cicho, bardzo cicho; czasem westchnę żałośnie, myśląc sobie, lepiej burzy nie widzieć; a po co ja tu wlażem nieproszony, niedziękowany; pięknie będzie, jak się tu okręt rozbije; mnie pewnie Pan Bóg nie wyniesie z wody jak Jonasza, bom sobie na to nie zasłużył; a kto powie rodzinie mojej, gdzie ja się podział, kiedy nikt nie wie, gdzie ja. Zebrałem myśli moje, porachowałem się z sumieniem, westchnąłem do Boga: bądź wola Twoja, i oczy sam zamknąłem, bo któżby mi je był zamknął.

Nie czułem siebie przez chwilę. Nakoniec burza zgruchotała okręt. Przejęty zimnem śmierci, spadam przez całą głębokość morza, i przez dno morskie wpadam nagle na tamten świat. Ciepło nowego życia ogarnęło wszystkie zmysły moje, a tak je zaostrzyło, jakby w każdym zmysle cała dusza siedziała. Do niezmierzonej przestrzeni, niby od ziemi prowadzą gwiaździste schody, po tych schodach ciągle zstępuje ród ludzki promieniejący nowem życiem. Cała przestrzeń ujęta w dziwne światło, to światło jest żyjącą piękno-

ścią, promienie jego przybierają coraz nowe barwy, coraz nowe kształty, i ta gra promieni sprawia roskosz niepojętą żadnym zmysłem, żadnem uczuciem, chyba uczuciem miłości Boskiej; a to światło tak jasne, tak przezroczyste, że jednako widać z blizka i z daleka, a widać bez końca, wszędzie razem i wszystko razem. Mnóstwo Polaków zstępowało uroczyście po tych gwiazdzystych schodach, każdy z nich wiodąc swą matkę, albo swą żonę; tłumy ustępowały przed nimi, otaczały ich czią nadziemską, jedni z nich mieli nogi lub ręce błyszczące blaskiem niepojętym, oni te nogi i ręce potracili byli za Ojczyznę, a z każdej ich rany wytryskała światłość łagodna a żywa, a każde ich cierpienie zgojone tu radością osobną a wieczną. W tym świętym orszaku widziałem wielu znajomych, i wszystkich powstańców co poginęli; poznałem ojca, a dusze nasze w upojeniu niebieskiego rozradowania, złączyły się na wieki. Wszyscy tam młodzi, każdy piękniejszy od słońca, znać jednak kto był stary, kto się jak długo tułał po ziemi. Tam czas bez końca; wieki mijają jak błyskawice, a każdą chwilę wybijają roskosze duszy niepojęte, niezmierzone. A w całej przestrzeni brzmią niebieskie dźwięki; a całą przestrzeń napełnia woń wiecznej a coraz młodniejszej świeżości. Tam jest się wszędzie razem, czuje się pełną szczęśliwość swoją i wszystkich; a tylko tęskni się za tem, żeby co prędzej oglądać oblicze Boskie, żeby się otwarły błyszczące tysiącem księżyców i słońce podwoje nieba, bo tu dopiero jego przysionek. W tem pożądaniu, zdało mi się, że już zasłyszał trąbę archanioła. Przebudzam się, a to dzwon okrętu donosi, żeśmy przy brzegu.

Nadedniem, chodziłem już po szerokich ulicach Dublina, otoczonego wzgórzami, co się około niego rozrzuciły w podkowę przytykającą do morza. Wyszedłem za miasto do jakiegoś ogromnego zwierzyńca; patrzę z pewnej wyniosłości, a tuż za zwierzyńcem morze; idę ku temu morzu; morze jakby się oddalało, ale morze taj morze; idę godzinę, spieszę jak mogę, dogonić nie mogę; aż słońce podniosło się, morze uciekło i znikło.

Złudzenie to miałem w stronie zupełnie przeciwniej od morza.

Obejrzawszy w Dublinie co było główniejszego do widzenia, téjże saméj nocy siadłem na okręt, który mię zawiózł do Bangoru; tam oglądałem most wiszący, rzucony przez odnogę morską z lądu na wyspę; tam z gór popatrzałem daleko na morze, i widziałem kilka wysp zupełnie oblanych wodą, i przypomniały mi się moje ostrowy na Bohu.

Z Liwerpolu jechałem do Manchestru drogą żelazną; pęd niesłychany, ale tego pędu siedząc w powozie nie czuć bynajmniej; kto go chce poczuć, niech siądzie na wierzchu powozu, a przekona się, że pędzi prędzej od wiatru; zabawnie patrzeć, jak drzewa pochylają się mocno od wiatru w tę stronę, w którą się jedzie, a czuć silny wiatr w oczy, tak, że ledwo można dotrzymać płaszcz na ramionach, czapkę na głowie; a tym przeciwnym wichrem i dymem, dmie pęd nagły. Wygodna to rzecz dla podróżnych te drogi żelazne, ale niewygodna dla mieszkańców tych okolic, przez które te drogi przechodzą; bo drogi żelazne przecinając pola psują gospodarstwo, a dym wozów parowych, odbiera żyźność przyległym polom i łąkom: drogi żelazne i tę jeszcze mają niedogodność, że wiele kosztują, i nie prędko na nie wszystkie kraje i okolice zdobyćby się mogły. Zdaje mi się, że rozum ludzki za pomocą Boską, wymyśli coś mędrszego, jak drogi żelazne, a wtedy szczytki dróg żelaznych, będą świadczyć o dzieciństwie sztuki dzisiejszych czasów, tak jak zwałiska dawnych wodociągów, świadczą o dzieciństwie sztuki w dawnych wiekach. Nim jednak nastąpi ta hańba dla dróg żelaznych, radbym żeby były wszędzie, żeby już były zaraz, natychmiast, bo jeden z mędrców francuzkich powiedział, że drogi żelazne wrócą nam Polskę. Dziękuję mu za to prorocstwo, ale z dźwiganiem Ojczyzny nie radzę spuszczać się na podobne temu prorocstwa, ani czekać na drogi żelazne.

Ile u nas w Gdessie składów na zboże, tyle w Manchestrze ogromnych rękodzielni, a najwięcej przędzalni

i tkalni, a nad każdym tym gmachem, wynosi się komin na 200, i 300 stóp wysoki. Takie kominysy sterczą po całym mieście i po za miastem, dzień i noc ziewają czarnym dymem, co się rozściela po ulicach, i przez najmniejsze szczeliny wchodzi do domów; dla tego może, tak wydoskonalona w Anglii szczelność drzwi i okien. Z daleka Manchester wygląda jak jeden kłęb gęstego dymu, niby ciemny obłok zalegający ogromną płaszczyznę: gdzie niegdzie spiący komin sterczy w tym dymie, jak wysmukła topola w rannj mgle wiejskiej; w dzień zda się, że tam dnia nie ma; a w nocy ile kominów tyle ogniów bucha jaskrawym światłem, i zda się, że tam mieszkanie złych duchów. Właśnie już noc zapadała, kiedy wleciał z dymem do dymu, z płomieniem między płomienie. W mieście, jasność gazu przemogła ciemność dymu; widno wszędzie, pięknie, porządnie. Nazajutrz przypatrzyszy się mądrości ludzkiej co wleża w rękodzielnie, nocnym powozem wybiegłem do Birminghamu; w mgnieniu oka uciekliśmy z dymu, pomiędzy wsie śliczne, droga czysta i biała jak ulica ogrodu; czasem prosto strzeli, czasem się powinie powabną wstęgą w prawo lub w lewo: cztery świeczniki rzucają donośne światło na okolice i pokazują piękne, spokojne mieszkania ludzkie, i śpiące kwiaty co od chłodu rosy tulą się jedne do drugich. Cztery dzielne a cudnej piękności konie, czwają o choczko, za niemi pędzi powóz tak równo i cicho, jakby po powietrzu leciał; chłód nocny stulił podróżnym usta, roztworzył oczy: wszyscy milczą i patrzą. I ja patrzę i widzę z daleka tysiące ogniów, co jak gdyby wulkany, z pod ziemi biją żywym płomieniem, rzucają dymem: te ognie rozeszały się szeroko, wpatruję się w to cudo i nie wierzę oczom moim, a ledwom oczy przetał, czarne konie nasze wniosły nas pomiędzy te ognie i pomiędzy niemi wniosły nas godzin parę aż do Birminghamu; przy każdym takim wulkanie niby mogiły wyrzuconej lawy, a cała tam ziemia w popiół obrócona, i ani tam trawa zazielenieje, ani woda zabłyszczyc; czasem od ognia do ognia suną się jedna za drugą, małe mogilki i gdzieś zapadają;

czasem mignie czarna postać ludzka i zniknie; nie słychać tam głosu stworzenia, ani głosu szumiącego drzewa, ani głosu szemrzającej wody, a tylko jakieś podziemne wycie: zdaje się, że to kraina piekieł. A to po prostu tysiące kopalni, przy których tysiące machin parowych dobywa węgiel i żelazo, z którego po całej Anglii i zaraz w Birminghamie wyrabiają wszelką broń, nożyczki, igły i brzytwy.

Kiedym się już z powrotem zbliżał do Londynu, noc już zapadała. Z daleka Londyn wydał mi się wtedy jak morze światłości; nad miastem, które zda się bez granic, jaśniała biała luna, rzucająca blask swój aż na obłoki. W tem morzu jasności, jak gąłby wyspy, pływały szczyty gmachów; a z tego morza rozpływały się rzeki światła na wszystkie strony. Jeszcze daleko do miasta, a już ruch wielki, powozy zbiegające się z dróg różnych, pędzą po jasnych drogach; jednemu drugiego wyścigać nie wolno, ale tak pędzą, że choćby i było wolno, toby nie wyścignął. Takim pędem wpadamy do miasta: od téj strony szerokie ulice, a pełne powozów i ludzi, a gazem oświecone tak rzęsiście, że zdaje się, że ktoś tu porozlewał strumienie ognia; pełno snujących się ludzi, pełno bogatych pojazdów krzyżujących się ustawicznie; a wszystko tak piękne, tak wspaniałe, że zdaje się, że dziś jakaś niezwykła uroczystość; a to tak codziennie.

Obejrawszy, co mi zostało jeszcze do widzenia w Londynie, po dwóch miesiącach przejażdżki po Anglii, choć chciałem jeszcze dłużej bawić w tym kraju, bo i pogoda sprzyjała, i wszystko mi się tam podobało, i znalazłem dobre przyjęcie, jednak pospieszyłem do Paryża, na dzień, na który znowu sejm usiłował zebrać się, w celu oświadczenia się przeciwko rozlicznym uciskom i gwałtom, których się Mikołaj w Ojczyźnie naszej co dzień dopuszcza. Na to zebranie zapraszali niektórzy z tych posłów, którzy dawniej sprzeciwiali się obradom sejmowym, a do tego zapraszania wzięli ztąd

pochop, że car zaciąga pożyczkę 150,000,000 złp. na dobra narodowe Królestwa *kongresowego*. I wtedy sejm nie zebrał się, a ja znowu żałowałem, iżem uwierzył, że się zbierze.

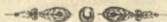
Człowiek tak się łatwo przyzwyczaja do tego co dobre, wygodne i miłe, że ja choć krótko bawiłem w Anglii, zdawało mi się jednak, że wszystko co tam widzę, jest bardzo proste, a wcale nieosobliwe; ale za to jakim wjechał nazad do Francyi, wszystko mi się tu wydało brudne, i miasta, i drogi, i powozy, i domy; wszystko w dzieciństwie, chociaż to i we Francyi nie bardzo źle; chociaż i Francya ma swoje piękności i wiele dobrego. Wyższość Anglii nad Francją i nad Europą pod względem uprawy i bogactw, tem bardziej uderza, tem jest widoczniejsza, że Anglia od Europy oddzielona wodą, ma zupełnie osobny swój wyraz, swoją cechę nie skrzywioną wpływem żadnej cudzoziemskiej. Nie masz w całej Anglii ani jednego miasta, ani jednego zakątka, gdzieby było coś z niemiecka, albo z francuzka; wszystko tam ma wybitne piętno angielskie. Anglicy nikogo nie naśladowają w niczem, bo czują, że wyżsi od wszystkich; ztąd ich obyczaje i zwyczaje nie naginają się do obyczajów i zwyczajów cudzoziemskich, i jeśli cudzoziemiec chce mieć dobre przyjęcie u Anglików w Anglii, musi się poddać ich upodobaniom społecznym.

Polakom łatwa sprawa z Anglikami, tak jak ze wszystkimi cudzoziemcami, bo w usposobieniu polkiem chociaż jest odrębne piętno, mieszczą się cnoty wszystkich narodów, a przy tem wielka przywara naśladownictwa cudzoziemskiej; ztąd każdy krajowiec lgnie do nas prędzej, jak do innych cudzoziemców. Anglicy to mają z nami wspólnego, że lubią wolność nade wszystko, że są otwarci, szczerzy, w oczy i po za oczy jednacy; a chociaż w gościnności są niżej od nas, jednakże dla tych, których dobrze znają, albo których im polecił przyjaciel jaki, są przyjacielscy i serdeczni.

Ze wszystkich cudzoziemek, najbardziej mi się podobały Angielki, bo najwięcej mają zbliżenia do Polek.

Angielki tak jak i Polki posiadają cnoty domowe, miłość rodziny, miłość kraju i dumę narodową; mają pełno szczeroci, prostoty, skromności; a chociaż nie tak zgrabne jak Polki, jednak bardzo są piękne, rysów szlachetnych, nie trzpiotostwa francuzkiego; piękność angielska jest poważna i cześć nakazuje. Angielki nie błyszczą dowcipem, ale mają zdrowy sąd o rzeczy, nie mają grzecznych słówek i łez na zawołanie, ale mają wiele współczucia dla cierpiących, wiele serdecznej czułości i lubią Polaków.

Powiedziałem, że Polacy we wszystkich narodach mają pierwszeństwo przed innymi cudzoziemcami. Doświadczyłem sam tego w licznych podróżach moich, a zwiedziłem świat od Kaukazu do Pireneów, od morza Kaspijskiego do oceanu Atlantyckiego. Gdy Niemiec poznawszy żem cudzoziemiec, pyta czym nie Francuz, a dowie się żem Polak, wita serdecznie, mówiąc: a to jeszcze lepiej; Francuz co myślał, że ja Niemiec, dowiedziawszy się, żem Polak, wykrzykuje: to daleko lepiej. Anglik aż się uśmiechnie i za rękę ściśnie, i pyta z radością, czy w rzeczy samój jam Polak. Włoch zaraz wyśpiewuje: o waleczny Polaku! A Moskal, chociaż obrósł w mundur jak w skórę jednoroźca, choć strach cara i łaska carska, w ciągłym obleżeniu trzymają serce jego, rad jednak spotkać Polaka i lgnie do niego; bo ma przecucie, że nienawiść Polski z Moskwą skończy się zgodą i przyjaźnią, ugruntowaną na udzieleności i swobodzie dwóch sąsiednich narodów.



ROZDZIAŁ XVI.

PODRÓŻ PO BELGII, FRANCYI I NIEMCZECH.

Jeszcze w 1835 r. zwiedziłem Belgią. Kraj równy, bogaty, doskonale uprawny i bardzo tani. Rękodzielni tam wiele, osobliwości mało. Najpiękniejszą tam rzeczą jest wieża katedry antwerskiej i sławny obraz Rubensa, znajdujący się w tym kościele, a wyobrażający zdjęcie z krzyża Pana Jezusa. Rubens był rodem z Antwerpii i stworzył w malarstwie flamandzką szkołę.

Znałem już północną i zachodnią część Francyi, widziałem kilka jej morskich przystani na północy, i znaczniejsze kupieckie i przemysłowe miasta; patrzyłem już nie raz ze szczytu wieży strasburskiej na nadreńskie krainy, a za każdą bytnością moją w Strasburgu odwiedzałem najpiękniejszy może na świecie grobowiec marszałka de Saxe. Rycerz ten zstępuje do grobu, a Francya nie opuszcza go; myśl piękna i cudnie wykonana; między znakami dostojenstwa tego bohatera jaśniej nasz biały orzeł. W tymże kościele jest nagrobek Fryderyka Ludwika Kunawskiego, pułkownika w wojnie trzydziestoletniej, wystawiony 24 listopada 1645 r. Sarmata ten, jeszcze i na grobie swoim stoi

zuchowato z wąsami i z karabelą. Coby to było takich nagrobków we Francyi i po całym świecie, gdyby je stawiono rycerzom polskim, co poginęli w wojnach, albo pomarli na tułactwie, a wszystko za ojczyznę.

Na ziemi francuzkiej mamy téż zwłoki dwóch królów naszych, którzy tak jak i my byli tułaczami. Niech ich cnoty panują nad myślą naszą, jak kiedyś ich berła panowały nad Polską.

Jak to miło Polakowi patrzeć na pamiątki swojego króla, który posadziwszy swą córkę na tronie francuzkim, gdy mu los niesprawiedliwy odebrał tron polski, przyszedł panować w Lotaryngii i w krótkich latach swego panowania stolicę jój Nancy rozszerzył, podniósł i przyozdobił, całą krainę oświecił i uszczęśliwił. Wspaniałe gmachy w téj stolicy i w Lunewilu świadczą o wytwornym smaku tego króla polskiego, który i na wygnaniu pamiętał o ziomkach swoich; wielu ich przy boku swoim do usług krajowych sam usposobił, a chcąc w najodleglejsze czasy do dobrodziejstwo przeciągnąć, przeznaczył stały dochód na utrzymanie i naukę dwunastu uczniów polskich we Francyi.

Późniejsze zamięszania we Francyi zawieruszyły to nadanie, i dotąd wyszukać go nie mógł znaczny marszałek Włodzimierz Gadon, już po raz trzeci tułacz polski, a dzisiaj na schyłku dni swoich poświęcający się jeszcze usłudze narodowej, jako dozorca szkoły polskiej w Nancy. Czcigodny starzec przy każdej uroczystości narodowej prowadzi dziatwę tułaczów polskich do stóp ołtarza, przy grobie króla tułacza.

Dawniej wojsko polskie, wracające w roku 1815 do Polski pod wodzą Sokolnickiego, oddając cześć pamięci tego króla, po lewej stronie grobowca jego zostawiło w pożegnaniu napis na marmurze.

Dzisiaj tułactwo polskie na smętne powitanie postawiło po prawej stronie marmurowy płyt z następującym napisem:

D. O. M.
STANISLAUS LESZCZYNSKI CIVIS POLONUS
POLONIAE LITHUANIAE ET RUSSIAE
REX
ORTHODOXUS FIDEI LIBERTATIS PROPUGNATOR
EXUL
QUEM GALLIAE REX HOSPITEM LOTHARINGIAE POPULUS
PATREM COLUERE
PRINCEPS TRISAECLISENEX SANCTUS
OBIIT ANNO MDCCLXVI
EXERCITUS
POLONORUM LITHUANORUM RUSSIENSIIUM
SUPERSTITES
FIDEI LIBERTATIS PROPUGNATORES
EXULES
QUOS REGIA TYRANNIS HOSTES ODIIT
POPULUS PEREGRINOS MIRATUR
VETERIS HOSRITII
RECENTIS DOLORIS
MONUMENTUM
A. E. C.
D. D. D.
ANNO MDCCCXXXIII DIE III MAJI

DIC REX STANISLAE NOS TE HIC VIDISSE ERRANTES
PAUPERES INERMES PROSCRIPTOS
FORTES

B. N. N.

STANISŁAW LESZCZYŃSKI OBYWATEL POLSKI
POLSKI LITWY I RUSI
KRÓL

PRAWOWIERNY WIARY I WOLNOŚCI OBROŃCA
TUŁACZ

KTÓREGO KRÓL FRANCYI JAKO GOŚCIA A LOTARYNGIA
JAKO OJCA CZCIŁA

MONARCHA SĘDZIWY ŚWIĄTOBLIWY
ZESZEDŁ W ROKU MDCCLXVI

POLSKIEGO LITEWSKIEGO RUSKIEGO
WOJSKA SZCZĄTKI

WIARY I WOLNOŚCI OBROŃCY
TUŁACZE

KTÓRYCH OKRUTNI KRÓLOWIE JAKO NIEPRZYJACIOŁ
NIENAWIDZA

A LUDY JAKO PIELGRZYMÓW PODZIWIAJĄ
DAWNEJ GOŚCINNOŚCI

I ŚWIEŻYCH CIERPIEŃ
POŁOŻYLI

PAMIĄTKĘ

ROKU MDCCCXXXIII DNIA III MAJA

POWIEDZ KRÓLU STANISŁAWIE ŻEŚ NAS TU WIDZIAŁ
TUŁACZÓW

BIEDNYCH BEZBRONNYCH ŚCIGANYCH
NIEZŁOMNYCH

Mieszkańcy Lotaryngii umieją czcić pamięć Leszczyńskiego. Kiedy podczas *rewolucyi* spóółstwo rozmiatało prochy królów francuzkich i książąt Baru i Lotaryngii, w pośród téj powszechnej a wściekłej zniewagi, miasto Nancy uczciło pamięć Leszczyńskiego, zachowując kości jego; a nadto wzniosło mu wspaniałą posąg, na podstawie przeznaczonej niegdyś na pomnik *rewolucyi*; a rynek ozdobny, na którym stoi ten okazały posąg skromnego króla, nazwano rynkiem Stanisława. Imię Leszczyńskiego wspominają w całej Lotaryngii ze czcią i miłością. W zamku lunewilskim, gdzie król chętnie przemieszkował, komnata, w której przy kominie zapaliły się suknie Leszczyńskiego, na znak żałoby dotąd jest powleczone czarną obsoną, a miejsce, na którym stał się ten nieszczęśliwy wypadek, co srogą śmierć zadał temu dobremu panu, naznaczone jest czarnym marmurowym płytą. Choć to już dawne czasy jak się to stało, choć dotąd i bez tego wypadku były już umarł poczciwy król nasz, jednak wchodząc do téj komnaty, czuje się dreszcz przestachu i żalu, jak gdyby się było świadkiem téj okropnej śmierci, przez którą tyle ucierpiał człowiek, przez którego zdaje się, że nikt nie cierpiał. Im większe były tu cierpienia jego, tem większa w niebie nagroda i szczęśliwość.

W 1836 roku zwiedziłem wschodnią i południową część Francyi. W Orleanie oglądałem pełny życia posąg dziewicy orleańskiej, co sama jedna Francją zbawiła. Zdało mi się widzieć to jéj natchnienie, z jakim pobudzała lud francuzki do boju, ten zapal, z jakim go do boju wiodła.

Z Orleanu pojechałem do *Bordeaux*. Nad brzegiem Garonny, która się w półksiężyc wygięła, po której żeglują tysiączne okręty, nad tą wspaniałą rzeką, w rokosznej dolinie, w półksiężyc położyło się najpiękniejsze miasto we Francyi. Jadąc od strony Paryża, o parę mil widać już to wspaniałe miasto; zachwycający to widok, ale więcej jak ten widok, więcej jak wszystkie

osobliwości tego miasta, zachwycił mnie pogrzeb, na który trafiłem wjeżdżając do Bordeaux. Był to pogrzeb arcybiskupa i kardynała *Cheverusa*, męża świętobliwego, miłosiernego, prawdziwego ojca ludu. Żył i umarł w ubóstwie, ale lud, ta dziatwa jego, sprawiła mu pogrzeb, jakiego żadne złoto nie kupi. Cały lud z miasta i z okolic był mu orszakiem pogrzebowym, westchnienie i płacz ludu były mu chórem pogrzebowym, a w synowskięj wdzięczności i rozrzewnieniu, lud nie wiedział, czy się ma za niego, czy do niego modlić.

Z Bordeaux popłynąłem Garonną ku Pireneom, gdzie są sławne i liczne siarczane wody, jedne niedaleko drugich. Kto chce się leczyć na bole w kościach a mianowicie na rany w bitwach odniesione, ten jedzie do *Barèges*, tam najwięcej widać wojskowych, a od czasu naszego tułactwa przybywa tam co rok kilkunastu przynajmniej Polaków, którym jeszcze się rany nie pogoiły; kto chory na piersi jedzie do *Eaux Bonnes* tam najwięcej młodych osób co przetańcowały swe zdrowie; kto mniej słaby jedzie do *Saint Sauveur*, do *Cauterets*, do *Bagnères de Louchon*; a kto chce się bawić, jedzie do *Bagnères de Bigorre*, miasta najznacniejszego i najpiękniej położonego, w wyższych Pireneach, sławnego też kopalnią marmurów.

Po kolei zwiedziłem wszystkie te wody, i wszystkie celniejsze miejsca gór Pirenejskich, po których piąłem się na tamtejszych konikach, co się tak drapią po górach, jak muchy po ścianach, a tak śmiało chodzą wąziutkiemi ścieżkami po nad ogromne przepaście, jak gdyby tam były wysokie murowane i poduszkami wykładane poręcze; a tu spojrzawszy w przepaść, to się aż w głowie zakręci. Piękne są te góry, a najpiękniejsze kiedy się z nich wyjedzie; bo nam mieszkańcom równin duszno w górach, zdaje się, żeśmy zamknięci. Zwykle doszedłszy do wierzchołka jednej góry, traci się widok doliny ożywiającej jęj stopy, a widzi się w około siebie góry wyższe, za temi jeszcze wyższe; a kiedy po tru-

dach nieodpłaconych dojdzie się do szczytu najwyższej góry, otaczające pomniejsze góry zasłaniają widok; czuje się jakąś czczość, jakieś przykre oderwanie od żyjącego świata, a do tego wiatr i zimno; schodzi się co prędzej, a na widok pierwszej zielonej łąki co tam na dole, oko rozweselone spędza dopiero posępność z czoła i swoją wesołość do myśli podaje. Takie to są podobno wszystkie wysokości i wielkości świata tego. Piękne tu góry, ale jakieś ciasne, i nie tak ożywione jak góry w Szwajcaryi; u spodu nie mają takich rokosznych dolin, po skałach nie mają tak obfitych wodospadów, po wierzchołkach nie mają tak poważnej siwizny: wszakże kto je obaczy nie pożałuje, niech jednak tam jadąc nie spodziewa się ludu sprytnego i strojnego, mieszkań wygodnych i pięknych, i wszelkiej obfitości tak jak w Szwajcaryi. Ale też za to, wyrwawszy się z Pireneów, miło pohulać po rokosznych płaszczynach południowej Francyi, umiło-nym najłagodniejszym powietrzem, uposażonych wszelkimi bogactwem ziemi, ubranych w winnice, drzewa figowe, oliwne, pomarańczowe, w granaty i w palmy.

Hulając po tej rokosznej krainie, podróżny ma na widoku albo góry Pirenejskie, albo morze Śródziemne, albo Alpy południowe; a co krok prawie spławna rzeka, albo kanał jaki; co krok jakiś wspaniały zabytek starożytności rzymskich. Czem są dzisiejsze widowiska nasze w porównaniu z owymi rzymskimi szrankami, w których się na igrzyska lud zgromadzał, a w których nie ledwie miasto zamknąćby się dało. A co to za trwałość budowy. Szranki stojące w środku miasta *Nimes*, są prawie nieuszkodzone, chociaż przez dwadzieścia wieków może, stoją bez nakrycia; a jaka zachwycająca wspaniałość i kształtność tego olbrzymiego gmachu. Zewnątrz jest to podłużne koło złożone z ogromnych łuków dwupiętrowych, pooddzielanych pięknymi słupami i nic więcej; wewnątrz ten sam okrąg, sływa stopniami ku środkowi, a tam dziedziniec, na którym odbywały się konne i piesze gonitwy i zapasy; na tych stopniach zasiadali widzowie; stopnie te są na łukach, po pod które w około obchodzić można, wygodne schody

prowadzą na różne piętra tych stopni; najniższe piętro było mieszkaniem zwierząt przeznaczonych do igrzysk; we wszystkich słupach wierzchnich są wydrążenia, z których powiewały niegdyś orły rzymskie. Chodziłem po wszystkich stopniach ze dwie godziny, przenosząc się myślą w czasy wielkości rzymskiej; zamiast kręcących się tu teraz Francuzików, wyobrażałem sobie owych panów świata, w okazałych togach siedzących wspaniale tu na tym gmachu, co dziś jeszcze przy dzisiejszych, jak tron świata wygląda. Możeby i niewierzono wielkości dawnych Rzymian, gdyby zwałiska ich gmachów, nie dawały o niej świadectwa. W wielu miejscach od owych czasów miasta porodziły się i pomarły, i ani śladu ich popiołów, a gmachy rzymskie jak stały tak stoją. Stoją jeszcze wodociągi w miejscach, w których dawno już powysychały źródła. Najślawniejszy z takich wodociągów jest przy moście Garu, (*pont de Gard*); prawie nienaruszony na trzypiętrowych niezmiernych łukach łączy dwie góry; chodziłem po wierzchołku tego wodociągu, którego niegdyś płynął obfity strumień. Starożytności rzymskie, które widziałem w *Nîmes*, w *Arles*, i innych miejscach południowej Francji, jeszcze zaostrzyły we mnie ochotę widzenia samego Rzymu, do którego wiele innych ciągnie mnie pobudek; objechawszy niespodziewanie już tyle świata, może też niezabawem i tam będę.

Zwiedziłem całą południową Francję, aż do rokosznego *Hyères*. Używałem prześlicznej pogody jesiennéj i pięknych widoków; zwiedzałem wszystkie osobliwości, a co największa, jadłem przez parę miesięcy najwyborniejszych owoców, brzoskwinie, figi, a mianowicie winogrod. Choć tam kraj piękny, jednak wydał mi się cztery razy mniej piękny, jak sobie wyobrażałem, czytając kłamliwe opisy i przesadzone wykrzykniki podróżnych; a nigdzie takem się nie złapał na tój łatwowierności jak w *Hyères*, gdzie się spodziewałem owych obiecanych rokosznych pomarańczowych gajów nad brzegiem morza. Myślę sobie, o! to będę rokoszował leżąc pod cieniem pomarańczowych drzew, na których razem i kwiat i owoc;

więc będę oddychał wonnością kwiatu pomarańczowego, pragnienie gasić będę słodziutkimi pomarańczami, będę sobie spoglądać na morze; jak mnie morze zwabi skoczę do morza; jak ów gaj zawabi wrócę do gaju, znowu jeść pomarańcze, wachać kwiat pomarańczowy, leżeć i nic nie robić. Układ doskonały. Jadąc z Tulu do Hyères, już ani zważam na piękną drogę pomiędzy rozmaite góry i skały, a tylko niecierpliwie wyglądam tego Hyères, tych gajów pomarańczowych. Jest Hyères! cieszę się jak dziecko cackiem, ale cóż, kiedy cacko stłuczone; gajów pomarańczowych nie ma! Były po ogrodach pomarańcze, ale zielone; musiałem jeść same figi. Odtąd jak czytam jakie opisy, albo słyszę jakie opowiadania, to mam zwyczaj to co czytam lub słyszę dzielić przez cztery, i tak jeszcze częstokroć oszukałem się i bardzo, szczególnie w Monachyum.

Niemcy gadają mi: to pan nie był w Monachyum! wszak to nowy Rzym co do sztuk pięknych, nowy Londyn co do okazałości, nowy Paryż co do zabawy, i każdy Bawarczyk to samo mi powtarza; a ja im powiadam, kiedy tam razem Rzym, Paryż i Londyn, to to musi być przynajmniej tak wielkie miasto jak pół Bawaryi. W 1837 roku, odbywając podróż po Niemczech, wstępuję do tego Monachyum; zastaję miasto nie wielkie, niczego, ale tak mu daleko do wielkiego miasta, jak na Ukrainie małemu futorowi do tęgiej wsi. Monachyum jeszcze niezagospodarowane, wszystko w niem dopiero pozaczynane, jak to bywa u nowego gospodarza, na małym gospodarstwie. Monachyum tak wygląda przy Paryżu, jak nowy grosz przy starym dukacie, co znaczy, że nie cztery, ale sześćset razy mniej wart. Przyznać jednak należy dzisiejszemu królowi bawarskiemu, Ludwikowi, że stawiając kościoły, podnosząc miasto i strojąc je w rozliczne gmachy, wspierając sztuki, a przytem sam żyjąc skromnie, dowodzi, że choć kto mało ma, wiele może, byle chciał. Król bawarski może w tym względzie służyć za wzór wszystkim królom i zasługuje na pochwałę; lecz z drugiej strony zasługuje na naganę za to, że kiedy Mikołaj do niego przyjeżdża, on przez

grzeczność dla niego, więzi Polaków, której to niesprawiedliwości i ja doświadczam w tej chwili kiedy to piszę, dnia 7 września 1838 roku, w Aleksanderbadzie.

Uważam, że za daleko skoczył, z południowej Francji aż do Baweryi i z 1836 do 1838 roku, ale wolno tak skakać pisząc o cudzych krajach i o czasach co nam biedakom schodzą w cudzych krajach; bo te kraje mało nas obchodzą, a te czasy takie dziś jak wczoraj, jednostajne, wloką się w ciągłej tęsknocie, w ciągłym spędaniu wolności naszej; bo choć wiele pięknych miejsc widziałem, żadnego nie upodobałem sobie, nigdzie mieszkać nie chcę, a tylko chcę wracać do domu: bo choć we wszystkich krajach spotykamy przyjaciół, choć tym przyjaciołom, jak łopata, w łeb kładziemy sprawę naszą, oni jej nie rozumieją; choć siedem lat patrzają na tułactwo nasze, i na usiłowania nasze w tułactwie, nie mogą tego pojąć, że my to tułactwo podjęliśmy dla służenia Ojczyźnie, że to tułactwo jest dobrowolnym cierpieniem i trudem naszym, że przez to cierpienie i trud ten, chcemy odpokutować za dawne winy nasze i dosłużyć się Polski; ci przyjaciele nasi nie pojmują tego i myślą, że nam miłą rzecz mówią, powiadając: „trzeba jeszcze trochę cierpliwości, a namiętności uspokoją się i panowie wrócicie do kraju za ulaskawieniem.“ Niechże Pan Bóg broni, żeby tak było.

Dzisiejsi Niemcy nie są tem, czem byli zaraz po naszym powstaniu; pospali się znowu, przyduszono ich znowu, tak że ledwo dyszą; zagadać do nich co śmiałego a w zgromadzeniu choćby najlepszych znajomych, choćby jednej rodziny tylko, to pospuszczają nosy w kufle, i jeden po drugim spojrzeć nie śmie. Sam na sam Niemiec, i to kiedy już piwem opity, to jeszcze odgraża się, ale jak, oto tak: że jakby Francuzi tylko przeszli Ren we 20,000 wojska, to całe Niemcy powstaną. Wierzę, że takby było; ale cóż kiedy Francuzi

znowu mówią: gdyby teraz była *rewolucya* w Niemczech, albo powstanie w Polsce, to byśmy Ren przeszli. I tak się oglądają jedni na drugich, jak dwa psy tchórze przed kotem, a którybykolwiek go śmiało porwał, toby sam zadusił: kot prycha, a psy się straszą, nie wiedząc, że kot ze strachu prycha. Wszakże nietylko psy kota, ale wilki owcy nie zaduszą, jeżeli stanąwszy przy niej, oba czekać będą, żeby który z nich zaczął. Wszystko to gadamy Niemcom, ale to gadanie tem tylko pomaga sprawie naszej, żeśmy się przekonali, że nic nie pomaga. A cóż jój pomoże?

Wszakto dziś już siódma rocznica oddania Warszawy. O Boże! co to na to wspomnienie wrywa się westchnień z piersi; co się myśli wije i przewija po głowie, a jeszcze kiedy się jest w więzieniu. W więzieniu myśl zimniejsza, rozważa głębsza, sąd o rzeczy wytrawniejszy; a przedmiot téj myśli, téj rozwagi, tego sądu, zawsze jeden i ten sam, bo on obejmuje wszystko, co drogie sercu i duszy, bo to Polska. Ileż to już razy obejrzelśmy tę Polskę okiem dzieci bolejących nad niemocą matki; ileż to razy wyszukiwaliśmy sposoby, aby ją z téj niemocy dźwignąć. A te wszystkie sposoby zbiegły się w jedno słowo POKUTY. Wielkiej, szczerzej, serdecznej pokuty każdego i wszystkich, za winy wszystkich i za winy każdego; pokuty religijnej, chrześcijańskiej, katolickiej. Za pokutą pójdzie wielka, powszechna *poprawa*; a za poprawą wielkie, powszechne, zwycięzkie *powstanie*. Za hasło takiego powstania, będzie nam WIARA i OJCZYŻNA, za chorągiew takiego powstania musi być król polski.

Precz z cudzoziemskimi naukami, precz z marzeniami gorączkowej wyobraźni, precz z miłością własną ludzi i stronnictw, na które rozpadła się Polska i u siebie i na tułactwie. Nie będzie Polski, dopóki i tułactwo i Polska z tego rozpadnięcia się nie wróci w jedną całość. Całości w narodzie naszym, nic innego nie wyobraża, ani wyobrażać może, jak tylko jedna myśl narodu, myśl katolicka, co do uczucia rozlana po całym

narodzie, co do porządku społecznego skupiona w jednym człowieku, to jest w królu.

Smutne skutki ostatnich lat bezrządu, odezwały się w pierwszych chwilach nowego istnienia Polski. Polska powstała, a na króla zdobyć się nie mogła; i dla tego, głównie dla tego, jedynie dla tego upadła. Jak chcemy wyszukujemy powodów upadku powstania; wszystkie inne przyczyny, to drobnostki; a główną przyczyną jest to, że Polska nie miała gospodarza, że nie miała króla. Gdyby Polska zdobyła się była na króla, gdyby był król polski, znaleźliby się Czarnieccy. Nie trzeba było szukać króla cudzoziemca, broń nas Boże od króla cudzoziemca! Nam trzeba swojej, polskiej RODZINY na tronie. Gdyby książe Adam Czartoryski, nie prezesem zbiorowego rządu, ale był królem polskim, to i Chłopicki, i Skrzynecki, mogliby byli być zbawcami Ojczyzny, bo byłby ład, a tak był nieład.

Nieładem Polska upadła już tyle razy. O! bracia Polacy, bądźmyż mądrzy choć po szkodzie. Oswajajmy się ze zdrową myślą, zatlumiajmy w sobie wszelką zawiść, wszelką niesprawiedliwość, wszelką miłość własną, wszelkie osobiste widoki. Oswajajmy się z tą prawdą: że trzeba pokutować, żeby się poprawić, że trzeba się poprawić, żeby powstać, że trzeba powstać, żeby zwyciężyć, że aby zwyciężyć, nie dosyć jest mieć powstańców i wodzów, nie dosyć mieć broń i skarby, ale nadewszystko potrzeba nam króla. Niechaj Polacy zgodzą się na potrzebę poddania się *swojemu* królowi; niech ten, którego głos powszechny, zacząwszy od niemowląt do starców, jak Polska długa i szeroka, uważa za najgodniejszego korony polskiej; niech ten mąż dostojny, prawy, doświadczony, serdeczny, pobożny, schyli głowę po cierniową koronę polską, a będzie Polska, a ciernie téj korony zamienią się wkrótce w brylanty i perły, a nasze dzisiejsze poniżenie i sromota, zamienią się w potęgę i chwałę. Gdyby dziś Polacy szczerze i serdecznie uznali króla, dziśby Polska była: bo w tem uczuciu potrzeby króla, zbiegają się wszystkie warunki istnienia Polski.

Mocniej, stokroć mocniej czuję tę prawdę jak wyrazić mogę, a tem mocniej ją czuję, im szczerzej nie dbam o dostojenstwa i znaczenie, im szczerzem sercem postanawiam oddać się służbie Boga, a przez nią tylko służbie Ojczyzny.



ROZDZIAŁ XVII.

WYDAWNICTWA NA WYGNANIU.

Wspomniałem wyżej, że zaraz na początku tułactwa zająłem się wydawaniem cenniejszych tworców naszego piśmarstwa na tułactwie: a było i będzie co wydawać, bo jest pomiędzy nami wielu znakomitych poetów i pisarzy, którzy, jużto z dawną przybyli tu sławą, jużto utworzyli ją sobie na tułactwie. Biorąc się do tej roboty, miałem na celu dobro naszego kraju, naszego piśmiennictwa i języka, uciśnionych w Polsce całą siłą ciemieżców naszych, całym ciężarem niewoli. Przekonanie, że tym sposobem służę sprawie naszej, było i jest jedyną nagrodą moją, było i jest jedynem zachęceniem do coraz obszerniejszego działania na tej drodze. A że usiłowania połączone mogą więcej jak pojedyncze, w 1835 roku porozumieliśmy się z Eustachym Januskiewiczem, który na tejże drodze służył krajowi, i ze Stefanem Dembowskim, i założyliśmy drukarnię i księgarnię polską w Paryżu, na ulicy *des Marais St. Germain Nr. 17 bis*. Odtąd pomnożyły się sposoby wydawania, pomnożyły się stosunki nasze z tułactwem, z krajem i z pisarzami i odtąd literatura tułactwa silniejszego ruchu nabrała. Z Bogiem zaczęliśmy druki nasze od książki do nabożeństwa, i dalej

z czystem sumieniem i z nadzieją użyteczności narodowej pracujemy; a w oczach czytelników naszych, niech i to do ksiąg wydanych przez nas dodaje wartości, że je drukują Polacy tułacze, dawniej ludzie dostatni, a dziś bogaci tylko zaszczytną pracą, dziś rzemieślnicy.

Jako wydawca zaznajomiłem się bliżej ze wszystkimi niemal dobrymi pisarzami w tułactwie naszym; wiele ztąd miałem pociechy i smutku; pociechy w ich nauczającym towarzystwie karmiaćcem umysł i serce, smutku, że nie ma dziś w Polsce opiekunów, coby takim ludziom, którzy są skarbem narodowym, w pomoc przychodzili. Wielu z takich ludzi, niedostatek przymusił do szukania zarobku w innej pracy, a do zaniechania téj, w której narodowi przynosiliby pożytek i sławę; wielom niedostatek kępuje umysł i pióro; wielom nawet i życie przykrócił; a bogacze nasi w kraju pozostali, nie myślą o ich nędzy, chociaż oni są stróżami narodowego języka tak dziś uciśnionego w kraju naszym, chociaż oni są stróżami narodowego ognia. Bogacze polscy! biada Ojczyźnie i wam biada! jeżeli się dacie pokonać osobistym rachubom, jeżeli uganiając się nie mówię już za łaską ciemieżców naszych, ale czy to za roskoszami, czy za powiększeniem dostatków waszych, zamkniecie się sami w sobie i zagłuszycie w was uczucie tego, coście winni Ojczyźnie i wszelkim jój sługom, coście winni więcej jak inni, bo więcej możecie. Ani tułactwo, ani pisarze tułactwa nie wyciągali do was żebrającej ręki; bo czyż brat u brata ma żebrać; ależ ta ich szlachetność w ubóstwie i nędzy, bardziej jeszcze potępia nieczułość waszą. Jeżeli który z was to czytać będzie, niech wie, że niczego od was dla siebie ani żądam, ani potrzebuję, i że to co powiedziałem, mówię w uczuciu serca mego, ostrzegając sumienie wasze.

Zawód, przez który w dzisiejszych chwilach tułactwa, służę krajowi, nie mało mię nabawił kłopotów, ale też wiele mi przynosi uciechy wewnętrznej; nieraz już za trudy moje, znalazłem nagrodę w przychylnem ocenieniu tych trudów przez gorliwych Polaków w kraju i na tułactwie. Wspomnę tu tylko o upominku, jakim

mię obdarzył nasz sławny bohater, generał Karol Kniaziewicz. W 1834 roku Kniaziewicz i Niemcewicz, dwaj ojcowie tułactwa naszego, przepędzili lato w Monmorency pod Paryżem; Niemcewicz wspomniał wówczas, że był współuczniem Kniaziewicza w *korpusie kadetów* w Warszawie, a wiodąc myślą po wszystkich odtąd kolejach Ojczyzny naszej, objął je w liście do Kniaziewicza, pisany wierszem pełnym miłości Ojczyzny i poetycznego ognia; ja kazałem list ten pięknie wydrukować i rozesłałem go współtułaczom moim na pamiątkę, że Niemcewicz i Kniaziewicz przy schyłku dni swoich, dzielą z nami tułactwo, jak gdyby na to, aby nam byli wzorem wytrwałości w służeniu Ojczyźnie; Kniaziewiczowi zaś i Niemcewiczowi ofiarowałem list ten odbity na pergaminie, ozdobiony pięknymi rycinami Antoniego Oleszczyńskiego, wyobrażającemi Niemcewicza i Kniaziewicza; książki te były wspaniale oprawne przez księcia Gabryela Ogińskiego, dawniej bogacza na Litwie, a wówczas *introligatora* na tułactwie; a cudnie piękny napis na tych księgach położył sztucznym piórem swoim Karol Tomaszewski. Przeznaczeni starcy czule przyjęli ten hołd oddany ich zasługom i cnotom, a Kniaziewicz udarował mnie pięknym swojej roboty widokiem Monmorency, gdzie Niemcewicz swój wiersz układał; przy tem napisał do mnie kilka słów bardzo łaskawych; list ten przykleiłem na odwrotnej stronie obrazu, i tę drogą pamiątkę chowam tak troskliwie jak najszacowniejszy klejnot.

I ja też różne rzeczy pisałem, a pisałem dla tego, żem widział, że pisanie innych nie wiele pomaga na tułactwo, bo jakeśmy siedzieli tak siedziemy we Francyi, a że każdemu niemal zdaje się, że on najlepiej rzeczy widzi i rozumie, więc i ja chciałem zaprobować uczyć drugich, i z 1836 r. zacząłem wydawać *Rocznik emigracyi polskiej*. Niepodoobał się ten rocznik Mikołajowi i zapewne na jego żądanie, zakazano mi go wydawać; więc 1837 r. wydawałem *Wiadomości krajowe i emigracyjne*, i choć oba te pisma były dość czytane, choć mi się zdawało, że w nich mówię bardzo mądre rzeczy

że tylko posłuchać mnie, a będzie Polska, jednak Polski jak nie ma, tak nie ma. Więc w połowie 1837 roku porzuciłem dziennikarstwo.

Kiedym już wpadł na trop drukarski, to już tu opowiem wielką uroczystość drukarską, którą widziałem w Moguncyi w 1837 r. W czasie podróży mojej po Niemczech nadreńskich, pojechałem umyślnie do Moguncyi dla widzenia uroczystości postawienia pomnika Gutenberga.

Wynalazca druku Jan Gutenberg urodził się w Moguncyi około r. 1408, a dopiero we cztery wieki stanął dla niego pierwszy pomnik w tem mieście. Ucisk jakiego Niemcy i Europa w ostatnich wiekach doznawały, brak wolności druku, bez której główne jego korzyści czuć się nie dają, są przyczyną tak wielkiego opóźnienia w oddaniu hołdu człowiekowi, który przez swój wynalazek stał się dla wszystkich następnych pokoleń słońcem umiejętności i wolności. I dziś jeszcze Niemcy doznają ucisku, lecz wiedzą co to jest wolność, a na dowód, że wolności pragną i u siebie ją przeczuwają, Gutenbergowi pomnik stawiają. Takie jest znaczenie tej uroczystości, która jakkolwiek odbyła się głucho, jest wyrazem wielkiego postępu w umysłach Niemców, tem silniejszej zmiany, że jawnej, że zwyciężkiej; ci bowiem co Niemców za łeb trzymają, nie tylko że jej uprzędzić i wstrzymać niezdolali, ale nadto czołem przed nią uderzyli. Władze austriackie i pruskie były drabami tej uroczystości, ale razem i mistrzami obrzędu być musiały.

Dnia 14 sierpnia 1837 r. cała załoga austriacka i pruska wyciągnęła się wzdłuż głównej ulicy, wzdłuż kościoła katedralnego i okrążyła rynek. O godzinie 8 z rana, wysłannicy z rozmaitych miast, i cechy drukarzy i księgarzów, przystrojone w barwę miast swoich i z chorągwiami swojemi, a nadto miejscowe władze miejskie i wojskowe, tudzież starszyna załogi austriackiej i pruskiej, zgromadziły się w domu miejskim, ztamtąd uroczystym pochodem pociągnęły do domu Gutenberga, a następnie przy odgłosie dział weszły do

kościół katedralnego. Nabożeństwo wspaniałe ukończyło się o godzinie pół do jedenastój; i cały orszak przesunął się wzdłuż piechoty pruskiej i austryackiej, i przy odgłosie muzyki pułkowej, wśród głębokiego milczenia z odległych miejsc przybyłego ludu, upokorzonego bardzo przytomnością wojska ciemżycieli swoich, zawinął na rynek Gutenberga. Rynek ten w chwili obrzędu miał postać bardzo uroczystą. Połowa jego zastawiona ławami w półkole wznoszącemi się jedne nad drugie; ozdobiona herbami i chorągwiami dwudziestu czterech miast, które pierwsze druku używać zaczęły. Tuż za ławami stał gmach widowiska, którego ganki były napełnione książkami niemieckimi. Ławy były napełnione osobami, które nań za swoje talary pospieszyły; między ławami a posągiem, było miejsce wolne: tuż przed posągiem stała tłocznia drukarska i ołów przygotowany do odlewania głosek. Obok mownica. Druga strona rynku, wszystkie przyległe okna, dachy i wystawy wspaniałej wieży kościoła katedralnego, napełnione ludem. Wszystko to w uroczystym milczeniu oczekiwało chwili obrzędu. Gdy już wszystko było na swoim miejscu, przyniesiono biblię drukowaną przez Gutenberga: chór z tysiąca osób zaśpiewał *Te Deum*, utworzone umyślnie na tę uroczystość przez Nejkoma, ucznia Hajdena. Pierwsza część tego śpiewu, bardzo szczęśliwie zakończona turkotem bębnów i potrójnym wystrzałem z moździerza, uczyniła wielkie wrażenie. Po skończonym śpiewie, prezydujący wstąpił na mownicę z mową przegładaną we Frankforcie, niezmiernie długą, której nikt ani słyszał, ani słuchał, ani też przerywał: przy końcu mowy spadła zasłona, a z pod niej wynurzył się niecierpliwie wyglądany posąg Gutenberga, wykonany przez Torwaldsona. Okrzyk radości podniecany wystrzałami z moździerzów, rozlegał się długo w powietrzu, powtarzał się i słabiał, ale w tym okrzyku nie było słyhać żadnego wyrazu; był to rozgłos głęboko utajonej a nieśmiałej myśli, która w zapasy z bagnetami jeszcze pójść nie chciała. Lud kłaniał się i książęta kłaniali się.

Po pierwszej mowie nastąpiła druga daleko lepsza, bo daleko krótsza; potem pieśń na cześć Gutenberga na śpiew *God save the king*: potem odlewano głoski, składano je, drukowano niemi wierszyk na cześć Gutenberga i rozrzucono go pomiędzy lud. Mowy te i druki, jako z pod *cenzury*, nie miały życia odpowiadającego wielkości święta narodowego. Starszyzna pruska i austriacka, tudzież książęta, przypatrywali się ciekawie tłoczni drukarskiej, której moc obala niewolę, zdobywa twierdze, przed którą drżą wszystkie mocy ziemskie, a ona się żadnej nie boi. Znowu huk dział i znowu okrzyki. I wszystko rozeszło się w cichości.

Po tym obchodzie nastąpiła wielka uczta, nazajutrz odbywały się wodne igrzyska na Renie: a wieczorem uroczysty pochód z pochodniami w około posągu Gutenberga, oświecenie miasta i uczta tańcząca. Następnym dni odbywał się spór uczonych w domu Gutenberga, mający oznaczyć rok wynalazku druku; do którego to roku ma być odtąd zastosowany stuletni wielki obchód.

Kto będzie w okolicy Moguncyi, niech tam zajdzie dla widzenia pomnika Gutenberga,*) bo bardzo piękny, a kto będzie już w Moguncyi, niech się puści ztamtąd statkiem parowym do Kolonii, bo to podróż bardzo piękna, a może najpiękniejsza w swoim rodzaju.

Odbywałem tę podróż w najmiłszym towarzystwie. Dnia 9 września 1837 roku, właśnie rok temu, wyjechaliśmy przededniem z Wisbadenu do Moguncyi, gdzie o 1/2 do 6 z rana, trzeba już być na statku. Noc piękna zapowiadała dzień piękny. Ren jak gdyby od

*) Posąg odlany ze spiżu, według wzoru Terwaldsona, ma dwanaście stóp wysokości. Gutenberg stoi ubrany w stroju swojego czasu, trzymając w prawem ręku pęk czcionek, w lewem biblią, pierwsze z kolei dzieło jakie wydrukował. Podstawa jest z marmuru czerwonego z napisami łacińskimi i płasko-rzeźbami ze spiżu. Napis naczelnny jest następujący:

Joannem Gensfleisch de Gutenberg patricium Moguntin
aere per totam Europam collato posuerunt cives
MDCCCXXXVII.

chłodu jesiennej nocy, siebie i dalekie brzegi swoje, niby puchem lekkim, przykrył mgłą gęstą; ognista jutrzienka szkarłatem zapaliła pół nieba, a ogień ten zarumienił perłową białość mgły, obudził ją ze snu i mgła zaczęła się ruszać, niby poprawiać się na łożu, ale nie wstaje, a owszem tuli się coraz mocniej do łoża. Powoli, powoli, gdzie niegdzie z pod téj mgły wyjrzało wyższe drzewo, albo wieża jaka; dalej wzdierały się jój tu i owdzie ludzkie mieszkania; nakoniec przed promieniami słońca, jęła umykać to do Renu, to do nieba, i rozplynęła się w błękanie wód Renu, i w błękanie nieba, a wspaniałe słońce rozświetliło roskoszną okolicę, młodą i świeżą wdziękiem poranku. Taki piękny poranek, taka mgła, takie słońce bywało mi niegdyś w Hubniku. Tylko tam po Bohu pływałem czółnem albo małą łódką, tu parowym statkiem; tu nad krętymi brzegami Renu góry i skały i łąki, a po tych górach winnice, po tych skałach rozwaliny zamków obronnych, z których rozlewało się więcej ucisku jak obrony, po tych łąkach rokoszne wsie i miasta; a tam po krętych brzegach Bohu, skały góry i łąki, a po tych skałach gdzie niegdzie chatka rybaka, a całą jój obroną pies wierny, a po tych górach bujne zboża, albo las bujny, a po tych łąkach wsie powabne, gdzie niegdzie chatka mielnika, a wszędzie bujają rokoszne stada i trzody. Każdy kraj ma swoje piękności, ale

Z drugiej strony znajdują się takie wiersze:

*Artem quae Graecos latuit latuitque Latinos
Germani solers extudit ingenium.
Nunc quidquid veteres sapiunt sapiuntque recentes
Non sibi sed populis omnibus id sapiunt.*

Z dwóch płaskorzeźb, jedna wystawia Gutenberga siedzącego za stołem i pokazującego czcionki zdumionemu Faustowi, druga wyobraża pomocnika odbijającego arkusz. Arkusze jeszcze białe są pod tłocznią, inne dopiero odbite, rozwieszono są nad nią: Gutenberg oparty na tłoczni wpatruje się uważnie w drukowane arkusze.

swój najpiękniejszy; i choć Ren okazalszy, ale mi Boh milszy. Płynąc po Renie myślałem o Bohu, patrząc na zwaliska zamków nadreńskich, myślałem o chatkach pocziwych wieśniaków naszych. A tymczasem z pędem wody statek się szybko unosił, coraz cudniejsze obrazy brzegów nadreńskich wesoło zamieszkałych, wyrwały się oczom naszym, a ta szybka ich zmiana, jeszcze im wdzięku dodawała. Minęliśmy Johanisberg i Ridesheim, sławne winem; Sen-Goar sławny położeniem, Koblenc sławny warownią, którą Prusacy nasrożyli się na Ren, widać, że czują, że ich stąd wypędzą: minęliśmy Bon, sławne uniwersytetem i powabne położeniem, i już wyslizgnęliśmy się w okolicę płaską, nad którą z daleka panuje starożytne miasto Kolonia, co się rozrzuciło po obu brzegach Renu. Jeszcze daleko do zachodu słońca, a my już oglądamy obie strony miasta. W Kolonii jest kilkanaście starożytnych kościołów z rozmaitych wieków; że Kolonia była dawniej miastem bardzo ważnem, dowodzi tego katedra kolońska, nieskończona, bo wojny i rozliczne przemiany ostatnich wieków, przerwały to arcydzieło budowy gotyckiej. Dotąd tylko część kościoła, zajmująca ledwo trzecią część zaczętej długości, jest ukończona, a i w tej części wewnątrz i zewnątrz jest tyle okazałości i przepychu, że kościół ten do najpiękniejszych na świecie jest policzony. Największą osobliwością wewnątrz kościoła, jest przepysznej roboty srebrna kaplica za wielkim ołtarzem, gdzie w złocistych trumnach błyszczących drogimi kamieniami, spoczywają ciała świętych TRZECH KRÓLÓW.

Wracałem do Wisbadenu. Noc była pogodna, księżyc jasny i pełny królował na niebie jak gdyby słońce, i tak gorąco jak gdyby pod słońcem; wiatr jeszcze nie był spędził dziennego skwaru; duszno jakby wśród lata; aż raptem listki drzew przydrożnych zaszeptały o deszczu, i deszcz rześisty i nagły zaszumiał; księżyc przegłądał się w każdej kropli deszczu, a promienie jego

przebiwszy się przez te krople, w dwóch tęczach nocnych spoczęły na niebie. Pierwszy raz tęczę w nocy widziałem, piękniejsza tęcza dniowa, tęcza na tle nocy wygląda jak błydy rumieniec na gasnącem licu, a błażością swoją, tak jak księżyc, nastraja serce do smutku a myśl do dumania.



ROZDZIAŁ XVIII.

OSTATECZNA MYŚL KAPŁAŃSTWA.

Dopiero teraz spostrzegłem, że wspominam o wszystkim, nawet o rzeczach mniej ciekawych i ważnych, a o Paryżu wcale nic. Bo w Paryżu mieszkając od lat siedmiu, takem się z nim oswoił, iż mi się zdaje, że nie ma w nim nic osobliwego, jak mi się też niegdys zdawało, że na Ukrainie nie ma nic osobliwego; a jak sobie wspomnę na bujność téj krainy, na jój wdzięki, na pełność życia domowego wiejskiego, co obejmuje wszystkie chwile dnia, wszystkie dni w roku, to mi się zdaje, że w domu był mi raj. Może jak opuszczę Paryż to mi jego wszystkie piękności staną na oko, i pomyśle może kiedy o chwilach, którem tu przepędził; ale ich nigdy nie pożałuję, za Paryżem nigdy nie zatęsknię. Mamże tęsknić za czasem tułactwa? alboż mi przy ciągłej tęsknocie za Ojczyzną, jakakolwiek wykwintna marność paryzka do smaku? alboż zatęsknię za huczną zabawą tutejszą, która mię nigdy nie zajęła, nigdy nie ucieszyła; alboż mam tęsknić za tutejszą wydoskonaloną rozpustą, do której jeszcze się większym przejąłem tu wstrętem: alboż zatęsknię za wrzawą paryzką, która stęsknionym myślom spokoju nie daje? Alboż mam tęsknić za okazałością

tutejszych pomników i gmachów, kiedy pomyślę sobie, że i te gmachy, i cały Paryż, są tylko punktem na ziemi, a ta ziemia punktem niedostrzeżonym w przestworzu świata widzialnego, a ten przestwór widzialny mniej jak punktem w przestrzeni, której krańców nie dogoni ani oko, ani myśl ludzka. Mamże tęsknić za okazałością Paryża, kiedy wszystko co widzę z dzieł Boskich, nieskończenie okazalsze od tego, na co przez wieki wysilały się rozum i praca ludzka?

Nieraz podobne myśli zasepiły samotną duszę moją, kiedym patrzył przez okno na toczący się zbytek po ulicach Paryża. Nigdy nie pozazdrościł tu nikomu, ani bogatych pojazdów, ani nawet dzielnych koni; a pamięć tego com stracił, więcej mię cieszyła, jak obecne bogactwo cieszy bogatych; czasem tylko brała mię ochota zepchnąć z konia trefnisia paryzkiego, co siedzi na koniu jak pies na płocie, i pokazać mu jak to u nas jeżdżą; ale i ta myśl płocha i próżna uleciała natychmiast, i znowu posępność oblekała duszę moją. Posępność tę rozpędzała czasem praca, zabawa nigdy. A na łatwości do zabawy a nawet na pieniądzach do tego, nie brakło mi nigdy. W zimie trafiało mi się po dwa i trzy tańczące wieczory na dzień; idę na wieczór, zdaje się, że świetny, że pełny, ale dla mnie pusty; wracam do siebie smutniejszy jak wpródy; nazajutrz później wstaję, mniej pracuję, żałuję żem czas stracił, a wieczorem znowu idę między gwar ludzki w nadziei, że się rozerwę, że spotkam co dla serca mego, dla duszy mojej, i znowu tylko spotykałem rozrywkę dla oczów, i znowum żałował czasu, trudu; a odpocząwszy znowu szedłem w świat nie wiedzieć po co: taka to słabość ludzka.

Nie lubiłem płatnych zabaw zgrai paryzkiej, bo tam rozpusta; a takich zabaw mianowicie w czasie zapust, w Paryżu bez liku, a zaczynają się o północy. Motłoch ciśnie się tam aby gawronić, młodzież aby niby to użyć świata póki służą lata, a kobiety tak zwanego dobrego towarzystwa, dla kosztowania zakazanego owocu; a zakazuje go przyzwoitość, bo w zepsuciu dni naszych,

u ludzi bez religii, jedynem jeszcze a bardzo miękkim wędzidłem, przyzwoitość. Zbiegowiska te odbywają się pospolicie w gmachach widowisk błyszczących niepoliczonem światłem i pożąta, napełnionych tłuszczą, co rzuciła o ziemię nie tylko niewinność i dobre obyczaje, ale nawet wszelką przyzwoitość; tłuszczą co niezdolna czuć radości i wesołości czystej i niewinnej, puszcza się z zapamiętaniem na zabawy wrzące piekielnem zepsuciem. Nie miałem zwyczaju uczęszczać na te gorszące zbiegowiska; jednak pewnego razu wracając z wieczoru około 2 w nocy w towarzystwie kilku osób, dałem się namówić i poszedłem na jedno takie zbiegowisko, na które nie masz dzięki Bogu polskiego nazwania. Zachodzę, izba piękna, pięknie ustrojona, pięknie oświetlona; muzyka ze stu muzykantów, a ledwo ją słyhać, taki hałas, taka wrzawa; a wszystko kręci się szalonym tańcem, aż mi się w głowie zakręciło. Usiadłem na wyniesieniu, i patrzę zasmucony na to poniżenie, do jakiego ludzie przez rozpustę sami się wtrącają: a *ma-seczka* obok mnie siedząca, mówi mi:

— „Coś nie zdaje się, żebyś się bardzo bawił?”

— „Wcale się nie bawię.”

— „A pociś tu przyszedł?”

— „Bo mi powiedziano, że tu bardzo wesoło.”

— „A kiedy ci niewesoło, czegoż tu siedzisz?”

— „Siedzę, bo chciałem poznać, co to świat paryzki wesołością nazywa, nabrać już wiecznej odrazy od téj wesołości waszój, co więcej podobna do szału piekielnego jak do ludzkiej zabawy. Patrz pani, jak tamci w księżych ubiorach hulają jak potępieńcy; patrz, jak te tam kobiety na wpół nagie, a jakby na pośmiewisko z krzyżami na szyi, jak gdyby piekielnice szaleją w gorszących płasach. Patrz pani, jak cała tam hurma porwana wirem szału, pędzi się w około w kozich skokach, tylko im rogi przyczepić, a istne szatany. Patrz pani na to wszystko razem, czy to nie obraz piekła. Do czegoby to tu przyszło, gdyby jeszcze drabowie nie wyganiaли co chwila najrozpuśniejszych. Czy pani bawisz się, patrząc na takie zdrożności?”

— „Nie, ja także się nudzę, nie byłam tu nigdy, ale mnie tu przyprowadziły przyjaciółki moje.“

— „Niechże tu pani z niemi zostanie, a ja już tego mam dosyć, żegnaj panią.“

— „Niechże mię pan z sobą wyprowadzi.“

— „A przyjaciółki?“

— „Odeszły mnie, to niech zostaną.“

Wyprowadziłem tedy tę panią, powóz zaszedł, pojechała; może już tu nie wróci, tak jak i ja nie wrócę. Otóż to tłumne paryzkie zabawy. A panie wielkiego świata przychodzą patrzeć na te niecności; nie jedną poznałem, nikomu o tem nie mówiłem, ale wiem com sobie o niej pomyślał; zastoniła twarz i myśli, że jój tu Bóg nie widzi; a może nieszczęsna chciała się tylko przed ludźmi zastonić, i nie dba o to, że ją Bóg widzi! A paryzka młodzież wielkiego świata nie tylko z uciechą patrzy na to zgorzenie, ale sama do niego przyczyniając się, tępi w sobie wszelkie uczucie niewinności i cnoty.

Albo proszę pójść na paryzkie widowiska: Ileż to ztamtąd rozlewa się najszpetniejszego zepsucia na Francją i na świat cały. Dzisiejszym pisarzom francuzkim, nie idzie o cnotę ale o oklaski, i gorzej jak o to, bo o pieniądze; oni nie piszą, żeby obyczaje poprawiać, ale piszą, żeby obyczajom podobać się; a więc muszą owe obyczaje jeszcze w złem wyprzedzać; złe dogania gorsze, a mistrz swoje gorsze pędzi coraz naprzód, i brnie z niem aż w piekło. Na widowisku *St. Martin*, ksiądz zapisuje duszę dyabłu, nieustanne mordy i zbrodnie najwyuzdańsze, które jeszcze widzom przez myśl nie przeszły, występują tam jedno po drugich, aby rozdrażnić stepione uczucie. Na wielkiej *operze* kardynał klęka przed żydem, po kościołach rzezie, upiory zakonnice występują w lubieżnych tańcach i t. p. Po innych widowiskach przedstawiają najwyszukańsze ku złemu wybiegi, pletą najbezczelniejsze sprośności, najnieskromniejsze dwuznaczniki, a widzowie i słuchacze radzi śmieją się, wynoszą je na ulice, roznoszą po domach, po Francji, po świecie. Są widowiska i ta-

kich najwięcej, na których nie ma ani jednego utworu, któryby nie gorszył, a na tych widowiskach przedstawiają je codziennie i codzień pełno. Na takie widowiska niektóre matunie córek nie prowadzą, ale same ciągną jak słomki, jak gdyby to im wolno było szukać zepsucia; a córeczki wdychają, żeby prędko pójść za mąż i używać téj wolności, której matuniom zazdroszą. Takie to widowiska w Paryżu, a jest ich ze dwadzieścia. Cóż powiedzieć o pomniejszych widowiskach, których pełno co dzień po ulicach, a w święto po polach Elizejskich. I to uciecha, i to wesołość ludu paryzkiego; dziękuję za nią i nigdy jój sobie nie życzę w Polsce. Biada Francyi! jeśli się w niej nie zjawi nowy jaki mocarz myśli, co światłem swoim zawabi na drogę cnoty i dobrego smaku, co olbrzymią potęgą swoją pogrzebie w błocie paryżkiem owe mózgi, które się w niem wylęły.

Przestałem bywać na tych nieszczęsnych widowiskach, skorom je poznał, a są takie, o których wiedząc naprzód jakie są, nigdy nie byłem. Ale za to ulubioną moją rozrywką była *opera* włoska; tam szkoła muzyki i dobrego smaku; tam arcyszukmistrze nietylko że są najlepszymi śpiewakami, ale nadto są to ludzie ze wszech miar godni, jak gdyby ich uświęciła szlachetna sztuka; tam to prawda i uczucie jaśnieją w tysiącznych barwach. Ile razy byłem na *operze* włoskiej, zawsze wyszedłem z niej z dobrą myślą, z rozczulonym sercem, a brzmienie dźwięków najcudowniejszego śpiewu, rozgłosem pamięci łagodnie przygrywało duszy mej. O śpiewakach *oper*y włoskiej w Paryżu, prawie tak miło wspominam, jak o słowikach z nad Bohu. Pierwszy raz słysząc tę *operę*, tak byłem zachwycony, że nazajutrz spotkawszy Rubiniego, jój najcelniejszego śpiewaka, któremu nie masz, a pewnie i nie było równego na świecie, rzekłem do niego: śpiew twój nadludzki, czy też i mowa taka. Rubini pojął uczucie moje, wdzięcznie je przyjął i odtąd polubiłem go tem bardziej, że widząc go w domowym pożyciu, poznałem jego szlachetność i poczciwość, uprzejmość i słodycz,

dobry smak i najpiękniejszą duszę; a te wszystkie przymioty spływają w śpiew jego, co strumieniem niebieskich dźwięków wlewa się do duszy słuchaczy.

Dруга taka muzyczna dusza, ze skrzydłami poezji wleciała w ciało jak pajęczyna, i przez to ciało widać ją jak przez pajęczynę; i to się nazywa Szopen (*Chopin*). Jeszcze go dzieckiem zaznał w Warszawie, a zaraz mówiłem, że nie masz mu równego na świecie i zgadłem; Szopen wywinął lot swój nad wszystkich, powiedział sobie, będę poetą muzykiem i tak się stało; i nikt nie zgadnie, czy więcej u niego muzyki w poezji, czy poezji w muzyce. Przy tem wszystkim, zwyczajnie jak u dobrego Polaka, tyle narodowego uczucia, że jak siądzie do klawicymbału, to Polaka słuchacza zaprowadzi myślą do Polski, wodzi go po całej Polsce, i zaprowadzi aż w serce Polski, aż do domu. To też jak mi już smutek dokuczy, idę do Szopena; jak spojrzę na niego, to mi już weselęj, bo i on tęskny, i oba pocieszamy się w tęsknotach naszych. Przywodzimy sobie na pamięć dawne czasy, a jak już z nich wybrnąć nie możemy, on siada do klawicymbału, ja gaszę świecę. Słaby blask ognia od kominka igra cieniem Szopena jak blask pamięci igra cieniem przeszłości; daleki hałas ulicy czasem zawyje jak burza, czasem zaszumi jak wodospad, i cicho, a Szopen jakby czarowną mocą, zaczarowawszy swój klawicymbał, spędziwszy weń wszystkie dźwięki i wszystkie głosy, każe mu śpiewać poezją swoją i tak śpiewa, nie wiem jak długo, bom zawsze o czasie zapomniął; śpiewa i przeszłe szczęście nasze, i biedę obecną, i tęskność za matką, i tęsknotę do tego co jeszcze w przyszłości, i trwogi tego świata, i radości niebieskie; wyrwa mi podwójne i potrójne westchnienia, wywoła nie jedną łzę z oka; duszę rozburzy i znów uspokoi, wdzięcznym brzmieniem niby poszeptem guślarza, przygoi rany serca, i błogo na duszy, i uczucie pokoju oładnie na dobrą chwilę, odprowadzi mnie do domu, towarzyszy w modlitwie, i strzeże snu mego. Śni mi się o domu, i w tem złudzeniu przebudzam się; aż tu przeraźliwe krzyki prze-

kupek zamiast szczebiotanie ptasząt, hałas powozów zamiast szumu rzeki, a zamiast rosy, błoto.

Napatrzyłem się na Paryż w różnych czasach świetności jego. W czasie zapust, na każdej niemal ulicy, tłumne wieczorynki, powozy pilnując noc całą, żeby taniec nie wymknął się z ciasnych pokoiów, wyciągną się długim węzłem po całej ulicy; w czasie ostatków Francuzi wysypują się wszyscy na ulice gawronić i pędzić za błaznami miejskimi co na uciechę ludu poprzywdziewali dziwaczne stroje. W czasie ostatnich dni wielkiego tygodnia, kiedy u nas idą z pokłonem do grobu Zbawiciela, cały Paryż wychodzi i wyjeżdża na *Long Champs*, to jest na przejażdżkę po polach Elizejskich, i wtedy występuje w nowych powozach, w nowych strojach, a ze starą próżnością. W czasie imienin króla Ludwika Filipa, i w czasie świąt lipcowych, cały Paryż wyciąga się wzdłuż *bulwaru* w mundurze gwardyi narodowej; potem wałęsa się przez trzy dni po ulicach, wieczorem moknie na deszczu a patrzy na sztuczne ognie, a w kilka dni potem, toczy się do Wersalu dla widzenia wielkich wodotrysków. Napatrzyłem się na Paryż w tych wszystkich przemianach, alem go nigdy tak świetnym nie widział, jak w czasie uroczystości, któremi obchodzono ślub następcy tronu, księcia Orleanu.

Ludwik Filip chcąc zaćmić blaskiem korony francuzkiej oczy księżniczki niemieckiej, rozwinął przed nią całą świetność, na jaką stolica Francyi kwitnącej bogactwem i pokojem, zdobyć się mogła. Ślub księcia Orleanu odbył się w zamku Fontenebloskim, gdzie tyle pamiątek sławy królów francuzkich, gdzie po komnatach chodzi się jak gdyby po pomnikach dziejów francuzkich; każda tam izba przypomina inny wiek, inną świetność; każda ozdobiona podług cechy i smaku swojego wieku. Ztamtąd odwiedziono księżniczkę Orleanu po za Paryż, do Wersalu, i tylko z daleka mogła widzieć miasto jak morze, szarzejące starością i powagą

swoją, a w środku miasta dwie czarne wieże kościoła Najświętszej Panny; z jednej strony miasta okazały Panteon, co miał być kościołem świętej Genowefy, opiekunki Paryża, a dziś poświęcony próżności ludzkiej, stoi mniej użyteczny jak pustka; z drugiej strony miasta wspaniałą bramę, którą Napoleon zaczął na cześć wojny, a Filip skończył na cześć pokoju, którą Napoleon byłby wprowadzał do Paryża zwycięskie wojska, a Filip wprowadził przyszłą królowę, synową swoją. Musiała też księżna Orleanu, bo to ma być pocziwa osoba, spojrzeć ze wzruszeniem na miasto umarłych, co się wznosi poważnie nad miastem żywych, na ów cmentarz *Père la Chaise*, sławny pięknnością, a tem sławniejszy, że już dziesięć Paryżów pogrzebał; i może widok cmentarza, chociaż nie miły szczęśliwym tego świata, nie zmieszał pokoju jej duszy; albo może dworacy od smutnego widoku odwrócili jej oczy, co w owych dniach wesela miały tylko patrzeć na wielkości tego świata. Dopiero z Wersalu, pokazawszy tam księżnie Orleanu zabytki rozpusty królów francuzkich, pokazawszy jej, jak dla zmazania tej rozpusty gmachy królewskie oddał na użytek narodu; Filip mądry, wspaniałym pochodem wprowadził do stolicy synowę swoją.

Filip wjeżdżał o godzinie 4, a już od południa wszystko było gotowe na jego przyjęcie. Przy bramie urzędnicy co go witać mieli; w około bramy po jednej stronie żwawe wojsko bojowe, po drugiej piękna gwardya narodowa paryzka; od bramy potrójnym szeregiem pociągnęły się te wojska przez całe pola Elizejskie, przez obszar Ludwika XV, na którym dziś Luksor, przez cały ogród tuleryjski, aż do zamku. Lud strojny, niepoliczony, zapełniał całą przestrzeń od bramy do zamku.

Stanąłem w ogrodzie na wyniesieniu, a czekając owego wjazdu królewskiego, bawiłem się wspaniałym widokiem tej strony Paryża, ozdobionej najpiękniejszymi gmachami, najokazalszym wjazdem na świecie, ożywioną w tej chwili ruchem snującego się ludu, cieszącego się tem, że zobaczy coś nowego. Około godziny 4, przy gmachu *invalidów*, którego złotą wieżę widać z owego

miejsca, zagrzmiały działa, i wystrzał po wystrzale szedł tak długo, jak orszak królewski od bramy do zamku, to jest blisko pół godziny. Orszak ten zabłyszczał przy bramie i spuszczał się powoli po długiej a szerokiej ulicy Pół Elizejskich, wytkniętej wśród ludu potrójnym szeregiem wojska, nad którym powiewały trójbarwne znamiona, a wysokie i rozłożyste drzewa piękną zielonością wieńczyły lud, orszak i wojsko, i umładzały cały ten obraz pokoju i szczęścia.

Przed orszakiem, na koniach błyszczących złociestemi rzędami i oponami, postępowali naprzód jacyś giermkowie, od stóp do głów w złoto przybrani; za nimi kilka oddziałów wyborowej jazdy i lekkich huźarów, i poważnych kiryśników, i zwinnych strzelców i najpowabniejszych oku ułanów; za nimi król z synami, otoczony licznymi jenerałami; za nimi dopiero kolasa otwarta kształtu łodzi, ciągniona ośmiu białemi końmi, a w niej królowa Francuzów, królowa Belgów, dwie księżniczki francuzkie, księżna Orleanu i jej macocha; za tą kolasą oddział gwardyi narodowej konnej w pięknych mundurach ułańskich; za tym oddziałem szło kilka innych wspaniałych powozów królewskich i księcia Orleanu, a w nich panie dworskie, a każdy powóz oddzielony konnicą gwardyi narodowej, a wyborowe szwadrony rozmaitej jazdy jak otwierały tak i zamykały ten orszak, jaśniejący blaskiem królewskiej świetności.

Orszak posuwał się stępą, a wszędzie lud witał z rozrzewnieniem swojego króla i rodziny jego. Król i cała rodzina była rozradowana szczęściem swoim dnia tego i owym serdecznym przyjęciem ludu. I mnie rozrzewniło szczęście, chociaż nie moje, ani narodu mego; i jakżeż nie miało rozrzewnić, kiedy obok mnie na rękach matki wyniesiona w górę dziecina na widok ułanów bijąc radośnie rączkami swemi, wołała:

— Mamo, mamó! Patrzaj... Polacy, Polacy!

Po owym sławnym wjeździe Paryż w ciągłej uroczystości dni kilkanaście świetniał igrzyskami, ogniami, neztami i rozlicznemi widowiskami; a ta świetność przenosiła się z mieszkańcami stolicy z jednego miejsca na drugie.

W Wersalu uroczyste otwarcie muzeum; w Paryżu uczty u dworu i w mieście, a pomiędzy wszystkimi najświetniejsza była uczta, którą miasto Paryż dało dla księżnej Orleanu. Ta uczta kosztowała około miliona franków. Dziedziniec starożytnego miejskiego domu przerobiono na główną izbę téj uczty, a wszystkie inne izby gmachu tego przybrano wspaniale, a każdą inaczej. Jedna błyszczała złotem, jaśniała królewskimi ozdobami i przepychem, w téj był tron obszerny dla całej rodziny królewskiej; druga ubrana w świeże kwiaty, a obfity w środku stojący wodotrysk rzeźwił otaczające kwiaty i bronił je od skwaru rześistego światła; inna w samych posągach i marmurach; w tamtéj oglądają dary ofiarowane przez miasto księżnie Orleanu; z innéj znowu spojrzawszy przez okno, widać przecudnie udany rodzinny dom i ogród téj księżnej; a we wszystkich izbach tak tłumno, że trudno się ruszyć, we wszystkich huczna muzyka i niby tańczą.

Król i królowa patrzą ojcowskiem okiem, jak dziatwa ich tańczy. Królowi wygodnie, ale tłum dusi się w ścisku, aż dopiero jak król poszedł z rodziną oglądać inne izby i kłaniać się całemu strojnemu tłumowi i od całego tłumu odbierać ukłony, ja zasiadłem sobie z naszymi Polkami na tronie królewskim i tak jak król patrzałem na świetną izbę i jeszcze świetniejsze zgromadzenie. Patrzałem na piękności paryskie, we dwadzieścia stopni w około ustawione, jak kwiaty w kwiatarni, a każda błyszczy jasnością strojów i jako może jasnością wdzięków. W środku izby błyszcza mundury i stroje dworskie, a w środek tłumu powcisnęły się tańczące pary, co nie znać, czy tańczą, czy chodzą; stoją w miejscu, a na znak, że żyją i nie śpią, przestępują z nogi na nogę, i to francuzki taniec. U góry świec zdaje się tyle, co gwiazd na niebie i pobłyskują złotem i szkiełkami, jak brylantami, powietrze tak pełne światła, że aż drży jasnością.

Dźwięki muzyki pasują się ze szmerem tłumu, i wpadają z szumem w wir jego. Szelest, gwar, hałas, wrzawa, wre w powietrzu, szumi w uszach; przepych,

tłum, jasność, migoce w oczach, nęci do siebie, jak światło ćmę nęci; a człowiek odurzony tém wszystkiém nie zważa na ścisk i gorąco, i z tą podwójną męczarnią pasuje się, dopóki mu sił starczy — i to zabawa.

Pomiędzy tysiącami piękności oczy moje błąkały się, jak po lesie. Błąkałem się po izbach, a od wiru każdej izby aż mi się w głowie zakręciło. Spostrzegam otwarte okno, spieszę zachwycić zimnego powietrza, aż widzę jasność niezwykłą, i ujrzałem cały gmach miejski, jakby w zwierciadle: a to naprzeciw gmachu naszego drugi gmach podobny z gazowego ognia, z taką samą wystawą, z temiż ozdobami, rozświecił daleką przestrzeń; przy tém świetle gwardya miejska i narodowa, piesza i konna, w nieporządku spoczywając, wyobrażała cudny obraz jakiegoś zaczarowanego rycerstwa. Widok ten zajął mnie więcej, jak ucztą całą; a i ten widok stracił swą wartość, skorom spojrział na pyszny księżyc, co srebrném światłem swoim naśmiewając się z miedzianego światła ludzkiego, przeglądał się w Sekwanie, pokazał jój dziesięć mostów i czarnymi cieniami odznaczył ciosane jój wybrzeża, jój wyspy zamurowane czarnymi gmachami, a nad temi gmachami jeszcze czarniejsze dwie wieże starożytnej świątyni. Przed sobą miałem poważną posępność nocy, za sobą, i obok siebie ponętną wesołość najświetniejszej uczy; ale posępność nocy lepiej wtórowała posępności duszy mojej. Wyszedłem, wstydząc się sam przed sobą, żem się wybierał na tę ucztę z wielką ciekawością, z oczekiwaniem wielkiej radości.

Paryż zawsze świetny; grzmią powozy, wezbrany zbytek pyszni się błyszczącą próżnością swoją, roskosze wielkiego miasta cisną się do bogaczy próżniaków, a ja na rozweselone tłumy paryzkie patrzę, jakby na chmurę drobnych muszek; widzę, jak się kręcą, słyszę jak brzęczą, a nie wiem gdzie i po co lecą. I w tym tłumie paryzkim jestem samotny, bo inna myśl moja, jak jego, inna wiara, inne pożądanie duszy i serca.

Siedm lat przewędrowałem już po obcych krajach, a w żadnym nie przyszła mi ochota zamieszkać. Siedm lat przelazło tułactwo nasze, a czas, co to ma goić rany serca, jeszcze coraz bardziej drażni boleść naszą, jeszcze zaostrza tęsknotę za ojczyzną; tęsknotę tém silniejszą, im bardziej czas wygnania przeciągając się, już tylu śmierciami pogroził nam, że nie wszyscy doczekamy walczyć za ojczyznę, nie wszystkich miłych i drogich swojemu sercu ci, co wrócą do domu, w domu zastaną; tęsknotę tém silniejszą, że my opuszczając rodziny nasze, nie żegnaliśmy je na czas tak długi, i pamięć czułego, boleśnego pożegnania, nie przychodzi zapełniać przeciągłych chwil naszych.

Rzucając świętą polską ziemię, przyjaciółom naszym ściskaliśmy rękę, wesóło im mówiąc: „Za rok zobaczymy się!“ Jednemu zostawiliśmy broń naszą, drugiemu konie, mówiąc z dobrą otuchą: „Broń nie zarzewieje, konie nie postarzeją, i znowu z nami zahulają w wojennym tańcu, znowu nas wniosą na karki moskiewskie!“

Spieszylismy na tułactwo, jak do szeregów wojska, a jesteśmy tu tylko szeregiem pokutników. Przechodzimy przez ciężkie próby, a wspólną tęsknotę za krajem w jednych wzmaga nędza doskwierająca, w drugich to lub owo prześladowanie, w innych to lub owo niepowodzenie, we wszystkich każda wiadomość o nowym ucisku kraju naszego; bo każdy ucisk, każde cierpienie ojczyzny naszej, jest nam najsroźszą boleścią, jest nam wyrzutem, żeśmy nie wytrwali w walce, żeśmy dali upaść Polsce.

Niechże to będzie wyrzutem jeszcze dotkliwszym wam, Polacy, coście do téj walki wcale nie stanęli. O teraz za nową walką już dochowamy przysięgi: *zwyciężyć lub zginąć*, bo lepsza śmierć na polu bitwy niżeli tułactwo! Ale téż i wy pomniście, że stokroć lepsza śmierć za ojczyznę, niżeli niewola.

Już siedm lat pasujem się z tułactwem, siedm lat pasujem się ze wszelkimi przeciwnościami, siedm lat zawodzą nas wszystkie nadzieje i próby nasze, bośmy

kołatali dotąd o pomoc ludzką, bośmy biedzili się dotąd z rozumem własnym. Wszystkie usilności i próby w dźwignaniu Polski upadły niemocą naszą; i nie wprzód ją dźwigniemy, aż nam wróci siła, a siła nam wróci, jak nam wróci wiara! Ta święta wiara, co zbawia narody i ludzi, przy której ludzkie i narody zakwitają w miłość wzajemną. Dzięki Bogu zaczynamy już do niej powracać: wiara już zaczyna błyszczeć pośród nas; ona już ukołysała wiele namiętności, którymśmy się byli poddali, a obudziła w nas wiele cnót, którychśmy byli zaniechali. Zdaje się, że Bóg niezadługo ulituje się nad nami, bo tułactwo polskie już się ku niemu obraca, już zaczyna spostrzegać, że wszędzie ciemność, a tylko tam światło; że wszędzie fałsz, a tylko tam prawda; że wszędzie słabość, a tylko stamtąd moc i siła, co pokonywa olbrzymy!

W utrapieniach i uciskach tułactwa nieraz jak wspomnę sobie na biedną Polskę, na matkę, na brata i na siostry, i na przyjaciół moich, a nie wiem, co się tam z nimi dzieje; świat mi nie miły, cały świat mnie boli, łączy cisną się do oczów, westchnienia skołatany mi piersiom odetchnąć nie dają; a taka tęsknota obejmuje serce moje, naciska duszę moją, że już już upadam!

Dopiero jak myśl wzniesie się ku Bogu, kolana przed nim uklękną, z błaganiem o powołanie kapłańskie, gorąca modlitwa suszy łzę żalu i boleści, miłość Boska napełnia rozum mój wiarą i nadzieją i znowu w mój duszy błyszczy myśl święta, jaśnieje pogoda, i znowu serce raduje się cierpieniem za ojczyznę.

Paryż, dnia 2 października 1838 r.

K O N I E C .

SPIS ROZDZIAŁÓW.



KSIEGA PIERWSZA.

Rozdział		Stronica
I.	Pierwszy lat dziesiątek.....	1
II.	Szkoły w Winnicy.....	10
III.	Rok w domu.....	28
IV.	Akademia w Krakowie.....	39
V.	Uniwersytet w Warszawie.....	65
VI.	Powrót do domu.....	76
VII.	Podróż na Kaukaz.....	83
VIII.	Jubileusz w Granowie.....	107
IX.	Ślub siostry.....	112
X.	Szarańcza i polowania.....	126
XI.	Niezwykłe postacie.....	139
XII.	Kamieniec.....	151
XIII.	Berdyczów.....	161
XIV.	Kijów i Krzemieniec.....	173
XV.	Pierwsza myśl kapłaństwa.....	180

KSIEGA DRUGA.

I.	Oczekiwanie.....	185
II.	Gotowość do Powstania.....	199
III.	Powstanie.....	212
IV.	Bitwa pod Daszowem.....	225
V.	Potyczki pod Tawrowem, Obodnem i Majdanem..	239
VI.	Wejście do Galicyi.....	257
VII.	Dostanie się do Warszawy.....	267
VIII.	Wstąpienie do sejmu.....	276
IX.	Czynności sejmowe.....	287
X.	Koniec powstania.....	309
XI.	Wejście do Prus.....	331
XII.	Pobył w Galicyi, przyjazd do Paryża.....	338
XIII.	Podróż do Szwajcaryi.....	353
XIV.	Pierwsze lata wygnania.....	367
XV.	Podróż do Anglii.....	384
XVI.	Podróż po Belgii, Francyi i Niemczech.....	400
XVII.	Wydawnictwa na wygnaniu.....	413
XVIII.	Ostateczna myśl kapłaństwa.....	422

200 - 7

NIKTÓRE Z NAJNOWSZYCH NAKLADÓW
KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO
W POZNANIU.

Marek.

- I. 3 Tom dzieł dramatycznych Szekspira tłumaczony przez Stanisława Koźmiana, zawierający:
 Króla Henryka IV (I. część)
 Króla Henryka IV (II. część). Cena 7,50
- 1 Tom dzieł Szekspira zawiera:
 Sen nocy letniej,
 Króla Lyrę i
 Dwóch panów z Werony i kosztuje osobno 9,00
- 2 Tom dzieł Szekspira zawiera:
 Króla Lyrę,
 Króla Ryszarda IIgo i kosztuje . . 7,50
- Biorący wszystkie trzy tomy płać 15 marek.
- II. Podróż nad Renem i w Szwajcaryi (odbyta w roku 1846) 6,00
- III. Niektóre rady dotyczące pielęgnowania dzieci dla matek średniego stanu, napisał Dr. Zielawicz w Poznaniu 0,50
- IV. Axel, powieść historyczna z czasów Karola XII Elijasza Tegnéra, przełożył z oryginału Wawrzyniec hr. Engestroem 1,50
- V. Wspomnienia Kaukazu przez H. Jaworskiego w trzech częściach w jednym tomie zawierają:
 Część I. Rys historyczny Kaukazu.
 „ II. Epizody z życia kaukazkiego.
 „ III. Ajchanym. Cena 6,00
- CA
-



A 18
Teatr
100211
11